



DONATO

CARRISI

TRYBUNAŁ DUSZ

NOWY THRILLER AUTORA ZAKLINACZA

## O książce

Paenitentiaria Apostolica, zwana też Trybunałem Sumienia – powołany w XII wieku organ Kościoła zajmujący się osądzaniem ludzkich grzechów i gromadzący informacje pozyskane w trakcie spowiedzi – ma swoją siedzibę w Watykanie. Jego tajna baza danych to największe archiwum zła na świecie, kartoteka przestępców, o jakiej mogłoby tylko marzyć FBI. Penitencjariusze analizują wydarzenia kryminalne, wyjaśniają zbrodnie i – w razie potrzeby – interweniują lub dyskretnie informują władze. Choć w XX wieku działalność kongregacji została uznana za nielegalną, jej członkowie nadal działają z potrzeby sumienia. Agenci Trybunału, Marcus oraz jego mentor i przyjaciel Clemente, próbują wyjaśnić zagadkę zniknięcia w Rzymie studentki Lary. Podejrzewają, że została uprowadzona. Choć okoliczności były podobne, policja nie łączy tego zdarzenia ze sprawą Jeremiaha Smitha – przebywającego w klinice Gemelli w stanie śpiączki mężczyzny, w którego willi znaleziono przedmioty dowodzące, iż jest seryjnym zabójcą czterech młodych kobiet. Marcus, człowiek obdarzony wyjątkowym zmysłem obserwacji, wierzy, że jest szansa na uratowanie dziewczyny, że Smith nie zdążył jej zabić. Czy jego przeczucie może mieć inną przyczynę, a on sam, nie zdając sobie z tego sprawy, jest zamieszany w porwanie Lary, a nawet gorsze zbrodnie? Jakiś czasu temu został postrzelony w głowę, wskutek amnezji nic nie pamięta ze swojej przeszłości. Nieustannie dręczy

go pytanie - kim jest? W tym samym czasie Sandra Vega, policjantka z Mediolanu, po otrzymaniu dziwnego telefonu od człowieka podającego się za agenta Interpolu, rozpoczyna prywatne śledztwo w sprawie zagadkowej śmierci męża. Jak się okazuje, nie była ona wypadkiem, lecz morderstwem. Czy David został zabity, bo chciał zdemaskować nielegalną działalność Trybunału Sumienia? Kto stoi za serią morderstw popełnianych na sprawcach okrutnych przestępstw, którzy dotąd byli poza wszelkimi podejrzeniami? Człowiek prowokujący krewnych ofiar do wymierzania sprawiedliwości na własną rękę? Mściciel, który ma dostęp do tajnej kartoteki Paenitentiaris Apostolica? Watykański ksiądz?



Wydawnictwo  
A. Kuryłowicz

Wydanie elektroniczne

## DONATO CARRISI

Włoski scenarzysta i dramatopisarz. Absolwent prawa ze specjalnością w kryminologii i behawiorystyce. W trakcie studiów założył Grupę Teatralną Vivarte, dla której napisał pięć sztuk i dwa musicale. Od 1999 współpracuje z państwową telewizją RAI. Spod jego pióra wyszły scenariusze popularnych seriali *Casa Famiglia*, *Il Croupier Nero*, *Falene*, *Nassiriya*, *Era mio fratello* i *Squadra Antimafia*. W 2009 zadebiutował powieścią kryminalną **Zaklinacz**. Książka odniosła ogromny sukces komercyjny (ponad 250 tys. egzemplarzy sprzedanych w samych Włoszech, przekłady na 20 języków). We Francji **Zaklinacz** znalazł się w gronie trzech finalistów prestiżowej nagrody literackiej *Prix de lecteurs*. W kolejnych latach Carrisi opublikował trzy powieści: **Trybunał dusz**, *La donna dei fiori di carta* oraz sequel Zaklinacza zatytułowany *L'ipotesi del male*.

[www.donatocarrisi.it](http://www.donatocarrisi.it)

*Tego autora*

TRYBUNAŁ DUSZ  
KOBIEȚA PAPIEROWYCH KWIATÓW

**Mila Vasquez**

ZAKLINACZ

HIPOTEZA ZŁA

Tytuł oryginału:  
IL TRIBUNALE DELLE ANIME  
Copyright © Donato Carrisi 2011  
All rights reserved

Published by arrangement with Luigi Bernabo Associates S.R.L.  
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014  
Polish translation copyright © Jan Jackowicz 2014

Redakcja: Beata Słama

Ilustracja na okładce: Brooke Shaden Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz ISBN  
978-83-7985-034-1

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego.*

*Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: [88em](#)

*Nie istnieją tak straszliwi  
świadkowie ani tak nieubłagani  
oskarżyciele jak sumienie, które  
zamieszkuje w duszy każdego  
człowieka.*

Polibiusz



## *Godzina 7.37*

Trup otworzył oczy.

Leżał na wznak na łóżku. Pokój był pomalowany na biało i oświetlony dziennym światłem. Na wprost niego wisiał na ścianie drewniany krzyż.

Przyjrzał się swoim rękom wyciągniętym wzdłuż boków na czystych prześcieradłach. Wydawało mu się, że nie należą do niego, ale do kogoś innego. Uniósł jedną z nich — prawą — i przytrzymał przed oczami, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Wtedy właśnie dotknął lekko bandaży na głowie. Był ranny, ale uświadomił sobie, że nie czuje bólu.

Odwrócił się do okna. Zobaczył słabe odbicie swojej twarzy w szybie. W tym momencie ogarnął go strach. Zadał sobie pytanie, które sprawiło mu przykrość. Ale jeszcze bardziej przykra była świadomość, że nie potrafi na nie odpowiedzieć.

Kim jestem?

PIĘĆ DNI WCZEŚNIEJ

## *Godzina 0.03*

Adres wskazywał, że miejsce znajduje się poza miastem. Z powodu złej pogody i źle działającego GPS-u, który nie pomagał w znalezieniu drogi, dotarcie do tego odosobnionego miejsca zajęło im przeszło pół godziny. Gdyby u wylotu alejki dojazdowej nie paliła się mała latarnia, pomyśleliby, że nikt tu nie mieszka.

Karetka posuwała się powoli przez zaniedbany ogród. Błyskawica wydobyla z mroku pokryte mchem posągi nimf i bogiń z obtłuczonymi rękami. Pozdrowiały ich bezmyślnymi uśmiechami, zastygłe w eleganckich przypadkowych pozach. Płasały tylko dla nich, tkwiąc nieruchomo w miejscu.

Stara willa powitała ich niczym bezpieczna przystań pośród burzy. W środku nie było widać światła, ale drzwi były otwarte.

Dom czekał na nich.

Było ich troje. Monica, młoda internistka, która tej nocy miała dyżur w pogotowiu ratunkowym. Tony, sanitariusz, mający duże doświadczenie w nagłych interwencjach. Oraz kierowca, który pozostał w karetce, podczas gdy Monica i Tony, nie zważając na burzę, ruszyli w stronę domu. Zanim przekroczyli próg, głośno uprzedzili ewentualnych mieszkańców o swoim przybyciu.

Nikt im nie odpowiedział. Weszli do środka.

Zapach stęchlizny, mdłe pomarańczowe światło rzędu lamp oświetlających długi korytarz o ciemnych ścianach. Po prawej stronie schody

prowadzące na piętro.

W pokoju w głębi ktoś leżał.

Przyspieszyli kroku, żeby udzielić mu pomocy, i znaleźli się w saloniku z meblami przykrytymi białymi pokrowcami. Wyjątkiem był podniszczony fotel stojący na środku, dokładnie naprzeciwko starego telewizora. Prawdę mówiąc, wszystko w tym wnętrzu trąciło starzyzną.

Monica przyklękła obok leżącego na podłodze mężczyzny. Z trudem oddychał. Przywołała Tony'ego niosącego zestaw reanimacyjny.

— Jest siny — zauważyła.

Tony upewnił się, czy drogi oddechowe mężczyzny są drożne, po czym przyłożył mu do ust końcówkę respiratora, podczas gdy Monica sprawdzała latarką jego tęczówki.

Był nieprzytomny, miał najwyżej pięćdziesiąt lat. W pizamie w prążki, skórzanych domowych pantoflach i szlafroku, z kilkudniowym zarostem i mocno przerzedzonymi, potarganymi włosami wyglądał niechlujnie. W jednej ręce ścisnął komórkę, z której zadzwonił na pogotowie, skarżąc się na silne bóle w klatce piersiowej.

Najbliższym szpitalem była poliklinika Gemelli. Lekarz dyżurny stwierdził, że przypadek zasługuje na interwencję w pierwszej kolejności, i połączył się z załogą najbliższej karetki, jaka była do dyspozycji.

Dlatego Monica znalazła się tutaj.

Zobaczyła przewrócony stół, a obok niego szczątki potłuczonego kubka, rozlane mleko i rozsypane biszkopty, wszystko to zmieszane z moczem. Mężczyzna musiał poczuć się źle podczas oglądania telewizji i zrobił w spodnie. Klasyczny przypadek, pomyślała Monica. Mieszkający samotnie mężczyzna w średnim wieku dostaje ataku i jeśli nie zdoła wezwać pomocy, zazwyczaj zostaje znaleziony martwy, gdy sąsiedzi zaczynają czuć

smród rozkładających się zwłok. Ale w tej stojącej na uboczu willi sprawy potoczyłyby się inaczej. Jeśli nie miał bliskich krewnych, mogły minąć lata, zanim ktoś by zauważył, że coś mu się przydarzyło. W każdym razie Monica miała wrażenie, że widziała już taką scenę, i poczuła współczucie. Przynajmniej dopóki nie rozpięli mu góry od pizamy, żeby zrobić masaż serca. Na piersi miał wytatuowane dwa słowa: „Zabij mnie”.

Lekarka i sanitariusz udali, że tego nie widzą. Ich zadaniem było ratowanie życia. Ale od tej chwili w ich ruchach można było wyczuć pewne skrepowanie.

— Saturacja spada — powiedział Tony, sprawdzwszy dane na mierniku stężenia tlenu. Powietrze nie docierało do płuc mężczyzny.

— Trzeba go zaintubować, bo inaczej koniec z nim. — Monica sięgnęła do torby po laryngoskop i zajęła miejsce za głową pacjenta.

Usunąwszy się, odsłoniła sanitariuszowi widok i zauważyła błysk w jego oczach, zakłopotanie, którego powodów nie rozumiała. Tony był zawodowcem przyzwyczajonym do różnych sytuacji, a mimo to coś go poruszyło. Coś, co znajdowało się dokładnie za jej plecami.

Wszyscy w szpitalu znali historię młodej lekarki i jej siostry. Nikt z nią o tym nie rozmawiał, ale ona widziała współczucie i niepokój w oczach współpracowników, gdy spoglądali na nią, zadając sobie w duchu pytanie, jak można żyć z takim ciężarem.

W tym kłopotliwym momencie na twarzy sanitariusza pojawił się ten sam wyraz, ale towarzyszyło mu dużo większe przerażenie. Monica odwróciła się więc i zobaczyła to, co zauważył Tony.

W kącie pokoju leżała porzucona łyżworolka, która musiała tu trafić prosto z piekła.

Była czerwona i miała złocone sprzączki. Identyczna z tą, która

znajdowała się nie tutaj, ale w innym domu, w innym życiu. Monice te łyżworolki zawsze wydawały się trochę kiczowate, natomiast Teresa twierdziła, że są super. Były bliźniaczkami, więc Monice wydawało się, że ogląda samą siebie, gdy zwłoki jej siostry zostały znalezione na polanie nad rzeką w zimny grudniowy poranek.

Teresa miała zaledwie dwadzieścia jeden lat i ktoś poderżnął jej gardło.

Mówi się, że każdy bliźniak wyczuwa, co się dzieje z tym drugim, nawet z odległości wielu kilometrów. Ale Monica w to nie wierzyła. Nie czuła strachu ani zagrożenia, kiedy porywano Teresę w niedzielne popołudnie, gdy wracała z rolek z koleżankami. Jej ciało znaleziono miesiąc później. Miała na sobie to samo ubranie, w którym zaginęła.

I ta czerwona łyżworolka, która wyglądała jak groteskowa proteza na stopie trupa.

Monica przechowywała ją od sześciu lat, zadając sobie pytanie, co się stało z drugą i czy któregoś dnia się spotkają. Ileż to razy wyobrażała sobie twarz człowieka, który porwał Teresę? Ile razy szukała go wśród nieznanomych na ulicy? Z czasem zamieniło się to w coś w rodzaju obsesji.

Być może teraz miała przed sobą odpowiedź.

Spojrzała na mężczyznę leżącego na podłodze. Na jego pulchne dłonie z popękaną skórą, na włoski, które wystawały mu z nosa, na plamę moczu w kroku spodni. Nie przypominał monstrum, jakie zawsze sobie wyobrażała. Był zwykłym człowiekiem. Pospolita ludzką istotą, która w dodatku miała słabe serce.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Tony'ego:

— Wiem, co ci chodzi po głowie. Możemy przerwać, kiedy tylko zechcesz. I zaczekać na to, co nieuchronne... Wystarczy jedno twoje słowo. Nikt się o tym nie dowie.

Być może Tony zaproponował to dlatego, że zauważył jej wahanie, gdy drżącą ręką wkładała laryngoskop do ust z trudem oddychającego mężczyzny. Spojrzała ponownie na jego klatkę piersiową.

„Zabij mnie”.

Być może była to ostatnia rzecz, na którą patrzyły oczy jej siostry, podczas gdy on zarzynał ją jak zwierzę. Żadnego słowa pociechy, jaką powinna otrzymać każda ludzka istota, która na zawsze ma porzucić doczesne życie. Morderca chciał zabawić się kosztem swojej ofiary. I miał dużo uciechy. Być może Teresa błagała o śmierć, byle tylko prędzej się to skończyło. W przyływie złości Monica zacisnęła dłoń na laryngoskopie, aż zbieleły jej kłykcie.

„Zabij mnie”.

Podlec wytatuował sobie te słowa na piersi, ale kiedy poczuł się źle, zadzwonił po pomoc. Był jak wszyscy. Także bał się śmierci.

Zamyśliła się. Ci, którzy znali Teresę, widzieli w Monice tylko jej duplikat, postać z muzeum figur woskowych, żalosną kopię. Przedstawiała sobą to, czym mogła stać się jej siostra. Przyglądali się, jak dorastała, i szukali w niej Teresy. Teraz Monica miała okazję uwolnić się od zjawy siostry, która w niej mieszkała. Przecież jestem lekarką, pomyślała. Chciała poczuć przebłysk litości dla leżącego przed nią człowieka, lęk przed jakąś wyższą sprawiedliwością lub dostrzec coś, co mogłoby być znakiem. Uświadomiła sobie jednak, że niczego takiego nie odczuwa. Zaczęła rozpaczliwie szukać w sobie wątpliwości, czegoś, co by ją przekonało, że ten mężczyzna nie ma nic wspólnego ze śmiercią Teresy. Ale jakby na przekór tym rozmyśleniom istniał tylko jeden powód, dla którego ta łyzworolka się tu znalazła.

„Zabij mnie”.

Próbując rozwiązać jakoś ten problem, Monica uświadomiła sobie, że już podjęła decyzję.



## *Godzina 6.19*

Z powodu ulewnego deszczu w Rzymie było ponuro jak na pogrzebie. Na ścianach historycznych budowli i pałaców w centrum pojawiły się długie cienie, sprawiając, że ich fasady przypominały rzędy milczących, zapłakanych twarzy. Zaułki oplatające niczym wnętrzości Piazza Navona były opustoszałe. Ale kilka kroków od klasztoru zaprojektowanego przez Bramante w mokrej, błyszczącej asfaltowej ulicy odbijały się okna starej Caffè della Pace.

W środku siedzenia obite czerwonym aksamitem, stoliki z szarego żyłkowanego marmuru, neorenesansowe posągi i stali klienci. Artyści, przede wszystkim malarze i muzycy, podenerwowani tym niedokończonym świtem. Ale także rzemieślnicy i antykwariusze szykujący się do otwarcia swoich warsztatów i sklepów przy tej samej ulicy oraz paru aktorów, którzy przed pójściem spać wstąpili na cappuccino po całonocnych próbach w teatrze. Wszyscy chcieli tu znaleźć odrobinę pociechy w ten niemiły ranek, a także pogadać z przyjaciółmi. Nikt nie zwracał uwagi na dwóch obcych w ciemnych ubraniach, którzy siedzieli przy stoliku naprzeciwko wejścia.

— Jak tam twoje migreny? — zapytał ten, który wyglądał na młodszego.

Jego towarzysz przestał zbierać opuszką palca drobiny cukru rozsypane wokół pustej filiżanki i odruchowo przesunął ręką po szramie na lewej skroni.

— Czasami nie dają mi spać, ale powiedziałbym, że czuję się lepiej.

— Miewasz jeszcze ten sen?

— Co noc — odparł mężczyzna, podnosząc na rozmówcę ciemnoniebieskie melancholijne oczy.

— Przejdzie ci.

— Tak, przejdzie.

Ciszę, która zapadła po tej wymianie słów, przerwał przeciągły syk pary wydobywającej się z ekspresu do kawy.

— Marcusie, nadszedł już czas — powiedział ten młodszy.

— Jeszcze nie jestem gotowy.

— Nie można dłużej czekać. Góra wypytuje mnie o ciebie, chcieliby wiedzieć, na jakim jesteś etapie.

— Robię postępy, prawda?

— Tak, owszem, z każdym dniem jesteś coraz sprawniejszy i to mnie uspokaja, możesz mi wierzyć. Ale oni bardzo na ciebie liczą. Od ciebie zależy wiele rzeczy.

— Kto tak się mną interesuje? Chciałbym się z nimi spotkać i porozmawiać. Znam tylko ciebie, Clemente.

— Rozmawialiśmy już o tym. To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Ponieważ zawsze odbywa się to w ten sposób.

Marcus znowu dotknął blizny, jak to robił za każdym razem, gdy był niespokojny.

Clemente pochylił się ku niemu, zmuszając go do podniesienia wzroku.

— To dla twojego bezpieczeństwa.

— Chciałeś powiedzieć: dla ich bezpieczeństwa.

— Także, jeżeli chcesz ująć to w ten sposób.

— Mógłbym narobić kłopotów, a do tego nie wolno dopuścić, prawda?

Sarkastyczny ton Marcusa nie poirytował Clemente.

— Na czym polega twój problem?

— Ja nie istnieję. — W jego głosie słychać było ból.

— Dzięki temu, że tylko ja znam rysy twojej twarzy, możesz czuć się wolny. Nie rozumiesz tego? Oni znają cię tylko z imienia, a co do całej reszty zdają się na mnie. Masz więc nieograniczone możliwości. Skoro nie wiedzą, kim jesteś, nie mogą ci w niczym przeszkodzić.

— Jak to możliwe? — spytał z przejęciem Marcus.

— Ponieważ zwierzyna, na którą polujemy, mogłaby zdeprawować także ich. Gdyby miały zawieść wszystkie pozostałe środki, gdyby granice okazały się nieskuteczne, pozostałby jeszcze ktoś, kto by nad nimi czuwał. Ty jesteś ich ostatnim strażnikiem.

W spojrzeniu Marcusa pojawił się wyzywający błysk.

— Wyjaśnij mi coś... Czy są inni tacy jak ja?

Clemente zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Nie wiem. Nie mam jak się tego dowiedzieć.

— Powinieneś być zostawić mnie w tym szpitalu...

— Nie wolno ci tak mówić, Marcusie. Nie sprawiaj mi zawodu.

Marcus wyjrzał na ulicę, obrzucając wzrokiem nielicznych przechodniów, którzy skorzystali z chwilowej przerwy w ulewie i opuścili przypadkowe schronienia, żeby ruszyć w dalszą drogę. Miał jeszcze wiele pytań do Clemente. O sprawy, które odnosiły się bezpośrednio do niego, a o których zapomniał. Człowiek siedzący naprzeciwko był dla niego jedynym łącznikiem ze światem. A raczej był całym jego światem. Marcus nie rozmawiał z nikim innym, nie miał przyjaciół. Dowiadywał się jednak o rzeczach, o których wolałby nie wiedzieć. O ludziach i o złu, jakie potrafili wyrządzać. To były rzeczy tak straszliwe, że mogły zachwiać ufność każdego, na zawsze zatruć każde serce. Przyglądał się otaczającym go

osobom, które żyły nieprzytłoczone takim ciężarem, i zazdrościł im. Clemente go uratował, ale jego ocaleniu towarzyszyło wejście do świata mroku.

— Dlaczego wybrali właśnie mnie? — spytał.

Clemente się uśmiechnął.

— Psy nie rozróżniają kolorów. — Był to zwrot, po który zawsze sięgał w podobnych sytuacjach. — A więc zostajesz?

Marcus odwrócił się do swojego jedyne przyjaciela.

— Tak, zostaję.

Clemente bez słowa sięgnął do kieszeni płaszcza wiszącego na oparciu krzesła, wyjął z niej papierową kopertę, położył ją na stoliku i popchnął w stronę Marcusa. Ten wziął ją do ręki i otworzył, zachowując ostrożność, która znamionowała wszystkie jego ruchy.

W środku znajdowały się trzy zdjęcia.

Pierwsze z nich przedstawiało grupkę młodych ludzi bawiących się na plaży — na pierwszym planie widać było dwie dziewczyny w kostiumach kąpielowych, które stały przed ogniskiem, wznosząc toast butelkami piwa. Do drugiego pozowała tylko jedna z nich, miała włosy związane w kucyk i okulary korekcyjne, uśmiechała się, wskazując widoczny za jej plecami Pałac Kultury Włoskiej, wzór neoklasycyzmu z dzielnicy EUR. Na trzecim zdjęciu ta sama dziewczyna obejmowała mężczyznę i kobietę, przypuszczalnie rodziców.

— Kto to jest? — spytał Marcus.

— Ma na imię Lara. Dwadzieścia trzy lata. Studiuje w Rzymie, ale przyjechała tu z daleka. Wydział architektury, czwarty rok.

— Co jej się stało?

— To jest właśnie problem: nie wiadomo. Zaginęła miesiąc temu.

Marcus skupił wzrok na twarzy Lary, zapominając o zgiełku i wszystkim, co go otaczało. Wyglądała jak typowa dziewczyna z prowincji przeniesiona do wielkiego miasta. Bardzo ładna, o delikatnych rysach twarzy, bez makijażu. Pomyślał, że pewnie zwykle nosi koński ogon, ponieważ nie może sobie pozwolić na fryzjera. Być może zaglądała do niego tylko wtedy, gdy wracała do rodziców, żeby zaoszczędzić. Sposób, w jaki się ubierała, można było nazwać kompromisowym — nosiła dżinsy i koszulkę z krótkimi rękawami, co uniezależniało ją od mody. Na jej twarzy widać było ślady nocy spędzonych nad książkami lub może kolacji składających się z małej puszki tuńczyka, ostatniej deski ratunku studentów mieszkających poza domem, gdy wyczerpią już miesięczny budżet i czekają na wsparcie od mamy i taty. Po raz pierwszy daleko od domu. Prowadząca codzienną walkę z tęsknotą za bliskimi, poskramiana marzeniami o tym, by zostać architektem.

— Opowiedz mi o niej.

Clemente sięgnął do kieszeni po notes, odsunął filiżankę z kawą i zaczął przeglądać zapiski.

— W dniu zaginięcia Lara spędziła część wieczoru z paroma przyjaciółmi w pewnym lokalu. Zeznali, że wydawała się spokojna. Rozmawiali o zwykłych rzeczach, a potem, koło dziewiątej, powiedziała, że jest zmęczona, chce wrócić do domu i się położyć. Dwoje z nich, para narzeczonych, podwiozło ją autem i zaczekało, aż wejdzie do bramy.

— Gdzie mieszka?

— W starej kamienicy w centrum.

— A inni lokatorzy?

— Około dwudziestu. Budynek należy do uniwersytetu, który wynajmuje mieszkania studentom. Mieszkanie Lary znajduje się na parterze. Do sierpnia

mieszkała w nim razem z koleżanką, która jednak się wyprowadziła, więc ostatnio rozglądała się za inną współlokatorką.

— Dokąd sięgają ślady, jakimi dysponujemy?

— Obecność Lary w domu w następnych godzinach potwierdzają strefowe przekaźniki telefoniczne, które zarejestrowały dwie rozmowy wychodzące z jej komórki: jedną o dziewiątej dwadzieścia siedem, drugą o dziesiątej dwanaście. Najpierw zadzwoniła do matki i rozmawiała dziesięć minut, a potem do najbliższej przyjaciółki. O dziesiątej dziewiętnaście wyłączyła telefon i już go nie uruchomiła.

Do stolika podeszła młoda kelnerka, żeby zabrać filiżanki. Przez chwilę ociągała się z odejściem, chcąc dać im sposobność złożenia nowego zamówienia, ale żaden tego nie zrobił. Ograniczyli się do milczenia, dopóki się nie oddaliła.

— Kiedy złożono zawiadomienie o zaginięciu? — spytał Marcus.

— Następnego wieczoru. Nie widząc jej na wydziale, koleżanki dzwoniły do niej przez cały dzień, ale za każdym razem włączała się automatyczna sekretarka. Koło dwudziestej zapukały do jej mieszkania, ale nie odpowiedziała.

— Co o tym myśli policja?

— W dniu poprzedzającym zniknięcie Lara podjęła z konta czterysta euro, żeby zapłacić za wynajem mieszkania, lecz administrator nie dostał pieniędzy. Zdaniem matki z szafy zniknęło trochę ubrań i plecak. Nie ma też śladu po jej komórce. Dlatego policja zakłada, że oddaliła się z własnej woli.

— Powiedziałbym, że to bardzo wygodne.

— Nie wiesz, jak to jest z takimi sprawami? Jeśli nie pojawi się przesłanka, która każe obawiać się najgorszego, w krótkim czasie zaprzestają poszukiwań. I czekają.

Być może na to, że gdzieś znajdą się zwłoki, pomyślał Marcus.

— Dziewczyna prowadziła uregulowany tryb życia, większość czasu spędzała na uniwersytecie, stale obracała się w tym samym kręgu znajomych — ciągnął Clemente.

— A co myślą jej koledzy i koleżanki?

— Że Lara nie była dziewczyną, której nagle mogło coś strzelić do głowy. Chociaż ostatnio trochę się zmieniła, wydawała się zmęczona i roztargniona.

— Żadnego amanta, żadnych flirtów?

— Z wykazów połączeń nie wynika, żeby dzwoniła do kogoś nieznanego, nikt nie mówił też o narzeczonym.

— Może przez internet?

— Łączyła się z biblioteki swojego wydziału albo z kawiarenki internetowej w pobliżu dworca. Żadnego podejrzanego e-maila w jej poczcie.

W tym momencie szklane drzwi kawiarni otworzyły się i wszedł klient. Przez salę przeleciał powiew wiatru. Wszyscy obejrżeli się zirytowani — z wyjątkiem Marcusa, który zatopił się w myślach.

— Lara wraca do domu, jak każdego wieczoru — odezwał się po chwili. — Jest zmęczona, od jakiegoś czasu zdarza się to często. Jej ostatni kontakt ze światem ma miejsce o dziesiątej dziewiętnaście, kiedy to wyłącza telefon, który potem znika wraz z nią i nie zostaje już włączony. Nie wiemy nic więcej o tym, co się wydarzyło od tamtej chwili. Brakuje ubrań, pieniędzy i plecaka, dlatego policja zakłada samowolne oddalenie się... Wyszła z domu i zniknęła. Być może sama, a może z kimś. Nikt jej nie widział. — Marcus wbił wzrok w Clemente. — Co każe nam przypuszczać, że przydarzyło jej się coś złego? Słowem, dlaczego mamy się tym zająć?

Wzrok Clemente mówił sam za siebie. Dotarli do kluczowego punktu

sprawy. Do anomalii, bo w gruncie rzeczy szukali właśnie tego. Drobnych odstępstw od normalności. Małych zacięć w logicznym ciągu policyjnego śledztwa. Te nieznaczące deformacje stanowiły często furtkę do jakiejś innej, niewyobrażalnej prawdy. Ich zadanie rozpoczynało się właśnie tu.

— Lara w ogóle nie wyszła z domu, Marcusie. Drzwi do jej mieszkania były zamknięte od wewnątrz.



Clemente i Marcus udali się na miejsce. Kamienica stała przy via dei Coronari, dwa kroki od Piazza di San Salvatore in Lauro z maleńkim kościółkiem z XVI wieku. Potrzebowali tylko paru sekund, by wejść do mieszkania na parterze. Nikt ich nie zauważył.

Znalazłszy się w środku, Marcus zaczął się rozglądać. Najpierw zauważył wyrwany łańcuch. Aby wejść do mieszkania, policja musiała wyważyć drzwi i funkcjonariusze nie dostrzegli małego szczegółu — łańcucha założonego od wewnątrz, który został wyrwany i teraz zwisał z futryny.

Mieszkanie miało najwyżej sześćdziesiąt metrów kwadratowych i było podzielone na dwa poziomy. Ten niższy obejmował salonik z aneksem kuchennym. Przy ścianie stał kredens z blatem i kuchenką elektryczną, nad nią wisiały półki. Obok niego znajdowała się lodówka usiana kolorowymi magnesami, na której stał wazon z pęczkiem zasuszonych fiołków. Był też stół z czterema krzesłami, a na jego środku taca z filiżankami i dzbankiem do herbaty. W rogu przed telewizorem stały dwie kanapy. Na pomalowanych na zielono ścianach wisiały nie obrazki czy plakaty, ale plany słynnych budowli rozsianych po świecie. Było zabezpieczone żelazną kratą okno, które — podobnie jak wszystkie inne w mieszkaniu — wychodziło na wewnętrzne podwórze. Nikt nie mógł przez nie wejść ani wyjść.



Marcus rejestrował wzrokiem wszystkie szczegóły. Nie mówiąc ani słowa, zrobił znak krzyża, natychmiast powtórzony przez Clemente. A potem zaczął kręcić się po wnętrzu. Nie ograniczał się jednak do patrzenia. Dotykał różnych rzeczy, muskając je lekko, jakby szukał w nich resztek energii czy sygnału radiowego. Wyglądało na to, że są w stanie coś mu zakomunikować, odkrywając przed nim to, co wiedziały i widziały. Niczym różdżkarz, nasłuchujący głosów wodonośnej warstwy ukrytej pod ziemią, Marcus sondował głębokie milczenie martwych przedmiotów.

Clemente przyglądał się swojemu uczniowi, stojąc z boku, żeby go nie rozpraszać. Nie dostrzegał u niego żadnego wahania, Marcus wydawał się naładowany energią i skupiony. Była to ważna próba dla nich obu. Marcus miał udowodnić samemu sobie, że może podjąć się nowego zadania, do którego wykonania został przeszkolony. Clemente chciał uzyskać potwierdzenie, że się nie pomylił co do jego poszukiwawczych zdolności.

Zobaczył, że Marcus rusza w głąb mieszkania, w kierunku drzwi, za którymi kryła się mała łazienka wyłożona białymi kafelkami i oświetlona neonową lampą. Pryszyć znajdował się między umywalką i sedesem. Były też pralka oraz szafka na szczotki i środki czystości. Na tylnej stronie drzwi wisiał kalendarz.

Marcus wrócił i skierował się ku lewej stronie saloniku, gdzie były schody prowadzące na półpiętro. Przeskakując po trzy stopnie naraz, ruszył na górę i znalazł się na ciasnym podeście, przed drzwiami do dwóch sypialni.

Pierwsza z nich czekała na nową lokatorkę. Były w niej tylko nieprzykryty niczym materac, fotel i komódka.

Druga była sypialnią Lary.

Żaluzje w oknie podniesiono. W kącie stał stolik z komputerem, były też półki pełne książek. Marcus podszedł bliżej i przeciągnął palcami po

grzbietach książek poświęconych architekturze. Następnie musnął teczkę z niedokończonym projektem mostu. Wziął w palce jeden z ołówków tkwiących w szklance i powąchał go, po czym zrobił to samo z gumką do wycierania, odczuwając sekretną przyjemność, jakiej mogą dostarczyć tylko artykuły biurowe.

Te zapachy należały do świata Lary. Było to miejsce, w którym czuła się szczęśliwa. Jej małe królestwo.

Otworzył szafę i przesunął ubrania wiszące na wieszakach, z których kilka było wolnych. Na dolnej półce stały trzy pary butów: dwie pary sportowych i jedna — wieczorowe pantofle — na specjalne okazje. Ale było też miejsce na czwartą parę, której brakowało.

Łóżko było trochę szersze od pojedynczego. Spomiędzy poduszek wystawał pluszowy miś. Musiał być świadkiem życia Lary od czasów, gdy była dzieckiem, a teraz został sam.

Na szafce nocnej stały oprawiona fotografia Lary z rodzicami oraz metalowa szkatułka, a w niej pierścionek z małym szafirem, bransoletka z koralu i trochę innej biżuterii. Marcus przyjrzał się zdjęciu. Rozpoznał je — było wśród tych, które Clemente pokazał mu w Caffè della Pace. Lara miała na szyi złoty łańcuszek z krzyżykiem, ale w szkatułce z biżuterią go nie znalazł.

Clemente czekał na niego u stóp schodów i niebawem zobaczył, że Marcus schodzi.

— I co?

Marcus się zatrzymał.

— Mogła zostać uprowadzona. — W tej samej chwili, w której wypowiedział te słowa, nabrał co do tego pewności.

— Co masz na potwierdzenie?

— Za dużo porządku. Jakby brakujące ubrania i komórka, której nigdzie nie ma, były tylko inscenizacją. Ale temu, kto to zorganizował, umknął szczegół w postaci łańcucha, który zamykał drzwi od środka.

— W takim razie jak zdołał... — zaczął Clemente.

— Dojdziemy i do tego — przerwał mu Marcus, po czym ruszył do saloniku, starając się skupić na tym, co tu się wydarzyło. Jego umysł pracował z zawrotną szybkością. Fragmenty mozaiki zaczęły układać się przed jego oczami w obrazek: Lara miała gościa.

Clemente zdawał sobie sprawę, co się dzieje. Marcus zaczynał identyfikować się z tajemniczym nieznajomym. Na tym polegał jego talent.

Zobaczyć to, co widział intruz.

— Przyszedł tu, kiedy Lary nie było. Usiadł na jej kanapie, wypróbował miękkość łóżka, pogrzebał w jej rzeczach. Obejrzał zdjęcia, przywłaszczył sobie jej wspomnienia. Dotknął szczoteczki do zębów, obwąchał ubrania w poszukiwaniu zapachu Lary. Pił ze szklanki, którą zostawiła w zlewozmywaku, żeby ją później umyć.

— Nie nadążam za tobą...

— Poruszał się pewnie. Wiedział o Larze wszystko, znał rozkład jej dnia, przyzwyczajenia.

— A jednak nie ma tu nic, co pozwoliłoby myśleć o uprowadzeniu. Ani śladu kłótni, nikt w kamienicy nie słyszał krzyków czy wołania o pomoc. Jak to wytłumaczysz?

— Uprowadził ją, gdy spała.

Clemente zamierzał coś powiedzieć, ale Marcus go uprzedził:

— Pomóż mi znaleźć cukier.

Mimo iż Clemente nie rozumiał dokładnie, co Marcusowi chodzi po głowie, postanowił mu pomóc. W szafce wiszącej nad kuchenką znalazł

pojemnik z napisem SUGAR, podczas gdy Marcus sprawdzał cukierniczkę stojącą na środku stołu, obok filiżanek.

I cukierniczka, i pojemnik były puste.

Dwaj mężczyźni spoglądali na siebie przez dłuższą chwilę, wymieniając pozytywną energię. Brak cukru nie był przypadkowy. Marcus nie strzelał na chybił trafił. Miał przeczucie, które mogło potwierdzić wszystko.

— W cukrze najlepiej można podać narkotyki. Cukier maskuje jego smak i daje pewność, że ofiara przyjmie go w naturalny sposób.

— A Lara ostatnio ciągle była zmęczona, mówili o tym jej koledzy. — Clemente poczuł nagły przyływ nadziei. Ten szczegół zmieniał wszystko. Ale na razie nie mógł powiedzieć o tym Marcusowi.

— Działo się to stopniowo, nie było pośpiechu — ciągnął Marcus. — I to dowodzi, że ktoś, kto ją uprowadził, był tu wcześniej, nie tylko tej nocy. Zabierając ubrania i komórkę, zadbał, żeby zniknął również cukier, który zawierał narkotyki.

— Ale zapomniał o łańcuchu przy drzwiach — dodał Clemente. Ten szczegół przekreślał wszystkie teorie. — Którędy wszedł, a przede wszystkim którą oboje wyszli?

Marcus znów rozejrzył się po mieszkaniu.

— Gdzie jesteśmy? — Rzym to największe zamieszkane miejsce wykopalisk archeologicznych na świecie. Miasto rozwijało się warstwami, wystarczyło wkopać się na parę metrów w ziemię, aby natknąć się na ślady poprzednich epok i cywilizacji. Marcus dobrze wiedział, że także w tym, co znajdowało się na powierzchni, życie rozwarstwiło się z biegiem czasu. Każde miejsce kryło wiele historycznych śladów i mogło służyć więcej niż jednemu celowi. — Co to za miejsce? Nie mam na myśli obecnej chwili, ale tak w ogóle. Mówiłeś, że kamienica pochodzi z osiemnastego wieku.

— Była jednym z mieszkań markizów Costaldich.

— Tak. Arystokraci zajmowali wyższe piętra, natomiast tu były podwórzowe warsztaty, magazyny i stajnie. — Marcus dotknął szramy na lewej skroni. Nie mógł dociec, skąd pochodzi to wspomnienie. Jak się o tym dowiedział? Z jego pamięci znikło wiele informacji, inne wracały nieoczekiwanie, przynosząc także niemiłe pytanie: skąd się wzięły? W jego umyśle było miejsce, w którym tkwiły pewne rzeczy, ale pozostawały ukryte. Co jakiś czas wypływały na powierzchnię, przypominając mu o istnieniu tego mglistego zakątka i o tym, że nigdy do niego nie dotrze.

— Masz rację — przytaknął Clemente. — Kamienica pozostawała w tym stanie przez długi czas. Uniwersytet przejął ją za sprawą zapisu około dziesięciu lat temu i urządzono w niej mieszkania dla studentów.

Marcus pochylił się nad podłogą. Parkiet zrobiono z litego, nieobrobionego drewna. Deski były wąskie. Nie, nie tutaj, powiedział sobie w duchu. Nie zniechęcając się, ruszył do łazienki; Clemente poszedł za nim.

Marcus sięgnął po jedno z wiaderek schowanych w szafce na szczotki, postawił je pod prysznicem i napełnił do połowy wodą, następnie cofnął się o krok. Stojący za jego plecami Clemente nie domyślał się jeszcze, o co mu chodzi.

Marcus przechylił wiadro, wylewając wodę na podłogę z płytek. Kałuża powiększyła się pod ich stopami. Przyglądali się jej w napięciu.

Po kilku sekundach woda zaczęła znikać.

Wydawało się, że to jakaś sztuczka, dokładnie taka sama, jak z dziewczyną, która znika z mieszkania zamkniętego od wewnątrz. Tyle że tym razem istniało wytłumaczenie.

Woda przesączała się do podziemi.

Między płytkami zaczęły się tworzyć pęcherzyki powietrza, które ułożyły

się w końcu w kształt kwadratu. Jego boki miały około metra długości.

Marcus na czworakach przejechał czubkami palców po płytkach, starając się znaleźć szczelinę. Wydawało mu się, że ją wyczuł. Wstał, żeby rozejrzeć się za czymś, czym mógłby podważyć płytkę. Sięgnął na półkę po małe metalowe nożyczki. Wystarczyły, żeby unieść kwadrat z kafelków. Włożył w szparę palce i pociągnął, unosząc kamienną klapę.

— Zaczekaj, pomogę ci — powiedział Clemente.

Odsunęli ją na bok i odsłonili stare schodki z trawertynu, które prowadziły do podziemnego korytarza.

— Porywacz skorzystał z tego przejścia — uznał Marcus. — Zrobił to co najmniej dwa razy, kiedy wszedł, a potem wyszedł z Larą. — Wyjął małą latarkę, którą zawsze nosił przy sobie, zapalił ją i oświetlił otwór.

— Chcesz zejść na dół? — spytał Clemente.

Marcus odwrócił się do niego.

— A czy mam wybór?



Trzymając latarkę, Marcus zszedł po kamiennych schodkach. Dotarłszy na dół, uświadomił sobie, że znajduje się w tunelu, który biegnie pod domem. Nie wiadomo było, dokąd prowadzi.

— Wszystko dobrze? — spytał go Clemente, który został na górze.

— Tak — odparł krótko Marcus. Prawdopodobnie w XVIII wieku tunel służył jako droga ucieczki w razie zagrożenia. Pozostało mu tylko zaryzykować wyprawę w jednym lub drugim kierunku. Wybrał ten, z którego dochodził głuchy szum ulewnego deszczu. Przeszedł co najmniej pięćdziesiąt metrów, choć kilka razy poślizgnął się na mulistym podłożu. Koło jego kostek przebiegło kilka szcurów, muskając go ciepłymi i gładkimi

korpusami, po czym umknęły do swoich mrocznych kryjówek. Rozpoznał szum Tybru wezbranego po ulewnych deszczach oraz słodkawy zapach rzeki, podobny do zapachu zwierzęcia, które brało udział w szybkim wyścigu. Poszedł za wonią i wkrótce zobaczył masywną kratę, przez którą przeświecało szare światło dnia. Tędy nie można było przejść. Zawrócił więc, żeby spróbować w przeciwnym kierunku. Gdy tylko zaczął iść, zobaczył coś błyszczącego w mule pokrywającym dno.

Schylił się i podniósł złoty łańcuszek z krzyżykiem.

Przypomniał sobie, że widział go na szyi Lary na zdjęciu z rodzicami, które stało na szafce nocnej. Miał potwierdzenie, że jego domysły są słuszne.

Clemente się nie mylił — na tym właśnie polegał talent Marcusa.

Ten, podniecony odkryciem, nie zauważył przyjaciela, który tymczasem również zszedł na dół. Zdał sobie sprawę z jego obecności dopiero wtedy, gdy tamten stanął obok niego.

Marcus pokazał mu łańcuszek.

— Popatrz...

Clemente wziął go do ręki i przyjrzał mu się.

— Być może dziewczyna jeszcze żyje — powiedział Marcus, podbudowany tym odkryciem. — Mamy trop, możemy się dowiedzieć, kto ją porwał. — Zauważył jednak, że przyjaciel nie podziela jego optymizmu. Przeciwnie, wydawał się zakłopotany.

— To już wiemy. Potrzebowałem tylko potwierdzenia... I, niestety, mam je.

— O czym mówisz?

— O narkotyku w cukrze.

Marcus nie rozumiał, co Clemente ma na myśli.

— A więc w czym problem?

Clemente spojrział na niego z poważną miną.

— Być może nadszedł czas, żebyś poznał Jeremiaha Smitha.



## *Godzina 8.40*

Pierwsze, czego nauczyła się Sandra Vega, to to, że mieszkania nigdy nie kłamią.

Mówiący o sobie ludzie, potrafią budować piętrowe opowieści, w które w końcu sami zaczynają wierzyć. Ale miejsce, w którym żyją, nieuchronnie wyjawia wszystkie ich tajemnice.

W związku ze swoją pracą Sandra odwiedziła wiele mieszkań. Za każdym razem, gdy przekraczała próg, wydawało się jej, że powinna poprosić o pozwolenie. Jednak aby zrobić to, co miała do zrobienia, nie potrzebowała nawet naciskać dzwonka.

Gdy wiele lat przed podjęciem pracy zawodowej jechała nocą pociągiem, przyglądała się oświetlonym oknom domów, zadając sobie pytanie, co się za nimi dzieje. Jakie życie się tam toczy, jakie wydarzenia się tam rozgrywają? Co jakiś czas udawało jej się coś dojrzeć: kobieta prasowała, oglądając telewizję, mężczyzna w fotelu próbował puścić kółko z dymu papierosowego, dziecko stało na krześle i myszkowało w kredensie. Krótkie kadry z filmu oglądanego z okna, przy którym siedziała. A potem pociąg zostawiał je za sobą. Ludzie znikali, nieświadomi, że ktoś ich podglądał.

Zawsze starała się wyobrazić sobie, że pozostając niewidzialna, będzie przechadzała się wśród przedmiotów stanowiących największy skarb tych ludzi, że będzie ich obserwowała przy najbardziej banalnych zajęciach, jakby byli rybkami w akwarium.

I za każdym razem, gdy przeprowadzała się do nowego mieszkania,

zadawała sobie pytanie, co się wydarzyło w tych murach przed jej przybyciem. Jakie radości, kłótnie i smutki były udziałem poprzednich mieszkańców?

Czasami myślała o dramatach lub o straszliwych wypadkach, które pozostały tajemnicą tych miejsc. Na szczęście mieszkania i domy prędko zapominają. Zmieniają się lokatorzy i wszystko zaczyna się od początku.

Jednak ci, którzy odchodzą, zostawiają czasami ślady swojej bytności. Zapomniana szminka w szafce w łazience. Stare czasopismo na stoliku. Buty w schowku. Kartka z numerem telefonu wydziału policji ścigającego gwałcicieli ukryta w głębi szuflady.

W niektórych przypadkach, oglądając te drobne znaki, można prześledzić czyjeś życie.

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że właśnie poszukiwanie tych szczegółów stanie się jej zawodem. Była jednak pewna różnica: gdy zjawiała się w takim miejscu, ono już na zawsze pozbawione było niewinności.

Sandra została zatrudniona w policji w wyniku konkursu i przeszła standardowe przeszkolenie. Nosila służbową broń i umiała z niej korzystać. Jednak jej mundurem był biały fartuch, w który wyposażyła ją sekcja naukowa. Po ukończeniu specjalistycznego kursu poprosiła o przydzielenie do zespołu dokumentacji fotograficznej.

Zjawiała się na miejscu zbrodni z aparatami fotograficznymi tylko po to, by zatrzymać czas. W błysku flesza wszystko ulegało zamrożeniu. Od tej chwili to, co znalazło się w obiektywie aparatu, nie mogło się zmienić.

Drugą nauką, jaką pobrała Sandra Vega, było to, że mieszkania i domy także umierają, podobnie jak ich mieszkańcy.

Los wyznaczył jej zadanie polegające na uczestniczeniu w ostatnich chwilach ich życia, gdy lokatorzy już się wynieśli, aby nigdy nie wrócić.

Sygnalami tego powolnego zamierania były niezasałane łóżka, talerze w zlewozmywaku, skarpetka na podłodze. Jakby lokatorzy uciekli przed nagłym końcem świata, podczas gdy tak naprawdę koniec świata nastąpił właśnie w tych czterech ścianach.

Ledwie Sandra przekroczyła próg mieszkania na czwartym piętrze dużego bloku mieszkalnego na przedmieściach Mediolanu, zdała sobie sprawę, że czeka na nią miejsce zbrodni, którego nie zapomni. Najpierw zobaczyła ubraną choinkę, choć do Bożego Narodzenia było jeszcze bardzo daleko. Instynktownie zrozumiała powód. Jej siostra, gdy miała pięć lat, nie pozwoliła rodzicom zdjąć świecidełek tuż po świętach. Płakała i wrzeszczała przez całe popołudnie, aż w końcu rodzice ustąpili z nadzieją, że prędzej czy później o tym zapomni. Jednak plastikowa choinka z lampkami i kolorowymi bombkami stała w kącie przez całe następne lato i jesień. Dlatego Sandra poczuła ucisk w żołądku.

Domyśliła się od razu, że w tym mieszkaniu było dziecko.

Wyczuwała jego obecność także w powietrzu, gdyż trzecią rzeczą, której się nauczyła, było to, że domy i mieszkania mają swój zapach. Zależy on od ludzi w nich mieszkających i zawsze jest jedyny w swoim rodzaju. Gdy lokatorzy się zmieniają, stary zapach znika, ustępując nowemu, a ten tworzy się z biegiem czasu, sumując różne wonie pochodzenia chemicznego lub naturalnego — proszku do prania i kawy, szkolnych książek i roślin doniczkowych, płynów do mycia podłóg i kapuśniaku — aby stać się zapachem należącym do rodziny i osób, które noszą go na sobie, nawet go nie czując.

Tak więc w tej chwili jedynie zapach odróżniał mieszkanie, do którego weszła, od mieszkań innych rodzin utrzymujących się tylko z pensji matki lub ojca. Trzy pokoje z kuchnią. Meble kupione w różnych okresach, w miarę

możliwości. Oprawione w ramki zdjęcia, na których uwieczniano przede wszystkim letnie urlopy, jedyne, na jakie rodzina mogła sobie pozwolić. Pled na kanapie przed telewizorem: to tu, ściśnięci obok siebie, chronili się co wieczór, żeby oglądać różne programy, dopóki nie zmorzył ich sen.

Sandra katalogowała w myśli te obrazy. Nie było wśród nich zapowiedzi tego, co się wydarzyło. Nikt na ich podstawie nie potrafiłby tego wywnioskować.

Po pokojach, jak nieproszeni goście, kręcili się policjanci, gwałcąc swoją prostacką obecnością wszelką intymność. Ale Sandra już dawno pozbyła się uczucia, że w takich sytuacjach jest intruzem.

Na miejscu zbrodni na ogół nikt się nie odzywał. Także horror ma swoje kodeksy. W tej milczącej choreografii słowa były zbędne, ponieważ każdy dokładnie wiedział, co ma robić.

Zawsze jednak zdarzały się wyjątki. Jednym z nich był Fabio Sergi, policyjny technik, który mamrotał w jakimś kącie mieszkania:

— Kurwa, to niemożliwe!

Sandra poszła za jego głosem, który dobiegał z małej łazienki bez okien.

— O co chodzi? — spytała, stawiając na podłodze w korytarzu dwie torby z aparatami. Założyła na buty plastikowe ochraniacze.

— Chodzi o to, że mamy piękny dzień — odparł złośliwym tonem Sergi, nie patrząc na nią. Zabierał się do wymierzenia paru energicznych klapsów przenośnemu piecykowi na gaz. — To przeklęte pudło nie działa!

— Nie chcesz chyba wysadzić nas wszystkich w powietrze, prawda?

Rzucił jej wściekłe spojrzenie. Sandra nie powiedziała więcej ani słowa, bo kolega był zbyt nerwowy. Spojrzała na zwłoki mężczyzny, które wypełniały przestrzeń między drzwiami i sedesem. Leżał na brzuchu zupełnie nagi. Czterdzieści lat, pomyślała. Waga około dziewięćdziesięciu

kilogramów, metr osiemdziesiąt wzrostu. Jego głowa była wykręcona pod nienaturalnym kątem, a przez czaszkę biegło ukośne rozcięcie. Krew rozlała się w ciemną kałużę na białych i czarnych płytkach podłogowych.

W rękach ścisnął pistolet.

Obok niego leżał kawałek umywalki, która roztrzaskała się przypuszczalnie w chwili, gdy się na nią osunął.

— Do czego potrzebny ci gazowy grzejnik? — chciała wiedzieć Sandra.

— Muszę odtworzyć tę scenę: facet brał prysznic i przeniósł go tutaj, żeby ogrzać łazienkę. Niedługo odkręcę też wodę, więc pospiesz się z rozstawianiem swoich kłopotów — odparł nieuprzejmie.

Sandra domyśliła się, co Sergi ma na myśli — para ukaże ślady stóp na posadzce, dzięki czemu będą mogli odtworzyć dynamikę przemieszczania się ofiary w pomieszczeniu.

— Potrzebuję śrubokręta — rzucił wściekle Sergi. — Zaraz wracam. A ty staraj się chodzić tuż przy ścianach.

Nie odpowiedziała, była przyzwyczajona do takich poleceń. Specjaliści od odcisków palców i innych śladów uważali, że tylko oni potrafią zachować miejsce zbrodni w nienaruszonym stanie. Poza tym miała dwadzieścia dziewięć lat i była kobietą obracającą się wśród mężczyzn. Protekcyjność kolegów często maskowała uprzedzenia płciowe. Z Sergim było nawet gorzej, bo jak dotąd się nie zaprzyjaźnili i nie lubiła z nim pracować.

Skorzystała z nieobecności kolegi, żeby wyjąć z toreb lustrzaną i statyw. Założyła na czubki jego nóżek końcówki z gąbki, żeby nie zostawiły śladów, a potem zamontowała na nim aparat, kierując obiektyw do góry. Przetarłszy go gazą zwilżoną amoniakiem, żeby nie zachodził parą, podłączyła do niego panoramiczny wizjer single shot, który umożliwiał robienie w pomieszczeniach zdjęć obejmujących trzysta sześćdziesiąt stopni.

Podstawową zasadą było: od widoku ogólnego do szczegółów.

Aparat potrafił objąć całe miejsce zdarzenia, robiąc automatyczne ujęcia, a potem Sandra uzupełniała rekonstrukcję zdarzeń, wykonując ręcznie coraz bardziej szczegółowe ujęcia. Każde zdjęcie oznaczała numerowanym kartonikiem o standardowych wymiarach, żeby zachować chronologiczny porządek i umożliwić oglądanie wszystkiego we właściwej kolejności.

Gdy tylko ustawiła aparat na środku łazienki, zauważyła stojące na półce akwarium z dwoma maleńkimi żółwiami. Coś ścisnęło ją za serce. Pomyślała o osobie, która w tej rodzinie zajmowała się nimi, upiększyła ich „mieszkanie” kamykami i plastikową palmą, żywiła je pokarmem z pudełka stojącego obok i zmieniała im co jakiś czas wodę.

To nie był dorosły, powiedziała sobie w duchu.

W tym momencie wrócił Sergi ze śrubokrętem i zaczął majstrować przy przenośnym piecyku. Po kilku sekundach udało mu się go uruchomić.

— Wiedziałem, że w końcu będę górą — ucieszył się.

Łazienka była mała, a zwłoki zajmowały prawie całą podłogę. Ledwie się w niej mieścili. Trudno będzie pracować w tych warunkach, pomyślała Sandra.

— Jak mamy się tu poruszać? — spytała.

— Ja uruchomię saunę tu w środku. — Sergi odkręcił na maksimum kran prysznicza z gorącą wodą i dodał, jakby chciał się jej na jakiś czas pozbyć: — A tymczasem ty możesz zacząć od kuchni. Mamy tam bliźniaczkę...

Miejsca zbrodni dzieli się na główne i poboczne, żeby odróżnić te, w których doszło do jakiegoś zbrodniczego wydarzenia, od tych, które mają z nimi tylko pewien związek, na przykład ukryto w nich zwłoki albo została w nich odnaleziona broń użyta do popełnienia zbrodni.

Usłyszawszy, że w tym mieszkaniu jest bliźniaczka, Sandra domyśliła

się, że Sergi mówi o drugim miejscu głównym. Mogło to oznaczać tylko jedno: inne ofiary. Jej myśli znowu pobiegły ku żółwikom i bożonarodzeniowej choince.



Stanąwszy w drzwiach do kuchni, znieruchomiała. Aby nie stracić panowania nad sobą w takich sytuacjach, starała się ściśle trzymać instrukcji dla policjantów zajmujących się dokumentacją fotograficzną. Reguł, które miały na celu uporządkowanie chaosu. A przynajmniej potrzebowała tego rodzaju złudzenia. I przekonywała samą siebie, że to pomaga.

Lew Simba mrugnął do niej, a potem zaczął śpiewać wraz z innymi mieszkańcami puszczy. Chciała wyłączyć telewizor, ale nie mogła.

Postanowiła się tym nie przejmować i przypięła do paska magnetofon, by nagrać słowny opis całej procedury. Kasztanowe włosy związała elastyczną tasiemką, którą nosiła na nadgarstku, po czym założyła na głowę mikrofon na zakrzywionym uchwycie, żeby mieć wolne ręce i móc posługiwać się drugą lustrzanką, którą wyjęła z torby. Aparat fotograficzny pozwalał jej zachować bezpieczny dystans między sobą a fotografowanym obiektem.

Dokumentowanie fotograficzne przeprowadzano na ogół od prawej do lewej oraz od dołu do góry.

Rzuciła okiem na zegarek, a potem włączyła nagrywanie. Najpierw wymieniła swoje dane, następnie miejsce, datę i godzinę rozpoczęcia procedury. Zaczęła robić zdjęcia, opisując jednocześnie to, co oglądała.

— Stół stoi na środku pomieszczenia. Jest nakryty do posiłku. Jedno z krzeseł jest przewrócone, a obok niego leży pierwsze ciało: kobieta, wiek od trzydziestu do czterdziestu lat.

Ofiara miała na sobie jasną koszulę nocną, która podwinęła się do bioder,

odsłaniając bezwstydnie jej nogi i krocze. Włosy kobiety były niedbale spięte spinką w kształcie kwiatka. Zgubiła jeden kapeć.

— Liczne rany postrzałowe. W jednej ręce ściska kartkę.

Przygotowywała listę zakupów. Długopis leżał na stole.

— Zwłoki zwrócone są w kierunku drzwi: musiała dostrzec wchodzącego mordercę i próbowała go zatrzymać. Wstała od stołu, ale zrobiła tylko jeden krok.

Pstrykanie flesza wyznaczało nowe, inne tempo. Sandra skupiła się na tych odgłosach niczym muzyk, który pozwala, żeby kierował nim metronom. A jednocześnie chłoneła wszystkie szczegóły scenerii, w miarę jak utrwały się w cyfrowej pamięci aparatu i w jej własnej.

— Drugie ciało płci męskiej, wiek w przybliżeniu od dziesięciu do dwunastu lat, siedzi plecami do drzwi.

Chłopiec nie zauważył nawet, co się dzieje, ale Sandra była zdania, że myśl o nieświadomości nadchodzącej śmierci jest pociechą tylko dla żywych.

— Ma na sobie niebieską piżamę, pochylony nad stołem, twarz zanurzona w miseczce płatków kukurydzianych, głęboka rana postrzałowa karku.

Sandra nie widziała jednak śmierci w dwóch ciałach poszarpanych pociskami ani w rozbryzganej naokoło krwi, która powoli schła na podłodze. Nie było jej w szklistych oczach umarłych, które patrzyły, niczego nie widząc, ani w niedokończonych gestach, jakimi ofiary pożegnały się ze światem. Była gdzie indziej. Sandra nauczyła się już, że główny talent śmierci polega na tym, iż potrafi ona ukryć się w szczegółach. I właśnie w nich jej szukała, patrząc przez obiektyw aparatu. W pokrywającej kuchenkę skorupie z kawy, która wylała się ze starego ekspresu, ponieważ wrzała, dopóki ktoś nie zgasił gazu. W mruczeniu lodówki, która niewzruszenie



dbała o świeżość przechowywanego w niej jedzenia. We włączonym telewizorze, który pokazywał wesołe animowane obrazki. Po tej rzezi nadal toczyło się nikomu niepotrzebne nieprawdziwe życie. Śmierć kryła się właśnie w tym kłamstwie.

— Nieźle rozpoczęli dzionek, no nie?

Sandra odwróciła się, wyłączając magnetofon.

Na progu stał ze skrzyżowanymi na piersi rękami inspektor De Michelis, z jego ust zwisał zgaszony papieros.

— Mężczyzna, którego widziałś w łazience, pracował jako prywatny ochroniarz w spółce zajmującej się przewożeniem wartościowych przesyłek. Miał pistolet, legalnie. Żyli z jednej pensji, mieli do spłacenia pożyczkę, raty za samochód, niewielkie problemy z dotraniem do końca miesiąca. Ale kto ich nie ma?

— Dlaczego to zrobił?

— Przesłuchujemy sąsiadów. Mąż często kłócił się z żoną, jednak nigdy nie tak ostro, żeby trzeba było wzywać policję.

— W rodzinie były spięcia?

— Wydaje się, że tak. On uprawiał boks tajski, był lokalnym mistrzem, ale przestał po dyskwalifikacji za stosowanie anaboliów.

— Bił ją?

— O tym poinformuje nas lekarz sądowy. Ale był bardzo zazdrosny.

Sandra spojrzała na kobietę leżącą na podłodze, nagą od pasa w dół. Nie można być zazdrosnym o zwłoki, pomyślała.

— Przypuszczacie, że kogoś miała?

— Być może, kto to wie. — De Michelis wzruszył ramionami, a potem zmienił temat: — Na jakim etapie jesteście z łazienką?

— Ustawiłam tam pierwszą lustrzaną, już robi zdjęcia panoramiczne.

Czekam, aż skończy albo aż Sergi mnie zawoła.

— Nie odbyło się to tak, jak się wydaje...

Sandra spojrzała uważnie na De Michelisa.

— Co to znaczy?

— Ten gość nie strzelił do siebie. Policzyliśmy łuski pocisków i wszystkie są w kuchni.

— W takim razie co tu się stało?

De Michelis zrobił krok w głąb pomieszczenia, wyjmując papierosa z ust.

— Brał prysznic. Wszedł nagi z łazienki, wziął pistolet, który znajdował się w przedpokoju, wsunięty do kabury obok uniformu, wszedł do kuchni i, stojąc mniej więcej tam, gdzie teraz jesteś, strzelił do syna. Strzał w kark, z bardzo bliskiej odległości. — Inspektor pokazał to ruchem ręki. — A potem opróżnił magazynek, strzelając do żony. Wszystko trwało kilka sekund. Wrócił do łazienki, ale posadzka była śliska. Poślizgnął się i upadając, uderzył głową o umywalkę tak mocno, że ją roztrzaskał — wyjaśnił inspektor, a potem dodał zjadliwie: — Czasami Pan Bóg okazuje wielkość poprzez drobne akty zemsty.

Pan Bóg nie ma z tym nic wspólnego, pomyślała Sandra, przyglądając się chłopcu. A tego ranka zajęty był gdzie indziej.

— Dwadzieścia po siódmej było po wszystkim — zakończył inspektor.



Wróciła do łazienki mocno zakłopotana. Ostatnie słowa De Michelisa nią wstrząsnęły. Gdy otworzyła drzwi, owionęła ją buchająca z wnętrza para. Sergi zakręcił już oba krany prysznic i klęczał przed walizką z odczynnikami.

— Czarne jagody, problem zawsze stanowią jagody... — mamrotał.

Sandra nie miała pojęcia, o czym mówi. Wydawał się spięty, więc postanowiła o nic nie pytać, obawiając się jego reakcji. Sprawdziła, czy lustrzanka zrobiła już zdjęcia, i zdjęła ją ze statywu.

Przed wyjściem odwróciła się do kolegi.

— Zmieniam kartę pamięci i zabieramy się do szczegółów. — Rozejrzała się. — Nie ma tu okien, a sztuczne oświetlenie nie wystarczy. Chyba będziemy potrzebowali paru lamp o małej mocy, co o tym myślisz?

Sergi spojrzał na nią.

— Myślę, że co jakiś czas dałbym się chętnie przelecieć któremuś z tych samców na motocyklach, jak kurewka. Tak, to by było w sam raz.

Wulgarność Sergiego wprowadziła ją w zakłopotanie. Jeśli miał to być żart, to go nie rozumiała. Ale sposób, w jaki wlepił w nią oczy, świadczył o tym, że nie chciał jej rozśmieszyć. Po chwili wrócił jakby nigdy nic do swoich odczynników i Sandra wyszła na korytarz.

Próbowała zapomnieć o bredniach kolegi i zabrała się do oglądania zdjęć na wyświetlaczu lustrzanki. Panoramiczne zdjęcia łazienki wyszły dobrze, aparat zrobił ich sześć w trzyminutowych odstępach. Para uwidoczniała ślady gołych stóp mordercy, ale były zamazane. W pierwszej chwili Sandra pomyślała, że w tym pomieszczeniu doszło do kłótni między nim i żoną, ale w takim razie powinny znajdować się tu także ślady pozostawione przez kaptcie kobiety.

Ominęła jedną z reguł postępowania: szukała wytłumaczenia. Mimo absurdalności tej masakry powinna w sposób obiektywny rejestrować fakty, a nie zastanawiać się nad przyczyną zdarzeń. Jej obowiązkiem było zachowanie bezstronności.

Jednak w ciągu ostatnich pięciu miesięcy przychodziło jej to z trudem.

Zgodnie z zasadą „od ujęć ogólnych do szczegółów” Sandra zaczęła

utrwałać kolejne elementy sceny, którą miała przed oczami, szukając w tym wszystkim sensu.

Na wyświetlaczu: maszynka do golenia na półce pod lustrem. Gąbka w kształcie Kubusia Puchatka. Suszące się rajstopy. Codzienne sprawy, drobne przyzwyczajenia rodziny, takiej jak wiele innych. Nieszkodliwe przedmioty, które były świadkami czegoś przerażającego.

One nie są nieme, pomyślała Sandra. Przedmioty mówią do nas z głębi swojego milczenia, wystarczy umieć się w nie wsłuchać.

Oglądając przelatujące prędko zdjęcia, Sandra zadawała sobie pytanie, co wyzwała taką brutalność. Wcześniejsze zakłopotanie zamieniło się w złe samopoczucie, zaczął jej dokuczać dziwny ból głowy. Na chwilę jej oczy zaszyły mgłą. Chciała zrozumieć, dlaczego doszło do tej domowej apokalipsy.

Rodzina budzi się przed siódmą. Kobieta wstaje z łóżka i idzie przygotować śniadanie dla syna. Mężczyzna pierwszy korzysta z łazienki, musi odwieźć chłopca do szkoły, a potem iść do pracy. Jest zimno, zabiera do łazienki gazowy grzejnik.

Co się stało, kiedy stał pod prysznicem?

Szumi woda, jego wściekłość narasta. Może przez całą noc nie zmrużył oka? — zastanawiała się Sandra. Coś go niepokoiło. Jakaś myśl, jakaś obsesja. Zazdrość? Odkrył, że żona ma kochanka? De Michelis powiedział, że często się kłócili.

Ale tego ranka nie było kłótni. A więc?

Mężczyzna wychodzi spod prysznic, bierze pistolet i kieruje się do kuchni. Przed oddaniem strzałów nie zamienia z żoną ani słowa. Co rozsypało się w jego głowie? Ból nie do wytrzymania, dręczący niepokój, paniczny strach — objawy, które zwykle poprzedzają napad szału.

Na wyświetlaczu: trzy płaszcze kąpielowe wiszące jeden przy drugim. Od

największego do najmniejszego. Blisko siebie. Ze szklanki wystają trzy szczoteczki do zębów. Sandra starała się znaleźć jakieś drobne pęknięcie w tym sielankowym obrazku. Cieniutką rysę, która dała początek załamaniu.

„Dwadzieścia po siódmej było po wszystkim”, powiedział inspektor. O tej godzinie sąsiedzi słyszą strzały i wzywają policję. Branie prysznic mogło trwać najwyżej kwadrans. Kwadrans, który zdecydował o wszystkim.

Na wyświetlaczu: małe akwarium z dwoma żółwiami. Pudełko z karmą. Plastikowa palma. Kamyki.

Żółwie, powtórzyła w duchu Sandra.

Obejrzała wszystkie zdjęcia panoramiczne, za każdym razem skupiając się na tym szczególe. Zdjęcia robione co trzy minuty, w sumie cztery ujęcia: Sergi odkręcił do maksimum gorącą wodę, w powietrzu unosiła się para... a mimo to żółwie się nie poruszyły.

Przedmioty mówią. Śmierć kryje się w szczegółach.

Wzrok Sandry znowu się zamglił, przez moment bała się, że zemdleje. Zobaczyła nadchodzącego De Michelisa.

— Źle się czujesz?

W tym momencie Sandra zrozumiała wszystko:

— Gazowy grzejnik.

— Słucham? — De Michelis nie zrozumiał, o co jej chodzi.

Nie miała czasu na wyjaśnienia.

— Sergi. Musimy natychmiast go stamtąd zabrać.



Pod blokiem parkowały wóz strażacki i karetka, która przyjechała po Sergiego. Gdy weszli do łazienki, technik był nieprzytomny. Na szczęście dla niego — zdążyli. Na chodniku przed budynkiem Sandra pokazała De

Michelisowi zdjęcie, na którym było akwarium z martwymi żółwiami. Próbowała odtworzyć kolejność zdarzeń.

— Kiedy tu dotarliśmy, Sergi próbował uruchomić gazowy grzejnik.

— Ten idiota był o krok od śmierci. Nie ma tam okien, a strażacy powiedzieli, że w łazience było mnóstwo tlenku węgla.

— Sergi po prostu odtwarzał stan, w jakim znajdowało się to pomieszczenie, więc wystarczy pomyśleć: to samo działo się rankiem, kiedy ten gość brał prysznic.

De Michelis ściągnął brwi.

— Wybacz, ale nie rozumiem.

— Tlenek węgla to gaz, produkt spalania. Jest bezbarwny i bezwonny.

— Wiem, co to jest... ale czy odpala też pistolety? — zażartował inspektor.

— Wiesz, jakie są objawy zatrucia tlenkiem węgla? Ból i zawroty głowy, a w niektórych przypadkach także halucynacje i paranoja... Przez pewien czas Sergi był wystawiony na działanie tego gazu w zamkniętej łazience, a potem zaczął bredzić. Mówił coś o czarnych jagodach, wygadywał jakieś świństwa.

De Michelis zrobił dziwną minę — ta historia wyraźnie mu się nie podobała.

— Posłuchaj, Sandro, wiem, dokąd zmierza twoje rozumowanie, ale to się nie trzyma kupy.

— Ten gość też zamknął się w łazience, zanim zabrał się do strzelania.

— Tego nie da się udowodnić.

— Ale wyjaśnia sprawę! Przyznaj przynajmniej, że mogło się to odbyć w taki sposób: facet wdychał tlenek węgla, dostał halucynacji i dopadł go atak paranoi. Nie zemdlął od razu, jak to się stało z Sergim, ale wyskoczył nagi z

łazienki, chwycił pistolet i strzelił do żony i syna. A potem wrócił do łazienki i dopiero w tym momencie brak tlenu spowodował, że zemdlał i upadł, uderzając głową o umywalkę.

De Michelis skrzyżował ręce na piersi. Jego zachowanie irytowało Sandrę, wiedziała jednak dobrze, że inspektor nie może przyjąć tak śmiałej tezy. Znała go od lat i była przekonana, że i jemu byłoby wygodnie sądzić, że te absurdalne zabójstwa są wynikiem okoliczności niezależnych od woli mordercy. Mimo wszystko miał rację — brakowało oczywistych dowodów.

— Powiem o tym lekarzowi sądowemu, przeprowadzą badania toksykologiczne.

Lepsze to niż nic, pomyślała Sandra. De Michelis był skrupulatnym, dobrym policjantem, lubiła z nim pracować. Uwielbiał sztukę i w jej oczach była to oznaka wrażliwości. O ile było jej wiadomo, nie miał dzieci i planował urlopy z żoną pod kątem zwiedzania muzeów. Utrzymywał, że wszystkie arcydzieła zawierają mnóstwo ukrytych znaczeń, a zadaniem miłośników sztuki jest ich odnajdywanie. Dlatego nie był policjantem w rodzaju tych, którzy zadowolają się pierwszym wrażeniem.

— Czasami chcielibyśmy, żeby rzeczywistość wyglądała inaczej. A że nie możemy niczego zmienić, staramy się wyjaśniać sprawy na swój sposób. Ale nie zawsze się to udaje.

— Tak — odparła Sandra, nagle zła na siebie. Te słowa odnosiły się do niej, ale nie mogła tego przyznać. Zaczęła zbierać się do odejścia.

— Zaczekaj, chciałem ci powiedzieć... — De Michelis przeczesał palcami siwe włosy, szukając właściwych słów. — Przykro mi z powodu tego, co ci się przydarzyło. Wiem, że minęło już sześć miesięcy...

— Pięc — poprawiła go Sandra.

— Tak, ale mimo wszystko powinienem był zrobić to wcześniej, tyle

że...

— Nie przejmuj się tym. — Zmusiła się do uśmiechu. — Dziękuję, to wystarczy.

Odwróciła się i ruszyła do auta. Szła szybkim krokiem, czując dziwny ucisk w piersi, dręczący niepokój, ale także wściekłość zmieszana z bólem. Zupełnie jakby gdzieś w środku przylepiła się kulka gumy do żucia. Nazwała to „sprawą”.

Nie chciała się do tego przyznać, ale od pięciu miesięcy „sprawa” zastąpiła jej serce.



## *Godzina 11.40*

Deszcz znowu zaczął lać ze wściekłym uporem. W odróżnieniu od spotykanych po drodze osób Marcus i Clemente przemierzali alejki na terenie wielkiej uniwersyteckiej polikliniki niespiesznym krokiem. Klinika Gemelli była najważniejszym szpitalem w mieście.

— Policja pilnuje głównego wejścia — zauważył Clemente. — Musimy też ominąć kamery ochrony.

To rzekłszy, skręcił w lewo i poprowadził Marcusa w kierunku białego budynku. Pod zadaszeniem znajdowały się tu pojemniki z proszkiem do prania i wózki pełne brudnych prześcieradeł. Żelazne schodki prowadziły do służbowego wejścia dla obsługi. Było otwarte, więc bez trudu wślizgnęli się do magazynu pralni. Windą towarową dostali się na parter i znaleźli w wąskim korytarzu zamkniętymi drzwiami bezpieczeństwa. Przed wejściem konieczne było włożenie sterylnych fartuchów, masek i ochraniaczy na buty, które wzięli ze stojącego tam wózka. Następnie Clemente wręczył Marcusowi kartę magnetyczną. Mając na szyi takie karty, mogli być spokojni, że nikt nie będzie ich o nic pytał. Jedną z kart otworzyli zamek elektroniczny i znaleźli się w środku.

Przed nimi ciągnął się długi korytarz z niebieskimi ścianami. W powietrzu unosił się zapach spirytusu salicylowego i środków do mycia podłóg.

W odróżnieniu od innych części szpitala na oddziale intensywnej terapii panowała cisza. Nie było ustawicznej bieganiny lekarzy i pielęgniarek,

personel poruszał się korytarzami bez pośpiechu, starając się nie robić hałasu. Jedynym odgłosem było mruczenie aparatury, od której zależało życie pacjentów.

Mimo to w tym spokojnym miejscu toczyła się zacięta walka ze śmiercią. Gdy jeden z walczących padał, nie towarzyszyły temu hałasy ani krzyki. Nie włączano alarmu; do poinformowania, że wszelkie funkcje życiowe ustały, wystarczało czerwone światło w dyżurce.

Na innych oddziałach ratowanie życia pacjentów było walką z czasem. Tu czas płynął inaczej. Rozciągał się tak, że wydawało się, iż nie istnieje. Pracownicy oddziału określali go słowem „granica”.

— Niektórzy decydują się ją przekroczyć, inni wolą zawrócić — powiedział Clemente, wyjaśniając Marcusowi, skąd wzięło się to określenie.

Znaleźli się przed szybą oddzielającą korytarz od jednej z sal reanimacyjnych. W środku stało sześć łóżek.

Tylko jedno było zajęte.

Leżał na nim mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, podłączony do respiratora. Patrząc na niego, Marcus pomyślał o sobie, o tym, jak przyjaciel znalazł go na podobnym łóżku, gdy walczył o życie, zbliżając się do granicy, za którą gaśnie wszelkie światło.

Postanowił wtedy zostać po tej stronie.

Clemente wskazał salę za szybą.

— Zeszłej nocy do willi za miastem pojechała karetka wysłana tam z powodu podejrzenia zawału serca. Mężczyzna, który wybrał numer pogotowia, miał w domu kilka przedmiotów: wstążkę do włosów, bransoletkę z koralu, różowy szalik i łyżworolkę, należące do ofiar niezidentyfikowanego dotąd seryjnego mordercy. Nazywa się Jeremiaś Smith.

Jeremiah, takie spokojne imię, pomyślał Marcus. Nie pasuje do seryjnego mordercy.

Clemente wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza złożoną kartonową teczkę, na której widniała tylko sygnatura: c.g. 97-95-6.

— Cztery ofiary w ciągu sześciu lat. Zarżnięte. Wszystkie płci żeńskiej, w wieku od siedemnastu do dwudziestu ośmiu lat.

Podczas gdy Clemente wymieniał te suche bezosobowe dane, Marcus skupił się na twarzy mężczyzny. Nie wolno mu było dać się zwieść pozorom: leżące przed nim ciało było tylko przebraniem, sposobem, aby pozostać niezauważonym.

— Lekarze mówią o śpiączce — odezwał się Clemente, jakby czytał w jego myślach. — Załoga karetki, która udzielała mu pomocy, zaintubowała go, w związku...

— Co takiego?

— Dziwnym zrządzeniem losu razem z sanitariuszem była tam siostra pierwszej ofiary. Ma dwadzieścia siedem lat, jest lekarką.

Marcus wyglądał na zaskoczonego.

— I wie, komu uratowała życie?

— To ona zwróciła uwagę na łyżworolkę, która należała do jej siostry bliźniaczki zamordowanej sześć lat temu. W każdym razie nie była to rutynowa interwencja także z innego powodu... — Clemente wyjął z teczki zdjęcie i pokazał je Marcusowi. Przedstawiało klatkę piersiową mężczyzny, na której widać było napis „Zabij mnie”. — Chodził z tym tatuażem po mieście, między ludźmi.

— To symbol jego podwójnej natury — uznał Marcus. — Jakby chciał nam powiedzieć, że zazwyczaj oceniamy ludzi na podstawie tego, jak są ubrani. Gdy prawda wypisana jest na skórze, znajduje się w zasięgu każdego,

ukryta, choć tak bliska, ale nikt jej nie dostrzega. Jeremiaś Smith niczym się nie przejmował, ludzie ocierali się o niego, nie zdając sobie sprawy z zagrożenia. Nikt nie dostrzegał w nim człowieka, jakim był naprawdę.

— Ale w tych słowach zamknięte jest wyzwanie: zabij mnie, jeżeli ci się uda.

Marcus odwrócił się do Clemente.

— A na czym to wyzwanie polega?

— Chodzi o Larę.

— Kto może nas zapewnić, że ona jeszcze żyje?

— Inne utrzymywał przy życiu przez co najmniej miesiąc i dopiero potem je znajdowano.

— Skąd wiemy, że to on ją uprowadził?

— Cukier. Innym dziewczętom także podał narkotyk. Wszystkie porwał w taki sam sposób. Podchodził do nich w biały dzień, proponując coś do picia. W napojach zawsze było GHB, lepiej znane jako rufis, czyli pigułka gwałtu. To narkotyk, który działa otępiająco i w większych dawkach powoduje utratę świadomości. Policyjni technicy znaleźli ślady narkotyku w plastikowej szklance zostawionej w miejscu, w którym Jeremiaś spotkał pierwszą ofiarę, a potem w buteleczce znalezionej przy okazji trzeciego uprowadzenia. To jego podpis, coś w rodzaju parafki z zawijaszem.

— Pigułka gwałtu — powtórzył Marcus. — A więc motyw seksualny?

Clemente pokręcił głową.

— Żadnych gwałtów, żadnych śladów torturowania na ciałach ofiar. Wiązał je, utrzymywał przy życiu i miesiąc później zarzynał.

— Ale Larę uprowadził z mieszkania — zauważył Marcus. — Jak to wytłumaczyć?

— Niektórzy seryjni mordercy doskonalą swój *modus operandi*, w miarę

jak rozwija się ich sadystyczna fantazja, która karmi ich instynkty. Co pewien czas dodają jakiś szczegół, coś, co zwiększa przyjemność, jaką z tego mają. Stają się zawodowymi mordercami, więc udoskonalają swoje metody.

Wyjaśnienia Clemente były logiczne, ale nie przekonały Marcusa.

— Powiedz mi coś o willi Jeremiaha Smitha — poprosił.

— Policjanci ciągle ją przeszukują, dlatego na razie nie możemy tam pojechać. Ale, jak się wydaje, nie zawoził tam ofiar. Miał jakieś inne miejsce. Jeśli je znajdziemy, znajdziemy też Larę.

— Ale policja jej nie szuka.

— Może w tym domu jest coś, co każe im o niej pomyśleć?

— Nie powinniśmy skierować ich na właściwy trop?

— Nie.

— Dlaczego? — zdziwił się Marcus.

— My nie działamy w ten sposób — odrzekł stanowczo Clemente.

— Lara miałaby większe szanse na uratowanie.

— Ale policjanci mogliby ci przeszkadzać, a ty musisz mieć swobodę działania.

— Co mam rozumieć przez tę swobodę działania? — zaprotestował Marcus. — Na razie nie wiem, od czego zacząć!

Clemente stanął przed nim i spojrzał mu w oczy.

— Wiem, że nie sądzisz, żeby to było możliwe, i że wszystko to wydaje ci się nowe. Ale robisz to nie po raz pierwszy. Byłeś doskonały w tym, co robiłeś, i nadal możesz taki być. Zapewniam cię, że jeśli jest ktokolwiek, kto może odnaleźć tę dziewczynę, to tylko ty. Im prędzej to zrozumiesz, tym lepiej dla wszystkich. Bo mam wrażenie, że Larze nie zostało dużo czasu.

Marcus spojrzał nad ramieniem Clemente na pacjenta podłączonego do respiratora, będącego o krok od przekroczenia ostatniej granicy. Potem

zobaczył odbicie swojej twarzy w szybie, nałożone na ten obraz. Poirytowany, odwrócił wzrok. Nie przeszkadzał mu widok potwora, ale nie cierpiał luster — wciąż nie mógł rozpoznać w nich siebie.

— Co ze mną będzie, jeśli mi się nie uda?

— A więc o to chodzi. Boisz się o siebie.

— Clemente, nie wiem, kim jestem.

— Prędko to odkryjesz, przyjacielu. — Podał mu dokumenty dotyczące sprawy. — Mamy do ciebie zaufanie. Ale od tej chwili jesteś sam.

## *Godzina 20.56*

Trzecia zasada mówi, że każde mieszkanie ma inny zapach. Należy on do jego mieszkańców i jest jedyny w swoim rodzaju. Gdy lokatorzy się wynoszą, zapach znika. Dlatego za każdym razem, gdy Sandra Vega wracała do swojego mieszkania w poprzecinanej kanałami dzielnicy Navigli, starała się wyczuć zapach Davida.

Płyn po goleniu i papierosy aromatyzowane anyżem.

Wiedziała, że pewnego dnia, prędzej czy później, wróci do domu, pociągnie nosem i go nie wyczuje. Wraz ze zniknięciem tego zapachu zniknie David. Na zawsze.

Ta myśl doprowadzała ją do rozpacz. I starała się przebywać jak najwięcej poza domem. Żeby nie „zanieczyścić” swoją obecnością poszczególnych pomieszczeń, żeby jej zapach nie przytłumił zapachu Davida.

Prawdę mówiąc, z początku nie lubiła pospolitego płynu po goleniu, który David kupował w supermarkecie. Wydawał się jej agresywny i natrętny. W ciągu trzech spędzonych razem lat kilka razy próbowała zastąpić go innym. Przy każdych urodzinach, z okazji Bożego Narodzenia czy rocznicy oficjalnemu prezentowi towarzyszył jakiś płyn po goleniu. David używał go przez tydzień, a potem stawiał obok innych na półce w łazience. Tytułem usprawiedliwienia powtarzał za każdym razem: „Przykro mi, Ginger, ale on mnie nie symbolizuje”. Mówiąc to, mrugał porozumiewawczo w sposób, który doprowadzał ją do szału.

Sandrze nigdy nie przyszłoby do głowy, że jakiś czas potem kupi dwadzieścia flakonów tego płynu, żeby rozstawić je w mieszkaniu. Kupiła ich tak dużo z absurdalnej obawy, że któregoś dnia wycofają płyn ze sprzedaży. Zaopatrzyła się też w te potworne papierosy z anyżem. Zapalała je i zostawiała w popielniczkach we wszystkich pokojach. Jednak ta magiczna alchemia nie była doskonała, ponieważ te zapachy łączył David, jego obecność na świecie. To jego skóra, jego oddech, jego nastrój nadawały temu związkowi szczególny charakter.

Po zakończeniu długiego dnia pracy, zamknąwszy za sobą drzwi mieszkania, Sandra odczekała kilka sekund, stojąc bez ruchu w ciemności. Po chwili zjawił się zapach jej męża, żeby ją przywitać.

Położyła torby koło fotela w przedpokoju. Powinna wyczyścić aparaty, ale od jakiegoś czasu odkładała wszystko na później. Pomyśli o tym po kolacji. Przygotowała sobie gorącą kąpiel i leżała zanurzona w wodzie, aż skóra na palcach zaczęła się marszczyć. Potem włożyła niebieski podkoszulek i otworzyła butelkę wina. To był jej sposób na zagłuszenie bólu. Nie była w stanie włączyć telewizora i nie mogła się skoncentrować na tyle, by czytać. Spędzała wieczory na kanapie, rozmyślając z kieliszkiem negramaro w ręku.

Miała dopiero dwadzieścia dziewięć lat i nie potrafiła myśleć o sobie jako o wdowie.

Druga nauka, jaką przyswoiła sobie Sandra Vega, mówiła, że mieszkania również umierają, tak jak ludzie.

Od śmierci Davida ani razu nie odczuła jego obecności w rzeczach rozrzuconych po pokojach. Być może dlatego, że większa część tego, co znajdowało się w mieszkaniu, należała do niej.

Jej mąż był niezależnym fotoreporterem i krążył po całym świecie. Zanim



ją poznał, nie odczuwał potrzeby posiadania mieszkania, wystarczały mu pokoje hotelowe i jakieś przypadkowe lokale. Pewnego razu opowiedział jej, że będąc w Bośni, spał na cmentarzu w komorze grobowca.

Wszystko, co David posiadał, upchnięte było w dwie wielkie torby z zielonego płótna. Znajdowały się w nich ubrania letnie, jak i zimowe, gdyż nigdy nie wiedział, dokąd może zostać wysłany. Były tam też poobijany laptop, z którym nigdy się nie rozstawał, i najróżniejsze przybory: uniwersalne scyzoryki i akumulatory do komórek, a nawet aparat do oczyszczania moczu, na wypadek gdyby trafił w jakieś miejsce, w którym brakowałoby wody pitnej.

Sprowadził wszystko do rzeczy podstawowych. Na przykład nigdy nie miał żadnej książki. Czytał bardzo dużo, ale po zakończeniu lektury dawał książkę komuś w prezencie. Przestał to robić dopiero wtedy, gdy wprowadził się do niej. Sandra zrobiła mu miejsce na regałach i pomysł posiadania księgozbioru zaczynał mu się nawet podobać. To był jego sposób na zapuszczenie korzeni. Po pogrzebie przyjaciele Davida przyszli do Sandry i każdy przyniósł jej książkę, którą od niego dostał. Ich strony pełne były jego uwag, rogi pozaginane, nie brakowało nawet drobnych nadpaleń czy plam z oleju silnikowego. Dzięki temu mogła go sobie wyobrazić, jak spokojnie czyta Itala Calvina, paląc papierosa pod gorącym słońcem na jakiejś pustyni, obok uszkodzonego samochodu terenowego, czekając, aż ktoś się zjawi i udzieli mu pomocy.

Nadal będziesz go widziała we wszystkim, mówili jej przyjaciele, będzie ci trudno pozbyć się jego obecności. Ale wyglądało to zupełnie inaczej. Nigdy nie odnosiła wrażenia, że słyszy jego głos, wołający jej imię. Nigdy nie kładła na stole dodatkowego nakrycia.

Tym, czego naprawdę jej brakowało, była ich wspólna codzienność:

powtarzające się chwile pozbawionych znaczenia przyzwyczajień.

W niedzielę wstawała zwykle po nim i znajdowała go w kuchni, gdzie przy trzeciej kawie przeglądał gazetę w chmurze anyżowego dymu. Siedział z łokciem opartym na stole i papierosem, z którego zwisał popiół, tak zatopiony w lekturze, że zapominał o całym świecie. Gdy stawała w progu z nadąsaną miną, odgarniał z oczu rozczochrane kręcone włosy i uśmiechał się do niej. Starła się nie zwracać na niego uwagi, szykując śniadanie, ale wodził za nią wzrokiem z głupawym uśmieszkiem i w końcu nie wytrzymała. David miał bowiem ułamany siekacz — pamiątkę po upadku z roweru w siódmym roku życia. Nosił też okulary w oprawkach ze sztucznego szylkretu, które trzymały się dzięki taśmie klejącej i upodobniały go do starej angielskiej damy. Po chwili sadzał sobie Sandrę na kolanach, składając na jej szyi mokry pocałunek.

Na to wspomnienie Sandra odstawiła kieliszek z winem na stolik koło kanapy. Sięgnęła po komórkę, a potem wybrała numer poczty głosowej.

Nagrany głos poinformował ją jak zawsze, że ma jedną wiadomość, już odsłuchaną. Pochodziła sprzed pięciu miesięcy.

„Cześć, dzwoniłem do ciebie kilka razy, ale ciągle włącza się sekretarka... Nie mam zbyt dużo czasu, dlatego podaję od razu listę rzeczy, których mi brakuje... Brakuje mi twoich zimnych stóp, które szukają mnie pod kołdrą, gdy wchodzisz do łóżka. Brakuje mi chwil, w których dajesz mi do spróbowania rzeczy z lodówki, żeby się upewnić, czy się nie zepsuły. I twoich wrzasków, które budzą mnie o trzeciej nad ranem, bo akurat złapał cię skurcz. Nie uwierzysz, ale brakuje mi nawet tego, że używasz mojej maszynki, żeby ogolić sobie nogi, a potem mi o tym nie mówisz... W sumie tu, w Oslo, jest piekielnie zimno i nie mogę doczekać się powrotu. Kocham cię, Ginger!”

Ostatnie słowa Davida oddawały stan doskonałej harmonii. Takiej, jaką odznaczają się motyle, płatki śniegu i tylko nieliczni stepujący tancerze.

Sandra wyłączyła komórkę.

— Ja też cię kocham, Fred.

Za każdym razem, gdy odsłuchiwała tę wiadomość, wracała tęsknota. Nostalgia, ból, tkliwość, ale także strach. W tych ostatnich słowach kryło się pytanie, ale Sandra nie wiedziała, czy zamierza na nie odpowiedzieć.

„Tu, w Oslo, jest piekielnie zimno i nie mogę doczekać się powrotu”.

Przyzwyczała się do podróży Davida. To była jego praca, jego życie. Zawsze to wiedziała. Czasami pragnęła zatrzymać go przy sobie, ale dochodziła do wniosku, że musi pogodzić się z jego wyjazdami.

Był to jedyny sposób, żeby zmusić go, by do niej wrócił.

Jako fotoreporter jeździł do najbardziej niegościnnych miejsc na ziemi. Kto wie ile razy ryzykował życie. Ale David taki już był, taką miał naturę. Musiał zobaczyć wszystko na własne oczy, bez żadnych filtrów, wszystkiego dotknąć. Żeby opisać jakąś wojnę, musiał poczuć zapach dymu pożarów, przekonać się, że pociski wyją inaczej w zależności od tego, w co mają uderzyć. Nigdy nie przyjąłby propozycji żadnej z wielkich gazet, żeby pracować tylko dla nich, nawet gdyby się o niego pokłóciły. Nie znosił myśli, że ktoś mógłby go kontrolować. Sandra nauczyła się odpędzać najgorsze myśli, zamykać strach na dnie umysłu. Starła się żyć normalnie, udając, że jest żoną robotnika czy urzędnika.

Między nią i Davidem istniało coś w rodzaju niepisanego paktu przewidującego różne dziwne, symboliczne zachowania. Był to ich sposób komunikowania się ze sobą. Zdarzało się, że David przez długi czas był w Mediolanie i ich życie zaczynało się stabilizować. A potem, któregoś wieczoru, Sandra wracała do domu i zastawała go w kuchni, gotującego

swoją słynną zupę ze skorupiaków, z dodatkiem przynajmniej pięciu rodzajów warzyw, którą podawał ze słonymi biszkoptami. To była jego specjalność. Ale także sposób powiadomienia jej, że jutro wyjeżdża. Zjadali kolację jak zawsze, rozmawiając o wszystkim i o niczym, on starał się ją rozśmieszyć, a potem szli do sypialni, żeby się kochać. I następnego ranka budziła się sama. Jego nieobecność mogła trwać całe tygodnie, czasami miesiące. Potem pewnego dnia otwierał drzwi i wszystko zaczynało się od nowa.

David nie mówił jej nigdy, dokąd jedzie. Z wyjątkiem ostatniego razu.

Sandra dopiła wino jednym łykiem. Zawsze odsuwała myśl, że Davidowi mogłoby się przydarzyć coś złego. Podejmował ryzykowne przedsięwzięcia. Jeśli miał zginąć, to na wojnie albo z ręki jakiegoś kryminalisty, którym się zajmował. Już samo to wydawało jej się głupie, ale nie mogła pogodzić się z myślą, że doszło do tego w sposób tak banalny.

Zamierzała przestać już o tym rozmyślać, gdy odezwała się komórka. Spojrzała na ekran, ale numer nie był jej znany. Dochodziła dwudziesta trzecia.

— Czy rozmawiam z żoną Davida Leoniego? — Mężczyzna mówił z dziwnym niemieckim akcentem.

— Tak, to ja. Kto mówi?

— Nazywam się Shalber, pracuję dla Interpolu. Jestem jego kolegą.

Sandra usiadła prosto, trąc oczy.

— Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale dopiero teraz zdobyłem pani numer — powiedział.

— I nie mógł pan poczekać do jutra?

Po drugiej stronie linii rozległ się wesoły śmiech. Shalber, kimkolwiek był, miał chłopięcy głos.

— Proszę mi wybaczyć, ale to silniejsze ode mnie. Kiedy dręczy mnie jakieś pytanie, muszę je zadać. Mógłbym nie spać przez całą noc. Pani się to nie zdarza?

Sandra nie potrafiła rozszyfrować tonu mężczyzny, nie wiedziała, czy jest wrogi, czy po prostu lekceważący.

— Czym mogę panu służyć? — spytała krótko.

— Otworzyliśmy teczkę dotyczącą śmierci pani męża i potrzebuję paru wyjaśnień.

Sandra posmutniała.

— To był wypadek.

Prawdopodobnie Shalber spodziewał się takiej reakcji, dlatego odrzekł spokojnie:

— Czytałem raport policji. Proszę chwilę poczekać... — Sandra usłyszała szelest odwracanych kartek. — Napisano tu, że pani mąż spadł z piątego piętra, ale przeżył upadek i zmarł wiele godzin później z powodu urazów i wewnętrznego krwotoku... — Przerwał. — Przypuszczam, że musi być pani ciężko. Trudno pogodzić się z czymś takim.

— Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo. — Powiedziała to chłodno i natychmiast poczuła złość na siebie.

— Zdaniem policji pan Leoni znalazł się na tej budowie, ponieważ z wysokiego budynku miał doskonały widok i chciał zrobić zdjęcie.

— Tak, tak było.

— Ale czy pani widziała to miejsce?

— Nie — odparła zirytowana.

— No cóż, a ja tam byłem.

— I co pan chce przez to powiedzieć?

Milczenie Shalbera trwało nieco za długo.

— Canon pani męża roztrzaskał się podczas upadku. Szkoda, że nie zobaczymy tego zdjęcia.

— Od kiedy to Interpol zajmuje się przypadkami śmierci w wypadku?

— Rzeczywiście, to dla nas wyjątkowe. Ale mnie interesują nie tylko okoliczności, w jakich zginął pani mąż.

— A więc co?

— Są tu pewne niejasności. Słyszałem, że odesłano pani bagaże pana Leoniego.

— Dwie torby. — Sandra zaczynała się denerwować, ale podejrzewała, że jej rozmówcy o to właśnie chodzi.

— Złożyłem wniosek o umożliwienie mi ich przejrzania, ale chyba się spóźniłem.

— Dlaczego chce je pan przejrzeć?

Po drugiej stronie linii na chwilę zapadło milczenie.

— Nie jestem żonaty, ale kilka razy byłem o krok od ożenku.

— I to ma związek ze mną?

— Nie wiem, ale uważam, że kiedy żyje się z kimś, mam na myśli kogoś naprawdę wyjątkowego, takiego jak pani mąż... Cóż, człowiek przestaje wtedy zadawać sobie pewne pytania. Na przykład co robi, kiedy nie jesteście razem. Niektórzy nazywają to zaufaniem. Prawda jest taka, że czasami chodzi tylko o strach... Strach przed tym, co się usłyszy.

— Pana zdaniem jakie pytania powinnam była zadawać sobie w związku z Davidem? — spytała Sandra, choć doskonale to wiedziała.

Głos Shalbera spoważniał.

— Wszyscy mamy jakieś tajemnice, agentko Vega.

— Nie znałam szczegółów życia Davida, ale wiedziałam, z jakiego rodzaju człowiekiem mam do czynienia, i to mi wystarczało.

— Tak, ale czy pomyślała pani kiedyś, że on mógł nie mówić pani całej prawdy?

Sandra była wściekła.

— Proszę pana, niech pan nie próbuje zasiać we mnie wątpliwości, to nie ma sensu.

— Rzeczywiście, ponieważ pani już ma wątpliwości.

— Nic pan o mnie nie wie — ucięła.

— Torby, które zostały pani odesłane pięć miesięcy temu, czekają w magazynie *questure*<sup>1</sup>. Dlaczego nie poszła tam pani, żeby je odebrać?

Sandra uśmiechnęła się gorzko.

— Nie muszę nikomu wyjaśniać, jaką przykrość sprawiłoby mi branie tych rzeczy do ręki. Ponieważ gdy do tego dojdzie, będę musiała przyznać, że to już naprawdę koniec, że David nie wróci i nikt nie może nic na to poradzić!

— Głupstwa, pani doskonale o tym wie.

Brak taktu Shalbera doprowadzał Sandrę do szału. Przez chwilę nie była w stanie się odezwać. Gdy wreszcie zdobyła się na odpowiedź, w jej głosie pobrzmiwała złość.

— Idź pan do diabła, panie Shalber.

Rozłączyła się. Była wściekła. Chwyliła pusty kieliszek i rąbnęła nim o ścianę. Ten gość nie miał prawa tak się zachowywać. Popełniła błąd, pozwalając mu mówić, powinna była wcześniej zakończyć tę rozmowę. Wstała z kanapy i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Aż do tej chwili nie chciała się do tego przyznać, ale Shalber miał rację: bała się. Jego telefon jej nie zaskoczył, wyglądało na to, że podświadomie na niego czekała.

Istne szaleństwo, pomyślała. To był wypadek. Wypadek!

Zaczęła się uspokajać. Rozejrzała się. Półki z książkami Davida. Stos

paczek papierosów z anyżem na biurku. Kiepski płyn po goleniu w łazience. Krzesło w kuchni, na którym siadał, gdy w niedzielę rano czytał gazetę.

Pierwszą rzeczą, jakiej nauczyła się Sandra Vega, było to, że mieszkania nigdy nie kłamią. „Tu, w Oslo, jest piekielnie zimno i nie mogę doczekać się powrotu”. Ale jego mieszkanie być może kłamało, ponieważ David zmarł w Rzymie.



## Godzina 23.36

Trup przebudził się.

Otaczała go ciemność. Był zmarznięty, zdezorientowany i przestraszony. Mimo to wszystkie te wrażenia były mu dziwnie znajome.

Pamiętał strzał z pistoletu, zapach prochu, a potem swąd spalonego ciała. Wiotczące mięśnie sprawiały, że osunął się na podłogę. Zdał sobie sprawę, że może wyciągnąć rękę, i to zrobił. Powinien leżeć w kałuży krwi, ale krwi nie było. Powinien być nieżywy, ale żył.

Po pierwsze, imię.

— Mam na imię Marcus — powiedział.

W tym momencie dopadła go rzeczywistość, przypominając mu powody, dla których żyje. I to, że jest w Rzymie, w mieszkaniu, wyciągnięty na łóżku, i że jeszcze niedawno spał. Miał przyspieszone tętno i nie chciał, żeby zwolniło. Był zlany potem i z trudem oddychał.

Ale jeszcze raz wyszedł z tego snu żywy.

Żeby się nie bać, zostawiał zapalone światło. Ale tym razem o tym zapomniał. Sen musiał go zaskoczyć, bo był ubrany. Zapalił lampę i sprawdził godzinę. Spał zaledwie dwadzieścia pięć minut.

Wystarczyło.

Sięgnął po pisak, który trzymał koło poduszki, i napisał na ścianie: „Stłuczone szkło”.

Biała ściana koło składanego łóżka była jego dziennikiem. Wokół niego pusty pokój. To poddasze przy via dei Serpenti było pozbawionym pamięci

miejszem, w którym postanowił zamieszkać, żeby sobie przypomnieć. Dwa pokoje. Żadnych mebli z wyjątkiem łóżka i lampy. Ubrania wrzucone do walizki stojącej na podłodze.

Przy każdym wynurzeniu się ze snu coś z niego wynosił: jakiś obraz, słowo, dźwięk. Tym razem był to odgłos tłuczonego szkła.

Ale jakiego szkła?

Kadry z pewną sceną, zawsze tą samą. Zapisywał wszystko na ścianie. W ciągu ostatniego roku połączył wiele szczegółów, ale nie wystarczały jeszcze do odtworzenia tego, co się wydarzyło w tamtym pokoju hotelowym.

Wiedział na pewno, że tam był i że obecny był także Devok, jego najbliższy przyjaciel, ktoś, kto zrobiłby dla niego wszystko. Wydawał się przestraszony, zakłopotany. Marcus nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale musiało wydarzyć się coś poważnego. Przypominał sobie poczucie zagrożenia. Być może Devok chciał obudzić jego czujność.

Ale nie byli sami. Była z nimi trzecia osoba.

I jeszcze nieokreślony cień, niejasne wyobrażenie jakiejś postaci. Biła od niej groźba. Był pewny, że to mężczyzna. Ale nie wiedział, kto to jest. Dlaczego się tam znalazł? Mężczyzna miał przy sobie pistolet i w pewnym momencie wyciągnął go i zaczął strzelać.

Devok został trafiony. Powoli osuwał się na Marcusa, a te oczy, które się w niego wpatrywały, były już martwe. Ręce przyciśnięte do klatki piersiowej na wysokości serca. Między palcami tryskała ciemna krew.

Rozległ się drugi strzał. I niemal w tym samym momencie zobaczył błysk. Pocisk go dosięgnął. Poczul uderzenie w czaszkę. Słyszał, jak kość pęka na drobne kawałki, czuł, że obce ciało zagłębia się w jego mózgu niczym wilgotny palec, a z rany sączy się ciepła i lepka krew.

Ta czarna dziura w jego głowie wessała wszystko: przeszłość, tożsamość,

najlepszego przyjaciela, a także twarz jego przeciwnika.

Gdyż tym, co naprawdę dręczyło Marcusa, było to, że nie mógł sobie przypomnieć rysów twarzy człowieka, który wyrządził mu zło.

Absurdalne było to, że jeśli chciał go znaleźć, musiał przestać go szukać. Bo gdyby sam pragnął wymierzyć sprawiedliwość, musiałby stać się dawnym Marcusem. A żeby to się udało, nie mógł pozwolić sobie na rozmyślanie o tym, co przydarzyło się Devokowi. Musiał zacząć wszystko od nowa, odnaleźć siebie.

A jedynym sposobem na to było odnalezienie Lary.

Słuczone szkło. Zapamiętał tę informację i znowu pomyślał o ostatnich słowach Clemente: „Od tej chwili jesteś sam”. Czasami wątpił nawet w to, że oprócz ich dwóch był ktoś inny. Gdy jego jedyny przyjaciel znalazł go na szpitalnym łóżku — półżywego i pozbawionego pamięci — i wyjawiał mu, kim jest, nie uwierzył w to. Trzeba było czasu, żeby przyzwyczaić się do tej myśli.

„Psy nie rozróżniają kolorów”, powtórzył sobie w duchu, żeby przekonać się, że to wszystko prawda. Sięgnął po dokumenty dotyczące sprawy Jeremiaha Smitha, oznaczone sygnaturą c.g. 97-95-6, usiadł na łóżku i zaczął je przeglądać w poszukiwaniu jakiegoś śladu, który mógłby doprowadzić go do zaginionej studentki.

Zaczął od mordercy i jego krótkiego życiorysu. Jeremiah miał pięćdziesiąt lat i był kawalerem. Pochodził z zamożnej mieszczańskiej rodziny. Syn Włoszki i Anglika. Oboje już nie żyli. Byli właścicielami pięciu sklepów tekstylnych, ale sprzedali je w latach osiemdziesiątych i zaprzestali działalności handlowej. Jeremiah był jedynakiem, nie miał bliskich krewnych. Mogąc korzystać ze sporego procentu od kapitału, nigdy nie podjął pracy. W tym punkcie życiorys się urywał, w jego osobistej historii

następowała teraz czarna dziura. W ostatnich dwóch linijkach stwierdzono krótko, że mieszkał samotnie w willi na wzgórzach pod Rzymem.

Marcus doszedł do wniosku, że w jego życiu nie ma niczego wyjątkowego, jednak zaistniały wszelkie warunki po temu, by Jeremiaś stał się tym, kim był. Samotność, niedojrzałość uczuciowa, niezdolność nawiązania zażyłych stosunków pozostawały w sprzeczności z pragnieniem posiadania kogoś bliskiego.

Wiedziałeś, że jedynym sposobem na wzbudzenie zainteresowania jakiejś kobiety jest porwanie jej i przetrzymywanie związanej, czy nie tak? — zapytał w myślach. Z pewnością tak było. Co chciałeś osiągnąć, jaki miałeś w tym cel? Nie uprowadzałeś ich, żeby wyżywać się na nich seksualnie. Nie gwałciłeś ich i nie torturowałeś.

Oczekiwałeś od nich, że zastąpią ci rodzinę.

Próbowaleś zmusić je do współżycia, urządzić to tak, żeby działało, kochać je jak dobry mężulek, ale one były zbyt przerażone, żeby ci się odwzajemnić. Za każdym razem starałeś się ułożyć jakoś stosunki z nimi, ale po miesiącu uświadamiałeś sobie, że to niemożliwe. Łapałeś się na tym, że twoje uczucie jest niezdrowe, perwersyjne i istnieje tylko w twoim umyśle. A potem — powiedzmy całą prawdę — ogarniała cię żądza, żeby przejechać im nożem po gardle. I w końcu je zabijałeś. Ale mimo wszystko szukałeś w tym... miłości.

Chociaż rozważania te układały się w logiczny ciąg, nikt nie podzieliłby przekonań Marcusa. On nie tylko szedł tym tropem, skłonny był nawet przyjąć wynikający z tego wniosek. Zadał sobie pytanie, dlaczego tak myśli, ale nie znalazł na nie odpowiedzi. To również było częścią jego talentu. Czasami bał się swoich zdolności.

Przeszedł do analizy *modus operandi* Jeremiaha. Ten gość działał przez

sześć lat, zabił cztery kobiety. Za każdym razem następowała faza spokoju i zaspokojenia, a mordercy wystarczała pamięć o dokonanym akcie przemocy, aby stłumić chęć ponownego uderzenia. Gdy to dobroczynne oddziaływanie zanikało, rodziła się nowa zachcianka, prowadząca do następnego porwania. To był proces fizjologiczny.

Ofiarami Jeremiaha były kobiety w wieku od siedemnastu do dwudziestu ośmiu lat. Szukał ich w biały dzień. Nawiązywał z nimi kontakt pod jakimś pretekstem, potem proponował coś do picia i dodawał do napoju pigułkę gwałtu. Gdy narkotyk zaczynał działać, Jeremiah skłaniał je bez trudu, by z nim poszły.

Ale dlaczego te dziewczęta godziły się na to, żeby się z nim napić?

To wydało się Marcusowi dziwne. Pomyślał, że taki mężczyzna jak Jeremiah — w średnim wieku i z pewnością nie przystojniak — musiał budzić podejrzenia, a jednak dziewczęta pozwalały, żeby się do nich zbliżył.

Ufały mu.

Być może dawał im pieniądze albo roztaczał przed nimi jakieś wizje przyszłości. Jedną z technik wabienia — bardzo modną wśród przestępców seksualnych — polegała na obiecywaniu pracy albo łatwych zarobków, zapisania na konkurs piękności lub wzięcia udziału w castingu do filmu bądź programu telewizyjnego. Ale takie sztuczki wymagały umiejętności nawiązywania kontaktów towarzyskich, a to wyraźnie kolidowało z charakterem Jeremiaha, który był nietowarzyski, żył jak pustelnik.

W jaki sposób je podchodziłeś?

Poza tym dlaczego nikt nie zauważył jego działań? Przed Larą doszło do czterech przypadków porwania w miejscu publicznym i nie było nawet jednego świadka. A przecież te jego umizgi wymagały czasu. Ale być może pytanie zawierało odpowiedź: Jeremiah Smith był w oczach innych

człowiekiem tak niegodnym uwagi, że stawał się niewidoczny.

Kręciłeś się wśród nich bez przeszkód. Ale czułeś się silny, ponieważ nikt cię nie zauważał.

Marcus zamyślił się nad słowami wytatuowanymi na piersi Jeremiaha: „Zabij mnie”. „Jakby chciał nam powiedzieć, że zazwyczaj oceniamy ludzi na podstawie tego, jak są ubrani”, powiedział do Clemente, a potem dodał: „Gdy prawda wypisana jest na skórze, znajduje się w zasięgu każdego, ukryta, choć tak bliska”.

Przypominałeś karalucha, który biegnie po podłodze — nikt go nie dostrzega, nikogo nie interesuje. Musi tylko bardzo uważać, żeby go ktoś nie rozdeptał. A ty udoskonaliłeś tę sztukę nierzucania się w oczy. Ale w przypadku Lary postanowiłeś postąpić inaczej. Uprowadziłeś ją z jej mieszkania, z jej łóżka.

Już na samo wspomnienie o studentce Marcus zadał sobie szereg bolesnych pytań. Gdzie ona teraz jest? Czy jeszcze żyje? A przyjąwszy, że tak, co przeżywa? Czy w miejscu, w którym jest przetrzymywana, ma wodę i jedzenie? Jak długo może wytrzymać? Jest przytomna czy pod działaniem narkotyków? Może jest ranna? Czy jej dręczyciel ją związał?

Marcus porzucił te emocjonalne rozważania. Powinien zachować jasność myśli i dystans. Był bowiem pewny, że istnieje powód, dla którego w przypadku Lary Jeremiaha Smith zmienił sposób działania. Mając na myśli Jeremiaha, Clemente podtrzymywał tezę, że niektórzy seryjni mordercy wykazują skłonność do doskonalenia się, dodając szczegóły, które zwiększają odczuwaną przez nich przyjemność. Tak więc porwanie studentki można było uznać za coś w rodzaju „wariacji na temat”. Jednak Marcus w to nie wierzył, ponieważ zmiana była zbyt duża i nagła.

Powiedział sobie, że być może Jeremiaha znudziło snucie sieci kłamstw,

żeby osiągnąć cel. Lub może zdał sobie sprawę, że nie uda mu się zwabić żadnej dziewczyny, bo wieści o jego wcześniejszych ofiarach już się rozniosły i mógłby zostać zdemaskowany. Zaczynał być znany. Ryzyko rosło w postępie geometrycznym.

Nie, to nie jest powód, dla którego zmieniłeś swoją strategię. Czym Lara różni się od innych dziewczyn?

Sprawy komplikowało to, że czterech dziewczyn, które zostały porwane przed nią, nic nie łączyło — były w różnym wieku, każda wyglądała inaczej, a Jeremiaś nie miał ulubionego typu kobiety. Marcusowi przyszedł na myśl przymiotnik „przypadkowe”. Wybrał je na chybił trafił, w przeciwnym razie byłyby do siebie podobne. Im dłużej wpatrywał się w zdjęcia zamordowanych kobiet, tym głębiej był przekonany, że morderca porwał je, ponieważ po prostu nie były ostrożne, a więc łatwiej przyszło mu nawiązać z nimi kontakt. Dlatego porywał je w dzień i w miejscach publicznych. Nie znał ich, powiedział sobie w duchu.

Lara była jednak wyjątkowa. Jeremiaś nie mógł ryzykować, że mu się z nią nie powiedzie. Z tego powodu uprowadził ją z jej mieszkania, a przede wszystkim zrobił to w nocy.

Marcus odłożył akta, wstał z łóżka i podszedł do okna. Pod wieczór dachy Rzymu przypominały wzburzone morze cieni. Była to jego ulubiona pora. Ogarniał go wtedy dziwny spokój i wydawało mu się, że jest pogodzony ze światem. Ten spokój pozwolił mu zrozumieć, gdzie popełnił błąd. Wszedł do mieszkania Lary w dzień, a powinien był zrobić to po ciemku, bo tak działał porywacz.

Jeśli chciał zrozumieć, jakimi drogami podążał umysł Jeremiaha, musiał dokładnie odtworzyć warunki, w jakich się poruszał.

Utwierdzając się w tym nowym przekonaniu, Marcus sięgnął po płaszcz i

spiesznie opuścił poddasze. Musiał wrócić do mieszkania przy via dei Coronari.



ROK WCZEŚNIEJ  
PARYŻ

Myśliwy wiedział, jak ważny jest czas. Jego główną zaletą była cierpliwość. Odmierzał ją umiejętnie, a tymczasem starał się jak najlepiej przygotować do tak długo oczekiwanej chwili, już teraz smakując radość zwycięstwa.

Nagły powiew wiatru szarpnął obrusem, pobrzękując szklankami na sąsiednim stoliku. Myśliwy uniósł do ust kieliszek anyżówki, rozkoszując się gasnącym słońcem popołudnia. Jednocześnie przyglądał się autom przejeżdżającym koło bistra. Zabiegani przechodnie nie przyciągali jego uwagi.

Miał na sobie granatowy garnitur, niebieską koszulę i krawat poluzowany tak, że wyglądał jak urzędnik, który wstąpił do baru, żeby napić się czegoś po wyjściu z biura. A ponieważ wiedział, że osoby samotne rzucają się w oczy, na krześle obok położył papierową torebkę z zakupami, z której wystawały bagietka, pęczek natki pietruszki i tubka kolorowych dropsów — wyglądało to tak, jakby miał rodzinę. Poza tym na jego palcu błyszczała ślubna obrączka.

Tak naprawdę nie miał nikogo bliskiego.

Z biegiem lat zredukował do minimum swoje potrzeby i prowadził skromne życie. Lubił myśleć o sobie jako o ascecie. Zrezygnował z wszelkich aspiracji, które nie służyły urzeczywistnieniu jego jedyne go celu, nie chciał, by rozpraszały go różne pragnienia. Skupił się tylko na jednym: na ściganiu zwierzyny.

Przez jakiś czas tropił ją bezskutecznie, ale według informacji, jakie ostatnio zdobył, mieszkała w tym mieście. Przeniósł się więc tutaj, nie czekając na potwierdzenie. Musiał poznać nowe terytorium, przyjrzeć się

temu, na co patrzyła ona, pospacerować tymi samymi ulicami, mieć dziwne wrażenie, że w każdej chwili może przeciąć jej drogę, choć jej nie rozpozna. Potrzebna mu była świadomość, że przebywa pod tym samym niebem co ona. To dodawało mu sił i umacniało w nim wiarę, że prędzej czy później zdoła wykurzyć ją z nory.

Aby nie rzucać się w oczy, co trzy tygodnie zmieniał lokum, wybierając małe hoteliki lub pokoje do wynajęcia. Zostawiał przynęty, ale nic więcej, ufając, że jego ofiara w końcu się pojawi.

A potem zaczął czekać.

Od niedawna mieszkał w Hôtel des Saints-Pères w Szóstej Dzielnicy. W pokoju leżały stosy gazet, w których gorączkowo szukał choćby małego śladu otwierającego przejście w murze mroku i milczenia.

Od jego przybycia tutaj minęło już prawie dziewięć miesięcy i w tym czasie nie posunął się do przodu ani o krok. Jego pewność siebie zaczęła się chwiać. A potem nagle wydarzyło się to, na co czekał: pojawił się znak. Coś, co tylko on potrafił odczytać. Wytrzymał, pozostał wierny regułom, jakie sobie narzucił. I teraz miał zostać nagrodzony.

Dwadzieścia cztery godziny temu, podczas robót ziemnych w fabryce przy rue Malmaison w Bagnolet, robotnicy odnaleźli ciało.

Należało do mężczyzny w wieku około trzydziestu lat, był nagi i nie miał przy sobie żadnych rzeczy osobistych. Mógł umrzeć rok temu. W oczekiwaniu na wyniki sekcji zwłok nikt nie zadawał zbyt wielu pytań. Dla żandarmerii sprawa była przedawniona. Dowody — gdyby takie się pojawiły — byłyby wyblakłe albo bez wartości.

To, że zwłoki znaleziono na przedmieściu, pozwalało snuć hipotezy, iż morderstwo mogło być dziełem którejś z band zajmujących się handlem narkotykami. Aby nie przyciągać uwagi służb porządkowych, zatroszczono

się o to, by zwłoki zniknęły.

Policjanci stwierdzili, że sprawa jest prosta. Ich podejrzeń nie wzbudził makabryczny szczegół, który powinien był ich zaalarmować — znaleziony mężczyzna nie miał twarzy.

Nie był to akt czystego okrucieństwa czy posunięta do ostatecznych granic chęć znieważenia przeciwnika. Trupowi zmiżdżono wszystkie mięśnie i kości twarzy. Ktoś, kto wykazał się taką starannością, musiał mieć jakiś powód.

A Myśliwy był wyczulony na takie szczegóły.

Od dnia, w którym przybył do tego miasta, śledził, czy do kostnic wielkich szpitali przywieziono jakieś zwłoki. W ten sposób dowiedział się o znalezisku. Godzinę później ukradł fartuch lekarski i wślizgnął się do chłodni szpitala St Antoine. Za pomocą poduszeczki do pieczętek zdjął odciski palców trupa. Wróciwszy do hotelu, zeskanował je i zalogował się do hakerskiego programu, który otwierał dostęp do rządowej bazy danych. Myśliwy zdawał sobie sprawę, że informacji wrzuconej do internetu nie można usunąć. Sieć przypomina działanie ludzkiego umysłu — wystarczy jakiś szczegół, aby obudzić łańcuch złączy nerwowych, które wydobywają z głębin pamięci coś, co uważaliśmy za zapomniane.

Sieć nie zapomina niczego.

Siedząc w mroku, Myśliwy czekał na odpowiedź, pogrążony w modlitwie i rozmyślaniach o tym, jakimi drogami dotarł aż tutaj. Od pierwszego trupa, który został oszpecony w Memphis, minęło siedem lat. Potem przyszła kolej na Buenos Aires, Toronto i Panamę, następnie na Europę — Turyn, Wiedeń i Budapeszt. Wreszcie znalazł się w Paryżu.

Tyle przynajmniej było przypadków, o których wiedział. Mogło być dużo więcej takich, które nie zostały odkryte. Morderstw dokonywano w

miejscach tak odległych od siebie i w tak różnym czasie, że nikt oprócz niego nie powiązał ich z jednym sprawcą.

Jego zwierzyna należała bowiem do gatunku drapieżników.

Myśliwy przypuszczał, że chodzi o „pielgrzyma”, seryjnego mordercę, który przenosi się z miejsca na miejsce, żeby zacierać ślady swoich zbrodni. Trzeba tylko ustalić, gdzie ma bazę. Z pewnością to człowiek z któregoś z krajów zachodnich, mieszkający w dużym mieście. Pielgrzymi są obywatelami zakorzenionymi w społeczeństwie, mają rodziny, dzieci i nie najgorsze możliwości finansowe, które pozwalają im na częste zmiany miejsca pobytu. Są sprytni, ostrożni i maskują swój proceder podrózkami służbowymi.

Potem jednak dostrzegł w tym łańcuchu zbrodni pewien szczegół, który na początku uszedł jego uwagi, a który ukazał wszystko w innym świetle: ofiary były coraz starsze.

Myśliwy zdał sobie sprawę, że zbrodniczy umysł, z jakim ma do czynienia, jest dużo bardziej złożony i przerażający.

Ten osobnik nie wyjeżdżał po dokonaniu zbrodni. Zabijał po to, żeby pozostać na miejscu. Dlatego właśnie w Paryżu mogło dojść do przełomu w sprawie lub do kolejnego niepowodzenia. Po paru godzinach z archiwów rządowych nadeszła odpowiedź.

Pozbawiony twarzy trup z przedmieścia był notowany.

Nie był to pospolity handlarz narkotyków, ale zwykły człowiek, który miał na koncie grzech młodości: jako szesnastolatek ukradł ze sklepu dla kolekcjonerów model bugatti. W tamtych latach policja pobierała odciski palców także od nieletnich sprawców, choć w tym przypadku oskarżenie wycofano i sprawa została zamknięta. Ale mimo iż jego akt nie było we francuskim rejestrze sądowym, trafiły one do archiwum rządowego

stowarzyszenia, które prowadziło badania dotyczące przestępczości wśród młodocianych.

Tym razem zwierzyna, na którą polował Myśliwy, popełniła błąd. Okazało się, że trup bez twarzy ma imię i nazwisko: Jean Duez.

Teraz można było bez trudu dotrzeć do pozostałych danych: trzydzieści trzy lata, stan wolny, stracił oboje rodziców w wypadku drogowym, żadnego bliskiego krewnego oprócz starej ciotki w Awinionie, chorej na alzheimera. Prowadził drobną działalność handlową za pośrednictwem internetu, nie ruszając się z domu, a jego dochody pochodziły ze sprzedaży kolekcjonerskich modeli samochodów. Stosunki z innymi ludźmi ograniczone do minimum, żadnej towarzyszkii ani towarzysza życia, żadnego przyjaciela. Namiętność do miniaturowych aut wyścigowych.

Jean Duez był doskonałym kandydatem na ofiarę. Nikt nie zauważyłby jego zniknięcia. A przede wszystkim nikt by go nie szukał.

Myśliwy doszedł do wniosku, że to typ człowieka pod każdym względem podobnego do poprzednich ofiar. Niezwracający uwagi wygląd, znaków szczególnych brak. Praca, która nie wymaga specjalnych zdolności. Samotne życie, żadnego bliskiego znajomego, ograniczone kontakty z ludźmi ocierające się o mizantropię lub wręcz o chorobliwą aspołeczność. Brak bliskich krewnych, brak rodziny.

Przebiegłość zwierzyny ucieszyła Myśliwego. Grzeszył wprawdzie poczuciem wyższości, ale był zadowolony, gdy poziom wyzwania się podnosił.

Spojrzał na zegarek: dochodziła siódma. W bistrze zaczynali zjawiać się klienci, którzy zarezerwowali stoliki. Skinął na kelnerkę, dając znak, że chce zapłacić. Między stolikami kręcił się gazeciarz z popołudniówką. Myśliwy kupił egzemplarz, choć dobrze wiedział, że wiadomość o znalezieniu ciała

Jean Dueza rozejdzie się dopiero jutro, w związku z czym ma pewną przewagę nad człowiekiem, którego szukał. Był podniecony, oczekiwanie wreszcie się skończyło. Teraz zacznie się najlepsza część polowania. Potrzebował tylko potwierdzenia. Dlatego siedział w tym bistrze.

Powiał lekki wiaterek, unosząc chmurę kolorowych pyłków ze stoiska kwiaciarza na rogu. Myśliwy zapomniał, że wiosna w Paryżu jest taka ładna.

Wzdrygnął się. Po kilku sekundach zobaczył swoją ofiarę wychodzącą w tłumie ludzi z metra. Mężczyzna miał na sobie granatową wiatrówkę, szare sztruksowe spodnie, adidas i czapkę z daszkiem. Myśliwy patrzył na niego, gdy szedł po drugiej stronie ulicy. Miał spuszczone wzrok i trzymał ręce w kieszeniach. Nie podejrzewał, że ktoś na niego poluje, więc nie przedsięwziął żadnych środków ostrożności. Doskonale, powiedział sobie Myśliwy, podczas gdy ofiara kierowała się do zielonej bramy przy rue Lamarck.

Kelnerka podeszła z rachunkiem.

— Smakował panu pastis?

— Tak, oczywiście — odpowiedział z uśmiechem.

Sięgnął do kieszeni po portfel, a w tym samym momencie nieświadomy niczego fałszywy Jean Duez wrócił do domu.



Ofiary są coraz starsze, powtórzył w myślach. Myśliwy wpadł na trop ofiary właściwie przez przypadek; łącząc ze sobą zwłoki bez twarzy znajdujące w różnych miejscach, zorientował się, że przez lata ktoś się z nimi utożsamiał. W miarę starzenia się mordercy zmieniał się także wiek jego ofiar, niczym rozmiar garnituru.

Człowiek, na którego polował, był seryjnym mordercą i transformistą.

Myśliwy nie znał jeszcze powodów tego dziwnego zachowania, ale

prędko — bardzo prędko — miał znaleźć wyjaśnienie.

Stanął kilka metrów od zielonej bramy, trzymając w ręku papierową torbę z zakupami i czekając, aż nadejdzie jakiś lokator, żeby skorzystać z okazji i wślizgnąć się do budynku.

W końcu jego cierpliwość została nagrodzona. W wejściu pojawił się starszy mężczyzna, który wyprowadzał rudego spaniela. Ubrany był w ciepły płaszcz i kapelusz z szerokim rondem, a na nosie miał okulary w grubych oprawkach. Wydawał się zaabsorbowany psem, który ciągnął go w stronę ogródków. Myśliwy zablokował ręką drzwi i wszedł tak, że staruszek nawet tego nie zauważył.

Klatka schodowa była mroczna i wąska. Zaczął nasłuchiwać. Z mieszkań dochodziły głosy i hałasy, które łączyły się w jednolity szum. Spojrzał na skrzynkę z przegródkami na listy: Jean Duez mieszkał pod numerem 3Q.

Położył torbę z zakupami na pierwszym stopniu i wyjął z niej bagietkę oraz pęczek natki pietruszki, a potem wydobyl ukrytą w środku berette M92F, przerobioną dla amerykańskiego wojska na naboje z ładunkiem obezwładniającym. Kupił ją u handlarza w Jerozolimie. Aby środek natychmiast zadziałał, należało celować w głowę, serce albo w pachwinę. Na usunięcie łuski i ponowne załadowanie potrzebne było pięć sekund. Za dużo. Oznaczało to, że pierwszy strzał musiał być celny. Należało się spodziewać, że ofiara także będzie miała broń, ale z prawdziwymi nabojami. Myśliwy nie przejmował się tym, obezwładniający pistolet powinien mu wystarczyć.

Chciał zwierzynę wziąć żywcem.

Nie miał czasu na poznanie jej zwyczajów, ale z biegiem lat doszedł do przekonania, że ważna jest ciągłość. Ten gość z pewnością postępował tak, jak sobie założył. Jeśli powtarza się pewne zachowania, istnieje większa szansa na to, że nie zwróci się niczyjej uwagi, a ponadto można panować nad



sytuacją — Myśliwy nauczył się od niego także tego. W gruncie rzeczy ten gość posłużył mu za wzór do naśladowania. Nauczył go cenić dyscyplinę i wyrzeczenia. Dostosowywał się do okoliczności, nawet najbardziej niesprzyjających. Był jak organizmy zamieszkujące głębiny oceanów, gdzie nie dociera światło, a chłód i ciśnienie zabiłyby człowieka w jednej chwili. Istoty te to prawdziwe wyzwanie w miejscu, gdzie nie powinno istnieć życie. Ten osobnik taki właśnie był, nie znał innego sposobu przetrwania. Myśliwy po trosze go podziwiał, bo w gruncie rzeczy walczył o przetrwanie.

Z pistoletem w ręku wszedł na trzecie piętro. Dotarł pod drzwi mieszkania Jeana Dueza i z łatwością otworzył zamek. Ciszę zakłócało tylko tykanie zegara z wahadłem. Mieszkanie nie było zbyt duże — najwyżej osiemdziesiąt metrów kwadratowych — trzy pokoje, łazienka oraz krótki przedpokój.

Spod jedynych zamkniętych drzwi przedostawało się światło.

Myśliwy stąpił ostrożnie, starając się nie robić hałasu. Dotarł do pierwszego pomieszczenia. Szybkim ruchem stanął w progu, celując z pistoletu. Była to kuchnia. Pusta. Panował w niej porządek: porcelana w kredensie, toster, ściereczka zwisająca z uchwyty piekarnika. Przebywanie w norze ofiary obudziło w nim dziwne emocje. Ruszył do łazienki. Także tam nie było nikogo. Ceramiczna szachownica białych i zielonych kwadratów. Samotna szczoteczka do zębów. Grzebień ze sztucznego szylkretu. W następnym pokoju stało duże małżeńskie łóżko. Pikowana kołdra z gładkiej tafty. Szklanka wody na szafce nocnej. Skórzane papcie. I zajmujący całą ścianę regał pełen kolekcjonerskich modeli samochodów — namiętność Jeana Dueza.

Myśliwy opuścił pokój i podszedł do zamkniętych drzwi. Zaczął nasłuchiwać. Nie dochodziły zza nich żadne odgłosy. Spojrzał na podłogę i

dostrzegł złotawe światełko rozlewające się u jego stóp. Jednak nie zakłócił go żaden cień, który mógłby być dowodem, że ktoś tam jest. Zobaczył jednak pod stopami coś, czego nigdy nie widział. Wianuszek małych brunatnych plamek.

Krew, pomyślał. Teraz jednak nie mógł skupić się na tym szczególe. Nie było czasu na wahanie czy dekoncentrację. Nie powinien zapominać, że osobnik, którego tropi, jest okrutny i wyrafinowany. Mimo iż był nim zafascynowany, wiedział, że to potwór, i za żadną cenę nie chciałby się z nim zmierzyć.

Jedyną szansą było zaskoczenie. Polowanie dobiegłoby końca. Wszystko nabrałoby sensu dopiero po jego zakończeniu.

Zrobił krok do tyłu i kopnął w drzwi; otworzyły się z hukiem. Uniósł pistolet, mając nadzieję, że od razu zobaczy cel. Drzwi zaczęły się zamykać i musiał je przytrzymać. Wszedł i szybko się rozejrzał.

Nikogo.

Deska do prasowania. Komoda ze starym radiem i zapaloną lampą. Wieszak z ubraniami.

Myśliwy podszedł do niego. Czy to możliwe? Były to te same ubrania, które ścigany przez niego człowiek miał na sobie, gdy wracał do domu: granatowa wiatrówka, szare sztruksowe spodnie, adidas i czapka z daszkiem. Myśliwy zauważył stojącą w kącie miskę.

FEDOR — przeczytał widniejący na niej napis. Przypomniał mu się starszek, który wychodził z bramy, żeby wyprowadzić spaniela na spacer.

— A niech to diabli — zaklął. Ale po chwili pojął przebiegłość, jaka kryła się w tym oszustwie, i wybuchnął śmiechem. Był pełen podziwu dla sposobu, w jaki ten transformista nie dał się zaskoczyć. Codziennie po powrocie do domu wychodził w przebraniu, żeby pospacerować z psem i

obserwować swoje mieszkanie.

Oznaczało to, że Jean Duez — a dokładniej zdeprawowany osobnik, który zajął jego miejsce — już o nim wie.

CZTERY DNI WCZEŚNIEJ

## *Godzina 1.40*

Po burzy uliczki historycznego centrum miasta wzięły w posiadanie bezpańskie psy i przemykały milczącą zgrają tuż pod ścianami domów. Marcus znalazł się naprzeciwko nich na via dei Coronari, biegły w jego stronę. Prowadził je rudy mieszaniec ślepy na jedno oko. Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment, jakby obaj chcieli się dowiedzieć, z kim mają do czynienia. A potem podążyli dalej swoją drogą, nie zwracając na siebie uwagi.

Kilka minut później Marcus znów przekroczył próg mieszkania Lary.

Po ciemku, dokładnie tak jak Jeremiaś Smith.

Wyciągnął rękę, żeby zapalić światło, ale się rozmyślił. Prawdopodobnie porywacz miał latarkę. Wyjął więc z kieszeni swoją i zaczął lustrować pomieszczenie. Strumień światła wydobywał z mroku meble i sprzęty.

Nie wiedział dokładnie, czego szukać, ale był przekonany, że musi istnieć coś, co łączy młodą studentkę z Jeremiaśem. Lara nie była zwykłą ofiarą, była kimś znacznie ważniejszym, obiektem pożądania. Marcus musiał poznać istotę tego związku, gdyż tylko w ten sposób mógł się dowiedzieć, gdzie dziewczyna jest uwięziona. Miał tylko hipotezy, ale na razie uznał, że nie powinien niczego odrzucać.

Z oddali dobiegało ujadanie wałęsających się psów.

Przy akompaniamencie tych przygnębiających odgłosów zaczął rozglądać się po parterze, rozpoczynając od małej łazienki, gdzie mieścił się wąż, którym wślizgnął się porywacz. Obok prysznicza znalazł półkę, a na niej kilka

flakonów z płynem do kąpieli, szamponem i balsamem, od największego do najmniejszego. Z taką samą precyzją obok pralki ustawione były proszki do prania. Za lustrem nad umywalką kryła się szafka: znajdowały się w niej kosmetyki i leki. Kalendarz na drzwiach był otwarty na stronie z bieżącym miesiącem.

Psy zaczęły szczekać i warczeć na siebie, jakby rozpoczęły walkę o łup.

Marcus wrócił do saloniku z aneksem kuchennym. Przed wejściem na piętro Jeremiah Smith zatroszczył się o opróżnienie cukiernicy stojącej na stole i pojemnika na półce z napisem SUGAR, żeby usunąć ślady narkotyku. Zrobił to wszystko spokojnie, bez pośpiechu. Tu nie ryzykował, miał dużo czasu, ponieważ Lara spała.

Jesteś sprawny, nie popełniasz błędów, a jednak musiałeś gdzieś się potknąć.

Marcus zdawał sobie sprawę, że opowiadki o seryjnych mordercach, którzy pragną pochwalić się przed światem swoimi wyczynami i w tym celu rzucają wyzwanie ludziom próbującym ich złapać, to bajeczki dobre dla mediów, służące podtrzymaniu zainteresowania publiczności. Seryjnemu mordercy sprawia przyjemność to, co robi. Właśnie dlatego chce, by trwało to jak najdłużej. Nie interesuje go rozgłos, to by mu przeszkadzało. Jednak czasami zostawia ślad. Nie chce o niczym informować, tylko podzielić się swoimi przeżyciami.

Co zostawiłeś dla mnie? — pytał w myślach Marcus.

Skierował światło latarki na kuchenne półki. Na jednej z nich stały książki kucharskie. Mieszkając z rodzicami, Lara prawdopodobnie nie zajmowała się kuchnią, ale po przeprowadzce do Rzymu musiała nauczyć się dbać o siebie i gotować. Wśród kolorowych książek wyróżniała się jedna, w czarnej okładce. Marcus podszedł bliżej i pochylił głowę, żeby odczytać

tytuł. Biblia.

Anomalie, pomyślał.

Otworzył ją w miejscu, w którym umieszczona była zakładka z czerwonej satyny. Był to Pierwszy List do Tesaloniczan autorstwa świętego Pawła.

*Dzień Pański przyjdzie tak, jak złodziej w nocy*<sup>2</sup>.

Makabryczna ironia, z pewnością nieprzypadkowa. Czyżby ktoś specjalnie położył tutaj tę książkę? Słowa odnosiły się do dnia Sądu Ostatecznego, ale z drugiej strony dobrze oddawały to, co przydarzyło się Larze. Ktoś ją uprowadził. Tym razem złodziej „ukradł” osobę. Młoda studentka nie zauważyła obecności Jeremiaha Smitha, który krążył wokół niej jak cień. Marcus się rozejrzał — kanapa, telewizor, tygodniki na stole, lodówka z magnesami, stary zniszczony parkiet. To małe mieszkanie było miejscem, w którym Lara czuła się najpewniej. Ale to nie wystarczyło, żeby ją ochronić. Jak mogła się dowiedzieć, że coś jej grozi? Ludzie są z natury optymistami. Podstawowe znaczenie dla przetrwania gatunku ma odsuwanie myśli o potencjalnych zagrożeniach i branie pod uwagę tylko tych najbardziej prawdopodobnych.

Nie można żyć w ciągłym strachu.

Pozytywne podejście polega na tym, aby iść naprzód bez względu na przeciwności i cierpienia, jakie niesie życie, a jedyną złą stroną jest to, że często nie dostrzegamy czającego się zła.

Bezpańskie psy przestały czekać. Marcus poczuł na plecach zimny dreszcz, bo nagle usłyszał nowy odgłos: ledwie słyszalne skrzypienie desek podłogowych.

*Dzień Pański przyjdzie tak, jak złodziej w nocy*, przypomniało mu się, gdy uświadomił sobie, że popełnił błąd, nie sprawdzając najpierw piętka.

— Zgaś latarkę.

Głos dochodził ze schodów za jego plecami. Marcus posłuchał, nie odwracając się. Bez względu na to, kim był intruz, musiał się tu znaleźć przed nim. Marcus wsłuchiwał się w otaczającą go ciszę. Mężczyzna stał kilka metrów od niego. Kto wie od jak dawna go obserwował.

— Odwróć się — rozkazał głos.

Marcus odwrócił się powoli. Przez kraty w oknie przenikało słabe światło z podwórza, rzucając na ścianę ich mroczne odbicie i upodabniając pomieszczenie do klatki. W tej klatce kryła się, niczym dzika bestia, ciemna i groźna sylwetka. Widmo wtopione w mrok. Intruz był wyższy od niego o co najmniej dwadzieścia centymetrów i dobrze zbudowany. Stali przez dłuższą chwilę, nie odzywając się. A potem głos znowu wynurzył się z mroku: — To ty?

Jego barwa wskazywała, że to nie mężczyzna, ale chłopak. Marcus wyczuwał w nim wściekłość i strach.

— To ty, sukinsynu.

Nie miał pojęcia, czy tamten jest uzbrojony. Milczał, pozwalając mu mówić.

— Widziałem cię wczoraj rano, gdy przyszedłeś tu z tym drugim. Od dwóch dni nie spuszczam z oka tego miejsca. Czego ode mnie chcecie?

Marcus nie rozumiał, o czym ten człowiek mówi.

— Próbujecie zrobić mnie w konia?

Cień zrobił krok w jego stronę. Marcus dojrzał dłonie mężczyzny i stwierdził, że nie jest uzbrojony. Ośmielił się odezwać.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Chcesz mnie nabrać.

— Porozmawiajmy spokojnie w jakimś innym miejscu — zaproponował.

— Pogadamy teraz.



Marcus postanowił zagrać w otwarte karty.

— Jesteś tu z powodu zaginionej dziewczyny?

— Nic nie wiem o żadnej dziewczynie, to mnie nie obchodzi. Chcesz mnie wciągnąć w kłopoty, gnojku?

Marcus wyczuł, że być może chłopak mówi szczerze — gdyby był współnikiem Jeremiaha Smitha, to dlaczego miałby ryzykować powrót w to miejsce?

Zanim Marcus zdążył odpowiedzieć, obcy rzucił się na niego, chwycił go za kołnierz i przycisnął do ściany. Drugą ręką sięgnął do kieszeni, wyjął z niej kopertę i pomachał mu nią przed nosem.

— To ty przysłałeś mi ten pieprzony list?

— Nie, nie ja.

— Więc co tu robisz?

Marcus próbował najpierw zrozumieć, jakim sposobem ta sytuacja mogła się wiązać ze zniknięciem Lary.

— Jeżeli chcesz, to pomówmy może o tym liście — zaproponował.

Ale chłopak nie zamierzał oddać mu kontroli nad rozmową.

— Przesłał cię Ranieri? Możesz powiedzieć temu gnojkwowi, że z nim skończyłem.

— Nie znam żadnego Ranieriego, uwierz mi.

Próbował się wyrwać, ale chłopak mocno go trzymał.

— Jesteś policjantem? — spytał.

— Nie.

— A ten symbol? Nikt nie zauważył tego symbolu.

— Jaki symbol?

— Ten w liście, gnojku.

List i jakiś symbol — Marcus zapamiętał tę informację. Nie było to dużo,

ale mogło pomóc przejrzeć zamiary chłopaka. Lub może były to jakieś brednie. Musiał w jakiś sposób zapanować nad sytuacją.

— Odczep się z tym listem. Nic o nim nie wiem.

Chłopak zastanawiał się przez chwilę.

— To w takim razie coś ty za jeden, do kurwy nędzy?

Marcus nie odpowiedział, mając nadzieję, że tamten się uspokoi. Nagle, nie zdając sobie sprawy, co się dzieje, znalazł się na podłodze przygnieciony ciężarem napastnika. Próbował się bronić, ale chłopak okładał go pięściami. Marcus uniósł ręce, żeby osłonić głowę. Poczul w ustach smak krwi. Wydawało mu się, że traci zmysły, ale po chwili stwierdził, że wściekły atak dobiegł końca. Zobaczył, że chłopak otwiera drzwi mieszkania. We wpadającym z podwórza świetle dojrzał zarys jego pleców. Drzwi się zamknęły. Usłyszał szybko oddalające się kroki.

Odczekał chwilę i spróbował się podnieść. Kręciło mu się w głowie i szumiało w uszach. Nie czuł bólu. Jeszcze nie. Wiedział, że zjawi się wraz ze wszystkimi pozostałymi skutkami, ale dopiero po jakimś czasie. Zawsze tak było. Poczuje się obolały wszędzie, również w miejscach, w które nie został uderzony. Nie pamiętał dokładnie, z jakiego dawnego przeżycia pochodzi to wspomnienie, ale był pewny, że tak to wygląda.

Usiadł i próbował uporządkować myśli. Pozwolił mu uciec, podczas gdy powinien był znaleźć jakiś sposób, by go zatrzymać. Starał się być dla siebie wyrozumiały, wmawiając sobie, że tak czy owak nie zdołałby wycisnąć z niego odrobiny rozsądku. W każdym razie udało mu się jedno: w trakcie szamotaniny zawładnął listem.

Pomacał podłogę w poszukiwaniu latarki. Znalazł ją, stuknął w nią dwa razy, żeby się zapaliła, i oświetlił kopertę.

Brakowało na niej nadawcy, ale była zaadresowana do Raffaele

Altieriego. Data na stemplu pocztowym wskazywała, że list został nadany trzy dni temu. W środku znajdowała się kartka, na której zapisany był tylko adres przy via dei Coronari. Uderzyło go natomiast co innego — symbol umieszczony zamiast podpisu. Trzy czerwone kropki ułożone w kształt trójkąta.

## Godzina 6.00

Nie mogła zasnąć. Po telefonie Shalbera godzinami przewracała się w łóżku. W końcu radiowy budzik ogłosił piątą i Sandra wstała.

Ubrała się prędko i wezwała taksówkę. Zamierzała pojechać do komendy i nie chciała, żeby któryś z kolegów zobaczył jej samochód. Z pewnością nie prosiliby jej o wyjaśnienia, ale od jakiegoś czasu patrzyli na nią w sposób, który ją irytował. Wdowa. Czy tak właśnie mówili o niej między sobą? W każdym razie tak o niej myśleli. Ich współczucie przyklejało się do niej irytująco, gdy koło niej przechodzili. Problem polegał na tym, że niektórzy czuli się w obowiązku coś powiedzieć. Kolekcjonowała nawet okolicznościowe frazesy. Najbardziej denerwujący brzmiał: „Trzymaj się, twój mąż David chciałby, żebyś pokazała, że jesteś silna”. Najchętniej nagrałaby je wszystkie, żeby móc zademonstrować światu, że jest coś gorszego niż obojętność na cierpienia innych ludzi: banał, jakim próbuje się je złagodzić. Prawdopodobnie jednak była po prostu drażliwa.

W każdym razie chciała dotrzeć do magazynu dowodów rzeczowych w chwili, gdy dzienna zmiana zastępuje nocną.

Dotarcie na miejsce zajęło jej dwadzieścia minut. Najpierw wstąpiła do baru, by kupić rogalik i cappuccino na wynos, a potem stanęła przed kolegą, który szykował się właśnie, żeby iść do domu.

— Cześć, Vega — powitał ją. — Co tu robisz o tej porze?

Sandra starała się zaprezentować możliwie najpogodniejszy uśmiech.

— Przyniosłam ci śniadanie.

Magazynier z przyjemnością uwolnił ją od tego ciężaru.

— Jesteś prawdziwą kumpelką. Dziś w nocy był duży ruch, zatrzymali bandę Kolumbijczyków, którzy rozprawdzali towar przed dworcem Lambrate.

Sandra nie chciała tracić czasu na pogaduszki, więc od razu przeszła do sedna sprawy.

— Chciałabym zabrać torby, które czekają tu na mnie od pięciu miesięcy. Kolega spojrzał na nią zdumiony, ale powiedział:

— Zaraz ci je przyniosę.

Zagłębił się w długie korytarze magazynu. Sandra słyszała, jak mamrocze coś pod nosem. Była zdenerwowana, ale starała się panować nad sobą. Ostatnio wszystko ją irytowało. Jej siostra mówiła, że przechodzi jedną z czterech faz żałoby. Znalazła to w jakiejś książce, chociaż nie pamiętała dobrze kolejności faz i nie wiedziała, przez którą Sandra właśnie przechodzi i jak długo jeszcze potrwa. Sandra miała co do tego wątpliwości, ale pozwoliła jej się wygadać. Reszta rodziny nie wiedziała, jak się wobec niej zachować, bo co można powiedzieć dwudziestodwuletniej wdowie. Ograniczali się więc do opowiadania o tym, co przeczytali w jakimś czasopiśmie, lub do przytaczania przykładu znajomego, który był w podobnej sytuacji. To im wystarczało, by czuć się wobec niej w porządku, a i Sandrze to odpowiadało.

Po pięciu minutach zobaczyła, że kolega wraca z dwiema dużymi torbami.

Nióśł je za rączki, nie tak jak David, który wieszał sobie jedną torbę na prawym ramieniu, a drugą na lewym, co sprawiało, że kołysał się przy każdym kroku.

— Wyglądasz jak objuczony osiołek, Fred — mówiła wtedy.

— Ale i tak ci się podobam, Ginger — odpowiadał.

Na widok tych toreb Sandra poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją pięścią w pierś. Był w nich cały świat Davida. Gdyby to zależało od niej, zostałyby w magazynie, aż ktoś kazałby je zniszczyć razem z innymi niepotrzebnymi dowodami. Jednak wczoraj wieczorem Shalber przypomniał jej o pytaniach, których tak naprawdę nie chciała sobie zadawać, odkąd odkryła, że David kłamie. Nie chciała, aby ktoś pozbawiał ją zaufania do mężczyzny, którego wybrała na męża. Ale przede wszystkim zdała sobie sprawę, że nie może pozwolić na to samej sobie.

— Proszę — powiedział kolega, stawiając torby na kontuarze.

Nie trzeba było podpisywać żadnego pokwitowania, bo przechowywano je właściwie przez uprzejmość. Po wypadku przywieziono je tutaj z komendy w Rzymie, a ona ich nie odebrała.

— Chcesz sprawdzić, czy czegoś nie brakuje?

— Nie, dziękuję. Nie muszę niczego sprawdzać.

Kolega patrzył na nią ze smutkiem.

Nie rób tego, pomyślała Sandra.

Ale on to jednak zrobił.

— Trzymaj się, Vega — powiedział. — Daniel życzyłby sobie, żebyś była silna.

Uśmiechając się z przymusem, zastanawiała się, skąd on wytrzasnął „Daniela”. A potem podziękowała mu i wyszła, zabierając torby.



Pół godziny później weszła do domu. Postawiła torby na podłodze koło drzwi. Nie otwierała ich, ale zerknęła w ich stronę. Zachowywała się jak bezpański pies, który krąży wokół podanego mu jedzenia, chcąc się upewnić, czy może je zjeść. Sandra zbierała się na odwagę. Zaparzyła sobie herbatę i

przyglądała się torbom, siedząc na kanapie z filiżanką w ręku. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, co zrobiła.

Sprowadziła Davida z powrotem do domu.

Być może jakaś jej cząstka miała nadzieję, że prędzej czy później on tu wróci. Myśl, że nie będą już się kochali, doprowadzała ją do szaleństwa. Zdarzały się momenty, w których zapominała, że David nie żyje. Coś przychodziło jej do głowy. Muszę powiedzieć o tym Davidowi, myślała. Po chwili przypominała sobie, co się stało, i zalewała ją fala goryczy.

Davida już nie ma. Kropka.

Wróciła myślami do dnia, w którym dowiedziała się, że mąż nie żyje. Było to w spokojny ranek, taki jak ten. Poprosiła dwóch policjantów, żeby zostali za drzwiami, przekonana, że dopóki tam będą, dopóki nie przekroczą tej granicy, dopóty wiadomość o śmierci Davida pozostanie nierealna, a ona nie będzie musiała stawać twarzą w twarz z tym, co może zniszczyć wszystko w jej życiu. Bała się, że tego nie znieśie.

A jednak muszę przez to przejść, powiedziała sobie. Skoro Shalber interesuje się tymi bagażami, ma jakiś powód.

Postawiła filiżankę z herbatą na podłodze i podeszła zdecydowanym krokiem do toreb. Sięgnęła najpierw po tę lżejszą. Były w niej tylko ubrania. Odwróciła ją do góry dnem i wyrzuciła wszystko na podłogę. Płatanina koszul, spodni i swetrów. Uderzył ją przechowany w nich zapach Davida, ale starała się nie zwracać na to uwagi.

Boże, jak mi Ciebie brak, Fred, pomyślała.

Powstrzymała się od płaczu. Zaczęła energicznie przeglądać ubrania, lecz cały czas miała przed oczami Davida, chwile spędzone razem. Poczowała tęsknotę, ale także irytację, a w końcu wściekłość.

Niczego w tych rzeczach nie było. Sprawdziła kieszenie wewnętrzne i

zewnętrzne. Nic.

Była wyczerpana, ale miała za sobą najtrudniejszą część zadania. Teraz przyszła kolej na torbę ze sprzętem fotograficznym. Te przedmioty nie zajmowały miejsca w jej wspomnieniach, przeciwnie, to z ich powodu Davida już nie było. Powinno pójść łatwiej.

Nim jednak zaczęła, przypomniała sobie, że istnieje spis zawartości torby. Znajdował się w szufladzie szafki nocnej Davida. Używał go zawsze przy pakowaniu bagaży, żeby o niczym nie zapomnieć. Sandra poszła po niego, a potem zaczęła sprawdzać.

Na początek wyjęła lustrzankę. Jej poprzedniczka upadła i się rozbiła. Był to aparat firmy Canon, podczas gdy Sandra wolała lustrzanki Nikona. Często dyskutowali na ten temat.

Uruchomiła aparat. Pamięć była pusta.

Skreśliła go z listy i przeszła do następnych pozycji. Podłączyła kilka urządzeń do prądu, ponieważ baterie wyczerpały się w czasie kilkumiesięcznej bezczynności, po czym zaczęła je sprawdzać. Ostatnia rozmowa w telefonie satelitarnym zapisana była pod odległą datą, więc nie miała znaczenia. Za to komórkę sprawdziła już podczas pobytu w Rzymie, dokąd pojechała, by zidentyfikować zwłoki. David używał jej tylko do zamawiania taksówek, posłużyła mu też do przekazania ostatniej wiadomości zapisanej w jej poczcie głosowej: „Tu, w Oslo, jest piekielnie zimno”. Poza tym wyglądało to tak, jakby nie chciał kontaktować się ze światem.

Uruchomiła laptop, mając nadzieję, że coś znajdzie, ale były w nim tylko stare bezwartościowe pliki. Także w poczcie elektronicznej nie znalazła niczego interesującego. W żadnym dokumencie czy e-mailu David nie wspomniał o tym, dlaczego znalazł się w Rzymie.

Zadała sobie pytanie, co sprawiło, że tak się zachowywał. Wróciły



wątpliwości, z których powodu nie spała całą noc.

Mogłaby przysiąc, że jej mąż był uczciwym człowiekiem. Czyżby ukrywał przed nią jakieś brudne sprawy?

Idź do diabła, Shalber, pomyślała.

Wróciła do torby i odłożyła na bok to, co nie miało dla niej znaczenia, na przykład uniwersalny scyzoryk czy teleobiektywy, i zaczęła kartkować notes z kalendarzykiem w skórzanej okładce. Miał zniszczone brzegi i był bardzo stary. Każdego roku David wymieniał w nim tylko wkładkę. Był to jeden z tych przedmiotów, z którymi się nie rozstawał. Podobnie jak z brązowymi japonkami, które miały zdarte podeszwy i trzymały się na rzemieniu przechodzącym między palcami, lub jak ze sfilcowanym golfem — David wkładał go zawsze, gdy siadał do komputera. Sandra tysiąc razy próbowała schować te rzeczy, on przez kilka dni udawał, że tego nie zauważył, ale potem zawsze je znajdował.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. David po prostu taki był. Inny mężczyzna zacząłby się złościć, natomiast on nigdy nie miał do niej pretensji. Wracał do swoich przyzwyczajzeń i tyle.

Otworzyła notes. Na kilku stronach z okresu, w którym jej mąż był w Rzymie, był zapisany jeden lub kilka różnych adresów. David zaznaczył je także na małym planie miasta. W sumie było ich około dwudziestu.

Zastanawiając się, jakie znaczenie mogą mieć te notatki, Sandra zauważyła, że w torbie jest przedmiot, którego nie ma na liście — radiotelefon. Sprawdziła zakres częstotliwości. Kanał osiemdziesiąty pierwszy. Nic jej to nie mówiło.

Do czego mogło mu to służyć?

Oglądając pozostałe przedmioty, zdała sobie sprawę, że czegoś brakuje. Nie było małego dyktafonu, który David zawsze nosił przy sobie. Nazywał

go swoją zapasową pamięcią. Nie miał go w kieszeni podczas upadku, który doprowadził do jego śmierci. Urządzenie mogło zginąć z wielu powodów. Sandra postanowiła to zanotować.

Zanim zabrała się do dalszych poszukiwań, podsumowała, czego się do tej pory dowiedziała.

Znalazła w notesie adresy, zaznaczone również na małym planie Rzymu. Krótkofalówka nastawiona na tajemniczą częstotliwość. Stwierdziła brak dyktafonu, którego David używał do nagrywania różnych uwag.

Zastanawiając się nad tym, poczuła zniechęcenie. Po tragicznym wypadku zwracała się do Reutersa i do Associated Press — agencji, z którymi jej mąż zwykle współpracował — z pytaniem, czy przypadkiem nie wykonywał dla nich jakiejś pracy w Rzymie. Obie agencje odpowiedziały, że nie. Jeśli coś przygotowywał, to na własną rękę. Z pewnością nie po raz pierwszy robił reportaż, by potem sprzedać go temu, kto przedstawi najlepszą ofertę. Sandra miała jednak przeczucie, że tym razem chodziło o coś więcej. Nie była pewna, czy chce to odkryć.

Aby odpędzić złe myśli, znowu zabrała się do przeglądania zawartości torby.

Wyjęła z niej leicę I. Był to aparat fotograficzny z 1925 roku, skonstruowany przez Oskara Barnacka i udoskonalony później dzięki pomysłom Ernsta Leitz'a. Umożliwiał fotografowanie z ręki. Był pierwszym aparatem tego typu. Z uwagi na łatwość posługiwania się nim w terenie stanowił przełom w fotografowaniu działań wojennych.

Mechanizm był doskonały. Pozioma migawka z płótna, czasy od 1/20 do 1/500 sekundy, stały obiektyw 50 milimetrów. Prawdziwy skarb dla kolekcjonera.

Sandra podarowała go Davidowi na pierwszą rocznicę ślubu. Pamiętała

jeszcze, jaki był zaskoczony, gdy odpakował prezent. Pensje ich dwojga nie wystarczyłyby na kupienie tego cacka, ale Sandra odziedziczyła aparat po dziadku, który zaszczeplił w niej zamiłowanie do fotografii.

Było to coś w rodzaju rodzinnej pamiątki i David nigdy się z nim nie rozstawał. Mówił, że to jego talizman, który przynosi mu szczęście.

Ale nie uratował ci życia, pomyślała Sandra.

Był w oryginalnym skórzanym futerale, na którym kazała wytłoczyć inicjały D.L. Otworzyła go teraz i przez długą chwilę przyglądała się aparatowi, wspominając, że oczy Davida błyszczały jak oczy dziecka za każdym razem, gdy brał go do ręki. Już miała go odłożyć, kiedy zauważyła, że śrubka uruchamiająca mechanizm wyzwalacza jest, jak to się określało w żargonie technicznym, uzbrojona. W aparacie znajdował się film.

## *Godzina 7.10*

W żargonie środowiskowym nosiły nazwę kryjówek. Były to rozrzucone po mieście mieszkania, w których można było się zatrzymać lub tylko odpocząć i coś zjeść. Na tabliczce przy dzwonku znajdowały się zwykle nazwy nieistniejących spółek handlowych.

Marcus wszedł do jednego z tych mieszkań, o którym wiedział, ponieważ był w nim raz z Clemente. Przyjaciel powiedział mu wtedy, że ci, dla których pracują, mają w Rzymie mnóstwo nieruchomości. Klucz do mieszkania ukryty był w szparze koło drzwi.

Jak przewidywał, ból pojawił się wraz ze świtem. Oprócz paru sińców na wysokości żeber, które przypominały mu przy każdym oddechu o tym, co zdarzyło się tej nocy, miał rozciętą wargę i opuchniętą twarz. Do tego dochodziło rozcięcie skroni.

W mieszkaniu kryjówek można było zwykle znaleźć jedzenie, łóżko, ciepłą wodę, apteczkę, fałszywe dokumenty i komputer umożliwiający dostęp do sieci. To, które wybrał Marcus, okazało się puste. Nie było w nim mebli, a żaluzje opuszczono. Na podłodze w jednym z pokoi stał telefon. Linia była czynna.

Mieszkanie wynajmowano tylko w jednym celu: by można było z niego dzwonić.

Clemente wyjaśnił mu, że nie powinien mieć komórki. Marcus nigdy nie zostawiał za sobą żadnych śladów.

Ja nie istnieję, powiedział sobie w duchu, zanim wybrał numer informacji

o numerach telefonów i adresach.

Po chwili uprzejma telefonistka podała mu adres i telefon Raffaele Altieriego, napastnika, który zaskoczył go w mieszkaniu Lary. Marcus rozłączył się i wybrał numer chłopaka. Nikt nie odbierał, postanowił więc pójść do niego i zrewanżować się za nocną napaść.

Wkrótce stał w ulewnym deszczu na rogu via Rubens w eleganckiej dzielnicy Parioli, obserwując czteropiętrowy budynek.

Udało mu się wejść do środka przez garaże. Mieszkanie chłopaka znajdowało się na trzecim piętrze. Marcus przyłożył ucho do drzwi, żeby się upewnić, że nikogo nie ma. Ze środka nie dochodziły żadne odgłosy. Postanowił zaryzykować: musiał się dowiedzieć, kim jest człowiek, który na niego napadł.

Otworzył zamek wytrychem i wszedł.

Mieszkanie, w którym się znalazł, było duże. Meble dobrano ze smakiem, wskazywały na zamożność właściciela. Znajdowały się tu zabytkowe bibeloty i cenne obrazy. Podłogi zrobione były z jasnego marmuru, drzwi polakierowano na biało. Wnętrze nie wyróżniało się niczym szczególnym i nie wyglądało na miejsce zamieszkania kogoś opętanego jakąś manią.

Marcus zabrał się do jego oglądania. Musiał się spieszyć, bo w każdej chwili mógł ktoś nadejść.

Jeden z pokoiów pełnił funkcję sali do ćwiczeń. Znajdowały się tu ława do podnoszenia ciężarów, drabinka do gimnastyki szwedzkiej, bieżnia i inne przyrządy gimnastyczne. Raffaele Altieri dbał o sprawność fizyczną, o czym Marcus przekonał się na własnej skórze.

Oglądając kuchnię, doszedł do wniosku, że chłopak mieszka sam. W lodówce były tylko chude mleko i napoje energetyczne, na półkach pojemniki z witaminami i słoiki z suplementami diety.

Trzecie pomieszczenie równie wymownie świadczyło o stylu życia chłopaka. Stało tu wąskie nieposłane łóżko. Pościel z kadrami z *Gwiezdnych wojen*. Nad wezłowiem wisiał afisz z Bruce'em Lee, a na ścianach plakaty przedstawiające grupy rockowe i wyścigowe motocykle. Na jednej z półek stało stereofoniczne radio, a w kącie leżała gitara elektryczna.

Wydawało się, że to pokój nastolatka.

Marcus zadał sobie pytanie, ile lat może mieć Raffaele. Znalazł odpowiedź, gdy przekroczył próg czwartego pomieszczenia.

Stały tu krzesło i biurko przysunięte do ściany. Były to jedyne meble. Naprzeciwko nich wisiał na ścianie kolaż z artykułów prasowych. Papier był pożółkły, ale można było wszystko odczytać.

Pochodziły sprzed dziewiętnastu lat.

Marcus podszedł, żeby rzucić na nie okiem. Ułożone były w drobiazgowym porządku według dat, od lewej do prawej.

Informowały o podwójnym morderstwie. Jego ofiarami padli matka Raffaele, Valeria Altieri, i jej kochanek.

Marcus przyjrzał się uzupełniającym artykuły zdjęciom, które ukazały się w dziennikach, a także w magazynach ilustrowanych. Dla gazet informacja o zbrodni była po prostu plotką z życia wyższych sfer.

Valeria Altieri była kobietą piękną, elegancką i zepsutą, prowadziła wystawne życie. Jej mężem był Guido Altieri, bogaty, pozbawiony skrupułów i bardzo potężny adwokat broniący bohaterów afer i skandali, często przebywający za granicą. Marcus zobaczył go na zdjęciu z pogrzebu żony. Poważny i opanowany, patrzył na trumnę, trzymając za rączkę Raffaele, który miał wtedy trzy lata. Kochankiem Valerii był znany wioślarz, zwycięzca wielu regat, żigolak, młodszy od niej o kilka lat.

Morderstwo wywołało wiele szumu nie tylko dlatego, że dotyczyło

znanych osób, ale również z racji sposobu, w jaki zostało dokonane. Zabójcy zaskoczyli kochanków w łóżku. W śledztwie ustalono, że było ich co najmniej dwóch. Ale nie zatrzymano nikogo, nie było też podejrzanych. Ich tożsamość pozostała nieznana.

Chwilę potem Marcus zauważył szczegół, który przy pierwszym czytaniu uszedł jego uwagi. Brutalne zabójstwo popełniono właśnie tu, w mieszkaniu, w którym Raffaele mieszkał także teraz, mając dwadzieścia dwa lata.

Gdy mordowano jego matkę, spał w swoim łóżeczku.

Mordercy nie zauważyli jego obecności lub może postanowili go oszczędzić. Jednak następnego ranka dziecko się obudziło i zobaczyło dwa ciała przeszyte ponad siedemdziesięcioma ciosami noża. Marcus wyobraził sobie, że chłopczyk wybuchnął płaczem, bo zobaczył coś, czego nie rozumiał. Aby przyjąć kochanka, Valeria dała służbie wolne, więc morderstwo zostało odkryte dopiero po powrocie Altieriego z podróży służbowej do Londynu.

Przez całe dwa dni malec był sam z dwoma trupami.

Marcus nie potrafił wyobrazić sobie większego koszmaru. Coś wypłynęło z głębin jego pamięci. Było to poczucie samotności i opuszczenia.

Nie wiedział, kiedy go doświadczył, ale było w nim obecne. Jego rodzice już nie żyli, nie mógłby więc zapytać ich, czego to wspomnienie dotyczy. Nie pamiętał już nawet przykrego uczucia, jakie towarzyszyło ich utracie. Prawdopodobnie jednak była to jedna z nielicznych dobrych stron amnezji.

Spojrzał na blat biurka.

Leżały na nim różne papiery. Marcus chciałby usiąść i spokojnie je przejrzeć, ale nie miał na to czasu. Przebywanie w tym mieszkaniu było coraz bardziej ryzykowne. Ograniczył się więc do pospiesznego ich przerzucenia.

Znajdowały się wśród nich zdjęcia, kopie policyjnych zeznań, spisy

dowodów i podejrzanych. Te dokumenty nie powinny się tu znajdować. Obok różnego rodzaju notatek i osobistych refleksji Raffaele były tu także opisy śledztw prowadzonych przez agencję detektywistyczną.

— Ranieri — mruknął, odczytując wydrukowane na wizytówce nazwisko.

Raffaele zapytał go tej nocy: „Przysłał cię Ranieri? Możesz powiedzieć temu gnojkwowi, że z nim skończyłem”. Na wszelki wypadek Marcus włożył wizytówkę do kieszeni, a potem jeszcze raz spojrzął na wiszące na ścianie artykuły. Kto wie, ile pieniędzy ten cwany prywatny detektyw zdołał wyciągnąć od chłopaka, który miał obsesję: chciał znaleźć morderców matki. Wycinki z gazet, relacje i wszystkie te papiery były jej dowodem. Raffaele chciał zobaczyć twarze bestii, które zniszczyły jego dzieciństwo. Marcusowi przemknęło przez głowę, że dziecięca wyobraźnia tworzy wrogów z powietrza, pyłu i mroku, daje im postać czarnego luda albo złego wilka. Żyją w baśniach i wychodzą z nich tylko wtedy, gdy rodzice pobudzają wyobraźnię swoich dzieci. Zawsze jednak znikają i wracają do mrocznej krainy, z której wyszli.

Ale wrogowie Raffaele nie zniknęli.

Marcus zaczął się zastanawiać, co oznaczają trzy czerwone kropki umieszczone na dole listu, który sprowokował chłopaka do wizyty w mieszkaniu Lary.

„A ten symbol? Nikt nie zauważył tego symbolu” — powiedział wtedy Raffaele.

Marcus natrafił w papierach na dokument prokuratury, który mówił właśnie o tym, jednak sprawa została utajniona. Istniało wytłumaczenie takiego postępowania: śledczy często ukrywają przed prasą i opinią publiczną niektóre szczegóły, aby wyłapać fałszywe zeznania lub zniechęcić



mitomanów, ale także by wmawiać winnym, że nie mają żadnych konkretów. Po zabiciu Valerii Altieri na miejscu zbrodni odkryto coś ważnego. Coś, czego z jakiegoś powodu policja postanowiła nie ujawniać.

Marcus jeszcze nie wiedział, jaki ta sprawa może mieć związek z Jeremiahem Smithem i zniknięciem Lary. Zabójstwo zostało dokonane dziewiętnaście lat temu i nawet gdyby istniały jakieś dowody, których organy ścigania nie zauważyły, zostały one utracone na zawsze.

Spojrzał na zegarek: minęło już dwadzieścia minut, a nie chciał spotkać Raffaele. Pomyślał jednak, że warto przynajmniej zajrzeć do sypialni, w której została zamordowana Valeria Altieri. Kto wie jak wygląda teraz ten pokój.

Przekroczywszy próg pomieszczenia, zrozumiał z miejsca, że się pomylił.



Tym, co zobaczył najpierw, była krew.

Niebieskie prześcieradła w małżeńskim łóżku były nią przesiąknięte. Było jej tak dużo, że na materacu i poduszkach zachowały się kontury obu ciał. Jedno obok drugiego, złączone w rozpaczliwym uścisku.

Z łóżka krew spłynęła niczym lawa na biały dywanik i nasączyła jego włókna, zabarwiając je intensywną czerwienią, która klóciła się już z samą myślą o śmierci. Ściany były zbryzgane krwią, a jej krople rozłożyły się równomiernie ze świętokradczą harmonią oddającą szaleńczą nienawiść napastników.

Krwi użyto też do napisania na ścianie nad łóżkiem: EVIL. „Zło”.

Wszystko wyglądało tak, jakby morderstwo popełniono przed chwilą. Marcus miał wrażenie, że otwierając te drzwi, przeniósł się w przeszłość.

To niemożliwe, pomyślał.

Tak jak niemożliwe było to, że pokój został zachowany dokładnie w takim stanie, w jakim znajdował się tamtego tragicznego dnia dziewiętnaście lat temu.

Istniało tylko jedno wyjaśnienie. Marcus znalazł je w stojących pod ścianą pojemnikach z farbą i pędzlach. Na podłodze leżały też zdjęcia zrobione przez policyjnych techników — nie wiadomo, jak Raffaele je zdobył — które przedstawiały miejsce zbrodni. Scenerię, którą ujrzał ktoś, kto pierwszy przekroczył próg sypialni.

Tym kimś był adwokat Guido Altieri, który wrócił do domu w spokojny marcowy ranek.

Później wszystko się tu zmieniło. Nie tylko za sprawą prowadzącej śledztwo policji, ale także kogoś, kto wyczyścił wnętrze, starając się nadać mu poprzedni wygląd, po to, aby usunąć ślady tej potworności i przywrócić normalność.

Tak dzieje się zawsze, gdy dochodzi do gwałtownej śmierci, pomyślał Marcus. Zwłoki zostają wyniesione, krew wysycha. A po miejscach tragedii zaczynają chodzić ludzie nieświadomi tego, co tu się wydarzyło. Powraca życie, odzyskując przestrzenie, które zostały mu wydarte.

Nikt nie chciałby zachować podobnych wspomnień. Nawet ja, pomyślał.

A jednak Raffaele Altieri postanowił wiernie odtworzyć miejsce zbrodni i zaspokajając dziwną potrzebę wynikającą z obsesji, stworzył sanktuarium horroru. Próbując zamknąć w nim zło, sam został w nim uwięziony.

Marcus mógł teraz poszukać anomalii, które pomogłyby mu zrozumieć, co tu zaszło. Zrobił więc znak krzyża i wszedł do sypialni.

Podchodząc do łóżka, które przypominało ołtarz ofiarny, zrozumiał, dlaczego ta rzeź musiała być dziełem co najmniej dwóch ludzi.

Ofiary nie miały żadnej drogi ucieczki.

Próbował wyobrazić sobie Valerię Altieri i jej kochanka, zaskoczonych we śnie przez mordercę. Nie wiadomo, czy kobieta krzyczała, czy też powstrzymała się, żeby nie budzić synka, który spał w sąsiednim pokoju, i w ten sposób go uratować.

W nogach łóżka po prawej stronie widać było na podłodze kałużę krwi, a po lewej Marcus zauważył trzy małe okrągłe znaki. Podeszedł bliżej i pochylił się, żeby lepiej im się przyjrzeć. Tworzyły trójkąt równoboczny o bokach długości około pięćdziesięciu centymetrów.

To ten symbol.

Zastanawiał się nad jego znaczeniem, gdy, podniósłszy na chwilę wzrok, zobaczył coś, czego przedtem nie zauważył: małe ślady bosych stóp na dywaniku.

Wyobraził sobie trzyletniego Raffaele, jak rankiem zagląda ukradkiem do pokoju, aby stanąć w obliczu potworności, której sensu nie potrafi zrozumieć. Jak biegnie w stronę łóżka, stawiając stopy w kałuży krwi. Jak rozpaczliwie potrząsa ręką matki, starając się ją obudzić. Marcus wyobraził sobie także jego drobną sylwetkę na zakrwawionych prześcieradłach. Pewnie płakał godzinami, aż wreszcie skulił się obok trupa matki i wyczerpany zasnął.

Zanim znalazł go ojciec, Raffaele spędził w tym mieszkaniu dwa dni. I dwie bardzo długie noce, przeciwstawiając się samotnie strachom czającym się w ciemności.

Dzieci nie potrzebują wspomnień, uczą się, zapominając o tym, co było. Ale te czterdzieści osiem godzin wystarczyło, aby na zawsze naznaczyć życie Raffaele Altieriego.

Marcus nie mógł się poruszyć. Zaczął oddychać głęboko, bojąc się napadu panicznego strachu. Więc na tym polega jego talent? Na odkrywaniu mrocznego przesłania zła? Na umiejętności wsłuchiwania się w głosy

umarłych? Na bezsilnym przyglądaniu się morderczym skłonnościom ludzi?

„Psy nie rozróżniają kolorów”.

Tylko dlatego zrozumiał coś, czego świat nie dostrzegał w zachowaniu Raffaele: to trzyletnie dziecko ciągle prosiło o ratunek.

## *Godzina 9.04*

„Wiesz, Ginger, są rzeczy, które musisz zobaczyć na własne oczy”.

David powtarzał to za każdym razem, gdy wywiązywała się dyskusja na temat ryzyka, na jakie się narażał, wykonując swój zawód. Sandra schroniła się za aparatem fotograficznym, by nie stawać twarzą w twarz z przemocą, którą codziennie dokumentowała. Dla niego aparat był tylko narzędziem.

Rozróżnienie to przyszło jej na myśl, gdy urządziła w łazience prowizoryczną ciemnię, tak jak robił to David.

Uszczelniła drzwi i okno i wkręciła do oprawki nad lustrem czerwoną żarówkę. Przyniosła z poddasza powiększalnik oraz kuwety do wywoływania i utrwalania negatywów. Do dalszej obróbki zdjęć postanowiła wykorzystać miski do prania. Z kuchni przyniosła szczypce, nożyczki i chochlę. Papier fotograficzny i substancje chemiczne, które wciąż miała, nadawały się jeszcze do użytku.

Do leiki zakładało się film 135-35 milimetrów. Sandra przewinęła go i wyjęła z aparatu.

To, co chciała zrobić, wymagało kompletnych ciemności. Założyła rękawiczki, otworzyła szpulkę i wyjęła film. Odcięła nożyczkami początek i zaokrągliła rogi, po czym wsunęła go do koreksu. Wlała przygotowany wcześniej wywoływacz i zaczęła odmierzać czas. Powtórzyła tę operację z utrwalaczem, następnie opłukała wszystko pod bieżącą wodą, wlała do kuwety kilka kropli łagodnego szamponu, ponieważ nie zawierał emulgatora, aż wreszcie powiesiła film nad wanną, by wysechł.

Uruchomiła stoper na swoim zegarku i oparła się plecami o ścianę z kafelków. Westchnęła. To czekanie w ciemności było denerwujące. Zadawała sobie pytanie, dlaczego David robił zdjęcia tym starym aparatem. Coś jej mówiło, że to nic nie znaczy, że ulega złudzeniu wywołanemu niemożnością pogodzenia się z bezsensowną śmiercią męża.

Mimo iż fotografowanie było pasją i zawodem ich obojga, nie mieli wspólnego zdjęcia. Co jakiś czas Sandra się nad tym zastanawiała. Dopóki mąż żył, nie uznawała tego za dziwne. Nie odczuwaliśmy takiej potrzeby, powtarzała sobie. Gdy żyje się tak intensywnie teraźniejszością, przeszłość nie jest potrzebna. Nie przyszło jej do głowy, że powinna gromadzić pamiątki, ponieważ pewnego dnia będzie ich potrzebowała, aby utrzymać się przy życiu. Ale w miarę upływu czasu zapas jej wspomnień się uszczuplał. Spędzili razem tak niewiele lat w porównaniu z tym, co, statystycznie rzecz biorąc, pozostało jej jeszcze do przeżycia. Co ma zrobić z tymi wszystkimi dniami? Czy kiedykolwiek znowu poczuje do kogoś to, co czuła do Davida?

Te rozmyślenia przerwał sygnał stopera. Mogła zapalić czerwoną żarówkę. Najpierw sięgnęła po rolkę filmu, którą powiesiła nad wanną, i obejrzała ją pod światło.

Zobaczyła na błonie pięć zdjęć, ale nie potrafiła powiedzieć, co przedstawiają. Zabrała się do robienia odbitek. Przygotowała trzy naczynia: pierwsze z wywoływaczem, drugie z wodnym roztworem kwasu octowego do kąpieli przerywającej, a trzecie z utrwalaczem, również rozpuszczonym w wodzie.

Włożyła film do powiększalnika i rzuciła pierwszy negatywowo obraz na papier fotograficzny. Zanurzyła zdjęcie w naczyniu z wywoływaczem. Przez chwilę delikatnie nim poruszała i stopniowo na papierze ukazywał się obraz.

Był ciemny.

Przemknęło jej przez głowę, że zdjęcie się nie udało, ale mimo to włożyła je do dwóch pozostałych naczyń, a potem zawiesiła nad wanną. Powtórzyła tę operację z pozostałymi negatywami.

Na drugim zdjęciu zobaczyła odbicie Davida w lustrze — stał przed nim nagi do pasa. Jedną ręką trzymał na wysokości twarzy aparat fotograficzny, a drugą unióś w geście pozdrowienia. Nie uśmiechał się jednak. Przeciwnie, miał poważną minę. Za jego plecami widać było kalendarz otwarty na miesiącu jego śmierci. Sandra pomyślała, że to prawdopodobnie ostatnie zdjęcie Davida.

Ponure pożegnanie ducha.

Trzecia fotografia przedstawiała plac budowy. Widać było kolumny wznoszonej budowli, brakowało ścian. Sandra pomyślała, że mogła zostać zrobiona w budynku, z którego David spadł.

Dlaczego poszedł tam z leicą?

Do wypadku doszło nocą, natomiast zdjęcie zostało zrobione w dzień. Być może przeprowadzał wizję lokalną.

Czwarte zdjęcie było bardzo dziwne. Widniał na nim obraz pochodzący, jak się wydawało, z XVII wieku. Sandra była pewna, że został na nim uwieczniony tylko fragment większego płótna. Przedstawiał dziecko, nieco odwrócone, jakby zamierzało uciec. Oglądało się jeszcze za siebie, niezdolne oderwać wzroku od czegoś, co je przerażało, a jednocześnie przyciągało. Otworzyło ze zdumienia usta, a na jego twarzy malowało się wzburzenie.

Sandra była pewna, że widziała już tę scenę, ale nie mogła sobie przypomnieć, na jakim obrazie. Przyszło jej na myśl zamiłowanie inspektora De Michelisa do sztuki i malarstwa i postanowiła zapytać go o zdanie.

Nie miała wątpliwości co do jednej sprawy: ten obraz znajdował się w Rzymie. Powinna tam pojechać.

Jej zmiana miała się zacząć o czternastej, ale pomyślała, że poprosi o zwolnienie na kilka dni. Po śmierci Davida nie wykorzystała urlopu z powodów rodzinnych. Gdyby pojechała ekspresem, po niecałych dwóch godzinach byłaby na miejscu. Chciała zobaczyć wszystko na własne oczy, zrozumieć, jak to się stało, ponieważ była pewna, że istnieje jakieś wytłumaczenie.

Planowała podróż, zajmując się jednocześnie robieniem ostatniej odbitki. Pierwsze cztery zawierały jedynie pytania, które dołączyły do tych, jakie postawiła sobie do tej pory.

Być może na piątym zdjęciu będzie jakaś odpowiedź.

Poruszała nim bardzo delikatnie, podczas gdy na papierze ukazywał się obraz. Ciemna plama na jasnym tle. Zaczęły się zarysowywać szczegóły, niczym wrak okrętu wyłaniający się z morskiej otchłani po spędzeniu dziesiątków lat w nieprzeniknionych ciemnościach.

Była to twarz.

Zdjęcie zostało zrobione z profilu. Mężczyzna nie zorientował się, że ktoś go fotografuje. Czy mógł mieć jakiś związek z tym, co David robił w Rzymie, lub może nawet miał coś wspólnego z jego śmiercią? Sandra uświadomiła sobie, że musi go odnaleźć.

Miał czarne włosy, niepewne i melancholijne oczy, czarne ubranie.

Na jego skroni widać było bliznę.



## Godzina 9.56

Marcus patrzył na panoramę Rzymu, stojąc na zamkowym tarasie. Za jego plecami Archanioł Michał rozpościerał skrzydła i unosił miecz, spoglądając na ludzkie istoty i ich niezliczone nieszczęścia. Po lewej stronie posągu wisiał dzwon miłosierdzia, którego uderzenia w dawnych mrocznych czasach, gdy zamek Świętego Anioła był papieskim więzieniem, powiadamiały o egzekucjach.

Teraz turyści robili tu zdjęcia, korzystając ze słońca, które przedarło się przez chmury i zalało blaskiem mokre od deszczu miasto.

Do Marcusa podszedł Clemente i stanął, nie odrywając spojrzenia od rozpościerającego się w dole widoku.

— Co się dzieje?

Aby umówić się na spotkanie, korzystali z poczty głosowej. Gdy jeden z nich chciał zobaczyć się z drugim, wystarczało, że zostawił wiadomość, podając miejsce i godzinę.

— Chodzi o zamordowanie Valerii Altieri.

Clemente odpowiedział dopiero po chwili. Przedtem przyjrzał się opuchniętej twarzy przyjaciela.

— Kto cię tak urządził?

— Poznałem dziś w nocy jej syna, Raffaele.

Clemente kiwnął głową.

— Brzydka sprawa, do dziś niewyjaśniona.

Powiedział to tak, jakby dobrze wiedział, o co chodzi. Marcus uznał, że

to dziwne, jako że w tamtym czasie Clemente mógł mieć niewiele ponad dziesięć lat. Istniało więc tylko jedno wyjaśnienie — zajmowali się nią także oni.

— Czy jest coś w archiwum?

Clemente nie lubił, gdy wspominało się o tej instytucji w miejscu publicznym.

— Powinieneś bardziej uważać — upomniał Marcusa.

— To bardzo ważne. Co wiesz o sprawie?

— Śledztwo toczyło się dwutorowo, w obu przypadkach podejrzanym był Guido Altieri. Chodziło przecież o niewierną żonę. Adwokat miał znajomości i pieniądze, więc mógł zlecić morderstwo i się z tego wykreśćić.

Jeśli winnym był Guido Altieri, to świadomie zostawił syna z trupami na dwa dni tylko po to, żeby wzmocnić swoje alibi. Marcus nie mógł w to uwierzyć.

— A drugi trop?

— Altieri to kombinator, był wtedy w Londynie, gdzie finalizował fuzję dużych spółek. W rzeczywistości ta operacja miała na celu ukrycie jakichś brudnych interesów. Chodziło w nich o ropę naftową i handel bronią, gra toczyła się o wielkie pieniądze. Angielskie słowo EVIL wypisane nad łóżkiem można zinterpretować jako informację dla adwokata.

— Albo groźbę.

— No cóż, mordercy oszczędzili jego syna.

Marcus odprowadził wzrokiem grupkę dzieci, które przebiegały obok niego. Zazdrościł im beztroski.

— Jak to się stało, że te dwa tropy doprowadziły donikąd?

— Jeśli chodzi o pierwszy, to Guido i Valeria Altieri zamierzali się rozwieść. Ona prowadziła zbyt rozwiązły tryb życia, a wioślarz był ostatnim

z długiej listy jej kochanków. Adwokat nie odczuwał chyba bólu po tej stracie, bo po kilku miesiącach znowu się ożenił. Ma nową rodzinę, dzieci. Poza tym gdyby ktoś taki jak Altieri chciał pozbyć się żony, wybrałby mniej krwawy sposób.

— A Raffaele?

— Od lat z nim nie rozmawia. O ile mi wiadomo, chłopak jest niezrównoważony, ciągle trafia do szpitali psychiatrycznych. Obwinia ojca o to, co się stało.

— A hipoteza międzynarodowego spisku?

— Przez jakiś czas brano ją pod uwagę, potem jednak odrzucono z braku dowodów.

— Na miejscu zbrodni nie było odcisków palców, żadnych śladów?

— Mordercy byli dokładni i wykonali czystą robotę.

Marcus pomyślał, że gdyby nawet tak nie było, to morderstwo zostało popełnione w czasach, gdy śledztwa prowadzono starymi metodami. Dopiero zaczynano stosować analizę DNA. Ponadto na miejscu zbrodni przez czterdzieści osiem godzin przebywało dziecko, a potem wszystko posprzątano. Przypomniawszy sobie, jaką inscenizację zrobił Raffaele Altieri. Niemożność znalezienia sprawców dziewiętnaście lat temu sprawiła, że śledztwo zamknięto. Dlatego teraz trudno będzie znaleźć jakiś punkt zaczepienia.

— Był też trzeci trop, prawda? — spytał Marcus.

Domyślił się tego — był to powód, dla którego sprawa interesowała także ich. Nie rozumiał, dlaczego Clemente o nim nie wspomniawszy, próbował zmienić temat.

— Posłuchaj, co to ma wspólnego z Jeremiahem Smithem i zniknięciem Lary?

— Jeszcze nie wiem. Wczoraj w nocy Raffaele Altieri był w mieszkaniu tej dziewczyny, ktoś napisał do niego list z prośbą, by tam przyszedł.

— Kto?

— Nie mam pojęcia, ale w mieszkaniu Lary na półce z książkami kucharskimi stała Biblia. To uszło mojej uwagi podczas pierwszej wizyty. Czasami potrzebne są ciemności, żeby lepiej widzieć różne rzeczy, dlatego dziś w nocy wróciłem do tego mieszkania. Chciałem odtworzyć warunki, w jakich działał Jeremiaś.

— Biblia? — zdziwił się Clemente.

— Zaznaczono zakładką miejsce, w którym znajduje się Pierwszy List a do Tesaloniczan, a w nim słowa: *Dzień Pański przyjdzie tak, jak złodziej w nocy*. Gdyby to nie było absurdalne, powiedziałbym, że ktoś zostawił tę informację dla nas, żebyśmy natknęli się na Raffaele Altieriego.

Clemente zbladł.

— Nikt o nas nie wie.

— Tak, nikt — potwierdził Marcus.

— Wiesz, że nie mamy dużo czasu na uratowanie Lary?

— Kazalesz mi iść za głosem instynktu, mówiłeś, że tylko ja mogę ją odnaleźć. Właśnie to robię. Opowiedz mi teraz o tym innym tropie. Oprócz słowa EVIL na miejscu zbrodni znaleziono trzy znaki zrobione krwią ofiar, tworzące trójkąt.

Clemente odwrócił się w stronę archanioła z brązu, jakby chciał poprosić go o opiekę.

— To jest tajemny symbol.

Nic dziwnego, pomyślał Marcus, że policja postanowiła nie umieszczać tego szczegółu w protokołach. Gliny to ludzie praktyczni, nie podobało się im, że śledztwo zbacza w kierunku tajemnego świata. Takich dowodów nie

można przedstawić sądowi, bo mogłyby pozwolić ewentualnym oskarżonym powołać się na zaburzenia umysłowe. Poza tym zawsze istniało ryzyko skompromitowania się.

Mimo wszystko Clemente brał tę hipotezę pod uwagę.

— Zdaniem pewnych osób w tej sypialni został odprawiony jakiś rytuał.



Rytualne zbrodnie wchodziły do sfery anomalii, którymi zazwyczaj się zajmowali. Hedonizm mieszał się w nich z seksem. Czekając, aż Clemente wydobędzie dla niego z archiwum teczkę z aktami sprawy Valerii Altieri, Marcus chciał jak najprędzej zrozumieć znaczenie trójkątnego symbolu. W tym celu udał się do jedyne miejsce, w którym mógł znaleźć odpowiedź.

Biblioteca Angelica mieści się w byłym klasztorze Augustianów przy Piazza Sant'Agostino. Od XVII stulecia bracia zakonnicy zajmowali się zbieraniem, katalogowaniem i przechowywaniem około dwustu tysięcy cennych woluminów, podzielonych na zbiory starożytne i nowożytne. Była to pierwsza biblioteka w Europie dostępna szerokiemu ogółowi czytelników.

Marcus siedział w otoczeniu drewnianych regałów wypełnionych księgami przy jednym ze stolików czytelnicy zwanej Wazą Vanvitellego, od nazwiska architekta, który przebudował kompleks w XVIII wieku. Wchodziło się do niej przez westybul ozdobiony portretami słynnych członków Arcadii, w którym umieszczono katalogi. Nieco dalej, w głębi, znajdowało się chronione pomieszczenie zawierające najcenniejsze miniatury.

Przez wieki Biblioteca Angelica była przedmiotem różnych kontrowersji na tle religijnym, ponieważ przechowywano w niej także liczne teksty zakazane. To właśnie one interesowały Marcusa, który poprosił o

umożliwienie przejrzenia kilku tomów poświęconych nauce o symbolach.

Założył białą bawełnianą rękawiczkę, ponieważ zetknięcie z kwasami wydzielanymi przez skórę mogłoby zaszkodzić papierowi. W pomieszczeniu słychać było tylko odgłos odwracania stron, podobny do uderzeń skrzydeł motyla. W czasach inkwizycji Marcus za czytanie tych słów zapłaciłby życiem. Po trwających godzinę poszukiwaniach poznał pochodzenie trójkątnego symbolu.

Stworzony jako przeciwieństwo chrześcijańskiego krzyża, stał się godłem niektórych kultów satanicznych. Jego powstanie sięgało czasów przejścia na wiarę chrześcijańską cesarza Konstantyna. Chrześcijanie przestali być prześladowani i wyszli z katakumb, za to schronili się w nich poganie.

Marcusa zdumiało odkrycie, że nowoczesny satanizm pochodzi od tych pogańskich wyznań. A ponieważ głównym przeciwnikiem Boga chrześcijan był szatan, jego postać zastąpiła w ciągu wieków inne bóstwa. Adepti tych kultów byli wyjęci spod prawa. Spotykali się w odosobnionych miejscach, zwykle pod gołym niebem. Rysowali kijem w miękkiej ziemi kontury murów swojej świątyni, dzięki czemu mogli łatwo je usunąć, gdyby zostali przyłapani. Zabijanie ofiar służyło pieczętowaniu paktów krwi między wyznawcami. Jednak oprócz celów rytualnych miało też pewien cel praktyczny.

Jeśli każę ci kogoś zamordować, jesteś związany ze mną na całe życie, pomyślał Marcus. Ktoś, kto porzucał sektę, ryzykował, że zostanie oskarżony o morderstwo.

W katalogu biblioteki znalazł książki, które opisywały ewolucję tych praktyk aż do czasów nowożytnych. A ponieważ były to nowe wydania, Marcus zdjął rękawiczkę i zagłębił się w lekturze tekstu poświęconego kryminologii.

Wątek satanistyczny pojawiał się w wielu zabójstwach. Najczęściej jednak chodziło tylko o pretekst do organizowania orgii seksualnych. Niektórzy psychopatyczni mordercy byli przekonani, że pragnie nawiązać z nimi kontakt jakaś „siła wyższa”. Odpowiedzią na to wezwanie był udział w krwawym rytuale, a rola posłańców przypadła trupom.

Najsłynniejszy tego rodzaju przypadek dotyczył Davida Richarda Berkowitza, lepiej znanego jako Syn Sama, seryjnego mordercy, który terroryzował Nowy Jork pod koniec lat siedemdziesiątych. Po schwytaniu opowiedział policji, że mordować kazała mu demoniczna istota, która przemawiała do niego za pośrednictwem psa sąsiada.

Często zbrodni o charakterze satanistycznym dokonywało kilka osób, gdyż w grupie łatwiej wyzbyć się hamulców, a odpowiedzialność zbiorowa zwalnia od poczucia winy.

Istnieje satanizm szczególnego rodzaju, którego wyznawcy zażywają narkotyki; wówczas łatwiej nimi manipulować. Grupy te można łatwo rozpoznać po stroju: ubierają się na czarno i noszą sataniczne symbole. Bardziej niż bluźniercze teksty inspiracji dostarcza im heavy metal.

Marcus pomyślał, że napis EVIL na ścianie sypialni Valerii Altieri może wskazywać na takich właśnie ludzi. Ale tego rodzaju grupy rzadko zabijają, częściej ograniczają się do odprawiania czarnych mszy i składania ofiar ze zwierząt.

Prawdziwy satanizm nie był nigdy tak oczywisty, zauważył Marcus. Opierał się na tajemniczości, nie było dowodów jego istnienia, a jedynie zwodnicze i sprzeczne poszlaki. W zasadzie było bardzo niewiele satanicznych zabójstw, których nie można by przypisać fanatykom lub chorym psychicznie. Najsłynniejszy przypadek miał miejsce właśnie we Włoszech i dotyczył tak zwanego Potwora z Florencji.

Marcus przeczytał z uwagą krótki opis tej sprawy. Śledczy odkryli, że osiem podwójnych zabójstw, do jakich doszło w latach 1974–1985, było dziełem nie jednego, ale grupy morderców. Zatrzymali sprawców, ale nie posunęli się dalej, i to pomimo obaw, że mogą istnieć zleceniodawcy powiązani z jakimś rodzajem sekty praktykującej czarną magię. Sekty, która nie została zidentyfikowana. Pojawiła się teza, że zbrodnie zostały popełnione na zamówienie w celu zdobycia ludzkich fetyszów, które miały być wykorzystywane w bliżej nieokreślonych ceremoniach.

Marcus wyłowił z opisu ustęp, który mógł się okazać użyteczny. Odnosił się do motywacji, popychającej Potwora z Florencji do zabijania młodych par zawsze w jakimś ustronnym miejscu. Zadawał śmierć, zwaną także *mors justi*, w chwili gdy ofiary przeżywały orgazm. Wierzono, że dokładnie w tym momencie uwalniają się szczególne moce zdolne wzmocnić efekty magicznego rytuału.

W niektórych przypadkach zabijano w dniach poprzedzających chrześcijańskie święta, przy czym wybierano noce, gdy Księżyc był w nowiu.

Marcus sprawdził datę zamordowania Valerii Altieri i jej kochanka: noc dwudziestego czwartego marca, w wigilię Święta Zwiastowania Pańskiego, kiedy to według Ewangelii Archanioł Gabriel powiedział Najświętszej Marii Pannie, że powije ona Syna Bożego. Tej nocy rozpoczął się nów.

Pojawiły się tu wszystkie elementy zbrodni satanistycznej. Należałoby więc skierować na ten trop śledztwo, które zamknięto prawie dwadzieścia lat temu. Marcus był przekonany, że ktoś, kto znał kulisy tej zbrodni, wolał jednak milczeć. Sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę Ranieriego, którą zabrał z biurka Raffaele Altieriego.

Postanowił zacząć od prywatnego detektywa.





Ranieri miał biuro na ostatnim piętrze niedużego budynku w dzielnicy Prati. Marcus zobaczył go, jak wysiadał z zielonego subaru. Wyglądał na dużo starszego niż na zdjęciu, które znajdowało się na stronie internetowej jego agencji. Marcus uznał za niewłaściwe, że facet pracujący w zawodzie opierającym się na dyskrecji pokazuje twarz. Ale prawdopodobnie Ranieri wcale się tym nie przejmował.

Zanim Marcus wszedł do budynku, zauważył, że zaparkowane auto jest pokryte błotem. Mimo deszczu padającego przez ostatnie kilka godzin było nieprawdopodobne, by tak ubrudziło się w Rzymie. Detektyw zapewne był gdzieś poza miastem.

Portier w budynku zabierał się właśnie do czytania gazety, więc Marcus przeszedł obok niego bez przeszkód. Ranieri nie wszedł do windy, a szybkość, z jaką wchodził po schodach, wskazywała, że bardzo mu się spieszy.

Wszedł do biura, natomiast Marcus zatrzymał się na pierwszym piętrze, gdzie znajdowała się wnęka, w której mógł się schować i poczekać, aż facet wyjdzie, a potem wślizgnąć się do biura i odkryć, skąd ten pośpiech.

Gdy prowadził poranne poszukiwania w bibliotece, Clemente zdobył dla niego akta sprawy z sygnaturą c.g. 796-74-8. Zawierały szczegółowe informacje na temat wszystkich osób zamieszanych w tę sprawę. Marcus znalazł materiały w skrzynce pocztowej wielkiego bloku mieszkalnego. Korzystali z niej, by przekazywać sobie różne dokumenty, nie należała do żadnego z mieszkańców.

Czekając, aż Ranieri wyjdzie, Marcus dokładnie przeczytał jego dossier.

Prywatny detektyw nie cieszył się dobrą opinią. Nic dziwnego. Z powodu

niewłaściwego postępowania został wykreślony z oficjalnego rejestru. Wydawało się, że nie było to jego jedyne zajęcie, a w przeszłości był zamieszany w kilka nadużyć, zasłużył nawet na wyrok za obracanie fałszywymi czekami. Jego najlepszym klientem był Raffaele Altieri, od którego zdołał wyciągnąć sporo pieniędzy. Jednak od jakiegoś czasu nie utrzymywali kontaktów. Biuro w dzielnicy Prati służyło do przyciągania naiwnych klientów w celu ich wykorzystania. Nie było tam nawet sekretarki.

W chwili gdy Marcus zastanawiał się nad tym szczegółem, na klatce schodowej rozległ się krzyk kobiety. Wydawało się, że dochodzi z ostatniego piętra.



Został tak przeskolony, że wiedział, iż w podobnych przypadkach powinien zniknąć, a znalazłszy się w bezpiecznym miejscu, zawiadomić policję. Najważniejsza była anonimowość, którą musiała zachować za wszelką cenę.

Ja nie istnieję, przypomniał sobie.

Odczekał chwilę, żeby się zorientować, czy ktoś w budynku coś usłyszał, jednak nikt się nie pokazał. Marcus nie mógł się powstrzymać. Gdyby jakaś kobieta znalazła się w niebezpieczeństwie, a on nic by nie zrobił, nie wybaczyłby sobie tego do końca życia. Zamierzał wejść na ostatnie piętro, gdy drzwi biura się otworzyły i Ranieri ruszył w dół po schodach. Marcus cofnął się do swojej kryjówki i mężczyzna przeszedł, nie zauważywszy go. Niósł skórzaną teczkę.

Upewniwszy się, że prywatny detektyw wyszedł z budynku, Marcus puścił się biegiem po schodach.

Dotarłszy do podestu, otworzył kopniakiem drzwi biura. Znalazł się w

wąskiej poczekalni. W głębi korytarza był pokój i Marcus rzucił się w tamtą stronę. Stanąwszy w progu, usłyszał odgłosy uderzeń; ktoś mówił, że to tylko wiatr szarpie otwartym oknem.

Żadnej kobiety.

Zobaczył jednak drugie, zamknięte drzwi. Podszedł do nich ostrożnie, położył rękę na klamce i otworzył je szybkim ruchem, pewny, że zobaczy coś strasznego. Ale była to tylko mała łazienka. Pusta.

Gdzie mogła się znajdować kobieta, której krzyk słyszał?

Lekarze mówili mu, że może mieć halucynacje słuchowe, uboczny skutek amnezji. Już mu się to przydarzyło. Pewnego razu miał wrażenie, że słyszy natrętny dzwonek telefonu na poddaszu przy via dei Serpenti. Ale tam nie było telefonu. Innym razem słyszał Devoka, który wołał go po imieniu. Nie wiedział, czy był to jego głos, mimo to połączył ten dźwięk z twarzą, a więc istniała nadzieja, że pewnego dnia wspomnienia wrócą. Lekarze mówili, że amnezja wywołana przez uszkodzenie mózgu jest nieodwracalna, a jego stan nie ma podłoża psychicznego. Mimo to istniała możliwość, że odzyska pamięć utajoną i pierwotną.

Odetchnął głęboko, starając się usunąć ze świadomości krzyk kobiety. Chciał zrozumieć, co się wydarzyło w tym pomieszczeniu.

Podszedł do otwartego okna i spojrzął w dół. Miejsce, w którym Ranieri zaparkował subaru, było puste. Jeśli pojechał autem, nie powinien prędko wrócić, więc Marcus miał trochę czasu.

Na asfalcie widać było plamę oleju. Marcus dodał ten szczegół do smug błota, które zauważył na karoserii auta, wysnuwając wniosek, że tego ranka detektyw jeździł po wyboistym terenie, na którym ubłocił i uszkodził samochód.

Zamknął okno i zabrał się do przeszukiwania biura.

Ranieri przebywał w nim nieco ponad dziesięć minut. Po co przyjechał?

Istniał sposób, żeby się tego dowiedzieć, Marcus przypomniał sobie jedną z nauk Clemente. Kryminolodzy nazywali to zagadką pustego pokoju. Należało wyjść od założenia, że każde, także najmniej znaczące wydarzenie zostawia po sobie ślady, które z upływem minut tracą tajemniczość.

Dlatego choćby wewnątrz wydawało się puste, nie było takie. Zawierało wiele informacji. Marcus miał jednak za mało czasu na ich szukanie i odtworzenie tego, co się tu wydarzyło.

Rozejrzał się. W połowie pusta biblioteczka zawierająca czasopisma poświęcone broni i książki prawnicze. Sądząc z warstwy pokrywającego je kurzu, służyły jako dekoracja. Wytarty dywan, dwa foteliki przed biurkiem, a za nim obrotowe krzesło.

Zobaczył telewizor plazmowy i stary magnetowid. Myślał, że takie urządzenia wyszły już z użycia. Zastanawiające było to, że nigdzie nie leżały kasety.

Zapamiętał ten szczegół i szukał dalej. Na ścianach wisały dyplomy potwierdzające udział Ranieriego w specjalistycznym stażu poświęconym technikom detektywistycznym. Przeterminowana licencja oprawiona w krzywą ramkę. Marcus zdjął ją ze ściany i odkrył małą kasę pancerną. Jej drzwiczki były tylko przymknięte. Otworzył ją. Okazała się pusta.

Przypomniał sobie skórzaną teczkę, z którą Ranieri wyszedł z biura. Mógł w niej coś wynieść. Pieniądze? Planował ucieczkę? Przed czym, a może przed kim?

Gdy Marcus tu wszedł, okno było uchylone. Dlaczego detektyw zostawił je otwarte?

Żeby przewietrzyć pokój? W powietrzu można było wyczuć lekki, ale charakterystyczny zapach spalenizny. Papier, pomyślał Marcus. I podszedł do

kosza na śmieci.

Była w nim tylko jedna kartka pomarszczona od ognia.

Ranieri nie tylko zabrał z biura jakiś przedmiot, ale też przed wyjściem czegoś się pozbył. Marcus wyjął z kosza to, co pozostało z kartki, i położył ostrożnie na blacie biurka. Poszedł do łazienki, sprawdził etykietę na mydle w płynie i zabrał je ze sobą. Umoczył w nim palec i, starając się wyprostować zwęglony papier, przeciągnął palcem po ciemniejszej plamie, w miejscu, w którym mógł być jakiś napis. Następnie z pojemnika na stole wyjął woskową zapalną — taką samą, jaką najprawdopodobniej posłużył się niedawno Ranieri — i podpalił kartkę. Przedtem jednak odczekał chwilę, żeby się skupić. Miał do dyspozycji tylko tę jedną próbę, po której papier zostałby ostatecznie zniszczony.

Jeśli nie liczyć ataków migreny, halucynacji słuchowych oraz poczucia zagubienia, amnezja miała przynajmniej jedną dobrą stronę: zapewniła mu dużą zdolność zapamiętywania. Marcus był przekonany, że umiejętność szybkiego uczenia się zależy od wolnej przestrzeni w jego głowie. Zauważył też, że ma doskonałą pamięć fotograficzną.

— Miejmy nadzieję, że to zadziała — mruknął do siebie.

Potarł zapalną, uniósł kartkę i przesunął pod nią płomień od lewej do prawej, w kierunku, w którym się czyta.

Atrament zaczął reagować z gliceryną zawartą w mydle. Spalając się wolniej niż reszta, stworzył rodzaj kontrastu. Zaczęły się pokazywać znaki ręcznego pisma. Wzrok Marcusa biegł po kartce, chwytając ukazujące się litery i cyfry. W kilka chwil było po wszystkim została tylko chmurka szarego dymu. Ale Marcus zdobył odpowiedź. Na kartce zapisany był adres: via delle Comete 19. Ale zanim wszystko znikło, zauważył też trzy kropki tworzące trójkąt.

Był identyczny z tym na wizytówce, którą otrzymał Raffaele Altieri, wskazano tylko inne miejsce.

## Godzina 14.00

— Nie sędę, żeby to był dobry pomysł — powiedział De Michelis. Przez telefon bywał bardzo bezpośredni.

Sandra wyrzucała sobie, że go w to wciągnęła. W Rzymie z powodu deszczu były korki i taksówka, którą złapała na dworcu, jechała bardzo wolno.

Inspektor chciał jej pomóc, ale nie rozumiał, dlaczego Sandra musiała wyjechać.

— Jesteś pewna, że robisz to, co powinnaś?

Miała ze sobą walizkę na kółkach, w której oprócz rzeczy osobistych były zdjęcia zrobione leicą, notes Davida oraz krótkofalówka znaleziona w jego torbie.

— David miał niebezpieczną pracę. Uzgodniliśmy, że nie będzie mi mówił, dokąd jedzie. — Jej mąż utrzymywał, że chce jej oszczędzić tego, co nazywał niepokojem dręczącym żonę żołnierza przebywającego na froncie. — Dlaczego więc okłamał mnie w wiadomości, którą zostawił w poczcie głosowej? Co go skłoniło, aby mówić, że jest w Oslo? Zastanawiałam się nad tym i doszłam do wniosku, że jestem skończoną idiotką. On niczego przede mną nie ukrywał, po prostu chciał obudzić moją czujność.

— Zgoda, być może coś odkrył i nie chciał cię narażać, a teraz ty sama ściągasz na siebie niebezpieczeństwo.

— Nie sędę. David wiedział, że naraża się na ryzyko, i chciał, żebym przeprowadziła dochodzenie, w razie gdyby mu się coś przydarzyło. Dlatego

zostawił mi ślady, po których powinnam teraz iść.

— Masz na myśli zdjęcia zrobione tym starym aparatem?

— À propos, wiesz już może, z jakiego obrazu pochodzi to uciekające dziecko?

— Słowny opis nic mi nie mówi. Musiałbym zobaczyć zdjęcie.

— Przesłałam ci je e-mailem.

— Wiesz przecież, że ja z tymi komputerami... Ale poproszę któregoś z chłopaków, żeby mi je otworzył. Postaram się poinformować cię o tym jak najprędzej.

Sandra wiedziała, że może na niego liczyć. Potrzebował pięciu miesięcy, żeby jej powiedzieć, jak bardzo jest mu przykro z powodu śmierci Davida, ale w sumie był z niego świetny gość.

— Inspektorze...

— Tak?

— Od ilu lat jesteś żonaty?

De Michelis się roześmiał.

— Od dwudziestu pięciu. Dlaczego pytasz?

Sandra zastanawiała się nad tym, co powiedział jej Shalber.

— Wiem, że to sprawa osobista... Ale czy kiedykolwiek miałeś wątpliwości co do wierności swojej żony?

— Pewnego popołudnia Barbara powiedziała mi, że idzie na spotkanie z przyjaciółką. Wiedziałem, że kłamie. Znasz ten szósty zmysł, jaki ma każdy policjant?

— Tak, chyba wiem, co masz na myśli. — Sandra nie była pewna, czy chce usłyszeć tę historię. — Ale nie musisz mi opowiadać o swoich prywatnych sprawach.

Jednak De Michelis kontynuował opowieść, nie zwracając uwagi na jej



słowa.

— Postanowiłem ją śledzić jak zwykłego kryminalistę. A ona niczego nie zauważyła. Ale w pewnym momencie zastanowiłem się nad tym, co właściwie robię. I się wycofałem. Jeśli chcesz, możesz nazwać to strachem. W rzeczywistości nie byłem ciekaw, czy mnie okłamała. Gdybym odkrył, że idzie do przyjaciółki, miałbym poczucie, że ją zdradziłem. Bo jeśli ja miałem prawo do wiernej żony, to Barbara również zasługiwała na męża, który by jej ufał.

Sandra zrozumiała, że jej starszy kolega podzielił się z nią czymś, z czego prawdopodobnie nie zwierzył się nikomu innemu. Zdobyła się więc na odwagę, żeby powiedzieć mu resztę.

— De Michelis, muszę cię poprosić o kolejną przysługę...

— Co jeszcze? — Inspektor udał, że jest znudzony.

— Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie niejaki Shalber z Interpolu. Uważa, że David był zamieszany w coś podejrzanego. Odniosłam wrażenie, że to jakiś intrygant.

— Rozumiem. Zasięgnę informacji na jego temat. To wszystko?

— Tak, dziękuję — odparła Sandra, podniesiona na duchu.

Ale De Michelis jeszcze nie skończył.

— Wybacz mi ciekawość, ale dokąd teraz jedziesz?

Tam, gdzie wszystko się skończyło, chciała powiedzieć Sandra.

— Do tego budynku w budowie, z którego spadł David.



To ona chciała, żeby zamieszkali razem. Ale David zaakceptował ten pomysł. Tak jej się przynajmniej wydawało. Znali się tylko kilka miesięcy i nie była pewna, czy potrafi właściwie odczytywać reakcje mężczyzny, w

którym się zakochała. Reakcje Davida nigdy nie były jednoznaczne. Gdy nie zgadzali się w czymś, to ona podnosiła głos i się złościła. On był niezdecydowany i ugodowy, a przede wszystkim roztargniony. Sandra nie mogła pozbyć się myśli, że ta pozorna obojętność Davida była strategią polegającą na tym, że najpierw pozwalał jej się wyładować, a potem sprawiał, że zapominała, co ją tak zirytowało.

Najlepszym potwierdzeniem jej teorii było to, co wydarzyło się miesiąc po tym, jak się do niej wprowadził.

Od tygodnia David zachowywał się dziwnie i był milczący. Sandra odnosiła wrażenie, że jej unika, również byli sami w domu. Chociaż nawet gdy nie pracował, zawsze miał coś do roboty. Zamykał się w gabinecie, naprawiał gniazdko instalacji elektrycznej lub przetykał zapchaną umywalkę. Sandra czuła, że dzieje się coś złego, ale bała się spytać. Mówiła sobie, że powinna dać mu czas, że David nie tylko nie jest przyzwyczajony do posiadania miejsca, które mógł nazywać swoim domem, ale też brakuje mu doświadczenia we wspólnym życiu. Jednak razem z obawą, że może go stracić, narastała w niej irytacja. Była gotowa wybuchnąć.

Zdarzyło się to pewnej nocy. Spała, gdy nagle poczuła, że David próbuje ją obudzić. Uświadomiwszy sobie, że jest dopiero trzecia, oszołomiona snem spytała, czego, u diabła, chce. David zapalił światło i usiadł na łóżku. Błądził wzrokiem po pokoju, a jednocześnie szukał słów, chcąc jej powiedzieć to, co od jakiegoś czasu chodziło mu po głowie. To znaczy, że nie mogą tak żyć, że czuje się niezręcznie i że ta sytuacja go krępuje.

Sandra starała się zrozumieć sens jego słów, ale jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło jej do głowy, było takie: ta sekutnica mnie wykańcza. Zraniona i zdumiona, że nie mógł zaczekać z tym do rana, żeby zrzucić z serca ten ciężar, zaczęła mu ubliżać. Ciskała różnymi przedmiotami, między innymi

pilotem do telewizora, który upadając, włączył odbiornik. O tej godzinie nadawali stare czarno-białe filmy. Lecieli akurat *Panowie w cylindrach* z Fredem Astaire'em i Ginger Rogers, którzy śpiewali w duecie.

Piękna melodia w połączeniu z histerią Sandry tworzyła surrealistyczną scenę.

Sytuację pogarszało milczenie Davida, który słuchał jej przekleństw z pochyloną głową. Nagle zobaczyła, że David wsuwa rękę pod poduszkę i wyjmuje pudełeczko z niebieskiego aksamitu, po czym kładzie je z tajemniczym uśmieszkiem po jej stronie łóżka. Sandra umilkła i zaczęła się w nie wpatrywać, dobrze wiedząc, co zawiera. Poczowała się jak idiotka i otworzyła usta ze zdumienia.

— Chciałem ci właśnie powiedzieć — odezwał się David — że nie możemy tak dłużej żyć i że, moim bardzo skromnym zdaniem, powinniśmy się pobrać. Ponieważ cię kocham, Ginger.

Powiedział to — po raz pierwszy mówiąc o swoich uczuciach wobec niej — a w tle Fred śpiewał *Cheek to Cheek*.

*Heaven, I'm in heaven,*

*And my heart beats so that I can hardly speak,*

*And I seem to find the happiness I seek,*

*When we're out together dancing, cheek to cheek*<sup>3</sup>.

Sandra się rozplakała. Rzuciła mu się w ramiona i szlochając na jego piersi, zaczęła się rozbierać, ponieważ nagle zapragnęła się z nim kochać. Kochali się aż do świtu. Nie ma słów, którymi można by opisać to, co przeżyła tamtej nocy. Była to czysta radość.

Zrozumiała wtedy, że życie z Davidem nigdy nie będzie spokojne. Już wówczas rodziła się w niej obawa, że wszystko w jednej chwili może się zawalić.

I tak się właśnie stało.

Po trzech latach, pięciu miesiącach i kilku dniach od tamtej niepowtarzalnej nocy Sandra znajdowała się na opuszczonej budowie, dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym leżał David, jej David. Nie było krwi, bo zmyły ją deszcze. Chciałaby położyć tu kwiaty, ale wolała nie ulegać emocjom. Przyjechała tu przede wszystkim po to, żeby zrozumieć.

Po upadku David leżał w agonii przez całą noc, dopóki nie zauważył go przejeżdżający rowerzysta, który podniósł alarm. Ale było już za późno. David zmarł w szpitalu.

Gdy rzymscy koledzy opisali jej, jak doszło do wypadku, Sandra nie zadawała wielu pytań. Na przykład takiego, czy David był przez cały czas przytomny. Wolałaby mieć pewność, że umarł na miejscu, a nie konał z powodu licznych obrażeń i krwotoku wewnętrznego. Przede wszystkim jednak nie dopuszczała do siebie najstraszniejszego pytania: czy David by przeżył, gdyby ktoś znalazł go wcześniej niż rowerzysta?

Agonia uwiarygodniała tezę, że był to wypadek, a także absurdalne domniemanie, że morderca z pewnością doprowadziłby swoje dzieło do końca.

Sandra zauważyła po prawej stronie schody prowadzące na górę. Zostawiła walizkę i zaczęła po nich wchodzić, zachowując ostrożność, ponieważ nie było poręczy. Na piątym piętrze brakowało ścian działowych, a między stropami znajdowały się tylko kolumny nośne. Podeszła do miejsca, z którego spadł David. Przyszedł tu w nocy. Przypomniała sobie wczorajszą rozmowę telefoniczną z Shalberem.

— Zdaniem policji znalazł się w tym budynku, ponieważ miał z niego doskonały widok do zrobienia zdjęcia... Ale czy pani widziała to miejsce?

— Nie — odparła zirytowana.

— No cóż, a ja tam byłem.

— No i co?

Ale on tylko dodał kpiąco:

— Canon pani męża roztrzaskał się podczas upadku. Szkoda, że nie zobaczymy tego zdjęcia.

Gdy Sandra zobaczyła to, co David miał przed sobą tamtej nocy, zrozumiała, skąd wzięła się ironia agenta Interpolu. Znajdował się tu wielki, pokryty asfaltem plac otoczony budynkami. Dlaczego David chciał zrobić ci zdjęcie? W dodatku po ciemku.

Miała przy sobie jedną z pięciu fotografii wykonanych leicą. Nie pomyliła się: zdjęcie przedstawiało właśnie tę budowę, ale za dnia. Po jego wywołaniu pomyślała, że David poszedł tam, by przeprowadzić wizję lokalną.

Rozejrzała się: musiał istnieć jakiś powód jego wizyty. Wydawało się, że jest to miejsce porzucone, pozbawione jakiegokolwiek znaczenia, przynajmniej na pozór.

W takim razie dlaczego David tu przyszedł?

Musi zacząć rozumować, używając innych pojęć, przenieść ogień na inny cel, jak mawiał wykładowca na zajęciach z kryminologii.

Prawda kryje się w szczegółach.

I właśnie w nich powinna szukać odpowiedzi. Skupiła się, tak jak to robiła na miejscach zbrodni, które fotografowała. Musi odczytać to miejsce od dołu do góry. Od ogółu do szczegółu. Dla porównania miała zdjęcie zrobione przez Davida.

Muszę znaleźć elementy, które są na zdjęciu, pomyślała. Podobnie jak w łamigłówkach polegających na odkrywaniu różnic między dwoma pozornie identycznymi obrazkami.

Zacząła od dolnej granicy zdjęcia, od posadzki, i posuwała się metr za metrem. Przeniosła wzrok na to, co miała przed sobą, a potem na sufit. Szukała jakiegoś znaku, czegoś, co mogło odcisnąć się w cemencie. Niczego takiego nie znalazła.

Przyjrzała się kolumnom nośnym. Każdej po kolei. Niektóre z nich podczas tych pięciu miesięcy zostały trochę uszkodzone, także dlatego, że nie były otynkowane.

Dotarłszy do ostatniego słupa po lewej stronie, stojącego w pobliżu barierki, Sandra zauważyła, że wygląda inaczej niż na zdjęciu. Chodziło o drobny szczegół, który mógł jednak mieć znaczenie. W chwili, w której David przeprowadzał wizję lokalną, u jego podstawy znajdowała się pozioma szczelina. Teraz była zakryta.

Sandra pochyliła się, żeby lepiej się przyjrzeć. I rzeczywiście, coś ją zasłaniało. Był to pasek tektury oklejonej gipsem. Wydawało się, że został tu umieszczony po to, żeby coś ukryć. Sandra usunęła go i oniemiała.

W szczelinie tkwił cyfrowy dyktafon Davida. Ten sam, którego nie znalazła w torbie, choć był na sporządzonej przez jej męża liście bagażu do zabrania.

Wyjęła urządzenie i dmuchnęła na nie, żeby usunąć kurz. Miało około dziesięciu centymetrów długości, było cienkie. Model ten wprowadzono w miejsce dawnych dyktafonów na kasety.

Przyglądając mu się, Sandra poczuła strach. Bóg jeden wie, co mógł zawierać. Całkiem możliwe, że David ukrył go w tym miejscu i zabezpieczył się, umieszczając kryjówkę na zdjęciu. Potem wrócił, żeby go zabrać, i spadł. Albo nagrał coś właśnie tutaj, może nawet w wieczór swojej śmierci. Zastanawiając się nad tym, Sandra przypomniała sobie, że dyktafon może uruchamiać się automatycznie. Wystarczy hałas i włącza się nagrywanie.

Musiała coś postanowić, nie mogła dłużej czekać. Ale jej niezdecydowanie brało się stąd, że to, co by usłyszała, mogło na zawsze usunąć pewność, że David padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Ceną za taką informację było to, że być może już nigdy nie zaznałyby spokoju. Że starałyby się dociec prawdy. Rzyzykowała jednak, że nigdy jej nie pozna.

Nie zwlekając dłużej, nacisnęła włącznik i zaczęła słuchać.

Dwa kasznięcia. Z pewnością po to, żeby uruchomić nagrywanie. Potem głos Davida, mroczny i daleki, zatarty szmerami, urywany.

„...żebyśmy byli tylko my... czekałem od tamtej pory...”

Mówił spokojnie. Słuchając go po tak długim czasie, Sandra była zdezorientowana. Przyzwyczaiała się już do myśli, że nigdy nie usłyszy jego głosu. Obawiała się, że podda się wzruszeniu w chwili, w której powinna być skoncentrowana. Zmusiła się do zachowania spokoju, mówiąc sobie w duchu, że chodzi przecież o śledztwo i o to, aby prowadzić je w sposób profesjonalny.

„...nie istnieje... powinienem się tego domyślić... rozczarowanie...”

Zdania były zbyt poszarpane, aby można było zrozumieć, o co chodzi.

„...wiem o tym... wszystkie szczegóły... cały ten czas... nie jest możliwe...”

Sandra nie dostrzegała sensu w tych urywanych zdaniach. Ale potem usłyszała dłuższy fragment.

„...szukałem go długo i w końcu znalazłem...”

O czym rozmawiał David i z kim?

Pomyślała, że mogłaby dać to nagranie do przesłuchania technikowi dźwięku, który usunąłby szmery. W tym momencie była to jedyna możliwość. Już miała wyłączyć dyktafon, gdy usłyszała inny głos.

„...tak, to ja...”

Poczuła zimny dreszcz. Znalazła potwierdzenie: David nie był sam, dlatego postanowił nagrać tę rozmowę. Potem nastąpiła burzliwa wymiana zdań. Sytuacja się zmieniła, do głosu jej męża wkradł się strach.

„...zaczekaj... to niemożliwe... uważać naprawdę... ja nie... to co mogę... nie... nie... nie!...”

Szamotanina na cementowej posadzce.

„Zaczekaj!... Zaczekaj!... Zaczekaj!...”

A potem przeraźliwy krzyk, który oddalał się stopniowo, aby w końcu rozpląnąć się w ciszy.

Dyktafon wypadł z jej dłoni i Sandra oparła obie ręce na cemencie. Zwymiotowała raz, potem drugi.

Jej mąż został zamordowany. Ktoś go zepchnął.

Chciała krzyczeć. Chciała opuścić to miejsce. Wolałaby nigdy nie poznać Davida, nic o nim nie wiedzieć. Nie zakochać się w nim. To było coś strasznego, nie do pomyślenia, ale tak wyglądała prawda.

Usłyszała zbliżające się kroki.

Odwróciła się w kierunku dyktafonu. Nagranie jeszcze trwało. Wydawało się, że morderca wiedział, gdzie został umieszczony.

Kroki nagle umilkły.

Minęło kilka sekund, a potem rozległ się śpiew.

*Heaven, I'm in heaven,*

*And my heart beats so that I can hardly speak,*

*And I seem to find the happiness I seek,*

*When we're out together dancing, cheek to cheek.*



## *Godzina 15.00*

Via delle Comete znajdowała się na peryferiach. Dotarcie tam środkami komunikacji miejskiej zajęło Marcusowi sporo czasu. Wsiadł na przystanku, z którego było już blisko. Ostatnie dwieście metrów przemierzył na piechotę. Wokół rozciągały się ugory i zabudowania przemysłowe. Bloki mieszkalne tworzyły archipelag betonowych wysp. Pomiedzy nimi wznosił się kościół o nowoczesnej architekturze, jakże dalekiej od wdzięku świątyń, które od stuleci ozdabiały centrum miasta. Na szerokich ulicach panował duży ruch, regulowany światłami na skrzyżowaniach.

Pod numerem dziewiętnastym stała budowla przemysłowa, sprawiająca wrażenie opuszczonej. Marcus nie wszedł od razu do środka, żeby sprawdzić, co dzieje się pod adresem z kartki z trójkątnym symbolem, którą znalazł w biurze Ranieriego. Nie chciał narażać się na niepotrzebne ryzyko. Po przeciwnej stronie ulicy znajdowała się stacja benzynowa z myjnią i barem. Było tam dużo klientów. Nie wydawało się, żeby ktokolwiek interesował się fabryką. Marcus podszedł wolnym krokiem do stacji, udając, że na kogoś czeka. Spędził tam około pół godziny, obserwując otoczenie. W końcu uznał, że fabrycznym budynkiem nikt się nie interesuje.

Od frontu rozciągał się niewyafaltowany plac. Ulewne deszcze zamieniły go w grząskie bagno, widać było koleiny pozostawione przez koła samochodu. To pewnie zielone subaru Ranieriego, pomyślał Marcus, pamiętając, że auto było ubłocone.

Detektyw odwiedził to miejsce, a potem szybko wrócił do biura, żeby

zniszczyć kartkę z adresem. Wreszcie wyszedł, zabrawszy coś z sejfu.

Marcusa zastanawiał pośpiech Ranieriego.

Tak zachowuje się człowiek, który czegoś się boi. Co go tak przestraszyło?

Marcus ominął główne drzwi do budynku i zaczął się rozglądać za bocznym wejściem. Przeszedł się przez krzaki otaczające niską budowlę o kształcie prostopadłościanu. Wybrzuszony dach z blachy nadawał jej wygląd hangaru. Znalazł drzwi przeciwpożarowe. Być może Ranieri także tędy wszedł, ponieważ były uchylone. Z wysiłkiem pociągnął je obiema rękami i zdołał otworzyć jedno skrzydło na tyle, żeby dostać się do środka.

Zobaczył ogromną, niemal pustą halę, kilka maszyn zwałonych jedna na drugą, a u stropu zwisało parę filmowych podnośników. Przeciekająca przez dach woda zebrała się w ciemne kałuże.

Marcus zaczął się rozglądać. Jego kroki odbijały się głośnie echem. Zobaczył w głębi żelazne schody prowadzące na półpiętro, na którym znajdowało się małe biuro. Podeszedł do nich i natychmiast rzucił mu się w oczy pewien szczegół: poręcz nie była pokryta kurzem. Ktoś zadał sobie trud i ją wytarł, być może po to, aby usunąć odciski swoich palców.

Jeśli to wnętrze skrywało jakąś tajemnicę, to tylko tam, na górze.

Marcus zaczął wchodzić po schodach, uważnie stawiając kroki. Gdy był w połowie drogi, uderzył go zapach. Był nie do pomylenia. Ktoś, kto raz go poczuł, mógł rozpoznać go wszędzie. Marcus nie pamiętał, gdzie i kiedy po raz pierwszy się z nim spotkał, ale jakaś część jego jestestwa go nie zapomniała. Na tym polegają figle amnezji. Być może w pamięci pozostał mu także zapach róż albo piersi jego matki. Tym razem chodziło o fetor rozkładającego się ciała.

Zakrył nos i usta rękawem płaszcza i pokonał ostatnie stopnie. Stał na

progu biura i zobaczył dwa trupy leżące blisko siebie, jeden na wznak, drugi na brzuchu. W obu głowach ziały otwory po pociskach. Wyglądało to jak egzekucja.

Do przyspieszenia i tak już zaawansowanego rozkładu przyczynił się ogień. Ktoś próbował podpalić zwłoki, używając spirytusu lub benzyny, ale płomienie objęły tylko ich górną połowę, dolną pozostawiając nietkniętą. Nieznany sprawca działał tylko tyle, że ciała były nie do rozpoznania. Pewien szczegół wskazywał na to, że musieli to być ludzie karani sądownie, bo jeśli nie byli notowani, to po co ktoś zadał sobie trud obcięcia im dłoni?

Powstrzymując mdłości, podszedł bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć.

Zostały odcięte na wysokości nadgarstków. Tkanka mięśniowa była poszarpana, ale na kościach widniały regularne rysy, takie jakie zwykle pozostawia narzędzie z ząbkami, na przykład nieduża piła.

Uniósł nogawkę spodni jednego z trupów, odsłaniając łydkę. W tym miejscu skóra nie była uszkodzona, tylko sina, co prowadziło do wniosku, że śmierć nastąpiła niecały tydzień temu. Zwłoki były wzdęte, ale wydawało się, że mężczyźni byli grubi, po pięćdziesiątce.

Marcus nie wiedział, kim byli, ale pomyślał, że być może ma przed sobą zabójców Valerii Altieri i jej kochanka.

Kto i dlaczego zabił tych dwóch, choć od tamtej zbrodni upłynęło tyle lat? — zastanawiał się Marcus.

Podobnie jak Raffaele, któremu wysłano anonimowe zaproszenie do mieszkania Lary, także Ranieri został wezwany do tej fabryki bilecikami, który Marcus znalazł w jego biurze.

Detektyw zastał tu dwóch mężczyzn, którzy prawdopodobnie również zostali zwabieni tutaj podstępem, i ich zabił.

Ale to nie miało sensu.

Ranieri był tu kilka godzin temu, a jeśli ci dwaj nie żyli już od tygodnia, to po co miałyby tu wracać? Być może po to, żeby podpalić zwłoki lub poodcinać dłonie, lub żeby skontrolować sytuację. Ale po jakie licho miałyby narażać się na tak wielkie ryzyko? Poza tym dlaczego był przerażony? Dlaczego uciekł i przed kim?

Nie, zamordował ich ktoś inny, pomyślał Marcus. A jeśli nie pozbył się zwłok, to chciał, żeby zostały odnalezione.

Ci dwaj nie musieli wiele znaczyć. Być może byli tylko wykonawcami. Marcusowi wróciła do głowy myśl, że panią Altieri zamordowano na czyjeś zlecenie. Może kilku osób? Ale mimo iż nie odrzucił tej ostatniej możliwości, niezbyt mu się ona podobała. Ponadto rytuał odprawiony w sypialni sugerował działanie jakiejś sekty. Tajemnej grupy, która dążyła do usunięcia wszelkich tropów mogących do niej prowadzić, uciekając się nawet do zamordowania dwóch jej członków.

Marcus wyczuwał, że w tym momencie podjęły działanie dwie zwalczające się grupy. Jedna starała się ujawnić prawdę, wysyłając anonimowe listy, druga chciała zachować w tajemnicy swoje istnienie i swoje cele.

Punktem łączącym je obie mógł być tylko Ranieri.

Marcus miał pewność, że prywatny detektyw coś wie. Był też przekonany, że w końcu znajdzie związek między Jeremiahem Smithem i zniknięciem Lary.

Miał wrażenie, że oto ścierają się dwie mroczne potęgi, a on został wciągnięty w sam środek wydarzeń. Chciał wiedzieć, jaką rolę ma do odegrania, ale w tym celu musiałby stanąć do konfrontacji z Ranierim.

Miał już dość trupiego odoru. Przed wyjściem chciał się przeżegnać, ale nie zrobił tego. Prawdopodobnie ci dwaj na to nie zasługiwali.



Ranieri został wezwany do opuszczonej fabryki anonimowym listem. Pojechał tam tego ranka i zobaczył trupy. Wrócił do biura, żeby zniszczyć list, po czym wyszedł pośpiesznie, zabierając ze sobą coś, co trzymał w sejfie.

Marcus czuł, że brakuje jakiegoś ważnego elementu, który by wszystko połączył.

Znowu zaczęło padać. Wyszedł z fabryki i ruszył przez placyk. Patrzył pod nogi, żeby nie ubłocić sobie butów, i zauważył coś, czego wcześniej nie dostrzegł: na ziemi widać było ciemną plamę, a nieco dalej następną. Były podobne do tej, jaką widział tego ranka na asfalcie przed budynkiem biura Ranieriego w miejscu, w którym stało zielone subaru. Była to jakaś tłusta substancja, pewnie olej silnikowy.

Najwyraźniej auto dość długo stało przed opuszczoną fabryką. W pierwszej chwili Marcus doszedł do wniosku, że Ranieri uszkodził i ubłocił auto w tym samym miejscu. Rozejrzał się jednak i nie zobaczył wybojów ani wystających kamieni, które mogłyby spowodować jakieś uszkodzenia. Musiało dojść do nich wcześniej, w jakimś innym miejscu.

Gdzie więc był Ranieri, zanim tu przyjechał?

Marcus dotknął blizny na skroni. Pulsowało mu w głowie, czuł, że grozi mu kolejny atak migreny. Potrzebował proszku przeciwbólowego i czegoś do jedzenia. Widząc, że do przystanku zbliża się autobus, przyspieszył kroku. Udało mu się wskoczyć do środka i usiadł z tyłu obok starszej pani wiozącej torby z zakupami, która utkwiała wzrok w jego opuchniętej bocznej części policzka i przeciętej wardze, pamiętce po napaści Raffaele Altieriego. Marcus się tym nie przejął, skrzyżował ręce na piersi i wyciągnął nogi pod

siedzeniem, które miał przed sobą. Zamknął oczy, starając się nie zwracać uwagi na młot, który walił mu w głowie. Zapadł w drzemkę. Otaczające go głosy i hałasy utrzymywały go w czymś w rodzaju półsnu, a przede wszystkim nie dopuszczały żadnych sennych majaków. Ile to już razy zdarzyło mu się wsiąść do autobusu lub do wagonu metra i zasnąć? A potem jeździć tam i z powrotem między pętlami, żeby odpocząć i uciec od powracającego snu, w którym umierał razem z Devokiem. Jadący powoli autobus kołysał nim jednostajnie. Marcusowi wydawało się, że jest pod opieką jakiejś niewidzialnej siły. I czuł się bezpiecznie.

Otworzył oczy, ponieważ od kilku minut nie czuł już przyjemnego kołysania, a pasażerowie zaczęli się denerwować.

I rzeczywiście, autobus stał. Niektórzy narzekali głośno, że tracą czas, tkwiąc w korku. Marcus wyjrzał przez okno, próbując się domyślić, gdzie się znajduje. Rozpoznał jednakowe domy stojące wzdłuż ulicy. Wstał i zaczął się przepychać na przód autobusu. Kierowca nie zgasił silnika, ale siedział ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

— Co się dzieje? — zapytał Marcus.

— Wypadek — odparł kierowca, nie dodając żadnych szczegółów. — Boję się, że trochę potrwa, zanim przejedziemy.

Marcus spojrział na stojące przed nimi pojazdy. Przejeżdżały pojedynczo pasem wydzielonym z boku jezdni, mijając miejsce wypadku. Jak się wydawało, doszło do zderzenia kilku samochodów.

Autobus poruszał się drobnymi skokami. Gdy wreszcie ruszył, policjant z drogówki dał znak lizakiem, żeby się pospieszyć. Kierowca wjechał na wyznaczony pas. Marcus stał obok niego, gdy mijali stertę pogiętych i nadpalonych blach. Strażacy dogaszali pożar.

Po fragmencie niezniszczonej przez płomień pokrywy silnika rozpoznał

zielone subaru Ranieriego. Leżące w środku ciało kierowcy przykryte było prześcieradłem.

Marcus pojawił nagle, skąd wzięły się tłuste plamy pod autem detektywa. Pomylił się — nie miały związku z miejscem, które Ranieri odwiedził wcześniej i w którym mógł uszkodzić samochód. To wyciekał płyn z układu hamulcowego, który ktoś uszkodził.

Zderzenie nie mogło być skutkiem zwykłego przypadku.

## Godzina 17.07

Piosenka była dla niej. Zawierała jasne przesłanie: nie prowadź dochodzenia. Tak będzie dla ciebie lepiej. Albo coś dokładnie odwrotnego: przyjedź i spróbuj mnie znaleźć.

Woda spływała jej po karku. Sandra stała bez ruchu pod prysznicem, z zamkniętymi oczami, opierając ręce o kafelki. W jej głowie rozbrzmiewała melodia *Cheek to Cheek*, w którą wtapiały się ostatnie słowa Davida zarejestrowane przez dyktafon: „Zaczekaj! Zaczekaj! Zaczekaj!”.

Postanowiła, że nie będzie płakała aż do zakończenia tej historii. Bała się, ale dała sobie słowo, że się nie wycofa. Teraz miała już pewność.

Ktoś był zamieszany w śmierć jej męża.

W jej sercu odkrycie to mogło się przerodzić w złudzenie, że być może da się zmienić to, co nieodwracalne. Myśl, że mogłaby coś zrobić, aby przynajmniej częściowo wynagrodzić sobie tę absurdalną i niesprawiedliwą stratę, była dziwnie pocieszająca.

Zatrzymała się w skromnym jednogwiazdkowym hotelu w pobliżu dworca Termini, w którym nocowały przede wszystkim grupy pielgrzymów.

W czasie pobytu w Rzymie zatrzymywał się tu także David. Sandra poprosiła o ten sam pokój, który na szczęście nie był zajęty. Aby podjąć własne śledztwo, musiała odtworzyć warunki, w jakich działał jej mąż.

Dlaczego jednak po odkryciu nagrania nie poszła od razu na policję, żeby złożyć zawiadomienie o tym, co się wydarzyło? Ufała kolegom; został zamordowany mąż koleżanki, więc daliby sprawie pierwszeństwo. Była to



niepisana praktyka, rodzaj kodeksu honorowego. Mogła zamienić słowo przynajmniej z De Michelisem, ale powtarzała sobie, że woli zgromadzić jak największą ilość dowodów, żeby ułatwić im pracę. Jednak prawdziwy powód był inny, chociaż nie chciała się do tego przyznać.

Wyszła spod prysznic i owinęła się ręcznikiem. Ociekając wodą, wróciła do pokoju, położyła walizkę na łóżku i zaczęła ją opróżniać, dopóki nie znalazła tego, co włożyła na samo dno. Służbowy pistolet. Sprawdziła magazynek i bezpiecznik, a potem położyła go na szafce nocnej. Postanowiła, że od tej chwili będzie go nosić przy sobie.

Wciągnęła majtki i wypakowała resztę rzeczy. Zdjęła z półki mały telewizor i położyła na niej krótkofalówkę, notes Davida z dziwnymi adresami i dyktafon. Taśmą samoprzylepną umocowała na ścianie pięć zdjęć zrobionych leicą. Wykorzystała już pierwsze, na którym widać było budowę. Następne było ciemne, ale mimo to postanowiła je zachować. Na kolejnym zdjęciu był mężczyzna z blizną na skroni, wreszcie fragment obrazu i na koniec zdjęcie Davida, który zdawał się kogoś pozdrawiać, a jednocześnie z nagim torsem pozował przed lustrem.

Odwróciła się w kierunku łazienki. To ostatnie zdjęcie zostało zrobione właśnie tu.

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że był to jeden z typowych dla niego żartów, jak wtedy, gdy przesłał jej z Borneo obrazki z obiadu, na który podano pieczoną anakondę, lub gdy był pokryty pijawkami w jakimś bagnie w Australii.

Ale w odróżnieniu od tamtych na tym zdjęciu David się nie uśmiechał.

Dlatego być może w geście, który w pierwszej chwili wydał się jej smutnym pozdrowieniem upiora, kryło się inne przesłanie, skierowane dla niej. Być może powinna przeszukać ten pokój, ponieważ David coś tu ukrył i

chciał, żeby ona to znalazła.

Zacząła lustrację. Przesuwała meble, zajrzała pod łóżko i do szafy. Obmacała materac i poduszki. Zdjęła obudowę z telefonu i telewizora, żeby zajrzeć do środka. Sprawdziła płytki podłogowe i listwę przyścienną. W końcu dokładnie przejrzała łazienkę.

Oprócz dowodów niezbyt dużej troski o czystość nie znalazła niczego.

Minęło pięć miesięcy, coś mogło zostać przeniesione albo usunięte. Jeszcze raz rzuciła przekleństwo pod swoim adresem za to, że tak długo zwlekała ze sprawdzeniem, co znajduje się w torbach Davida.

Ciągle nieubrana usiadła na podłodze i poczuła, że jest jej zimno. Naciągnęła na plecy spłowiałą narzutę z łóżka i pozostała w tej pozycji, starając się nie dopuścić, żeby frustracja przeważała nad logicznym rozumowaniem. W tym momencie odezwała się jej komórka.

— A więc, agentko Vega, postąpiła pani zgodnie z moją radą?

Dopiero po chwili rozpoznała mężczyznę mówiącego z niemieckim akcentem, który towarzyszył irytującej barwie jego głosu.

— O, pan Shalber, miałam nadzieję, że pana usłyszę.

— Czy bagaż pani męża jest ciągle w magazynie, czy też mogę rzucić na niego okiem?

— Jeśli toczy się w tej sprawie jakieś śledztwo, proszę zwrócić się z tym do sędziego.

— Wie pani lepiej ode mnie, że Interpol może tylko pomagać służbom działającym w danym kraju. Chciałbym oszczędzić kłopotu moim kolegom.

— Nie mam nic do ukrycia. — Ten gość działał jej na nerwy.

— Gdzie pani jest w tej chwili, Sandro? Mogę zwracać się do pani po imieniu, prawda?

— Nie, a ta sprawa nie powinna pana obchodzić.

— Jestem w Mediolanie. Moglibyśmy się umówić, żeby wypić kawę lub to, co pani lubi?

Sandra nie powinna się zdradzić, że jest w Rzymie.

— Dlaczego nie? Może jutro po południu? Wyjaśnimy sobie to i owo.

Shalber wybuchnął śmiechem.

— Myślę, że doskonale się porozumiemy.

— Niech się pan nie łudzi. Nie podoba mi się pańskie zachowanie.

— Domyślam się, że poprosiła pani kogoś ze swoich zwierzchników, żeby zebrał informacje na mój temat.

Sandra nie odpowiedziała.

— Dobrze pani zrobiła. Dowie się pani, że jestem człowiekiem, który łatwo nie ustępuje.

Zdanie to zabrzmiało w jej uszach jak groźba. Nie powinna dać się zastraszyć.

— Proszę mi powiedzieć, panie Shalber, jak pan trafił do Interpolu?

— Pracowałem w policji w Wiedniu. Zajmowałem się zabójstwami, walką z terroryzmem, z narkomanią, wszystkim po trochu. Zwróciłem na siebie uwagę i Interpol zaprosił mnie do współpracy.

— A czym się pan zajmuje teraz?

Shalber zrobił efektowną pauzę, żartobliwy ton jego głosu zniknął.

— Zajmuję się kłamcami.

Sandra pokręciła z rozbawieniem głową.

— Wie pan co? Powinnam się rozłączyć, ale jestem ciekawa, co ma mi pan do powiedzenia.

— Chciałbym opowiedzieć pani pewną historyjkę.

— Jeśli to konieczne...

— Miałem w Wiedniu kolegę. Prowadziliśmy dochodzenie w sprawie

przemysłowców z krajów słowiańskich, ale on miał złe przyzwyczajenie: nie dzielił się informacjami, ponieważ bardzo chciał zrobić karierę. Wziął tydzień urlopu i powiedział mi, że zabiera żonę na wycieczkę. Tymczasem wślizgnął się do tej przestępczej szajki, ale został zdemaskowany. Torturowali go przez trzy dni i trzy noce, podczas gdy nikomu nie przyszło do głowy, żeby go szukać, a potem go zabili. Gdyby miał do nas zaufanie, być może by żył.

— Dobra historyjka. Założę się, że opowiada ją pan za każdym razem, kiedy chce pan zrobić wrażenie na jakiejś dziewczynie — zauważyła kpiącym tonem.

— Być może, każdy kogoś potrzebuje. Zapraszam panią jutro na kawę.

Rozłączył się. Sandra zadała sobie pytanie, co chciał przez to powiedzieć. Jedyna osoba, której ona potrzebuje, nie żyje. A David? Kogo on potrzebował? Czy aby na pewno to ona była adresatką wskazówek, jakie zostawił przed śmiercią?

Gdy żył, nie mówił jej, jakie śledztwo prowadzi, wolał, żeby nie wiedziała, że naraża się na niebezpieczeństwo. Ale czy był w Rzymie sam? W komórce Davida nie pozostał żaden ślad, że odbierał jakieś telefony albo dzwonił pod nieznane numery. Na pozór nie wydawało się, że z kimś się kontaktował. A jeśli korzystał jednak z czyjejś pomocy?

Wątpliwość ta nabrała bardziej konkretnego kształtu, gdy jej spojrzenie padło na radiotelefon. Zadała sobie pytanie, do czego był Davidowi potrzebny. Czy używał go do kontaktowania się z kimś?

Wstała i podeszła do półki. Wzięła radiotelefon i przyjrzała mu się. Był nastrojony na kanał osiemdziesiąty pierwszy. Gdyby go uruchomiła, być może ktoś podjąłby próbę skontaktowania się z nią.

Nacisnęła przełącznik i podkręciła głośność. Była pewna, że niczego nie

usłyszy. Położyła go z powrotem na półce i odwróciła się do walizki, żeby wyjąć ubrania.

W tym momencie usłyszała zimny, jednostajny kobiecy głos, który informował, że na via Nomentana toczy się bójka między handlarzami narkotyków. Prosi się o interwencję patrolu przebywające w pobliżu.

Sandra odwróciła się, żeby się przyjrzeć aparatowi. Był nastawiony na częstotliwość używaną przez centrum operacyjne rzymskiej policji.

W tym momencie zrozumiała, jaki sens mają adresy w notesie Davida.

## Godzina 19.47

Marcus wrócił na poddasze przy via dei Serpenti. Wyciągnął się na łóżku, nie zapalając światła i nie zdejmując płaszcza, i wsunął dłonie pod głowę. Zaczynał odczuwać zmęczenie po bezsennej nocy, niepokoiły go też sygnały zapowiadające kolejną migrenę.

Śmierć prywatnego detektywa oznaczała, że prowadzone przez niego śledztwo utknęło w martwym punkcie. Cały wysiłek na nic.

Co tego ranka Ranieri zabrał z sejfów w swoim biurze?

Cokolwiek to było, prawdopodobnie zostało zniszczone w spalonym subaru. Marcus wyjął z kieszeni kopertę z aktami sprawy c.g. 796-74-8. Już ich nie potrzebował. Odrzucił ją i kartki rozleciały się po podłodze. W księżycowej poświacie ukazały się twarze ludzi zamieszanych w zabójstwo sprzed prawie dwudziestu lat. Pomyślał, że to zbyt długi okres, żeby dotrzeć do prawdy. Ona by mu wystarczyła zamiast sprawiedliwości. Teraz jednak musiał zacząć wszystko od początku. Pierwszeństwo miała Lara.

Valeria Altieri spoglądała na niego z wycinka prasowego. Bardzo elegancka, uśmiechała się na zdjęciu z zabawy sylwestrowej. Miała jasne włosy, a suknia, w którą była ubrana, podkreślała jej kształty. Jej oczy odznaczały się wyjątkowym magnetyzmem.

Zapłaciła życiem za to, że była piękna.

Gdyby była kobietą o nie tak ujmującej powierzchowności, być może jej śmierć nikogo by nie obeszała.

Marcus przyłapał się na rozmyślaniu o powodach, dla których mordercy

wybrali właśnie ją. Podobnie jak Larę, którą z jakiejś mrocznej przyczyny zainteresował się Jeremiah Smith.

Aż do tej chwili myślał o Valerii jako o mamie Raffaele. Ujrawszy krwawe odciski drobnych stóp na białym dywaniku w sypialni, nie potrafił skupić się tylko na niej.

Zawsze istnieje jakiś powód, dla którego przyciągamy uwagę innych, pomyślał. Jemu to się nie zdarzało, on był niewidoczny. Ale Valeria była kobietą, na którą zwrócone były oczy wszystkich.

Napis EVIL na ścianie za łóżkiem. Liczne ciosy nożem zadane ofiarom. Morderstwo dokonane w mieszkaniu. Wszystko po to, aby przyciągnąć uwagę. Zabójstwo odbiło się głośnym echem nie tylko dlatego, że zamordowano kobietę należącą do elity i jej równie znanego kochanka, ale także z racji sposobu, w jaki je popełniono.

Wydawało się, że morderstwo zostało wręcz zainscenizowane dla kolorowych tygodników zajmujących się skandalami towarzyskimi, chociaż miejsca zbrodni nie uwiecznił żaden paparazzo.

Przerażające widowisko.

Marcus usiadł na łóżku. Coś kiełkowało w jego umyśle. Anomalie. Zapalił światło i podniósł z podłogi akta Valerii Altieri. To górnolotnie brzmiące nazwisko należało do męża, przedtem nazywała się Colmetti. Pochodziła z drobnomieszczańskiej rodziny, jej ojciec był urzędnikiem. Uczyła się w szkole pedagogicznej. Prawdziwym darem losu była jej uroda. Naturalny urok, z którego powodu mężczyźni tracili dla niej głowę. Gdy miała dwadzieścia lat, próbowała zostać aktorką, ale zagrała tylko kilka drugorzędnych ról. Marcus wyobrażał sobie, ilu obiecywało jej duże role za pójście z nimi do łóżka. Być może na początku Valeria nawet z nimi sypiała. Ile razy musiała wysłuchiwać dwuznacznych komplementów, znosić

obmacywanie, spółkować bez przyjemności, żeby urzeczywistnić marzenia?

A potem w jej życiu pojawił się Guido Altieri. Przystojny, starszy od niej o kilka lat, pochodzący ze znanej i szanowanej rodziny, adwokat mający przed sobą wspaniałą przyszłość. Valeria zdawała sobie sprawę, że nie jest zdolna pokochać tylko jednego mężczyzny. W głębi serca Guido wiedział, że ta kobieta nigdy nie będzie należała do nikogo — była zbyt wielką egoistką, była zbyt piękna, ale mimo to poprosił ją o rękę.

— Od tego wszystko się zaczęło — mruknął Marcus, a potem wstał, rozglądając się za kartką i długopisem, żeby porobić notatki. Małżeństwo było tylko początkiem, pierwszym ogniwem łańcucha pozornie szczęśliwych i godnych pozazdrosczenia wydarzeń, które nieuchronnie prowadziły do rzezi w sypialni.

Znalazł notes. Na pierwszej stronie umieścił symbol trójkąta, na drugiej napisał słowo EVIL.

Valeria Altieri była uosobieniem tego, czego pragnęli mężczyźni, a czego żaden z nich nie mógł mieć. Pożądanie, zwłaszcza wtedy, gdy wymyka się spod kontroli, sprawia, że dopuszczamy się czynów, o których nie sądziliśmy, że jesteśmy do nich zdolni. Deprawuje, niszczy, a czasami może doprowadzić do popełnienia morderstwa.

To obsesja, stwierdził Marcus, rozmyślając o Raffaele Altierim.

Jeśli tego chłopaka prześladował obraz matki, której prawie nie znał, to być może także ktoś inny doświadczał podobnych uczuć? A co jest jedynym rozwiązaniem w takich przypadkach? Marcus bał się odpowiedzieć na to pytanie. Powiedział cicho tylko jedno słowo:

— Zniszczenie.

Unicestwienie przedmiotu obsesji, żeby już nie mógł nas zranić. I dopilnowanie, żeby zniszczyć go raz na zawsze. Aby osiągnąć ten cel, w



pewnych przypadkach śmierć nie wystarczy.

Marcus wyrwał z notesu kartki z symbolem i napisem. Przez chwilę przenosił wzrok z jednej na drugą i próbował rozwiązać tę zagadkę.

Poczul na plecach ukłucie czyjś natarczywego spojrzenia. Odwrócił się i zobaczył, kto go obserwuje: było to jego odbicie w okiennej szybie. Mężczyzna, który nie cierpiał przeglądać się w lustrze, tym razem się nie poruszył.

Przeczytał lekko zniekształcone odbicie napisu EVIL, „zło” od prawej do lewej.

— Przerażające widowisko — szepnął. Zrozumiał, że krzyk kobiety, który, jak mu się wydawało, dochodził z biura Ranieriego, nie był halucynacją.



Wielka willa z czerwonej cegły zatopiona była w zieleni i spokoju elitarniej dzielnicy Olgia. Otaczał ją bujny ogród z przystrzyżoną trawą i basenem. Dwupiętrowy dom był oświetlony.

Marcus szedł podjazdem. Niewielu wybrańców miało przywilej przekraczania bram takich posiadłości. On nie napotkał jednak problemów z dostaniem się do środka. Nie włączyło się żadne urządzenie alarmowe, nie nadbiegł ochroniarz. A to oznaczało tylko jedno: ktoś spodziewał się jego wizyty.

Oszklone drzwi były otwarte. Przekroczył próg i znalazł się w eleganckim saloniku. Żadnego głosu, żadnych hałasów. Po prawej stronie zobaczył schody. Gdy znalazł się na górze, stwierdził, że światło jest zgaszone, tylko w pokoju w głębi korytarza widać odblaski płomieni. Ruszył w ich kierunku, pewny, że znajdzie to, czego szuka.

W gabinecie, w skórzanym fotelu, plecami do drzwi, z kieliszkiem koniaku w ręku, siedział mężczyzna. W kominku płonął ogień. A przed nim — podobnie jak w biurze Ranieriego — telewizor plazmowy i odtwarzacz wideo.

— Odesłałem wszystkich. W domu nie ma nikogo — odezwał się adwokat Guido Altieri. — Ile pan chce?

— Nie chcę pieniędzy.

Adwokat drgnął, tak jakby chciał się odwrócić.

— Kim pan jest?

Marcus powstrzymał go.

— Jeśli nie sprawi to panu przykrości, wolałbym, żeby pan nie patrzył na moją twarz.

Altieri spełnił jego życzenie.

— Nie chce mi pan zdradzić, kim pan jest, ani nie przyszedł pan tu dla pieniędzy. A więc co pana sprowadza do mojego domu?

— Chcę zrozumieć.

— Jeśli dotarł pan aż do tego punktu, wie pan już wszystko.

— Jeszcze nie. Czy zechce mi pan pomóc?

— Dlaczego miałbym to zrobić?

— Ponieważ oprócz własnego może pan uratować jeszcze życie niewinnej osoby.

— Słucham pana.

— Pan też otrzymał anonimowy list, prawda? Ranieri nie żyje, dwaj oprawcy zostali zastrzeleni, a ich ciała podpalono. A teraz pewnie zadaje pan sobie pytanie, czy to ja wysłałem te wszystkie listy.

— List, który otrzymałem, zapowiadał wizytę na dzisiejszy wieczór.

— Ale ja nie mam z tym nic wspólnego i nie przyszedłem tutaj, żeby

wyrzucić panu krzywdę.

W kryształowym kieliszku w ręku Altieriego odbijały się płomienie.

Marcus milczał przez chwilę, zanim przeszedł do sedna sprawy.

— Gdy zamordowana zostaje niewierna żona, pierwszym podejrzanym zawsze jest mąż. — Przytoczył słowa Clemente, chociaż w pierwszej chwili wydały mu się zbyt banalne. — To morderstwo zostało popełnione w przeddzień religijnego święta, w noc nowiu... Zbiegły się wszystkie okoliczności. — Czasami ludzie ulegają sile przesądów, pomyślał. I aby wypełnić czymś pustkę, są gotowi uwierzyć w cokolwiek. — Ale nie było żadnego rytuału, żadnej sekty. Napis nad łóżkiem, EVIL, nie był groźbą, ale znakiem nadziei... Odczytany wspak, oznacza LIVE, „żywy”. Być może był to żart, a może nie... Był przesłaniem, które powinno było dotrzeć aż do Londynu, gdzie pan przebywał: robota została wykonana zgodnie z zamówieniem, może pan wrócić do domu. Tajemniczy trójkąt nie był symbolem. Coś zostało postawione w kałuży krwi obok łóżka, a potem przeniesione na drugą stronę. Po prostu. Istota z trzema łapami i jednym okiem: kamera wideo na statywie. — Marcus przypomniał sobie krzyk kobiety, który dochodził z biura Ranieriego. To nie było złudzenie. To krzyczała Valeria Altieri na filmie wideo, który prywatny detektyw przechowywał w sejfie. Najpierw go obejrzał, a dopiero potem włożył do skórzanej teczki i zabrał ze sobą. — Zabójstwo zorganizował Ranieri, pan je tylko zlecił. Ale po otrzymaniu anonimowego listu i znalezieniu trupów detektyw był pewny, że ktoś zna prawdę. Poczul się osaczony, bał się. Wrócił pospiesznie do biura i spalił list. Jeśli ktoś po prawie dwudziestu latach wytropił oprawców, mógł nawet podmienić kasetę w sejfie, więc ją sprawdził... Panie mecenasie, proszę mi powiedzieć, czy kasetę, którą miał detektyw, była kopią, czy oryginałem?

— Dlaczego pan o to pyta?

— Ponieważ spłonęła, gdy palił się jego samochód. A bez niej sprawiedliwość nigdy nie zostanie wymierzona.

— A to pech — mruknął Altieri.

Marcus popatrzył na odtwarzacz wideo stojący koło telewizora.

— To było pańskie żądanie, prawda? Nie mógł się pan zadowolić śmiercią żony. Nie, pan musiał zobaczyć, jak umierała. Nawet za cenę ryzyka, że stanie się pan przedmiotem żartów, jako mąż zdradzony we własnym domu, w małżeńskim łóżku. Byłby pan pośmiewiskiem wszystkich, ale w końcu dopełniłby pan zemsty.

— Pan nie jest w stanie tego zrozumieć.

— Za to mogę pana zadziwić. Valeria była pana obsesją. Nie wystarczyłby panu rozwód. Nie mógłby pan o niej zapomnieć.

— Była jedną z tych kobiet, dla których można stracić głowę — powiedział Altieri. — Niektórzy mężczyźni czują pociąg do takich istot, chociaż wiedzą, że w końcu doprowadzi ich to do zguby. Wydają się słodkie, miłe, choć obdarzają nas jedynie okruchami swoich względów. W pewnym momencie człowiek dochodzi do wniosku, że jeszcze może się uratować, zacząć życie z inną kobietą, która będzie go kochała, mieć dzieci, rodzinę. Ale musi wybrać: on albo ona.

— Dlaczego chciał pan oglądać jej śmierć?

— Żeby poczuć się tak, jakbym to ja ją zabił. Tego właśnie chciałem doświadczyć.

Żeby nie wracała we wspomnieniach i żeby nie trzeba było jej opłakiwać, pomyślał Marcus.

— I co pewien czas, gdy tak jak teraz był pan sam w domu, zasiadał pan na tym pięknym fotelu, napełniał kieliszek koniakiem i odtwarzał tę taśmę.

— Trudno pozbyć się obsesji.

— I co pan odczuwał, gdy pan to oglądał? Przyjemność?

Guido Altieri spuścił wzrok.

— Za każdym razem żałowałem... że nie zrobiłem tego własnymi rękami — wyznał.

Marcus pokręcił głową. Odczuwał złość, ale coś ciągle mu się nie podobało.

— Ranieri opłacił morderców, prawdopodobnie jakichś kryminalistów. Napis krwią trącił amatorszczyzną, ale ślad na dywanie okazał się szczęśliwym zrzędzeniem losu. Był to błąd, który mógł ujawnić obecność kamery wideo, ale nieoczekiwanie zamienił się w korzystną okoliczność, która wszystko pokomplikowała. — Marcus roześmiał się na myśl o tym, że uznał trzy krwawe kropki za znak satanistów.

— Za to pan zrozumiał wszystko.

— Czy wiedział pan o tym, że psy nie rozróżniają kolorów? — spytał.

— Oczywiście, ale co to ma wspólnego ze sprawą? — zdziwił się Altieri.

— Pies nie może zobaczyć tęczy. I nikt nie zdoła mu nigdy wytłumaczyć, co to są kolory. Ale pan wie równie dobrze jak ja, że istnieje kolor czerwony, żółty i niebieski. Kto może nas zapewnić, że coś takiego nie odnosi się również do ludzi? Być może są rzeczy, które istnieją, chociaż nie możemy ich zobaczyć. Takie jak zło. Dowiadujemy się o nim dopiero wtedy, gdy się objawiło, kiedy jest już za późno.

— Pan zna zło?

— Znam ludzi. I widzę jego ślady.

— Jakie?

— Gołe stópki, które brodzą we krwi...

— Tamtej nocy Raffaele nie powinien był się tam znajdować. — Altieri

poruszył się gniewnie. — Miał zostać zawieszony do matki Valerii, która jednak zachorowała. Nie wiedziałem o tym.

— A tymczasem był w tym mieszkaniu. Przez całe dwa dni. Sam jeden.

Adwokat zamilkł i Marcus domyślił się, że prawda sprawia mu ból. Cieszyło go, że ten człowiek jednak coś czuje.

— Przez wszystkie te lata Ranieri miał za zadanie podsuwać fałszywe tropy pańskiemu synowi, który bezustannie prowadził śledztwo dotyczące śmierci matki. Ale w pewnym momencie Raffaele zaczął otrzymywać anonimowe listy, które obiecywały, że doprowadzą go do prawdy. — Dzięki jednemu z takich listów spotkałem go, pomyślał Marcus. — Najpierw pański syn zwolnił detektywa, a tydzień temu dowiedział się, kim są mordercy, zwabił ich do opuszczonej fabryki i zastrzelił. Z pewnością doprowadził też do śmierci Ranieriego, uszkadzając jego auto. Dlatego to on ma się tu zjawić. Ja go tylko poprzedziłem.

— Jeśli nie pan uknuł to wszystko, to w takim razie czyja to robota?

— Nie wiem, ale niecałe dwadzieścia cztery godziny temu znaleziono umierającego seryjnego mordercę Jeremiaha Smitha, który miał na piersi napis „Zabij mnie”. W ekipie karetki, która udzieliła mu pierwszej pomocy, była siostra jednej z jego ofiar. Mogła wymierzyć mu sprawiedliwość. Sądzę, że taką samą możliwość otrzymał Raffaele.

— Dlaczego tak bardzo zależy panu na tym, żeby uratować mi życie?

— Nie tylko panu. Ten seryjny morderca uprowadził studentkę o imieniu Lara. Więzi ją w jakimś miejscu, ale sam jest w śpiączce i nie będzie już mógł mówić.

— Czy to ona jest tą niewinną osobą, o której wspomniał pan przed chwilą?

— Jeśli odkryję, kto to wszystko zorganizował, będę mógł ją uratować.

Mecenas Altieri uniósł do ust kieliszek z koniakiem.

— Nie mam pojęcia, jak mógłbym panu pomóc.

— Niebawem będzie tu Raffaele, prawdopodobnie z zamiarem dokonania zemsty. Niech pan wezwie policję i odda się w ręce wymiaru sprawiedliwości. Ja zaczekam na przybycie pańskiego syna i spróbuję przekonać go, żeby ze mną porozmawiał. Możliwe, że wie coś, co może mi się przydać.

— Miałbym wyznać wszystko policji? — Szyderczy ton pytania wskazywał wyraźnie, że adwokat nie ma najmniejszego zamiaru tego zrobić. — A pan kim jest? Jak mam panu zaufać, jeśli mi pan tego nie powie?

Marcus czuł pokusę, żeby wyjawić mu wszystko, jeśli był to jedyny sposób, ale postąpiłby wbrew swoim zasadom. Nagle rozległ się strzał. Odwrócił się i zobaczył Raffaele celującego z pistoletu w fotel, na którym siedział jego ojciec. Pocisk przebił tapicerkę. Altieri pochylił się, kieliszek z koniakiem wypadł mu z ręki.

Marcus chciał zapytać chłopaka, dlaczego otworzył ogień, ale domyślił się, że wolał on zemstę niż sprawiedliwość.

— Dziękuję, że zmusił go pan do mówienia — powiedział Raffaele.

W tym momencie Marcus zrozumiał, na czym polegała jego rola w całej sprawie. Właśnie po to ktoś doprowadził do tego, że spotkali się w mieszkaniu Lary.

Miał dostarczyć Raffaele brakującego elementu: wyznania jego ojca.

Marcus chciał zadać chłopakowi kilka pytań, mając nadzieję, że pozna związek między sprawą sprzed prawie dwudziestu lat, Jeremiahem Smithem i zaginięciem Lary. Ale zanim zdążył się odezwać, usłyszał w oddali wycie policyjnych syren. Raffaele uśmiechnął się do niego, ale nie ruszył się z miejsca. To on wezwał policję. Tym razem sprawiedliwość miała zostać

wymierzona do końca. Także pod tym względem chciał być inny niż jego ojciec.

Marcus zdawał sobie sprawę, że zostało mu tylko parę minut. Miał mnóstwo pytań, ale musiał stąd wyjść. Nie mogli go tu znaleźć.

Nikt nie powinien wiedzieć o jego istnieniu.



## *Godzina 20.35*

Włożywszy potrzebne rzeczy do torby, Sandra złapała taksówkę w pobliżu via Giolitti. Podała kierowcy adres, a potem jeszcze raz przemyślała plan, jaki opracowała. Narażała się na ogromne ryzyko. Gdyby wyszły na jaw jej prawdziwe zamiary, z pewnością zostałaby zawieszona w służbie.

Samochód okrążył Piazza della Repubblica i wjechał w via Nazionale. Sandra słabo знаła Rzym. Dla takiej osoby jak ona, urodzonej i wychowanej na północy, to miasto było jedną wielką niewiadomą. Być może było zbyt piękne, trochę jak Wenecja, która zawsze wydawała jej się zaludniona wyłącznie przez turystów. Trudno było uwierzyć, że ktoś mieszka w takich miejscach, że pracuje, robi zakupy, odprowadza dzieci do szkoły, zamiast spędzać czas na podziwianiu wspaniałości, które go otaczają.

Taksówka skręciła w via San Vitale. Sandra wysiadła przed komendą.

Wszystko pójdzie dobrze, powiedziała sobie w duchu.

Pokazała swoją odznakę dyżurnemu w recepcji i poprosiła o rozmowę z kimś równym jej stopniem z archiwum. Powiedziano jej, żeby usiadła w poczekalni, a tymczasem będą próbowali znaleźć kogoś takiego telefonicznie. Po kilku minutach przyszedł po nią rudowłosy funkcjonariusz bez góry od munduru. Wyraźnie oderwano go od posiłku.

— Czym mogę pani służyć? — zapytał, obracając jedzenie w ustach. Po okrucinach na koszuli można było poznać, że raczył się kanapką.

Sandra zdobyła się na swój najbardziej ujmujący uśmiech.

— Wiem, że jest już późno, ale mój zwierzchnik wysłał mnie do Rzymu

dzisiaj po południu. Powinnam się zapowiedzieć, ale nie miałam na to czasu.

Rudowłosy kolega kiwnął obojętnie głową.

— A o co chodzi?

— O przeprowadzenie analizy.

— W konkretnej sprawie czy...

— Chodzi o analizę wpływu przestępstw z użyciem przemocy na społeczeństwo i skuteczności policji w ich zwalczaniu, z położeniem nacisku na różnice między Mediolanem i Rzymem — wyrecytowała jednym tchem.

Mężczyzna podrapał się po czole. Nie wydawało się, żeby jej zazdrościł — z jednej strony takie zadanie zwykle było jakimś rodzajem kary albo sposobem pognębienia podwładnego przez zwierzchnika. Z drugiej — nie rozumiał, czemu mogłoby to służyć.

— Ale kogo to interesuje? — spytał.

— Nie wiem, ale, jak mi się wydaje, za parę dni szef komendy ma wziąć udział w jakimś kongresie i prawdopodobnie wykorzysta te dane w sprawozdaniu.

Policjant zaczynał się domyślać, że będzie to dłuższa sprawa, a on nie chciał rujnować sobie spokojnego wieczornego dyżuru. Sandra wyczytała to z jego twarzy.

— Mogę zobaczyć pani rozkaz służbowy, agentko Vega? — Powiedział to autorytatywnym tonem, jakby chciał ją przygotować na odmowę.

Ale ona przewidziała także to. Pochyliła się w jego stronę i szepnęła konfidencjonalnie:

— Posłuchaj, kolego, tak między nami, nie mam ochoty spędzać nocy w archiwum tylko po to, żeby zadowolić tego drania, mojego szefa, inspektora De Michelisa. — Miała wyrzuty sumienia, że odmalowała go w taki sposób, ale wobec braku rozkazu służbowego musiała wymienić nazwisko jakiegoś

zwierzchnika. — Zróbmy tak: zostawię listę tego, co jest mi potrzebne, a ty spokojnie zajmiesz się tym, gdy tylko będziesz mógł.

To rzekłszy, Sandra wcisnęła mu do ręki kartkę z wydrukiem. W rzeczywistości był to spis turystycznych atrakcji miasta przygotowany przez portiera z jej hotelu. Wiedziała, że koledze odejdzie ochota do stawiania przeszkód, gdy tylko zobaczy, jak długa jest lista.

I rzeczywiście, policjant zwrócił jej spis.

— Zaczekaj chwilę. — On też przeszedł na ty. — Nie wiedziałbym, od czego zacząć. Jak się domyślam, chodzi o dość skomplikowane poszukiwania. Wydaje mi się, że ty lepiej się do tego nadajesz.

— Ale ja nie znam waszego sposobu katalogowania — zaprotestowała.

— Nie ma problemu, wyjaśnię ci wszystko. To bardzo proste.

Sandra wystawiła na pokaz całe swoje strapienie, przewracając oczami i kręcąc głową.

— Zgoda, ale chciałabym wrócić do Mediolanu jutro rano albo najpóźniej po południu. Dlatego, jeśli nie masz nic przeciwko temu, zaczęłabym od razu.

— Ależ oczywiście — zgodził się policjant, nagle okazując gotowość do współpracy, i poprowadził ją do archiwum.



Znalazła się w sali bogato ozdobionej freskami, z wysokimi sklepieniami pełnymi stiukowych ornamentów, w której stało sześć biurk i sześć komputerów. Kryło się w nich całe archiwum. Zawartość papierowych kartotek została w całości przeniesiona do bazy danych, która znajdowała się na serwerze dwa piętra niżej, w podziemiach.

Pałac komendy zbudowano w XVIII wieku. Można się tu było poczuć jak

wewnątrz dzieła sztuki. Jedna z zalet Rzymu, pomyślała Sandra.

Usiadła przy komputerze, inne stanowiska były wolne. Jedyne źródło światła stanowiła lampa na biurku, więc otaczał ją przyjemny półmrok. W panującej ciszy każdy hałas odbijał się echem od ścian, podczas gdy z dworu dochodziły pomruki kolejnej burzy.

Skupiła się na terminalu, który miała przed sobą. Rudowłosy kolega poświęcił kilka minut na wyjaśnienie jej, jak dostać się do systemu. Podał kody bezpieczeństwa i się ulotnił.

Sandra wyjęła z torebki notes Davida. Jej mąż spędził w Rzymie trzy tygodnie i na stroniczkach, które odnosiły się do tamtego okresu, można się było doliczyć około dwudziestu adresów, które potem zostały przeniesione na plan miasta. Do zdobycia ich służyła mu krótkofalówka nastawiona na częstotliwość policji. Za każdym razem, gdy centrala sygnalizowała zmotoryzowanym patrolom jakieś przestępstwo, David przypuszczalnie udawał się na miejsce.

W jakim celu? Czego szukał?

Sandra przeszła do strony notesu, na której zaznaczony był pierwszy adres, i wprowadziła go razem z datą do wyszukiwarki archiwum. Wystarczyło kilka sekund, aby na ekranie pojawiła się odpowiedź: „Via Erode Attico. Kobieta zamordowana przez partnera”.

Otworzyła plik i przeczytała skrót protokołu. Chodziło o domową kłótnię. Mężczyzna narodowości włoskiej zasztyletował swoją peruwiańską towarzyszkę życia i uciekł. Do tej pory go nie złapano. Nie rozumiejąc, dlaczego David zainteresował się tą historią, Sandra postanowiła wpisać do wyszukiwarki następny adres i datę.

„Via dell’Assunzione. Rabunek i nieumyślne zabójstwo”.

Staruszka została napadnięta w swoim mieszkaniu. Złodzieje związali ją i

zakneblowali, kobieta zmarła z powodu uduszenia. Sandra nie mogła uchwycić związku tego wydarzenia z tym, co stało się przy via Erode Attico. Miejsca i bohaterowie byli inni, podobnie jak okoliczności, w jakich doszło do gwałtownych zgonów. Wpisała następny adres i datę.

„Corso Trieste. Zabójstwo w wyniku bójki”.

Doszło do niej w nocy na przystanku autobusowym. Dwaj nieznajomi z błahaego powodu przeszli do rękoczynów, a potem jeden z nich wyciągnął nóż.

Co to może mieć wspólnego z tamtymi sprawami? — zadawała sobie pytanie, coraz bardziej zdezorientowana.

Nie zdołała znaleźć związku między tymi trzema wydarzeniami ani tymi, o których przeczytała w następnej kolejności. Zawsze była jedna lub kilka ofiar. Dziwna mapa zbrodni. Niektóre z nich zostały wyjaśnione, inne jeszcze nie.

Wszystkie jednak miały dokumentację fotograficzną zgodną z procedurą.

Jej zawód polegał na analizowaniu miejsca zbrodni na podstawie obrazów, więc nie była biegła w badaniu dokumentów pisemnych. Woląa podejście wizualne i dlatego postanowiła skupić się na zdjęciach wykonanych przez policyjnych kolegów fotografów.

Ich analizowanie nie było łatwe — dwadzieścia zabójstw oznaczało setki zdjęć. Zaczęła je oglądać, ale nie wiedziała, czego szukać. Potrzebowałyby wielu dni, żeby obejrzeć wszystko, gdyż David nie zostawił żadnych wskazówek.

Fred, kapuściana głowo, po co ta tajemniczość? Nie mogłeś zostawić mi listu z instrukcjami? Zbyt wiele cię to kosztowało, najdroższy?

Była zła, głodna, nie spała od przeszło dwudziestu czterech godzin, a od chwili gdy zjawiła się w komendzie, nie była w toalecie, choć odczuwała taką

potrzebę. W ciągu ostatniej doby wiele się wydarzyło: agent Interpolu podkopał jej zaufanie do męża; odkryła, że David nie zginął w wypadku, ale został zamordowany, a jego zabójca groził jej, zamieniając piosenkę, z którą wiązało się najpiękniejsze wspomnienie jej życia, w makabryczny marsz żałobny.

Było tego zdecydowanie za dużo jak na jeden dzień.

Na dworze znowu zaczęło padać. Sandra oparła głowę na biurku. Zamknęła oczy i na chwilę przestała myśleć. Czuła, że spoczywa na niej ogromna odpowiedzialność. Wymierzanie sprawiedliwości nigdy nie było łatwe, dlatego wybrała taki zawód. Ale dotychczas była tylko częścią większego mechanizmu, a teraz wynik dochodzenia zależał wyłącznie od niej.

Nie dam rady, pomyślała.

W tym momencie odezwała się jej komórka. Sandra aż podskoczyła, słysząc błędzące po pustej sali echo sygnału.

— Mówi De Michelis. Wiem wszystko.

Przez chwilę bała się, że jej zwierzchnik został poinformowany o tym, że powołała się na niego bez jego wiedzy i że przebywa tu bez oficjalnej motywacji.

— Zaraz ci wyjaśnię... — zaczęła.

— Nie, zaczekaj, nie przerywaj mi. Znalazłem ten obraz!

Euforia w głosie inspektora podziałała na nią uspokajająco.

— To uciekające przerażone dziecko jest jedną z postaci na obrazie Caravaggia *Męczeństwo świętego Mateusza*.

Sandra miała nadzieję, że ten szczegół coś jej wyjaśni. Spodziewała się więcej, ale nie chciała gasić entuzjazmu De Michelisa.

— Został namalowany w latach tysiąc sześćset–tysiąc sześćset jeden.

Malarz otrzymał zamówienie na fresk, ale potem postanowił, że będzie to olej na płótnie. Obraz należy do cyklu o świętym Mateuszu, obok *Natchnienia* i *Powołania*. Te trzy dzieła znajdują się w Rzymie, w kaplicy Contarellich w kościele Świętego Ludwika Francuzów.

Nic jej to nie mówiło. Musiała dowiedzieć się czegoś więcej. Otworzyła wyszukiwarkę i zaczęła szukać obrazu w ilustracjach Google.

Wkrótce ukazał się na ekranie.

Przedstawiał scenę śmierci świętego Mateusza. Kat unosił miecz, spoglądając na ofiarę z nienawiścią. Święty zwrócony był twarzą ku ziemi. Jedną ręką starał się powstrzymać zabójcę, ale drugą trzymał opuszczoną, jakby godził się na czekającą go mękę. Otaczały ich inne osoby, a wśród nich przerażone dziecko.

— Na obrazie jest pewna ciekawostka — dodał De Michelis. — Wśród ludzi przyglądających się tej scenie Caravaggio namalował siebie.

Sandra rozpoznała autoportret malarza na górze po lewej stronie. Nagle tknęło ją przeczucie.

Obraz przedstawiał scenę zbrodni.

— De Michelis, muszę cię pożegnać.

— Nie powiesz mi nawet, jak idą sprawy?

— Wszystko w porządku, pełny spokój.

Inspektor mruknął coś niezrozumiałego.

— Zadzwoń do ciebie jutro. No i dziękuję, jesteś prawdziwym przyjacielem — dodała.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź. Sprawa była zbyt ważna. Teraz wiedziała już, czego szukać.



Procedura dokumentowania fotograficznego przewidywała, że oprócz miejsca zbrodni należało uwiecznić inne rzeczy, na przykład tłum ciekawskich, który zazwyczaj zbiera się za policyjnym kordonem. Między nimi mógł kryć się sprawca przestępstwa, który przyszedł zobaczyć, jak przebiega śledztwo.

Zasada, zgodnie z którą morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni, czasami okazywała się słuszna. Okoliczność ta umożliwiła schwytanie wielu zbrodniarzy.

Sandra wybrała kilkanaście zdjęć dołączonych do dokumentów dotyczących dwudziestu zabójstw odnotowanych przez Davida w notesie i skupiła się właśnie na tych ujęciach, badając twarze gapiów. Szukała kogoś, kto, podobnie jak Caravaggio na obrazie, ukrywał się w tłumie.

Zatrzymała się na zamordowaniu prostytutki. Zdjęcie zostało zrobione w chwili, gdy ciało wydobywano z jeziora w dzielnicy EUR. Kolorowa sukienka kobiety kontrastowała ze śmiertelną szarością jej cery. Sandrze wydawało się, że na twarzy kobiety dostrzega zakłopotanie i wstyd, że została tak bezlitośnie wystawiona na spojrzenia gapiów. Sandra wyobrażała sobie ich ostre komentarze. Ta kobieta sama ich szukała. Gdyby wybrała inne życie, nie skończyłaby w ten sposób.

Po chwili go dostrzegła. Mężczyzna zdawał się kryć wśród innych ludzi. Stał na chodniku i patrzył obojętnie, jak personel kostnicy szykuje się do zabrania zwłok.

Sandra od razu rozpoznała tę twarz. Był to mężczyzna widoczny na piątym zdjęciu zrobionym leicą. W ciemnym ubraniu, z blizną na skroni.

To ty, sukinsynu? To ty zepchnąłeś mojego Davida w przepaść?

Szukała dalej, licząc na to, że znajdzie go również na pozostałych zdjęciach. I rzeczywiście, pojawił się jeszcze trzy razy, zawsze stał nieco z



boku.

David miał nadzieję, że znajdzie go w miejscach, w których doszło do rozlewu krwi, dlatego korzystał z radia nastawionego na częstotliwość policji, wpisywał adresy do notesu i zaznaczał je na planie miasta.

Dlaczego podjął dochodzenie dotyczące jego osoby? Kim był ten człowiek? Co łączyło go z tamtymi gwałtownymi zgonami? I ze śmiercią Davida?

Sandra wiedziała już, że musi go odnaleźć. Ale gdzie? Być może powinna użyć tej samej metody co David: czekać na sygnał z centrali do zmotoryzowanych patroli, a potem pojechać na miejsce zdarzenia.

Nieoczekiwanie zaczęła się zastanawiać nad pewnym aspektem, którego wcześniej nie wzięła pod uwagę. W tej chwili kwestia ta nie miała żadnego znaczenia, stanowiła jednak wątpliwość, która wymagała wyjaśnienia.

David nie zrobił zdjęcia całego obrazu Caravaggia, ale wybrał tylko jeden detal. Było to pozbawione sensu — jeśli chciał skierować na coś jej uwagę, to po co komplikował jej życie?

Sandra ponownie przyjrzała się obrazowi na ekranie komputera. David mógł go ściągnąć z internetu, a nawet sfotografować z ekranu monitora. Uwieczniając fragment z dzieckiem, chciał jej powiedzieć, że był tam osobiście.

„Wiesz, Ginger, są rzeczy, które musisz zobaczyć na własne oczy”.

Przypomniała sobie, co powiedział De Michelis: że obraz znajduje się w Rzymie, w kościele Świętego Ludwika Francuzów.

## *Godzina 23.39*

Po raz pierwszy znalazł się wraz z Clemente na miejscu zbrodni właśnie w Rzymie, w dzielnicy EUR. Pierwsza ofiara, której spojrzął w oczy, była prostytutką wyłowioną z jeziora. Od tamtej pory widział inne zwłoki, ale wszystkie one miały wspólną cechę: spojrzenie. Kryło się w nim pytanie.

Dlaczego spotyka to właśnie mnie?

Wszystkie oczy wyrażały to samo zaskoczenie, to samo zdziwienie. Niedowierzenie, któremu towarzyszyło niezniszczalne pragnienie, żeby odwrócić bieg wydarzeń, przewinąć do tyłu taśmę, otrzymać szansę po raz drugi.

Marcus był pewny, że nie było to zdumienie śmiercią, ale jej nieodwracalnością. Te ofiary nie myślały: O Boże, umieram. Ale raczej: O Boże, umieram i nic nie mogę na to poradzić.

Być może ta myśl i jemu przemknęła przez głowę, gdy ktoś strzelił do niego w hotelowym pokoju w Pradze. Doświadczył wtedy strachu czy pocieszającego poczucia nieuchronności? Amnezja zaczęła wymazywać wszystkie wcześniejsze wspomnienia, począwszy od tego ostatniego. Pierwszym obrazem, jaki utrwalił się w jego nowej pamięci, był drewniany krucyfiks wiszący na białej ścianie naprzeciwko szpitalnego łóżka. Przyglądał mu się całymi dniami, zadając sobie pytanie, co tymczasem działo się wokół niego. Pocisk nie naruszył stref mózgu, w których znajdują się ośrodki mowy i ruchu, dlatego mógł mówić i chodzić, jednak nie wiedział, co powiedzieć i dokąd się udać. Potem pojawił się uśmiech Clemente. Jego

młoda i pozbawiona zarostu twarz, bardzo ciemne włosy z przedziałkiem z boku, dobre oczy.

— Marcusie, znalazłem cię wreszcie — tak brzmiały jego pierwsze słowa. Były w nich nadzieja i jego imię.

Clemente nie rozpoznał go po rysach twarzy, ponieważ nigdy przedtem go nie widział. Zgodnie z regułą tylko Devok znał jego tożsamość. Clemente po prostu szedł jego śladem aż do Pragi, jako przyjaciel i mentor, który miał go uratować. Także martwego. To była najbardziej gorzka wiadomość, jaką Marcus powinien usłyszeć. Nie pamiętał niczego, co dotyczyło Devoka, jak i całej reszty. Ale teraz wiedział już, że Devok został zamordowany. Przy tej okazji Marcus zrozumiał, iż ból jest jedynym ludzkim doznaniem, które nie musi się wiązać z żadnym wspomnieniem. Syn zawsze będzie cierpiał z powodu straty jednego z rodziców, choćby nawet zdarzyło się to przed jego urodzeniem lub gdy był jeszcze za mały, żeby pojąć, czym jest śmierć. Przykładem tego był Raffaele Altieri.

Pamięć potrzebna jest nam tylko po to, byśmy czuli się szczęśliwi, pomyślał kiedyś Marcus.

Clemente okazał mu wiele cierpliwości. Czekał, aż odzyska siły, a potem zawiózł go do Rzymu. W następnych miesiącach opowiadał Marcusowi, co wie o jego przeszłości. Nie było tego dużo. Mówił o Argentynie, kraju jego pochodzenia, o rodzicach, którzy już nie żyli, o powodach, dla których znalazł się we Włoszech, a w końcu o czekającym go zadaniu. Clemente nie nazywał tego pracą.

Wyszkolił go dokładnie tak, jak wiele lat wcześniej zrobił to Devok. Nie było to trudne, wystarczyło dać mu do zrozumienia, że pewne rzeczy już w nim są, trzeba tylko pomóc im wydostać się na powierzchnię.

— To jest twój talent — mówił.

Czasami Marcus nie chciał być tym, kim był. Czasami wolałby być kimś normalnym. Wystarczyło jednak, by przejrzał się w lustrze, i od razu uświadamiał sobie, że nigdy taki nie będzie. Dlatego unikał luster. Blizna była groźnym memento. Ten, kto próbował go zabić, zostawił mu tę pamiątkę na skroni po to, by pamiętał, że śmierć jest jedyną sprawą, o której nigdy nie wolno mu zapomnieć. Za każdym razem, gdy Marcus patrzył na jakąś ofiarę, przypominał sobie, że był w takim samym stanie. Czuł, że jest podobny do niej, był skazany na takie samo osamotnienie.

Prostytutka wyłowiona z jeziora była jak lustro, którego starał się unikać.

Natychmiast przypomniała mu pewien obraz Caravaggia, *Śmierć Marii*. Przedstawiał Matkę Boską leżącą na czymś podobnym do stołu w kostnicy. Wokół niej nie było religijnych symboli, a jej samej nie spowijała mistyczna aura. Zwykle Marię ukazywano jako istotę zawieszoną między tym, co boskie, i tym, co ludzkie, natomiast tu Maria była porzuconym bladym ludzkim ciałem ze wzdętym brzuchem. Mówiono, że „modelką” malarza była martwa prostytutka wyłowiona z rzeki, więc ci, którzy zamówili obraz, nie chcieli go przyjąć.

Caravaggio wziął budzącą obrzydzenie scenę z codziennego życia i nadał jej znaczenie sakralne. Przypisując swym bohaterom odmienną rolę, zamieniał ich w świętych albo w umierające dziewice.

Gdy Clemente po raz pierwszy zaprowadził Marcusa do kościoła Świętego Ludwika Francuzów, powiedział mu, żeby przyjrzał się obrazowi *Męczeństwo świętego Mateusza*. Potem zachęcił go, by odarł widoczne na nim postacie z atrybutów świętości i popatrzył na nie jak na zwykłych ludzi zamieszanych w kryminalne zdarzenie.

— I co teraz widzisz? — spytał go.

— Zabójstwo — odrzekł Marcus.

To była jego pierwsza lekcja. Dla takich jak on szkolenie zawsze rozpoczynało się przed tym obrazem.

— Psy nie rozróżniają kolorów — powiedział jego nowy mistrz. — Za to my dostrzegamy ich zbyt wiele. Usuń je, spraw, żeby zostały tylko dwa: biały i czarny. Dobro i zło.

Jednak Marcus zorientował się prędko, że widzi także inne odcienie. Tonacje, których psy ani ludzie nie potrafili dostrzec. Na tym polegał jego prawdziwy talent.

Myśląc o tym teraz, poczuł nagły przypływ tęsknoty, choć nie wiedział za czym. Czasami jednak zdarzało się, że odczuwał coś, do czego nie miał prawa.

Było późno, ale nie chciał wracać do domu. Nie chciał zasnąć i śnić o tym, że jest w Pradze i ktoś chce go zabić.

Bo ja umieram co noc, powiedział sobie w duchu.

Pragnął zostać w kościele, który stał się jego sekretnym schronieniem i do którego często przychodził.

Ale tego wieczoru nie był sam. Czekał razem z grupką ludzi, aż przestanie padać. Niedawno zakończył się koncert muzyki na instrumenty smyczkowe, ale kapłani i kościelni nie mieli serca wypraszać kilku słuchaczy, którzy zostali w środku. Tymczasem muzycy zaczęli grać inne utwory, przedłużając w nieoczekiwany sposób przyjemności tego wieczoru. Burza próbowała przepłoszyć te dźwięki, ale one przeciwstawiły się łoskotom piorunów ku radości obecnych.

Marcus jak zawsze trzymał się nieco z boku. Dla niego w kościele Świętego Ludwika Francuzów istniało dodatkowe widowisko w postaci arcydzieła Caravaggia. Raz przynajmniej pozwolił sobie popatrzeć na nie

oczami normalnego człowieka. W półmroku panującym w bocznej kaplicy zauważył, że światło oświetlające przedstawioną scenę jest już w samym obrazie. Zazdrościł talentu, jakim obdarzony był Caravaggio, który potrafił dojrzeć światło tam, gdzie inni widzieli jedynie mrok. Było to coś dokładnie odwrotnego do tego, co przydarzało się jemu.

Ale właśnie w chwili, gdy rozkoszował się efektami tego malarskiego wyczucia, spojrzął w lewo. W głębi nawy stała zmoczona deszczem młoda kobieta, która mu się przyglądała.

W tym samym momencie coś się w nim zawaliło.

Po raz pierwszy ktoś naruszał jego niewidzialność.

Odwrócił od niej wzrok i szybkim krokiem skierował się w stronę zakrystii. Kobieta ruszyła za nim. Pomyślał, że musi ją zgubić. Pamiętał, że w pobliżu jest drugie wyjście. Przyspieszył kroku, ale dobiegło go poskrzypywanie gumowych podeszew jej butów na marmurowej posadzce, gdy starała się go dogonić. Nad jego głową odbił się echem grzmot. Czego mogła od niego chcieć ta kobieta? Wszedł do przedsionka w tylnej części kościoła i zobaczył drzwi. Podszedł do nich, otworzył, i już miał wyjść na deszcz, gdy kobieta się odezwała:

— Stój.

Powiedziała to, unikając krzyku. Ale choć zrobiła to przyciszonym głosem, jego ton był lodowaty.

Marcus zatrzymał się.

— Odwróć się.

Spełnił jej polecenie. Stał w żółtawym świetle ulicznej latarni, które sięgało progu. Pozwoliło mu ono jednak dostrzec pistolet w jej dłoni.

— Znasz mnie? Wiesz, kim jestem? — spytała.

Marcus zastanawiał się przez chwilę.

— Nie.

— Czy znałeś mojego męża? — W jej słowach nie było złości, tylko ból.  
— To ty go zabiłeś? Jeżeli coś o nim wiesz, musisz mi to powiedzieć, bo inaczej cię zabiję, przysięgam. — Rzuciła to tonem zdradzającym szczerość.

Marcus milczał. Stał z opuszczonymi rękami. Wpatrywał się w nią, ale nie budziła w nim strachu, raczej współczucie.

Oczy kobiety zabłysły w półmroku.

— Kim jesteś? — spytała.

W tym momencie nocne niebo przecięła błyskawica zapowiadająca nowy grzmot, głośniejszy niż poprzednie, wręcz ogłuszający. Światło latarni migotało przez chwilę i zgasło. Ulica i zakrystia pograżyły się w ciemności.

Ale Marcus nie uciekł od razu.

— Jestem księdzem — powiedział.

Gdy światło latarni znowu rozbłysło, Sandra stwierdziła, że już go nie ma.

ROK WCZEŚNIEJ  
MEKSYK



Taksówka posuwała się powoli ulicą zakorkowaną w godzinie szczytu. Wszystkie wlokące się pojazdy miały pootwierane okna, toteż płynąca z radia muzyka latynowska mieszała się z dźwiękami dochodzącymi z innych aut. Wynikała z tego kakofonia nie do zniesienia, ale Myśliwy zauważył, że każdemu z jadących udaje się wyłowić ulubioną melodię. Poprosił kierowcę, żeby włączył klimatyzację, ale usłyszał, że urządzenie nie działa.

W stolicy Meksyku było trzydzieści stopni, a wieczorem miała jeszcze wzrosnąć wilgotność powietrza. Nad miastem wisiał smog, dlatego Myśliwy nie zamierzał zatrzymywać się tu na dłużej. Postanowił wyjechać zaraz po wypełnieniu misji, która go tu sprowadziła. Pomimo uciążliwej podróży był podniecony tym, że się tu znalazł.

Zwierzyna, na którą polował, umknęła mu w Paryżu i przepadła bez śladu. Wiązał jednak pewne nadzieje z wyprawą do miasta, w którym właśnie się znalazł. Jeśli chciał podjąć polowanie, musiał lepiej zrozumieć, z kim ma do czynienia.

Taksówka dowiozła go do głównego wejścia hospicjum Świętej Łucji. Myśliwy uniósł głowę, aby spojrzeć na pomalowany na biało pięciopiętrowy budynek. Jeśli nawet jego kolonialna architektura robiła przyjemne wrażenie, to kraty w oknach nie pozostawiały wątpliwości co do jego przeznaczenia.

Pomyślał, że po to właśnie są szpitale psychiatryczne. Ktoś, kto raz trafił do takiego przybytku, pozostawał w nim na zawsze.

Do recepcji zeszła doktor Florinda Valdès, żeby go przywitać. Wymienili kilka e-maili, w których podał się za wykładowcę psychologii sądowej w Cambridge.

— Witam pana, doktorze Foster. — Lekarka się uśmiechnęła, ściskając

mu dłoń.

— Dzień dobry, Florindo... Ale, ale, czy nie byliśmy na ty? — Myśliwy był pewny, że ta pulchna czterdziestoletnia kobieta będzie pod wrażeniem nienaganych manier doktora Fostera. Wiedział, że wciąż rozgląda się za kandydatem na męża. Przed skontaktowaniem się z nią przeprowadził dokładny wywiad na jej temat.

— A więc miałeś przyjemną podróż?

— Zawsze chciałem odwiedzić stolicę Meksyku.

— Ach, nie ma z tym żadnego problemu, obmyśliłam na najbliższy weekend doskonałą trasę do zwiedzenia.

— Znakomicie! — wykrzyknął fałszywy doktor Foster, udając, że jest zachwycony. — W takim razie najlepiej natychmiast zabrać się do pracy. Dzięki temu będziemy mieli więcej czasu na całą resztę.

— Och tak, z pewnością — zaszczębiotała nieświadoma podstępem lekarka. — Pójdę przodem, o, tędy.

Myśliwy nawiązał kontakt z Florindą Valdès po obejrzeniu na YouTube jej wystąpienia na kongresie psychiatrycznym w Miami. Natknął się na nie podczas przeglądania w internecie artykułów na temat zaburzeń osobowości. Był to szczęśliwy traf, który utwierdził go w przekonaniu, że osiągnie cel, nagrodę za wszystkie wyrzeczenia.

Wystąpienie doktor Valdès na kongresie zatytułowane było *Przypadek dziewczyny w lustrze*.

— Oczywiście nie pozwalamy, żeby oglądał ją każdy — zaznaczyła, gdy przemierzali szpitalne korytarze. Dała mu w ten sposób do zrozumienia, że oczekuje z jego strony jakiegoś rewanzu.

— Wiesz, tak mnie przycisnęła naukowa ciekawość, że zostawiłem bagaż w hotelu i przybiegłem prosto tutaj. Gdybyś nie miała nic przeciwko temu, to

czy moglibyśmy wpaść tam później, przed pójściem na kolację?

— Och, oczywiście. — Zaczerwieniła się, mając nadzieję na niezapomniany wieczór w towarzystwie doktora Fostera.

Jego samolot odlatywał o dwudziestej.

Pogodny nastrój lekarki kontrastował z jękami dochodzącymi ze szpitalnych sal. Gdy przechodzili obok nich, Myśliwy korzystał z okazji, żeby zajrzeć. Ich mieszkańcy nie byli już ludźmi. Odurzeni środkami uspokajającymi, mieli czaszki ogolone do gołej skóry z powodu wszy i twarze tak białe, jak ich ubrania. Chodzili w kółko, na bosaka, zderzając się ze sobą niczym dryfujące szczątki zdane na łaskę fal. Każdy z nich dźwigał brzemię strapienia i farmaceutycznych trucizn. Miotali się na wszystkie strony, wydając demoniczne wrzaski, albo tkwili bez ruchu, czekając na śmierć, która bezlitośnie się spóźniała. Byli tu starcy, którzy wydawali się dziećmi, a także przedwcześnie postarzałe dzieci.

Podczas gdy Myśliwy przemierzał to piekło, z wytrzeszczonych oczu spoglądało na niego z uwagą mroczne zło, które zamknęło tych nieszczęśników w ich własnych wnętrzach.

Dotarli do miejsca, które doktor Valdès określiła mianem oddziału specjalnego. Było to skrzydło oddzielone od pozostałych, gdzie w każdej sali przebywało najwyżej dwóch pacjentów.

— Przetrywamy tu osobników niebezpiecznych, ale także najbardziej interesujące przypadki kliniczne... Angelina jest jednym z nich — powiedziała z dumą lekarka.

Dotarłszy do żelaznej przegrody, przypominającej drzwi więziennej celi, doktor Valdès dała znak sanitariuszowi, żeby ją otworzył. W środku było mroczno, skąpe światło docierało tu tylko przez małe, wysoko umieszczone okienko, toteż Myśliwy dopiero po chwili dostrzegł wychudzone ciało

skulone w kącie między ścianą i łóżkiem. Dziewczyna mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. W jej stwardniałych od cierpienia rysach można było dostrzec jeszcze pewien wdzięk.

— Proszę, to jest Angelina. — Lekarka wskazała dziewczynę prostackim gestem, tak jakby prezentowała jarmarczny dziwoląg.

Myśliwy zrobił kilka kroków, pragnąc jak najprędzej stanąć twarzą w twarz z osobą, dla której tu przyjechał. Wydawało się jednak, że pacjentka nie zauważa ani jego, ani lekarki.

— Odkryła ją policja podczas przeszukiwania burdelu w okolicach Tijuany. Szukali handlarza narkotyków, a znaleźli ją. Jej rodzice byli alkoholikami, a kiedy miała zaledwie pięć lat, ojciec sprzedał ją bandziorom ciągnącym zyski z prostytucji.

Na początku musiała być cennym towarem trzymanym dla klientów gotowych drogo opłacić swoją występność, pomyślał Myśliwy.

— Kiedy podrosła, straciła na wartości i mężczyźni mogli ją mieć za kilka pesos. Właściciele burdelu trzymali ją dla pijanych chłopów i szoferów ciężarówek. Mogła odbywać nawet kilkadziesiąt stosunków w ciągu dnia.

— Niewolnica.

— Nigdy nie opuszczała tamtego miejsca, zawsze była więźniarką. Zajmowała się nią kobieta, która źle ją traktowała. Nigdy nie nauczyła się mówić, wątpię nawet, czy rozumiała, co jej się przydarza. Zupełnie jakby popadła w stan katatonii.

Myśliwy chciał powiedzieć, że była doskonałym narzędziem służącym zaspokajaniu najgorszych instynktów wyuzdanych degeneratów, ale się powstrzymał. Powinien okazać wyłącznie zawodowe zainteresowanie.

— Opowiedz mi, jak dawno temu zauważyliście ten jej... talent.

— Gdy ją tu przywieziono, dzieliła pokój ze starszą pacjentką.

Postanowiliśmy umieścić je razem, ponieważ obie przebywały jakby poza światem. I rzeczywiście, nie porozumiewały się nawet ze sobą.

Myśliwy oderwał wzrok od dziewczyny, żeby spojrzeć na doktor Valdès.

— I co się stało potem?

— Na początku Angelina miała sztywne i obolałe stawy, poruszała się z trudem. Podejrzewaliśmy jakąś odmianę artretyzmu. Ale potem zaczęła tracić zęby.

— Zęby?

— I nie tylko. Zbadaliśmy ją i stwierdziliśmy poważne osłabienie organów wewnętrznych.

— I kiedy zrozumieliście, co się z nią dzieje?

Przez twarz Florindy Valdès przemknął cień.

— Kiedy osiwiła.

Myśliwy odwrócił się do pacjentki i stwierdził, że jej niemal zupełnie zgolone włosy są nieomylnie kruczoczarne.

— Aby zlikwidować wspomniane objawy, wystarczyło zabrać ją z sali, którą dzieliła ze staruszką.

Myśliwy przyglądał się dziewczynie, ciekaw, czy w głębi jej pozbawionych wyrazu oczu kryje się jeszcze coś ludzkiego.

— Syndrom kameleona albo lustra — podsumował.

Przez długi czas Angelinę zmuszano, żeby była tym, co chcieli w niej widzieć mężczyźni, którzy ją gwałcili. Narzędziem rozkoszy, niczym więcej. Dostosowała się więc. Zatraciła się w relacjach z nimi. A oni stopniowo pozbawili ją jej natury. Długie lata nadużyć wyrwały z tego stworzenia wszelkie ślady tożsamości, dlatego „pożyczała” ją od osób, które znajdowały się w pobliżu.

— To nie jest przypadek osobowości wielokrotnej. Ta dziewczyna nie

jest chora umysłowo, nie sądzi, że jest Napoleonem albo królową angielską, jak to się zdarza w głupich powieściach. — Doktor Valdès się uśmiechnęła. — Osoby dotknięte syndromem kameleona starają się naśladować każdego, kogo mają przed sobą. W obecności lekarza stają się lekarzami, w obecności kucharza będą zapewniały, że potrafią gotować. Gdy pyta się je o ich zawód, odpowiedzą w sposób ogólny, ale właściwy.

Myśliwy pamiętał, że pewien pacjent utożsamiał się z kardiologiem, z którym właśnie rozmawiał, i na jego podstępne pytanie o diagnozę pewnej szczególnej anomalii kardiologicznej odparł, że nie może się wypowiedzieć bez dokładnych badań klinicznych.

— Ale zachowania Angeliny nie są zachowaniami osoby, która z kimś rywalizuje — tłumaczyła lekarka. — Gdy była w towarzystwie starszej kobiety, zaczęła się starzeć, jej umysł sprawiał, że jej ciało się zmieniało.

Transformistka, pomyślał Myśliwy, który znał właściwą nazwę tego przypadku.

— Czy były jakieś inne objawy?

— Kilka, ale nieznacznych i trwających po kilka minut. Osoby dotknięte tym syndromem są takie, gdyż doznały uszkodzenia mózgu lub, jak w przypadku Angeliny, przeżyły wstrząs.

Myśliwy był zakłopotany, ale także zafascynowany zdolnościami dziewczyny. Miał przed sobą dowód na to, że się nie mylił. Teorie, jakie sformułował na temat ściganej zwierzyny, znalazły potwierdzenie.

Zdawał sobie sprawę, że wszyscy seryjni mordercy działają pod naciskiem kryzysu tożsamości — gdy kogoś zabijają, „przeglądają się” w swojej ofierze i się w niej rozpoznają, nie potrzebują już niczego udawać. W trakcie zabijania mieszkający w nich potwór zostaje uwolniony. Jednak człowiek, na którego Myśliwy polował, był kimś więcej. Nie miał tożsamości

i dlatego musiał ją nieustannie „pożyczać”. Cierpiał na unikalne schorzenie, był seryjnym mordercą i zarazem transformistą.

Nie ograniczał się do naśladowania, ale zmieniał samego siebie. Dlatego nikt, z wyjątkiem jego samego, nigdy go nie zidentyfikował. Ostatecznym celem jego natury nie było zajęcie miejsca innej osoby, ale stanie się nią.

Jego zachowania były nieprzewidywalne. Miał nadzwyczajną zdolność uczenia się, szczególnie języków i dialektów. Z biegiem lat doskonalił swoją metodę. Najpierw wybierał człowieka, który był do niego podobny z wyglądu — miał niezbyt wyraziste rysy twarzy, ten sam wzrost, łatwe do odtworzenia znaki szczególne. Jak Jean Duez z Paryża. Taki ktoś nie mógł mieć burzliwej przeszłości czy prowadzić ożywionego życia towarzyskiego. Najlepiej, jeśli lubił rutynę i pracował w domu.

Transformista kradł mu życie.

Jego *modus operandi* był zawsze taki sam: zabijał swoją ofiarę i masakrował jej twarz, jakby chciał na zawsze zniszczyć jej tożsamość.

Jednak Angelina była nie tylko potwierdzeniem. Była drugim przypadkiem. Patrząc na nią, Myśliwy zrozumiał, że się nie mylił. Ale potrzebował jeszcze jednego dowodu, ponieważ najtrudniejsze wyzwanie polegało na czymś innym.

Spróbować wyobrazić sobie, że podobnemu talentowi towarzyszy morderczy instynkt.

Zadzwoniła komórka Florindy Valdès. Lekarka przeprosiła i wyszła, żeby odebrać. Na taką okazję czekał Myśliwy.

Przed przybyciem tutaj dowiedział się, że Angelina miała młodszego brata. Krótko żyli razem, ale być może to wystarczyło, aby pozostał w niej ślad uczuć, jakie ich wiązały. Zdaniem Myśliwego stanowiło to klucz otwierający drogę do jej niedostępnego umysłu.

Zostawszy sam na sam z dziewczyną, zbliżył się do niej, uklęknął, żeby widziała jego twarz, po czym odezwał się cicho:

— Angelino, chcę, żebyś mnie uważnie wysłuchała. Porwałem twojego braciszka, małego Pedra, pamiętasz? Jest bardzo miły, ale zaraz go zabiję.

Dziewczyna nie zareagowała.

— Słyszałaś, co powiedziałem? Zabiję go, Angelino. Wyrwę mu z piersi serce i będę trzymał na dłoni, dopóki nie przestanie pulsować. — Myśliwy wyciągnął otwartą dłoń. — Słyszysz, jak bije? Pedro za chwilę umrze. I nikt go nie uratuje. Zadam mu mnóstwo bólu, przysięgam. Umrze, ale przedtem będzie strasznie cierpiał.

Nagle dziewczyna rzuciła się do przodu i zacisnęła zęby na jego rękę. Zaskoczony Myśliwy stracił równowagę. Angelina usiadła na nim, nie była jednak ciężka, więc zrzucił ją z siebie, wrywając rękę z jej ust. Dziewczyna poczołgała się do kąta. Mimo iż nie miała zębów, zdołała zadać mu głęboką ranę.

Do pokoju wróciła doktor Valdès. Angelina siedziała spokojnie, podczas gdy Myśliwy starał się zatamować koszulą krew.

— Co się stało?! — wykrzyknęła lekarka.

— Rzuciła się na mnie — wyjaśnił Myśliwy. — Ale to nic poważnego, trzeba będzie tylko założyć parę szwów.

— Nigdy dotąd tak się nie zachowywała.

— Nie wiem, co powiedzieć. Podszedłem do niej, żeby porozmawiać.

Florinda Valdès zadowolona się tym wyjaśnieniem. Być może obawiała się, że ominie ją miłosa przygoda z doktorem Fosterem. Jeśli chodzi o Myśliwego, to nie miał już powodów, żeby zostawać tu dłużej — prowokując dziewczynę, otrzymał odpowiedź, jakiej szukał.

— Być może będzie lepiej, jeśli pójdę z tym do lekarza — powiedział,



krzywiąc się z bólu.

Lekarka była zdezorientowana, nie chciała, żeby odszedł, ale nie wiedziała, jak go zatrzymać. zaproponowała, że pojedzie z nim na pogotowie, ale on grzecznie odrzucił jej propozycję. W przypiływie desperacji powiedziała:

— Muszę ci jeszcze opowiedzieć o innym przypadku...

Jej słowa odniosły oczekiwany skutek, ponieważ Myśliwy zatrzymał się na progu.

— O jakim przypadku?

— Zdarzyło się to wiele lat temu na Ukrainie. Dotyczyło małego chłopca, który miał na imię Dima...

TRZY DNI WCZEŚNIEJ

## *Godzina 3.27*

Trup zaczął krzyczeć.

Dopiero gdy poczuł, że w jego płucach nie ma powietrza, uświadomił sobie, iż wydobył się ze snu. Devok znowu został zabity. Ile jeszcze razy będzie musiał być przy jego śmierci? Zawsze gdy zamykał oczy, by zapaść w sen, widział tę samą sekwencję obrazów.

Marcus wsunął rękę pod poduszkę, szukając pisaka. Znalazłszy go, napisał na ścianie obok łóżka: „Trzy strzały”.

Kolejny gorzki odprysk przeszłości. Ale ten szczegół zmieniał wiele spraw. Podobnie jak poprzedniej nocy, kiedy to cofnął się aż do potłuczonego szkła, także teraz odniósł wrażenie, że słyszał jakiś dźwięk. Był przekonany, że tym razem było to naprawdę bardzo ważne.

Usłyszał trzy strzały. Dotąd zawsze były tylko dwa: jeden wymierzony w niego, drugi w Devoka. Ale w ostatniej wersji snu był też trzeci.

Mogła to być sztuczka podświadomości, która dowolnie modyfikowała to, co zdarzyło się w hotelu w Pradze. Czasami pojawiały się dźwięki i przedmioty, których nie mogło tam być, na przykład szafa grająca albo mocny rytm murzyńskiego tańca. Marcus nie wiedział, co o tym myśleć.

Ale tym razem było tak, jakby zawsze o tym wiedział.

Do fragmentów wydarzenia dołączył trzeci strzał. Był pewny, że także to okaże się użyteczne przy rekonstrukcji faktów, a przede wszystkim umożliwi wydobyć z mroku twarzy mężczyzny, który zabił jego mistrza i sprawił, że on sam zapomniał, kim był.

Trzy strzały.

Zaledwie kilka godzin temu Marcusowi znowu grożono pistoletem. Jednak tym razem było inaczej. Nie odczuwał strachu. Był pewny, że kobieta w kościele Świętego Ludwika Francuzów gotowa jest nacisnąć spust. Ale w jej spojrzeniu nie zobaczył nienawiści, a tylko rozpacz. Była zdecydowana. Uratowało go to, że na chwilę zgasło światło. Mógł uciec, a jednak został, żeby powiedzieć jej, kim jest.

„Jestem księdzem”.

Dlaczego to zrobił? Dlaczego poczuł taką potrzebę? Bo chciał jej coś dać, coś, co mogłoby wynagrodzić jej cierpienia. Jego największym sekretem jest tożsamość, powinien bronić jej za cenę życia. Świat by tego nie zrozumiał. To była litania, którą od pierwszego dnia powtarzał mu Clemente. A on nie dotrzymał tego zobowiązania. W dodatku zdradził się przed nieznaną, która miała powód, żeby go zabić. Była przekonana, że Marcus jest zabójcą mężczyzny, którego kochała. Mimo to nie potrafił uznać jej za wroga.

Kim była? W jaki sposób ona i jej mąż mogli uczestniczyć w jego dawnym życiu? A gdyby miała jakieś informacje dotyczące jego przeszłości?

Być może powinienem ją odnaleźć, porozmawiać z nią, powiedział sobie w duchu.

Ale to nie byłoby rozsądne. Poza tym nie wiedział o niej nic więcej.

Postanowił nie wspominać o tym Clemente. Był pewny, że przyjaciel nie zaaprobowałby jego impulsywnej decyzji. Obaj byli związani świętą przysięgą, ale na różne sposoby. Clemente był oddanym kapłanem, podczas gdy do duszy Marcusa zakradły się duchy, których nie był w stanie zrozumieć.

Spojrzał na zegarek. Jak zwykle zostawił Clemente wiadomość w poczcie głosowej. Mieli się spotkać przed świtem. Kilka godzin wcześniej policja

zakończyła przeszukiwanie willi Jeremiaha Smitha.

Nadszedł czas, aby i oni się tam udali.



Droga wiała się wśród wzgórz na zachód od Rzymu. Kilka kilometrów dalej było wybrzeże Fiumicino z bystrym ujściem Tybru. Stary fiat panda z wysiłkiem pokonywał wzniesienia, a jego słabe reflektory oświetlały zaledwie kawałek jezdni. Wkrótce miało świtać i natura budziła się do życia.

Clemente pochylił się nad kierownicą, żeby lepiej widzieć drogę. Często musiał redukować ze zgrzytem biegi. Marcus, który wsiadł koło mostu Milvio, zdążył już opowiedzieć mu o tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru w mieszkaniu Guida Altieriego. Jednak jego przyjaciel był bardziej zaniepokojony relacjami, jakie ukazały się w telewizji. Na szczęście nikt nie wspomniał o tym, że przy zabójstwie znanego adwokata dokonany przez jego syna był ktoś trzeci. To go uspokoiło — na razie ich działania pozostały tajemnicą.

Oczywiście Marcus nie wspomniał ani słowem o tym, co wydarzyło się później, czyli o spotkaniu z kobietą z pistoletem w kościele Świętego Ludwika Francuzów, powiedział za to:

— Jeremiah Smith nie miał zawału. Został otruty.

— Badania toksykologiczne nie wykazały obecności podejrzanych substancji w jego krwi — zauważył Clemente.

— A jednak jestem przekonany, że tak było. Nie ma innego wyjaśnienia.

— A więc ktoś musiał potraktować poważnie tatuaż na jego piersi.

„Zabij mnie”. Ktoś dał Monice, siostrze pierwszej ofiary Jeremiaha Smitha, a potem także Raffaele Altieriemu, okazję do odpłacenia za bolesne przeżycia.

— Kiedy nie można wymierzyć sprawiedliwości, pozostaje tylko wybór między przebaczeniem a zemstą — rzekł Marcus.

— Oko za oko — dodał Clemente.

— Tak, ale jest coś jeszcze. — Marcus zamilkł na chwilę, starając się ubrać w słowa myśl, która dojrzewała w nim od wczorajszego wieczoru. — Ktoś oczekiwał, że się włączymy. Przypomnij sobie Biblię, którą znalazłem w mieszkaniu Lary, i miejsce zaznaczone zakładką z czerwonej satyny.

— Stronica z Pierwszym Listem do Tesaloniczan: *Dzień Pański przyjdzie tak, jak złodziej w nocy.*

— Powtarzam ci, Clemente, ktoś o nas wie. Pomyśl tylko: do Raffaele wysłał anonimowy list, dla nas wybrał świętą księgę. Przesłanie w sam raz dla zakonników albo księży. Zostałem w to wmieszany w określonym celu. W przeciwnym razie nie da się wyjaśnić, dlaczego ten chłopak został wezwany do mieszkania Lary. Wreszcie, to dzięki mnie poznał prawdę o tym, co zrobił jego ojciec. To moja wina, że adwokat Altieri został zabity.

Clemente odwrócił głowę, żeby przyjrzeć się Marcusowi.

— Kto za tym wszystkim stoi?

— Nie mam pojęcia. Ale ta osoba kontaktuje ze sobą ofiary i katów, a zarazem chce wmieszać w to nas.

Clemente zdawał sobie sprawę, że nie jest to tylko zwykła hipoteza, dlatego był zaniepokojony. Z tego powodu wizyta w willi Jeremiaha Smitha stała się tak ważna. Obaj byli przekonani, że znajdą tam trop, który poprowadzi ich przez kolejny odcinek labiryntu. Mieli nadzieję, że zdołają jeszcze uratować Larę. Gdyby nie przyświecał im ten cel, nie mieliby tak silnej motywacji. Ktoś, kto uknuł całą tę intrygę, wiedział o tym i dlatego wyznaczył im nagrodę w postaci życia młodej studentki.

Przed bramą wjazdową stało policyjne auto, ale posiadłość była zbyt

duża, aby można było dozorować ją całą. Clemente zatrzymał pandę w wąskiej uliczce kilometr dalej. Wysiedli, żeby dotrzeć do willi na piechotę, mając nadzieję, że skryją ich nocne ciemności.

— Musimy się sprężyć, za parę godzin wrócą technicy, żeby szukać śladów — powiedział Clemente, przyspieszając kroku.

Weszli do willi przez okno na tyłach, usuwając pieczęcie. Mieli ze sobą inne, fałszywe, i zamierzali założyć je po wyjściu w miejsce tamtych. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że ktoś może się tu włamać. Założyli ochraniacze na buty i lateksowe rękawiczki, po czym zapalili latarki, osłaniając nieco światła, żeby coś widzieć, nie będąc widzianymi z zewnątrz.

W domu przeważała secesja, z paroma ustępstwami na rzecz modernizmu. Weszli do gabinetu, w którym stały mahoniowe biurko i wielka szafa biblioteczna. Meble świadczyły o dawnym dobrobycie. Jeremiah wyrósł w mieszczańskiej rodzinie, jego rodzice, którzy handlowali wyrobami tekstylnymi, zdołali zgromadzić spory majątek. Zajmowali się interesami z tak wielkim poświęceniem, że mogli sobie pozwolić tylko na jedno dziecko. Być może mieli nadzieję, że zadba o to, by firma nadal istniała, i podtrzyma dobre imię Smithów. Zapewne jednak szybko się zorientowali, że jedyny spadkobierca nie będzie kontynuował ich dzieła.

Marcus oświetlił latarką kilka ramek z fotografiami ustawionych na dębowym stole. Te wyblakłe zdjęcia ukazywały historię rodziny. Piknik na trawie, kilkuletni Jeremiah na kolanach matki i ojciec obejmujący ich oboje. Na korcie tenisowym obok willi, w białych strojach, z drewnianymi raketami. Boże Narodzenie przed laty: ubrani na czerwono, pozujący przed choinką. Czekają, stojąc nieruchomo, aż samowyzwalacz wykona swoje zadanie, tworząc doskonały tryptyk.

Ale w pewnej chwili na zdjęciach brakuje jednego z bohaterów — młody

Jeremiah i jego matka uśmiechają się smutno. Ojciec zmarł po krótkiej chorobie, a oni wciąż się fotografują, nie żeby mieć pamiątkę, ale raczej żeby oddalić cień śmierci.

Jedno z tych zdjęć przyciągnęło uwagę Marcusa: matka i syn stoją po bokach wielkiego kominka z piaskowca, nad którym wisi olejny obraz przedstawiający ojca.

— Nie znaleźli niczego, co by łączyło Jeremiaha Smitha z Larą — odezwał się Clemente za plecami Marcusa.

W pokoju widać było ślady policyjnego przeszukania. Poprzestawiano meble, przetrząsnięto zawartość szaf i szuflad.

— Dlatego nie wiedzą jeszcze, że to on ją uprowadził. Nie będą jej szukali — stwierdził Marcus.

— Przestań — rzucił surowo Clemente.

Marcus był zdumiony tak gwałtowną reakcją przyjaciela.

— Nie do wiary, że jeszcze tego nie rozumiesz. Nie mógłbyś być detektywem, a przecież zostałeś doskonale przygotowany do zajmowania się takimi sprawami. Chcesz, żebym powiedział ci prawdę? Dziewczyna pewnie umrze. To bardziej niż prawdopodobne. I nie zależy od tego, co zrobimy czy czego nie zrobimy. Dlatego skończ z tym poczuciem winy.

Marcus znów spojrzał na zdjęcie Jeremiaha Smitha stojącego pod portretem ojca z poważną miną.

— A więc od czego chcesz zacząć? — spytał Clemente.

— Od pokoju, w którym go znaleziono.



Technicy kryminalistyki zostawili w salonie halogenowe lampy na statywach, pojemniki z odczynnikami, kartoniki z cyframi do oznaczania



dowodów, które zostały sfotografowane, a potem zabrane.

Znaleźli w pokoju niebieską wstążkę do włosów, bransoletkę z koralu, różowy szalik zrobiony na drutach i czerwoną łyżworolkę, należące do czterech ofiar Jeremiaha Smitha. Przedmioty te były niezbitymi dowodami, że Smith miał coś wspólnego z ich śmiercią. Marcus wyobrażał sobie, co mógł czuć za każdym razem, gdy dotykał tych trofeów. Brał je do rąk, żeby na nowo poczuć mroczną energię, doznać ożywczego wstrząsu, jakby gwałtowna śmierć miała moc przywracania sił temu, kto ją zadaje. Przeszywał go dreszcz tajemnej rozkoszy.

Jeremiah trzymał te rzeczy w salonie, ponieważ chciał je mieć pod ręką. Dzięki temu wydawało mu się, że te dziewczęta ciągle tu są. Ich zbolące dusze uwięzione w tym domu razem z nim.

Ale wśród tych przedmiotów brakowało czegoś, co należało do Lary.

Marcus wszedł do pokoju, podczas gdy Clemente został w progu. Meble przykryto białymi płachtami, oprócz fotela stojącego na środku, przed starym telewizorem. Stolik był przewrócony, a na podłodze leżały kawałki kubka i pokruszone biszkopty, widać też było jasną zaschniętą plamę.

Marcus pomyślał, że stolik przewrócił Jeremiah, kiedy źle się poczuł. Wieczorem jadł przed telewizorem kolację złożoną z mleka i ciasteczek. Ten obrazek oddawał jego osamotnienie. Jeremiah się nie ukrywał, jego najlepszą kryjówką była obojętność innych. Gdyby świat się nim zainteresował, być może złapano by go o wiele wcześniej.

— Jeremiah Smith to typ człowieka zamkniętego w sobie, który zamieniał się w kogoś innego, żeby łowić swoje ofiary. — Marcus przypomniał sobie, że wszystkie uprowadził w dzień, oprócz Lary. Jakich sposobów się imał, żeby się do nich zbliżyć i zdobyć ich zaufanie? Był przekonujący, dziewczęta się go nie bały. Dlaczego nie sięgał po te same

chwyty, żeby zdobyć przyjaciół? Jego jedynym celem było zabijanie, a czynienie zła — nagrodą, gdyż to zło sprawiało, że wyglądał na kogoś, komu można ufać. Ale było coś, czego Jeremiaś Smith nie przewidział — że zawsze trzeba zapłacić jakąś cenę. Każdą istotę ludzką, nawet taką, która wybrała samotny żywot, najbardziej przeraża śmierć w samotności, myśl, że nikt nie będzie po nas płakał, że nikt nie odczuje naszej nieobecności ani nie będzie nas wspominał. To samo przydarzyło się także mnie, pomyślał Marcus.

Przyjrzał się miejscu, gdzie ratownicy reanimowali Jeremiaha. Leżały tu lateksowe rękawiczki, kawałki gazy, strzykawki i kaniule. Wszystko wyglądało tak samo jak w tamtych nerwowych chwilach.

Marcus starał się wyobrazić sobie, co się wydarzyło, zanim Jeremiaś Smith zaczął odczuwać objawy zatrucia.

— Ktoś, kto go otruł, znał jego zwyczaje. Zachowywał się dokładnie tak, jak on wobec Lary. Wślizgnął się do jego życia i jego domu, żeby go obserwować. Nie wsypał narkotyku do cukru, ale być może wrzucił coś do mleka. Chodziło o zemstę.

Clemente obserwował swojego ucznia, podczas gdy ten starał się wniknąć w psychikę tego, kto ukartował to wszystko.

— Dlatego Jeremiaś poczuł się źle i zadzwonił po pogotowie.

— Najbliżej jest klinika Gemelli, więc nic dziwnego, że rozmowę przekierowano tam. Ktoś, kto spłatał Jeremiahowi Smithowi takiego figła, dobrze wiedział, że wczoraj wieczorem lekarzem dyżurnym była Monica, siostra jego pierwszej ofiary. — Marcus był pod wrażeniem przebiegłości człowieka, który zaaranżował tę sytuację. — Nie działał w sposób chaotyczny. — Marcus krok po kroku odkrywał intrygę, jej istotę. — Zgoda, okazałeś się zręczny — powiedział, jakby zwracał się do tajemniczego

przeciwnika. — A teraz zobaczmy, co zostawiłeś dla nas...

— Uważasz, że są tu wskazówki, mogące nas doprowadzić do miejsca, w którym więziona jest Lara?

— Nie, on jest na to zbyt sprytny. Nawet gdyby były, toby je usunął. Nie zapominaj, że dziewczyna jest nagrodą. Musimy na nią zasłużyć.

Marcus zaczął chodzić po pokoju, pewny, że znajdzie coś, co mu umykało.

— Czego twoim zdaniem powinniśmy szukać? — spytał Clemente.

— Czegóż, co nie ma związku z całą resztą. Żeby uchronić się przed wścibstwem policji, musiał zostawić znak, który tylko my możemy odczytać.

Marcus starał się dokładnie określić punkt, od którego należało rozpocząć przeszukiwanie pokoju. Był pewny, że zaraz rzuci mu się w oczy jakaś oczywista anomalia. Najbardziej logiczne było miejsce, w którym leżał Jeremiah.

— Żaluzje — rzucił i zasłonił dwa duże okna wychodzące na tyły domu.

Omiótł światłem latarki cały pokój. Wydobywał z mroku kolejne przedmioty, a ich cienie podnosiły się niczym posłuszni żołnierze. Kanapy, kredens, stół, fotel, kominek, nad którym wisiał obraz przedstawiający tulipany. Marcus miał wrażenie, że gdzieś już to widział. Znów oświetlił obraz z kwiatami.

— Nie powinno go tu być — powiedział. Doskonale pamiętał ten kominek z piaskowca, ponieważ widział go na zdjęciu, któremu przyglądał się w gabinecie. Jeremiah i jego matka stali na nim pod olejnym obrazem zmarłego ojca rodziny. — Tamten obraz został gdzieś przeniesiony — dodał.

Ale w pokoju go nie było. Marcus podszedł do obrazu z tulipanami, uniósł ramę i stwierdził, że na ścianie pozostał ślad po innym obrazie. Już miał odejść, gdy zobaczył, że na odwrocie, na dolnej krawędzi płótna po

lewej stronie, widnieje cyfra „1”.

— Znalazłem go — powiedział stojący na korytarzu Clemente.

Marcus podszedł do niego i zobaczył portret ojca Jeremiaha wiszący na ścianie koło drzwi.

Zdjął obraz ze ściany, żeby spojrzeć, co jest na odwrocie. Tym razem znalazł cyfrę „2”. Obaj rozejrzeli się, myśląc o tym samym. Rozdzielili się i zaczęli zdejmować ze ściany wszystkie obrazy, chcąc znaleźć ten z numerem trzecim.

— Jest — oznajmił Clemente. Był to sielski pejzaż wiszący w głębi korytarza, u podnóża schodów prowadzących na piętro. Zaczęli po nich wchodzić. W połowie drogi znaleźli też czwarty obraz, upewniając się w ten sposób, że są na właściwym tropie.

— On nas prowadzi... — powiedział Marcus.

Na podeście drugiego piętra znaleźli piąty obraz. A potem szósty w małym korytarzyku i siódmy w korytarzu prowadzącym do pokoi sypialnych. Ósmy był bardzo mały, namalowany temperą. Przedstawiał tygrysa, który wyglądał tak, jakby wyskoczył z powieści Salgariego. Wisiał obok małych drzwiczek w pomieszczeniu, które musiało być pokojem dziecięcym Jeremiaha Smitha. Na półce stał oddział ołowianych żołnierzyków, poza tym dostrzegli pudełko z elementami do składania modeli, procę i konika na biegunach.

Często zapomina się, że potwory także były kiedyś dziećmi, pomyślał Marcus. Są rzeczy, które nosimy w sobie od dzieciństwa. Kto wie pod wpływem czego zrodziła się w nim potrzeba zabijania.

Clemente otworzył drzwi i ukazały się strome schody, które prawdopodobnie prowadziły na strych.

— Może policjanci nie sprawdzili jeszcze tego, co jest na górze?

Obaj byli pewni, że dziewiąty obraz powinien być ostatnim. Ostrożnie weszli na górę po nierównych stopniach. Niski sufit zmuszał ich do pochylenia głów. U wylotu tej ciasnej kamiennej studni znajdowało się duże pomieszczenie zastawione starymi meblami, książkami i kuframi. Między deskami poddasza ptaki uwiły sobie gniazda. Przestraszone ich najściem, zaczęły latać w kółko, szukając drogi ucieczki. Znalazły ją w otwartym mansardowym oknie.

— Nie możemy zostać tu zbyt długo, niebawem zacznie świtać — ponaglił Marcusa Clemente, zerknąwszy na zegarek.

Zaczęli szukać obrazu. W kącie stało kilka płócien. Clemente podszedł, żeby je obejrzeć.

— Nic — powiedział po chwili, strzepując kurz z ubrania.

Marcus zobaczył złocenia wystające zza skrzyni, która była zarazem ławą. Obszedł ją i znalazł się przed bogato zdobioną ramą wiszącą na ścianie. Nie trzeba było jej odwracać, by sprawdzić, czy to dziewiąty obraz. Był wystarczająco niezwykły, by utwierdzić ich w przekonaniu, że zabawa w poszukiwanie skarbu dobiegła końca.

Dziecięcy rysunek.

Wykonany kolorowymi kredkami na kartce z zeszytu, został umieszczony w tej zbyt ozdobnej ramie pewnie po to, żeby przyciągnąć uwagę patrzącego.

Przedstawiał letni lub wiosenny dzień. Uśmiechnięte słońce spoglądało na bujną przyrodę. Były na nim drzewa, jaskółki, kwiaty i strumyk. Rola bohaterów przypadła dwojgu dzieciom, dziewczynce w sukience w czerwone groszki i chłopczykowi, który trzymał coś w ręku. Pomimo wesołych kolorów i niewinnego tematu Marcus miał dziwne wrażenie, że w obrazku kryje się okrucieństwo.

Zrobił krok do przodu, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Dopiero wtedy

zauważył, że na sukience dziewczynki są nie groszki, ale krwawiące rany. A chłopczyk ma w ręku nożyczki.

Rzucił okiem na umieszczoną z boku datę: obrazek pochodził sprzed dwudziestu lat. Jeremiaś był już wtedy zbyt dorosły, aby być jego autorem. Obrazek był więc owocem chorej fantazji kogoś innego. Przyszło mu na myśl *Męczeństwo świętego Mateusza* Caravaggia — także to, co miał przed sobą, przedstawiało miejsce zbrodni. Ale gdy rysunek powstawał, ta zbrodnia nie została jeszcze popełniona.

Potwory także były kiedyś dziećmi, powtórzył w myślach. Ten przedstawiony na obrazku jest już dorosły. Marcus uświadomił sobie, że musi go odnaleźć.

## *Godzina 6.04*

Pierwszego dnia w policji uczyli cię, że na miejscu zbrodni nie ma niczego przypadkowego. Potem powtarzali ci to przy każdej okazji, gdy tylko o tym zapomniałaś. Wyjaśniali, że uznawanie czegokolwiek za zbieg okoliczności nie tyle prowadzi na manowce, ile może utrudnić lub wręcz uniemożliwić dojście do prawdy. I przytaczali różne przypadki, w których tego rodzaju błędy kompromitowały śledztwo.

Dzięki tym naukom Sandra nie pokładała zbytnej ufności w szczęśliwe zrządzenia losu. Przyznawała jednak, że w rzeczywistym życiu przypadkowe związki między wydarzeniami są czasami użyteczne, a przynajmniej zwracają naszą uwagę na sprawy, których inaczej byśmy nie dostrzegli.

Czasami dziwne zbiegi okoliczności uznajemy za zwykłe przypadki, innym razem, gdy zdają się narzucać zmiany w naszym życiu, nazywamy je znakami. Często każą nam one sądzić, że jesteśmy adresatami jakiegoś przesłania skierowanego wyłącznie do nas, jakby siła rządząca wszechświatem czy jakaś wyższa istota wybrała właśnie nas. Innymi słowy, pozwalają nam poczuć się kimś wyjątkowym.

Sandra pamiętała, że Carl Gustav Jung nadał takim splotom okoliczności miano synchronizmów, wyróżniając pewne ich cechy: powinny być wolne od związków przyczynowo-skutkowych, musi im towarzyszyć głębokie przeżycie emocjonalne, a wreszcie powinny mieć silne znaczenie symboliczne.

Jung utrzymywał, że pewne jednostki spędzają życie na nadawaniu

głębokiego znaczenia każdemu nadzwyczajnemu wydarzeniu, jakie im się przytrafia.

Sandra nie należała do takich osób, ale musiała zmienić zdanie. Sprawiała to opowieść Davida o nadzwyczajnym łańcuchu zdarzeń, które doprowadziły do tego, że się spotkali.

Do sierpniowych wakacji brakowało dwóch dni, a David był w Berlinie. Miał dołączyć do kilkorga przyjaciół w Mikonos, żeby popłynąć z nimi jachtem w rejs po Morzu Egejskim. Jednak tamtego ranka budzik nie zadzwonił, więc wstał późno, ale i tak zdążył na lotnisko w chwili, gdy kończyła się odprawa pasażerów. Pamiętał, że pomyślał wtedy: co za szczęście! Ale nie wiedział jeszcze, co go czeka. Żeby dotrzeć do celu, musiał przesiąść się w Rzymie. Nim jednak wszedł na pokład drugiego samolotu, linie lotnicze poinformowały go, że jego bagaż zaginął w Berlinie.

Ponieważ David nie zamierzał porzucić myśli o podróży, kupił nową walizkę i nowe ubrania w sklepach na lotnisku, a potem stawił się do odprawy, żeby zdążyć na bezpośredni samolot do Aten. Dowiedział się jednak, że z powodu najazdu turystów nie ma już miejsc.

O jedenastej wieczorem powinien stać na rufowym pokładzie trójmasztowca i sączyć ouzo z lodem w towarzystwie fascynującej hinduskiej modelki poznanej dwa tygodnie wcześniej w Mediolanie, jednak wciąż jeszcze znajdował się w zatłoczonej sali odlotów i wypełniał formularze ubezpieczeniowe dające prawo do odszkodowania za utracony bagaż.

Mógł zaczekać do następnego dnia i polecieć pierwszym samolotem, ale czuł, że nie zniesie tylu godzin oczekiwania. Wynajął więc auto, zamierzając dotrzeć nim do portu w Brindisi i wsiąść na prom do Grecji.

Przejechawszy około pięciuset kilometrów, po całej nocy spędzonej za kierownicą, ujrzał słońce wschodzące nad Apulią. Znaki drogowe



informowały, że do celu ma zaledwie parę kilometrów, ale właśnie wtedy samochód zaczął zachowywać się dziwnie: silnik tracił moc, a w końcu przestał pracować.

David wysiadł z auta, ale zamiast złorzeczyć losowi, rozejrzał się po okolicy. Na prawo zobaczył białe ufortyfikowane miasto, po drugiej stronie, kilkaset metrów dalej, szumiało morze.

Ruszył na piechotę, zamierzając dotrzeć do plaży, pustej o tak wczesnej godzinie. Znalazłszy się nad wodą, zapalił ulubionego papierosa z anyżem i zaczął podziwiać wschodzące słońce.

Wtedy właśnie spojrzął w dół i zauważył na mokrym piasku drobne odciski kroków tworzące harmonijny i symetryczny ślad. Jego serce skojarzyło je instynktownie z jakąś uprawiającą jogging kobietą. Tam, dokąd biegły ślady, było kilka zatoczek, więc ktoś, kto je zostawił, zniknął już z pola widzenia. Jednak jedno było pewne: musiało się to stać niedawno, bo inaczej fale już by je zmyły.

Gdy opowiadał później tę historię, było mu zawsze trudno opisać, co w tamtej chwili strzeliło mu do głowy: poczuł, że musi ruszyć po tych śladach. No i puścił się biegiem.

W tym momencie Sandra zawsze pytała, jak wyczuł, że to była kobieta.

— Nie miałem pewności, mogłem się tylko domyślać. Wyobrażasz sobie, jak bym się poczuł, gdybym stanął przed jakimś chłopczykiem albo niskim grubasem?

Wyjaśnienie to nigdy jej nie przekonywało. Instynkt policjantki podpowiadał jej pytania w rodzaju: „A skąd wiedziałeś, że to osoba, która uprawia jogging?”.

Ale David miał gotową odpowiedź:

— Odciski w piasku były głębsze z przodu, pod palcami, co wskazywało

na to, że ta osoba biegła.

— No dobrze, to dość wiarygodne.

David podejmował opowieść w miejscu, w którym ją przerwał. Opowiadał, że pokonał kilkaset metrów i minąwszy wydnię, zobaczył kobietę. Miała na sobie szorty, obcisłą koszulkę, sportowe buty i jasne włosy zebrane w koński ogon. Nie widział twarzy, ale zawołał kobietę. Był to głupi pomysł, bo nie znał jej imienia.

Przyspieszył jeszcze kroku.

Co mógłby jej powiedzieć, gdyby ją dogonił? Coraz bardziej uświadamiał sobie, że musi coś wymyślić, żeby nie wyjść na idiotę. Ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Z trudem zdołał się z nią zrównać. Okazało się, że jest bardzo ładna. (Słuchając tego, Sandra zwykle się uśmiechała). A potem wybąkał przeprosiny i poprosił ją, żeby się zatrzymała. Nieznajoma posłuchała go niechętnie, lustrując od stóp do głów narwańca, który ciężko dyszał. Nie zrobił na niej wrażenia. Od dwudziestu czterech godzin nie zmieniał ubrania, miał zmęczoną twarz, był spocony i z pewnością nie rozsiewał przyjemnych zapachów.

— Cześć, jestem David — powiedział, wyciągając do niej rękę. Kobieta nie uścisnęła jej, tylko spojrzała z odrazą, jakby podano jej zepsutą rybę. — Wiesz, co mówił na temat zbiegów okoliczności Carl Gustav Jung? — spytał i zaczął jej opowiadać o tym, co spotkało go od wylotu z Berlina dzień wcześniej. Słuchała, próbując się domyślić, do czego ta przemowa zmierza.

Pozwoliła mu dokończyć, a potem odparła, że właściwie to nie można nazwać tego szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ponieważ pomimo łańcucha zdarzeń niezależnych od jego woli, które doprowadziły go na tę plażę, on sam zdecydował, żeby za nią pobiec. Dlatego do tego spotkania nie

da się zastosować teorii synchronizmów.

— A kto tak mówi? — zapytał.

— Jung.

Ta uwaga wydała się Davidowi trafna, więc zamilkł. Nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć, pożegnał się z nią i zawrócił z ponurą miną. Po drodze rozmyślał o tym, jak by to było pięknie, gdyby ta dziewczyna okazała się wyjątkową kobietą, może nawet kobietą jego życia. Byłoby wspaniale zakochać się w ten sposób i opowiadać po latach, jak to szereg przeciwności losu zamienił się w wielką miłosną epopeję.

A wszystko z powodu zagubionego bagażu.

Dziewczyna nie zawróciła, żeby mu powiedzieć, że zmieniła zdanie. On nie wiedział nawet, jak ma na imię. Otrzymał jednak nagrodę. Odczekawszy miesiąc, aż linie lotnicze odnajdą jego walizkę, poszedł do komendy w Mediolanie, żeby złożyć zawiadomienie o jej kradzieży. I tam przed dystrybutorem kawy spotkał Sandrę. Zamienili kilka słów i parę tygodni później zamieszkali razem.

Teraz, leżąc w łóżku w pokoju hotelowym w Rzymie, ze świadomością, że David został zamordowany, a ona musi odnaleźć jego mordercę, Sandra mimo wszystko uśmiechnęła się na to wspomnienie.

Za każdym razem, gdy David opowiadał tę historię jakiemuś nowemu znajomemu, ten przez cały czas był pewny, że to ona jest dziewczyną z plaży. Ale proroczy aspekt sprawy polegał na tym, że życie podsuwa najbardziej banalne tropy, żeby zaserwować nam najwspanialsze możliwości. Ponieważ serce mężczyzny czy kobiety nie potrzebuje wypatrywać znaków.

Czasami wystarczy odnaleźć się wśród miliardów ludzi.

Gdyby przed automatem do kawy Sandra nie miała papierowych pięciu euro, a David drobnych, żeby je rozmienić, być może nie nawiązaliby

rozmowy. Kupiliby napoje i każde poszłoby w swoją stronę, nieświadome tego, że mogliby się pokochać. I nigdy by z tego powodu nie cierpieli.

Ile razy zdarza się coś takiego, a my o tym nie wiemy? Ile osób spotyka się, nawet nie przypuszczając, że są dla siebie stworzone?

Dlatego Sandra czuła się uprzywilejowana, chociaż David już nie żył.

Pomyślała o tym, co przydarzyło jej się wczoraj wieczorem. Sądziła, że mężczyzna z blizną na skroni jest mordercą, a on okazał się księdzem. Nie miała wątpliwości, że mówił prawdę. Mógł wykorzystać chwilę, w której zgasły lampy, i uciec, ale został, żeby jej powiedzieć, kim jest, a ona nie odważyła się pociągnąć za spust. Zupełnie jakby usłyszała głos matki: „Kochana Sandro, chyba nie strzelisz do księdza? Tak się nie robi”. Śmieszne.

Zbiegi okoliczności.

Ale nie było sposobu, żeby ustalić, co łączyło Davida z tym człowiekiem. Sandra podniosła się z łóżka, by przyjrzeć się jego fotografii, jednej z tych, które zostały wykonane leicą. Co jakiś ksiądz mógł mieć wspólnego z prowadzonym przez Davida dochodzeniem? Zdjęcie nie tylko niczego nie wyjaśniało, ale wręcz komplikowało wszystko.

Zaburzało jej w brzuchu, poza tym czuła się wyczerpana. Od wielu godzin nic nie jadła, może nawet miała gorączkę. Wróciła do hotelu zupełnie przemoczona.

W kościele Świętego Ludwika Francuzów zdała sobie sprawę, że szuka nie tylko sprawiedliwości, chce się również zemścić. Cierpienie wywołuje dziwne skutki. Sprawia, że stajemy się mniej odporni. Dochodzi do głosu pragnienie, o którym sądziliśmy, że jest pod kontrolą. Pragnienie zadania innym takiego samego bólu. Jakby jedynym sposobem uśmierzenia własnego była zemsta.

Sandra zrozumiała, że musi stanąć oko w oko z mroczną stroną swojej duszy, której istnienia nie podejrzewała. Nie chce być taka, pomyślała. Bała się jednak, że nieuchronnie coś się w niej zmieniło.

Odłożyła zdjęcie księdza z blizną na skroni i skupiła się na ostatnich dwóch, które pozostały jej do rozszyfrowania.

Jedno ciemne i drugie, na którym stojący przed lustrem David uniesioną ręką przesyłał jej smutne pozdrowienie.

Spoglądała to na jedno, to na drugie, jakby chciała uchwycić związek między nimi. Ale niczego jej nie podpowiadały. Odłożyła je i znieruchomiła, wbijając wzrok w podłogę.

Pod drzwiami leżała kartka.

Przyglądała jej się przez kilka sekund, a potem szybko ją podniosła, tak jakby się jej bała. Ktoś musiał ją wsunąć w nocy, w ciągu tych paru godzin, które udało jej się przespać. Był to obrazek przedstawiający mnicha, dominikanina, świętego Rajmunda z Peñafort.

Jego imię wydrukowane było na odwrocie — razem z modlitwą po łacinie, którą należało odmówić, żeby uzyskać wstawiennictwo świętego. Niektóre zdania były nieczytelne, ponieważ zamazał je napis czerwonym atramentem, który przyprawił Sandrę o dreszcz.

Jedno słowo, niczym podpis.

„Fred”.

## Godzina 7.00

Potrzebował zatłoczonego miejsca. O tej rannej godzinie idealnie nadawał się McDonald w pobliżu Piazza di Spagna. Klientami byli głównie zagraniczni turyści, którzy nie mogli przyzwyczać się do słodkich i lekkich włoskich śniadań.

Marcus wybrał to miejsce, ponieważ pragnął poczuć wokół siebie obecność innych ludzi. Chciał się przekonać, że życie toczy się na przekór okropnościom, które zdarzają się każdego dnia; chciał zyskać pewność, że nie jest sam w walce o normalność.

Dlatego odsunął kubek z lurowatą kawą, której nie tknął, i położył na stoliku teczkę; Clemente dostarczył mu ją pół godziny temu — ukrył ją w konfesjonale. Było to jeszcze jedno bezpieczne miejsce używane przez nich do wymiany informacji.

Rysunek chłopca z nożyczkami znaleziony na poddaszu willi Jeremiaha Smitha przywołał w pamięci Clemente zdarzenie sprzed trzech lat. Opowiedział o nim Marcusowi, gdy byli jeszcze w willi. A gdy stamtąd wyszli, udał się do archiwum. Na okładce akt widniała sygnatura c.g. 554-33-1. Zdarzenie było znane jako sprawa Figara, ponieważ media tak właśnie ochrzciły — trafnie, ale też bez szacunku dla ofiar — sprawcę tej zbrodni.

Marcus otworzył teczkę i zaczął czytać raport.

Scena, jaką w piątkowy wieczór zobaczyli policjanci w dzielnicy Nuovo Salario, przejmowała grozą. W kałuży własnych wymiocin, u stóp schodów prowadzących na piętro mieszkania, leżał półprzytomny młody człowiek.

Niedaleko niego stał zniszczony wózek inwalidzki. Federico Noni był sparaliżowany i z początku funkcjonariusze pomyśleli, że nieszczęśliwie upadł. Potem jednak weszli na piętro i dokonali makabrycznego odkrycia.

W jednej z sypialni leżały zmasakrowane zwłoki jego siostry Giorgii.

Dwudziestopięcioletnia kobieta była naga, na całym ciele miała głębokie rany zadane ostrym narzędziem. Śmiertelny cios rozpruł jej brzuch.

Lekarz sądowy ustalił, że narzędziem zbrodni były nożyczki. Clemente uprzedził Marcusa, że już wcześniej jakiś maniak zaatakował nożyczkami trzy kobiety — stąd wziął się pseudonim Figaro. Tamte ofiary przeżyły. Wydawało się jednak, że postanowił on porwać się na wyczyn większego kalibru i popełnił morderstwo.

Marcus zauważył, że określenie „maniak” w tym wypadku nie pasuje, ponieważ osobnik ten był naturą bardziej złożoną. Chora wyobraźnia kazała mu sięgać po nożyczki, gdyż tylko taki sposób zabijania sprawiał mu przyjemność. Chciał poczuć zapach strachu swoich ofiar, zmieszany z wonią krwi płynącej z ran.

Marcus podniósł wzrok znad kartek, pragnąc choćby przez chwilę popatrzeć na normalne życie. Mała dziewczynka kilka stołów dalej otwierała ostrożnie torebkę z zestawem Happy Meal. Wysunęła koniuszek języka, a jej oczy błyszczały z podniecenia.

Zadał sobie pytanie, w jakim momencie dokonuje się w nas zmiana. Kiedy następuje chwila, w której historia każdego z nas ulega nieodwracalnej modyfikacji? Ale czasami do niej nie dochodzi i wszystko toczy się tak, jak powinno.

Widok dziewczynki wystarczył, żeby przywrócić mu trochę zaufania do rodzaju ludzkiego. Znowu mógł zanurzyć się w otchłani akt, które miał przed sobą.

Przeszedł do czytania raportu policji na temat przebiegu wydarzeń.

Morderca wślizgnął się drzwiami, które po powrocie z zakupów Giorgia Noni zostawiła otwarte. Figaro miał zwyczaj wybierać ofiary w hipermarketach, a potem śledzić je do ich domu. Jednak w chwili napaści inne ofiary były same, natomiast w małym domku Giorgii mieszkał też jej brat Federico. Miał zostać sportowcem, ale banalny wypadek na motocyklu położył kres jego karierze. Według słów Federica, Figaro zaatakował go od tyłu. Wywrócił wózek inwalidzki, wskutek czego chłopak uderzył głową o podłogę i stracił przytomność. Następnie napastnik zaciągnął Giorgię na górę, gdzie zadźgał ją nożyczkami.

Federico odzyskał przytomność i usłyszał dobiegające z góry krzyki siostry. Próbował wezwać pomoc, a potem wspiąć się na schody, podpierając się rękami, lecz nie dał rady.

Musiał słuchać rozpaczliwych krzyków siostry, nie mogąc udzielić jej pomocy. Mógł tylko bezsilnie złorzeczyć, leżąc u podnóża schodów.

Policję wezwała sąsiadka, zaalarmowana krzykami dochodzącymi z domu. Usłyszawszy syrenę radiowozu, morderca rzucił się do ucieczki. Wybiegł tylnym wyjściem do ogrodu i zostawił ślady butów w miękkiej ziemi rabatki.

Zakończywszy lekturę akt, Marcus zauważył, że dziewczynka z torebką z zestawem Happy Meal dzieli się z braciszkiem ciasteczkiem oblanym czekoladą.

Czy tym razem ofiarą powołaną do pomszczenia krzywdy jest Federico Noni? Czy ktoś pomógł mu odnaleźć mordercę siostry, który nie poniósł kary? I czy zadaniem jego, Marcusa, jest powstrzymanie Federica?

Zadając sobie te pytania, Marcus natknął się na notkę znajdującą się na samym końcu akt. Na szczegól, którego prawdopodobnie nie znał nawet jego



przyjaciel Clemente, ponieważ nie wspomniał o nim, gdy byli jeszcze w willi Jeremiaha Smitha.

Nie trzeba było się mścić, ponieważ Figaro miał imię i nazwisko i został aresztowany.

## *Godzina 7.26*

Sandra przez co najmniej dwadzieścia minut przyglądała się obrazkowi z podpisem „Fred”. Najpierw było makabryczne nagranie piosenki symbolizującej miłość między nią i jej mężem, w dyktafonie, w którym został też utrwalony głos jego zabójcy. A teraz ktoś sprofanował inną sferę ich intymnych stosunków. Miłe imię, za pomocą którego zwracała się do Davida, nie należało już tylko do niej.

To jego morderca, powiedziała sobie w myśli, ściskając karteczkę wsuniętą pod drzwi. Wie, że tu jestem. Czego ode mnie chce?

Szukała wyjaśnienia, które by ją uspokoiło. Na obrazku ze świętym Rajmundem z Peñafort wskazano miejsce kultu dominikanina.

Jedna z kaplic w bazylice Santa Maria sopra Minerva.

Sandra postanowiła zadzwonić do De Michelisa, żeby poprosić go o informacje. Już miała wybrać numer na komórce, gdy zauważyła, że bateria jest wyczerpana. Podłączyła telefon do gniazdka, chcąc go podładować, i postanowiła skorzystać z aparatu znajdującego się w pokoju. Wstrzymała się jednak przed wybraniem numeru, przyglądając się słuchawce.

Po odkryciu, że David pojechał do Rzymu, żeby prowadzić skomplikowane śledztwo, zadała sobie pytanie, czy w czasie pobytu w tym mieście nawiązał z kimś kontakt, z osobą, która mogła udzielić mu jakiegoś wsparcia. Jednak w jego notesie i w pamięci komórki nie było śladu e-maili ani połączeń.

To wydało jej się dziwne.

Sandra uświadomiła sobie, że nie sprawdziła telefonu hotelowego.

Tak się przyzwyczailiśmy do tego nadmiaru techniki, pomyślała, że straciliśmy zdolność logicznego rozumowania.

Odłożyła słuchawkę, a potem wcisnęła dziesiątkę, żeby połączyć się z recepcją. Poprosiła o wykaz połączeń Davida. Powiedziała, że jest policjantką i prowadzi śledztwo w sprawie śmierci męża. Mimo iż recepcjonista raczej w to nie uwierzył, spełnił jej prośbę. Wkrótce posłaniec przyniósł kartkę, na której widniał tylko jeden numer:

0039 328 39 56 7 XXX

Miała rację. David kilka razy dzwonił do kogoś na komórkę. Sandra nie mogła jednak sprawdzić, czyj to numer, ponieważ ostatnie trzy cyfry zastąpiono literą X.

Aby nie naruszać prywatności klientów, hotelowa centrala nie rejestrowała w całości numerów telefonów przychodzących ani wychodzących. Połączenia rejestrowano tylko po to, by dopisać je do rachunku.

Skoro David zadzwonił na ten numer z pokoju hotelowego, to nie bał się swojego rozmówcy. Dlaczego więc Sandra miałaby się go bać?

Przyjrzała się jeszcze raz obrazkowi z podpisem „Fred”.

A jeśli nie podrzucił go morderca Davida? Jeśli zrobił to jakiś tajemniczy sprzymierzeniec? Ta myśl była pociągająca. Kimkolwiek był, musiał czuć się zagrożony po tym, co przydarzyło się Davidowi, więc zachowywał ostrożność. Kartka mogła być zachętą, żeby udała się do bazyliki Santa Maria sopra Minerva, ponieważ tam znajduje się coś, co może jej pomóc. Podpisał się imieniem Fred tylko po to, żeby dać jej do zrozumienia, że znał Davida. W gruncie rzeczy gdyby ktoś chciał ją skrzywdzić, byłoby mu wygodniej pozostać w cieniu, a już na pewno nie przesyłałby jej żadnych wiadomości.

Sandra wiedziała, że nie ma rzeczy pewnych, są tylko wątpliwości i pytania. Zrozumiała, że musi dokonać wyboru: może wsiąść do pierwszego pociągu, wrócić do Mediolanu i zapomnieć o całej historii albo kontynuować śledztwo bez względu na cenę.

Postanowiła kontynuować śledztwo. Ale najpierw musiała sprawdzić, co czeka na nią w kaplicy Świętego Rajmunda z Peñafort.



Bazylika Santa Maria sopra Minerva znajduje się kilka kroków od Panteonu. Została wzniesiona w roku 1280 w pobliżu starożytnej świątyni poświęconej Minerwie Chaldejskiej.

Sandra przyjechała taksówką na sąsiadujący z nią plac. Na jego środku wznosi się zaprojektowany przez Berniniego mały egipski obelisk, umieszczony na grzbiecie słonia. Według legendy papieski architekt postanowił ustawić to kamienne zwierzę tyłem do pobliskiego klasztoru dominikanów, żeby ośmieszyć ich tępotę.

Sandra miała na sobie dzinsy i szarą ocieplaną bluzę z kapturem, który mogła założyć w razie deszczu, choć nocna burza wydawała się już tylko wspomnieniem, a ulice zdążyły wyschnąć. Taksówkarz, który ją wiozł, czuł się w obowiązku przeprosić za niekończący się szereg dni złej pogody, zapewniając, że w Rzymie zawsze świeci słońce. Ale czarne chmury znowu zaczęły gromadzić się na jasnym niebie.

Minęła romańską i renesansową fasadę, aby odkryć, że wewnątrz jest gotyckie, tu i ówdzie uzupełnione kontrowersyjnymi barokowymi dodatkami. Przez kilka chwil przyglądała się błękitnemu sklepieniu i freskom przedstawiającym apostołów, proroków i doktorów Kościoła.

Bazylika właśnie otworzyła podwoje dla wiernych. Według kalendarza

wiszącego przy wejściu, pierwsza poranna msza miała zostać odprawiona dopiero o dziesiątej. Oprócz siostry zakonnej, która ustawiała kwiaty na głównym ołtarzu, Sandra była jedyną osobą w świątyni. Ale dzięki obecności zakonnicy poczuła się bardziej pogodnie.

Wyjęła obrazek ze świętym Rajmundem i ruszyła na poszukiwanie obrazu. Mijała kaplice w bocznych nawach — było ich około dwudziestu, każda bogato zdobiona czerwonym jaspisem, żyłkowanym i mieniącym się tak, że wyglądał jak żywy. Oglądała polichromie i rzeźby świętych, których gładkie i świetliste oblicza miały barwę kości słoniowej.

Interesująca ją kaplica znajdowała się na końcu, w głębi po prawej stronie, i była najskromniejsza ze wszystkich.

Pozbawiona ornamentów, wciśnięta w mroczny zakątek, miała najwyżej piętnaście metrów kwadratowych. Nie było w niej cennych marmurów, toteż nagim, poczerniałym od sadzy murom brakowało okrycia. Znajdowało się w niej tylko kilka grobów.

Sandra wyjęła komórkę, by zrobić zdjęcia, jak zawsze od widoku ogólnego do szczegółów. Zaczęła pstrykać, zaczynając od dołu. Najwięcej uwagi poświęciła dziełom sztuki znajdującym się w kaplicy.

Święty Rajmund z Peñafort został namalowany w habicie dominikanina, razem ze świętym Pawłem, na nastawie, która górowała nad środkowym ołtarzem. Po lewej stronie wisiał obraz olejny przedstawiający świętą Łucję i świętą Agatę. Jednak Sandrę zafascynował fresk na prawej ścianie kaplicy: Chrystus jako sędzia między dwoma aniołami.

U podstawy fresku paliły się liczne świece wotywnie. Ich maleńkie płomyczki tańczyły przy najlżejszym podmuchu, zalewając wnętrze różowawą poświatą.

Sandra fotografowała wszystko w nadziei, że otrzyma odpowiedź, która

została jej obiecana, dokładnie tak jak w przypadku obrazu *Męczeństwo świętego Mateusza* z kościoła Świętego Ludwika Francuzów. Była pewna, że dzięki filtrowi wmontowanemu w obiektyw aparatu zdjęcia będą wystarczająco jasne. Jak to się działo wtedy, gdy wraz z funkcjonariuszami sekcji naukowej zjawiała się na miejscu zbrodni. Ale nie potrafiła rozwiązać zagadki. Była to już druga tajemnicza sprawa, która przydarzyła się jej tego ranka, obok odkrycia zagadkowego numeru komórki, w którym niestety brakowało trzech ostatnich cyfr. Zniechęcająca była świadomość, że jest się bardzo blisko jakiejś prawdy i nie można zrobić ostatniego, decydującego kroku.

Czy to możliwe, żeby wśród zdjęć Davida nie było nic, co odsyłałoby do tego miejsca?

Pomyślała o dwóch ostatnich zdjęciach, jakie pozostały do odszyfrowania. Pomięła to ciemne i skoncentrowała się na drugim: David z gołym torsem stojący przed lustrem. Jedną ręką robił sobie zdjęcie, a drugą pozdrawiał obiektyw aparatu. Mogło się wydawać, że to wesoła poza, ale z powodu jego poważnej miny w obrazku nie było nic śmiesznego.

Nagle przerwała fotografowanie i spojrzała na komórkę. Telefon i aparat fotograficzny w jednym. Nie, to niemożliwe, pomyślała. Rozwiązanie było na wyciągnięcie ręki, a ona go nie dostrzegła. Sięgnęła do torebki po kartkę z numerem komórki:

0039 328 39 56 7 XXX

David nie unosił ręki w geście pozdrowienia, tylko pokazywał jej cyfry, których brakowało na wydruku. Sandra wybrała numer na komórce, wstawiając zamiast iksów trzy piątki.

Zaczęła czekać.

Niebo na dworze znowu zasnuły chmury. Przez witraże wpadało do

wnętrza blade światło. Pełzało po nawach, wypełniając wszystkie zakątki.

Usłyszała sygnał świadczący o tym, że numer nie jest zajęty.

Po chwili do jej uszu dobiegł odbijający się echem sygnał innej komórki.

To nie mógł być przypadek. On tu jest. I ją obserwuje.

Po trzech długich piskach wszystko ucichło. Sandra odwróciła się w stronę głównego ołtarza, żeby sprawdzić, czy jest tam jeszcze zakonnica, ale już jej nie było. Rozejrzała się, mając nadzieję, że kogoś dostrzeże. Była sama. Zrozumiała, że jest w niebezpieczeństwie, ułamek sekundy przed tym, gdy pocisk przeciął ze świstem powietrze nad jej głową i uderzył w ścianę. Ktoś strzelał z broni z tłumikiem. Sandra przykucnęła i wyjęła z kabury służbowy pistolet. Jej serce biło jak szalone. Drugi pocisk minął ją o kilka metrów. Nie wiedziała, skąd strzelano, ale była pewna, że nie zdoła trafić napastnika. A on prędko zmieni miejsce, żeby wycelować lepiej.

Musiała uciec stąd jak najszybciej.

Obróciła się i cały czas mierząc z pistoletu, przebiegła wzrokiem główną nawę. Kilka metrów od miejsca, w którym stała, zobaczyła wyjście. Aby do niego dotrzeć, musiała skryć się za kolumnami wznoszącymi się wzdłuż nawy.

Popęłniła błąd, ufając świętemu obrazkowi. Jak mogła być tak lekkomyślna, mając do czynienia z mordercą Davida, wciąż jeszcze krążącym w pobliżu?

Dała sobie dziesięć sekund na dotarcie do wyjścia. Zaczęła odliczać i ruszyła. Raz — żadnego strzału. Dwa — zyskała kilka metrów. Trzy — na chwilę oświetliło ją słabe światło padające z witraża. Cztery — znowu znalazła się w cieniu. Pięć — jeszcze kilka kroków, ale powinna poruszać się szybciej. Sześć, siedem — poczuła, że ktoś chwyta ją za ramiona, a potem ciągnie do jednej z kaplic. Nie przewidziała tego i nie mogła się wyrwać.

Szarpnęła się, ale pistolet wyślizgnął się z jej ręki. Podjęła rozpaczliwą próbę puszczenia się biegiem, ale straciła równowagę. Wiedziała, że za chwilę uderzy głową o marmurową posadzkę. Wyciągnęła ręce, żeby złagodzić upadek, ale nic to nie dało. Mogła tylko odwrócić głowę, żeby uderzyć bokiem twarzy. Rąbnęła kością jarzmową o zimny marmur, przeszło ją ukłucie podobne do wstrząsu elektrycznego. Miała otwarte oczy, ale powoli traciła przytomność, jednocześnie wiedząc, co się z nią dzieje. Poczwała, że ktoś chwyta ją za ramiona.

Pogrążyła się w mroku.



## *Godzina 9.00*

Pierwotnie więzienie Regina Coeli było klasztorem. Wzniesiono go w drugiej połowie XVII wieku. W roku 1881 został zamieniony na zakład karny, choć zachowano nazwę w hołdzie dla posągu Madonny.

Budynek mógł pomieścić około dziewięciuset więźniów trzymanyh na różnych oddziałach, w zależności od popełnionych przestępstw. Na oddziale ósmym przebywali więźniowie należący do tak zwanych przypadków granicznych: ludzie, którzy wiedli przez lata normalne życie, pracując, mając przyjaciół, czasami zakładając rodzinę, a potem bez wyraźnej przyczyny popełniali brutalne przestępstwo. Nie mieli typowych objawów choroby umysłowej, a jedyną anomalią w ich zachowaniu była skłonność do popełniania zbrodni. W oczekiwaniu, aż sąd wypowie się na temat ich władz umysłowych i zdolności kierowania własnym postępowaniem, cieszyli się traktowaniem innym niż cała reszta więziennej populacji.

Od przeszło roku ósmy oddział był domem niejakiego Nicoli Costy, czyli Figara.

Przeszedłszy przepisową kontrolę, Marcus minął bramę i ruszył długim korytarzem przegrodzonym furtkami, prowadzącym do serca więzienia. Przypominało to zstępowanie do piekieł.

Na tę okazję włożył strój księdza. Nie był przyzwyczajony do koloratki, która uciskała mu szyję, ani do powiewającej przy każdym kroku sutanny.

Dowiedziawszy się kilka godzin wcześniej, że morderca przebywa za kratkami, wymyślił ten wybieg razem z Clemente, żeby się z nim spotkać.

Nicola Costa czekał, aż sędzia zdecyduje, czy ma odsiadywać karę w więzieniu, czy w szpitalu psychiatrycznym. A tymczasem wstąpił na drogę przemiany i pokuty. Każdego ranka strażnicy prowadzili go do więziennej kaplicy, gdzie spowiadał się i słuchał samotnie mszy. Jednak tego dnia kapelan otrzymał wezwanie do pilnego stawienia się w kurii. Musiał upłynąć pewien czas, zanim by się zorientował, że to pomyłka. Clemente zorganizował wszystko łącznie z przepustką i poleceniem, aby Marcus zastąpił nieobecnego kapelana. Dzięki temu wszedł bez przeszkód do Regina Coeli.

Z pewnością wiązała się z tym groźba ujawnienia ich sekretnych działań, ale rysunek znaleziony na poddaszu willi Jeremiaha Smitha opowiadał być może o jakiejś innej rzeczywistości. Istniała możliwość, że sprawa Figara nie jest zamknięta. Marcus udał się tu, żeby się o tym przekonać.

Zostawiwszy za sobą długi kamienny korytarz, wszedł do ośmiokątnej wysokiej sali, na którą wychodziły trzy piętra z celami. Krużganki były zakratowane, by więźniowie nie mogli rzucić się w dół.

Strażnik wprowadził Marcusa do małej kaplicy i zostawił samego, żeby mógł przygotować się do mszy. Jednym z kapłańskich obowiązków było codzienne jej odprawianie, lecz Marcus należał do tych, którzy z racji wypełniania szczególnej misji nie musieli tego robić, ponieważ otrzymali specjalną dyspensę. Po wydarzeniach w Pradze odprawił kilka mszy pod kierunkiem Clemente, aby wszystko sobie przypomnieć.

Nie wiedział, w jaki sposób wybada tego człowieka. Ale określenie „przypadki graniczne” we właściwy sposób ilustrowało myśl, że chodzi o coś w rodzaju cienkiej bariery oddzielającej ludzi od zła. Czasami bariera ta była elastyczna i pozwalała na krótkie wypadki na mroczną stronę, pozostawiając zawsze możliwość, że zostaną wezwani z powrotem. W przypadkach

przekraczania jej „na siłę” bariera się rozpadała, otwierając niebezpieczne przejście — niektórzy osobnicy potrafili przebyć je z łatwością. Mogli robić wrażenie zupełnie normalnych, ale gdy tylko zrobili krok na drugą stronę, zamieniali się w nieobliczalne bestie.

Zdaniem psychiatrów Nicola Costa należał do tej zagadkowej kategorii.

Marcus przygotowywał ołtarz, stojąc plecami do pustej sali. Usłyszał dzwonięcie kajdanek i domyślił się, że nadchodzi więzień. Costa wszedł niezadarnym krokiem do kaplicy w eskorcie strażników. Miał na sobie dzinsy i białą koszulę zapiętą pod szyję. Był bez zarostu, łysy, jeśli nie liczyć kilku kosmyków, które powodowały, że wyglądał dziwnie. Ale tym, co uderzało każdego, kto na niego patrzył, była zajęcza warga, sprawiająca, że jego usta były stale wykrzywione w złowrogim uśmiechu.

Więzień dowlóknął się do jednej z ławek. Strażnicy pomogli mu usiąść, podtrzymując go za ramiona, a potem opuścili kaplicę. Mieli pilnować go z progu, żeby nie zakłócać religijnego nastroju.

Marcus odczekał chwilę, po czym odwrócił się i zobaczył zaskoczenie w oczach Figara.

— Gdzie jest kapelan? — spytał zaniepokojony więzień.

— Źle się poczuł.

Costa skinął głową i zamilkł. Trzymał w rękach różaniec i mamrotał jakąś modlitwę. Co jakiś czas musiał sięgnąć do kieszeni koszuli po chusteczkę, żeby otrzeć ślinę, która spływała mu z ust.

— Czy chcesz się wyspowiadać przed mszą? — spytał Marcus.

— Z tamtym księdzem przechodziłem coś w rodzaju drogi duchowej. Mówiłem mu o moich strapieniach, o wątpliwościach, a on odpowiadał mi słowami Ewangelii. Może powinienem zaczekać, aż wróci?

Łagodny jak jagnię, stwierdził Marcus. A może jest po prostu dobrym

aktorem.

— Przepraszam, myślałem, że będziesz miał ochotę — powiedział, odwracając się do niego plecami.

— Na co? — spytał zdezorientowany Costa.

— Na wyspowiadanie się z grzechów.

— Co się dzieje? Nie rozumiem. — Słowa te wyraźnie go podenerwowały.

— Nic, siedź spokojnie.

Costa podjął odmawianie modlitwy. Marcus włożył stulę, żeby rozpocząć mszę.

— Przypuszczam, że ktoś taki jak ty nie oplakuje swoich ofiar. No, ale przy twojej aparycji wyglądałoby to groteskowo.

Słowa te spadły na Costę jak uderzenie pięścią, ale się opanował.

— Myślałem, że księza to ludzie uprzejmi — odrzekł.

Marcus podszedł do niego i pochylił się tak, że jego twarz znalazła się parę centymetrów od jego twarzy.

— I tak wiem, co wyprawiałeś — szepnął.

Twarz Costy stężała, w oczach pojawił się zimny błysk.

— Wyznałem swoje zbrodnie i jestem gotów za nie zapłacić. Wiem, że czyniłem zło, i nie spodziewam się wdzięczności. Ale oczekuję przynajmniej odrobiny szacunku.

— No tak — przyznał zjadliwym tonem Marcus — opowiedziałeś ze szczegółami o napadach i o tym, jak zamordowałeś Giorgię Noni. — Powiedział to tak, jakby nie przywiązywał wielkiej wagi do tego dowodu, który zwykle wystarczał do wyjaśnienia sprawy. — Ale żadna z ofiar, na które napadłeś jeszcze przed popełnieniem tej zbrodni, nie umiała podać żadnego szczegółu na twój temat.

— Miałem na głowie kominiarkę. — Costa połknął haczyk, czując, że powinien podkreślić swoją winę. — Ale potem zidentyfikował mnie brat Giorgii Noni.

— Rozpoznał tylko twój głos — zauważył Marcus.

— Powiedział, że napastnik wysławiał się niezdarnie.

— Ten młody człowiek był w szoku.

— Nieprawda, to było z powodu mojej... — Costa nie dokończył zdania. Marcus przycisnął go.

— Jakiej twojej? Masz na myśli zajęczą wargę?

— Tak — przyznał więzień niechętnie. Z pewnością nie lubił, gdy ktoś mówił o jego ułomności w tak prostacki i obraźliwy sposób.

— Zawsze ta sama historia, prawda, Nicola? Nic się nie zmieniłeś od czasów, gdy byłeś dzieckiem. Jak cię nazywali koledzy ze szkoły? Wymyślili ci przyzwisko, prawda?

Costa przesunął się na ławce i wydał odgłos, który przypominał śmiech.

— Zajęcza Gęba — odparł rozbawiony. — Nie odkryli Ameryki, mogli się bardziej wysilić.

— Masz rację, Figaro pasuje lepiej — stwierdził prowokująco Marcus.

Costa był zdenerwowany, znów wytarł usta chusteczką.

— Czego ode mnie chcesz?

— Nie dam ci rozgrzeszenia, Costa, za twoje nieprawdziwe grzechy.

— Chcę stąd wyjść. — Costa odwrócił się, żeby wezwać strażników.

Ale Marcus znowu pochylił się nad nim, oparł rękę na jego ramieniu i spojrzał mu prosto w oczy.

— Jeżeli ciągle traktują cię jak potwora, łatwo się do tego przyzwyczaić. Z czasem pojmujesz, że to jedyna rzecz, dzięki której nie jesteś już nikim, ale stajesz się kimś naprawdę wyjątkowym. Twoja twarz jest w gazetach. Kiedy

siedzisz w sali sądowej, ludzie ci się przypatrują. Jedna kwestia to nie podobać się nikomu, a druga sprawić, żeby się ciebie bali. Przyzwyczyłeś się do obojętności i pogardy, teraz jednak ludzie muszą cię zauważać. Nie odwracają się, bo odczuwają potrzebę patrzenia na to, czego się najbardziej boją. Nie ciebie, ale tego, że mogliby być tacy jak ty. I im dłużej ci się przyglądają, tym bardziej czują, że są inni. Dzięki tobie mogą poczuć się lepsi. Skądinąd właśnie do tego służą potwory.

Marcus wyjął z kieszeni sutanny rysunek znaleziony na poddaszu. Rozłożył go ostrożnie na oparciu ławki i pokazał Coście. Chłopiec i dziewczynka uśmiechnięci wśród kwiatów i drzew. Ona w sukieneczce poplamionej krwią, a on z nożyczkami w ręku.

— Kto to namalował? — spytał więzień.

— Prawdziwy Figaro.

— To ja nim jestem.

— Nie, ty jesteś mitomanem. Przyznałeś się tylko po to, żeby nadać sens swojej nedorzecznej egzystencji. Byłeś w tym świetny, dobrze nauczyłeś się wszystkich szczegółów. Piękny jest również pomysł religijnego nawrócenia, dzięki niemu jesteś bardziej wiarygodny. Myślę też, że policjantom wygodnie było zamknąć sprawę, na której mogli się przejechać: trzy napadnięte kobiety, jedna zamordowana, winnego brak.

— W takim razie czym wytłumaczysz to, że od czasu, jak mnie zamknęli, nie było więcej ofiar? — spytał Costa, przekonany, że sięgnął po kluczowy argument przemawiający za jego winą.

Marcus spodziewał się tego pytania.

— Minął zaledwie rok, ale to tylko kwestia czasu, żeby wrócił do napadania. Na razie jest mu wygodnie, że ty tu siedzisz. Założę się, że pomyślał też o tym, by przestać to robić, ale nie wytrzyma długo.

Costa uniósł głowę i zaczął rozglądać się po kaplicy, jakby coś nie dawało mu spokoju.

— Nie wiem, kim jesteś, księżulku, ani po co tu dziś przyszedłeś, ale nikt ci nie uwierzy.

— Przyznaj się, że brak ci odwagi, by stać się prawdziwym potworem. Wykorzystujesz zasługi kogoś innego.

Wydawało się, że za chwilę Costa straci cierpliwość.

— Skąd to wiesz? Dlaczego nie mógłbym być chłopakiem z tego obrazka?

Marcus podsunął mu rysunek pod nos.

— Popatrz na jego uśmiech, to zrozumiesz.

Nicola Costa spojrział na kartkę i zobaczył, że w twarzy chłopca nie ma żadnej deformacji.

— To niczego nie dowodzi — powiedział ledwie słyszalnym głosem.

— Wiem o tym — odparł Marcus. — Ale mnie to wystarcza.

## *Godzina 10.04*

Obudził ją silny ból prawej kości jarzmowej. Powoli otworzyła oczy, bojąc się tak, że niemal nie mogła patrzeć. Leżała w łóżku na miękkiej czerwonej pikowanej kołdrze. Zobaczyła meble z Ikea i okno z opuszczonymi żaluzjami. Musiał być jeszcze dzień, ponieważ do środka przesączało się trochę światła.

Nie była związana, jak się tego obawiała. Miała na sobie dzinsy i bluzę z kapturem, ale ktoś zdjął jej adidas.

Zobaczyła drzwi w głębi pomieszczenia. Były tylko przymknięte. To uprzejme, uznała. Przymknęli je, żeby jej nie przeszkadzać.

Najpierw pomacała się po biodrze, szukając pistoletu, jednak kabura była pusta.

Próbowała usiąść, ale zakręciło jej się w głowie. Opadła na kołdrę i zaczęła wpatrywać się w sufit, dopóki wszystko wokół niej nie przestało wirować.

Muszę się stąd wydostać, pomyślała.

Przesunęła nogi na brzeg łóżka, opuściła jedną, potem drugą, wreszcie dotknęła palcami podłogi. Gdy była już pewna, że oparła na niej obie stopy, spróbowała podeprzeć się rękami, żeby wstać. Musiała mieć otwarte oczy, żeby nie stracić równowagi. Dźwignęła się i zdołała usiąść, po czym, opierając się o szafkę nocną, stanęła na nogach. Ale nie trwało to długo. Poczuła, że uginają się pod nią kolana, jakby napierała na nią niewidoczna fala. Starła się jej przeciwstawić, bez skutku. Zamknęła oczy i już miała



upaść, gdy ktoś chwycił ją od tyłu i położył na łóżku.

— Jeszcze nie — odezwał się męski głos.

Sandra uczepliła się mocnych ramion. Kimkolwiek był, przyjemnie pachniał. Stwierdziła, że znowu leży na plecach z głową na poduszce.

— Chcę stąd wyjść — wymamrotała.

— Nie jesteś gotowa. Kiedy ostatnio jadłaś?

Sandra się odwróciła. Nie mogła otworzyć szeroko oczu, ale mimo to dostrzegła w półmroku mężczyznę. Blond włosy o popielatym odcieniu sięgające szyi, delikatne, a jednak męskie rysy twarzy. Była pewna, że ma zielone tęczówki, ponieważ świeciły jak u kotów. Chciała zapytać go, czy może jest aniołem, ale niestety wydało się jej, że rozpoznaje nieznośny chłopięcy głos i niemiecki akcent.

— Shalber — jęknęła zawiedziona.

— Przykro mi, nie zdołałem cię utrzymać i się poślizgnęłaś — powiedział z uśmiechem.

— Kurwa, więc to ty byłeś w kościele!

— Próbowałem ci to powiedzieć, ale strasznie się rzucałaś.

— Rzucalam się? — Złość sprawiła, że Sandra zapomniała o bólu.

— Gdybym się nie wtrącił, dostałabyś kulkę od tego rewolwerowca. Zamierzałaś przejść dokładnie przed nim, byłabyś doskonałym celem.

— Kto to był?

— Nie mam pojęcia. Na szczęście śledziłem cię.

Sandra była wściekła.

— Co robiłeś?! Od kiedy?!

— Przyjechałem do Rzymu wczoraj wieczorem. Dziś rano poszedłem do hotelu, w którym zatrzymywał się David. Byłem pewny, że cię zastanę. Zobaczyłem, jak wychodzisz i łapiasz taksówkę.

— A więc ta kawa dziś wieczorem w Mediolanie...

— To był blef. Wiedziałem, że pojechałaś do Rzymu.

— Stąd te natrętne telefony, żądanie, żebym przeszukała torby Davida...

Oszukiwałeś mnie.

Shalber usiadł koło niej na łóżku i westchnął.

— Musiałem.

Sandra zdała sobie sprawę, że została wykorzystana przez agenta Interpolu.

— Co się za tym kryje? — spytała.

— Zanim to wyjaśnię, muszę zadać ci parę pytań.

— Nie. Powiedz mi od razu, o co tu chodzi.

— Przysięgam, że to zrobię, ale muszę się upewnić, czy nie grozi nam niebezpieczeństwo.

Sandra rozejrzała się i dostrzegła na poręczy fotela coś podobnego do biustonosza. Z pewnością nie należał do niego.

— Chwileczkę, gdzie ja jestem? Co to za miejsce?

Shalber podążył za jej spojrzeniem i podszedł do fotela, żeby zabrać intymny fatałaszek.

— Wybacz ten nieporządek. Mieszkanie należy do Interpolu, zatrzymują się w nim nasi goście. Zaglądają tu różni ludzie. Ale nie martw się, to bezpieczne miejsce.

— Jak się tu znaleźliśmy?

— Musiałem strzelić parę razy. Wątpię, czy trafiłem tego typka, ale udało się nam wyjść z bazyliki bez szwanku. Ciężko było nieść cię na plecach. Na szczęście lało i mogłem załadować cię do samochodu tak, że nikt tego nie zauważył. Trudno by było wytłumaczyć się z tego strażnikowi miejskiemu czy gliniarzowi.

— Aha, więc to było twoje jedyne zmartwienie? — mruknęła Sandra. — Chwileczkę, dlaczego miałyby nam jeszcze coś grozić?

— Dlatego że gość, który chciał cię zabić, z pewnością znowu spróbuje.

— Ktoś wsunął mi pod drzwi pokoju święty obrazek z wiadomością. Co takiego może znajdować się w kaplicy Świętego Rajmunda z Peñafort?

— Nic, to była tylko pułapka.

— Skąd wiesz?

— David nawiązałyby do kaplicy we wskazówkach, które ci zostawił.

Te słowa zupełnie rozbroiły Sandrę. Była zaskoczona.

— Wiesz o dochodzeniu prowadzonym przez Davida?

— Wiem o wielu rzeczach, ale wszystko we właściwym czasie.

Shalber wstał i poszedł do kuchni. Sandra usłyszała brzęk naczyń. Wkrótce wrócił z tacą, na której były jajecznica, dżem i grzanka, a do tego dzbanek kawy.

— Musisz coś zjeść, bo nie będziesz miała siły.

Rzeczywiście, od ostatniego posiłku Sandry minęły ponad dwadzieścia cztery godziny. Widok jedzenia pobudził jej apetyt. Shalber pomógł jej usiąść tak, że oparła się o dwie poduszki, po czym postawił tacę na jej kolanach. Gdy się posilała, usiadł obok niej, wyciągnął nogi na łóżku i założył ręce na piersi. Jeszcze kilka godzin temu ich relacje były sztywne, teraz stały się bardziej poufale. Sandrę to irytowało, ale nic nie powiedziała.

— Dziś rano naraziłaś się na niebezpieczeństwo. Uszłaś z życiem tylko dlatego, że sygnał mojej komórki zdenerwował tego gościa.

— Więc to byłeś ty... — powiedziała Sandra, mając usta pełne jajecznicą.

— Skąd miałaś mój numer? Dzwoniłem do ciebie z innego aparatu.

— Znalazłam, ponieważ David dzwonił do ciebie z hotelu.

— Twój mąż to był uparty typ i całkiem mi się nie podobał — odrzekł Shalber.

Sandrę zirytowała taka opinia o jej mężu.

— Nie możesz wiedzieć, jaki miał charakter.

— Zawracał tylko głowę — nie ustępował Shalber. — Gdyby przyznał mi rację, do dziś chodziłby po tym świecie.

Odstawiła tacę na łóżko i zaczęła się podnosić. Była tak zdenerwowana, że zapomniała o zawrotach głowy.

— Dokąd idziesz?

— Nie pozwolę, żeby ktoś obcy wygadywał takie rzeczy. — Chwiejąc się, obeszła łóżko i zaczęła szukać swoich butów.

— Jeśli chcesz, możesz sobie iść — Shalber wskazał drzwi — ale powiedz mi, jakie wskazówki zostawił ci David.

Sandra spojrzała na niego zdumiona.

— Niczego ode mnie nie dostaniesz!

— David został zamordowany, ponieważ wpadł na ślad pewnej osoby.

— Myślę, że się na nią natknęłam.

Podniósł się i podszedł do niej, zmuszając ją, żeby na niego spojrzała.

— Czy mam przez to rozumieć, że się na niego natknęłaś?

Sandra wkładała już buty, ale wstrzymała się na moment.

— Wczoraj wieczorem.

— Gdzie to było?

— Co za pytanie! Miejscem, w którym można najłatwiej natknąć się na księdza, jest kościół.

— Ten człowiek nie jest zwyczajnym księdzem — rzekł Shalber.

Spojrzeła na niego zaintrygowana.

— To penitencjariusz — dodał.



Shalber podszedł do okna, podniósł żaluzje i zobaczył czarne chmury, które znowu zaczynały zasnuwać niebo nad Rzymem.

— Wiesz, gdzie jest największa kartoteka przestępców na świecie? — zapytał.

Sandrę zatkało.

— Nie umiałabym... Przypuszczam, że ma ją Interpol.

— Błąd. — Shalber odwrócił się z uśmiechem zadowolenia.

— FBI?

— Też nie. Znajduje się we Włoszech. A dokładnie w Watykanie.

Sandra nie rozumiała jeszcze. Odniosła jednak wrażenie, że on ma nad nią przewagę.

— Po co Kościołowi katolickiemu kartoteka przestępców?

Shalber poprosił ją, żeby usiadła, zastanawiając się, jak jej to wyjaśnić.

— Katolicyzm to jedyne wyznanie, w którym jest sakrament spowiedzi. Ludzie wyznają swoje grzechy wysłannikowi Boga, a w zamian dostają rozgrzeszenie. Jednak czasami wina jest tak wielka, że zwykły ksiądz nie może go udzielić. Tak jest z tak zwanymi grzechami śmiertelnymi, to znaczy takimi, które dotyczą poważnych spraw i zostały popełnione rozmyślnie.

— Na przykład zabójstwa.

— Otóż to. W takich przypadkach ksiądz spisuje treść spowiedzi i przesyła ją do kolegium wysokich dostojników kościelnych w Rzymie, które jest powołane do osądzania takich spraw.

— Organ sądowniczy dla ludzkich grzechów? — Sandra była zaskoczona.

— Trybunał Sumienia.

Już w samej tej nazwie zawiera się powaga zadania, jakie stoi przed tymi ludźmi, pomyślała. Kto wie, jakie tajemnice przeszły przez tę instytucję. Zrozumiała, dlaczego David postanowił przeprowadzić śledztwo.

— Zostało powołane do życia w dwunastym wieku pod nazwą Paenitentiaria Apostolica w mniej doniosłym celu. W tamtych czasach notowano duży napływ pielgrzymów do Wiecznego Miasta. Przyjeżdżali zwiedzać bazyliki, ale mieli też nadzieję na rozgrzeszenie — wyjaśnił Shalber.

— Doprowadziło to do słynnego handlu odpustami.

— Tak, rzeczywiście. Istniały prerogatywy zastrzeżone wyłącznie dla Ojca Świętego, takie jak odpusty i łaski, których mógł udzielać tylko najwyższy zwierzchnik Kościoła. Ale było to ogromnym obciążeniem dla papieża, zaczął więc przenosić je na niektórych kardynałów, a oni później powołali do życia kongregację penitencjarną.

— Nie rozumiem, jak to się ma do czasów dzisiejszych...

— Na początku, po wydaniu decyzji przez trybunał, teksty spowiedzi palono. Ale już kilka lat potem penitencjariusze postanowili stworzyć sekretne archiwum. Prowadzą je do dziś.

Sandra zaczynała pojmuwać zasięg tej sprawy.

Shalber ciągnął swoją opowieść:

— Od prawie tysiąca lat przechowywane są w nim zapisy o najcięższych grzechach rodzaju ludzkiego. Czasami są to zbrodnie, o których nikt nigdy się nie dowiedział. Poza tym trzeba dodać, że spowiedź pokutnika nie jest aktem wymuszonym, ale spontanicznym, więc prawie zawsze jest szczerą. Paenitentiaria Apostolica nie jest zwykłą bazą danych, w której skatalogowane są sprawy przeznaczone do osądzenia, jak to może wyglądać w jakiegokolwiek policji na świecie.

— Więc co to jest?

Zielone oczy Shalbera zabłysły.

— To największe i najbardziej aktualne archiwum zła, jakie istnieje.

Na twarzy Sandry malowało się powątpiewanie.

— Czy ma to jakiś związek z diabłem? Kim są ci księża, egzorcystami?

— Mylisz się — odparł pośpiesznie Shalber. — Penitencjariuszy nie interesuje istnienie złego ducha. Mają podejście naukowe, sporządzają doskonałe charakterystyki ludzi. Z biegiem lat zdobyli ogromne doświadczenie. Po jakimś czasie, oprócz spowiedzi penitentów, zaczęli zbierać szczegółowe dane dotyczące się wszelkich zdarzeń kryminalnych. Badają je, analizują, dokładnie tak, jak zrobiłby to nowoczesny kryminolog.

— Chcesz powiedzieć, że wyjaśniają też niektóre sprawy?

— Czasami się to zdarza.

— A policja o tym nie wie...

— Są bardzo dyskretni, ale robią to od wieków.

Sandra naląła sobie filiżankę kawy.

— Jak oni działają?

— Gdy tylko uda mi się wyjaśnić jakąś sprawę, znajdują sposób, żeby anonimowo poinformować o tym władze. W innych przypadkach interweniują sami.

Shalber podszedł do stojącej w kącie pokoju walizeczki i ją otworzył. Sandra przypomniała sobie adresy w notesie Davida, zdobyte dzięki podsłuchiowaniu policyjnych komunikatów — to dlatego jej mąż szukał tego księdza na miejscach zbrodni.

— Jest. — Agent Interpolu trzymał w ręku mały pakunek. — Sprawa małego Mattea Ginestry z Turynu. Dzieciak zaginął, matka myślała, że porwał go jego ojciec. Rozwiodła się z nim, a on nie zgadzał się z decyzją

sędziego o oddaniu syna pod jej opiekę. Na początku mężczyzna był nieuchwytny, a potem zaprzeczył, że porwał syna.

— Więc kto to zrobił?

— Podczas gdy policja oskarżała ojca, dziecko się odnalazło, całe i zdrowe. Okazało się, że uprowadziła je grupa starszych chłopców z dobrych rodzin. Trzymali je w opuszczonym domu i zamierzali zabić, dla rozrywki, a może z ciekawości. Dziecko opowiedziało, że przyszedł ktoś i zabrał je z tamtego domu.

— Mógł to być ktokolwiek, dlaczego właśnie ksiądz?

— Niedaleko miejsca, w którym znaleziono dziecko, znaleziono również kartki ze szczegółowym opisem tego, co się wydarzyło. Jeden z nastolatków miał wyrzuty sumienia i wyspowiadał się księdzu ze swojej parafii. Na kartkach spisana była jego spowiedź. — Shalber wręczył Sandrze dokument.

— Przeczytaj, co jest napisane na marginesie.

Przebiegła napis wzrokiem.

— Sygnatura c.g. siedemset sześćdziesiąt cztery-dziewięć-czterdzieści cztery. Co to jest?

— To metoda katalogowania stosowana przez penitencjariuszy. Myślę, że cyfry wykorzystane są w sposób tradycyjny, ale litery z kropkami oznaczają *culpa gravis*, czyli grzech ciężki.

— Nie rozumiem. Co dało początek śledztwu, które rozpoczął David, a które ich właśnie dotyczyło?

— Agencja Reutera wysłała go do Turynu, żeby coś o tym napisał. To on znalazł te dokumenty, gdy robił zdjęcia. Wszystko zaczęło się od tego.

— A co ma z tym wspólnego Interpol?

— Mimo iż to, co robią penitencjariusze, może ci się wydać dobre, ich działalność jest nielegalna. Nie znają granic ani reguł.



Sandra naląła sobie kolejną filiżankę kawy i piła ją na stojąco, przyglądając się Shalberowi. Być może spodziewał się po niej, że zdradzi mu coś jeszcze.

— Podpowiedział wam to David, prawda? — spytała.

— Poznaliśmy się wiele lat temu w Wiedniu. On robił reportaż, ja dawałem mu wskazówki. Kiedy zaczął śledztwo dotyczące penitencjariuszy, zorientował się, że ich działalność wykracza poza granice Włoch, dlatego mogła wzbudzić zainteresowanie Interpolu. Kilka razy dzwonił do mnie z Rzymu, mówiąc mi, co odkrył do tej pory. A potem zginął. Ale jeśli naprowadził cię na numer mojego telefonu, to znaczy, że chciał, żebyś się ze mną spotkała. Mogę doprowadzić jego robotę do końca. A więc gdzie są te wskazówki?

Sandra była pewna, że Shalber ją zrewidował, kiedy była nieprzytomna, a także zabrał jej pistolet, a więc wiedział już, że nie ma ich przy sobie. Ale nie chciała przekazywać ich tak łatwo.

— Musimy razem zająć się tą sprawą — uznała.

— Nie ma mowy, zapomnij o tym. Złapiesz pierwszy pociąg do Mediolanu. Ktoś chce cię zabić, w tym mieście nie będziesz bezpieczna.

— Jestem policjantką, umiem o sobie zadbać i wiem, jak się prowadzi śledztwo, jeżeli to cię martwi.

Shalber zaczął nerwowo przemierzać pokój.

— Ja wolę pracować sam.

— Cóż, tym razem będziesz musiał zmienić swoje metody.

— Uparta jesteś. — Stanął przed nią, unosząc palec wskazujący. — Pod jednym jedynym warunkiem.

Sandra przewróciła oczami.

— Tak, wiem... ty jesteś szefem, a ja będę robiła to, co każesz.

Był wyraźnie zakłopotany.

— Skąd wiesz...

— Znam skutki działania testosteronu na męskie ego — ucięła. — A więc od czego zaczynamy?

Shalber podszedł do komody, wyjął z szuflady pistolet Sandry i oddał go jej.

— Interesują ich miejsca zbrodni, nieprawdaż? Wczoraj po przyjeździe do miasta udałem się do pewnej willi, którą przeszukiwała policja. Umieściłem tam pluskwy, mając nadzieję, że penitencjariusze pokażą się tam, gdy tylko policja opuści to miejsce. Przed świtem nagrałem rozmowę. Było ich dwóch, nie wiem, kto to. Wspominali o mordercy o pseudonimie Figaro.

— Dobrze, pokażę ci wskazówki Davida. A potem spróbujemy dowiedzieć się czegoś na temat tego Figara.

— Wydaje mi się, że to doskonały plan.

Sandra spojrzała na Shalbera, nie musiała już się przed nim bronić.

— Ktoś zamordował mojego męża, a dziś rano próbowano zabić mnie. Nie wiem, czy napastnik był ten sam i jaki to ma związek z penitencjariuszami. Być może David zapuścił się za daleko w tym swoim śledztwie.

— Jeśli ich znajdziemy, dowiemy się tego od nich.

## Godzina 12.32

Jedynymi towarzyszami Pietra Ziniego były koty. Miał ich sześć. Kryły się w cieniu pomarańczy albo wałęsały między wazami i klombami w małym ogrodzie przy jego domu, w samym sercu dzielnicy Trastevere. Przypominała ona prowincjonalne miasteczko, które ni stąd, ni zowąd znalazło się w środku wielkiej metropolii.

Przez otwarte oszklone drzwi gabinetu płynęły dźwięki ze starego gramofonu. Mogło się wydawać, że *Serenada na smyczki* Antonína Dvorzaka ma moc poruszania zasłonami. Ale Zini tego nie widział. Wyciągnął się na leżaku, żeby słuchać muzyki i delektować się promyczkiem słońca, który zdawał się przeświecać przez chmury tylko dla niego. Był silnym sześćdziesięcioletkiem. Miał wydatny brzuch, jak niektórzy krzepcy mężczyźni z początków zeszłego stulecia. Wielkie dłonie, którymi zwykle badał świat, położył na udach. U jego stóp leżała biała laska. W czarnych okularach odbijała się rzeczywistość, której widok nie był mu już potrzebny.

W dniu, w którym przestał widzieć, zerwał kontakty z ludźmi. Spędzał dni między ogródkiem i mieszkaniem w szczęściu, jakie zapewniały mu jego płyty. Bardziej bał się ciszy niż mroku.

Jeden z kotów wdrapał się na leżak i zwinął w kłębek na jego brzuchu. Zini głaskał go po gęstym futerku, a zwierzątko odwdzięczało mu się, mrużąc przy każdym dotknięciu jego palców.

— Piękna muzyka, prawda, Sokratesie? Wiem, jesteś podobny do mnie i wolisz tęskne melodie. Za to twojemu bratu podoba się ten pretensjonalny

Mozart.

Kot miał szarobrązową sierść i białą plamkę na pyszczku. Nagle coś zwróciło jego uwagę, bo uniósł głowę, obserwując wielką muchę. Po chwili przestał się nią interesować i się położył. Zini wrócił do pieszczot.

— No, śmiało, mów o co ci chodzi.

Zini wydawał się spokojny. Sięgnął po szklanekę lemoniady stojącą na stoliku i upił łyk.

— Wiem, że tu jesteś — odezwał się znowu. — Wyczułem, jak tylko przyszedłeś. Zadawałem sobie pytanie, kiedy się odezwiesz. A więc decydujesz się?

Jeden z kotów otarł się o łydkę przybysza. Rzeczywiście, Marcus był tu przynajmniej od dwudziestu minut. Wszedł tylnymi drzwiami i przez cały czas przyglądał się Ziniemu, zastanawiając się, jak zacząć rozmowę. Doskonale znał się na ludziach, ale nie potrafił nawiązać z nimi kontaktu. Pomyślał, że skoro emerytowany policjant jest niewidomy, łatwiej będzie z nim rozmawiać. Ponadto gospodarz nie mógł rozpoznać jego twarzy, więc czuł się tak, jakby miał na głowie czapkę niewidkę. Mimo to Zini widział go lepiej niż ktokolwiek inny.

— Nie daj się nabrać, to nie ja jestem ślepcem. To świat zgasł wokół mnie.

Ten człowiek budził zaufanie.

— Przyszedłem w sprawie Nicoli Costy.

Zini kiwnął głową, sposepniał, ale już po chwili się uśmiechnął.

— Jesteś jednym z nich, prawda? Nie, nie musisz odpowiadać. Wiem, że nie możesz.

Ten stary policmajster wie wszystko, pomyślał Marcus.

— Wśród glin krążą różne opowieści. Niektórzy myślą, że to legendy.

Ale ja w nie wierzę. Wiele lat temu przydzielono mi pewną sprawę. Kobieta została obrabowana i zabita, a sposób, w jaki morderca się nad nią znęcał, zdradzał niesłychane i niewytłumaczalne okrucieństwo. Pewnego wieczoru zadzwonił do mnie jakiś człowiek i wyjaśnił, że poluję nie na tę osobę, co trzeba, i podpowiedział mi, jak mam szukać prawdziwego winnego. Nie był to typowy anonimowy telefon, ten mężczyzna był przekonujący. Kobietę zamordował gość, który się do niej zalecał i został odtrącony. Aresztowaliśmy go.

— Figaro nadal jest na wolności — przycisnął go Marcus.

Ale Zini jakby nie słyszał jego słów.

— Wiedziałeś o tym, że w dziewięćdziesięciu czterech procentach spraw ofiara zna swojego zabójcę? Jest bardziej prawdopodobne, że zamorduje nas bliski krewny albo przyjaciel, z którym utrzymujemy od bardzo dawna zażyłe kontakty, a nie obca osoba.

— Zini, dlaczego mi nie odpowiadasz? Czyżbyś nie chciał odciąć się od przeszłości?

Utwór Dworzaka się skończył, igła gramofonu zaczęła podskakiwać na ostatnim rowku winylowej płyty. Zini pochylił się, zmuszając Sokratesa, żeby zeskoczył na ziemię i wrócił do swoich towarzyszy. Skrzyżował ręce.

— Lekarze zapowiedzieli mi z dużym wyprzedzeniem, że stracę wzrok. Dlatego miałem mnóstwo czasu, żeby przyzwyczaić się do tej myśli. Mówiłem sobie: gdy tylko choroba zacznie przeszkadzać mi w pracy, natychmiast zrezygnuję. A tymczasem przygotowywałem się, uczyłem się brajla, czasami chodziłem po domu z zamkniętymi oczami, żeby się przyzwyczaić do rozpoznawania dotykiem różnych przedmiotów, albo spacerowałem z laską. Nie chciałem uzależnić się od innych. A potem, pewnego dnia, zacząłem widzieć niewyraźnie. Zanikały niektóre szczegóły,

podczas gdy inne stawały się niewiarygodnie wyraźne. Światło bladło po bokach i nagle się pojawiało, czasem widziałem mnóstwo kolorów. To było nie do zniesienia. Modliłem się, żeby jak najprędzej przyszedł mrok. Rok temu zostałem wreszcie wysłuchany. — Zini zsunął ciemne okulary, odsłaniając nieruchome źrenice, niewrażliwe na blask słońca. — Sądziłem, że poczuję się osamotniony. I wiesz, co się stało? Nie jestem samotny. Widzę w mroku wszystkich tych, których nie udało mi się uratować, twarze ofiar, które patrzyły na mnie, leżąc we własnej krwi i gównie, w mieszkaniu albo na ulicy, na jakimś ugorze albo na stole w prosektorium. Odnalazłem je wszystkie, czekały na mnie. I teraz żyją ze mną jak widma.

— Założę się, że jest wśród nich również Giorgia Noni. Co ona robi, mówi do ciebie? Czy może przygląda ci się i milczy, każąc ci się wstydić?

Zini roztrzaskał o ziemię szklaną z lemoniadą.

— Nie potrafisz tego zrozumieć.

— Wiem, że sfałszowałeś wyniki śledztwa.

Mężczyzna pokręcił głową.

— To była ostatnia sprawa, jaką się zajmowałem. Musiałem się spieszyć, nie miałem czasu. Jej brat Federico zasługiwał na to, żeby znaleźć winnego.

— I dlatego posłałeś za kratki niewinnego człowieka?

Policjant zwrócił oczy w kierunku Marcusa, jakby go widział.

— Mylisz się, Costa nie jest niewinny. Był wcześniej karany za nagabywanie i molestowanie. W jego domu znaleźliśmy twardą pornografię, nielegalne materiały ściągnięte z internetu. Wszystkie były na ten sam temat: przemoc wobec kobiet.

— Fantazjowanie to za mało, żeby skazać człowieka.

— Szykował się, żeby znowu uderzyć. Wiesz, jak wyglądało jego zatrzymanie? Był na liście podejrzanych w sprawie Figara, mieliśmy go na

oku. Pewnego wieczoru zobaczyliśmy, że idzie za kobietą, która wyszła z supermarketu, miał przy sobie dużą sportową torbę. Potrzebowaliśmy dowodów, ale musieliśmy szybko podjąć decyzję. Mogliśmy pozwolić mu, żeby na nią napadł i zrobił jej krzywdę, albo natychmiast go zatrzymać. Wybrałem to drugie. I miałem rację.

— Czy w torbie były nożyczki?

— Nie. Tylko ubrania na zmianę — przyznał Zini. — Ale były dokładnie takie same jak te, które miał na sobie. Wiesz dlaczego?

— Żeby nie zwrócić na siebie uwagi, w razie gdyby ubrudził się krwią.

— A potem złożył zeznanie, przyznał się. Mnie to wystarcza.

— Żadna z ofiar nie podała szczegółów, które pozwoliłyby go zidentyfikować. Ograniczyły się do potwierdzenia *a posteriori*, że to był on. Kobiety, które doświadczyły przemocy, często są w takim szoku, że kiedy policja pokazuje im podejrzanego, od razu mówią, że to on je zaatakował. Nie kłamią, pragną w to wierzyć, są przekonane, że to prawda. Nie mogłyby żyć, wiedząc, że potwór, który je skrzywdził, jest na wolności, bo strach, że to się powtórzy, jest silniejszy niż jakiekolwiek poczucie sprawiedliwości. A wtedy jeden winny wart jest tyle samo, co każdy inny.

— Federico Noni rozpoznał Costę po głosie — przypomniał Zini.

— Czyżby? — obruszył się Marcus. — Czy ten chłopak wskazał go palcem? Pomyśl tylko, ile wstrząsów doznał w ciągu ostatnich lat.

Pietro Zini nie wiedział, co odpowiedzieć. Był dobrym policjantem, ale coś się w nim załamało. Człowiek, który potrafił przestraszyć przestępcę samym tylko spojrzeniem, teraz wydawał się słaby. I to nie tylko z powodu swojej ułomności. Ona przydała mu jeszcze mądrości. Marcus był przekonany, że Zini coś wie i że powinien tylko pozwolić mu mówić.

— Od dnia, w którym powiedziano mi, że oślepnę, nie przegapiłem ani

jednego zachodu słońca. Czasami chodziłem na wzgórze Gianicolo i stałem tam do ostatniego promyczka. Są rzeczy, które uważamy za dobrze nam znane i którym się nie przyglądamy, chociaż za każdym razem nas zdumiewają. Na przykład gwiazdy. Pamiętam, że gdy byłem dzieckiem, lubiłem leżeć w trawie i wyobrażać sobie wszystkie te dalekie światy. Zaczęłem robić to znowu, nim straciłem wzrok, ale tamte wrażenia nie wróciły. Moje oczy widziały za dużo rzeczy złych i przerażających. Do ostatnich, jakie oglądałem, należał trup Giorgii Noni. — Stary policjant wyciągnął rękę, żeby wezwać do siebie koty. — Niełatwo jest wierzyć, że ktoś umieścił nas na świecie tylko po to, żeby patrzeć, jak cierpimy. Mówi się, że jeśli Bóg jest dobry, to nie może być wszechmocny, i na odwrót. Dobry Bóg nie kazałby cierpieć swoim dzieciom, a to oznacza, że nie potrafi temu zapobiec. Jeśli natomiast wszystko przewidział, to w takim razie nie jest dobry, jak każe nam w to wierzyć.

— Chciałbym móc ci powiedzieć, że to zamysł, którego nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Że człowiek nie może tego pojąć. Ale tak naprawdę nie znam odpowiedzi.

— Jesteś uczciwy. Doceniam to. — Zini wstał. — Chodź, chcę ci coś pokazać.

Sięgnął po laskę i wszedł do gabinetu, a Marcus za nim. W pokoju było bardzo czysto, panował porządek, co oznaczało, że Zini jest samowystarczalny. Policjant podszedł do gramofonu i zdjął z niego płytę z muzyką Dworzaka. Gdy to robił, Marcus zauważył leżący w kącie sznur. Kto wie ile razy policjanta kusiło, żeby go użyć.

— Popełniłem błąd, oddając pozwolenie na broń — powiedział Zini, tak jakby wyczuł myśli swego gościa, po czym usiadł przy biurku, na którym stał komputer. Nie miał monitora, tylko urządzenie do czytania tekstu. — To, co



usłyszysz, nie spodoba ci się.

Marcus zaczął się domyślać, o co chodzi.

— Ale najpierw chcę ci powiedzieć, że ten chłopak, Federico Noni, dość się już wycierpiał. — Zini wydawał się przygnębiony. — Stracił władzę w nogach i przydarzyło się to właśnie jemu, sportowcowi. Jeśli traci się wzrok w moim wieku, można się z tym jakoś pogodzić. Potem brutalnie zamordowano mu siostrę, praktycznie rzecz biorąc, na jego oczach. Pomyśl, jak bezradny musiał się poczuć. Bóg jeden wie, jak się zadrecza, chociaż nie zrobił nic złego.

— Ale co to ma wspólnego z tym, co chcesz mi pokazać?

— Ma, ponieważ Federico ma prawo do takiej sprawiedliwości, jak ją sobie wyobraża. Jakakolwiek by była.

Pietro Zini zamilkł, czekając, aż Marcus da mu znak, że zrozumiał.

— Z fizycznymi ułomnościami można żyć, ale nie wtedy, gdy dręczą cię wątpliwości.

To wystarczyło. Policjant zaczął stukać w klawiaturę. Dzięki urządzeniu do czytania tekstu Zini mógł surfować po sieci, czatować, wysyłać i odbierać pocztę. Nikt nie zauważyłby różnicy. W cyberprzestrzeni wszyscy są równi.

— Kilka dni temu dostałem e-mail — rzekł policjant. — Posłuchaj...

W komputerze zainstalowany był program, który odczytywał kierowane do niego e-maile. Zini uruchomił urządzenie i opadł na oparcie krzesła. Elektroniczny głos podał najpierw anonimowy adres poczty Yahoo. E-mail bez tytułu brzmiał: „On-nie-jest-ta-ki-jak-ty... szu-kaj-w-pa-rku-vil-la-glo-ri”.

Marcus był zakłopotany — tę zagadkową wiadomość mogła wysłać tylko osoba, która doprowadziła go aż tu. Dlaczego ten ktoś napisał do niewidomego policjanta?

„On nie jest taki jak ty”. Co to może znaczyć?

— Szczerze mówiąc, bardziej martwi mnie druga część: „Szukaj w parku Villa Glori”.

Zini wstał i podszedł do Marcusa, wziął go za ramię i powiedział niemal błagalnym tonem: — Ja nie mogę tam iść. Wiesz już, co masz zrobić. Idź i sprawdź, co jest w tym parku.

## Godzina 14.12

W miesiącach po śmierci Davida samotność była dla Sandry jak skorupa oddzielająca ją od świata. Nie chodziło o stan, w jakim się znalazła, ale o miejsce, w którym mogła z nim rozmawiać, nie czując się z tego powodu pożałowania godną wariatką. Zamknęła się w niewidzialnej bańce smutku, od której wszystko się odbijało. Dopóki w niej tkwiła, nikt i nic nie mogło jej dotknąć. Paradoksalnie, cierpienie ją chroniło.

Ten stan trwał aż do strzałów obok kaplicy Świętego Rajmunda z Peñafort.

Przeraziła się, że umrze. Z tą chwilą bańka zniknęła. A ona pragnęła żyć. I z tego powodu miała poczucie winy. Przez pięć miesięcy żyła w zawieszeniu, czas mijał, a ona trwała w bezruchu. Teraz jednak zadała sobie pytanie, do jakiego stopnia żona powinna zachować solidarność ze swoim mężem. Czy to w porządku, że tak bardzo chce żyć, choć Davida już nie ma? Czy można to uznać za zdradę? Zdawała sobie sprawę, że myśli o czymś głupiutkim. Ale po raz pierwszy oddaliła się od Davida. Te rozmyślenia przerwał głos Shalbera: — Bardzo interesujące.

Znajdowali się w pokoju hotelowym Sandry. Agent Interpolu siedział na łóżku, oglądając zdjęcia zrobione leicą.

— Są tylko cztery? Nie było więcej?

Sandra postanowiła nie pokazywać mu fotografii księdza z blizną na skroni. Shalber był jednak policjantem, a ona wiedziała, jak rozumują gliny. Nigdy nie rezygnują z dobrodziejstw, jakie niosą wątpliwości.

„Mimo że to, co robią penitencjariusze, może ci się wydać dobre, ich działalność jest nielegalna. Nie znają granic ani reguł”, powiedział. Dlatego w oczach Shalbera to, co robił ten człowiek, było niedopuszczalne.

W akademii policyjnej nauczono ją, że wszyscy są winni, dopóki nie ma dowodu ich niewinności. Nie wolno wierzyć nikomu. Podczas przesłuchania dobry glina musi kwestionować każde słowo podejrzanego. Pewnego razu maglowała mężczyznę, który znalazł w rowie zwłoki kobiety. Było jasne, że nie ma nic wspólnego z jej śmiercią, wezwał tylko policję. Sandra jednak zasypywała go pytaniami. Kazała mu powtarzać odpowiedzi, udając, że czegoś nie rozumie, chciała przyłapać go na kłamstwie. Biedak znosił to, myśląc naiwnie, że pomoże złapać mordercę. Nie zdawał sobie sprawy, że jeśli jego zeznania będą niespójne, powędruje za kratki.

Wiem, co zamierzasz, Shalber, pomyślała. I nie pozwolę ci tego zrobić. Przynajmniej do czasu, aż zyskam pewność, że można ci ufać.

— Tylko cztery — potwierdziła.

Agent przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, może mając nadzieję, że Sandra czymś się zdradzi. Ona jednak wytrzymała jego spojrzenie. Wrócił do oglądania zdjęć. Myślała, że da jej spokój, ale się myliła.

— Powiedziałaś, że wczoraj wieczorem spotkałaś jednego z nich. Skąd wiedziałaś, że to on, skoro nigdy go nie widziałaś?

Sandra uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Wygadała się, gdy byli w mieszkaniu Interpolu.

— Poszłam do kościoła Świętego Ludwika Francuzów, żeby porównać zdjęcie zrobione przez Davida z obrazem Caravaggia.

— Już mi to mówiłaś.

— Był tam jakiś człowiek, ale nie wiedziałam, kto to jest. To on mnie rozpoznał, lecz zaraz sobie poszedł — skłamała. — Ruszyłam za nim,

groziłam mu bronią, aż powiedział, że jest księdzem.

— Twierdzisz, że wiedział, kim jesteś?

— Odniosłam wrażenie, że mnie zna, choć nie mam pojęcia skąd.

Shalber pokiwał głową.

— Rozumiem.

Sandra mogłaby się założyć, że jej nie uwierzył, ale na razie wolała dać temu spokój. W każdym razie sprawy szły dobrze — gdyby było inaczej, poddałby ją dalszym indagacjom. Spróbowała zmienić temat.

— Jak myślisz, co może oznaczać to ciemne zdjęcie?

— Nie mam pojęcia. Na razie nic mi nie mówi — odrzekł Shalber, otrząsając się z zamyślenia i oddając jej zdjęcia. — Figaro został zatrzymany, ale jeśli penitencjariusze interesują się tą sprawą, to mają po temu powód.

— Co zamierzasz zrobić? — spytała Sandra.

— Napastnik zamienił się w mordercę, jego ostatnia ofiara nie żyje.

— Chcesz zacząć od niej?

— Od jej brata. Był przy jej śmierci.



— Lekarze byli przekonani, że prędko zacznę chodzić.

Federico Noni siedział ze spuszczonej oczami, z rękami na udach. Od dawna się nie golił, miał długie włosy. Pod zielonym podkoszulkiem można było jeszcze dostrzec mięśnie sportowca, ale w nogawkach spodni tkwiły jego chude nieruchome nogi, oparte na podnóżku wózka inwalidzkiego. Na stopach miał buty sportowe Nike z czystymi podeszwami.

Przyglądając mu się, Sandra notowała w pamięci te szczegóły. W tych butach kryła się historia jego tragedii. Wyglądały na nowe, ale trudno było powiedzieć, od jak dawna je miał.

Kilka minut wcześniej zjawiła się wraz z Shalberem przed drzwiami domku z ogródkiem w dzielnicy Nuovo Salario. Nacisnęli dzwonek i bardzo długo czekali, aż ktoś im otworzy. Federico Noni żył jak więzień we własnym domu i nie chciał nikogo widzieć. Aby mogli wejść, Shalber pokazał mu odznakę policyjną Sandry i podał się za inspektora. Sandra nie akceptowała metod, jakie stosował, denerwowały ją jego arogancja i to, że wykorzystywał ludzi do własnych celów.

W mieszkaniu Federica panował bałagan. Czuło się stęchliznę zamkniętych pomieszczeń, a okna nie były otwierane nie wiadomo od jak dawna. Meble ustawiono tak, żeby mógł przejechać między nimi wózek inwalidzki. Na podłodze widać było pozostawione przez kółka ślady.

Sandra i Shalber usiedli na kanapie, Federico ustawił wózek na wprost nich. Za jego plecami były schody prowadzące na piętro, gdzie została zamordowana Giorgia Noni. Ale jej brat, oczywiście już tam nie bywał. Spał na polowym łóżku w saloniku.

— Operacja się udała. Zapewniono mnie, że wystarczy fizjoterapia, żebym wrócił do zdrowia. Czekał mnie trudny okres, ale dałbym sobie radę. Byłem przyzwyczajony do wysiłku fizycznego, to mnie nie przerażało, a jednak... — Federico próbował odpowiedzieć na nieprzyjemne pytanie Shalbera o powody niedowładu jego kończyn dolnych.

Agent Interpolu celowo rozpoczął od najbardziej drażliwego tematu. Sandra знаła tę technikę, stosowali ją niektórzy jej koledzy, gdy przesłuchiwali ofiary przestępców. Współczucie sprawiało, że tacy ludzie zamykali się w sobie, natomiast jeśli traktowano ich obojętnie, chętniej odpowiadali na pytania.

— Czy w chwili, w której doszło do wypadku, jechał pan szybko na tym motocyklu?

— Nie. Upadek nie był poważny. Pamiętam, że choć byłem ranny, mogłem poruszać nogami, ale po kilku godzinach już ich nie czułem.

Na komodzie umieszczono zdjęcie Federica Noniego w stroju motocyklisty, stojącego obok jaskrawoczerwonego motocykla Ducati. Trzymał w rękach kask i uśmiechał się do obiektywu. Piękny chłopak, młody i szczęśliwy, o szczerzej twarzy. Jeden z tych, dla których kobiety tracą głowę, pomyślała Sandra.

— A więc był pan sportowcem. Co pan trenował?

— Skok w dal.

— I był pan w tym dobry?

Federico ograniczył się do wskazania gablotki z trofeami.

— Sami osądźcie.

Oczywiście zauważyli ją zaraz po wejściu, ale Shalber poruszył ten temat, by zyskać na czasie. Chciał sprawić, by chłopak się ożywił. Miał plan, lecz Sandra nie domyślała się jeszcze, co chce osiągnąć.

— Giorgia musiała być z pana dumna.

Słyszając imię siostry, Federico zeszywniał.

— Była dla mnie wszystkim.

— A pana rodzice?

Chłopak odpowiedział krótko, wyraźnie nie chciał o tym mówić.

— Moja matka odeszła od nas, gdy byliśmy jeszcze mali. Wychowywał nas ojciec. Nie mógł się pogodzić z odejściem matki, bardzo ją kochał. Zmarł, kiedy miałem piętnaście lat.

— Jaką osobą była pana siostra?

— Najweselszą dziewczyną, jaką znałem. Nie zrażała się niczym, a jej humor był zaraźliwy. Po wypadku zaopiekowała się mną. Wiedziałem, że będę dla niej ciężarem, że nie mam prawa żądać, by się mną opiekowała, ale

ona się uparła. Dla mnie zrezygnowała ze wszystkiego.

— Pracowała jako weterynarz.

— Tak, miała też narzeczonego. Rzucił ją, kiedy zorientował się, jakiego rodzaju odpowiedzialność na siebie wzięła. Wyda wam się to banalne, bo pewnie słyszeliście takie rzeczy niezliczoną ilość razy, ale Giorgia nie zasługiwała na śmierć.

Sandra zadała sobie pytanie, jakież to boski plan mógł się kryć za tym łańcuchem tragicznych zdarzeń, które zniszczyły życie dwojga wspaniałych młodych ludzi. Porzuciła ich matka, osierocił ojciec. Chłopak jeździ na wózku, a jego siostra została brutalnie zamordowana. Nie wiadomo dlaczego, przyszło jej do głowy porównanie z dziewczyną, którą David spotkał na plaży. To spotkanie po serii katastrof — zagubiony bagaż, brak miejsc w samolocie i wynajęty samochód, który zepsuł się parę kilometrów od celu — mogło zakończyć się inaczej. Gdyby David spodobał się nieznajomej uprawiającej jogging, Sandra nigdy by go nie spotkała i być może teraz opłakiwałaby go jakaś inna kobieta. Można było zgodzić się z tym, że czasami przeznaczenie wystawia nas na ciężkie próby i często jest w tym jakiś sens. Ale w odniesieniu do Federica i Giorgii Nonich ten sens jej umykał.

Chłopak nie chciał już rozmawiać o bolesnych sprawach.

— Nie bardzo rozumiem, po co do mnie przyszliście.

— Morderca pana siostry ma szansę na złagodzenie kary — odrzekł Shalber.

— Sądziłem, że się przyznał. — Federico był wzburzony.

— Tak, ale Nicola Costa zamierza powołać się na chorobę umysłową — skłamał Shalber. — Dlatego musimy udowodnić, że działał świadomie, że zamordował pana siostrę z zimną krwią.



Federico pokręcił głową i zacisnął pięści. Sandrze zrobiło się go żal; była oburzona, że Shalber go okłamuje. Nie odezwała się jeszcze ani słowem, ale to, że przyszli razem, sprawiało, że czuła się współniczką Shalbera.

Federico obrzucił ich gniewnym spojrzeniem.

— Co mogę dla was zrobić?

— Opowiedzieć nam, jak to się odbyło.

— Jeszcze raz? Upłynęło tyle czasu...

— Wiemy, ale nie mamy wyboru, panie Noni. Ten sukinsyn Costa będzie próbował zmienić fakty, nie możemy mu na to pozwolić. A to pan wpakował go w kłopoty.

— Miał na głowie kominiarkę, rozpoznałem go tylko po głosie.

— Dlatego jest pan jedynym świadkiem, jakiego mamy. Zdaje pan sobie z tego sprawę?

Shalber wyjął notes i długopis, udając, że chce zapisywać każde słowo.

Federico przeciągnął dłonią po szczeniastej brodzie. Odetchnął głęboko kilka razy. Jego pierś unosiła się i opadała, wydawało się, że grozi mu hiperwentylacja. Wreszcie zaczął mówić.

— Była dziewiętnasta, pora, o której Giorgia zwykle wracała do domu. Wyszła do sklepu, żeby kupić produkty potrzebne do upieczenia tortu. Lubie słodczy — usprawiedliwił się, jakby z tym szczegółem miało związek wszystko, co wydarzyło się potem. — Słuchałem muzyki, miałem słuchawki na uszach. Nie przejmowałem się tym, co mówiła Giorgia. Zarzucała mi, że jestem ospały jak niedźwiedź, że odczeka jeszcze trochę, a potem położy temu kres. Faktem jest, że nie chciałem poddawać się fizjoterapii, straciłem nadzieję, że będę chodził — powiedział tonem usprawiedliwienia.

— I co się potem stało?

— Pamiętam tylko, że rąbnąłem o podłogę i straciłem przytomność. Ten

sukinsyn zaszedł mnie od tyłu i przewrócił mój wózek.

— Nie zorientował się pan, że ktoś wszedł do domu?

— Nie — odparł krótko Federico. Dotarł do krytycznego momentu. Od tej chwili opowiadanie sprawiało mu coraz większą trudność.

— Niech pan mówi — poprosił Shalber.

— Kiedy odzyskałem przytomność, nie mogłem utrzymać otwartych oczu i miałem obolałe plecy. Nie od razu zrozumiałem, co się dzieje, ale usłyszałem krzyki na piętrze. — Po jego policzku popłynęła łza. — Leżałem na podłodze, wózek znajdował się parę metrów ode mnie, był jednak uszkodzony. Próbowałem dotrzeć do telefonu, ale stał zbyt wysoko, żebym mógł go dosięgnąć. — Spojrzał na swoje nogi. — Nie mogę zrobić nawet najprostszych rzeczy.

Jego słowa nie wzruszyły jednak Shalbera.

— A komórka?

— Nie wiedziałem, gdzie jest, a poza tym byłem przerażony. — Federico odwrócił się, żeby spojrzeć na schody. — Giorgia krzyczała, krzyczała, krzyczała... Błagała o pomoc i litość, jakby ten nędznik naprawdę mógł jej dać jedno albo drugie.

— I co pan zrobił?

— Podczołgałem się do schodów, próbowałem po nich wejść, podciągając się na rękach. Zabrakło mi sił.

— Jak to możliwe? — Shalber uśmiechnął się zrozumiście. — Był pan sportowcem, trudno mi uwierzyć, że dostanie się na górę okazało się takie trudne.

Sandra spiorunowała go wzrokiem, ale udał, że tego nie widzi.

— Nie potrafi pan sobie wyobrazić, jak się czułem po uderzeniu głową o podłogę — odciął się Federico.

— No tak, przepraszam. — Shalber powiedział to bez przekonania, jakby nie wierzył chłopakowi. Zapisał coś w notesie, ale tak naprawdę czekał, że Federico połknie haczyk.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — obruszył się chłopak.

— Nic, proszę kontynuować. — Shalber machnął z poirytowaniem ręką.

— Morderca uciekł tylnym wyjściem, gdy usłyszał, że nadjeżdża policja.

— Rozpoznał pan Nicolę Costę po głosie, tak?

— Tak.

— Zeznał pan, że mówił niewyraźnie, i to by się zgadzało, bo ma zajęczą wargę.

— A więc?

— Na początku zeznał pan jednak, że mówił z dziwnym akcentem, jakby był Słowianinem.

— To wy, policjanci, popełniliście błąd. — Federico wyraźnie przeszedł do obrony.

— Nie będziemy dłużej pana wypytywać. Do widzenia. — Nagle Shalber podał mu rękę i ruszył do drzwi.

— Chwileczkę, niech pan zaczeka!

— Panie Noni, nie będę tracił czasu. Nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy, skoro nie mówi nam pan prawdy.

— Jakiej prawdy?

Sandra zauważyła, że Federico jest wstrząśnięty. Nie miała pojęcia, na czym polega gra, jaką prowadzi agent Interpolu, ale postanowiła zaryzykować i się wtrącić.

— Być może naprawdę będzie lepiej, jeśli wyjdziemy.

Shalber zlekceważył jej słowa, stanął przed Nonim i wycelował w niego palec.

— Prawda jest taka, że pan słyszał tylko głos Giorgii, a nie mordercy. Dlatego nie było żadnego słowiańskiego akcentu ani wady wymowy.

— Nieprawda.

— Prawdą jest, że po odzyskaniu przytomności mógł pan próbować ją uratować, wdrapując się na górę. Jest pan sportowcem, dałby pan radę.

— To nieprawda.

— Prawdą jest, że pozostał pan na dole, podczas gdy ten potwór kończył swoje dzieło, niczym się nie przejmując.

— Nieprawda! — krzyknął Federico Noni i wybuchnął płaczem.

Sandra wstała i wzięła Shalbera za ramię, próbując pociągnąć go do wyjścia.

— Dość tego, zostaw go w spokoju.

Shalber jednak nie ustępował.

— Dlaczego nie chce nam pan powiedzieć, jak było naprawdę? Dlaczego nic pan nie zrobił, by pomóc Giorgii?

— Ja, ja...

— Słucham? No, dalej, ale tym razem proszę zachować się jak mężczyzna.

— Ja... — Federico Noni mamrotał coś przez łzy. — Ja nie... nie chciałem...

— Niech pan pokaże, że ma pan jaja, nie tak jak tamtego wieczoru. — Shalber przyciskał go bezlitośnie.

— Proszę cię, Shalber. — Sandra próbowała odwołać się do rozsądku agenta.

— Ja... się bałem.

W pokoju zapadła cisza, przerywana tylko szlochaniem Federica. Shalber przestał go wreszcie dręczyć. Odwrócił się i ruszył do drzwi. Sandra jeszcze

przez chwilę patrzyła na wstrząsanego łkaniem chłopaka, a potem poszła za agentem Interpolu. Chciała pocieszyć Federica, ale nie zdołała wydusić ani słowa.

— Przykro mi z powodu tego, co się panu przydarzyło, panie Noni — rzucił Shalber, wychodząc. — Życzę miłego dnia.



Agent szedł szybko w kierunku auta, ale Sandra dopędziła go i zmusiła, by się zatrzymał.

— Co ci strzeliło do głowy? Dlaczego tak go potraktowałeś?

— Jeżeli moje metody ci się nie podobają, możesz mnie zostawić i dać mi pracować w spokoju.

Traktował pogardliwie również ją, nie mogła mu na to pozwolić.

— Nie wolno ci odnosić się do mnie w taki sposób!

— Już ci mówiłem: moja specjalność to kłamcy. Pogardzam nimi, nic na to nie poradzę.

— A czy ty sam zachowałeś się uczciwie? Ile kłamstw naopowiadałeś temu chłopakowi? Może straciłeś rachubę?

— Nie słyszałaś, że cel uświęca środki? — Shalber pogrzebał w kieszeni, wyjął paczkę gumy do żucia i wsunął jedną do ust.

— A jaki był twój cel? Upokorzenie kalekiego chłopaka?

Rozłożył ręce.

— Posłuchaj, smuci mnie to, że los wziął się na Federica Noniego, ale przykrości zdarzają się wszystkim i nie może to zwalniać nas z obowiązków. Powinnaś wiedzieć o tym lepiej niż inni.

— Z uwagi na to, co się przydarzyło Davidowi?

— No właśnie, nie wykorzystujesz jego śmierci, żeby się

usprawiedliwiać. — Obracał gumę w otwartych ustach, grając Sandrze na nerwach.

— Co możesz o tym wiedzieć?

— Mogłabyś siedzieć i go opłakiwać, nikt by ci nie powiedział złego słowa, ale ty wolisz walczyć. Mordują ci męża, strzelają do ciebie, a mimo to nie ustępujesz ani na centymetr. — Odwrócił się do niej plecami i ruszył w kierunku samochodu, także dlatego, że zaczęło padać.

Nie zwracając uwagi na deszcz, Sandra poszła za nim.

— Jesteś naprawdę obrzydliwy — powiedziała.

Shalber się odwrócił.

— Swoim fałszywym zeznaniem ten gówniarz Federico Noni posłał za kratki niewinnego człowieka. Tylko dlatego, że nie chciał się przyznać, iż jest tchórzem. Czy to cię nie brzydzi?

— Rozumiem: to ty decydujesz, kto jest winny, a kto nie. Od kiedy to działa w ten sposób, Shalber?

Agent Interpolu prychnął i machnął lekceważąco ręką.

— Posłuchaj, nie mam zamiaru dyskutować o tym na środku ulicy. Przykro mi, że zachowałem się tak szorstko, ale taki już jestem. Myślisz, że śmierć Davida mnie nie obeszała? Myślisz, że nie czuję się po części odpowiedzialny za to, że jej nie zapobiegłem?

Sandra nie odpowiedziała. Nie zastanawiała się nad tym aspektem sprawy. Być może osądziła Shalbera zbyt pośpiesznie.

— Nie byliśmy przyjaciółmi, ale on mi ufał, i to wystarczy, żebym czuł się winny — podsumował.

— Co zrobimy z tym chłopakiem? Powinniśmy kogoś poinformować? — zapytała już spokojniej.

— Nie teraz. Mamy jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia, a w tym

momencie możemy być pewni, że penitencjariusze też szukają prawdziwego Figara. Musimy ich wyprzedzić.

## *Godzina 15.53*

Z powodu uporczywej mżawki na ulicach Rzymu panował komunikacyjny chaos. Znalazłszy się przy wejściu do wielkiego parku, Marcus przystanął na kilka sekund, zastanawiając się nad e-mailem, który otrzymał Zini.

„On nie jest taki jak ty. Szukaj w parku Villa Glori”.

Kim jest prawdziwy Figaro? I komu miałyby tym razem przypaść rola mściciela?

Park Villa Glori nie jest największym parkiem stolicy, choć zajmuje powierzchnię dwudziestu pięciu hektarów. Był za duży, żeby zajrzeć do wszystkich jego zakamarków przed zachodem słońca. Co więcej, Marcus nie wiedział, czego szukać.

Wziął pod uwagę to, że wiadomość została skierowana do niewidomego. Musiało więc chodzić o jakiś oczywisty znak, może nawet dźwiękowy. Po chwili zmienił zdanie: nie, wiadomość była skierowana do penitencjariuszy, przesłano ją Ziniemu przez przypadek.

Ten trop został podsunęty nam, stwierdził.

Marcus wszedł przez wielką bramę parku i zaczął iść pod górę, jako że park Villa Glori jest usytuowany na zboczu wzgórza. Po chwili przebiegł mu drogę śmiałek w szortach i nieprzemakalnej kurtce, który uprawiał jogging w towarzystwie psa boksera. Zrobiło się chłodno i Marcus postawił kołnierz płaszcza. Rozejrzał się w nadziei, że dostrzeże coś szczególnego.

Anomalie.



W odróżnieniu od innych rzymskich parków zieleni w Villa Glori była bardzo bujna. Rosły tu drzewa o smukłych pniach, tworząc dziwną grę światła i cieni. Poszycie składało się z niskich krzaków, ziemia pokryta była suchymi gałązkami i liśćmi.

Na ławce siedziała jasnowłosa kobieta. W jednej ręce trzymała parasolkę, w drugiej otwartą książkę. Koło niej kręcił się labrador. Zwierzak chciał się pewnie bawić, ale jego pani nie zwracała na niego uwagi, zajęta czytaniem. Marcus próbował przejść niezauważony, ale znalazł się koło ławki; kobieta podniosła wzrok znad książki. Minął ją, nie zwalniając kroku; pies pobiegł za nim, machając ogonem. Miał najwyraźniej nadzieję, że znajdzie w nim przyjazną duszę. Marcus przystanął i zczekał, aż nadbiegnie, po czym pogłaskał go po łbie.

— Ładny jesteś, wracaj do swojej pani.

Wydawało się, że labrador zrozumiał, bo od razu zawrócił.

Marcus potrzebował jakiegoś punktu zaczepienia, żeby nadać kierunek swoim poszukiwaniom. Taki znak mógł się kryć w porastającej park zieleni, wśród drzew, których było tu więcej niż w innych rzymskich parkach. Nie było to idealne miejsce na piknik, ale doskonale nadawało się do biegania czy jazdy na rowerze... a także do spacerowania z psami.

Psy, odpowiedź kryła się właśnie w nich. Jeśli rzeczywiście coś tu jest, one na pewno to wyczuły, pomyślał Marcus.

Przemierzył całą alejkę prowadzącą na szczyt wzgórza, badając uważnie teren po obu jej stronach. Po około stu metrach zobaczył, że na błotnistej ziemi widać wydeptaną ścieżkę.

O tym, skąd się wzięła, mówiły dziesiątki śladów psich łap.

Nie mogło ich zostawić jedno zwierzę, były dziełem wielu psów, które wywęszyły coś w krzakach.

Marcus zszedł z głównej alejki i zanurzył się w zaroślach. Słysząc było tylko szum deszczu i kroki Marcusa na mokrych liściach. Przeszedł około stu metrów, starając się nie zgubić śladów łap, które pomimo deszczów były bardzo wyraźne. Psy muszą biegać tędy bez przerwy, pomyślał. Nie zauważył jednak żadnego znaku.

Ścieżka urywała się niespodziewanie, a ślady rozchodziły się na wszystkie strony na dość dużym obszarze, jakby zwierzęta gubiły trop. A może zapach stał się tak silny, że nie mogły natrafić na jego źródło?

Niebo zasnuły chmury. Odgłosy i światła miasta zniknęły za ciemną zasłoną z liści. Marcus miał wrażenie, że jest w miejscu bardzo odległym od cywilizacji, mrocznym i pierwotnym. Wyjął z kieszeni latarkę i ją włączył. Obawiał się, że będzie musiał wycofać się po własnych śladach i wrócić tu następnego ranka. Wtedy jednak w parku będzie więcej ludzi, a to uniemożliwi mu wykonanie zadania. Już miał zrezygnować, gdy światło latarki padło na jakiś przedmiot oddalony o parę metrów. Z początku wziął go za gałąź, ale był zbyt prosty i gładki. Oświetlił go i w tej samej chwili wiedział już, co robić.

O jedno z drzew oparta była łopata.

Położył latarkę na ziemi w taki sposób, żeby oświetlała teren znajdujący się w pobliżu łopaty, po czym założył lateksowe rękawiczki, które zawsze nosił w kieszeni, i zaczął kopać.

Ciemność wzmacniała odgłosy dochodzące spomiędzy drzew. Każdy dźwięk wydawał się groźny, przelatujący koło niego jak duch i znikając, unoszony wiatrem, który kołysał gałęziami. Łopata łatwo zagłębiała się w miękkim podłożu. Marcus pomagał sobie, naciskając ją butem. Odrzucał na bok błoto zmieszane z liśćmi, nie zastanawiając się, czym to się skończy. Chciał jak najprędzej zobaczyć, co kryje się pod powierzchnią, ale czuł, że

zna już odpowiedź. Kopanie było bardziej męczące, niż się spodziewał. Spocił się i dostał zadyszki, koszula przykleiła mu się do pleców. Jednak go nie przerwał. Pragnął tylko, żeby przeczucie go zawiodło.

Panie, spraw, żeby moje obawy się nie sprawdziły, poprosił w myślach.

Jednak po chwili poczuł zapach. Był ostry i słodkawy. Wypełniał nos i płuca przy każdym oddechu. Miał niemal płynną konsystencję, wydawało się, że można się go napić. Wchodził w reakcję z sokami żołądkowymi, wywołując odruch wymiotny. Marcus musiał zrobić przerwę, żeby zasłonić nos rękawem płaszcza i spróbować zaczerpnąć choćby odrobinę czystego powietrza. Po chwili znów zabrał się do pracy. Wykopał dół o szerokości około pięćdziesięciu centymetrów i prawie metrowej głębokości. Łopata nadal łatwo zagłębiała się w miękkim gruncie. Jeszcze pół metra. Kopał już przeszło dwadzieścia minut.

Wreszcie Marcus zobaczył czarniawą maź, lepłą jak ropa naftowa. Ukląkł nad dołkiem i zaczął kopać gołymi rękami. Rozbryzgi ciemnej oleistej substancji zachlapały mu ubranie, ale nie zwracał na to uwagi. Wyczuł palcami coś twardszego. Było gładkie, ale częściowo pokryte tkanką. Dotykał kości. Spróbował oczyścić ją z ziemi i dojrzał kończynę ze skrawkami sinego ciała.

Nie ulegało wątpliwości, że to ludzkie szczątki.

Znowu sięgnął po łopatę, starając się odkopać jak najwięcej. Ukazała się noga, potem miednica. Była to kobieta, bez ubrania. Proces gnilny był zaawansowany, ale mimo to zwłoki zachowały się w dobrym stanie. Marcus nie wiedział, ile kobieta może mieć lat, miał jednak pewność, że była młoda. Na całej klatce piersiowej, a także w okolicy sromu znajdowały się głębokie nacięcia.

Czyżby oprawca użył nożyczek?

Marcus upadł i skulony zaczął głęboko oddychać.

Po chwili uklęknął, przeżegnał się i odmówił modlitwę za nieznaną. Wyobrażał sobie jej dziewczęce marzenia, radość życia. Dla kogoś tak młodego śmierć musiała być czymś nieokreślonym i dalekim. Czymś, co dotyczyło innych. Marcus błagał Boga, żeby przyjął tę duszę do siebie. Straszliwa prawda o nim była taka, że razem z pamięcią utracił wiarę. Nie wiedział, co powinien czuć człowiek Kościoła, gdyby znalazł się w jego skórze. Ale modlitwa za tę nieszczęsną duszę podniosła go na duchu, ponieważ w tym momencie jedyną pociechą w obliczu zła była dla niego wiara, że Bóg istnieje.

Nie potrafił powiedzieć, kiedy dziewczyna zmarła. Biorąc pod uwagę miejsce ukrycia ciała i jego stan, zdarzyło się to niedawno. Marcus doszedł do wniosku, że zwłoki są dowodem na to, że Nicola Costa nie jest Figarem, ponieważ gdy dziewczyna została zamordowana, siedział już w więzieniu.

Istnieją ludzie, którzy, gdy raz zabijają, odkrywają w sobie drapieżne instynkty, echo pierwotnej potrzeby zabijania, zatraconej w trakcie ewolucji. Tak więc po zabiciu Giorgii Noni morderca odkrył nowe źródło rozkoszy. Coś, co w nim było, choć o tym nie wiedział.

Marcus był pewny, że Figaro znowu zabije.



Marcus wybrał numer i trzymał słuchawkę opartą o ramię, mając nadzieję, że ktoś odbierze. Był w jednym z tajnych mieszkań niedaleko Villa Glori.

— Słucham? — Rozpoznał głos Ziniego.

— Jest tak, jak myślałem — powiedział.

Policjant mruknął coś, a potem zapytał:

— Jak dawno temu?

— Miesiąc, może trochę więcej. Nie wiem na pewno, nie jestem lekarzem sądowym.

Zini przetrwał tę informację.

— Skoro tym razem ukrył ciało, to znowu zabije, już niedługo. Myślę, że powinienem zadzwonić na policję — odrzekł w końcu.

— Najpierw postarajmy się coś z tego zrozumieć.

Marcus chciał podzielić się swoimi obawami. To, co odkryli, nie pomoże wymierzyć sprawiedliwości. Ktoś, kto wysłał e-mail do Ziniego i zostawił łopatę w parku Villa Glori, aby dokładnie oznaczyć miejsce, w którym należało kopać, dałby Federicowi Noniemu szansę zemśczenia się lub też możliwość tę otrzymałyby trzy kobiety napadnięte jeszcze przed zamordowaniem Giorgii. Marcus czuł, że ma mało czasu. Czy powinni zawiadomić policję, żeby funkcjonariusze mogli skontaktować się z innymi ofiarami i zapobiec najgorszemu? Był przekonany, że ktoś jest już na tropie prawdziwego Figara.

— Zini, muszę się dowiedzieć jednej rzeczy. Chodzi o pierwszą część wiadomości, która do ciebie dotarła: „On nie jest taki jak ty”. Co to oznacza?

— Nie mam pojęcia.

— Nie baw się ze mną w kotka i myszkę.

Niewidomy policjant milczał przez chwilę.

— Zgoda, wpadnij dziś wieczorem — powiedział wreszcie. — Ale trochę później.

— Nie, teraz.

— Teraz nie mogę.

Zini zwrócił się do kogoś, kto był w mieszkaniu.

— Koleżanko, nalej sobie herbaty, ja zaraz przyjdę.

— Kto u ciebie jest?

Zini zniżył głos.

— Jakaś policjantka. Chce mi zadać parę pytań na temat Nicoli Costy, ale chyba nie powiedziała mi całej prawdy.

Sytuacja się skomplikowała. Co to za kobieta? Skąd to nagle zainteresowanie sprawą, która wydawała się zamknięta? Czego ona szuka?

— Spław ją.

— Zdaje się, że dużo wie.

— Więc postaraj się, żeby wyjawiała ci prawdziwy powód swojej wizyty.

— Myślę, że powinieneś coś zrobić. Mogę udzielić ci pewnej rady?

— Tak, słucham cię.

## *Godzina 17.07*

Sandra naląła sobie dużą filiżankę herbaty i trzymała ją w obu dłoniach, czując rozkoszne ciepło. Przyglądała się z kuchni plecami Pietra Zinięgo, który rozmawiał w przedpokoju przez telefon, ale nie słyszała, co mówił.

Udało jej się przekonać Shalbera, żeby zaczekał na nią w mieszkaniu Interpolu, ponieważ uznała, iż lepiej będzie, jeśli spotka się ze starym policjantem sama. Przecież jest jej kolegą po fachu i nie da się wciągnąć w pułapkę jak Federico Noni. Chciała zadać Ziniemu mnóstwo pytań, wiedząc, że nie toczy się żadne oficjalne śledztwo. Poza tym gliny nie lubią facetów z Interpolu. Gdy stanęła na progu jego mieszkania, powiedziała mu, że prowadzi w Mediolanie śledztwo podobne do sprawy Figara. Stary policjant jej uwierzył.

Czekając, aż skończy rozmawiać, Sandra przeglądała plik dokumentów, które dał jej Zini. Była to kopia akt Nicolii Costy. Nie pytała go, w jaki sposób je zdobył, ale on i tak wyjaśnił, że gdy jeszcze pracował, miał zwyczaj zatrzymywania kopii dokumentów.

— Nigdy nie wiadomo, gdzie i kiedy może wpaść ci do głowy rozwiązanie takiej czy innej sprawy — powiedział. — Dlatego zawsze trzeba mieć wszystko pod ręką.

Odwracając kartki, Sandra uświadomiła sobie, że Zini to człowiek skrupulatny. Robił mnóstwo notatek, ale ostatnie zdradzały pewien pośpiech; pracował, wiedząc, że ponagla go zbliżająca się ślepotą. Interpretacje zeznań Costy były nieprecyzyjne, nie potwierdzono, czy mówił prawdę, a bez tego

oskarżenie mogło rozsypać się jak domek z kart.

Sandra przeszła do opisów miejsc zbrodni. Znalazła zdjęcia zrobione przez policyjnych fotografów. Trzy ofiary zostały zaskoczone w swoich mieszkaniach, zawsze późnym popołudniem. Maniak zadawał ciosy nożyczkami, jednak rany nie były nigdy na tyle głębokie, żeby spowodować śmierć, i skupiały się na piersiach, nogach i w dolnej części brzucha.

Według psychiatrów człowiek ten nie dążył do osiągnięcia orgazmu, jak to się działo w przypadku pewnego typu sadystów, którzy mogli się zaspokoić wyłącznie dzięki stosowaniu przemocy. Zamiar Figara był odmienny: nie chciał, żeby te kobiety pociągały innych mężczyzn.

Jeśli ja nie mogę was posiadać, nie posiadzie was nikt.

To mówiły rany. A takie zachowanie pasowało do osobowości Costy. Kobiety odpychała jego zajęcza warga, dlatego nie wykorzystywał seksualnie swoich ofiar. Gdyby użył przemocy, żeby odbyć z nimi stosunek, czułby ich odrazę i znowu zostałyby odepchnięty. Nożyczki stanowiły doskonały kompromis. Dzięki nim przeżywał przyjemność, a zarazem utrzymywał bezpieczny dystans między sobą i kobietami, których przez całe życie się bał. Zastąpił męski orgazm nagrodą, którą było przyglądanie się ich cierpieniu.

Jeśli jednak, jak utrzymywał Shalber, Nicola Costa nie był Figarem, to należało przeanalizować profil psychologiczny napastnika.

Sandra przeszła do zdjęć Giorgii Noni. Na zwłokach również były rany zadane nożyczkami, ale tym razem maniak zamierzał zabić.

Dostał się do domu tak jak w poprzednich przypadkach, jednak ofiara nie była sama. Według Ziniego zabójca uciekł tylnym wyjściem, gdy tylko usłyszał syrenę radiowozu.

Uciekający Figaro zostawił odciski butów w miękkiej ziemi ogródka. Gdy Sandra patrzyła na ich zdjęcia, ni stąd, ni zowąd przypomniało jej się



spotkanie Davida z nieznajomą, która uprawiała jogging na plaży.

Zbieg okoliczności, pomyślała.

Kierując się instynktem, jej mąż ruszył śladem stóp na piasku, żeby zobaczyć, kto je zostawił. Nagle wydało jej się, że jego zachowanie miało sens, choć na razie nie potrafiła powiedzieć jaki. Gdy koncentrowała się na tej myśli, Zini skończył rozmawiać i wrócił do kuchni.

— Jeśli pani chce, może pani zabrać je ze sobą — powiedział, wskazując akta. — Ja już ich nie potrzebuję.

— Dziękuję. Chyba już pójdę.

Policjant usiadł naprzeciwko niej i oparł ręce na stole.

— Niech pani zostanie. Nie odwiedza mnie dużo osób, przyjemnie z kimś przez chwilę porozmawiać.

Przed jego telefoniczną rozmową Sandra miała wrażenie, że Zini chce się jej jak najprędzej pozbyć, a teraz prosi ją, żeby została. Nie wyglądało to na zwykłą uprzejmość, więc postanowiła spełnić jego prośbę, żeby się dowiedzieć, o co mu chodzi.

Do diabła z Shalberem, posiedzę jeszcze chwilę, pomyślała.

— Dobrze, zostanę. — Zini przypominał jej inspektora De Michelisa. Czuła, że może zaufać temu człowiekowi o potężnych rękach, które upodabniały go do drzewa.

— Smakowała pani herbata?

— Tak, była doskonała.

Niewidomy policjant nalał sobie filiżankę, chociaż herbata w imbryku zdążyła już ostygnąć.

— Zawsze piłem ją z żoną. W niedzielę, kiedy wracaliśmy z kościoła, ona parzyła herbatę i siadaliśmy tu, żeby rozmawiać. To były nasze randki. — Uśmiechnął się. — Myślę, że w ciągu dwudziestu lat małżeństwa nigdy

tego nie zaniedbaliśmy.

— O czym rozmawialiście?

— O wszystkim. I to było piękne, świadomość, że możemy dzielić się wszystkim. Czasami dyskutowaliśmy, śmialiśmy się albo wspominaliśmy. A ponieważ ominęło nas szczęście posiadania dzieci, wiedzieliśmy, że mamy groźnego wroga, przed którym możemy stanąć każdego dnia. Cisza potrafi być nieprzyjazna. Jeśli człowiek nie nauczy się trzymać jej z dala od siebie, wciska się w szczeliny w naszych stosunkach z innymi i z czasem zmienia wszystko, nim się człowiek zorientuje.

— Niedawno straciłam męża — wyznała Sandra bez zastanowienia. — Byliśmy małżeństwem tylko przez trzy lata.

— Przykro mi, wiem, jak pani ciężko. Mimo wszystko czuję, że miałem szczęście, bo Susy odeszła tak, jak chciała, niespodziewanie.

— Pamiętam jeszcze, jak przyszli mi powiedzieć, że David nie żyje. A pan jak się dowiedział?

— Pewnego ranka próbowałem ją obudzić. — Nie dodał ani słowa, to wystarczyło. — Może się to wydać egoistyczne, ale choroba pomaga temu, kto zostaje. Przygotowuje na najgorsze. Natomiast...

Sandra wiedziała, co Zini ma na myśli. Nagła pustka, próby udawania, że nic się nie stało.

— Panie Zini, wierzy pan w Boga?

— O co tak naprawdę mnie pani pyta?

— O Boga. Chodził pan do kościoła, więc jest pan wierzący. Nie ma pan do niego pretensji o to, co się stało?

— Wiara w Boga nie oznacza, że się go kocha.

— Nie bardzo rozumiem.

— Nasze relacje z nim opierają się tylko na nadziei, że istnieje coś po

śmierci. Ale gdyby nie było iluzji życia wiecznego, to czy także wtedy kochałaby pani tego Boga, który nas stworzył? Czy gdyby nie było przyrzeczenia nagrody, potrafiłaby pani uklęknąć i chwalić Stworzyciela?

— A pan?

— Ja wierzę w istnienie Stwórcy, ale nie wierzę w życie po śmierci. Dlatego czuję, że mam prawo go nienawidzić. — Zini wybuchnął śmiechem, głośnym i pełnym goryczy. — To miasto pełne jest kościołów. Wznosząc je, ludzie próbują przeciwstawić się temu, co nieuchronne, a zarazem maskują swoje klęski. Ale każda z tych budowli ma jakąś tajemnicę, jakąś legendę. Moja ulubiona wiąże się z kościołem Najświętszego Serca Jezusa. Niewielu o tym wie, ale mieści się w nim Muzeum Dusz Czyścicówych. — Zini pochylił się w jej stronę, jakby chciał jej powiedzieć coś ważnego. — W roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym, niedługo po wybudowaniu kościoła, wybuchł w nim pożar. Kiedy go ugaszono, niektórzy wierni zauważyli, że sadza pozostawiła na ścianie ołtarza zarysy ludzkiej twarzy. Prędko rozeszła się plotka, że to wizerunek jakiejś duszy z czyścica. Niewytłumaczalne wydarzenie pobudziło wyobraźnię ojca Vittore Joueta i kazało mu szukać innych śladów pozostawionych przez zmarłych, którzy błakają się po świecie, rozpaczliwie próbując znaleźć drogę do raju. W tym muzeum znajdują się zebrane przez niego okazy. Pani jest fotografem, powinna je pani zobaczyć. Mają bezpośredni związek z panią. Wie pani, co on odkrył?

— Nie mam pojęcia, proszę mi powiedzieć.

— Że gdyby jakaś dusza zapragnęła wejść z nami w kontakt, nie zrobiłaby tego za pomocą dźwięków, ale światła.

Pomyślała o zdjęciach, które David zostawił w leice, i przeszedł ją dreszcz.

Nie usłyszawszy żadnego komentarza Sandry, Zini powiedział:

— Nie chciałem pani przestraszyć, proszę o wybaczenie.

— Nic się nie stało. Ma pan rację, powinnam tam zajrzeć.

— Więc niech się pani pospieszy. Muzeum jest otwarte tylko przez godzinę dziennie, po nieszporach.

Ton głosu Ziniego powiedział Sandrze, że chodzi o coś ważnego.



Z ulicznych studzienek wytrysnęła woda, jakby trzewia miasta nie mogły już jej pomieścić. Trzy dni intensywnych opadów wystawiły na ciężką próbę miejską kanalizację.

A teraz zerwała się wichura.

Wycie wiatru wypełniało rzymskie zaułki i place.

Sandra miała wrażenie, że przeciska się przez niewidzialny tłum, jakby wyszły jej naprzeciw całe hordy duchów i zjaw. Wiatr napierał, ale ona szła niestrudzenie. Wyczuła wibrowanie komórki w torebce, którą przyciskała do boku. Sięgnęła po nią, obmyślając wymówkę, jaką zamierzała przedstawić Shalberowi, pewna, że to on. Zdawała sobie sprawę, że niełatwo będzie go przekonać, żeby został w mieszkaniu. Wyobrażała sobie, jaki będzie zły, gdy powie mu, że jeszcze nie wraca.

Wymacała w końcu telefon wśród mnóstwa rzeczy, które nosiła w torebce, i spojrzała na wyświetlacz. Pomyliła się, był to De Michelis.

— Vega, co to za hałasy?

— Zaczekaj chwilę. — Sandra schroniła się w najbliższej bramie. — Słyszysz mnie teraz?

— Trochę lepiej. Co u ciebie? Jak się miewasz?

— Było trochę interesujących wydarzeń. — Nie wspomniała, że tego ranka ktoś do niej strzelał. — W tej chwili nie mogę powiedzieć ci zbyt dużo,

ale próbuję jakoś to ogarnąć. David odkrył w Rzymie coś dużego.

— Nie każ mi się martwić. Kiedy wracasz do Mediolanu?

— Potrzebuję jeszcze dwóch, trzech dni, może trochę więcej.

— Przedłużę ci przepustkę.

— Dziękuję, inspektorze, jesteś prawdziwym przyjacielem. A ty masz dla mnie coś nowego?

— Mam to i owo na temat tego Thomasa Shalbera. Rozmawiałem z dawnym znajomym, który pracował dla Interpolu, ale jest już na emeryturze. Wiesz, oni są trochę nieufni, kiedy zadaje mi się pytania o kolegów. Nie mogłem pytać wprost i musiałem zaprosić go na kolację, żeby nie zdradzić mu moich intencji. W sumie trwało to dość długo. — De Michelis miał denerwujący zwyczaj wdawania się w szczegóły.

— Co odkryłeś?

— Mój przyjaciel nie zna go osobiście, ale kiedy prowadził śledztwa dla Interpolu, doszły go słuchy, że Shalber to twardy gość. Nie ma wielu przyjaciół, to typek, który pracuje samotnie, a zwierzchnicy tego nie lubią. Jest jednak gliną, który ma wyniki. Uparty, podły charakter, ale wszyscy zgadzają się, że jest uczciwy. Dwa lata temu prowadził śledztwo w kilku sprawach dotyczących korupcji. Nie muszę ci mówić, że wyszedł z tego z jak najgorszą opinią, ale uziemił grupę swoich kolegów, którzy kazali się opłacać handlarzom narkotyków. To jest obrońca uczciwości!

Ironiczna i celowo przesadna opinia De Michelisa skłoniła Sandrę do zastanowienia. Dlaczego taki gliniarz interesuje się penitencjariuszami? Z jego życiorysu wynikało, że jest bardziej zainteresowany sprawami, w których pojawia się oczywista niesprawiedliwość. Po co czepiać się księży, którzy nie robią nikomu krzywdy?

— Inspektorze, a co ty myślisz o Shalberze?

— Z tego, co słyszałem, wynika, że to uparty i wredny typek. Ale powiedziałbym, że można na nim polegać.

Słowa De Michelisa uspokoiły Sandrę.

— Dziękuję, wezmę to pod uwagę.

— Dzwon, gdybyś czegoś potrzebowała.

Sandra się rozłączyła i podniesiona na duchu ruszyła, stawiając czoło wichurze.

Była zaintrygowana tym, co powiedział Pietro Zini o Muzeum Dusz Czyścicowych, i uznała, że powinna tam pójść. Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale była pewna, że zrozumiała, o co chodzi niewidomemu policjantowi.

Coś tam jest, a ona powinna to zobaczyć. Natychmiast.



Po kilku minutach znalazła się przed fasadą kościoła Najświętszego Serca Jezusa. Neogotycki styl świątyni przypominał jej katedrę mediolańską, chociaż tę rzymską wzniesiono pod koniec XIX wieku. W środku odprawiano liturgię światła i odmawiano modlitwę kończącą nieszpory. Ludzi było niewiele. Wiatr łomotał drzwiami, wdzierał się w szczeliny i gwizdał w nawach.

Sandra znalazła strzałkę wskazującą drogę do muzeum i ruszyła w tym kierunku.

Prędko odkryła, że jest to zbiór dziwnych eksponatów — co najmniej dziesięciu — które umieszczono w gablocie stojącej w korytarzu prowadzącym do zakrystii. Nic więcej. Były to przedmioty ze śladami ognia. Znajdował się wśród nich stary modlitewnik otwarty na stronicy, na której odcisnął się cień pięciu palców. Jak mówiono, miały one należeć do pewnego

zmarłego. Były też ślady, jakie w 1864 roku pozostawiła na poszewce klasztornej poduszki udreńczona dusza zmarłej siostry zakonnej, oraz znaki na habicie i koszuli matki przełożonej, której w 1731 roku złożyła wizytę dusza pewnego księdza.

Gdy Sandra poczuła rękę na swoim ramieniu, nie przestraszyła się. Przeciwnie, zrozumiała powód, dla którego Pietro Zini ją tu przysłał. Odwróciła się.

— Dlaczego mnie szukasz? — spytał mężczyzna ze szramą na skroni.

— Jestem policjantką — odrzekła.

— Nie tylko dlatego. Nie ma żadnego oficjalnego śledztwa, działasz na własną rękę. Zrozumiałem to po naszym spotkaniu w kościele Świętego Ludwika Francuzów. Wczoraj wieczorem nie chciałaś mnie aresztować, chciałaś do mnie strzelić.

Sandra nie odpowiedziała, było sprawą aż nazbyt oczywistą, że mężczyzna ma rację.

— Ty naprawdę jesteś księdzem.

— Tak.

— Mój mąż nazywał się David Leoni. Czy to nazwisko coś ci mówi?

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

— Nie.

— Był fotoreporterem. Zginął kilka miesięcy temu na placu budowy. Został zamordowany.

— Co to ma wspólnego ze mną?

— Prowadził śledztwo dotyczące penitencjariuszy, zrobił ci zdjęcie w jednym z miejsc zbrodni.

Ksiądz drgnął, usłyszawszy wzmiankę o penitencjariuszach.

— I został zabity tylko dlatego?

— Nie jestem pewna. — Sandra zamilkła na chwilę. — To ty niedawno rozmawiałeś przez telefon z Zinim. Dlaczego chciałeś znowu się ze mną spotkać?

— Żeby cię prosić, byś dała sobie spokój.

— Nie mogę. Muszę odkryć, dlaczego David zginął, i znaleźć mordercę. Możesz mi pomóc?

Mężczyzna oderwał od niej melancholijne spojrzenie i popatrzył niebieskimi oczami na jeden z eksponatów w gablocie, na drewnianą tabliczkę, na której widać było zarys krzyża.

— Zgoda. Ale musisz zniszczyć moje zdjęcie. I wszystko, co twój mąż odkrył na temat penitencjarii.

— Zrobię to, gdy tylko wyjaśnię obie sprawy.

— Czy wie o nas ktoś jeszcze?

— Nikt — skłamała. Nie miała odwagi powiedzieć mu o Shalberze i Interpolu. Obawiała się, że penitencjariusz zniknie na zawsze, gdy tylko się dowie, że jego tajemnica nie jest bezpieczna.

— Jak odkryłaś, że prowadzę dochodzenie w sprawie Figara?

— Wie o tym policja, podsłuchano waszą rozmowę. — Sandra miała nadzieję, że mężczyzna zadowolony się tą wymijającą odpowiedzią. — Ale bądź spokojny, nie domyślili się, z kim mają do czynienia.

— Ale ty się domyśliłaś.

— Wiedziałam, jak was szukać. David zostawił mi wskazówki.

Mężczyzna kiwnął głową.

— Wydaje mi się, że powiedzieliśmy sobie wszystko.

— Co mam zrobić, żeby cię znaleźć?

— Ja cię znajdę.

To rzekłszy, odwrócił się, zamierzając odejść. Sandra próbowała go



powstrzymać.

— Skąd mam wiedzieć, że mnie nie oszukujesz? Jak mogę ci zaufać, nie wiedząc, kim jesteś i czym się zajmujesz?

— Kierujesz się zwykłą ciekawością, a ludzie ciekawi grzeszą pychą.

— Staram się tylko zrozumieć.

Ksiądz pochylił się nad gablotą.

— Te przedmioty obrazują przesąd. Podjętą przez ludzi próbę spenetrowania wymiaru, do którego nie mają dostępu. Wszyscy chcą wiedzieć, co się z nimi stanie, gdy ich czas dobiegnie końca. Ale nie zauważają, że każda odpowiedź, jaką uzyskują, niesie nową wątpliwość. Dlatego nawet gdybym wyjaśnił ci, co robię, to by ci nie wystarczyło.

— W takim razie powiedz mi przynajmniej, dlaczego to robisz.

Penitencjariusz milczał przez dłuższą chwilę.

— Jest pewne miejsce, w którym kraina światła spotyka się ze światem ciemności — rzekł wreszcie. — To tam wszystko się dzieje, w tej strefie cieni, gdzie rzeczy są rozmyte, zagmatwane, niepewne. My jesteśmy strażnikami pilnującymi tej granicy. Ale mimo to co jakiś czas coś się przez nią przedostaje. — Odwrócił się, żeby spojrzeć na Sandrę. — Moim zadaniem jest zagnać to z powrotem do świata ciemności.

— Być może mogłabym ci pomóc w sprawie Figara — powiedziała Sandra i stwierdziła, że ksiądz czeka na dalszy ciąg. Wyjęła z torebki dokumenty, które dostała od Ziniego, i mu je podała. — Nie wiem, czy to ci się przyda, ale myślę, że odkryłam to i owo w związku z zabójstwem Giorgii Noni.

— Powiedz mi to, proszę.

Uprzejmość penitencjariusza ją zdumiała.

— Federico Noni jest jedynym świadkiem tego, co się wydarzyło. Mówił,

że morderca znęcał się nad jego siostrą, dopóki nie usłyszał syreny policyjnego patrolu. Dopiero wtedy uciekł. — Sandra otworzyła teczkę i pokazała mu zdjęcie. — To są odciski butów Figara. Zostawił je, uciekając. Odcisnęły się w miękkiej ziemi w ogródku, gdy wybiegł tylnymi drzwiami.

Ksiądz pochylił się, żeby przyjrzeć się zdjęciu.

— Co w tym dziwnego?

— Federico Noni i jego siostra padli ofiarą szeregu tragicznych wydarzeń. Opuścił ich ojciec, potem umarła matka, Federico miał wypadek na motocyklu. Lekarze twierdzili, że wróci do zdrowia i będzie chodził, ale tak się nie stało, a w końcu Giorgia została zamordowana. Za dużo tych nieszczęść.

— A co to ma wspólnego ze śladami butów?

— David lubił opowiadać pewną historyjkę. Fascynowało go to, co nazywamy zbiegiem okoliczności, a Jung określał mianem synchronizmu. Pewnego razu, po serii niewiarygodnych przeciwności losu, które doprowadziły go na pewną plażę, zaczął iść po śladach dziewczyny uprawiającej jogging. Był przekonany, że sens wszystkich przygód, które mu się przydarzyły, znajduje się właśnie na końcu tej ścieżki, a ta dziewczyna okaże się kobietą jego życia.

— To bardzo romantyczne.

Nie powiedział tego kpiącym tonem, więc Sandra ciągnęła:

— David mylił się tylko co do tego ostatniego szczegółu. Reszta była prawdą.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że gdybym niedawno nie przemyślała na nowo tej historii, być może nie mogłabym udzielić ci wyjaśnień... Jak wszyscy policjanci odnoszę się sceptycznie do zbiegów okoliczności. Dlatego gdy David opowiadał tę

historyjkę, starałam się na wszystkie sposoby ostudzić jego zapał typowymi pytaniami, jakie mógł zadać glina: „Skąd miałeś pewność, że ślady należą do dziewczyny?”. Albo: „Skąd wiedziałeś, że uprawiała jogging?”. A on odpowiadał mi, że stopy były za małe, żeby mogły należeć do mężczyzny, a przynajmniej taką miał nadzieję... Ślady były głębsze pod palcami niż pod piętami, więc ta osoba musiała biec.

Ta ostatnia uwaga chyba obudziła coś w umyśle księdza, tak jak Sandra się tego spodziewała. Znowu spojrzał na zdjęcie ogródka.

Ślady wydawały się głębsze pod piętą.

— On nie uciekał... Szedł — stwierdził.

On też się tego domyślił. Sandra była już pewna, że się nie myli.

— Są dwie możliwości: albo Federico Noni skłamał, mówiąc, że morderca uciekł, kiedy nadjechała policja...

— ...albo po dokonaniu morderstwa ktoś miał wystarczająco dużo czasu, żeby przygotować miejsce zbrodni dla policjantów.

— Te odciski zostawiono celowo i mogą oznaczać tylko jedno...

— ...że Figaro wcale nie uciekł z tego domu.

## Godzina 20.38

Musiał się pospieszyć. Nie miał czasu, żeby jechać środkami komunikacji publicznej, więc złapał taksówkę. Wysiadł w pewnej odległości od domku z ogródkiem w dzielnicy Nuovo Salario i dalej poszedł na piechotę.

Rozmyślał o słowach policjantki, o intuicji, która pozwoliła jej wyjaśnić tę zagadkę. Mimo iż miał nadzieję, że się myli, był przekonany, że sprawy potoczyły się właśnie tak, jak to sobie wyobraził.

Wiatr unosił w powietrze papiery i plastikowe torebki, które wirowały wokół Marcusa, towarzysząc mu w drodze do celu.

Przed domem Federica Noniego nie było nikogo, w środku nie paliło się światło. Odczekał kilka minut, a potem wszedł.

W domu panowała cisza. Zbyt głęboka.

Postanowił nie zapalać latarki.

Żadnego odgłosu, żadnego dźwięku.

Wszedł do saloniku. Żaluzje były opuszczone. Zapalił lampę stojącą koło kanapy i pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, był wózek inwalidzki.

Już wiedział, jak to się potoczyło. Jego talent polegał na wnikaniu w różne przedmioty, na utożsamianiu się z ich niemą duszą i oglądaniu przeszłości ich niewidzialnymi oczami. Ten widok odkrył przed nim sens zdania z anonimowego e-maila, który otrzymał Zini.

„On nie jest taki jak ty”.

Zdanie odnosiło się do Federica. Mówiło, że upośledzenie nie dotknęło ich obu w jednakowy sposób. Chłopak symulował.

Ale gdzie Figaro mógł być w tej chwili?

Jeśli Federico żył jak odludek, nie mógł opuszczać domu głównym wyjściem, bo zobaczyliby go sąsiedzi. Jakiego wybiegu używał, żeby móc wychodzić bez przeszkód i napadać na kobiety?

Marcus podszedł do schodów prowadzących na piętro. Zatrzymał się przed przymkniętymi drzwiami schowka pod schodami. Otworzył je. Wszedł i potracił coś zwisającego z niskiego sufitu. Lampa. Uniósł rękę i pociągnął za sznureczek uruchamiający kontakt.

Znalazł się w ciasnym schowku, w którym czuć było naftalinę. Przechowywano tu stare ubrania, wisały w dwóch rzędach, po lewej stronie męskie, po prawej damskie. Ponura wystawa pustych strąków. Prawdopodobnie należały do zmarłych rodziców chłopaka, pomyślał Marcus. Były też szafka na buty i pudła na półkach zawieszonych nieco wyżej.

Zobaczył na podłodze granatową sukienkę i jeszcze jedną w czerwone kwiaty. Musiały ześlizgnąć się z wieszaków. Może ktoś je zrzucił. Marcus włożył rękę między wieszaki i odsunął je na bok, odsłaniając drzwi.

Otworzył je. Wyjął z kieszeni latarkę i zapalił ją, oświetlając krótki korytarz o zmurszałym i zawilgotniałym tynku. Zagłębił się w nim i dotarł do schowka, w którym upchnięte były pudła i nieużywane meble. Strumień światła padł na przedmiot leżący na stole.

Zeszyt.

Otworzył go i zaczął kartkować. Na pierwszych stronach zobaczył dziecięce rysunki. Zawsze pojawiały się te same motywy.

Poranione kobiety, krew. I nożyczki.

Brakowało jednej kartki, która najwyraźniej została wyrwana. Marcus był pewny, że jeden z tych makabrycznych dziecięcych malunków wisiał na ścianie poddasza willi Jeremiaha Smitha. Kółko się zamknęło.

Kolejne strony zeszytu świadczyły jednak o tym, że te zamiłowania nie znikły wraz z dorastaniem. Rysunki zdradzały dojrzałość i precyzję osiągnięte z wiekiem. Kobiety były przedstawione dużo dokładniej, rany bardziej realistyczne i okrutne. Znak, że wraz z potworem dojrzewała jego chora wyobraźnia.

Federico Noni przez cały czas śnił o zabijaniu, ale nie zabijał. Prawdopodobnie powstrzymywał go strach, że skończy w więzieniu lub że wszyscy będą pokazywali go palcami jako potwora. Założył maskę doskonałego sportowca, porządnego chłopaka i dobrego brata. Miało to wartość także dla niego.

A potem doszło do wypadku na motocyklu.

To odblokowało wszystko. Policjantka powiedziała, że słyszała, iż lekarze zapewnili Federica, że w niego wierzą i że jego organizm poradzi sobie z obrażeniami. Ale później chłopak przerwał fizjoterapię.

Ta sytuacja posłużyła mu za doskonałą przykrywkę. W końcu mógł pozwolić na to, by górę wzięła jego prawdziwa natura.

Dotarłszy do końca zeszytu, Marcus zobaczył w nim wycinek ze starej gazety. Dotyczył wydarzeń sprzed roku, trzeciej napaści Figara. Ktoś napisał na wycinku czarnym długopisem: „Wiem wszystko”.

Giorgia, pomyślał Marcus. Dlatego ją zabił. To wtedy Federico odkrył, że nowa zabawa coraz bardziej mu się podoba.

Napady zaczęły się niedługo po wypadku. Pierwsze trzy stanowiły ćwiczenie, pozwoliły lepiej się przygotować. Ale Federico nie zdawał sobie z tego sprawy. Czekał na inny rodzaj satysfakcji, dającej dużo większe zadowolenie: morderstwo.

Nie zamierzał zabijać siostry, ale musiał to zrobić. Giorgia domyśliła się wszystkiego i stała się przeszkodą, a także zagrożeniem. Federico nie mógł

dopuścić, żeby skalala jego wizerunek czy wyjawila prawde o jego stanie. Dlatego ja zabil. Ale przy okazji cos zrozumial. Ze pozbawienie kogos zycia zaspokaja pelniej niz zwykla napaac.

Dlatego nie potrafil sie powstrzymac. Dowodem tego byl trup w parku Villa Glori. Tym razem Federico okazal sie bardziej przezorny, nabral doswiadczenia i zakopal go w ziemi.

Oszukal wszystkich, poczynszy od starego policjanta. Klamstwo sie nie wydal, bo sledztwo bylo prowadzone nierzetelnie, a ponadto wszyscy trwali w przekonaniu, ze czlowiek, ktory przyznal sie do winy, mowil prawde.

Marcus odlozyl zeszyt, bo zauwazyl cos za kredensem. Byly to duze zelazne drzwi. Podeszedl i je otworzyl.

Do schowka wdarly sie wsciekle porywy wiatru. Wychytil sie i stwierdzil, ze drzwi wychodza na pustą boczną uliczkę. Dzięki nim nikt nie widzial, kto wychodzi z domu i do niego wraca.

Dokad poszedl? Gdzie on moze teraz byc?! W glowie Marcusa odezwalo sie znowu to samo pytanie.

Zamknal drzwi i pospiesznie wrócił po swoich śladach.

Znalazlszy sie znowu w saloniku, zaczal go przeszukiwac. Nie martwil sie, ze zostawi slady, bal sie tylko, ze nie zdazy.

Skupil sie na wozku inwalidzkim. Z jednej strony byla kieszonka na drobne przedmioty. Wsunal do niej reke i znalazl telefon komorkowy.

Spryciarz, pomyslal. Zostawil tu komorkę, bo wie, ze choc jest wyłączona, moglaby posluzyc policji do ustalenia miejsca jego pobytu.

To oznaczalo, ze Federico Noni wyszedl z domu, zeby podjac swój przestepczy proceder.

Marcus sprawdzil ostatnie rozmowy. Byla jedna przychodzaca, sprzed poltorej godziny. Rozpoznal numer, poniewaz sam wybieral go tego

popołudnia: Zini.

Nacisnął guzik oddzwania i czekał, aż niewidomy policjant odbierze. Niestety, odpowiedzi nie było. Marcus wyłączył aparat i z mrozącym krew w żyłach przeczuciem wybiegł na ulicę.



## Godzina 21.34

Przeglądając się w łazienkowym lustrze w mieszkaniu Interpolu, Sandra zastanawiała się, co właściwie wydarzyło się tego popołudnia po spotkaniu z penitencjariuszem.

Przez prawie godzinę włóczyła się bez celu po ulicach Rzymu, pozwalając prowadzić się wicherze i myślom. Nie zwracała uwagi na zagrożenie, na jakie narażała się po przeżyciach tego ranka, gdy wpadła w pułapkę zastawioną w kościele. Dopóki znajdowała się wśród ludzi, czuła się bezpieczna. Stwierdziwszy, że ma dosyć chodzenia, wróciła do Shalbera. Stanąwszy przed drzwiami, zapukała dopiero po chwili, nie mając ochoty słuchać jego pretensji i narzekań, że zniknęła na tak długo. Jednak gdy tylko otworzył drzwi, zobaczyła na jego twarzy wyraz ulgi. Nie spodziewała się, że będzie się o nią niepokoił.

— Dzięki Bogu nic ci się nie stało — skomentował krótko.

Zatkało ją. Oczekiwała lawiny pytań, a tymczasem Shalber zadowolilił się zwięzłym sprawozdaniem z wizyty u Pietra Ziniego. Wręczyła mu akta sprawy Figara, które dostała od starego policjanta, i Shalber przekartkował je w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby doprowadzić ich do penitencjariuszy.

Nie zapytał jej o powód tak długiej nieobecności.

Powiedział, żeby umyła ręce, ponieważ zaraz będzie kolacja, po czym poszedł do kuchni, żeby otworzyć butelkę wina.

Sandra odkręciła kran nad umywalką i znieruchomiała na chwilę, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze. Miała sińce pod oczami i

spierzchnięte usta, bo przygryzała je, gdy była zdenerwowana. Przeciągnęła palcami po potarganych włosach, a potem zajrzała do szafki w poszukiwaniu grzebienia. Znalazła szczotkę, w którą wplątały się kobiece włosy, kasztanowe i bardzo długie. Przypomniała sobie biustonosz, który wisiał tego ranka na podłokietniku fotela w sypialni. Shalber usprawiedliwił się, mówiąc, że z apartamentu korzysta wiele osób, ale jej uwagi nie uszło jego zakłopotanie. Była pewna, że dobrze wiedział, skąd się wziął ten damski fatałaszek. Z pewnością nie przeszkadzało jej, że w łóżku, w którym się obudziła, leżała inna kobieta, może nawet parę godzin wcześniej. Irytowało ją natomiast, że Shalber próbował się tłumaczyć, jakby ją to choć trochę obchodziło.

Poczuła się głupio.

Była zazdrosna, nie miała innego wytłumaczenia. Nie mogła znieść myśli, że inni ludzie uprawiają seks. To słowo, nawet pomyślane, coś w niej wyzwoliło. Problem polegał być może na tym, że została od tego odcięta. Nie było żadnej konkretnej przeszkody, ale w głębi duszy wiedziała, że tak jest. Znowu odniosła wrażenie, że słyszy głos swojej matki: „Moja droga, kto zechciałby iść do łóżka z wdową?”. I rzeczywiście, wydawało się to czymś w rodzaju perwersji.

Skarciła się, że traci czas na podobne myśli. Trochę za długo siedzi w łazience i Shalber pewnie się niepokoi, powinna się więc pospieszyć.

Przyrzekła coś tamtemu księdzu i zamierzała dotrzymać obietnicy. Jeśli on pomoże jej znaleźć zabójcę Davida, ona zniszczy ślady prowadzące do penitencjariuszy.

Na wszelki wypadek lepiej dobrze zabezpieczyć wskazówki, pomyślała.

Ze stojącej na klapie sedesu torebki wyjęła komórkę i sprawdziła, czy jest dość miejsca w pamięci. Były tam zdjęcia, które zrobiła w kaplicy Świętego

Rajmunda z Peñafort. Już miała je skasować, ale się rozmyśliła.

Chodziło o miejsce, w którym ktoś próbował ją zabić. Te zdjęcia mogły pomóc jej odkryć, kto to był.

Wyjęła też z torebki zdjęcia zrobione leicą, łącznie z tym, na którym był ksiądz ze szramą na skroni. Rozłożyła je na półce, a potem sfotografowała po kolei komórką. Lepiej mieć na wszelki wypadek ich kopie. Wyjęła przezroczystą plastikową torebkę z zamknięciem i włożyła do niej pięć fotografii. Uniosła ceramiczną pokrywkę spłuczki i zanurzyła torebkę w wodzie.



Od dziesięciu minut Sandra siedziała w małej kuchni, przyglądając się zastawionemu stołowi i Shalberowi, który kręcił się przy kuchence z podwiniętymi rękawami koszuli, w fartuchu i ze ścierką przerzuconą przez ramię. Pogwizdywał. Odwrócił się i wyrywając ją z zamyślenia, oznajmił: — Risotto z octem balsamicznym, barwena pieczona w folii, sałatka z rzodkiewek i zielone jabłka. Mam nadzieję, że będzie ci smakować.

— Tak, z pewnością — odparła zakłopotana. Tego ranka zrobił jej śniadanie, ale usmażenie jajecznicy z dwóch jaj jeszcze nie świadczyło o tym, że umie gotować. Natomiast to menu wskazywało na zamiłowanie Shalbera do dobrego jedzenia. Była pełna podziwu.

— Tę noc spędzisz tutaj — powiedział, ucinając wszelkie dyskusje. — Powrót do hotelu byłby nieostrożnością.

— Nie sądzę, żeby coś mi się mogło przydarzyć. Poza tym tam są wszystkie moje rzeczy.

— Wpadniemy po nie jutro rano. W drugim pokoju jest bardzo wygodna kanapa. Oczywiście to ja się poświęcę.

Shalber nałożył risotto na talerze i niemal bez słowa zabrali się do jedzenia. Sandrze bardzo smakowała ryba, a wino podziałało na nią odprężająco. Nie tak, jak to było po śmierci Davida, gdy zaszywała się wieczorami w mieszkaniu i wychylała jeden kieliszek czerwonego wina za drugim, dopóki nie ogarnęła jej senność. Tym razem było inaczej. Nie sądziła, że będzie dzieliła z kimś dobry posiłek.

— Kto cię nauczył gotować? — spytała.

Shalber przełknął kęs i popił winem.

— Kiedy człowiek jest samotny, uczy się wielu rzeczy.

— Nie ciągnęło cię nigdy, żeby się ożenić? Powiedziałeś mi przez telefon, że kilka razy byłeś o krok...

Shalber pokręcił głową.

— Małżeństwo mi nie odpowiada. Ale wszystko zależy od punktu widzenia.

— Co masz na myśli?

— Każdy ma jakąś koncepcję życia. Wiesz, na czym to polega? Jak na obrazie, pewne rzeczy umieszczone są na pierwszym planie, a inne w głębi. Te drugie są równie potrzebne, inaczej brakowałoby perspektywy i mielibyśmy tylko płaski, mało realistyczny rysunek. Kobiety mojego życia znajdują się na dalszym planie. Są nieodzowne, ale nie na tyle, żeby zasługiwać na miejsce w pierwszym szeregu.

— I kto tam stoi? Oprócz ciebie, oczywiście.

— Moja córka.

Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Patrzyła zdumiona, co rozśmieszyło Shalbera.

— Chcesz ją zobaczyć? — Sięgnął po portfel i zaczął szukać w jego przegródkach.

— Nie wmówisz mi, że jesteś jednym z tych tatusiów, którzy chodzą po świecie z fotografią córeczki w kieszeni! Nic z tego, Shalber, chcesz mnie tylko zaszokować — odparła kpiąco, choć tak naprawdę była wzruszona.

Podał jej pogniecione zdjęcie dziewczynki o blond włosach w popielatym odcieniu, dokładnie takich jak jego. Miała też zielone oczy — tak jak on.

— Ile ma lat?

— Osiem. Ładna, prawda? Ma na imię Maria. Uwielbia balet i chodzi do szkoły tańca klasycznego. Na każde Boże Narodzenie czy urodziny prosi o małego szczeniaczka. Być może w tym roku spełni jej życzenie.

— Często się z nią widzisz?

Shalber się zasepił.

— Mieszka w Wiedniu. Nie jestem w zbyt dobrych stosunkach z jej matką, ma do mnie pretensję, że się z nią nie ożeniłem. — Uśmiechnął się. — Ale gdy mam trochę czasu, jadę, żeby zabrać Marię na konną przejażdżkę. Uczę ją tego, tak jak mnie uczył mój ojciec, kiedy byłem w jej wieku.

— To ładnie z twojej strony.

— Za każdym razem, gdy do niej wracam, boję się, że to już nie będzie to samo. Że w czasie mojej nieobecności nasze relacje się ochłodzą. Jest jeszcze mała, ale co się stanie, kiedy będzie chciała wyjść, żeby spotkać się z przyjaciółmi? Nie chcę stać się dla niej ciężarem.

— Nie sądzę, żeby do tego doszło — pocieszyła go Sandra. — Zazwyczaj córki zostawiają troskę o te sprawy swoim mamusiom. Ja i moja siostra szalałyśmy na punkcie naszego taty, chociaż z powodu jego zajęć spędzaliśmy razem niewiele czasu. Być może właśnie dlatego patrzyłyśmy w niego jak w obraz. Za każdym razem, gdy miał wrócić, w domu panowała radość.

Shalber kiwnął głową, wdzięczny za te słowa. Sandra wstała i zebrała

talerze, żeby włożyć je do zlewu. Powstrzymał ją.

— Idź lepiej spać. Ja posprzątam.

— We dwoje zrobimy to migiem.

— Nie, nie, zostaw to mnie.

Sandra znieruchomiała. Przerazały ją wszystkie te uprzejmości. Ktoś znowu się o nią troszczy. Odzwyczała się od tego.

— Kiedy do mnie zadzwoniłeś, od razu poczułam do ciebie niechęć. Nigdy bym nie pomyślała, że dwa dni później zjemy razem kolację, a tym bardziej, że to ty ją ugotujesz.

— Czy to oznacza, że przestałaś mnie nienawidzić?

Sandra się zaczerwieniła, a on wybuchnął śmiechem.

— Nie żartuj ze mnie, Shalber — prychnęła.

Uniósł ręce na znak, że się poddaje.

— Wybacz mi, nie chciałem.

W tym momencie wydał jej się prawdziwy, daleki od antypatycznego wyobrażenia, jakie sobie stworzyła.

— Dlaczego tak nie lubisz penitencjariuszy? — spytała.

Shalber spoważniał.

— Nie popełnij i ty tego błędu.

— Co masz na myśli, mówiąc „i ty”? O jaki błąd chodzi?

Chyba pożałował, że tak powiedział, i próbował to naprawić.

— Już ci wyjaśniłem: ich działania są niezgodne z prawem.

— Przykro mi, ale tego nie kupuję. Chodzi nie tylko o to. Co się za tym kryje?

Było jasne, że Shalber chce zyskać na czasie. Jego ostrożność potwierdzała tylko, że rano nie powiedział jej wszystkiego na temat penitencjariuszy.

— No, dobrze... Nie są to jakieś rewelacje, ale myślę, że to, co zamierzam ci opowiedzieć, mogłoby wyjaśnić powody śmierci twojego męża.

Sandra zeszywniała.

— Mów.

— Tak naprawdę penitencjariusze nie powinni już istnieć. Po Soborze Watykańskim Drugim Kościół rozwiązał ich zakon. W latach sześćdziesiątych Paenitentiarium Apostolicum została zreorganizowana, mianowano nowych zwierzchników. Archiwum grzechów utajniono. Kościelni kryminolodzy zaprzestali działalności. Niektórzy z nich zrezygnowali z uprzywilejowanej pozycji, inni sprzeciwili się i zawieszono ich *a divinis*, a niepokorni zostali wyklęci.

— Więc jak to możliwe, że...

— Zaczekaj, pozwól mi dokończyć. Gdy wydawało się, że już o nich zapomniano, penitencjariusze znowu się pojawili. Stało się to wiele lat temu i niektórzy watykańscy hierarchowie zaczęli podejrzewać, że w rzeczywistości wielu z nich udało, że posłuchało polecenia papieża, tylko po to, aby działać w sekrecie. I tak też było. Na czele tej niewielkiej grupy stanął chorwacki ksiądz Luka Devok. To on powołał i wyszkolił nowych penitencjariuszy. Być może odpowiadał przed kimś z Kościoła, kto postanowił zrekonstruować penitencjarię. W każdym razie znał wiele tajemnic, na przykład tożsamość wszystkich penitencjariuszy. Każdy odpowiadał tylko przed nim i nie wiedział, kim są pozostali.

— Dlaczego mówisz o tym, używając czasu przeszłego?

— Ponieważ Luka Devok nie żyje. Stało się to rok temu, strzelono do niego w pokoju hotelowym w Pradze. Wtedy prawda wyszła na jaw. Watykan poczynił energiczne kroki, żeby nie znaleźć się w kłopotliwej

sytuacji.

— Nie dziwię się, to typowe dla Kościoła, który robi wszystko, żeby tuszować skandale.

— Chodziło nie tylko o to. Już sama myśl, że przez tyle lat jakiś wysoko postawiony purpurat chronił Devoka, przyprawiała wszystkich o drżenie. Sprzeciwienie się rozkazowi papieża równa się schizmie, rozumiesz?

— Więc jak im się udało zapanować nad sytuacją?

— Widzę, że zaczynasz pojmować, jak to działa — ucieszył się Shalber.

— Powiem tylko, że zastąpili Devoka zaufanym człowiekiem, ojcem Augustem Clemente, Portugalczykiem. Jest bardzo młody, ale wystarczająco doświadczony. Wszyscy penitencjariusze są dominikanami, ale Clemente to jezuita. Inny sposób myślenia, bardziej pragmatyczny, z mniejszą skłonnością do sentymentalizmu.

— A więc ten ksiądz został nowym szefem penitencjarii?

— Ma również za zadanie zidentyfikować wszystkich penitencjariuszy powołanych przez ojca Devoka, żeby sprowadzić ich z powrotem na łono Kościoła. Na razie znalazł tylko jednego, człowieka, którego widziałas u Świętego Ludwika Francuzów.

— A zatem ostatecznym celem Watykanu jest udawanie, że nie zostały pogwałcone żadne reguły?

— Dokładnie. I tym razem, jak zwykle, starają się naprawić szkody. To samo dotyczy na przykład zwolenników biskupa Lefèbvre'a, którzy od lat prowadzą rokowania z Kościołem, żeby wrócić na jego łono. Podobnie jest z penitencjariuszami.

— Dobremu pasterzowi nie wolno porzucać zagubionej owieczki. Powinien starać się przyprowadzić ją do owczarni — zakpiła Sandra. — Ale skąd to wszystko wiesz?



— Wiem o nich tyle samo, ile wiedział David. Mieliśmy jednak różne koncepcje i dlatego się sprzeczailiśmy. Kiedy prosiłem cię, żebyś „i ty” nie popełniła błędu polegającego na zbyt wyrozumiałym traktowaniu penitencjariuszy, chodziło mi dokładnie o to, co myślał o nich David.

— Ale dlaczego ty miałaś rację, a on się mylił?

Shalber podrapał się po głowie i sapnął ze złością.

— Ponieważ ktoś zamordował go za to, co odkrył, podczas gdy ja żyję.

Nie zabrzmiało to jak nie wiadomo już które lekceważące zdanie na temat jej męża.

Sandra musiała przyznać Shalberowi rację. Ona też doszła do podobnych wniosków. Co więcej, czuła się winna. Ten miły wieczór rozładował jej wewnętrzne napięcie i była to zasługa Shalbera. Nie tylko się przed nią otworzył, mówiąc o sprawach osobistych, odpowiedział też na jej pytania, nie prosząc o nic w zamian, podczas gdy ona skłamała, nie wspominając o swoim drugim spotkaniu z penitencjariuszem.

— Dlaczego nie zapytałeś mnie, czemu tak późno wróciłam od Ziniego?

— Już ci to mówiłem, nie cierpię kłamstw.

— Bałeś się, że nie powiem prawdy?

— Pytania służą kłamcom za pretekst. Gdybyś miała mi cokolwiek do powiedzenia, powiedziałaabyś mi to sama. Nie lubię używać przymusu, wolałbym, żebyś miała do mnie zaufanie.

Sandra wstała, podeszła do zlewu i odkręciła kran, żeby szum wody zagłuszył ciszę. Przez chwilę kusilo ją, by wszystko Shalberowi powiedzieć. Stał kilka kroków za nią. Gdy zabierała się do zmywania, usłyszała, że do niej podchodzi. Położył ręce na jej biodrach i oparł się o nią. Sandra nie próbowała mu w tym przeszkodzić. Jej serce zabiło mocniej i miała ochotę przymknąć oczy. Jeśli je zamknę, to koniec, pomyślała. Była przestraszona,

ale nie miała siły go odepchnąć. Pochylił się nad nią i odgarnął jej włosy z szyi. Poczowała na skórze ciepło jego oddechu. Odchyliła do tyłu głowę, jakby chciała przyjąć ten uścisk. Jej ręce tkwiły pod strumieniem wody. Bezwiednie uniosła się lekko na czubkach palców. Zamknęła oczy i drżąc, szukała jego ust.

Przez pięć miesięcy żyła tylko wspomnieniami.

A teraz po raz pierwszy zapomniała wreszcie, że jest wdową.

## Godzina 23.24

Drzwi domu były otwarte i uderzały o futrynę. Nie był to dobry znak.

Przystanął, żeby założyć lateksowe rękawiczki, i dopiero wtedy popchnął jedno skrzydło. Nadbiegły koty Ziniego, żeby przywitać gościa. Marcus zrozumiał, dlaczego niewidomy policjant wybrał właśnie koty, żeby dotrzymywały mu towarzystwa.

Były to jedyne zwierzęta, które mogły żyć z nim w ciemności.

Marcus zamknął drzwi, odcinając wicher. Spodziewał się, że po tych hałasach nastąpi cisza, ale gdzieś blisko usłyszał dźwięk wydawany przez jakieś elektroniczne urządzenie, przenikliwy i urywany.

Ruszył w kierunku tego odgłosu. Po kilku krokach zobaczył bezprzewodowy telefon na podstawce, stojący obok lodówki. Sygnalizował, że wkrótce wyładuje się bateria.

Ten sam telefon dzwonił na próżno, gdy Marcus wybrał numer Ziniego, będąc w domu Federica Noniego. Ale nie to spowodowało wyładowanie się baterii — ktoś wyłączył prąd.

Dlaczego Figaro wyłączył prąd w domu niewidomego?

— Zini! — zawołał Marcus, ale odpowiedziała mu cisza.

Ruszył korytarzem prowadzącym w głąb domu. Wyjął z kieszeni latarkę i gdy tylko ją zapalił, zobaczył, że przejście jest zagrodzone przez kilka mebli, zupełnie jakby zostały przesunięte podczas ucieczki.

Co tu się stało? — zastanawiał się Marcus.

Starał się zrekonstruować bieg wydarzeń. Paradoksalnie ślepotą

„otworzyła” Ziniemu oczy i zrozumiał. Anonimowy e-mail sprawił, że obudziły się dawne podejrzenia.

„On nie jest taki jak ty”.

Zwłoki w parku Villa Glori były potwierdzeniem, zadzwonił więc do Federica Noniego, być może doszło między nimi do sprzeczki i Zini zagroził, że powiadomi policję.

Dlaczego tego nie zrobił, dając Noniemu czas na przyjazd tutaj i zamordowanie go?

Zini próbował uciec, ale Federico — który był silny, a przede wszystkim widział — nie pozwolił mu na to.

Marcus był pewny, że w tym domu ktoś stracił życie.

Ruszył za kotami do gabinetu. Już miał przekroczyć jego próg, gdy zauważył, że zwierzęta przez coś przeskakują. Skierował w tę stronę światło latarki i zobaczył, że kilka centymetrów nad podłogą coś błyszczy.

Była to napięta nylonowa żyłka i tylko koty potrafiły dostrzec ją w ciemności.

Nie umiał wytłumaczyć sobie, co ta przeszkoda miała na celu.

Przeszedł ponad nią i znalazł się w pokoju.

Na dworze szalała wichura, szukając drogi do wnętrza domu. Światło latarki omiotło gabinet, sprawiając, że cienie ukryły się pod meblami. Z wyjątkiem jednego.

Nie był to jednak cień. Na podłodze leżał mężczyzna, w jednym ręku trzymając nożyczki, a drugą ściskając się za szyję. Jego policzek zanurzony był w kałuży niemal czarnej krwi. Marcus pochylił się nad Federikiem Nonim, który wpatrywał się w niego pozbawionymi wyrazu oczami, wykrzywając usta w bolesnym grymasie. Nagle Marcus zrozumiał, co wydarzyło się w tych ścianach.

Zini zaplanował zemstę.

Niewidomy nalegał, żeby Marcus spotkał się z policjantką, a gdy oboje byli w Muzeum Dusz Czyścicowych, postanowił wprowadzić swój plan w życie. Zadzwoił do Federica Noniego i powiedział mu, że zna prawdę. To było zaproszenie. I tamten je przyjął.

Czekając na jego przybycie, Zini ustawił przeszkody i rozpiął linkę. Wyłączając prąd, wyrównał szanse. Żaden z nich nie mógł widzieć tego drugiego. Policjant działał jak kot, a Federico odegrał rolę szczura, którego należało złapać.

Zini był wyższy i lepiej radził sobie po ciemku. Znał dom, wiedział, jak się po nim poruszać. Udało mu się doprowadzić do tego, że Noni się potknął, i wtedy ugodził go nożyczkami. Prawdziwy odwet.

A właściwie egzekucja.

Marcus przyglądał się jeszcze przez chwilę trupowi. Pomyślał, że oto popełnił kolejny błąd: dostarczył brakujący element, co umożliwiło dokonanie zemsty.

Odwrócił się, żeby wyjść z gabinetu, gdy zauważył, że koty stanęły przy drzwiach balkonowych wychodzących na mały ogródek.

Coś było na zewnątrz.

Marcus otworzył je szeroko i do wnętrza wdarła się wichura. Zwierzęta zgromadziły się wokół leżaka, na którym siedział Pietyro Zini, jak podczas pierwszej wizyty Marcusa.

Marcus oświetlił latarką jego niewidzące oczy. Zini nie miał ciemnych okularów, a na jego twarzy malował się wyraz pogodnego pogodzenia się z losem. Jedną rękę oparł na udach, a w drugiej trzymał jeszcze pistolet, z którego strzelił sobie w usta.

Marcus mógłby mieć żal do Ziniego. Policjant posłużył się nim, a przede

wszystkim podsunał mu fałszywy trop.

„Ten chłopak, Federico Noni, dość się już wycierpiał. Stracił władzę w nogach i przydarzyło się to właśnie jemu, sportowcowi. Jeśli traci się wzrok w moim wieku, można się z tym jakoś pogodzić. Potem brutalnie zamordowano mu siostrę, praktycznie rzecz biorąc, na jego oczach. Pomyśl, jak bezradny musiał się poczuć. Kto wie, jak się zadręcza, chociaż nie zrobił nic złego”.

Zini mógł zawiadomić policję, skierować śledztwo na właściwy tor i uwolnić od zarzutów niewinnego człowieka siedzącego w Regina Coeli. Ale był przekonany, że Nicola Costa szykował się do wielkiego skoku, że był nie tylko mitomanem, ale i groźnym psychopata. Zainteresowanie, jakie wzbudził po aresztowaniu, uspiło jego zbrodnicze instynkty. Ale w gruncie rzeczy był to półśrodek. Zamieszkiwało w nim wiele osobowości. Ta narcystyczna nie przytłumiła na długo tej drugiej, krwiożerczej.

Poza tym dla Ziniego była to kwestia godności osobistej. Federico Noni zakpił sobie z niego, ujawniając jego słabość. Ponieważ Zini wiedział, że straci wzrok, współczuł chłopakowi, a przecież pierwszą zasadą każdego gliny jest nie wierzyć nikomu.

Ponadto Federico popełnił najstraszliwszą zbrodnię, zabijając własną siostrę. Jaka istota niszczy to, co kocha? Ten chłopak był zdolny do wszystkiego, dlatego, zdaniem Ziniego, zasługiwał na śmierć.

Marcus zamknął drzwi balkonowe. Wróciwszy do gabinetu, znalazł komputer. Mimo iż brakowało prądu, był uruchomiony, działał dzięki przełączeniu na zasilanie bateryjne.

Chciał odnaleźć znak.

Po południu za pomocą syntetyzatora mowy odsłuchali wiadomość, którą Pietro Zini otrzymał parę dni temu. Marcus był jednak pewny, że wiadomość

była dłuższa i że policjant przerwał odtwarzanie, uniemożliwiając wysłuchanie reszty.

Znalazł właściwy klawisz i uruchomił urządzenie. Odezwał się zimny i bezosobowy elektroniczny głos, skandując tajemnicze słowa, które teraz Marcus już potrafił rozszyfrować.

„On-nie-jest-ta-ki-jak-ty... szu-kaj-w-par-ku-vil-la-glo-ri”.

To był fragment, który już znał, ale, jak przewidział, nastąpił ciąg dalszy:

„Ten-chło-pak-cię-o-szu-kał... wkrótce-bę-dziesz-miał-goś-cia”.

Drugi fragment odnosił się do Federica Noniego, a pośrednio także do Marcusa — ktoś uprzedził Ziniego o jego wizycie.

Ale najbardziej uderzyły go ostatnie słowa wypowiedziane przez monotony elektroniczny głos:

„A-co-się-sta-ło... zno-wu-się-sta-nie... c.g. dziewięćset dwadzieścia pięć-trzydzieści jeden-zero-siedemdziesiąt trzy”.

Z powodu zapowiedzi — a co się stało... znowu się stanie — z powodu sygnatury — 925-31-073 — która dotyczyła innego przypadku niesprawiedliwości, ale nade wszystko z powodu dwóch liter, które tę sygnaturę poprzedzały.

*Culpa gravis.*

Teraz Marcus już wiedział.

„Jest pewne miejsce, w którym kraina światła spotyka się ze światem ciemności. To tam wszystko się dzieje, w tej strefie cieni, gdzie rzeczy są rozmyte, zagmatwane, niepewne. My jesteśmy strażnikami pilnującymi tej granicy. Ale mimo to co jakiś czas coś się przez nią przedostaje. Moim zadaniem jest zagnać to z powrotem do świata ciemności”.

Ktoś, kto kontaktuje ze sobą ofiary i katów, jest penitencjariuszem. Tak jak ja, pomyślał.

ROK WCZEŚNIEJ  
KIJÓW



— Wielkie marzenia się skończyły, gdy zamieniliśmy naszą integralność na trochę lepsze perspektywy. Położyliśmy się spać z nadzieją w sercu, a obudziliśmy z jakąś kurwą, nawet nie znając jej imienia.

Tym jednym zdaniem doktor Norienko podsumował pierestrojkę, zburzenie muru berlińskiego, rozbitcie dawnych republik, a nawet pojawienie się pokolenia bogatych władców ropy naftowej i gazu — nowej wszechwładnej oligarchii gospodarczej i politycznej. W sumie dwadzieścia lat rosyjskiej historii.

— Niech pan popatrzy... — Postukał palcem w pierwszą stronicę „Kuriera Charkowskiego”. — Wszystko się sypie, a oni co na to? Nic. Do czego była nam potrzebna ta wolność?

Nikołaj Norienko patrzył spode łba na gościa, który kiwał głową, okazywał nawet zainteresowanie, ale nie przyłączał się do tych inwektyw, jak chciałby tego psycholog.

— Doktorze Foster, powiedział pan, że jest pan Amerykaninem? — spytał Norienko, wpatrując się w jego zabandażowaną rękę.

— Tak naprawdę to jestem Anglikiem — odparł Myśliwy, starając się odwrócić uwagę mężczyzny od rany, jaka pozostała mu po ugryzieniu Angeliny w szpitalu psychiatrycznym w Meksyku.

Biuro, w którym się znajdowali, położone było na drugim piętrze budynku kierownictwa Państwowego Ośrodka Pomocy Dzieciom, na zachód od Kijowa. Z dużego okna rozciągał się przyjemny widok na park z brzozaami. Drzewa miały już żółte liście, co było znakiem, że zbliża się jesień. Ściany gabinetu obito sklejką, ze sklejkki też zrobiono meble. Na jednej ze ścian widać było trzy prostokątne cienie. W tych miejscach musiały kiedyś

wisiec portrety ojców ojczyzny — Lenina i Stalina — oraz podobizna urzędującego w dawnym okresie sekretarza KPZR. W pokoju unosił się stęchły zapach dymu papierosowego, a popielniczka stojąca przed Norienką pełna była niedopałków. Mimo iż skończył dopiero pięćdziesiąt lat, jego niechlujny wygląd i niezdrowy kaszel sprawiały, że robił wrażenie dużo starszego. Był zakatarzony, a jego twarz wyrażała zniechęcenie i upokorzenie. Ramka bez zdjęcia na stoliku i pościel leżąca na skórzanej kanapie przywodziły na myśl małżeństwo, które się rozpadło. W czasach komunistycznego reżimu musiał być szanowanym człowiekiem. Teraz był melancholijną parodią urzędnika państwowego z pensją zamiatacza ulic.

Psycholog sięgnął po kartkę z fałszywymi referencjami, wręczoną mu przez Myśliwego podczas niedawnej prezentacji, i jeszcze raz przebiegł ją wzrokiem.

— Tu jest napisane, że jest pan redaktorem naczelnym czasopisma poświęconego psychologii sądowej na uniwersytecie w Cambridge. Godne uwagi stanowisko w pana wieku, doktorze Foster, moje gratulacje.

Myśliwy wiedział, że ten szczegół przyciągnie jego uwagę, udało mu się polechtać zranioną dumę Norienki. Zadowolony psycholog odłożył kartkę.

— Wie pan, to dziwne... Aż do dzisiejszego dnia pies z kulawą nogą nie przyszedł zapytać mnie o Dimę.

Myśliwy natrafił na Norienkę dzięki doktor Florindzie Valdès, która w stolicy Meksyku pokazała mu jego artykuł opublikowany w 1989 roku w jednym z drugorzędnych czasopism poświęconych psychologii. Omawiał on przypadek pewnego dziecka — Dimitrija Karoliszyna, czyli Dimy. Być może ukraiński psycholog miał nadzieję, że studium to otworzy mu drzwi do kariery, podczas gdy wszystko wokół niego ulegało nieuchronnemu rozpadowi. Ale tak się nie stało. Ta historia aż do tej chwili pozostała

niezauważona i pogrzebała jego oczekiwania i ambicje.

Nadszedł czas, żeby wydobyć ją z zapomnienia.

— Doktorze Norienko, proszę mi powiedzieć, czy znał pan Dimę?

— Jasne, że tak. — Psycholog złożył dłonie w piramidkę, patrząc w sufit, jakby próbował przywołać wspomnienie. — Na początku wydawał się takim samym dzieckiem jak inne, być może bardziej bystrym, ale wyjątkowo spokojnym.

— Który to był rok?

— Osiemdziesiąty szósty. W tamtych czasach nasz ośrodek był na Ukrainie czołową placówką wychowawczą. A może i w całym Związku Radzieckim — zaznaczył z dumą Norienko. — Dzieciom, które zostały same na świecie, zapewnialiśmy przyszłość, nie ograniczaliśmy się do opieki nad nimi, jak to się działo w sierocińcach na Zachodzie.

— Wasze metody były znane, służyliście za przykład.

Norienko kupił to pochlebstwo, o czym świadczyła jego zadowolona mina.

— Po katastrofie w Czarnobylu rząd w Kijowie poprosił nas, żebyśmy przygarnęli dzieci, których rodzice umarli z powodu chorób wywołanych napromieniowaniem. Było bardzo prawdopodobne, że i u nich pojawią się patologiczne objawy. Naszym zadaniem było zaopiekowanie się nimi do czasu, aż odnajdziemy ich krewnych, którzy mogliby je zabrać.

— Czy Dima zjawiał się razem z nimi?

— Sześć miesięcy po katastrofie, jeśli się nie mylę. Pochodził z Prypeci, miasta położonego w strefie wokół elektrowni, z którego wysiedlono wszystkich mieszkańców. Miał osiem lat.

— I długo u was był?

— Rok i dziewięć miesięcy. — Norienko zamilkł na chwilę, zmarszczył

czoło, po czym wstał i podszedł do szafki z kartotekami. Po krótkich poszukiwaniach wrócił do biurka z plikiem dokumentów w beżowej kopercie. Zaczął je przeglądać. — Jak wszystkie dzieci z Prypeci, Dimitrij Karoliszyn cierpiał na moczenie nocne i zmiany nastroju, co było konsekwencją przeżytego wstrząsu i rozłąki z rodziną. Dlatego znalazł się pod opieką psychologów. W czasie rozmów z nimi opowiadał o swojej rodzinie, o matce Ani, gospodyni domowej, i ojcu Konstantinie, który pracował jako technik w elektrowni atomowej. Opisywał, jak żyli... ze szczegółami, które później okazały się prawdziwe. — Lekarz uznał za stosowne położyć nacisk na ostatnie zdanie.

— I co się stało?

Norienko nie odpowiedział od razu, najpierw wyjął papierosa z paczki, którą miał w kieszeni koszuli, i zapalił.

— Dima miał jedyne pozostałego przy życiu krewnego, brata jego ojca, Olega Karoliszyna. Po długich poszukiwaniach odnaleźliśmy go w Kanadzie. Człowiek ten był szczęśliwy, że może się zająć bratankiem. Znał Dimę tylko ze zdjęć, które dostawał od Konstantina, więc kiedy posłaliśmy mu niedawno zrobioną fotografię, aby mógł potwierdzić, że rozpoznaje chłopca, wydarzyło się coś, czego się nie spodziewaliśmy. A miała to być tylko formalność.

— Tymczasem Oleg oświadczył, że to dziecko nie jest jego bratankiem.

— Tak... Mimo to Dima, choć nigdy nie widział „stryjka”, znał mnóstwo dotyczących go szczegółów, przytaczał anegdoty z dzieciństwa, pamiętał też, jakie prezenty przysyłał mu co roku na urodziny.

— Co o tym pomyśleliście?

— Na początku, że Oleg zmienił zamiary i nie chce już zatroszczyć się o Dimę. Gdy jednak przysłał nam zdjęcia chłopca, które w ciągu lat posyłał mu

brat, trudno nam było uwierzyć... Mieliśmy do czynienia z inną osobą.

Na kilka chwil w pokoju zapadło kłopotliwe milczenie. Norienko patrzył na rozmówcę, aby się upewnić, czy ten nie bierze go za wariata. Na szczęście gość się odezwał.

— Nie zorientowaliście się wcześniej?

— Nie mieliśmy zdjęć Dimy z okresu poprzedzającego jego przyjazd do ośrodka. Mieszkańcy Prypeci zostali zmuszeni do pospiesznego opuszczenia domów i zabrali tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Dziecko przybyło do nas samo, niczego przy sobie nie miało.

— A potem?

Norienko zaciągnął się głęboko dymem.

— Istniało tylko jedno wyjaśnienie: to przybyłe znikąd dziecko zajęło miejsce prawdziwego Dimy. Ale jest coś jeszcze...

Oczy Myśliwego zabłyśły, a w spojrzeniu Norienki pojawił się strach.

— Ci dwaj chłopcy nie byli tak po prostu do siebie podobni — podjął psycholog. — Prawdziwy Dima był krótkowidzem, ten drugi chłopiec także. Obaj byli uczuleni na laktozę. Oleg poinformował nas, że jego bratanek słabo słyszał na prawe ucho z powodu źle leczonego zapalenia ucha środkowego. Zbadaliśmy słuch naszego chłopca i okazało się, że ma taką samą wadę.

— Mógł symulować, badanie słuchu opiera się na odpowiedziach udzielanych przez pacjenta. Być może wasz Dima o tym wiedział.

— Może... — Norienko był zakłopotany. — Miesiąc po naszym odkryciu chłopiec zniknął.

— Uciekł?

— Powiedziałbym raczej, że... rozwiął się, wyparował. Szukaliśmy go całymi tygodniami, policja też.

— A prawdziwy Dima?

— Nie został po nim żaden ślad, jak zresztą i po jego rodzicach. Wiedzieliśmy tylko, że nie żyją, bo tak powiedział nasz Dima. Panował taki chaos, że nie można było zweryfikować żadnych informacji. Wszystko, co dotyczyło Czarnobyla, było utajnione, nawet najbardziej banalne sprawy.

— Zaraz potem napisał pan artykuł na temat tej historii.

— Ale nikt nie dał mi wiary. — Norienko pokręcił smutno głową, odwracając wzrok, jakby się wstydził. — Niech mi pan wierzy, ten chłopiec nie starał się tak zwyczajnie udawać kogoś innego, w tym wieku umysł nie potrafi zaplanować tak skomplikowanego kłamstwa. Nie, w swojej psychice on naprawdę był Dimą.

— Czy znikając, coś ze sobą zabrał?

— Nie, ale coś zostawił...

Norienko pochylił się, żeby otworzyć jedno z pudełek stojących na biurku. Po krótkim poszukiwaniu wyjął jakąś zabawkę i położył ją na stole przed gościem.

Był to króliczek uszyty z gałganków, niebieski, brudny i zniszczony. Ktoś zacerował jego ogonek, ale brakowało mu jednego oka. Uśmiechał się, szczęśliwy i zarazem złowrogi.

Myśliwy dokładnie go obejrzał.

— Nie wydaje mi się, żeby mógł dostarczyć jakichś informacji.

— Zgadzam się z panem, doktorze Foster — przyznał Norienko, ale jego oczy się rozjaśniły. — Ale nie wie pan, gdzie go znaleźliśmy.



W zapadającym zmroku Norienko poprowadził gościa przez park do innego budynku ośrodka.

— Dawniej był to główny budynek z pokojami dla dzieci.

Skierowali się nie na wyższe piętra, ale do piwnic. Po drodze Norienko nacisnął kilka kontaktów i obszerne wnętrze rozjaśniło się od światła jarzeniówek. Ściany były pociemniałe od wilgoci, a pod sufitem biegły rury, stare i wielokrotnie naprawiane.

— Jakiś czas po zniknięciu chłopca pracownik wyznaczony do sprzątnięcia coś tu odkrył. — Doktor nie podawał żadnych szczegółów, jakby pragnął cieszyć się zdumieniem młodego kolegi. — Chciałem zachować to miejsce w takim stanie, w jakim je znaleźliśmy. Proszę mnie nie pytać o powody, po prostu pomyślałem, że pewnego dnia pomoże nam zrozumieć istotę tej sprawy. Poza tym tu nikt nigdy nie zagląda.

Przeszli przez wysoki i wąski korytarz z żelaznymi drzwiami, za którymi huczały ponuro kotły centralnego ogrzewania. Dotarli do drugiego pomieszczenia, będącego magazynem starych mebli, łóżek i butwiejących materaców. Norienko zaczął się przeciskać między nimi i zachęcił kolegę, żeby poszedł za nim.

— Jesteśmy prawie na miejscu — powiedział.

Znaleźli się w ciasnym i zagraconym pomieszczeniu pod schodami. Panował w nim mrok, ale Norienko oświetlił wnętrze zapalniczką na benzynę, której używał do zapalania papierosów. W bladym świetle jej płomyczka Myśliwy zrobił krok do przodu, nie wierząc w to, co widzi.

Wydawało się, że to olbrzymie gniazdo jakiegoś owada.

Poczuł odrazę, ale potem, przysunąwszy się bliżej, dostrzegł bardzo gęstą siatkę małych kawałków drewna, połączonych strzępami różnobarwnych materiałów, sznurków, sprężynek i pinesek, a także stronic gazet, które po zwilżeniu wodą posłużyły za lepik. Wszystko to zostało zrobione bardzo starannie.

Była to dziecięca kryjówka.

Także on budował podobne, gdy był dzieckiem. Ale ta była inna.

— Kukielka znajdowała się tu, w środku — wyjaśnił Norienko i zobaczył, że jego gość pochyla się w stronę ciasnego wlotu i dotyka czegoś na podłodze. Spojrzał zza jego pleców i stwierdził, że bada drobne ciemne plamki.

Dla Myśliwego były jak objawienie.

Wyschnięta krew. Takie same ślady, jakie znalazł w Paryżu, w mieszkaniu Jeana Dueza.

Fałszywy Dima był tamtym transformistą.

— Domyślcie się pochodzenia tych plamek? — spytał obojętnie, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo jest poruszony.

— Właściwie to nie...

— Będzie miał pan coś przeciwko temu, jeśli pobiorę próbkę?

— Proszę bardzo.

— Chciałbym też prosić o tego króliczka ze szmatek. Może mieć związek z przeszłością fałszywego Dimy.

Norienko się zawahał. Próbował zrozumieć, czy jego kolega naprawdę interesuje się tą historią. Dla niego była to prawdopodobnie ostatnia szansa, żeby zapisać swoją kartę w nauce.

— Moim zdaniem ten przypadek jest ważny z naukowego punktu widzenia i warto go przeanalizować — dodał Myśliwy, żeby go przekonać.

Oczy psychologa zabłysły naiwną nadzieją, ale była w nich także milcząca prośba o pomoc.

— A co by pan powiedział, gdybyśmy napisali nowy artykuł, razem, we dwójkę? — spytał. W tym momencie z pewnością nie wyobrażał sobie, że dożyje swoich dni w tym ośrodku.

Myśliwy odwrócił się do niego z uśmiechem.



— Oczywiście, doktorze Norienko. Dziś wieczorem wracam do Anglii i postaram się jak najprędzej przekazać panu wiadomości w tej sprawie.

W rzeczywistości zamierzał udać się w zupełnie inne miejsce. Tam, gdzie wszystko się zaczęło. Tropem Dimy, do Prypeci.

DWA DNI WCZEŚNIEJ

## *Godzina 6.33*

— Nie! — krzyknął trup.

Krzyk pozostał na pograniczu snu i jawy. Pochodził z przeszłości, ale zdołał przedostać się do czasu teraźniejszego chwilę przed zamknięciem portalu łączącego te dwa światy. Marcus wrócił do stanu czuwania.

Krzyknął, mając przed sobą obojętny wylot lufy pistoletu. Wiedząc, że to się nie zda na nic. Jak to robią wszyscy, którzy znaleźli się na muszce. To słowo jest ostatnią nieskuteczną obroną przed tym, co nieuchronne. Inwokacją kogoś, kto wie, że nie pozostała mu już żadna droga ucieczki.

Marcus nie sięgnął po pisak, którym notował strzępy snów na ścianie obok składanego łóżka. Przez dłuższą chwilę rozmyślał o sennym widzeniu — czując przyspieszone bicie serca i ciężko dysząc — ponieważ tym razem nie zapomniał tego, co zobaczył.

Ciągle miał przed oczami wyraźny obraz mężczyzny bez twarzy, który strzelił do niego i do Devoka. W poprzednich wersjach snu był to obłoczek pary, który znikał za każdym razem, gdy Marcus starał się skupić na nim wzrok. Teraz miał już ważny szczegół dotyczący mordercy — ujrzał rękę trzymającą pistolet.

Zabójca był mańkutem.

Nie było to dużo, ale Marcus wiązał z tym pewne nadzieje. Być może któregoś dnia uda mu się spojrzeć w oczy człowiekowi, który skazał go na wędrowanie po swoim wnętrzu w poszukiwaniu tożsamości. Ponieważ tym, co mu pozostało, była świadomość, że żyje. Nic więcej.

Pomyślał znowu o Federicu Nonim i o rysunkach w zeszycie znalezionym w jego domu. Opowiadały o tym, jak rodzi się bestia. Niepokoiło go to, że jego agresywne fantazje sięgały dzieciństwa. W gmatwaninie, którą usiłował rozplątać, tkwiła czerwona nić zwątpienia. Czy rodzimy się źli lub dobrzy, okrutni lub współczujący, czy też takimi się stajemy? Jak w sercu dziecka mogło zalegnąć się zło?

Ktoś przypisałby to dramatycznym wydarzeniom, które wstrząsnęły psychiką Federica, takim jak opuszczenie przez matkę albo przedwczesna śmierć ojca. Ale wyjaśnienie to było dość prymitywne. Wiele dzieci przeżywa większe dramaty, ale nie stają się z tego powodu mordercami w wieku dojrzałym.

Marcus miał świadomość, że to pytanie dotyczy również jego. Amnezja zatarła wspomnienia, ale nie przeszłość. Co się działo, zanim go dotknęła? Być może w zeszycie Federica znajduje się przebłysk odpowiedzi. W każdym człowieku jest coś, co wykracza poza świadomość, poza doświadczenia i wychowanie. Iskra, która określa go lepiej niż jego imię czy wygląd.

Jeden z pierwszych etapów jego szkolenia polegał na uwolnieniu się od łatwowierności. Clemente polecił mu zapoznać się ze sprawą Teda Bundy'ego, seryjnego mordercy o miłej twarzy. Miał narzeczoną, a przyjaciele opisywali go jako osobę ujmującą i prawą. Mimo to zabił dwadzieścia osiem osób. Ale zanim rozpoznano go jako bezlitosnego mordercę, Bundy został odznaczony medalem za uratowanie dziewczynki, która topiła się w jeziorze.

Jesteśmy w środku toczącej się bitwy, pomyślał Marcus, a wybór strony, do której należy się przyłączyć, nigdy nie jest prosty. Koniec końców jedynymi sędziami jesteśmy my, za każdym razem decydujemy, czy podążać

za ową iskrą, czy też ją zignorować.

Odnosiło się to do winnych, ale także do ofiar.

Z tego punktu widzenia ostatnie trzy dni były bardzo pouczające. Monica — siostra jednej z dziewczyn zamordowanych przez Jeremiaha Smitha — a także Raffaele Altieri i Pietro Zini znaleźli się na rozdrożu i dokonali wyboru. Znali prawdę, ale mogli wybrać przebaczenie lub zemstę. Monica wybrała to pierwsze, pozostali dwaj — drugie.

Poza tym była jeszcze policjantka próbująca się dowiedzieć, kto zabił jej męża. Czego szukała? Wyzwalającej prawdy czy okazji do wymierzenia kary? Marcus nigdy nie słyszał o Davidzie Leonim, który, według jego żony, miał zostać zamordowany, gdy prowadził śledztwo dotyczące penitencjariuszy. Obiecał, że pomoże jej rozwiązać tę zagadkę. Dlaczego to zrobił? Obawiał się, że także ona wybierze zemstę, choć na razie nie wiedziała, jak jej dokonać. Chciał zyskać na czasie, przeczuwał też, że ta sprawa ma związek z pozostałymi.

Wszystkie osoby powiązane z tymi morderstwami miały poczucie krzywdy, które na zawsze zmieniło ich życie. Zło nie ograniczyło się do zadania im ciosu, ale skaziło ich dusze, niczym rak dawało przerzuty w postaci nienawiści. Osoby, którym nigdy nie przyszło do głowy, że mogłyby pozbawić życia inną ludzką istotę, zamieniały się w siewców śmierci.

Jednak coś w świadomości Marcusa nie pozwalało mu potępiać tych, którzy nie zadowalali się poznaniem prawdy i nie godzili z wyrokami losu, ale woleli wymierzyć karę. Miał z nimi wiele wspólnego.

Spojrzał na ścianę i odczytał dwa ostatnie wpisy dotyczące tego, co wydarzyło się w hotelu w Pradze.

„Stłuczone szkło”. „Trzy strzały”. A potem dopisał: „Mańkut”.

Co by zrobił, gdyby stanął przed zabójcą Devoka, człowiekiem, który

próbując zabić także jego, pozbawił go pamięci? Marcus nie zaliczał siebie do tych sprawiedliwych. Czy można przebaczyć komuś, kto nie zapłacił za własne błędy? Dlatego nie potępiał nikogo, kto próbując ukarać zbrodniarza, popełniał przestępstwo.

Ci ludzie otrzymali olbrzymią władzę, a tym, który im ją dał, był penitencjariusz.

Marcus nie wiedział, co o tym myśleć. Oceniał to jako zdradę, ale poczuł też ogromną ulgę, odkrywając, że nie tylko on ma ten mroczny talent. Mimo iż nie wiedział jeszcze, co popycha tajemniczego penitencjariusza, już samo to, że za każdym wskazanym tropem stoi człowiek namaszczonej przez Boga, dawało mu nadzieję na uwolnienie Lary.

Nie pozwolę jej umrzeć, pomyślał.

Mimo wszystko czuł, że śledztwo wymyka mu się z rąk. Uratowanie studentki uprowadzonej przez Jeremiaha Smitha powinno być najważniejsze, a on prawie o niej zapomniał. Pozwolił nieść się wydarzeniom, ufając, że podpowiedzą mu, jak uwolnić dziewczynę. W jego głowie rozbrzmiewały słowa tajemniczego penitencjariusza zawarte w e-mailu wysłanym do Ziniego:

„A co się stało... znowu się stanie”.

A jeśli wszystko to zostało ukartowane po to, by znalazł się o krok od uratowania Lary, ale nie zdołał tego zrobić? Musiałby żyć z wyrzutami sumienia. Byłyby stanowczo zbyt dużym obciążeniem dla jego powracającej pamięci.

Nie mam wyboru, muszę nadal drążyć tę sprawę, tak aby dotrzeć do jej dna, zanim wszystko się dopełni, powiedział sobie w duchu. Tylko w ten sposób uratuję jej życie. Postanowił zapomnieć o przeczuciach. Istniało bliższe zagrożenie, o którym musiał pomyśleć: c.g. 925-31-073.

Ta sygnatura, zawarta w e-mailu, informowała o innej zbrodni, która pozostała bez kary. Przelano krew i nikt za to nie zapłacił. Ktoś stał przed wyborem: pozostać ofiarą czy też odegrać rolę kata.



Dwa miesiące po rozpoczęciu szkolenia Marcus spytał Clemente o archiwum. Słyszał o nim i był ciekaw, kiedy będzie mógł je zobaczyć. Pewnego dnia późnym wieczorem Clemente stanął w drzwiach poddasza przy via dei Serpenti i oznajmił:

— Nadszedł właściwy moment!

Marcus ruszył z nim ulicami Rzymu, nie zadając pytań.

Część drogi pokonali autem, dalej poszli na piechotę.

Wkrótce dotarli do starego pałacu w centrum. Mieli zejść do podziemi. Zmierzali ozdobionym freskami korytarzem do małych drewnianych drzwi, które Clemente otworzył wyjętym z kieszeni kluczem. Stanąwszy przed tą ostatnią barierą, Marcus poczuł, że nie jest jeszcze gotowy jej przekroczyć. Ponadto zdziwił się, że tak łatwo można się tu dostać. Od chwili, gdy o nim usłyszał, archiwum budziło w nim obawy. Temu miejscu nadawano w ciągu wieków różne nazwy, sugestywne lub niepokojące: Biblioteka Zła, Pamięć Diabła. Marcus wyobrażał sobie, że to labirynt pełen szaf z ustawionymi porządnie woluminami, w którym łatwo się zgubić albo stracić rozum z powodu jego zawartości. Jednak gdy Clemente otworzył drzwi, Marcus był zdezorientowany.

Zobaczył pozbawione okien małe pomieszczenie o gołych ścianach. Na środku stały krzesło i stół, a na stole leżała teczka z dokumentami.

Clemente zachęcił go, żeby usiadł i je przejrzał. Była to spowiedź człowieka, który zabił jedenaście osób. Wszystkie ofiary były dziećmi.

Pierwsze morderstwo popełnił w dwudziestym roku życia i od tamtego czasu nie mógł powstrzymać się od następnych. Nie potrafił wyjaśnić, jaka mroczna siła kierowała jego rękami, gdy zadawały śmierć. Czuł niewytłumaczalny przymus powtarzania tych straszliwych czynów.

Marcus pomyślał, że to typowy seryjny morderca, i zapytał Clemente, czy został złapany.

— Tak — odrzekł przyjaciel — tylko że działo się to ponad tysiąc lat temu.

Marcus był przekonany, że seryjni mordercy są wytworem czasów nowożytnych. W ostatnim stuleciu ludzkość poczyniła ogromne postępy na polu etycznym i moralnym. Marcus uważał, że pojawienie się seryjnych morderców to konsekwencja tego rozwoju. Ale czytając tę spowiedź, musiał zmienić zdanie.

Od tamtego dnia Clemente codziennie prowadził go wieczorami do małego pokoiku i przedstawiał nowe przypadki. Marcus zaczął zadawać sobie pytanie, dlaczego przyjaciel każe mu odwiedzać właśnie to miejsce. Czy nie mógłby przynosić mu tych akt na poddasze? Odpowiedź okazała się prosta: izolacja była potrzebna, by Marcus sam zrozumiał coś bardzo ważnego.

— Archiwum to ja — rzekł pewnego wieczoru.

I Clemente potwierdził, że oprócz sekretnego miejsca, w którym przechowywano materialne dowody zła, archiwum stanowią sami penitencjariusze. Każdy z nich zna inną jego część i niesie to doświadczenie w świat.

Jednak po śmierci Devoka, aż do wizyty w mieszkaniu Ziniego poprzedniego wieczoru, Marcus był przekonany, że jest sam.

Ta myśl nie dawała mu spokoju, gdy szedł uliczkami żydowskiego getta,



kierując się do Portyku Oktawii na tyłach wielkiej synagogi. W starożytnym Rzymie mieściła się tu świątynia Junony, a potem Jowisza Statora. Nad ruinami wzniesiono nowoczesny pomost ze stali i drewna, z którego roztaczał się widok na Circus Flaminius.

Clemente trzymał się obiema rękami balustrady. Wiedział już wszystko.

— Jak on się nazywa? — spytał Marcus.

— Nie wiemy — odrzekł jego przyjaciel, nie odwracając się.

Marcusa nie zadowoliła ta odpowiedź.

— Jak to możliwe, że nie znacie tożsamości jednego z penitencjariuszy?

— Nie okłamałem cię, mówiąc, że tylko ojciec Devok znał imiona i twarze was wszystkich.

— Więc na czym polegało kłamstwo? — Marcus ponaglił go, domyślając się, że Clemente poczuwa się do winy.

— To się zaczęło znacznie wcześniej, nim wypłynęła sprawa Jeremiaha Smitha.

— A więc wiedzieliście, że ktoś narusza tajność archiwum. — Powinien był dojść do tego sam.

— *A to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie*<sup>4</sup>. Chciałbyś wiedzieć, co to oznacza? Zajrzyj do Koheleta, rozdział pierwszy, werset dziewiąty.

— Od kiedy dochodzi do tych przecieków?

— Od miesięcy. Było zbyt wiele ofiar śmiertelnych, Marcusie, a to nie służy interesom Kościoła.

Słowa Clemente zaniepokoiły go. Wyobrażał sobie, że najważniejsze jest uratowanie Lary. Teraz jednak musiał zadowolić się czymś innym.

— A więc chodzi wam tylko o to, żeby zlikwidować przecieki z archiwum i nie dopuścić, by świat się dowiedział, że to samowolne wymierzanie sprawiedliwości zostało wywołane przez nas? W takim razie

jaką rolę odgrywa w tym Lara? Czyżby była tylko „wypadkiem przy pracy”? A jej śmierć uznacie za nieuchronny skutek uboczny? — W jego głosie pobrzmiwała wściekłość.

— Zostałeś wezwany, żeby uratować tę dziewczynę — przypomniał Clemente.

— To nieprawda.

— To, co robili penitencjariusze, było sprzeczne z postanowieniami Kościoła. Wasz zakon rozwiązano, ale niektórzy z was nadal chcieli działać.

— Devok.

— Utrzymawał, że zaprzestanie działalności byłoby błędem, że penitencjariusze mają do odegrania ważną rolę i że świat powinien się dowiedzieć o całym złu zamkniętym w archiwum. Był przekonany, że jego misja jest bardzo ważna, a ty i inni kapłani poszliście za nim, żeby uczestniczyć w tym szaleństwie.

— Po co przyjechał do Pragi? Żeby mnie odszukać? A co ja tam robiłem?

— Nie wiem, przysięgam.

Marcus spojrzał na pozostałości po cesarskim Rzymie. Zaczynał rozumieć, jaką rolę ma odegrać.

— Za każdym razem, gdy któryś z penitencjariuszy ujawnia jeden z sekretów, zostawia ślady dla swoich towarzyszy. Chce, żeby go powstrzymano. Przeszkoliliście mnie tylko po to, żebym go odnalazł. Zostałem waszym sługą. Zniknięcie Lary posłużyło wam za pretekst. Chcieliście wciągnąć mnie do sprawy tak, żebym niczego nie podejrzewał. Ale tak naprawdę nie zależy wam ani na niej, ani na mnie.

— Ależ zależy! Jak możesz mówić coś takiego?!

Marcus podszedł do Clemente i spojrzał mu w oczy.

— Gdyby archiwum nie było zagrożone, zostawilibyście mnie na

szpitalnym łóżku pozbawionego pamięci.

— Nie. Zamierzaliśmy dać ci wspomnienia, żebyś mógł kontynuować. Przyjechałem do Pragi, ponieważ Devok zginął. Dowiedziałem się, że kiedy do niego strzelano, ktoś z nim był. Nie miałem pojęcia, kto to taki, wiedziałem tylko, że jest w szpitalu i nic nie pamięta.

Na początku Marcus kazał powtarzać sobie tę historię, żeby dowiedzieć się, kim jest. Przeszukując jego rzeczy w pokoju hotelowym, Clemente znalazł watykański paszport dyplomatyczny wystawiony na fałszywe nazwisko oraz notatki, rodzaj dziennika, w którym Marcus pisał o sobie, obawiając się być może, że gdyby umarł, pozostałby bezimiennym trupem. Przeglądając ten dziennik, Clemente domyślił się, kim jest Marcus. Ale otrzymał potwierdzenie dopiero wtedy, gdy po wypisaniu ze szpitala zaprowadził go na miejsce zbrodni, do której doszło niedawno. I tym razem Marcus potrafił dość dokładnie opisać, co się wydarzyło.

— Powiedziałem o odkryciu moim przełożonym — ciągnął Clemente. — Chcieli zrezygnować. Nalegałem, utrzymując, że to właściwa osoba, i przekonałem ich. Nigdy nie byłeś wykorzystywany, jeżeli to cię martwi. Stanowiłeś dla nas pewną możliwość.

— A gdybym odnalazł penitencjariusza, który zdradził, to co mnie czeka?

— Będziesz wolny, nie rozumiesz tego? Wcale nie dlatego, że zadecyduje o tym ktoś inny. Jeśli chcesz, możesz odejść teraz, to zależy od ciebie. Nie masz żadnych zobowiązań. Wiem jednak, że w głębi serca czujesz potrzebę odkrycia, kim naprawdę jesteś. A to, co teraz robisz, mimo iż nawet się tego nie domyślasz, pomoże ci to zrozumieć.

— A gdy już będzie po wszystkim, penitencjariusze przejdą do historii. Tym razem dopilnujecie, żeby stało się tak na zawsze.

— Jeśli zakon został rozwiązany, to istniał po temu jakiś powód.

— Jaki? — spytał wyzywająco Marcus. — No, śmiało, podaj mi go.

— Są sprawy, których ani ja, ani ty nie zdołamy pojąć. Postanowienia, które przychodzą z góry i odpowiadają konkretnym potrzebom. Jako ludzie Kościoła mamy obowiązek służyć mu bez zadawania pytań, pamiętając, że nad nami jest ktoś, kto dokonuje wyborów również dla naszego dobra.

Wśród antycznych kolumn krążyły stada ptaków, zataczając harmonijne koła i śpiewając w ostrym powietrzu poranka. Dzień był słoneczny, ale w duszy Marcusa panował mrok. Mimo iż prowadził walkę, nie sprawiała mu przykrości myśl, że może żyć inaczej. Odkąd odkrył swój talent, poczuł się w pewien sposób zobowiązany, jakby mógł znaleźć w sobie wytłumaczenie całego tego zła. Ale Clemente otwierał mu teraz drogę wyjścia. Miał jednak rację, mówiąc, że to, co Marcus robi, służy również jemu samemu. Gdyby odnalazł Larę i powstrzymał tajemniczego penitencjariusza, zasłużyłby na to, żeby odejść. W tym momencie byłoby to do przyjęcia.

— Co mam robić? — spytał Marcus.

— Dowiedz się, czy dziewczyna żyje, i ją uratuj.

Marcus dobrze wiedział, że jedynym sposobem, by to zrobić, jest podążanie śladami penitencjariusza.

— Udało mu się wyjaśnić sprawy, które w archiwum zostały zaklasyfikowane jako nierozwiązane. Spryciarz.

— Ty też jesteś bystry. W przeciwnym razie nie odkryłbyś tych samych rzeczy. Jesteś taki sam jak on — odrzekł Clemente.

Marcus nie potrafił powiedzieć, czy to porównanie go pocieszyło, czy przerażyło. Musiał jednak kontynuować, do samego końca.

— Tym razem chodzi o sygnaturę c.g. dziewięćset dwadzieścia pięć-trzydzieści jeden-zero siedemdziesiąt trzy — przypomniał.

— To ci się nie spodoba — uprzedził go Clemente, po czym wyjął z

wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę. — Ktoś nie żyje, ale nie wiemy, kto to jest. Zabójca przyznał się do popełnienia zbrodni, ale nie znamy jego nazwiska.

Marcus wziął kopertę i zdziwił się, że jest taka lekka i cienka. Otworzył ją i zobaczył, że w środku znajduje się tylko jedna kartka zapisana odręcznym pismem.

— Co to takiego?

— Wyznanie grzechów pewnego samobójcy.

## Godzina 7.40

Obudziła się, czując pieszczotliwe dotknięcie na policzku. Otworzyła oczy, spodziewając się, że zobaczy koło siebie Shalbera. Ale była sama. A przecież wrażenie było bardzo wyraźne.

Towarzysz tej dziwnej nocy już wstał. Słyszała szum wody w łazience. Tak jest lepiej, pomyślała Sandra. Nie była pewna, czy chce go zobaczyć. Jeszcze nie. Potrzebowała trochę czasu dla siebie. Ponieważ teraz, w dzień, zupełnie inaczej oceniała to, co wydarzyło się w nocy. Niewrażliwe na jej zawstydzenie i zakłopotanie słońce wdzierало się przez żaluzje, oświetlając rozrzuconą bieliznę i pogniecioną kapę leżącą w nogach łóżka. Oświetlało też jej nagie ciało.

— Jestem naga — mruknęła pod nosem, jakby chciała się upewnić, że tak rzeczywiście jest.

Z początku obwiniła o to wino. Ale potem uświadomiła sobie, że się oszukuje. Kogo chciała nabrać? Kobiety nigdy nie uprawiają seksu przypadkiem, powiedziała sobie. Tak robią mężczyźni. Gdy trafi im się okazja, chętnie ją wykorzystują. Kobiety muszą się do tego przygotować, chcą ładnie wyglądać i pachnieć. Bo nawet jeśli wydaje się, że pragną przeżyć przygodę jednej nocy, tak naprawdę już tę noc zaplanowały. I choć w ciągu ostatnich miesięcy nie sądziła, że przydarzy jej się coś takiego, nie poddała się, nadal dbała o siebie, jakaś jej część nie pozwoliła, żeby zatriumfowało cierpienie. Poza tym była jeszcze matka. Przed pogrzebem Davida wysłała ją do pokoju, żeby się uczesała. „Kobieta zawsze znajdzie

dwie minuty, żeby się uczesać”, powiedziała. „Także wtedy, gdy przeżywa ból i z trudem oddycha”, dodała. Nie miało to nic wspólnego z urodą czy wyglądem, chodziło o kwestię tożsamości, poświęcenie sobie uwagi, co mężczyźni uznaliby pewnie za przesadę.

Sandra była zawstydzona. Czy Shalber pomyślał, że oddała mu się zbyt łatwo? Bała się, że mógł ją tak ocenić. David zmarł niedawno, a wdowa po nim ochoczo poszła do łóżka z innym.

Nagle uświadomiła sobie, że szuka powodu, żeby poczuć niechęć do Shalbera, który przecież tej nocy był taki czuły. Pamiętała, że przytulał ją bez słowa i co jakiś czas całował w czubek głowy. O tym, że się nad nią pochyła, mówił jej jego ciepły oddech.

Od pierwszej chwili czuła do niego pociąg. Być może dlatego, że ją denerwował. Rozpoznała ten oklepany schemat: najpierw mężczyzna i kobieta się nienawidzą, potem nieuchronnie w sobie zakochują. Czuła się jak naiwna piętnastolatka. Brakowało tylko tego, żeby zaczęła porównywać kochanka z Davidem. Z trudem uwolniła się od tej myśli, po czym zmusiła się do opuszczenia łóżka. Sięgnęła po majtki i włożyła je szybko na wypadek, gdyby Shalber wyszedł z łazienki i zaskoczył ją zupełnie bezbronną.

Siedziała na łóżku, czekając, aż łazienka się zwolni i będzie mogła zaszyć się w niej pod strumieniem ciepłej wody. Miała ochotę się rozpłakać, lecz jednocześnie czuła radość.

Kochała jeszcze Davida.

„Jeszcze” — w tym słowie krył się upływ czasu. Wcisnęło się do tego zdania, a Sandra nawet tego nie zauważyła. Uprzedzało, co się wydarzy. Wszystko się zmienia i prędzej czy później zmieni się też jej miłość. Co będzie czuła do Davida za dwadzieścia albo trzydzieści lat? Ma dwadzieścia

dziewięć lat i musi żyć, mimo iż będzie to życie bez niego. Gdy spojrzy w przeszłość, sylwetka jej męża będzie coraz bardziej niewyraźna, aż pewnego dnia zniknie. Byli ze sobą długo, ale nie tak długo, by ten czas mógł wytrzymać porównanie z przyszłością, jaką miała przed sobą.

Sandra bała się, że go zapomni. Dlatego rozpaczliwie chwyciła się wspomnień.

Jak w tej chwili, gdy przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze obok szafy. Nie widziała już wdowy, ale młodą kobietę ciągle zdolną obdarować uczuciem mężczyznę. Przypomniała sobie, jak kochała się z Davidem.

Pierwszy raz — co było do przewidzenia — okazał się najmniej romantyczny. Zrobili to na trzeciej randce w samochodzie, gdy wracali do domu, gdzie czekało na nich wygodne łóżko i intymność. Oni jednak zatrzymali się na poboczu drogi i dosłownie rzucili się na siebie na tylnym siedzeniu. Gorączkowo ściągali ubrania, nie mogąc się powstrzymać. Przeczuwali niemal, że zbyt prędko rozłączy ich zły los.

Drugi raz był mniej naturalny. Ostatni prawie się nie liczył. Sandra zachowała tylko niewyraźne wspomnienie, lecz zamiast się smucić, uśmiechała się do siebie. Za każdym razem, gdy umiera droga osoba, dla tych, którzy zostają, wspomnienia są bolesne. Żałują, że nie powiedzieli lub nie zrobili tego czy tamtego. Ale między nią i Davidem nie było niedokończonych spraw czy niedomówień. On wiedział, jak bardzo ją kocha, i na odwrót. Sandra nie miała do Davida o nic pretensji, pozostało jednak poczucie winy. Kochali się kilka miesięcy przed jego zamordowaniem. Pod wieloma względami ta noc nie różniła się od innych. Mieli swoje rytuały: on zalecał się do niej przez cały wieczór, a ona pozwalała mu zbliżyć się stopniowo, aż do ostatniej chwili odmawiając nagrody. Chodziło im nie tylko o zabawę, w ten sposób odnawiali przyrzeczenie, że nigdy się nie rozstaną.



Tamtego dnia coś się jednak wydarzyło. David wrócił z podróży służbowej trwającej około dwóch miesięcy. Nie podejrzewał, co się stało podczas jego nieobecności, a Sandra niczego nie zdradziła. Zachowywała się tak, jakby nigdy nic.

Z nikim o tym nie rozmawiała, nawet sobie zabroniła myśleć o tej sprawie. Była pewna, że gdyby David się dowiedział, rzuciłby ją.

— Grzech — powiedziała do swojego odbicia w lustrze.

Kto wie czy penitencjariusz udzieliłby jej rozgrzeszenia.

Spojrzała na zamknięte drzwi łazienki. Co teraz będzie? Kochała się z Shalberem czy tylko pozwoliła mu się przelecieć? Jakie teraz będą ich stosunki? Nie wzięła tego pod uwagę i wydawało jej się, że jest za późno, żeby coś wymyślić. Prawda była taka, że nie chciała, żeby to się skończyło. Nagle poczuła się zakłopotana. Gdyby okazał jej chłód, nie powinien zobaczyć rozczarowania na jej twarzy. Spojrzała na zegarek. Nie spała od dwudziestu minut, a Shalber nie wyszedł jeszcze z łazienki. Wciąż słyszała szum wody, ale dopiero teraz zauważyła, że jest zbyt jednostajny, jakby woda nie napotykała żadnej przeszkody.

Popędziła do łazienki. Otworzyła drzwi i przecucie, które dopadło ją przed chwilą, okazało się faktem. W kabinie prysznicowej nie zobaczyła żadnego cienia. Odsunęła szklane drzwi i stwierdziła, że jest pusta.

Był tylko jeden powód, dla którego Shalber mógł wymyślić tę sztuczkę. Sandra podeszła do sedesu, uniosła pokrywę spłuczki i zobaczyła, że torebka, którą w niej ukryła, nadal tam jest. Sięgnęła po nią, żeby sprawdzić zawartość, ale w środku zamiast wskazówek Davida znajdował się bilet kolejowy do Mediolanu.

Usiadła na posadzce i objęła rękami głowę. Dopiero teraz poczuła, że naprawdę chce jej się płakać. I krzyczeć. To przyniosłoby jej ulgę, ale się

powstrzymała. Nie wróciła myślami do nocy z Shalberem, żeby zadać sobie pytanie, czy jego namiętność była częścią planu. Przypomniała sobie natomiast wieczór, gdy kochała się z Davidem, coś przed nim ukrywając. Dopadły ją wyrzuty sumienia.

Tak, jestem grzesznicą, pomyślała, a śmierć Davida była karą za ten grzech.

Zadzwoniła na komórkę Shalbera, ale nagrany głos informował, że abonent jest poza zasięgiem. Nie zamierzała się nad sobą użalać. Musiała działać.

Zawarła pakt z księdzem ze szramą na skroni. Ale teraz, gdy Shalber ma jego zdjęcie, szybko dowie się, kim on jest. Jeśli go aresztuje, to będzie koniec. Trop prowadzący do mordercy jej męża urwał się nagle na ciemnym zdjęciu, więc penitencjariusz był jej ostatnią nadzieją.

Powinna ostrzec go wcześniej.

Nie miała pojęcia, gdzie go szukać. Nie mogła też czekać, aż mężczyzna ze szramą sam się odezwie, tak jak obiecał. Musiała coś wymyślić.

Zaczęła chodzić po mieszkaniu, starając się przeanalizować ostatnie wydarzenia. Złość jej w tym nie pomagała, toteż starała się uspokoić. Nie wiedziała, co myśleć o agencji Interpolu, ale wiedziała, że powinna wrócić do sprawy Figara.

Poprzedniego wieczoru, w Muzeum Dusz Czyścicowych, powiedziała księdzu, jakie jest jej zdaniem wyjaśnienie zagadki. Wysłuchał wszystkiego, a potem odszedł, mówiąc, że musi się pośpieszyć.

Chciała się dowiedzieć, czy coś się zmieniło, więc włączyła telewizor stojący na szafce w kuchni. Przez chwilę skakała po kanałach, aż znalazła skrócone wydanie dziennika. Spiker mówił, że w parku Villa Glori znaleziono ciało młodej kobiety. Potem przeszedł do innego wydarzenia z

kroniki kryminalnej i wymienił nazwiska Federica Noniego i Pietra Ziniego. Zabójstwo i samobójstwo w dzielnicy Trastevere było ostatnią wiadomością.

Sandra nie wierzyła własnym uszom. Jaką rolę odegrała w tym dramatycznym epilogu? Czy przyczyniła się choć w minimalnym stopniu do tych zgonów? Doszła do wniosku, że nie. Gdy rozgrywał się ten dramat, ona rozmawiała z penitencjariuszem. On też nie mógł znajdować się w domu Ziniego.

Wyglądało na to, że sprawa Figara jest zamknięta, więc nie będzie mogła użyć jej jako pretekstu, szukając kontaktu z penitencjarią.

Sandra nie wiedziała, od czego zacząć.

Chwileczkę! Skąd Shalber się dowiedział, że zajmują się sprawą Figara? Przypomniała sobie, co agent Interpolu mówił na ten temat: dowiedział się o tym, co robią penitencjariusze, umieszczając pluskwy w willi pod Rzymem, w której policja dokonała przeszukania.

Jakiej willi? Dlaczego się tam znaleźli?

Poszła po torebkę, żeby wyjąć z niej komórkę, i wybrała numer De Michelisa.

— Co mogę dla ciebie zrobić, Vega?

— Inspektorze, znowu potrzebuję twojej pomocy.

— Jestem do dyspozycji. — Był w dobrym nastroju.

— Masz może informacje o tym, że nasi ludzie przeszukiwali w ostatnich dniach jakąś willę w Rzymie? Musi to być miejsce związane z dużą aferą. — Sandra domyśliła się tego, bo Shalber poszedł tam na pewniaka, żeby umieścić pluskwy.

— Czyżbyś nie czytała gazet?

— Co powinnam wiedzieć?

— Złapaliśmy seryjnego mordercę. Ludzie uwielbiają takie historie.

Wiadomość musiała znaleźć się w dzienniku, który oglądała, ale widocznie jej umknęła.

— Powiedz, o co chodzi — poprosiła.

— Nie mam zbyt dużo czasu. — W tle słychać było głosy, więc De Michelis przeszedł w inne miejsce, żeby mieć trochę spokoju. — To Jeremiah Smith, cztery ofiary w ciągu sześciu lat. Trzy dni temu wieczorem miał zawał. Udzielono mu pomocy i przy tej okazji wyszło na jaw, że to prawdziwa bestia. Leży w szpitalu, ale jest jedną nogą w zaświatach. Sprawa zamknięta.

Sandra się zamyśliła.

— Dobrze. Musisz wyświadczyć mi przysługę — powiedziała po chwili.

— Jeszcze jedną?

— Tym razem dużą.

— Strzelaj...

— Polecenie służbowe podjęcia czynności w tej sprawie.

— Chyba żartujesz!

— Wolisz, żebym to zrobiła bez pozwolenia? Wiesz, że jestem do tego zdolna.

De Michelis milczał, jakby się zastanawiał.

— Któregoś dnia wszystko mi wyjaśnisz, zgoda? Bo inaczej będę się czuł jak kretyn, że ci zaufałem.

— Możesz na mnie liczyć.

— Dobrze, za godzinę wysyłam ci faksem do komendy w Rzymie polecenie służbowe. Będę musiał wymyślić wiarygodne uzasadnienie, ale nie brakuje mi fantazji.

— Jak mam ci dziękować?

De Michelis się roześmiał.

— Nie musisz.

Sandra się rozłączyła. Poczowała, że znowu jest w grze. Chciała zapomnieć o tym, co zrobił Shalber, i zadowoliła się wyładowaniem złości na bilecie kolejowym, który zostawił w torebce — podarła go na małe kawałeczki i rozrzuciła po podłodze. Wątpiła, czy Shalber tu wróci i odbierze tę wiadomość. Była przekonana, że już się nie zobaczą, i to ją zasmuciło. Przyrzekła sobie, że zapomni o tym, co się wydarzyło. Musi pojechać do komendy, żeby odebrać polecenie służbowe. Potem poprosi o kopię akt Jeremiaha Smitha. Miała przeczucie, że jeśli sprawa interesuje penitencjariuszy, to wcale nie jest zamknięta.

## *Godzina 8.01*

Marcus siedział przy jednym z długich stołów w stołówce Caritasu. Na ścianach wisiały krucyfiksy i plakaty ze Słowem Bożym, unosił się zapach rosołu i smażonej cebuli. O tej ранней godzinie bezdomnych już nie było. Na śniadanie przychodzili od piątej, koło siódmej byli znowu na ulicy, chyba że padało albo było zimno, wtedy niektórzy zostawali trochę dłużej. Marcus wiedział, że wielu z nich — ale z pewnością nie większość — nie cierpiało przebywania w zamkniętym pomieszczeniu i odrzucało propozycję zostania w jakiejś wspólnocie czy noclegowni choćby na jedną noc. Dotyczyło to tych, którzy spędzili dłuższy czas w więzieniu lub w zakładzie dla psychicznie chorych. Utrata wolności sprawiała, że nie wiedzieli, skąd przyszedli i gdzie jest ich dom.

Ksiądz Michele Fuente przyjmował ich z uśmiechem, rozdzielając gorące posiłki i życzliwość. Marcus przyglądał mu się, jak wydawał dyspozycje swoim pomocnikom, żeby wszystko było gotowe na przyjęcie biedaków, którzy wrócą za kilka godzin. W porównaniu z tym księdzem czuł się „niepełnym kapłanem”. Wiele rzeczy znikło nie tylko z jego pamięci, ale także z serca.

Ksiądz Michele podszedł i usiadł naprzeciwko niego.

— Ojciec Clemente uprzedził mnie o wizycie księdza, ale powiedział, że nie powinienem pytać o nazwisko.

— Jeśli nie sprawia to księdzu przykrości.

— Nie, nie sprawia. — Ksiądz Michele był tęgi, miał pełne i zawsze

zaróżowione policzki, a na jego sutannie widać było tłuste plamy. Był po pięćdziesiątce, miał drobne dłonie i potargane włosy. Nosił okulary w okrągłych czarnych oprawkach, na nadgarstku miał plastikowy zegarek, na który stale spoglądał, a na nogach zniszczone adidas.

— Trzy lata temu ksiądz wysłuchał spowiedzi... — zaczął Marcus.

— No tak, tak, ale od tamtego czasu wysłuchałem też wielu innych.

— Jednak tę spowiedź powinien ksiądz pamiętać. Nie co dzień rozmawia się z przyszłym samobójcą.

Ksiądz Michele nie wyglądał na zaskoczonego, ale z jego twarzy zniknął uśmiech.

— Zgodnie z procedurą spisałem słowa tego pokutnika i przekazałem je do penitencjarii. Nie mogłem udzielić mu rozgrzeszenia, bo grzech, który mi wyznał, był bardzo ciężki.

— Czytałem to sprawozdanie, ale chciałbym usłyszeć je z ust księdza.

— Dlaczego? — Widać było, że ksiądz nie chce wracać do tej sprawy.

— Ciekawi mnie, jakie było pierwsze wrażenie księdza. Chciałbym poznać szczegóły tej rozmowy.

— Była dwudziesta trzecia, mieliśmy zamykać. Pamiętam, że wcześniej zauważyłem tego człowieka, jak stał po drugiej stronie ulicy. Tkwił tam przez cały wieczór i domyśliłem się, że zbiera się na odwagę, żeby wejść do środka. Gdy z jadalni wyszedł ostatni gość, podszedł do mnie i poprosił, żebym go wypowiedział. Nigdy przedtem go nie widziałem. Miał na sobie ciepły płaszcz i kapelusz, ale nie zdjął ich, jak ktoś, komu się spieszy. Nasza rozmowa była krótka. Nie szukał pocieszenia ani zrozumienia, chciał tylko zrzucić ciężar.

— Co dokładnie powiedział?

Ksiądz podrapał się po nieogolonej brodzie.

— Zrozumiałem, że zdecydował się na jakiś ostateczny krok. Był wzburzony. Wiedział, że nie udzielę mu rozgrzeszenia, ale nie po to przyszedł. — Ksiądz zamilkł na chwilę. — Nie chciał przebaczenia za to, że zamierza pozbawić się życia, ale za to, że zabił kogoś innego.

Ksiądz Michele Fuente pracował na ulicy i widział dużo strasznych rzeczy, ale Marcusa nie dziwiło jego zakłopotanie — przecież wysłuchał kogoś, kto popełnił grzech śmiertelny.

— Kogo zabił i dlaczego?

Ksiądz zdjął okulary i zaczął przecierać je rękawem sutanny.

— Nie wyznał mi tego. Powiedział, że lepiej będzie, jeśli się nie dowiem, bo w przeciwnym razie znalazłbym się w niebezpieczeństwie. Chciał tylko otrzymać rozgrzeszenie. Gdy wyjaśniłem mu, że z powodu ciężkiego charakteru jego grzechu ja, jako zwykły ksiądz, nie mogę mu go udzielić, bardzo się zmartwił. Podziękował i odszedł, nie mówiąc nic więcej.

Marcus musiał się zadowolić tą krótką relacją. W archiwum penitencjarii dokumenty dotyczące zabójstw trzymane w osobnej szafie. Gdy był tam po raz pierwszy, Clemente udzielił mu tylko jednej rady: „Nie zapominaj, że to, co przeczytasz, nie jest protokołem policyjnym. Dla policjantów obiektywizm jest czymś w rodzaju tarczy, natomiast my mamy do czynienia z subiektywną relacją, ponieważ tym, który o tym opowiada, jest morderca. Czasami będzie ci się wydawało, że jesteś na jego miejscu. Nie pozwól, żeby zło cię zwiodło, pamiętaj, że to rodzaj złudzenia. To mogłoby być niebezpieczne”. Podczas czytania relacji Marcusa uderzyło to, że zawsze było w nich coś, co wydawało się poza kontekstem. Na przykład to, że morderca pamiętał, iż ofiara miała czerwone buty, i ksiądz także to umieszczał w swojej relacji. Nie miało to żadnego znaczenia, ale wyglądało tak, jakby czerwone buty, barwna plama, przerywały na chwilę tok narracji,



pozwalając czytelnikowi zaczerpnąć powietrza. W sprawozdaniu księdza Michele brakowało takich szczegółów. Marcus podejrzewał, że nie wszystko zostało zapisane.

— Ksiądz wie, kim był tamten człowiek, prawda?

Ksiądz wahał się zbyt długo, dając do zrozumienia, że wie.

— Rozpoznałem go kilka dni później na zdjęciach w gazetach.

— Ale kiedy ksiądz oddawał spisaną spowiedź, nie wstawił jego nazwiska.

— Skonsultowałem się z biskupem. Poradził mi, żeby je pominąć.

— Dlaczego?

— Ponieważ wszyscy uważali, że to dobry człowiek. Zbudował wielki szpital w Angoli, afrykańskim kraju, jednym z najbiedniejszych na świecie. Biskup przekonał mnie, że nie trzeba obrzucać błotem wielkiego dobroczyńcy, lepiej stawiać go za przykład. Osądzanie go nie należało do nas.

— Jak on się nazywał? — spytał Marcus.

Ksiądz westchnął.

— Alberto Canestrari.

Marcus był pewny, że ksiądz wie więcej, ale nie chciał naciskać. Przyglądał mu się w milczeniu, czekając, aż sam coś powie.

— Jest jeszcze jedna sprawa — dodał nieco trwożliwym tonem ksiądz Michele. — Gazety napisały, że umarł z przyczyn naturalnych.



Alberto Canestrari był nie tylko światowej sławy chirurgiem i innowatorem. Był przede wszystkim filantropem.

Mówiły o tym nie tylko dyplomy i podziękowania wiszące na ścianach

jego gabinetu przy via Ludovisi, ale także opracione w ramki artykuły prasowe opisujące liczne wynalazki, dzięki którym udoskonalił techniki chirurgiczne, oraz sławiące jego szczodrość, bo działał również w krajach Trzeciego Świata. Jego największym dziełem było zbudowanie szpitala w Angoli. Jeździł tam, żeby operować pacjentów.

Te same dzienniki, które go wychwalały, podały wiadomość o jego niespodziewanej śmierci.

Marcus wślizgnął się do apartamentu, który kiedyś pełnił funkcję ambulatorium, na trzecim piętrze okazałego pałacu stojącego o dwa kroki od via Veneto, i wodził wzrokiem po tych cennych pamiątkach, przyglądając się uśmiechniętej twarzy pięćdziesięcioletniego lekarza widniejącej na zdjęciach. Fotografowano go nie tylko z różnymi osobistościami, ale również z pacjentami — wielu z nich było ludźmi ubogimi — zawdzięczającymi mu wyleczenie, a w niektórych przypadkach życie. Tworzyli jego wielką rodzinę. Chirurg poświęcał cały swój czas pracy zawodowej i nigdy się nie ożenił.

Gdyby Marcus miał osądzać tego człowieka na podstawie niezliczonych przymiotników pojawiających się na dyplomach i w wycinkach prasowych, uznałyby go za dobrego chrześcijanina. Ale mogły to być pozory, a doświadczenie podpowiadało mu ostrożność w ferowaniu wyroków. Przede wszystkim z uwagi na słowa, które chirurg wypowiedział kilka dni przed śmiercią podczas ostatniej spowiedzi.

W oczach świata Alberto Canestrari nie odebrał sobie życia.

Marcusowi trudno było wyobrazić sobie, że po zapowiedzi, iż zamierza ze sobą skończyć, doszło do szybkiego zgonu z przyczyn naturalnych. W tym musi się coś kryć, pomyślał.

Ambulatorium składało się z dużej poczekalni, sekretariatu, w którym rejestrowano pacjentów, oraz pokoju z wielkim mahoniowym biurkiem i

półkami pełnymi książek. Za przesuwanymi drzwiami mieścił się mały gabinet służący do przyjmowania chorych, w którym znajdowały się leżanka, specjalistyczna aparatura i szafka na leki. Marcus zatrzymał się w pokoju Canestrariego. Był to salonik wyposażony w skórzane kanapy i obrotowy fotel, na którym — według relacji mediów — znaleziono martwego lekarza.

Marcus zadał sobie pytanie, po co właściwie tu przyszedł.

Jeśli ten człowiek rzeczywiście kogoś zabił, sprawa jest zamknięta. Morderca nie żyje i tajemniczy penitencjariusz tym razem nie mógłby sprowokować nikogo, by się zemścił. Ale jeśli doprowadził go aż tutaj, prawda nie może być aż tak banalna.

Trzeba zbadać wszystko po kolei, postanowił Marcus. Najpierw powinien uporządkować fakty, a pierwszą anomalią, którą należy wyjaśnić, jest samobójstwo.

Canestrari nie miał żony ani dzieci, a po jego śmierci rozpoczęły się kłótnie o spadek między bratankami i siostrzeńcami. Z tego powodu ambulatorium, które było przedmiotem sporu prawnego, pozostało w stanie niezmienionym. Okna apartamentu były pozamykane, a na wszystkich przedmiotach osiadła gruba warstwa kurzu. Kurz wirował też niczym błyszcząca mgiełka w wąskich promieniach światła przenikającego między listewkami żaluzji. Mimo iż czas stanął tu w miejscu, wewnątrz nie wyglądało na miejsce zbrodni. Marcus zaczął niemal żałować, że lekarz nie zginął gwałtowną śmiercią. W chaosie, jaki wywołuje zło, łatwiej by mu było dostrzec anomalię, której potrzebował. Tu natomiast, w fałszywym spokoju tego miejsca, znalezienie jej mogło okazać się trudne. Tym razem wyzwanie wymagało wprowadzenia drastycznej zmiany: musiał utożsamić się z Albertem Canestrarim.

Co jest najważniejsze z mojego punktu widzenia? — zadał sobie pytanie.

Interesuje mnie sława, ale nie jest ona aż tak ważna, gdyż, niestety, nie zdobywa się popularności, ratując ludziom życie czy prowadząc działalność dobroczynną. A więc zawód. Mój talent wykorzystywany w pracy jest najważniejszy dla innych, a więc tak naprawdę nie to leży mi na sercu.

Rozwiązanie kwestii przyszło, gdy Marcus przyglądał się ścianie sławiącej dokonania lekarza. Moje nazwisko, ono się liczy. Opinia o mnie jest najcenniejszym dobrem, jakie posiadam.

Ponieważ uważam, że jestem dobrym człowiekiem.

Podszedł do fotela Canestrariego i usiadł na nim. Oparł brodę na złączonych dłoniach, zadając sobie podstawowe pytanie: w jaki sposób odbiorę sobie życie, aby wszyscy byli przekonani, że umarłem z przyczyn naturalnych?

Canestrari najbardziej obawiał się skandalu. Nie zniósłby tego, że pozostawi po sobie złe wspomnienia. Dlatego musiał wymyślić jakiś wiarygodny sposób. Marcus był przekonany, że odpowiedź jest bardzo blisko.

— Na wyciągnięcie ręki — powiedział. A potem odwrócił się w fotelu w stronę półek z książkami.

Symulacja naturalnej śmierci nie jest problemem dla kogoś, kto zna tajemnice życia. Marcus był pewny, że istnieje jakiś zaskakująco prosty sposób. Nikt niczego by nie badał, nikt nie zgłębiałby tej sprawy, bo chodziłoby przecież o śmierć człowieka o nieposzlakowanej opinii.

Marcus wstał i zaczął przeglądać tytuły książek stojących na regałach. Dopiero po dłuższej chwili znalazł to, czego szukał. Zdjął tom z półki.

Było to kompendium dotyczące naturalnych i syntetycznych substancji trujących.

Zaczął je kartkować. Znalazł wykazy esencji i toksyn, kwasów

mineralnych i roślinnych, żrących alkaliów. Od arszeniku po antymon, od wilczej jagody po nitrobenzen, fenacetynę i chloroform. Sprawdził dawkowanie, zastosowanie i skutki uboczne. Wreszcie natknął się na coś, co pasowało do jego koncepcji.

Succinylcholine.

Był to środek zwiotczający mięśnie stosowany przez anestezjologów. Canestrari był chirurgiem, musiał go znać. W opisie tej substancji porównano ją do jednego z rodzajów syntetycznej kurary, ponieważ unieruchamiała pacjentów na czas operacji, co zapobiegało wystąpieniu drgawek lub bezwiednych ruchów.

Zapoznając się z właściwościami leku, Marcus doszedł do wniosku, że Canestrariemu wystarczyłby jeden miligram, aby zablokować mięśnie układu oddechowego. Po kilku minutach by się udusił. Być może ten okrutny sposób na przeniesienie się do wieczności był w tych warunkach najmniej pożądany, ale bardzo skuteczny, ponieważ po wstrzyknięciu leku nie można już zmienić decyzji.

Jednak chirurg wybrał ten środek także z innego powodu.

Marcus ze zdumieniem przeczytał, że główna zaleta succinylcholine polega na tym, iż jej obecności w organizmie nie wykaże żadne badanie toksykologiczne, ponieważ składa się ona z kwasu bursztynowego i choliny — substancji stale obecnych w ludzkim ciele. Za powód śmierci uznano by nagłą niedyspozycję. Żaden lekarz sądowy nie szukałby maleńkiego śladu po igle, na przykład między palcami u nóg.

Dobre imię Canestrariego nie zostałoby splamione.

— No właśnie... a strzykawka?

Gdyby ktoś znalazł ją obok ciała, żegnaj, symulacja naturalnej śmierci. Ten szczegół nie pasował do reszty.

Marcus postanowił przemyśleć tę kwestię. Gdy przed przyjściem tutaj czekał, aż Clemente przyniesie mu akta, przeczytał w internecie, że ciało chirurga znalazła następnego ranka pielęgniarka, która przysłała otworzyć ambulatorium. To ona mogła usunąć kłopotliwy dowód.

Za dużo przypadków, powiedział sobie w duchu Marcus. Ta kobieta mogła też tego nie zrobić. A Canestrari musiał mieć pewność, że strzykawka zostanie usunięta.

Marcus rozejrzał się po gabinecie. Ambulatorium było całym światem chirurga. Ale wybrał je nie z tego powodu. Był pewny, że ktoś doprowadzi jego plan do końca. Ktoś zainteresowany tym, aby strzykawka zniknęła.

Chirurg zrobił to tutaj, ponieważ wiedział, że jest obserwowany.

Marcus zerwał się na równe nogi, żeby czegoś poszukać. Gdzie mogli to umieścić? Odpowiedź brzmiała: w instalacji elektrycznej.

Podszedł do wyłącznika światła umieszczonego na ścianie i zauważył maleńki otworek w płytce kontaktu. Do zdemontowania go posłużył się przecinakiem do papieru, który leżał na biurku. Odkręcił śrubki, a potem wyrwał kontakt ze ściany.

Wystarczył mu rzut oka, aby dostrzec przewód nadajnika, który splatał się z przewodami elektrycznymi.

Człowiek, który ukrył tu kamerę, był spryciarzem.

Jednak jeśli ktoś obserwował gabinet w okresie, w którym Canestrari popełnił samobójstwo, to dlaczego to urządzenie znajdowało się tu jeszcze po trzech latach? Marcus uświadomił sobie, że grozi mu niebezpieczeństwo. Kamera musiała już zarejestrować jego obecność w ambulatorium.

Pozwolili mi robić, co chcę, żeby się zorientować, kim jestem, pomyślał. A teraz tu idą.

Musiał natychmiast wyjść. Już miał przekroczyć próg, gdy usłyszał

odgłosy dochodzące z korytarza. Wychylił się ostrożnie i zobaczył potężnego mężczyznę w marynarce i krawacie, który z trudem stawiał kroki, żeby nie robić hałasu. Marcus cofnął się, zanim tamten go zauważył. Znalazł się w pułapce.

Rozejrzał się i zobaczył przesuwane drzwi prowadzące do drugiego gabinetu. Mógłby się tam ukryć.

Mężczyzna stanął na progu ambulatorium i zaczął się rozglądać. Jego głowa obracała się powoli na potężnym karku. Małe oczka badały półmrok, niczego nie dostrzegając. Potem zauważyły drzwi prowadzące do sąsiedniego pomieszczenia. Podszedł do nich i wcisnął grube paluchy w szczelinę między skrzydłami. Jednym ruchem otworzył je i wszedł. Ale zanim zdążył stwierdzić, że gabinet jest pusty, drzwi za jego plecami się zatrzasnęły.

Marcus pogratulował sobie, że w ostatniej chwili zmienił zamiar. Ukrył się za biurkiem Canestrarięgo, a potem, gdy tylko mężczyzna wszedł do gabinetu, wyskoczył i zamknął go w środku. Spróbował przekręcić klucz w zamku, ale mu się to nie udało. Przesuwane drzwi zadrżały od ciosów. Marcus zostawił klucz i puścił się biegiem. Przemierzając korytarz, słyszał za sobą kroki olbrzyma, który uwolnił się już i był coraz bliżej. Marcusowi udało się dotrzeć do podestu schodów. Biegł, zatraskując za sobą drzwi, żeby opóźnić pościg. Niewiele na tym zyskał. Już chciał zbiec głównymi schodami, gdy przyszło mu do głowy, że mężczyzna może mieć kolegę pilnującego wejścia na dole. Marcus zauważył wyjście bezpieczeństwa i postanowił z niego skorzystać. Schody były tu węższe, a podesty krótsze, więc żeby zachować przewagę, musiał je przeskakiwać. Jednak potężny mężczyzna był dużo zwinniejszy, niż Marcus przypuszczał, i szybko się zbliżał. Od ulicy dzieliły ich trzy piętra, ale wydawało się, że jest ich dużo więcej. Ocalenie było za ostatnimi drzwiami. Gdy Marcus przez nie wybiegł,

zamiast na ulicy znalazł się na podziemnym parkingu. Był pusty. W głębi zobaczył windę, której drzwi właśnie się otwierały. Z windy wybiegł drugi mężczyzna w marynarce i krawacie — dostrzegł Marcusa i ruszył biegiem w jego kierunku. Mając dwóch prześladowców depczących mu po piętach, Marcus pomyślał, że nie zdoła uciec. Zaczynało brakować mu tchu i bał się, że w każdej chwili może się przewrócić. Wbiegł na rampę wjazdową dla samochodów i ruszył nią pod górę. Z przeciwka jechało kilka aut. Dwa z nich ledwie go wyminęły, kierowcy zaczęli trąbić. Gdy dotarł na górę, dwaj mężczyźni prawie go dopadli, ale nagle się zatrzymali, bo drogę zastąpiła im grupa chińskich turystów.

Marcus wykorzystał to, żeby zniknąć im z oczu. Po chwili, pochylony ze zmęczenia, przyglądał się zza rogu zdezorientowanym prześladowcom, z trudem łapiąc oddech.

Kim są ci dwaj? — zastanawiał się. Kto ich wynajął? Czyżby do śmierci Alberta Canestrariego przyczynił się ktoś inny?



## *Godzina 11.00*

Sandra podeszła do policjantów stojących przed bramą willi Jeremiaha Smitha, pokazała odznakę i pomachała im poleceniem służbowym, które przysłał jej De Michelis. Policjanci sprawdzili dokumenty, wymieniając rozbawione porozumiewawcze spojrzenia. Sandra miała wrażenie, że nagle rodzaj męski znowu zaczął się nią interesować. Wiedziała dlaczego. Noc spędzona z Shalberem sprawiła, że jej smutek zniknął. Zrezygnowana poddała się kontroli, po czym funkcjonariusze przepuścili ją, przepaszając, że sprawdzali ją tak długo.

Ruszyła alejką przez posiadłość Smithów. Ogród był zaniedbany, trawa urosła tak, że przykryła wielkie kamienne żardyniery. Tu i ówdzie widać było posągi nimf i bogiń, niektóre bez rąk. Pozdrowiały ją ułomnymi, a jednak wciąż pełnymi wdzięku gestami. Bluszcz zaatakował fontannę, w zielonkawej kadzi widać było nieruchomą tafłę wody. Do domu wchodziło się po schodach, które zwęzły się ku górze. Zamiast przydawać fasadzie smukłości, podtrzymywały ją niczym piedestał.

Sandra zaczęła po nich wchodzić. Niektóre stopnie były nadkruszone. Gdy weszła do środka, światło dzienne nagle znikło, wchłonięte przez szare ściany długiego korytarza. Odniosła wrażenie, że ta czarna dziura wchłania wszystko. I że to, co wchodzi do środka, nie może już stąd wyjść.

Technicy zdejmowali jeszcze odciski, wyciągali szuflady i wysypywali ich zawartość na podłogę, aby ją przejrzeć. Rozpruwali kanapy, opróżniali poduszki, a jeden z nich osłuchiwał ściany stetoskopem w poszukiwaniu

schowków.

Wysoki i chudy mężczyzna w jaskrawym ubraniu udzielał instrukcji policjantom z psami, kierując ich do ogrodu. Zauważył Sandrę i dał znak, żeby zaczekała. Skinęła głową i zatrzymała się w wejściu. Policjanci z psami opuścili dom, zwierzęta ciągnęły ich w stronę ogrodu. Mężczyzna ruszył w jej kierunku.

— Komisarz Camusso — przedstawił się, wyciągając rękę. Miał na sobie purpurowy garnitur i koszulę w prążki w tym samym kolorze, a do tego żółty krawat. Dandys w każdym calu.

Jego ekscentryczny ubiór nie zrobił wrażenia na Sandrze. Wydawało się jej, że przynosi ulgę oczom i poprawia nastrój w mrocznej scenerii, która ich otaczała.

— Vega.

— Wiem, kim pani jest, uprzedzono mnie. Witam panią.

— Nie chciałabym utrudnić wam pracy.

— Niech się pani nie martwi, już prawie skończyliśmy. Cały ten cyrk zwinie namiot po południu.

— Macie Jeremiaha Smitha i dowody, które łączą go z czterema zabójstwami. Czego jeszcze szukacie?

— Nie wiemy, które z pomieszczeń służyło mu za „plac zabaw”. Dziewczyny nie zostały zamordowane tutaj. Więził je przez miesiąc. Żadnej przemocy seksualnej. Wiązał je, ale na zwłokach nie było śladów torturowania. Po trzydziestu dniach podrzynał im gardła. Kropka. Potrzebował spokojnego kąta, w którym mógł robić, co chciał. Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy coś, co naprowadzi nas na to więzienie, ale się nie udało. A pani czego szuka?

— Mój szef, inspektor De Michelis, chce, żebym sporządziła

szczegółowy raport na temat Smitha. Wie pan, takie sprawy nie zdarzają się często. Dla nas z sekcji naukowej stanowią one doskonałą okazję do zdobywania doświadczenia.

— Rozumiem — mruknął komisarz, choć nie wyglądało na to, że jej uwierzył.

— A co tu robią psy?

— Są tresowane pod kątem odnajdywania zwłok, obejdą jeszcze raz ogród. Zawsze można się natknąć na jeszcze jedno ciało, to się zdarza. Nie mogliśmy zrobić tego wcześniej z powodu deszczów. Ale wątpię, czy uda się coś znaleźć, bo ziemia jest mokra i wydziela za dużo zapachów. Zwierzęta są oszołomione i tracą orientację. — Komisarz dał znak jednemu ze swoich podwładnych, który podszedł i podał mu teczkę z jakimiś papierami. — Proszę, to dla pani. Są tu raporty ekspertów medycznych dotyczące sprawy Jeremiaha Smitha. Znajdzie pani ekspertyzy, profile mordercy i jego czterech ofiar oraz, oczywiście, całą dokumentację fotograficzną. Jeśli chce pani sporządzić kopie dla siebie, musi się pani zwrócić do urzędnika sądowego. Dlatego proszę mi to oddać, gdy pani się z tym zapozna.

— Raczej nie będę miała z tego wielkiego pożytku — odparła Sandra, biorąc dokumenty.

— To chyba wszystko. Może pani chodzić, gdzie pani chce, nie sędzę, żeby potrzebowała pani przewodnika.

— Dziękuję, dam sobie radę.

Komisarz podał jej ochraniacze na buty i lateksowe rękawiczki.

— Dobrze, w takim razie miłej zabawy.

— Tak, chodzenie po tym miejscu wprawia w dobry humor.

— Racja, to równie wesołe, jak zabawa w chowanego na cmentarzu.

Sandra zaczekała, aż Camusso się oddali, po czym wyjęła z torebki

komórkę, by zrobić zdjęcia domu. Otworzyła też teczkę i szybko przeczytała ostatni raport. Opisywał, jak morderca został zidentyfikowany. Trudno jej było uwierzyć, że przebiegło to tak, jak zostało przedstawione.

Skierowała się do pokoju, w którym ekipa karetki pogotowia znalazła umierającego Jeremiaha Smitha.

Technicy już jakiś czas temu zakończyli prace w saloniku. Sandra była sama. Zaczęła się rozglądać, próbując wyobrazić sobie tę scenę. Zjawiają się ratownicy i znajdują mężczyznę leżącego na podłodze. Próbuje go reanimować, ale przypadek jest ciężki. Stabilizują jego stan, żeby zabrać go do szpitala, ale jedna z tych osób — lekarka — zauważa czerwoną łyżworolkę ze złożonymi sprzączkami.

Ma na imię Monica i jest siostrą jednej z ofiar seryjnego mordercy, który od sześciu lat uprowadza i zabija dziewczęta. Te rolki należały do jej siostry bliźniaczki. Drugą łyżworolkę miała na nodze, gdy znaleziono jej zwłoki. Monica domyśla się, że ma przed sobą mordercę. Sanitariusz, który jej towarzyszy, zna tę historię, podobnie jak wszyscy w szpitalu. Sandra wiedziała, jak to jest: koledzy z pracy stają się czymś w rodzaju drugiej rodziny, ponieważ to jedyny sposób, żeby dać sobie radę z cierpieniem i niesprawiedliwością, z jakimi policjanci czy lekarze stykają się każdego dnia.

Dlatego Monica i sanitariusz mogliby zostawić Jeremiaha Smitha, żeby umarł, jak na to zasługiwał. Jego stan jest ciężki, nikt nie mógłby ich oskarżyć o zaniedbanie. Lekarka podejmuje jednak decyzję, by go ratować.

Sandra była pewna, że sprawy tak się właśnie potoczyły. Tego samego zdania byli policjanci znajdujący się w tym momencie w willi, chociaż nikt o tym nie mówił.

Przeznaczenie przeprowadziło w tym domu dziwną grę. Doszło do niezwykłego zbiegu okoliczności. Istniały jednak pewne aspekty sprawy,

które budziły jej wątpliwości.

Tatuaż Jeremiaha Smitha.

Wytatuował sobie na piersi słowa „Zabij mnie”. W aktach, obok zdjęcia tego napisu, znajdowała się ekspertyza kaligraficzna, która stwierdzała, że wykonał go sam. Mimo iż mogła to być oznaka sadomasochistycznej perwersji, uderzające było to, że jego prośba odpowiadała wyborowi, przed jakim stanęła Monica.

Sandra zrobiła w pokoju kilka zdjęć: fotela Jeremiaha Smitha, kawałków kubka po mleku, starego telewizora. Kiedy skończyła, poczuła nagle przypływ klaustrofobii. Chociaż była przyzwyczajona do oglądania miejsc zbrodni, tu śmierć wydała jej się bardziej namacalna i niepasująca do tak pospolitych przedmiotów.

To było nie do zniesienia. Poczuła, że musi jak najszybciej opuścić ten dom.



Są rzeczy, które wiążą umarłych ze światem żywych. Trzeba je odnaleźć i uwolnić od pełnienia tej funkcji.

Wstążka do włosów, bransoletka z koralu, szalik... I łyżworolka.

Sandra przejrzała krótką listę przedmiotów znalezionych przez policję w domu Jeremiaha Smitha, które łączyły go z ofiarami.

Dopiero co spiesznie minęła kolegów i schroniła się na dworze, żeby uniknąć ich spojrzeń.

Usiadła na kamiennej ławce w ogrodzie, żeby odetchnąć. Przyjemnie było grzać się w porannym słońcu, wśród drzew, które kołysały się w nagłych porywach wiatru, i przypominającego śmiech szelestu liści.

Cztery ofiary w ciągu sześciu lat. Łączyło je to, że wszystkie miały

poderżnięte gardła. Tak jakby morderca chciał wydobyć z nich coś w rodzaju uśmiechu.

Siostra Moniki miała na imię Teresa. Dwadzieścia jeden lat, bardzo lubiła jeździć na rolkach. Pewnej niedzieli, takiej samej jak inne, zniknęła. Tak naprawdę jazda na rolkach była wymówką — podobał jej się pewien chłopak i chciała się z nim spotkać. Nie wiadomo, jak długo czekała na niego na torze, bo tamtego dnia się nie pokazał. Być może Jeremiaś Smith podszedł do niej w tym przykrym momencie, gdy siedziała samotnie przy stoliku obok kiosku z napojami. Może zaproponował jej coś do picia. W szklance z oranżadą znaleziono ślady po pigułce gwałtu — cieszącego się złą sławą produktu o nazwie rufis. Miesiąc później Jeremiaś porzucił ciało Teresy na brzegu rzeki. Była ubrana tak samo jak w dniu zniknięcia.

Wszyscy w barze pamiętali wstążkę z niebieskiej satyny, którą Melania — dwadzieścia trzy lata — związywała jasne włosy. Strój kelnerek nie wyróżniał się niczym szczególnym, ale ona chciała dobrze wyglądać. Ożywiała go akcentem mody z lat pięćdziesiątych. Miała dobry gust. Po południu w dniu, w którym została uprowadzona, była w drodze do pracy. Ostatni raz widziano ją, gdy czekała na autobus. Jej ciało pojawiło się po trzydziestu dniach na jednym z parkingów. Ubrane. Ale niebieska wstążka zniknęła.

Siedemnastoletnia Vanessa miała bzika na punkcie tańca. Ćwiczyła codziennie, nie opuszczała treningów, nawet jeśli nie czuła się dobrze. Kiedy zaginęła, była przeziębiona. Matka starała się ją przekonać, żeby tego dnia opuściła lekcję. Widząc, że córka nie ustąpi, dała jej wełniany szalik. Vanessa zrobiła jej przyjemność i założyła go. Tym razem narkotyk rozpuszczony był w napoju izotonicznym.

Cristina nie cierpiała swojej bransoletki z koralu. Ale zwierzyła się z tego

tylko swojej siostrze. I to ona zauważyła jej brak na nadgarstku podczas identyfikacji zwłok w kostnicy. Cristina dostała ją w prezencie od narzeczonego i nosiła, choć nie przypadła jej do gustu. Oboje mieli po dwadzieścia osiem lat i chcieli się pobrać. Cristina zajęta była przygotowaniami do ślubu, miała mało czasu, więc szukała sposobu, by się odprężyć. Pomagał jej w tym alkohol. Zaczynała rano i popijała aż do wieczora, nigdy się nie upijając. Nikt nie zauważył, że zaczyna to stanowić problem. Ale dostrzegł to Jeremiah Smith. Wystarczyło, że wszedł za nią do baru, aby zrozumieć, że z nią pójdzie mu łatwiej niż z innymi.

Cristina była jego ostatnią ofiarą.

Te portrety powstały dzięki zeznaniom krewnych, przyjaciół i partnerów zamordowanych. Każdy z nich dorzucił jakiś szczegół, który łagodził chłód faktów. Aby ukazać te dziewczyny takimi, jakimi były naprawdę.

Osoby, a nie przedmioty, powiedziała sobie Sandra. A przedmioty jak osoby. Ponieważ wstążka do włosów, bransoletka z koralu, szalik i łyżworolka zastąpiły zmarłe w wyobraźni tych, którzy je kochali.

Jednak w tych portretach Sandra zauważyła sprzeczność. Te cztery dziewczyny nie były samotne. Miały rodziny, przyjaciół, zasady. A mimo to pozwoliły, żeby zagadnął je ktoś tak niepozorny, jak Jeremiah Smith. Pięćdziesięciolatek, który z pewnością nie był przystojny, a mimo to zdołał je namówić, żeby się czegoś napiły, porozmawiały z nim. Dlaczego dały się zwieść jego uprzejmości? Działał w świetle dnia i zdobywał ich zaufanie. Jak to robił?

Sandra była przekonana, że w tych przedmiotach nie znajdzie odpowiedzi. Zamknęła teczkę, uniosła głowę i wystawiła twarz na pieszczotę wiatru. Także ona przez jakiś czas identyfikowała Davida z przedmiotem.

Z tym okropnym jaskrawozielonym krawatem.

Uśmiechnęła się na myśl o nim. Był jeszcze brzydszy od tego żółtego, który nosił komisarz Camusso. David nie lubił eleganckich strojów, irytowało go ubieranie się jak bawidamek.

„Powinieneś kupić sobie frak” — docinała mu. „Wszyscy stepujący mężczyźni noszą fraki, Fred”. Dlatego miał tylko jeden krawat. Kiedy pracownicy zakładu pogrzebowego poprosili ją o ubranie, w którym można by go pochować, nie wyobrażała sobie, że w dwudziestym dziewiątym roku życia stanie przed takim problemem. Zaczęła przeglądać jego ubrania. Wybrała bluzę khaki, niebieską koszulę, spodnie, też khaki, i sportowe buty. Takim go wszyscy pamiętali. Ale właśnie podczas tych poszukiwań zauważyła, że jaskrawozielony krawat zniknął. Nie mogła go nigdzie znaleźć, ale nie dawała za wygraną. Przewróciła mieszkanie do góry nogami, znalezienie krawata stało się jej obsesją. Mogło to wyglądać na szaleństwo, ale straciła Davida i nie potrafiła zrezygnować z niczego, co do niego należało. Nawet z tego okropnego jaskrawozielonego krawata.

A potem, pewnego dnia, przypomniała sobie, gdzie się podział. Przyszło jej to do głowy nagle, kiedy wcale o tym nie myślała. Jak mogła zapomnieć?

Ten krawat był jedynym istniejącym dowodem tego, że okłamała męża.

Znajdując się kilka kroków od domu Jeremiaha Smitha, Sandra pomyślała, że nie zasługuje na ciepłe promienie słońca i pieszczotę wiatru. Otworzyła oczy i zobaczyła utkwione w niej spojrzenie kamiennego anioła. Przypominał jej swoim milczeniem, że jest coś, co powinna sobie wybaczyć. I że czas nie zawsze daje nam okazję do naprawienia błędów.

Co by się stało, gdyby mężczyźni, który strzelał do niej w kaplicy Świętego Rajmunda z Peñafort, udało się ją zabić? Umarłaby z nieczystym sumieniem. Jaki przedmiot zostawiłaby rodzinie i przyjaciołom, żeby im ją przypominał? Cokolwiek by to było, ukryłoby prawdę. Czyli to, że nie była



godna miłości Davida, ponieważ go okłamała.

Dziewczyny, które uprowadził Jeremiaś Smith, czuły się bezpieczne. Dokładnie tak samo jak ona przed wejściem do tamtego kościoła. Dlatego nie żyją. Mógł je zabić z powodu ich ufności, która sprawiała, że wierzyły, iż nie może im się przytrafić nic złego.

Za plecami kamiennego anioła Sandra zobaczyła policjantów z psami, którzy zamierzali przeszukać tę część ogrodu. Psy zachowywały się tak, jak przewidział Camusso — były zdezorientowane mnogością zapachów. Komisarz uważał, że to rutynowa czynność wynikająca z troski, żeby niczego nie pominąć. „Zawsze można się natknąć na jeszcze jedno ciało, to się zdarza”, powiedział. Ale ona potrafiła wyczuć, gdy jakiś kolega nie mówił jej prawdy. Tak zachowują się policjanci, gdy boją się, że nie zrobili wszystkiego, co należało zrobić, i teraz próbują to naprawić, zanim zwróci się przeciwko nim.

W tym momencie za jej plecami stanął komisarz Camusso.

— Wszystko w porządku? — zapytał. — Zauważyłem, że opuściła pani w pośpiechu dom i...

— Potrzebowałam trochę powietrza — przerwała mu Sandra.

— Znalazła pani coś ciekawego? Nie chciałbym, żeby stanęła pani przed swoim zwierchnikiem z pustymi rękami.

Było oczywiste, że Camusso tylko stara się być uprzejmy. Ale Sandra chciała wykorzystać okazję.

— Jest jedna rzecz. Trochę dziwna. Może pan pomoże mi ją zrozumieć...

Komisarz spojrział na nią zdumiony.

— Proszę mówić.

Sandra dostrzegła w jego oczach cień niepokoju. Otworzyła teczkę i pokazała mu profile czterech ofiar Jeremiaha Smitha.

— Zauważyłam, że morderca uderzał średnio co osiemnaście miesięcy. Gdy go zdemaskowano, ten czas właśnie upłynął. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie szykował się do następnego ataku. Jak pan z pewnością wie, w przypadku seryjnych morderców odstęp między kolejnymi zbrodniami mają kluczowe znaczenie. Jeśli każdy z tych okresów dzieli się na trzy fazy, czyli pomysł, planowanie i działanie, to powiedziałabym, że gdy Jeremiaś poczuł się źle, znajdował się w samym środku trzeciej fazy.

Komisarz milczał.

— Więc zadaję sobie pytanie — ciągnęła Sandra — czy w jakimś miejscu uwięziona jest kobieta, która czeka, aż ją odnajdziemy. — Powiedziała to tak, żeby rozpogodzić nieco jego chmurną minę.

— To możliwe — bąknął niechętnie komisarz.

Sandra wyczuła, że nie tylko ona o tym pomyślała.

— Czy zaginęła ostatnio jakaś dziewczyna?

Camusso zeszywniał.

— Wie pani, jak to jest z takimi sprawami... Pojawia się ryzyko, że zaczną krążyć poufne informacje, które mogą zaszkodzić śledztwu.

— Czego się pan obawia? Nacisków dziennikarzy? Opinii publicznej? Swoich zwierzchników?

Komisarz zamyślił się. Zdając sobie sprawę, że Sandra nie odpuści, przyznał w końcu:

— Prawie miesiąc temu zaginęła studentka wydziału architektury. Na początku wszystko wskazywało na to, że oddaliła się z własnej woli.

— Mój Boże. — Sandra nie mogła uwierzyć, że tak dobrze się domyśliła.

— Jest tak, jak pani powiedziała, czas się zgadza. Nie ma jednak dowodów, tylko podejrzenia. Ale niech pani wyobrazi sobie zamieszanie, jakie by powstało, gdyby się dowiedziano, że zlekceważyliśmy sprawę,

dopóki nie wyskoczył ten Jeremiah Smith.

Sandra nie zamierzała potępiać swoich kolegów. Czasami policjanci działają pod presją i popełniają pomyłki. Tylko że nie mogą liczyć na wybaczenie. I nic dziwnego. Ludzie oczekują odpowiedzi, solidnej bazy faktów, by można było wymierzyć sprawiedliwość.

— Szukamy jej — dodał prędko Camusso.

Nie tylko wy, pomyślała Sandra. Wreszcie zrozumiała, jaką rolę odgrywają w tej historii penitencjariusze.

Kamienny posąg anioła rzucał cień na komisarza.

— Jak ma na imię ta studentka?

— Lara.

## *Godzina 11.26*

Jezioro Nemi ma zaledwie półtora kilometra kwadratowego, znajduje się wśród wzgórz Albani położonych na południe od Rzymu i wypełnia krater wulkanu. Przez wiele stuleci krążyła legenda, że na dnie leżą szczątki dwóch ogromnych, bogato wyposażonych okrętów zbudowanych na polecenie cesarza Kaliguli, prawdziwych pływających pałaców. Miejscowi rybacy przez długi czas wyciągali z wody te szczątki. Po wielu próbach dopiero w XX wieku, po częściowym osuszeniu jeziora, zdołano podnieść oba okręty i umieścić je w muzeum, w którym jednak spłonęły w czasie drugiej wojny światowej. Winą za to obarczono niemieckich żołnierzy, ale tak naprawdę nie znaleziono na to dowodów.

Informacje te zawarte były w folderze, który Clemente zostawił mu w skrzynce na listy, używanej przez nich do wymieniania między sobą dokumentów. Przyjaciel wsunął do środka także krótkie dossier Alberta Canestrariego. Nie było w nim niczego istotnego oprócz informacji, która skłoniła Marcusa do krótkiego wypadu za miasto. Gdy jechał autobusem brzegiem jeziora, zastanawiał się nad wyjątkowymi związkami tych miejsc z ogniem.

Jakby dla przywołania dalekiego echa tego tragicznego dziedzictwa klinika, którą Canestrari zbudował nad jeziorem Nemi, uległa zniszczeniu w pożarze wywołanym przez podpalacza. Sprawcy nie złapano.

Autobus jechał pod górę, zostawiając za sobą smugę czarnego dymu. Marcus rozpoznał osmalony przez płomienie budynek, który wciąż jeszcze

stanowił godny uwagi element krajobrazu.

Dotarłszy w pobliże położonej nieopodal polany, wysiadł i resztę drogi pokonał na piechotę. Wszedł przez bramę, obok której znajdował się jeszcze szyld z nazwą kliniki, ukryty pod rosnącym bujnie bluszczem. Ruszył aleją między drzewami. Roślinność krzewiła się tu bez przeszkód i wypełniała każde wolne miejsce. Budynek miał dwa piętra oraz podziemia. Kiedyś był pewnie letnią rezydencją, później przebudowaną i unowocześnioną.

Musiało to być małe królestwo Alberta Canestrariiego, pomyślał Marcus, przyglądając się budowli pokrytej warstwą sadzy. Człowiek, który uważał się za dobrego, rozdawał tu życie.

Wszedł do przedsionka, mijając zniszczone stalowe drzwi. Wnętrze wyglądało równie upiornie jak fasada. Otaczające hol nadpalone kolumny były tak cienkie, że trudno było uwierzyć, iż dźwigają ciężar sklepienia. Podłoga w wielu miejscach się wypaczyła, a w szczelinach wyrosło zielsko. W suficie ziała wyrwa, przez którą można było zobaczyć wyższe piętro. Naprzeciwko Marcusa były szerokie schody, które wyżej się rozdzielały.

Obszedł klinikę, zaczynając od drugiego piętra. To miejsce przypominało hotel, jednoosobowe pokoje wyposażone były we wszystkie wygody. To, co zostało z umeblowania, świadczyło o luksusie. Klinika Canestrariiego musiała być bardzo dochodowa. Marcus przeszedł przez trzy sale operacyjne. Tu ogień poczynił największe spustoszenia, stopił wszystko. Na posadzce leżały narzędzia chirurgiczne i inne metalowe przedmioty, które oparły się żywiołowi. Parter był w takim samym stanie jak górne piętra. Płomienie przenosiły się z jednego pomieszczenia do drugiego, pozostawiając smugi na ścianach.

W chwili wybuchu pożaru klinika była pusta. Po śmierci Canestrariiego pacjenci ją opuścili. Tym, co ich tu sprowadzało, były nadzieja i wiara w

niezwykle zdolności chirurga.

Marcus nadał konkretny kształt myśli, która nurtowała go przez ostatnią godzinę. Ktoś chciał spalić klinikę po samobójstwie lekarza, bo być może bał się, że ukryto w niej kompromitujące dowody. Zapewne z tego samego powodu w gabinecie Canestrariego umieszczono kamerę, a dwóch osiłków tak zawzięcie ścigało go tego ranka. Mieli na sobie eleganckie ciemne garnitury, musieli być zawodowcami. Z pewnością ktoś ich wynajął.

Marcus miał nadzieję, że ogień coś oszczędził. Przeczucie mówiło mu, że tak, bo inaczej tajemniczy penitencjariusz przestałby prowadzić śledztwo.

Jeśli on dotarł do prawdy, ja też mogę, pomyślał.

Znalazłszy się w piwnicy, stanął przed pomieszczeniem, do którego, według tabliczki na drzwiach, przynoszono szpitalne odpadki. Domyślał się, że potem były one utylizowane. Wszedł do środka i jego oczom ukazały się szkielety pojemników, stopionych częściowo przez żar. Posadzkę wyłożono małymi niebieskimi płytkami. Prawie wszystkie były popękane lub osmalone.

Z wyjątkiem jednej.

Marcus ukucnął, żeby jej się przyjrzeć. Wydawało się, że ktoś ją wyjął, oczyścił i włożył na miejsce. Zauważył, że nie jest umocowana, i bez kłopotu ją wyjął. Pod nią znajdowało się płytkie zagłębienie, które sięgało pod ścianę. Włożył tam rękę i wydobył metalową kasetkę. Jej dłuższy bok miał około trzydziestu centymetrów.

Nie było kłódki ani zamka. Podniósł pokrywkę. Nie od razu domyślił się, na co patrzy, i dopiero po chwili zrozumiał, że wydłużony białawy przedmiot znajdujący się w środku to kość.

Przyjrzał się jej. Oceniał, że to ludzka kość ramienna. Wydawało mu się, że zawsze to wiedział, chociaż nie rozumiał skąd. Teraz nie chciał się nad

tym zastanawiać, ponieważ znał inną prawdę dotyczącą tej kości.

Sądząc po stopniu jej zwapnienia, ofiara nie osiągnęła jeszcze dojrzałości płciowej.

Czyżby Alberto Canestrari miał na sumieniu dziecko? Marcus poczuł, że ogarnia go przerażenie odbierające mu oddech i powodujące drżenie rąk. Czuł, że bez względu na to, na czym polega próba, jakiej poddaje go Bóg, nie jest jej godzien. Już miał się przeżegnać, gdy coś zauważył.

Napis wycięty w kości ostrym narzędziem. Imię i nazwisko: Astor Goyash.

— Przykro mi, ale muszę to panu zabrać.

Marcus odwrócił się i zobaczył mężczyznę z pistoletem w rękę. Rozpoznał go — był to ten sam osiłek w marynarce i krawacie, który kilka godzin temu próbował dopaść go w ambulatorium Canestrariego. Nie spodziewał się, że znowu go spotka. Byli wiele kilometrów od ludzkich siedzib, więc uznał, że jest bez szans. Był pewny, że tu umrze.

Ale nie chciał umrzeć po raz drugi.

Nagle sytuacja wydała mu się znajoma. Doświadczył już tego strachu, patrząc w lufę pistoletu. Było to w pokoju hotelowym w Pradze, w dniu, w którym został zabity Devok. Nagle Marcus przypomniał sobie częściowo, co się wtedy stało.

On i jego mistrz nie chcieli być tylko widzami. Doszło do ostrej wymiany słów. Był też trzeci mężczyzna, płatny morderca, mańkut. I on mu się przeciwstawił.

Teraz, podając kość osiłkowi, Marcus szybko wstał i rzucił się na niego. Mężczyzna się tego nie spodziewał. Zrobił krok do tyłu, ale potknął się i zwałił na posadzkę, wypuszczając pistolet.

Marcus sięgnął po broń i stanął nad nim. Pulsowało w nim nowe,

nieznane mu wcześniej uczucie. Nie potrafił go opanować. Była to nienawiść. Wycelował w głowę mężczyzny. Nie poznawał samego siebie, chciał tylko jednego — nacisnąć spust. Przed oddaniem strzału powstrzymał go krzyk tamtego:

— Na dole!

Marcus domyślił się, że gdzieś wyżej jest jego współnik, którego widział tego ranka. Spojrzał na schody. Miał tylko kilka sekund. Kość leżała na posadzce obok mężczyzny, ale sięgnięcie po nią było ryzykowne, szczególnie że Marcus już nie znalazł w sobie siły, żeby do niego strzelić. Uciekł.

Ruszył w górę podjazdem, nikogo nie spotykając. Skierował się na tyły budynku. Znalazłszy się na dworze, spojrzął na broń, którą trzymał w ręku. Odrzucił ją.

Mógł uciec jedynie na wzgórze. Zaczął biec, mając nadzieję, że drzewa utrudnią pościg. Słyszał tylko własny oddech. Po dłuższej chwili stwierdził, że nikt go nie goni. Nie miał czasu zastanowić się dlaczego, bo kilka centymetrów od jego głowy w gałąź uderzył pocisk.

Ruszył znowu biegiem, starając się kryć za krzewami. Jego stopy grzęzły w ziemi, bał się, że się ześlizgnie.

Do drogi brakowało jeszcze paru metrów. Zaczął pełznąć na czworakach. Kolejne strzały. Już prawie był na górze. Złapał za korzeń, żeby się podciągnąć, i wy dostał się na wąską asfaltową dróżkę. Położył się na brzuchu, sądząc, że dzięki temu nie będzie widoczny. Zauważył, że z prawego boku leci mu krew, ale pocisk musiał wyjść, bo nie czuł pieczenia. Przemknęło mu przez głowę, że jeśli jak najprędzej nie ucieknie, dopadną go.

Nagle oślepiło go światło. To słońce odbiło się w przedniej szybie auta jadącego w jego stronę. Za kierownicą zobaczył znajomą twarz.

Był to Clemente w swojej starej pandzie.



— Wsiadaj, prędko — rzucił.

Marcus wskoczył do samochodu.

— Co tu robisz?

— Kiedy powiedziałeś mi, że napadnięto cię w gabinecie Canestrarięgo, postanowiłem przyjechać, żeby się upewnić, jak ci poszło — odparł Clemente, wciskając pedał gazu. — Gdy zobaczyłem pod kliniką podejrzany samochód, chciałem dzwonić na policję.

Zauważył, że Marcus krwawi.

— Wszystko w porządku — zapewnił go przyjaciel.

— Na pewno?

— Tak — skłamał Marcus, choć tak naprawdę nie czuł się dobrze. Ale nie z winy pocisku, który tylko go musnął. Po raz drugi stanął oko w oko ze śmiercią i uszedł z życiem. Żałował tylko, że wróciła mu pamięć, ponieważ teraz wiedział o sobie coś, co mu się nie podobało — że i on jest zdolny kogoś zabić. Natychmiast zmienił temat: — Znalazłem w klinice kość ramienną. Przypuszczam, że należała do dziecka.

Clemente nie odpowiedział, ale wydawał się wstrząśnięty.

— Zostawiłem ją tam, bo musiałem uciekać — wyjaśnił Marcus.

— Nie martw się, musiałeś przede wszystkim myśleć o sobie.

— Na tej kości wyryte było imię i nazwisko — dodał Marcus. — Astor Goyash. Musimy się dowiedzieć, kto to był.

Clemente spojrzał na niego uważnie.

— Kto to jest, chciałeś powiedzieć. Nadal żyje i z pewnością nie jest już dzieckiem.

## *Godzina 13.39*

Pierwszą rzeczą, jakiej nauczyła się Sandra, było to, że mieszkania i domy nigdy nie kłamią. Dlatego postanowiła obejrzeć mieszkanie Lary przy via dei Coronari. Miała nadzieję, że uda jej się nawiązać kontakt z penitencjariuszem z blizną na skroni, ponieważ chciała się dowiedzieć, czy dziewczyna naprawdę jest piątą ofiarą Jeremiaha Smitha.

Być może Lara jeszcze żyje, myślała. Ale brakowało jej odwagi, żeby wyobrazić sobie, co przeżywa. Dlatego starała się odnosić do tej sprawy z największym dystansem.

Zamierzała sporządzić dokumentację fotograficzną mieszkania.

Żałowała, że nie ma przy sobie lustrzanki. Także tym razem musiała zadowolić się aparatem w komórce. Ale chodziło jej nie tyle o zdjęcia, ile o inne spojrzenie.

Widzę to, co widzi mój aparat, powiedziała sobie w duchu.

Zamierzała zrobić miejsce w pamięci telefonu, kasując zdjęcia wykonane w kaplicy Świętego Rajmunda z Peñafort. Ich trzymanie było bez sensu, bo kaplica nie miała związku ze sprawą. Ale potem się rozmyśliła — stanowiły one memento z dnia, w którym otarła się o śmierć, cenne doświadczenie mogące ją uchronić przed wpadnięciem w kolejną pułapkę.

Gdy przekroczyła próg mieszkania przy via dei Coronari, powitał ją stęchły zapach niewietrzonych pomieszczeń i wilgoci. Nie potrzebowała kluczy, ponieważ drzwi zostały wyważone przez policję, gdy krewni dziewczyny złożyli zawiadomienie o jej zaginięciu. Funkcjonariusze nie

znaleźli niczego niezwykłego w mieszkaniu uznanym za ostatnie miejsce pobytu Lary, zanim zniknęła. Przynajmniej tak mówili jej koledzy, którzy odprowadzili ją wieczorem, potwierdzały to także billingi — wynikało z nich, że przed dwudziestą trzecią studentka przeprowadziła dwie rozmowy telefoniczne.

Sandra pamiętała ten szczegół — jeśli ją uprowadzono, doszło do tego w nocy. Było to sprzeczne ze zwyczajami Jeremiaha Smitha, który zawsze działał w dzień. Powiedziała sobie, że dla niej zmienił *modus operandi*. Musiał mieć dobry powód, żeby to zrobić.

Postawiła torbę na podłodze, sięgnęła po komórkę i zaczęła robić zdjęcia. Postanowiła działać według podręcznikowych reguł, więc przedstawiła się na głos, jakby miała dyktafon. Następnie wymieniła datę i miejsce, w którym się znajdowała.

— Mieszkanie jest dwupoziomowe — mówiła. — Na dolnym znajduje się salonik z aneksem kuchennym. Umeblowanie jest skromne. Typowe mieszkanie studenta przebywającego poza domem. Z tą różnicą, że to jest bardzo zadbane. — Może nawet za bardzo, pomyślała.

Zrobiła serię zdjęć salonu. Kiedy odwróciła się, żeby sfotografować drzwi wejściowe, uderzył ją pewien szczegół.

— Drzwi mają dwa zabezpieczenia. Jednym z nich jest łańcuch, ale został wyrwany.

Jak jej koledzy mogli tego nie zauważyć? W chwili zaginięcia Lara była w mieszkaniu. To bez sensu.

Chciała jak najprędzej rozwiązać tę zagadkę, ale groziło jej, że się zdekongcentruje.

Zanotowała w myślach tę niezgodność i poszła na piętro.

Drugą rzeczą, której nauczyła się Sandra, było to, że mieszkania

umierają, tak jak ludzie.

Ale Lara nie umarła, powiedziała sobie, żeby podnieść się na duchu.

Doszła do wniosku, że dziewczyna została porwana, gdy spała. Jeremiah zadał sobie trud, żeby posłać łóżko i zabrać jej plecak i ubrania, a także komórkę. Chciał, żeby wyglądało to tak, jakby po prostu wyszła. Zaprzeczały jednak temu zamknięte drzwi. Porywacz miał wystarczająco dużo czasu, żeby usunąć ślady swojej obecności. Tylko jak wszedł i wyszedł, skoro drzwi były zamknięte od wewnątrz?

Zrobiła szybko serię zdjęć, uwieczniając na nich pluszowego misia siedzącego między poduszkami, komódkę ze zdjęciami rodziców, stół z leżącym na nim niedokończonym projektem mostu i książki poświęcone architekturze stojące na regale.

W tym pokoju istniała nienormalna symetria. To pewnie typowe dla architektów, pomyślała. Wiem, że coś przede mną ukrywasz. Jak ten potwór cię poznał? Powiedz mi, że gdzieś przechowujesz ślad, który mnie do niego doprowadzi. Pomóż mi znaleźć potwierdzenie, że mam rację, a przysięgam ci, że przewrócę świat do góry nogami, żeby cię odnaleźć.

Chciała, by Lara dała jej jakiś znak, a jednocześnie nadal głośno opowiadała o wszystkim, co zobaczyła. Nie zauważyła niczego szczególnego oprócz pedantycznego porządku. Obejrzała więc ostatnie ujęcia, mając nadzieję, że rzuci jej się w oczy jakiś szczegół.

Pod biurkiem stał kosz na papierowe odpadki, pełen zużytych chusteczek higienicznych.

Z powodu troski, jaką Lara poświęcała mieszkaniu, Sandra przyjęła, że jest pedantką. Nasunęło się jej określenie „drobiazgowa”. Jej siostra była taka sama. Pewne rzeczy mogły doprowadzić ją do obłędu — na przykład rysunek papierosa na zapalniczce w jej samochodzie musiał znajdować się zawsze w

położeniu poziomym, a bibeloty musiały być ustawione od najniższego do najwyższego. Dbała o szczegóły tak, jakby chodziło o losy ludzkości. Lara też taka była. Symetria dostrzeżona przez Sandrę nie była przypadkowa, więc to, że nie opróżniła kosza, wydało jej się dziwne. Odłożyła komórkę i pochyliła się, żeby sprawdzić jego zawartość. Wśród zużytych chusteczek i starych notatek znalazła kartkę zwiniętą w kulkę. Rozwinęła ją. Był to paragon z apteki.

— Piętnaście euro dziewięćdziesiąt — przeczytała. Jednak nie było nazwy artykułu. Data wskazywała, że pochodzi sprzed paru tygodni przed zniknięciem Lary.

Na chwilę zaprzestała fotografowania. Zaczęła sprawdzać szafki w poszukiwaniu leku, który kupiła Lara. Nie znalazła ani jednego. Z paragonem w rękę zeszła na dół i skierowała się do łazienki.

Była nieduża, z wnęką na szczotki i środki czystości. Sandra otworzyła szafkę z lustrem i stwierdziła, że leki stoją osobno, a kosmetyki osobno. Zaczęła wyklądać je do umywalki. Nie znalazła niczego, co mogłoby kosztować piętnaście euro i dziewięćdziesiąt centów.

Wiedziała, że to ważna informacja. Gdy skończyła przeglądać zawartość szafki, oparła się obiema rękami o brzeg umywalki i trwała tak przez kilka chwil, żeby się uspokoić. Wciągnęła głęboko powietrze, ale prędko musiała je wypuścić, ponieważ zapach wilgoci był tu silniejszy niż w innych pomieszczeniach. Chociaż muszla klozetowa wydawała się czysta, Sandra spuściła wodę i zamierzała wrócić na górę, ale zauważyła kalendarz wiszący na drzwiach.

— Tylko kobieta wie, dlaczego inna kobieta wiesza kalendarz w łazience — mruknęła.

Zdjęła go z gwoździka i zaczęła przeglądać, od ostatniego miesiąca do

wcześniejszych. Na wszystkich stronach zaznaczone były czerwonym kółkiem następujące po sobie dni. Serie kółek pojawiały się co miesiąc w regularnych odstępach.

Ale w ostatnim miesiącu Lara niczego nie zaznaczyła.

— O kurczę! — wykrzyknęła Sandra.



W jednej chwili domyśliła się wszystkiego. Nie potrzebowała już żadnego potwierdzenia. Lara wyrzuciła do kosza na śmieci paragon z apteki, ale potem nie znalazła siły, żeby opróżnić kosz. Ponieważ oprócz chusteczek i paragonu było w nim coś jeszcze. Coś, co miało szczególne znaczenie dla studentki i czego trudno było jej się pozbyć.

Test potwierdzający, że jest w ciąży.

Ale Jeremiaś go zabrał. Czyżby po wstążce do włosów, bransoletce z koralu, różowym szaliku i łyżworolce test miał się stać kolejnym fetyszem tego potwora?

Sandra chodziła po saloniku z komórką w ręku. Zamierzała powiedzieć o swoim odkryciu komisarzowi Camussowi, gdyż informacja, że Lara jest w ciąży, mogła pobudzić śledztwo, ale powstrzymała się, zadając sobie pytanie, czy nie przeoczyła czegoś jeszcze.

Odpowiedź brzmiała: drzwi zamknięte od wewnątrz.

To uniemożliwiało przyjęcie hipotezy, że ktoś uprowadził Larę z jej mieszkania. Gdyby Sandrze udało się wykazać, że studentka nie oddaliła się z własnej woli, można by ją było uznać za piątą ofiarę Jeremiaha Smitha.

Czego nie dostrzegam? — pomyślała.

Trzecia nauka, jaką sobie przyswoiła, mówiła, że każde mieszkanie ma swój zapach.

Czym pachnie to mieszkanie? Wilgocią — ta woń uderzyła ją zaraz po wejściu. Gdy jednak Sandra się zastanowiła, przypomniała sobie, że czuła ją głównie w łazience. Może gdzieś zbiera się woda? Nie zauważyła jednak żadnych wycieków, a mimo to zapach był intensywny. Wróciła do łazienki, zapaliła światło i rozejrzała się. Sprawdziła odpływy z prysznicza i umywalki, spuściła wodę. Wydawało się, że wszystko działa, jak należy.

Schyliła się, ponieważ zapach szedł od dołu. Przyjrzała się płytkom i zauważyła, że jedna ze szczelin jest trochę szersza, jakby coś tam wkładano, żeby ją unieść. Rozejrzała się i wzięła leżące na półce nożyczki. Włożyła ostrze w szczelinę. Ku jej zaskoczeniu udało się jej unieść kilka płytek tworzących coś w rodzaju kłapy. Odsunęła ją na bok i zobaczyła właz.

Stopnie z trawertynu prowadziły do podziemnego tunelu. To jednak nie dowodziło, że Jeremiaś wszedł tędy i wyszedł. Potrzebowała więcej dowodów. Był tylko jeden sposób, żeby je zdobyć.

Zebrała się na odwagę i zaczęła schodzić.

Dotarłszy do końca schodków, wyjęła z kieszeni komórkę, by użyć jej jako latarki. Oświetliła obie strony tunelu i odniosła wrażenie, że z prawej czuje przeciąg. Stamtąd dochodził też grzmiący odgłos.

Stawiając ostrożnie kroki, ruszyła w tę stronę. Było ślisko, więc gdyby upadła, mogłaby zrobić sobie krzywdę. Nikt by mnie tu nie znalazł, pomyślała.

Po mniej więcej dwudziestu metrach dojrzała odblask. Był to wylot tunelu wychodzący na Tyber. Rzeka płynęła wartko, nabrzmiała opadami z ostatnich dni, a jej mętne wody niosły różne odpadki. Wyjście uniemożliwiała gruba metalowa krata. Przyświecając sobie komórką, Sandra zawróciła, minęła kamienne schodki prowadzące do łazienki Lary i odkryła, że tunel się rozgałęzia.

Sprawdziła, czy komórka ma zasięg, i wybrała numer komendy. Po kilku minutach połączono ją z komisarzem Camussem.

— Jestem w mieszkaniu tej studentki. Jest tak, jak się obawialiśmy. Uprowadził ją Jeremiah.

— Jakie ma pani dowody?

— Znalazłam tunel, którym ją wyprowadził. Właz jest w łazience.

— Tym razem ten potwór dobrze się przygotował — stwierdził policjant takim tonem, jakby chciał jej pogratulować. Ale przygnębiony głos Sandry powiedział mu, że to nie wszystko. — Coś jeszcze?

— Lara jest w ciąży.

Sandra miała wrażenie, że czyta w myślach Camussa: teraz są odpowiedzialni za dwie osoby.

— Komisarzu, niech mi pan natychmiast kogoś przyśle.

— Przyjadę osobiście. Zaraz będę.

Sandra zamierzała wrócić na górę. Oświetliła komórką dno tunelu i zobaczyła drugi rząd śladów odcisniętych w mule.

Ktoś tu jest, ukrywa się w labiryncie tuneli, pomyślała. Poczwała strach. W zimnym powietrzu jej oddech zamieniał się w obłoczki pary. Położyła rękę na pistolecie, ale zdała sobie sprawę, że jeśli ten ktoś jest uzbrojony, ona będzie łatwym celem.

A na pewno jest.

Mogła się odwrócić i ruszyć biegiem w stronę kamiennych schodków. Albo strzelać w ciemność. Jednak oba rozwiązania były ryzykowne. Czwała na sobie oczy, które ją obserwowały. W tym spojrzeniu była pustka. Miała takie samo wrażenie jak wtedy, gdy usłyszała nagrany na dyktafon Davida głos mordercy nucącego *Cheek to Cheek*.

To koniec.



— Pani Vega, jest tam pani?! — Wołanie odbijało się echem za jej plecami.

— Tak, jestem tutaj! — krzyknęła. Strach zmienił jej głos i sprawił, że brzmiał śmiesznie.

— Jestem pani kolegą z policji. Byliśmy tu niedaleko na patrolu, przysyła nas komisarz Camusso.

— Proszę, zejdźcie po mnie — powiedziała błagalnie.

— Jesteśmy w łazience, za chwilę zejdziemy.

W tym momencie Sandra usłyszała czyjeś kroki oddalające się w głąb tunelu. Niewidzialne spojrzenie, które tak ją przeraziło, oddalało się wraz z nimi.

## *Godzina 14.03*

Poszli do jednego z mieszkań pozostających do dyspozycji penitencjarii, należącego do licznych watykańskich nieruchomości rozsianych po Rzymie. Mogli tam skorzystać z zestawu pierwszej pomocy i z komputera.

Clemente przygotował ubranie na zmianę i kanapki. Tymczasem Marcus stanął nagi do pasa przed lustrem w łazience, żeby zszyć ranę — była to jeszcze jedna umiejętność, z której nie zdawał sobie sprawy — i jak zwykle unikał patrzenia na swoje odbicie.

Nie chciał, żeby na jego ciele pojawiła się jeszcze jedna blizna prócz tej, którą miał na skroni.

Amnezja pozbawiła go wspomnień, więc szukał na swoim ciele śladów po drobnych urazach, takich jak różowa plamka na łydce albo szrama pod kolanem. Mogła to być pamiątka po upadku podczas jazdy na rowerze, do którego doszło w dzieciństwie, lub po jakiejś przygodzie z czasów, gdy był trochę starszy. Nie pomagały mu one w odzyskiwaniu pamięci. Smutno było nie mieć przeszłości. Dziecko, którego kość znalazł, zostało pozbawione przyszłości. Oboje byli martwi, tylko że śmierć obeszła się z Marcusem w dziwny sposób.

W czasie jazdy spod kliniki Canestrariego do bezpiecznego mieszkania Clemente opowiedział mu o Astorze Goyashu.

Okazało się, że jest to siedemdziesięcioletni bułgarski aferzysta, od dwudziestu lat mieszkający w Rzymie. Prowadził różne interesy, od budownictwa po prostytutkę. Zajmował się praniem pieniędzy pochodzących

z przestępczości zorganizowanej.

— Co taki typek może mieć wspólnego z Albertem Canestrarim? — spytał Marcus, który po wysłuchaniu opowieści Clemente nie znalazł zadowalającej odpowiedzi.

Przyjaciel, który przytrzymał mu watę higroskopijną nasączoną środkiem dezynfekującym, próbował głośno zastanawiać się nad sprawą:

— Nie sądzisz, że najpierw będziemy musieli ustalić, kto podrzucił tam tę kość?

— Na pewno zrobił to ten tajemniczy penitencjariusz — odrzekł Marcus. — Kiedy po spowiedzi Canestrariego zainteresował się tą sprawą, w składzie odpadków kliniki znalazł szczątki dziecka. Kto wie, być może chirurga dopadły wyrzuty sumienia i zastanawiał się, czy pozbyć się tych szczątków. Na szczęście penitencjariusz ukrył kość ramienną tak, żeby można ją było odnaleźć, wyciąwszy na niej przedtem imię i nazwisko Astora Goyasha.

— Spróbujmy ustalić kolejność wypadków — zaproponował Clemente.

— A więc Canestrari zabija dziecko. W zabójstwo zamieszany jest też groźny przestępca, Astor Goyash. Ale nie wiemy jeszcze, dlaczego to zrobili.

— Bułgar nie ma zaufania do Canestrariego, bo lekarz był załamany i mógłby zrobić jakieś głupstwo. Goyash każe swoim ludziom mieć go na oku, a dowodem na to są kamery umieszczone w jego gabinecie.

— Bułgar traktuje samobójstwo chirurga jako dzwonek alarmowy.

— I dlatego zaraz potem każe podłożyć ogień w klinice, mając nadzieję, że w ten sposób zostaną zniszczone dowody zamordowania dziecka. Wcześniej, żeby zapobiec wszczęciu śledztwa, ci sami ludzie zadbali o to, żeby z gabinetu zniknęła strzykawka, którą Canestrari wstrzyknął sobie trującą substancję.

— Tak — zgodził się Marcus. — Ale pozostaje kluczowa kwestia: co

mogło łączyć znanego dobroczyńcę z przestępcą?

Przez twarz Clemente przemknął cień niezdecydowania.

— Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Sam powiedziałaś, że należeli do dwóch różnych światów.

— A jednak musi istnieć jakaś nić, która ich łączy.

— Posłuchaj, Marcusie, Larze pozostało niewiele czasu. Może powinieneś zostawić tę sprawę i skupić się na szukaniu studentki?

Ta sugestia wydała się Marcusowi dziwna. Przez chwilę udawał, że skupia się na opatrywaniu rany, a tymczasem przyglądał się twarzy Clemente w lustrze.

— Pewnie masz rację, dziś to sobie uświadomiłem. Na szczęście przyjechałeś pod klinikę. Gdybyś mnie stamtąd nie zabrał, ci dwaj by mnie zabili.

Gdy to mówił, Clemente spuścił wzrok.

— Miałeś mnie na oku, prawda? — spytał Marcus.

— Ależ co ci przychodzi do głowy? — oburzył się Clemente.

Marcus odwrócił się, żeby przyjrzeć się przyjacielowi.

— Co się dzieje? Co przede mną ukrywasz?

— Nic.

— Ksiądz Michele Fuente przekazuje spowiedź Canestrariego, ale na prośbę biskupa nie wymienia jego nazwiska. Co osłaniacie? Który z naszych zwierzchników chce, żebyśmy przestali się tym zajmować?

Clemente milczał.

— Byłem tego pewny — powiedział Marcus. — Alberta Canestrariego i Astora Goyasha łączyły pieniądze, tak?

— Nie wyglądało na to, żeby chirurg potrzebował pieniędzy — odrzekł Clemente bez przekonania.

Marcus domyślił się, co go tak krępuje.

— Temu lekarzowi najbardziej zależało na dobrym imieniu — stwierdził.  
— Uważał, że jest porządnym człowiekiem.

Clemente zrozumiał, że musi powiedzieć prawdę.

— Szpital zbudowany przez Canestrarię w Angoli to wielkie przedsięwzięcie. W ten sposób je zdeprecjonujemy.

Marcus pokiwał głową.

— Za czyje pieniądze je zrealizował? Za pieniądze Goyasha, tak?

— Nie wiemy.

— Ale na to wygląda. — Marcus był wstrząśnięty i wściekły. — Życie jednego dziecka w zamian za uratowanie tysięcy osób.

Clemente nie mógł już nic dodać — jego uczeń domyślił się wszystkiego.

— Wybieramy mniejsze zło. Ale tym samym akceptujemy sposób rozumowania, który skłonił chirurga do zawarcia tak haniebnego paktu — podsumował Marcus.

— To nas nie dotyczy. Natomiast życie tysięcy osób tak — zauważył Clemente.

— A to dziecko? Czy jego życie nic nie znaczyło? — Marcus zamilkł na chwilę, żeby opanować wściekłość. — Jak oceniłby to wszystko Bóg, w którego imieniu działamy? — Spojrzał Clemente w oczy. — Ktoś pomści to jedno życie, jak tego chce nasz tajemniczy penitencjariusz. Możemy jeszcze zdecydować, czy będziemy stali i się temu przyglądali, czy też spróbujemy coś zrobić. W pierwszym przypadku nie będziemy się różnili od zwykłego współnika mordercy.

Clemente zdawał sobie sprawę, że Marcus ma rację, ale się wahał.

— Jeśli po trzech latach od śmierci Canestrarię Astor Goyash uważa, że powinien mieć na oku jego ambulatorium — rzekł po chwili — robi tak ze

strachu, że może zostać zamieszany w sprawę. To oznacza, że istnieje dowód, który może spowodować, iż zostanie oskarżony o zabójstwo.

Marcus uśmiechnął się, widząc, że przyjaciel jest po jego stronie i nie zamierza go opuścić.

— Musimy ustalić tożsamość zamordowanego dziecka — powiedział prędko. — Myślę, że wiem już, jak to zrobić.



Przeszli do pokoju, w którym stał komputer. Marcus wszedł na stronę policji.

— Gdzie chcesz go szukać? — spytał stojący za jego plecami Clemente.

— Tajemniczy penitencjariusz podsuwa możliwość dokonania zemsty, więc ofiara z całą pewnością była z Rzymu.

Otworzył stronę poświęconą osobom zaginionym i przeszedł do działu zajmującego się młodocianymi. Ukazały się twarze dzieci i nastolatków. Było ich dużo. Bardzo często chodziło o dzieci uprowadzone przez któregoś z rodziców, walczącego o prawo do opieki. W takim przypadku wyjaśnienie zagadki było proste, więc ich imiona i nazwiska mogły szybko zniknąć z listy. Równie częste były ucieczki kończące się po kilku dniach powrotem na łono rodziny i reprimendą. Jednak niektóre z tych dzieci zaginęły wiele lat temu i miały pozostać na tej stronie, dopóki nie będzie wiadomo, co im się przytrafiło. Uśmiechały się na niewyraźnych albo bardzo starych zdjęciach. W ich spojrzeniach była niewinność, której zadano gwałt. W pewnych przypadkach na podstawie zdjęć sporządzano portret takiej osoby, starając się domyślić, jak jej twarz mogła się zmienić z upływem lat. Mimo to szansa, że te dzieci żyją, była bardzo niewielka. Zdjęcie na stronie zastępowało często płytę nagrobną i był to sposób, żeby o nich nie zapomnieć.

Stosując metodę eliminacji, Marcus i Clemente skupili się na dzieciach, które zaginęły w Rzymie trzy lata temu. Znaleźli dwoje, chłopca i dziewczynkę.

Filippo Rocca zniknął po południu, po wyjściu ze szkoły. Koledzy, którzy z nim byli, nie zauważyli niczego szczególnego. Miał dwanaście lat i uśmiech, który odsłaniał brak jednego z górnych siekaczy. Był ubrany w fartuszek instytutu religijnego, do którego uczęszczał, pod nim miał dżinsy, pomarańczowy sweter, niebieską koszulkę polo, a na nogach adidas. Do jego małego plecaka przypięte były odznaki harcerskie oraz emblemat drużyny piłkarskiej, której kibicował.

Alice Martini miała dziesięć lat i długie jasne warkocze. Nosiła okulary w czerwonych oprawkach. Zniknęła z parku, do którego poszła z rodzicami i młodszym bratem. Była ubrana w białą kurtkę z Królikiem Bugsem, szorty i tenisówki. Ostatnią osobą, która ją widziała, był sprzedawca baloników. Zauważył, że rozmawiała w pobliżu toalet z mężczyzną w średnim wieku. Ale trwało to tylko chwilę i nie potrafił opisać policji jego wyglądu.

Marcus znalazł inne informacje, wchodząc na strony codziennych gazet. Zarówno rodzice Filippa, jak i Alice zamieszczali apele, pojawiali się w programach telewizyjnych i udzielali wywiadów, żeby podtrzymać zainteresowanie sprawą zaginięcia ich dzieci. Śledztwa nie dały żadnych wyników.

— Uważasz, że jedno z tych dzieci może być tym, którego szukamy? — spytał Clemente.

— To możliwe. Czas nie działa na naszą korzyść. Do tej pory penitencjariusz organizował wszystko tak, żeby codziennie dokonywano zemsty. Najpierw siostra jednej z ofiar Jeremiaha Smitha znajduje go umierającego we własnym domu i odkrywa prawdę. Następnego wieczoru

Raffaele Altieri zabija swojego ojca, który prawie dwadzieścia lat wcześniej zlecił zamordowanie jego matki. Wczoraj Pietro Zini zabił Federica Noniego, który napadał kobiety i zamordował swoją siostrę, a potem zabił i zakopał jakąś dziewczynę w parku Villa Glori. Zauważyłeś, że w tych dwóch ostatnich przypadkach penitencjariusz doskonale wybrał moment, w którym jego listy dotarły do potencjalnych mścicieli? Zostawiał nam zawsze tylko kilka godzin na odkrycie i zatrzymanie mechanizmu, który uruchamiał. Nie sądzę, żeby tym razem było inaczej niż w tamtych przypadkach. Dlatego musimy się spieszyć. Dziś wieczorem ktoś będzie próbował zabić Astora Goyasha.

— Nie będzie łatwo go podejść. Widziałeś ochroniarzy, którymi się otacza — odrzekł Clemente.

— W każdym razie jesteś mi potrzebny.

— Ja?

— Nie mogę mieć na oku obu rodzin zaginionych dzieci — wyjaśnił Marcus. — Musimy podzielić się zadaniami. Będziemy się kontaktowali przez pocztę głosową. Gdy tylko któryś z nas coś odkryje, zostawi wiadomość.

— Czym mam się zająć?

— Szukaj rodziny Martinich, a ja zajmę się rodzicami Filippa Rokki.



Ettore i Camilla Rocca mieszkali nad morzem w Ostii, w parterowym domku z ogrodem stojącym frontem do plaży.

Byli normalną rodziną.

Marcus wiele razy starał się nadać szerszy sens temu przymiotnikowi. Mógł on oznaczać zarówno sumę drobnych marzeń i oczekiwań, które



zostały zrealizowane z biegiem czasu i stanowiły rodzaj pancerza chroniącego przed przykrościami, jak i prawdziwy obraz szczęśliwego współżycia. Celem wielu rodzin było prowadzenie spokojnego żywota bez większych wstrząsów. Jakby zawarły cichy pakt z przeznaczeniem.

Ettore Rocca pracował jako przedstawiciel handlowy i często przebywał poza domem. Jego żona Camilla była opiekunką społeczną zatrudnioną w poradni, która udzielała wsparcia biednym rodzinom i młodym ludziom znajdującym się w trudnej sytuacji. Pomagała innym, podczas gdy to ona potrzebowała pomocy.

Małżeństwo wybrało życie na wybrzeżu, ponieważ Ostia była spokojniejsza, a utrzymanie tańsze. Codziennie jeździli do pracy do Rzymu, ale nie było to uciążliwe.

Wślizgnąwszy się do ich domu, Marcus po raz pierwszy miał wrażenie, że jest intruzem. W drzwiach i oknach były kraty, ale bez problemu otworzył główny zamek i zamknął go po wejściu do środka. Powitała go kuchnia, która pełniła też funkcję salonu. Dominowały w niej kolory biały i niebieski. Nieliczne meble utrzymane były w stylu marynarskim. Wydawało się, że stół do posiłków został zbity z listew z poszycia jakiejś łodzi, stała na nim rybacka lampa. Na ścianie wisiał stary ster, w który oprawiono zegar, a na konsoli pyszniła się piękna kolekcja muszli.

Pod butami trzeszczał piasek nawiewany przez przeciąg. Marcus ośmielił się tu wejść, ponieważ miał nadzieję znaleźć ślady prowadzące do penitencjariusza. Najpierw podszedł do lodówki, na której zobaczył kartkę umocowaną magnesem w kształcie kraba. Był to liścik Ettore Rokki do żony: *Zobaczymy się za dziesięć dni. Kocham cię.*

Mąż wyjechał w podróż służbową, ale mogło to być także kłamstwo mające na celu uspokojenie żony. Być może szykował się, żeby zabić

Goyasha. Zdając sobie sprawę, że to ryzykowny krok, wolał nie mieszać w to małżonki. Mógł zaszyć się na tydzień w motelu za miastem, żeby poczynić przygotowania. Ale Marcus nie chciał ograniczać się do domysłów. Potrzebował pewników. Przeszukując pierwszy pokój, odnosił coraz silniejsze wrażenie, że czegoś tu brakuje.

Wśród rzeczy, które oglądał, nie było śladu cierpienia.

Być może żywił naiwne przekonanie, że zniknięcie Filippa stworzy coś w rodzaju pęknięcia w życiu jego rodziców. Coś podobnego do rany, która nie znajduje się na ciele, ale tkwi w przedmiotach. I wystarczy ich dotknąć, żeby zaczęły krwawić. Bo przecież to dwunastoletnie dziecko znikło także stąd. Jednak nigdzie nie było jego zdjęć ani pamiątek po nim. Ale być może cierpienie wyrażało się właśnie poprzez tę pustkę. Marcus nie potrafił tego wyczuć, gdyż mogli ją dojrzeć tylko matka i ojciec. Ale potem zrozumiał. Przyglądając się na stronie policji twarzy małego Filippa, zadawał sobie pytanie, jak jego najbliżsi zdołali ułożyć sobie życie. Kie dziecko umiera, jest inaczej, coś się kończy. Gdy zaginie, rodziców dręczy niepewność. Może zagnieździć się wszędzie i drażnić różne rzeczy od środka, tak że nikt tego nie zauważa. Pochłania dni i godziny. Całe lata mijają bez odpowiedzi. Marcus pomyślał nawet, że czasem lepiej się dowiedzieć, że dziecko zostało zabite.

Śmierć zawłaszcza wspomnienia, także te najpiękniejsze, i zasiewa w nich cierpienie, sprawiając, że nie można znieść pamięci. Śmierć staje się panią przeszłości. Niepewność jest gorsza, ponieważ zawłaszcza przyszłość.

Marcus wszedł do sypialni Ettore i Camilli. Na łóżku leżały piżamy obojga. Poszwy bez najmniejszej zmarszczki, kapcie ustawione parami. Wszystko na swoim miejscu. Jakby można było troską o porządek zastąpić szaleństwo bólu, chaos wywołany przez tragedię, obłaskawiając wszystko, co nas otacza. Tresując przedmioty, aby odgrywały farsę normalności, aby

powtarzały nam ciągle, że wszystko jest w porządku.

I w tym pogodnym obrazku napotkał wreszcie Filippa.

Uśmiechał się z fotografii, stojąc razem z rodzicami. Nie został zapomniany. Także on miał swoje miejsce — na komodzie z szufladami, koło lustra. Marcus zamierzał już wyjść z pokoju, gdy zauważył pewien przedmiot i zrozumiał, że się pomylił.

Na szafce nocnej po stronie łóżka, po której spała Camilla, stał głośnik elektronicznej niani.

Obecność tego przedmiotu można było wyjaśnić tylko w jeden sposób.

Uderzony odkryciem Marcus ruszył do drugiego pokoju. Drzwi były zamknięte. Otworzywszy je, stwierdził, że w pokoiku, w którym kiedyś mieszkał Filippo, obok jego łóżka stoi kołyska. Przestrzeń została podzielona: były tu plakaty jego ulubionej drużyny, biurko do odrabiania lekcji, ale także pojemnik na pieluchy, fotel i góra zabawek dla małych dzieci. Oraz pozytywka z pszczołkami, które kręciły się w kółko.

Filippo jeszcze o tym nie wiedział, ale miał już braciszka lub siostrzyczkę.

Życie jest jedynym antidotum na cierpienie, pomyślał Marcus. I zrozumiał, w czym małżonkowie Rocca znaleźli motywację, aby skierować swoje myśli ku przyszłości, uwalniając ją od mgły niepewności. To go jednak nie przekonało. Czy ta rodzina naprawdę jest gotowa wystawić na ryzyko tę odrobinę spokoju, dokonując zemsty? Jak ci ludzie zareagowaliby na wiadomość, że ich pierworodny syn nie żyje? Oczywiście jeśli to Filippo był ofiarą Canestrariego.

Zamierzał już wyjść, znaleźć Camillę Roccę w poradni, w której pracowała, i śledzić ją przez resztę dnia, gdy usłyszał warkot silnika. Uchylił zasłonę w oknie i zobaczył małe auto, które zaparkowało w uliczce. Za

kierownicą siedziała pani Rocca.

Zaczął gorączkowo szukać miejsca, w którym mógłby się ukryć. Znalazł pokój pełniący funkcję garderoby. Wcisnął się w kąt za drzwiami i czekał. Usłyszał chrobotanie klucza w zamku, a po chwili kroki Camilli, która weszła do domu i zamknęła drzwi. Odgłos odkładania kluczy na komodę. Stukanie obcasów. Kobieta zdjęła buty i rzuciła je na podłogę. Marcus widział ją przez szparę w drzwiach. Chodziła boso, w rękach trzymała torby z zakupami. Ale nie było z nią synka czy córeczki. Weszła do garderoby, żeby powiesić na wieszaku nową sukienkę. Zrobiła to, nie oglądając się. Oddzielały ich tylko drzwi, cienka warstwa drewna. Gdyby kobieta przeszła obok Marcusa, z łatwością by go zauważyła. Ale nie zrobiła tego. Poszła do łazienki.

Marcus usłyszał szum wody z prysznicą i wyszedł z kryjówki. Przeszedł przed zamkniętymi drzwiami łazienki i wróciwszy do salonu, zobaczył na stole paczkę opakowaną jak prezent.

W jakiś sposób życie rozpoczęło się w tym domu na nowo.

Zamiast dodać mu otuchy, ta myśl go wzburzyła. Poczuł, że ogarnia go niepokój i paniczny strach.

— Clemente — mruknął, mając na myśli to, że na rodzinę, której szukają, prawdopodobnie natrafił jego przyjaciel.

Sięgnął po telefon wiszący na ścianie kuchennego kącika i wybrał numer poczty głosowej. Znalazł w niej wiadomość od Clemente: „Musisz natychmiast przyjechać. Ojciec Alice Martini pakuje bagaże do samochodu i obawiam się, że niebawem wyjedzie z miasta. Ten gość ma nielegalnie pistolet”.

## *Godzina 17.14*

Nie wspomniała kolegom policjantom o zagrożeniu, na jakie naraziła się w tunelu pod mieszkaniem Lary. Nie zamieniła też na ten temat ani słowa z komisarzem Camussem. To nie ma żadnego związku z dziewczyną, uznała. Dotyczy tylko mnie i Davida.

Poza tym nie odczuwała już strachu. Domyśliła się, że jej prześladowca nie chce jej zabić, że kierują nim inne motywy. Przynajmniej na razie. Mógł to zrobić w tunelu, zanim sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić. Ale powstrzymał się od tego.

Kontroluje ją.

Camusso zorientował się jednak, że dzieje się z nią coś złego. Sandra była w szoku, ale utrzymywała, że to zmęczenie i głód. Komisarz zaprosił ją więc do Francesca, typowej rzymskiej trattorii przy Piazza del Fico. Zjedli pizzę, siedząc przy stoliku na powietrzu i rozkoszując się zapachami i odgłosami dzielnicy. Otaczał ich Rzym z wyłożonymi kamieniem ulicami, chropowatymi fasadami pałaców i bluszczem, który wspinał się zuchwale na balkony.

Po posiłku pojechali do komendy. Camusso posłużył Sandrze za przewodnika, pokazując jej piękny pałac, w którym miał szczęście pracować. Woląла mu nie mówić, że już tu była przy okazji poszukiwań w archiwum, kiedy to oszukała jednego z jego kolegów.

Usiedli w biurze komisarza. Także tu były wysokie, pokryte freskami sklepienia, ale umeblowanie było proste, w odróżnieniu od samego Camussa,

który tworzył w pokoju kolorową plamę. Gdy wieszał marynarkę na oparciu fotela za biurkiem, Sandra zauważyła, że przy mankietach ma spinki z turkusami, i uśmiechnęła się mimo woli.

— Ma pani pewność, że Lara jest w ciąży? — zapytał.

Poruszyli już ten temat w restauracji. Camusso nie zgadzał się, że kobiety mają szósty zmysł do pewnych rzeczy, choć Sandra przedstawiła dowody potwierdzające jej przypuszczenia.

— Dlaczego ma pan wątpliwości?

Camusso rozłożył ręce.

— Przesłuchaliśmy jej przyjaciół i kolegów z uniwersytetu, ale nikt nie wspomniał, że miała narzeczonego czy przeżyła jakąś przygodę. Z billingów i z poczty elektronicznej nie wynika, żeby utrzymywała z kimś bliskie stosunki.

— Nie trzeba utrzymywać bliskich stosunków, żeby zajść w ciążę — zauważyła Sandra, choć rozumiała obiekcje komisarza, ponieważ Lara nie wydawała się dziewczyną, która mogłaby nawiązywać przygodne znajomości. — Zadawałam sobie pytanie dotyczące Jeremiaha Smitha. Oprócz tego ostatniego przypadku wcześniej usidlał ofiary w świetle dnia, przekonując je, żeby się z nim czegoś napiły. Co takiego miał w sobie ten typek, że udawało mu się zawrzeć znajomość z tymi dziewczynami?

— Śledzę sprawę tego seryjnego mordercy już od sześciu lat i nie potrafię tego wyjaśnić. Bez względu na to, jakich używał podstępów, był piekielnie skuteczny — stwierdził Camusso, kręcąc głową i spuszczać wzrok. — Za każdym razem było tak samo: ginęła dziewczyna i dokładaliśmy wszelkich starań, żeby ją odnaleźć, wiedząc, iż mamy tylko miesiąc. Przez trzydzieści dni odgrywaliśmy tę samą komedię przed rodzinami, prasą i opinią publiczną. Ciągłe te same oświadczenia, te same kłamstwa. Potem czas się

kończył i znajdowaliśmy zwłoki. — Zamilkł na dłuższą chwilę. — Gdy któregoś wieczoru uświadomiłem sobie, że winny tego wszystkiego jest gość, który leży teraz w śpiączce, wyrwało mi się westchnienie ulgi. Byłem szczęśliwy. Wie pani, co to oznacza?

— Nie.

— Cieszyłem się, że umiera jeszcze jedna ludzka istota. Powiedziałem sobie: Boże, co się ze mną dzieje? Ten człowiek wyrządził nam straszną krzywdę. Sprawił, że staliśmy się tacy jak on, bo tylko potwory mogą się cieszyć z czyjejś śmierci. Próbowałem przekonać samego siebie, że tak naprawdę jeśli on umrze, ocali to życie innym dziewczętom. Ale co z naszym życiem? Kto nas rozgrzeszy z radości, jaką odczuwaliśmy?

— Chce mi pan powiedzieć, że kiedy odkryliście, że uprowadził jeszcze jedną dziewczynę, było to dla was pocieszeniem?

— Oczywiście, jeśli Lara żyje. — Camusso uśmiechnął się gorzko. — To także jest potworne, nie wydaje się pani?

— Myślę, że tak — zgodziła się Sandra. — To tak, jakby jej uratowanie miało zależeć od tego, czy Jeremia Smith wyjdzie ze śpiączki.

— Prawdopodobnie ten człowiek będzie tak wegetował do końca swoich dni.

— Co mówią lekarze?

— Dziwna rzecz, ale niewiele z tego rozumieją. Z początku podejrzewali zawał serca, ale po badaniach wykluczyli tę możliwość. Szukają jakiegoś uszkodzenia neurologicznego, ale na razie niczego nie znaleźli.

— Może to działanie jakiegoś toksycznego środka, trucizny?

— Badają krew, żeby zidentyfikować taką substancję — odrzekł Camusso.

— Ale jeśli tak jest, to ktoś próbował go zabić.

— Albo doprowadzić do tego, żeby zabiła go siostra jednej z jego ofiar...

Sandra skojarzyła tę informację ze sprawą Figara. Istniało pewne podobieństwo między sposobem, w jaki został zabity Federico Noni, i tym, co przydarzyło się Jeremiahowi Smithowi. Wydawało się, że to egzekucje. Obaj zostali ukarani za swoje zbrodnie. Lub za grzechy.

— Proszę chwilę poczekać, chcę pani coś zademonstrować.

Camusso wstał zza biurka, żeby wyjąć z torby laptop. Uruchomił go i postawił przed Sandrą.

— Tydzień przed zaginięciem Lary na wydziale architektury odbyło się przyjęcie z okazji wręczenia dyplomów ukończenia studiów. Ojciec jednego ze świeżo upieczonych architektów sfilmował wszystko kamerą wideo — powiedział i uruchomił odtwarzanie. — To są ostatnie zdjęcia Lary.

Sandra pochyliła się w stronę ekranu. Obrazy były pełne ruchu. Słysząc było głosy i czyjś śmiech. Kamera objęła całą aulę. Zaproszonych było około trzydziestu osób, niektórzy mieli śmieszne kotyliony. Rozmawiali, podzieleni na małe grupki. Na katedrze ustawiono napoje i wiele osób trzymało w rękach szklanki. Był też tort, z którego została tylko połowa. Nagrywający kręcił się wśród gości, prosząc ich, żeby powiedzieli coś do obiektywu. Niektórzy wygłaszali pozdrowienia, ktoś żartował. Kamera zatrzymała się na chłopcu, który zaryzykował i wygłosił monolog na temat tego, jak trudno jest studiować. Stojący wokół niego koledzy śmiali się. W tle, za jego plecami, stała dziewczyna. Oparła się o ławkę i z rękami skrzyżowanymi na piersi patrzyła przed siebie. Nie śmiała się.

— To ona — powiedział komisarz.

Sandra przyjrzała jej się uważnie. Dziewczyna kołysała się na piętach i przygryzała wargi.

— Czy to nie dziwne? — ciągnął. — Każe mi myśleć o zdjęciach ofiar



przestępstwa publikowanych w mediach. Zrobionych przy jakiejś okazji, która nie ma nic wspólnego z tym, co im się przytrafiło. Na weselu, wycieczce, urodzinach. Kiedy pozowały, nie wiedziały, że pewnego dnia fotografia trafi do gazet lub do telewizji.

Zmarli, którzy uśmiechają się ze zdjęć zrobionych dawno temu, pomyślała Sandra.

— Być może za życia nigdy nie przyszło im do głowy, że staną się sławni. Nagle umierają i ludzie dowiadują się o nich wszystkiego. Dziwne, prawda? — dodał.

Sandra zauważyła małą zmianę w wyrazie twarzy Lary. Jej instynkt dokumentalistki odkrył pewien szczegół.

— Proszę, niech pan cofnie.

Komisarz spełnił jej prośbę.

— A teraz proszę zwolnić. — Sandra pochyliła się, licząc, że cud znowu się zdarzy.

— Coś powiedziała — stwierdził zaskoczony Camusso.

— Tak, rzeczywiście.

— Ale co?

— Proszę pokazać mi to jeszcze raz.

Komisarz odtworzył kilka razy ten fragment, podczas gdy Sandra starała się odgadnąć, co mówi Lara.

— Ona mówi „gnojek”.

Camusso spojrzał na nią zakłopotany.

— Jest pani pewna?

Sandra odwróciła się do niego.

— Tak.

— Ale do kogo skierowała te słowa?

— Z pewnością do jakiegoś mężczyzny. Niech pan puści dalszy ciąg, spróbujemy się domyślić, kto to może być.

Komisarz uruchomił odtwarzanie. Filmujący nie pozwalał im skupić uwagi na żadnym z uczestników zabawy. Dopóki w pewnym momencie nie skierował obiektywu na prawo. Sandra odniosła wrażenie, że podąża za spojrzeniem Lary. Dziewczyna nie wpatrywała się w pustkę, wpatrywała się w kogoś.

— Może pan na chwilę zatrzymać? — Wskazała ekran.

Camusso spełnił jej prośbę.

— Co pani zobaczyła?

Sandra wyłowiła spośród uczestników przyjęcia mniej więcej czterdziestoletniego mężczyznę, który uśmiechał się, otoczony przez studentki. Miał na sobie niebieską koszulę i poluzowany krawat. Lekceważąca mina, kasztanowe włosy, jasne oczy — słowem, czarujący. Stał z ręką na ramieniu jednej z dziewcząt.

— To on miałby być tym gnojkiem? — spytał komisarz.

— Na to wygląda.

— Zatem myśli pani, że może być ojcem jej dziecka?

Sandra spojrzała na Camussa.

— Nie można tego stwierdzić, oglądając film wideo.

— Sądziłem, że coś pani podpowie ten kobiecy szósty zmysł.

— Nie wydaje mi się. Ale być może warto z nim porozmawiać.

— Proszę zaczekać, zaraz pani powiem, kto to jest. — Camusso okrążył biurko, żeby sprawdzić coś w kartonowej teczce. — Zapisaliśmy nazwiska wszystkich osób obecnych na tej uroczystości. Tak na wszelki wypadek.

Sandra zdumiała się sprawnością swoich rzymskich kolegów.

Przejrzawszy wykaz, komisarz oświadczył:

— Christian Lorieri, asystent na wydziale historii sztuki.

— Przesłuchaliście go?

— Nie kontaktował się z Larą, nie było powodu, by go przesłuchiwać. — Camusso wyczuł, co jej chodzi po głowie. — Nawet gdyby to on był ojcem dziecka i o tym wiedział, wątpię, czy zechciałby z nami rozmawiać. Jest żonaty.

Sandra zamyśliła się.

— Czasami trzeba kogoś sprowokować, żeby zareagował — powiedziała z szelmowskim uśmiechem.

— Jak pani chce to zrobić?

— Najpierw muszę wydrukować te zdjęcia.



Po korytarzach wydziału architektury kręciło się mnóstwo studentów. Sandra zauważyła kiedyś, że studenci uniwersytetu upodabniają się do siebie w zależności od kierunku studiów. Zupełnie jakby mieli ten sam kod genetyczny, który ujawniał się w typowych cechach. Na przykład studenci prawa byli niezdyscyplinowani i ze sobą rywalizowali. Studenci medycyny — surowi i bez poczucia humoru. Filozofię studiowali melancholicy noszący za duże ubrania. Natomiast przyszli architekci byli rozczochrani i rozkojarzeni.

Poprosiła portiera, by wskazał jej drogę do pokoju Christiana Lorieriego, i właśnie szukała jego nazwiska na tabliczkach umieszczonych obok drzwi. Wydrukowała w komendzie zdjęcia z komórki. Były to widoki z willi Jeremiaha Smitha, a także fotografie zrobione leicą Davida, które na szczęście skopiowała w łazience mieszkania Interpolu. Oraz zdjęcia mieszkania Lary, a przede wszystkim kaplicy Świętego Rajmunda z Peñafort.

Pomyśleć tylko, że zamierzała je skasować, uważając, że już nie będą jej potrzebne.

Drzwi do pokoju asystenta na wydziale historii sztuki były otwarte. Lorieri siedział z nogami na biurku, czytając jakieś czasopismo. Był to przystojny mężczyzna, czterdziestolatek z bujną czupryną, za którym szalały studentki. Jego osobowość podkreślały sportowe buty Converse All Star, które miał na nogach. Informowały, że jest pokojowo nastawionym rewolucjonistą.

Sandra zapukała w otwarte drzwi i się uśmiechnęła.

Asystent podniósł wzrok znad czasopisma.

— Egzamin został przesunięty na przyszły tydzień — rzucił.

Sandra weszła, nie czekając na zaproszenie. Czuła, że pomoże jej swobodna atmosfera panująca w pokoju.

— Nie przyszłam na egzamin.

— Jeśli chce pani porozmawiać, proszę przyjść w dzień nieparzysty.

— Poza tym nie jestem studentką. — Pokazała mu swoją odznakę. — Sandra Vega z policji.

Lorieri nie wyglądał na zaskoczonego, ale nie wyciągnął ręki na powitanie. Ograniczył się do zdjęcia nóg ze stołu.

— Powinienem zapytać: czym mogę pani służyć? — Uśmiechnął się, próbując pozyskać jej względy.

Jego urok osobisty budził w niej odrazę. Przypominał jej Shalbera. Nieszczęsny asystent nie domyślał się nawet, jak bardzo ta cecha deprecjonuje go w jej oczach.

— Prowadzę dochodzenie w pewnej sprawie i potrzebuję opinii historyka sztuki. Skierowano mnie do pana.

Zdumiony Lorieri oparł łokcie na stole.

— Coś podobnego! O co chodzi? Czy pisały o tym gazety?

— Sprawa jest poufna — oświadczyła Sandra, puszczając do niego oko.

— Tak, rozumiem. Jestem do pani dyspozycji. — Znów się uśmiechnął.

Jeżeli zrobi to jeszcze raz, rąbnę go w łeb pistoletem, pomyślała.

— Proszę rzucić okiem na kilka zdjęć. Czy rozpoznaje pan te miejsca? —

Podawała mu zdjęcia kaplicy Świętego Rajmunda z Peñafort. — Znaleźliśmy je w kieszeni pewnego podejrzanego i nie wiemy, co przedstawiają.

Lorieri założył okulary i zaczął oglądać fotografie. Brał je do ręki po jednej i unosił do oczu.

— Są tu nagrobki, powiedziałbym więc, że to kaplica. Bardzo prawdopodobne, że znajduje się ona w jakimś kościele.

Sandra przyglądała mu się uważnie.

— Miejsca utrzymane są w różnych stylach, trudno powiedzieć, gdzie się znajdują. — Obejrzał dziesięć ujęć, kiedy natrafił na pierwsze z mieszkania Lary. — Widzę tu jedno, które nie ma związku z... — Umilkł. Kiedy zobaczył drugie i trzecie, uśmiech znikł z jego twarzy. — Czego pani ode mnie chce? — Zadał to pytanie, nie mając odwagi patrzeć jej w oczy.

— Był pan już kiedyś w tym mieszkaniu, prawda?

Lorieri odłożył zdjęcia i skrzyżował ręce na piersi.

— Tylko raz. Może dwa.

— Zgódźmy się na trzy. Odpowiada to panu? — spytała zaczepnie Sandra.

Lorieri skinął głową.

— Czy był pan tam także tego wieczoru, gdy Lara zniknęła?

— Nie, tamtego wieczoru nie. Uwolniłem się od niej kilka tygodni wcześniej.

— Uwolnił się pan? — spytała przejęta zgrozą Sandra.

— Miałem na myśli... Krótko mówiąc, domyśla się pani, co chcę powiedzieć... Jestem żonaty.

— Przypomina pan o tym mnie czy samemu sobie?

Asystent podniósł się i podszedł do osłoniętego roletą okna. Przeciągał nerwowo ręką po włosach, drugą opierając na biodrze.

— Kiedy dowiedziałem się o jej zaginięciu, chciałem iść na policję. Ale potem pomyślałem o wszystkich tych pytaniach, jakie by mi zadano, o mojej żonie, o rektorze, o uczelni i o tym, że nie mógłbym utrzymać tej sprawy w sekrecie. To by mogło fatalnie wpłynąć na moją karierę i sprawy rodzinne. Sądziłem, że to tylko kaprys Lary, sposób na zwrócenie mojej uwagi, i że w końcu wróci do domu.

— Nie przyszło panu do głowy, że odtrącając ją, postąpił pan lekkomyślnie?

Lorieri odwrócił się do niej plecami.

— Tak, z pewnością — przyznał.

— Minął prawie miesiąc, a pan ciągle milczał. — Wymawiając dobitnie każde słowo, Sandra starała się okazać mu całe swoje obrzydzenie.

— Zaproponowałem, że jej pomogę.

— W usunięciu ciąży?

Lorieri zrozumiał, że ma kłopoty.

— A co innego mogłem zrobić? To była tylko przygoda i Lara zdawała sobie z tego sprawę. Nigdy nie wychodziliśmy razem do miasta, nie dzwonił się do siebie, nie miałem nawet jej numeru telefonu.

— Ale to, że pan milczał, w połączeniu ze zniknięciem dziewczyny, czyni z pana podejrzanego o morderstwo.

— Morderstwo? A niby dlaczego miałbym ją zabijać? — Lorieri zaczynał tracić panowanie nad sobą. — Znaleźliście zwłoki?

— Nie, ale mamy powody sądzić, że Lara nie żyje.

— Cholera, ja nikogo nie zabiłem. — Lorieri wyglądał tak, jakby zaraz miał się rozplakać.

Sandra zaczynała mu współczuć. Dawniej zastosowałyby regułę dobrego policjanta — nie wierzyć nikomu. Przypuszczała jednak, że asystent powiedział prawdę, a Larę porwał Jeremiah Smith. Aż nadto wyraźnie wskazywał na to sposób uprowadzenia jej z mieszkania. Gdyby Lorieri chciał ją zabić, mógłby pójść z nią w jakieś ustronne miejsce, a gdyby ją zabił na przykład podczas kłótni w jej mieszkaniu, zostałyby ślady.

Śmierć objawia się w szczegółach, przypomniała sobie. A nic nie wskazywało na to, że Lara nie żyje.

— Proszę się uspokoić i usiąść.

Mężczyzna popatrzył na nią zaczerwienionymi oczami i usiadł, pociągając nosem.

Sandra miała dobry powód, żeby okazać litość temu cudzołożnikowi. Nie różnię się od niego, pomyślała. I przypomniał jej się jaskrawozielony krawat. Nie miała jednak ochoty dzielić się tą historią z Lorierim.

— Lara nie chciała stawiać pana wobec faktu dokonanego. Powiedziała panu, że jest w ciąży, żeby dać panu szansę. Jeśli żyje i zostanie odnaleziona, niech ją pan wysłucha.

Lorieri nie mógł wydusić słowa. Sandra pospiesznie zebrała zdjęcia, ponieważ chciała już stąd wyjść. Gdy wkładała je do torby, zrobiła nieostrożny ruch i wypadły jej z ręki. Rozsypały się po podłodze i asystent pochylił się, by je zebrać.

— Pozwoli pani, pomogę.

— Dam sobie radę — odparła. Zauważyła, że znalazło się wśród nich zdjęcie księdza ze szramą na skroni.

— To penitencjariusz — odezwał się Lorieri.

Odwróciła się do niego, chcąc się upewnić, czy dobrze usłyszała.

— Zna pan tego człowieka? — spytała, wskazując mężczyznę na fotografii.

— Tego? Nie. Miałem na myśli tamtego. — Lorieri sięgnął po inne zdjęcie. — Święty Rajmund z Peñafort. Chciała się pani dowiedzieć, co to za kaplica, czy też był to tylko pretekst?

Sandra spojrzała na zdjęcie. Była na nim nastawa ołtarza, na której przedstawiony był ów dominikanin.

— Proszę mi o nim opowiedzieć.

— Cóż, nie ma wiele do opowiadania. Obraz został namalowany w siedemnastym wieku i znajduje się w bazylice Santa Maria sopra Minerva.

— No tak, ale ja miałam na myśli samego świętego.

Lorieri podszedł do szafy z książkami. Przebiegł wzrokiem po grzbietach i wziął jedną z nich. Przekartkował ją, pokazał Sandrze reprodukcję obrazu i przeczytał podpis: — *Paenitentiarium Apostolicum est congregatio in Civitate Apostolica, quae occupatur a peccatis, et frater Raymundus pertinet ad unum de illis eius membris, quibus habetur in summo auctoritate. In trigesimo saeculo commisit ei operam componendi textum analysantem rem conscientiae, ut faceret opus confessorum. Scripsit tractatum Summa de Casibus Paenitentiae. Praestabat illi univocis criteriis et designabat correspondentem poenitentiam pro diversis peccatis.*

Sandra żałowała, że nie poszukała wcześniej informacji na temat kaplicy. Ktoś, kto wsunął święty obrazek z napisem „Fred” pod drzwi jej pokoju, nie chciał tak po prostu wciągnąć jej w zasadzkę.

To miejsce coś znaczyło.

Mimo iż nie miała ochoty wracać do kaplicy, gdzie ktoś próbował ją



zabić, pomyślała, że musi się dowiedzieć co.

## Godzina 18.22

Talent Clemente polegał na zdobywaniu informacji. W ostatnich dniach Marcus otrzymał niejedno potwierdzenie jego uzdolnień. Nie pytał go nigdy, jak to robi. Przypuszczał, że czerpie informacje z archiwum, ale nie było ono jedynym źródłem. Gdzieś musiało znajdować się miejsce, w którym splatały się sekretne wątki i gdzie gromadzono różne informacje. Kościół zawsze potrafił przeniknąć do świeckich instytucji lub do zorganizowanych grup, które mogły mu zagrozić. Była to forma samoobrony.

Jak to często powtarzał Clemente: „Watykan jest spokojny i czuwa”.

Jednak tym razem przeszedł samego siebie. Znajdowali się w salonie bingo i obserwowali przez jedno z okien wejście do budynku, w którym mieszkała rodzina Martinich.

— Ojciec Alice załadował do samochodu dwie wielkie walizki. — Clemente wskazał fiata multiple zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. — Był bardzo przejęty. Wziął tydzień urlopu i podjął z banku sporą sumę.

— Myślisz, że zamierza uciec?

— Zachowuje się podejrzanie, nie wydaje ci się?

— Skąd wiesz, że ma pistolet?

— W zeszłym roku strzelał do faceta, który zaczepiał małych chłopców na placu zabaw. Nie zabił go, ponieważ przyjechała policja. Rzucił się do ucieczki, ale nikt z obecnych przy strzelaninie nie chciał zeznawać przeciwko niemu, więc nie mogli mu postawić zarzutów. W jego mieszkaniu nie znaleźli pistoletu. Nie muszę ci mówić, że nie ma pozwolenia na broń, a to

oznacza, że zdobył ją w sposób nielegalny.

Nazywał się Bruno Martini. Marcus przypomniał sobie, że jego córka zaginęła w parku.

— Gość, który sam wymierza sprawiedliwość — powiedział, kręcąc głową. — Psiakość, tylko tego brakowało.

— Po tym wydarzeniu porzuciła go żona, zabierając drugie dziecko. Nigdy nie pogodził się ze zniknięciem Alice. Od trzech lat prowadzi prywatne śledztwo i często popada w konflikty z policją. W dzień pracuje jako kierowca autobusu, nocą szuka córki. Odwiedza miejsca, w których spotykają się pedofile albo uprawia się nielegalnie prostytutkę, pewien, że ją odnajdzie.

— Myślę, że przede wszystkim ma nadzieję znaleźć wyjaśnienie, które trochę go uspokoi. — Marcus porównał tę sprawę z sytuacją, w jakiej znaleźli się małżonkowie Rocca. Rodzice Filippa nie poddali się, nie otworzyli drzwi ciemnościom. Nie zamienili zła, które im wyrządzono, w zło, którym należało odpłacić. — Bruno Martini idzie na pewną śmierć.

Clemente się z nim zgodził. Astor Goyash to człowiek, do którego nie można się zbliżyć. Jego ochroniarze otworzą ogień, zanim Martini strzeli. Jeśli myśli, że ucieknie, to grubo się myli.

W trakcie oczekiwania, aż Martini wyjdzie z domu, Clemente podzielił się z Marcusem innymi nowinami.

— Policja zaczęła szukać Lary.

Marcus miał nieufną minę.

— Od kiedy?

— Połączyli jej zaginięcie ze sprawkami Jeremiaha Smitha. To także zasługa policjantki z Mediolanu, która z nimi współpracuje.

Marcus domyślił się, że chodzi o kobietę, z którą zawarł układ, i nie

skomentował słów przyjaciela. Ale wiadomość go ucieszyła.

— Jest coś jeszcze — ciągnął Clemente. — Lekarze wykluczyli, że Jeremiaś miał zawał. Podejrzewają otrucie i robią badania toksykologiczne. Tak więc miałaś rację.

— Wiem też, co to za substancja — dodał Marcus. — Succinylcholine. Zwiotcza mięśnie, co może przypominać atak serca. I nie zostawia śladów we krwi. — Przez jego twarz przemknął błysk satysfakcji. — Myślę, że mojego tajemniczego kolegę penitencjariusza zainspirowało samobójstwo Canestrariiego.

Clemente spojrział na niego z podziwem jego uczeń wspaniale zdawał wszystkie egzaminy.

— Postanowiłeś już, co będziesz robił, gdy ta historia się skończy?

Marcus z przyjemnością poświęciłby się pracy na rzecz innych, jak to robił ksiądz z Caritasu. Ale powiedział tylko: — Wychodzi.

Spojrzeli w okno i zobaczyli Brunona Martiniego idącego do auta.

Clemente wręczył Marcusowi klucze do pandy.

— Powodzenia — powiedział.



Miasto wyludniało się w porze kolacji i fiat multipla jechał szybko w słabnącym ruchu. Marcus bez trudu utrzymywał się za nim, zachowując bezpieczną odległość, tak żeby tamten go nie zauważył.

Martini kierował się poza Rzym, potwierdzały to kolejne drogowskazy. Przedtem jednak zatrzymał się koło bankomatu. Marcusowi wydało się to dziwne, ponieważ Clemente powiedział mu, że tego dnia mężczyzna podjął pieniądze w banku. Zobaczył, że wsiada do samochodu i odjeżdża, jednak po mniej więcej dziesięciu minutach znowu się zatrzymał, tym razem po to, aby

wypić kawę w zatłoczonym barze, którego klienci oglądali jakiś mecz. Bruno Martini z nikim się nie przywitał i nie wydawało się, żeby ktoś go rozpoznał. Wypiwszy kawę, zapłacił i ruszył w dalszą drogę. Skierował się do strefy, przed którą stała tablica świetlna informująca o zakazie wjazdu — zlekceważył ją i przejechał obok kamery, ryzykując mandat. Marcus nie miał wyboru i musiał podążyć za nim. Martini skręcił w ulicę prowadzącą w kierunku północnych przedmieść Rzymu. Podjechał do wjazdu na autostradę i zapłacił za przejazd. Po kilku minutach zatrzymał się po raz trzeci, żeby zatankować. Marcus czekał na niego na placu postojowym za dystrybutorem paliwa i przyglądał mu się we wstecznym lusterku, podczas gdy tamten napełniał spokojnie bak, a potem płacił kartą kredytową. Następnie ruszył, utrzymując umiarkowaną prędkość.

Marcus zadał sobie pytanie, dokąd Martini jedzie. Miał wrażenie, że coś przeoczył.

Początkowo mężczyzna kierował się w stronę Florencji, ale po przejechaniu około dziesięciu kilometrów zatrzymał się na placu serwisowym i wszedł do baru z grillem, a Marcus za nim. Martini kupił paczkę papierosów i znowu zamówił kawę. Marcus ukrył się za stojakiem z gazetami, udając, że przegląda tygodniki, ale nie spuszczał go z oka, gdy ten dopijał kawę przy ladzie. Skończywszy, Martini spojrzał w obiektyw kamery ochrony umieszczonej nad kasą i znieruchomiał na kilka sekund.

Chce być na filmie, pomyślał Marcus.

Martini odstawił filiżankę i ruszył w dół schodami prowadzącymi do toalety, a Marcus za nim. Wszedł przez drzwi ze sprężyną i stwierdziwszy, że są sami, przeszedł obok Martiniego, który mył ręce. Stanął dwie umywalki dalej i odkręcił kran. Martini przyjrzał mu się w lustrze, ale bez szczególnego zainteresowania.

— Panie Martini, potrzebuje pan alibi?

Pytanie zaskoczyło mężczyznę.

— O co panu chodzi?

— Bankomat, stacja benzynowa, plac serwisowy, we wszystkich tych miejscach są kamery. Wśród kibiców, którzy zebrali się w barze, żeby obejrzeć mecz, też znajdzie się ktoś, kto zwrócił na pana uwagę. Sprytny pomysł, żeby zapłacić mandat. Także ta mała wycieczka autostradą, ponieważ bramki wjazdowe rejestrują wjazd i wyjazd. Zostawia pan ślady, żeby było wiadomo, gdzie pan był. Ale dokąd tak naprawdę pan jedzie?

Mężczyzna podszedł do Marcusa z groźną miną.

— Czego pan ode mnie chce?

Marcus odpowiedział mu takim samym spojrzeniem, bez cienia strachu.

— Chcę panu pomóc.

Wydawało się, że mężczyzna zamierza go uderzyć, ale się powstrzymał. Sposób, w jaki poruszał potężnymi dłońmi, a także cała jego postawa zdradzały porywczy charakter. Przypominał lwa gotowego do ataku.

— Jest pan gliną?

Marcus nie odpowiedział, nie chcąc wyprowadzać go z błędu.

— Alberto Canestrari, Astor Goyash, zna pan te nazwiska?

Martini nie zareagował, wydawał się tylko zaskoczony.

— Zna ich pan czy nie? — powtórzył pytanie Marcus.

— Można wiedzieć, kim jesteś, palancie?

— Uciekasz, prawda? Nie różnisz się ode mnie, ty też próbujesz komuś pomóc. Komu?

Bruno Martini cofnął się o krok, jakby dostał pięścią w twarz.

— Nie mogę powiedzieć.

— Musisz, inaczej wszystko na nic. Ta osoba nie wymierzy

sprawiedliwości. Umrze dziś wieczorem. — Marcus zbliżył się do niego. — Komu pomagasz?

Mężczyzna oparł się o umywalkę i uniósł dłoń do czoła.

— Przyszła do mnie wczoraj, powiedziała mi, że jej zaginiony syn nie żyje i że może znaleźć jego mordercę.

— Camilla Rocca. — Marcus się tego nie spodziewał.

Martini skinął głową.

— Połączyło nas to, co spotkało obie nasze rodziny trzy lata temu. Wskutek zaginięcia Alice i Filippo stali się jak brat i siostra. Poznałem Camillę w komisariacie, związało nas cierpienie. Camilla była przy mnie, kiedy rzuciła mnie żona. Tylko ona mnie rozumiała. Dlatego nie mogłem jej odmówić, kiedy poprosiła mnie o pistolet.

Marcus nie wierzył własnym uszom. Rodzina, która potrafiła poradzić sobie z nieszczęściem i postarała się o drugie dziecko, żeby spróbować stanąć znowu na nogi. Były to tylko pozory. Teraz poznał plan Camilli. Nie powiedziała nic mężowi. Skorzystała z tego, że wyjechał z miasta, bo gdyby coś jej się stało, on zaopiekowałby się dzieckiem. To dlatego dziś po południu dziecka nie było w domu. Oddała je komuś pod opiekę.

— Camilla wiedziała, że masz pistolet. Dałeś go jej, a potem starałeś się stworzyć sobie alibi, na wypadek gdyby coś się nie udało i policja powiązała broń z tobą, ponieważ użyłeś jej już, kiedy wbiłeś sobie do głowy, że sam wymierzysz sprawiedliwość. — Marcus miał świadomość, że go przygwoździł i facet nie może już zaprzeczyć niczemu. — Czy Camilla powiedziała ci, co zamierza zrobić?

— Kilka dni temu ktoś do niej zadzwonił. Anonimowy rozmówca poinformował ją, że jeśli chce znaleźć człowieka, który kazał zabić jej syna Filipa, powinna dziś wieczorem pójść do pewnego hotelu. I że

zleceniodawca nazywa się Astor Goyash.

— Który to hotel? — zapytał Marcus.

Martini wbił wzrok w podłogę.

— Zastanawiałem się, co ja bym zrobił w tej sytuacji — odezwał się po chwili. — Nie wiedziałem, czy to prawda, czy niestosowny żart. Ale niepewność sprawia, że człowiek gotów jest uwierzyć we wszystko. Ta niepewność jest nie do wytrzymania. To tortura, można oszaleć.

— Tylko że nie zakończą jej strzały z pistoletu... Proszę, powiedz mi, gdzie jest teraz Camilla Rocca.

— Hotel Exedra, pokój trzysta trzy.



## Godzina 20.00

Temperatura obniżyła się o kilka stopni, co sprawiło, że pojawiła się leciutka mgiełka, zabarwiona na pomarańczowo w świetle latarni. Wyglądało to tak, jakby gdzieś się paliło. Sandra spodziewała się, że w każdej chwili może zobaczyć płomienie.

Na placu z obeliskiem i małym słoniem wierni przystawali, żeby porozmawiać po zakończeniu mszy. Przecisnęła się między nimi i weszła do bazyliki Santa Maria sopra Minerva. Tym razem kościół nie był pusty. Kręcili się po nim turyści i wierni. Ich obecność uspokoiła Sandrę. Skierowała się prosto do kaplicy Świętego Rajmunda z Peñafort. Chciała zrozumieć.

Dotarłszy do skromnego ołtarza, znalazła się znowu przed obrazem świętego. Widoczny na prawo od niego fresk *Chrystus sędzia między dwoma aniołami* spowijał dym z wotywnych gromnic i świec. Kto wie w jakiej intencji się palą i za jakie grzechy. Sandra już rozumiała sens otaczających ją symboli. To było miejsce, w którym wymierzano sprawiedliwość.

Trybunał Sumienia, pomyślała.

W porównaniu z innymi kaplicami w bazylice ta była skromna i surowa. Freski wyobrażały sąd: sędzią był Chrystus, po obu jego bokach stali aniołowie, a święty Rajmund — penitencjariusz — przedstawiał mu sprawę.

Sandra uśmiechnęła się do siebie. Znalazła potwierdzenie, że nie została tu sprowadzona przypadkowo. Nie była ekspertem od balistyki, ale teraz mogła spokojnie przeanalizować wczorajszą strzelaninę. Echo strzałów

odbijało się w całym kościele, co nie pozwoliło jej ustalić, gdzie stał strzelec. Ale po przygodzie w tunelu pod mieszkaniem Lary miała wątpliwości, czy naprawdę ktoś chciał ją zabić. W tunelu miał doskonałą okazję, żeby to zrobić, ale z niej nie skorzystał. Coś jej mówiło, że to ta sama osoba.

Ktoś, kto zwabił ją do bazyliki, chciał sprawdzić, co ona wie. David coś odkrył, miał informacje, które ktoś za wszelką cenę chciał poznać. Ktoś, kto najpierw ją nastraszył, a potem chwalił się, że zna jej męża. Użył jej jako przynęty, żeby dotrzeć do penitencjariusza. Dlatego znalazł się w tunelu. Sandra obejrzała się przez ramię i zobaczyła go w otoczeniu grupy wiernych.

Shalber się jej przyglądał. Nie miał powodu, żeby się ukrywać.

Położyła rękę na kaburze ukrytej pod bluzą, chcąc dać mu do zrozumienia, że gdy on zrobi jakiś nieostrożny ruch, strzeli. Shalber rozłożył ręce i podszedł do niej wolnym krokiem, dając do zrozumienia, że nie ma wrogich zamiarów.

— Czego chcesz? — spytała.

— Przypuszczam, że już wszystko rozumiesz.

— Czego chcesz? — powtórzyła nieco głośniej.

Shalber spojrzał na Chrystusa sędziego.

— Wytłumaczyć się.

— To ty do mnie strzelałeś.

— Wsunąłem ci święty obrazek pod drzwi i zwabiłem cię tutaj, ponieważ chciałem zdobyć zdjęcia Davida. Ale kiedy wybrałaś numer mojej komórki, zrozumiałem, że muszę działać, bo inaczej wszystko stracę. Improvizowałem.

— Co odkrył mój mąż w związku z tym miejscem?

— Nic.

— Więc udawałeś, że ratujesz mi życie, nadużyłeś mojego zaufania i

naopowiadałeś mi bajek o przyjaźni z moim mężem. — Chciała dodać jeszcze: zaciągnąłeś mnie do łóżka i dałeś mi do zrozumienia, że coś do mnie czujesz, ale zrezygnowała z tego. — A wszystko po to, żeby zdobyć zdjęcie księdza ze szramą na skroni?

— Udawałem, to prawda, dokładnie tak samo jak ty. Domyśliłem się, że mnie okłamujesz, że nie pokazałaś mi wszystkich zdjęć. A u mnie kłamcy nie mają żadnych szans, mówiłem ci to, pamiętasz? Zawarłaś z tym księdzem jakiś układ, prawda? Masz nadzieję, że pomoże ci znaleźć mordercę Davida.

Sandra była wściekła.

— Dlatego mnie śledziłeś. Chciałeś zobaczyć, czy znowu się z nim spotkam.

— Śledziłem cię także po to, żeby cię chronić.

— Zamknij się — rzuciła ostro Sandra. — Nie chcę słuchać tych kłamstw.

— Ale musisz usłyszeć, że twojego męża zabił penitencjariusz.

Informacja wstrząsnęła nią, ale starała się tego nie okazać.

— Teraz jest ci wygodnie mi o tym mówić. Myślisz, że ci uwierzę?

— Nie zadałaś sobie pytania, dlaczego w pewnym momencie Watykan postanowił zlikwidować zakon penitencjariuszy? Co takiego musiało się stać, że papież podjął podobną decyzję? Coś, co nie zostało nigdy ujawnione. Rodzaj... skutku ubocznego ich działalności.

Sandra milczała. Miała nadzieję, że Shalber na tym nie poprzestanie.

— Archiwum Paenitentiarie Apostolica jest miejscem, w którym od bardzo dawna bada się i analizuje zło. Jednak każdy penitencjariusz ma dostęp tylko do ograniczonej części dokumentów, aby zachować poufność i aby poszczególni penitencjariusze nie byli obciążeni wiedzą o zbyt wielu potwornościach. Ci mnisi ulegli złudzeniu, że jeśli zgromadzą możliwie

najwięcej świadectw popełnionych grzechów, rozumieją, jaką rolę zło odgrywało w dziejach człowieka. Jednak mimo wysiłków, żeby je sklasyfikować, zło zawsze umiało znaleźć sposób, żeby wyjść poza wszelkie schematy i nie dać się przewidzieć. Zawsze zdarzały się anomalie, drobne odstępstwa, dlatego penitencjariusze ze zwykłych badaczy i archiwistów zamienili się w śledczych wymierzających sprawiedliwość. Najważniejszą rzeczą, jakiej się nauczyli, było to, że raz wygenerowane zło generuje następne. Jest jak zaraza. Ale penitencjariusze nie wzięli pod uwagę tego, że zło może dotknąć także ich, ponieważ są ludźmi.

— Chcesz powiedzieć, że z biegiem czasu zło sprowadziło ich na manowce?

Shalber skinął głową.

— Nie można mieć do czynienia z mroczną siłą i nie odczuć jej wpływu. Nie bez powodu penitencjariusze nie znali całej zawartości archiwum, ale z biegiem lat to się zmieniło. — Ton Shalbera złagodniał. — Pomyśl, Sandro, jesteś przecież policjantką, czy zawsze udaje ci się oddzielać życie prywatne od tego, co oglądasz na miejscach zbrodni, co fotografujesz? Czy też coś z tego bólu, tego cierpienia, tej niegodziwości idzie za tobą do twojego domu?

Przypomniał jej się jaskrawozielony krawat Davida. Uświadomiła sobie, że Shalber może mieć rację.

— Ilu kolegów poddało się z tego powodu? Ilu przeszło na drugą stronę barykady? Funkcjonariusze mający za sobą nienaganną służbę dają się przekupić jakiemuś handlarzowi narkotyków. Policjanci, którym powierzyłabyś życie, a którzy zapominają o swojej roli i biją bestialsko podejrzanego pod pretekstem, że chcą go zmusić do mówienia. Ci, którzy nadużywają władzy i dają się skorumpować, to ludzie, którzy się poddali, zrozumieli, że nic się nie da zrobić. Choć próbowali naprawić krzywdy, zło

zawsze wygrywało.

— To są wyjątki.

— Wiem, ja też jestem gliną. Ale to nie oznacza, że nie mogą się zdarzyć.

— I przydarzyły się penitencjariuszom?

— Ojciec Devok nie mógł się z tym pogodzić. Nadal potajemnie werbował kapłanów. Był przekonany, że uda mu się zapanować nad sytuacją, ale za naiwność zapłacił życiem.

— Dlatego nie wiesz, kim był człowiek, który zabił Davida. Może to nawet był ten ksiądz ze szramą na skroni.

— Naprawdę nie wiem.

Sandra spojrzała na niego uważnie, zastanawiając się, czy jest szczery. Potem pokręciła z rozbawieniem głową.

— Co za idiotka ze mnie, niewiele brakowało, a znowu bym wpadła w twoje sidła.

— Nie wierzysz mi?

Spojrzała na niego wrogo.

— Mam prawo przypuszczać, że ty sam mógłbyś być zabójcą mojego męża. — Powiedziała to, kładąc nacisk na słowa „mojego męża”, jakby chciała podkreślić różnicę między nim i Davidem, a także to, jak niewiele znaczy dla niej noc, którą spędzili razem.

— Co mam zrobić, żeby cię przekonać, że tak nie jest? Chcesz, żebym pomógł ci znaleźć mordercę?

— Mam już dość układów. Poza tym jest prostszy sposób.

— Jaki?

— Chodź ze mną. Jest tu komisarz, do którego mam zaufanie, nazywa się Camusso. Opowiemy mu wszystko i poprosimy o pomoc.

Shalber zastanawiał się przez chwilę.

— Jasne, czemu nie? Jedźmy do niego od razu — powiedział wreszcie.

— Dobrze. Ale gdy będziemy stąd wychodzili, idź przodem.

— Jeśli dzięki temu będziesz spokojniejsza... — Shalber ruszył nawą.

Zbliżała się pora zamykania bazyliki i wierni gromadzili się przy głównym wyjściu. Sandra szła kilka metrów za agentem, a on co jakiś czas oglądał się za siebie, żeby sprawdzić, gdzie ona jest. Niebawem wchłonęła go grupa ludzi tłoczących się przy drzwiach, ale Sandra ciągle miała go na oku. Shalber spojrzał na nią i rozłożył ręce, dając do zrozumienia, że nie ma wpływu na to, co się dzieje. Po chwili ona również utknęła w posuwającym się powoli tłumie wiernych. Mężczyzna przed nią potknął się i upadł. Podniosły się głosy oburzenia pod adresem osoby, która go popchnęła. Sandra domyśliła się, co się stało, i z trudem przepchnęła się do przodu. Ale nie dostrzegła już pleców agenta. Rozpychając się łokciami, zdołała wreszcie dotrzeć do drzwi. Gdy wyszła na dziedziniec, stwierdziła, że Shalber zniknął.

## Godzina 20.34

Wystarczył jeden telefon, żeby dać Camilli motyw. Bez żadnego dowodu. Miała wreszcie to nazwisko — Astor Goyash — i to jej wystarczało.

Hotel Exedra zbudowano na dawnym Piazza dell' Esedra. W latach pięćdziesiątych plac otrzymał nazwę Piazza della Repubblica, ale rzymianie nigdy jej nie zaakceptowali i nadal używali poprzedniej. W pobliżu można było podziwiać ruiny term Dioklecjana.

Luksusowy hotel stał naprzeciwko wielkiej fontanny Najad, po lewej stronie placu. Marcus potrzebował pół godziny, aby dojechać tu z autostrady. Miał nadzieję, że zdąży powstrzymać Camillę, zanim zrobi coś nieodwracalnego.

Nie wiedział, co go czeka. Nie wiedział też, dlaczego zginął mały Filippo. Tym razem tajemniczy penitencjariusz nie podsunął mu żadnych tropów.

„Dorównujesz mi swoimi zdolnościami. Jesteś taki jak on” — powiedział Clemente. Ale nie była to prawda. Marcus nawet nie próbował się domyślić, gdzie ukrywa się jego zakonny kolega. Był jednak pewny, że go obserwuje, śledzi każdy jego ruch. Pojawi się, powiedział sobie w duchu. Był przekonany, że w końcu się spotkają. I że tamten wszystko mu wyjaśni.

Wszedł do hotelu, mijając odźwiernego w cylindrze i liberii. Marmury lśniły w świetle kryształowych żyrandoli. Zatrzymał się w głównym holu i zadał sobie pytanie, jak odnaleźć Camillę.

Zobaczył liczną grupę młodych ludzi w wieczorowych strojach, którzy właśnie wchodzili. W tym samym momencie do recepcji podszedł posłaniec,

niosąc dużą paczkę z czerwoną kokardą.

— To dla pana Astora Goyasha.

Portier wskazał ręką w głąb sali.

— Urodziny obchodzone są na tarasie.

Marcus przypomniał sobie, że w domu Camilli Rokki widział pudło z prezentem, a także nową sukienkę.

Zobaczył, że posłaniec staje wraz z innymi gośćmi przy windzie. Wsiadających do niej kontrolowało dwóch osiłków, którzy gonili go po wizycie w gabinecie Canestrarięgo, a potem w klinice.

Tęgo wieczoru Astor Goyash na pewno tu jest, ale nikt obcy nie zdoła do niego podejść. Jednak tajemniczy penitencjariusz podpowiedział Camilli jakiś sposób.

Marcus powinien dotrzeć do pokoju trzysta trzy, zanim znajdzie się tam Camilla.

Drzwi hotelu otworzyły się i weszła grupa ochroniarzy otaczająca niezbyt wysokiego mężczyznę pod siedemdziesiątkę. Miał szpakowate włosy, opaloną, poorly zmarszczkami twarz i lodowate spojrzenie.

Astor Goyash.

Marcus zlustrował hol, obawiając się, że nagle pojawi się Camilla. Goyasha poprowadzono do innej windy. Kiedy jej drzwi się zamknęły, Marcus zwrócił się do portiera, pytając o pokój, który zarezerwował niedawno, posługując się komórką Brunona Martiniego. Portier poprosił o dokument tożsamości i Marcus pokazał fałszywy paszport dyplomatyczny z herbem Watykanu, który Clemente dał mu na początku szkolenia.

— Czy pani Camilla Rocca już przyjechała?

Portier spojrzał na niego uważnie, niepewny, czy udzielić mu informacji. Marcus wytrzymał jego spojrzenie, a tamten ograniczył się do potwierdzenia,



że ta pani zajęła swój pokój godzinę temu. Marcusowi to wystarczyło. Podziękował mu i odebrał kartę do drzwi — jego pokój znajdował się na drugim piętrze. Skierował się do innego rzędu wind, niepilnowanych przez ludzi Goyasha. Znalazłszy się w kabinie, nacisnął guzik trzeciego piętra.

Drzwi otworzyły się, ukazując długi korytarz. Rozejrzał się, ale nie zobaczył żadnego z hotelowych detektywów. To wydało mu się dziwne. Odczytując numery na drzwiach, ruszył w kierunku pokoju trzysta trzy. Skręcił za róg i po przebyciu około dziesięciu metrów znalazł się przed nim. Nie było nikogo z ochrony i także to wydało mu się nienormalne. Być może byli w środku z Goyashem. Na klamce wisiała kartka z napisem „Nie przeszkadzać”. Marcus zapukał. Po mniej więcej dwudziestu sekundach odezwał się żeński głos:

— Kto tam?

— Służba ochrony hotelu. Przepraszam, że pani przeszkadzam, ale odezwał się czujnik dymu w pani pokoju.

Zamek zachrzącił i drzwi się otworzyły. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu Marcus zobaczył jasnowłosą dziewczynę, która mogła mieć najwyżej czternaście lat. Była owinięta ręcznikiem i miała zamglone spojrzenie, jak po zażyciu narkotyku.

— Zapaliłam papierosa, nie sądziłam, że robię coś złego — usprawiedliwiła się.

— Proszę się nie martwić, ale muszę sprawdzić. — Nie czekając na zaproszenie, minął ją i wszedł do środka.

Był to apartament. Pierwszy pokój urządzone jak salon, miał podłogę z ciemnych drewnianych klepek. Przed ogromnym telewizorem plazmowym stały kanapa i barek na kółkach. W rogu leżały paczki z prezentami. Marcus rozejrzał się po wnętrzu. Wydawało się, że oprócz dziewczyny nikogo nie

ma.

— Czy jest pan Goyash?

— W łazience. Jeśli pan chce, to go poproszę.

Marcus skierował się do sąsiedniego pokoju.

Dziewczyna ruszyła za nim, zapominając zamknąć drzwi.

— Hej, dokąd pan idzie?

W pokoju stało duże niepościelone łóżko. Na stoliku z lustrem rozsypana była kokaina i leżał banknot zwinięty w rulonik. Telewizor był włączony, migotał na nim jakiś teledysk.

— Proszę natychmiast stąd wyjść — powiedziała ostro dziewczyna.

Marcus zakrył ręką jej usta i spojrzał na nią surowo, dając do zrozumienia, że ma być cicho. Podeszedł do drzwi łazienki i spojrzał pytająco na dziewczynę. Kiwnęła głową na znak, że Goyash jest w środku. Płynąca z telewizora muzyka nie pozwalała usłyszeć, co robi Goyash.

— Jest uzbrojony?

Dziewczyna pokręciła głową. Marcus domyślał się, że to z powodu tej nastolatki bułgarski aferzysta uwolnił się od eskorty. Przed przyjęciem urodzinowym chciał zrobić sobie mały prezent składający się z seksu i kokainy.

Marcus już miał poprosić dziewczynę, żeby wyszła do drugiego pokoju, gdy odwróciwszy się, zobaczył stojącą w progu Camillę Roccę. Na podłodze dostrzegł otwarte pudło z prezentem. Trzymała w ręku pistolet. W jej oczach malowała się nienawiść.

Wyciągnął rękę, jakby chciał ją powstrzymać. Dziewczyna pisnęła, ale jej głos zagłuszyła rockowa piosenka płynąca z telewizora. Marcus odsunął ją na bok i przerażona czternastolatka skuliła się na łóżku.

Camilla oddychała szybko.

— Astor Goyash? — Wiedziała oczywiście, że powinna zobaczyć przed sobą siedemdziesięciolatka.

— Wiem, co chcesz zrobić, ale w ten sposób niczego nie załatwisz — powiedział spokojnie Marcus.

Kobieta zauważyła światło pod drzwiami łazienki.

— Kto tam jest? — spytała, unosząc pistolet.

Marcus zdawał sobie sprawę, że strzeli, gdy tylko drzwi się otworzą.

— Posłuchaj mnie. Pomyśl o swoim dziecku. Jak ono ma na imię? — Chciał zyskać na czasie, ale Camilla nie odpowiadała, tylko wpatrywała się w drzwi. Spróbował jeszcze raz: — Pomyśl o swoim mężu. Nie możesz zostawić ich samych.

W oczach Camilli błysnęły łzy.

— Filippo był takim miłym dzieckiem — szepnęła.

Marcus postanowił być twardy.

— Pomyślałaś, co się stanie, gdy naciśniesz spust? Jak poczujesz się potem? Zapewniam cię, nic się nie zmieni, wszystko zostanie tak, jak jest. Nie odczujesz ulgi. Nadal będzie ci ciężko. Co przez to osiągniesz?

— Nie ma innego sposobu, żeby wymierzyć sprawiedliwość.

Marcus wiedział, że kobieta ma rację. Brakowało dowodów, które mogłyby powiązać Astora Goyasha z Canestrarim i Filippem. Jedyne — kość znalezioną w klinice — zabrali jego ludzie.

— Nie wymierzysz sprawiedliwości — powiedział stanowczym, współczującym tonem. — Zemsta nie jest jedynym sposobem, jaki ci pozostał. — Rozpoznał u niej to samo spojrzenie, jakie widział u Raffaele Altieriego, zanim strzelił do ojca. Tę samą determinację, z jaką Pietro Zini szykował się, żeby wymierzyć sprawiedliwość Federicowi Noniemu. Dlatego wiedział, że gdy tylko drzwi łazienki się otworzą, Camilla naciśnie spust.

Zobaczyli, że klamka się poruszyła. Światło w łazience zgasło i drzwi otworzyły się na oścież. Dziewczyna krzyknęła z łóżka. W drzwiach pojawiła się postać w białym szlafroku. Okryty nim człowiek utkwiał wzrok w lufie pistoletu, a jego skamieniałe oczy w jednej chwili wypełniły się łzami. Nie był to siedemdziesięcioletni starzec.

W drzwiach stał piętnastoletni chłopak.

Marcus spojrzał na Camillę, która wpatrywała się w chłopaka.

— Gdzie jest Astor Goyash? — zapytała.

Chłopiec odpowiedział tak cicho, że nikt go nie usłyszał.

— Gdzie jest Astor Goyash? — powtórzyła Camilla, cały czas w niego celując.

— To ja — wyjąkał chłopak.

— Nie, to nie ty — odparła Camilla.

— A więc... może chodzi o mojego dziadka... Na górze odbywa się moje przyjęcie urodzinowe, on tam jest.

Camilla uświadomiła sobie pomyłkę i zawahała się. Marcus skorzystał z tego, żeby do niej podejść i położyć rękę na pistolecie, a potem wymóc na niej, żeby powoli go opuściła.

— Wychodzimy — powiedział. — Nie mamy tu nic do roboty. Chyba nie chcesz zabić tego chłopaka tylko dlatego, że jego dziadek zamieszany jest w śmierć twojego synka? To by nawet nie była zemsta, ale okrucieństwo. A ja wiem, że nie jesteś do tego zdolna.

Camilla już miała go posłuchać, ale nagle się rozmyśliła.

Marcus poszedł za jej spojrzeniem i zobaczył, że znowu przygląda się chłopcu. Wpatrywała się w jego klatkę piersiową widoczną pod rozchylonym szlafrokiem. Ruszyła w jego stronę, a chłopak cofnął się i opierł plecami o ścianę. Camilla rozsunęła łagodnie poły szlafroka, odsłaniając długą bliznę,

którą miał na mostku.



Marcusa przeszedł dreszcz, nie mógł oddychać. Mój Boże, co oni zrobili! — pomyślał.

Wnuczek Astora Goyasha miał tyle samo lat co Filippo Rocca. Alberto Canestrari był chirurgiem. Trzy lata temu popełnił morderstwo na zamówienie, żeby zdobyć serce.

Ale Camilla z pewnością nie mogła się tego domyślić, powiedział sobie Marcus. Mimo to coś — przeczucie, instynkt macierzyński, szósty zmysł — kazało jej podejść do chłopaka.

Położyła rękę na jego piersi i przez długą chwilę wsłuchiwała się w bicie serca.

Camilla i chłopak spojrzeli na siebie. Czy matka Filippa szukała w jego oczach światełka, które by jej powiedziało, że on również jest jej synem? Czy może objawienia, że Filippo ją widzi?

Marcus tego nie wiedział, ale uświadomił sobie, że jedyny dowód, jaki mógłby powiązać starego Astora Goyasha ze śmiercią dziecka, zamknięty jest w piersi jego wnuka. Wystarczyłoby porównać DNA tkanki pobranej z organu z DNA rodziców Filippa. Jednak Marcus nie był pewny, czy w tym przypadku wymierzenie sprawiedliwości przyniesie pociechę cierpiącej matce. Postanowił milczeć. Chciał tylko zabrać Camillę z pokoju. Ta kobieta ma dziecko, o którym powinna myśleć.

Ujął ją za ramiona, chcąc poprowadzić do drzwi.

Poddała się, odrywając wolno dłoń od piersi chłopca, jakby w ostatniej pożegnalnej pieszczocie.

A potem ruszyła z Marcusem do drzwi. Szli korytarzem do windy. Nagle

Camilla odwróciła się do niego, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego obecności.

— Wiem, kim jesteś. Księdzem, prawda?

Nie odpowiedział, tylko kiwnął głową.

— On mówił mi o tobie.

Marcus domyślił się, że Camilli chodzi o tajemniczego penitencjariusza, i jej nie przerwał.

— Tydzień temu powiedział mi przez telefon, że cię tu spotkam. — Camilla przechyliła głowę i spojrzała na niego z dziwnym wyrazem twarzy. Miał wrażenie, że się o niego boi. — Prosił, żebym ci powiedziała, że spotkacie się tam, gdzie wszystko się zaczęło. „Ale tym razem będziesz musiał szukać diabła”.

## *Godzina 22.07*

Sandra wsiadła do autobusu linii pięćdziesiąt dwa na pętli na Piazza San Silvestro, aby wysiąść na wysokości via Paisiello. Stamtąd innym autobusem dotarła do Piazza Euclide. Zeszła na podziemny dworzec kolejowy i wsiadła do pociągu jadącego z Viterbo do Rzymu, pokonującego ostatni odcinek podziemnym tunelem łączącym północne dzielnice miasta z centrum. Jedyny przystanek znajdował się pod Piazza Flaminio. Tam przesiadła się do metra, żeby pojechać do dzielnicy Anagnina. Dotarwszy do przystanku Furio Camillo, złapała taksówkę.

Każda przesiadka trwała kilka sekund, a trasa była przypadkowa, wybrana tylko po to, aby zgubić tych, którzy mogli ją śledzić.

Sandra nie ufała Shalberowi. Agent Interpolu okazał się sprytny, przewidział jej ruchy. Mimo iż zdołał jej się wymknąć, była pewna, że zaczął się gdzieś w pobliżu, żeby znowu ruszyć za nią jak cień. Miała jednak nadzieję, że teraz go zgubiła.

Przed powrotem do hotelu zamierzała złożyć wizytę nowemu znajomemu.

Taksówka dowiozła ją do głównego wejścia wielkiej polikliniki. Ostatni odcinek pokonała na piechotę, kierując się wskazówkami na tabliczkach. Wreszcie dotarła do małego budynku, w którym mieścił się oddział intensywnej terapii.

Pracownicy kliniki Gemelli nazywali go granicą.

Przeszła przez pierwsze przesuwane drzwi i znalazła się w poczekalni, w

której stały cztery rzędy połączonych ze sobą plastikowych krzeseł. Były niebieskie, jak otaczające je ściany. Ten sam kolor miały też kaloryfery, fartuchy lekarzy i pielęgniarek, a nawet dystrybutor wody pitnej.

Drugie drzwi stanowiły barierę bezpieczeństwa. Aby wejść dalej — na oddział intensywnej terapii — trzeba było mieć kartę, która uruchamiała zamek elektroniczny. Wejścia pilnował policjant. Jego obecność przypominała, że na oddziale leczony jest pacjent, który może być niebezpieczny. Sandra pokazała koledze legitymację policyjną, a pielęgniarka poleciła jej włożyć ochraniacze na buty, sterylny fartuch i czepek, po czym wpuściła ją do środka.

Sandra zobaczyła przed sobą długi korytarz, który przypominał akwarium w Genui, w którym była kilka razy z Davidem. Uwielbiała ryby i całymi godzinami mogła przyglądać się jak zahipnotyzowana ich ruchom. Teraz miała przed sobą szereg szklanych ścian, za którymi znajdowały się sale reanimacyjne. Światło było przyćmione, panowała dziwna cisza. Dopiero gdy ktoś się w nią wsłuchał, wyławiał odgłosy ciche jak oddechy.

Wydawało się, że całe to miejsce pogrążone jest we śnie.

Idąc po podłodze wyłożonej linoleum, przeszła obok boks, w którym przed tablicą pełną wskaźników siedziały w półmroku dwie pielęgniarki. Na ich twarze padał odblask monitorów. Przy metalowym biurku siedział młody lekarz i coś pisał.

Dwie pielęgniarki i lekarz stanowili zespół pełniący nocny dyżur. Sandra przedstawiła się i spytała, gdzie jest pokój Smitha.

Przechodząc, przyglądała się ludziom leżącym nieruchomo na łózkach, zanurzonym w morzu ciszy.

Skierowała się w stronę ostatniej szklanej przegrody. Zbliżając się, zauważyła, że ktoś siedzi przy pacjencie. Była to młoda, drobna kobieta w



białym fartuchu, mniej więcej w jej wieku. Sandra podeszła do niej. W sali stało sześć łóżek, ale tylko jedno było zajęte. Jeremiaś Smith był zaintubowany i jego pierś podnosiła się i opadała miarowo. Wydawało się, że ma dużo więcej niż pięćdziesiąt lat.

Dopiero teraz młoda kobieta się odwróciła i Sandra odniosła wrażenie, że ją zna. Po chwili przypomniała sobie, gdzie ją widziała, i to wspomnienie przyprawiło ją o dreszcz. Przy łóżku tego potwora siedział sobowtór jednej z jego ofiar.

— Teresa — powiedziała Sandra.

Kobieta się uśmiechnęła.

— Mam na imię Monica, jestem jej siostrą bliźniaczką.

Dziewczyna, którą miała przed sobą, była nie tylko siostrą jednej z niewinnych ofiar Jeremiaha, ale także lekarką, która uratowała mu życie.

— Nazywam się Sandra Vega, jestem z policji. — Wyciągnęła rękę, żeby się przywitać.

Dziewczyna ją uścisnęła.

— Jesteś tu po raz pierwszy? — spytała.

— Po czym to poznałaś?

— Po sposobie, w jaki na niego patrzyłaś.

Sandra przyjrzała się Jeremiahowi Smithowi.

— Jak to, jak na niego patrzyłam?

— Powiedziałabym, że tak, jak się patrzy na czerwoną rybkę w akwarium.

Sandra pokręciła z uśmiechem głową.

— Powiedziałam coś niestosownego? — spytała lekarka.

— Nie, nic. Nie przejmuj się.

— Ja przychodzę tu co wieczór. Przed nocnym dyżurem albo gdy

schodzę z dziennego. Siedzę przez kwadrans, a potem odchodzę. Nie wiem, dlaczego to robię.

Sandra podziwiała odwagę Moniki.

— Dlaczego go uratowałaś?

— Dlaczego ciągle mnie o to pytacie? — Młoda lekarka nie była jednak zagniewana. — Powinniście raczej pytać: dlaczego nie zostawiłaś go własnemu losowi, żeby umarł? To są dwie różne sprawy, nie uważasz?

Rzeczywiście, Sandra o tym nie pomyślała.

— Jeśli mnie zapytasz, czy chciałabym zabić go teraz, odpowiem ci, że zrobiłabym to, gdybym nie obawiała się konsekwencji. Ale jaki sens miało pozostawienie go tam, żeby umarł? Jak normalny człowiek, który dociera do kresu i umiera? On nie jest taki jak inni. Nie zasługuje na to. Moja siostra nie miała takiej możliwości.

Sandra stwierdziła, że powinna to przemyśleć. Szukała zabójcy Davida i powtarzała sobie, że musi poznać prawdę, żeby nadać sens śmierci męża. Żeby wymierzyć sprawiedliwość. Ale jak by się zachowała, gdyby znalazła się na miejscu Moniki?

Młoda lekarka ciągnęła:

— Nie, moją zemstą jest to, że widzę go na tym łóżku. Żadnego procesu, żadnych sędziów. Żadnego prawa i wykrętów. Żadnej ekspertyzy psychiatrycznej, żadnych okoliczności łagodzących. Prawdziwym odwetem jest pewność, że on pozostanie w tym stanie, będzie więźniem swojego ciała. Z tego więzienia na pewno już nie wyjdzie. A ja będę mogła przychodzić co wieczór, żeby spojrzeć mu w twarz i powiedzieć sobie, że sprawiedliwości stało się zadość. — Odwróciła się do Sandry. — Ile osób spośród tych, których bliskich ktoś zabił, może cieszyć się takim przywilejem?

— Rzeczywiście, tak to wygląda.

— Robiłam mu masaż serca, kładąc dłonie na tym tatuażu... „Zabij mnie”. — Wzdrygnęła się z odrazą. — Na moich ubraniach pozostał fetor jego odchodów, jego moczu, a między palcami jego ślina. — Zamilkła na chwilę. — W mojej pracy widuje się różne rzeczy. Choroba wyrównuje rachunki. Ale prawdą jest, że my, lekarze, nikogo nie ratujemy. Ponieważ każdy ratuje się sam. Wybierając lepsze życie, właściwą drogę. Każdy skończy we własnych odchodach, ale dopiero w takim dniu odkrywamy, kim naprawdę jesteśmy.

Sandrę zdumiała mądrość lekarki. A przecież ta dziewczyna była mniej więcej w jej wieku, wydawała się taka delikatna. Sandra miała ochotę zostać tu i z nią rozmawiać.

Monica spojrzała na zegarek.

— Przykro mi, że cię zatrzymałam. Idę, niedługo zacznę dyżur.

— Miło było cię poznać. Dużo się od ciebie nauczyłam.

Lekarka się uśmiechnęła.

— Mój ojciec powtarza, że rośnie się także dzięki sile, z jaką cię policzkują.

Sandra patrzyła za nią, kiedy oddalała się pustym korytarzem. W jej głowie znowu pojawiła się ta myśl. Ale i tym razem ją odpędziła: przekonanie, że to Shalber zabił jej męża. A ona poszła z nim do łóżka. Ale potrzebowała tych pieszczot. David by to zrozumiał.

Podeszła do sterylnego pojemnika, wyjęła z niego maseczkę i ją założyła. A potem przekroczyła próg małego piekła, w którym był tylko jeden potępieniec.



Zbliżając się do łóżka Jeremiaha Smitha, liczyła kroki. Sześć. Nie,

siedem. Wbiła w niego wzrok. Czerwona rybka była w zasięgu ręki. Z zamkniętymi oczami, otoczona lodowatą obojętnością. Ten człowiek nie budził żadnych uczuć. Ani strachu, ani współczucia.

Obok łóżka stał fotel. Sandra na nim usiadła. Oparła łokcie na kolanach, spłotła palce i pochyliła się w stronę leżącego. Pomyślała, że chciałaby czytać w jego myślach, żeby zrozumieć, co popchnęło go do wyrządzenia zła. Na tym właśnie polega praca penitencjariuszy. Na badaniu ludzkiej duszy, na poszukiwaniu głębszych motywacji wszelkich poczynań. Natomiast ona, jako policyjny fotograf, przyglądała się oznakom zewnętrznym, ranom, jakie zło zostawia w świecie.

Przypomniała sobie ciemne zdjęcie z filmu zrobionego leicą.

To jest moja granica, powiedziała sobie. Nie mając obrazu, który został bezpowrotnie utracony, być może z powodu niewłaściwego ustawienia migawki, nie mogła iść dalej drogą wskazaną jej przez Davida.

Nie wiadomo, czy na tym zdjęciu cokolwiek jest.

To, co mogła zobaczyć na fotografiach, było dla niej źródłem szczegółów, ale także barierą. Chciałaby choć raz zajrzeć do środka, a potem wydobyć wszystko na zewnątrz, starając się znaleźć drogę prowadzącą do przebaczenia. Dlatego zaczęła mówić do Jeremiaha Smitha: — Chciałabym opowiedzieć ci historię jaskrawozielonego krawata. Zdarzyło się to kilka tygodni przed dniem, w którym ktoś zamordował mojego męża. David wrócił z długiej podróży służbowej. Było tak jak zawsze, kiedy widzieliśmy się po dłuższej przerwie. Świętowaliśmy tylko we dwoje. Reszta świata została poza ścianami mieszkania, a my czuliśmy się tak, jakbyśmy byli jedynymi przedstawicielami rodzaju ludzkiego. Rozumiesz, co mam na myśli, przeżyłeś kiedyś coś takiego? — Pokręciła z rozbawieniem głową. — Nie, na pewno nie. W każdym razie tamtego wieczoru po raz pierwszy od czasu, gdy

się poznaliśmy, musiałam udawać, że go kocham. David zapytał: „Co słychać, wszystko dobrze?”. Ile razy zadajemy to pytanie, nie oczekując szczerzej odpowiedzi. Kiedy powiedziałam mu, że wszystko w porządku, skłamałam. Kilka dni wcześniej byłam w szpitalu, zrobiłam skrobankę. — Sandra poczuła, że do oczu napływają jej łzy. — Mieliśmy wszelkie dane po temu, żeby być wspaniałymi rodzicami, kochaliśmy się, jedno było pewne drugiego. Ale on był reporterem, ciągle podróżował, żeby fotografować wojny, rewolucje i inne tragedie. A ja jestem policjantką. Nie możesz wydać na świat dziecka, jeśli w pracy ryzykujesz życie, jak to się zdarzało Davidowi. I nie możesz tego zrobić również wtedy, gdy oglądasz to, co ja jestem zmuszona oglądać codziennie na miejscach zbrodni. Za dużo przemocy, za dużo strachu, to nie służyłoby dziecku. — Powiedziała to z przekonaniem, nie okazując ani śladu skruchy. — Na tym polega mój grzech. Będzie się za mną włókł do końca życia. Ale nie mogę sobie wybaczyć tego, że nie pozwoliłam Davidowi wypowiedzieć się w tej sprawie. Skorzystałam z jego nieobecności i zdecydowałam sama. — Przez twarz Sandry przemknął smutny uśmiech. — Gdy po skrobance wróciłam do domu, znalazłam w łazience test ciążowy. Moje dziecko po zaledwie miesiącu zostało tam, w szpitalu. Czuję, jak we mnie umiera, a potem zostawiłam je samo. To straszne, nie wydaje ci się? W każdym razie pomyślałam, że to stworzenie zasługiwało przynajmniej na pogrzeb. Wzięłam więc pudełko i włożyłam do środka ten test i kilka przedmiotów, które należały do jego mamy i taty. W tym także jedyny krawat Davida. Jaskrawozielony. Potem pojechałam samochodem aż do Tellaro, miasteczka w Ligurii, w którym spędzaliśmy wakacje. I wrzuciłam to wszystko do morza. — Odetchnęła. — Nigdy nikomu o tym nie opowiedziałam. I wydaje mi się absurdalne, że opowiadam to wszystko właśnie tobie. Ale teraz kolej na to, co najważniejsze. Wcześniej

byłam przekonana, że sama zapłacę za skutki mojego czynu. Ale nieświadomie spowodowałam katastrofę. Potem zdałam sobie z tego sprawę, ale było już za późno. Razem z miłością, którą powinnam była czuć do mojego dziecka, wyrzuciłam także uczucie do Davida. — Otarła łzę. — Nie było sposobu: całowałam go, pieściłam, kochałam się z nim i nic nie czułam. Norka, którą to dziecko zaczęło drażnić we mnie, żeby przeżyć, zamieniła się w pustkę. Zaczęłam znowu kochać mojego męża dopiero po jego śmierci.

Sandra skrzyżowała ręce na piersi i rozplakała się. Łzy płynęły strumieniem, ale przynosiły ulgę. Nie mogła ich powstrzymać. Trwało to kilka minut, a potem, gdy wydmuchała nos i się uspokoiła, chciało jej się z siebie śmiać. Była wyczerpana, ale, choć to niepojęte, było jej z tym dobrze. Jeszcze pięć minut, powiedziała sobie. Tylko pięć. Tykanie kardiografu podłączonego do piersi Jeremiaha Smitha, rytmiczne posapywanie respiratora, który utrzymywał go przy życiu, działały na nią hipnotycznie i odprężająco. Zamknęła na chwilę oczy i nie zdając sobie z tego sprawy, zasnęła. Zobaczyła Davida. Jego uśmiech. Potargane włosy. Dobrotliwe spojrzenie. Tę minę, którą robił za każdym razem, gdy widział ją smutną i zamyśloną. Wysuwał wtedy dolną wargę i przechylał głowę. Teraz ujął jej twarz w dłonie i przyciągnął do siebie, żeby złożyć na jej ustach długi pocałunek. „Wszystko w porządku, Ginger”. Poczowała się podniesiona na duchu i uspokojona. A potem mąż pożegnał ją ruchem ręki i oddalił się, tańcząc, wystukując rytm obcasami i śpiewając ich piosenkę, *Cheek to Cheek*. Mimo iż wydawało jej się, że to głos Davida, śniąc tę scenę, Sandra nie mogła wiedzieć, że należał do kogoś innego.

W sali ktoś śpiewał.

## *Godzina 22.17*

Widząc, jak Camilla Rocca kładzie rękę na piersi chłopaka, który miał serce jej syna, Marcus pomyślał, że jego życiem kieruje jakaś niewidzialna i litościwa siła. Powtarzał sobie, że jako nic nieznaczące drobiny w ogromie kosmosu nie zasługujemy na to, aby interesował się nami jakiś Bóg. Ale zaczynał zmieniać zdanie.

„Spotkamy się tam, gdzie wszystko się zaczęło”.

Miał poznać swojego przeciwnika. Miał dostać nagrodę w postaci uratowania Lary.

A miejscem, w którym wszystko się zaczęło, była willa Jeremiaha Smitha.

Marcus zatrzymał pandę przed główną bramą. Nie pilnował jej już policjant, a jakiś czas temu z willi wynieśli się też policyjni technicy. Panował nastrój opuszczenia i przygnębienia, jak w miejscu, które miało dopiero wyjawić swoją tajemnicę. Marcus ruszył w kierunku domu. Potędze mroku przeciwstawiało się tylko światło pełni Księżycy.

Drzewa przy głównej alei kołysały się w powiewach chłodnego wiatru. Szelest liści pod butami przypominał wybuchy śmiechu, które przemykały obok niego, aby ucichnąć za jego plecami. Zdobiące zaniedbany ogród posągi wpatrywały się w niego pustymi oczami.

Dotarł do domu. Na drzwiach i oknach umieszczono pieczęcie. Tak naprawdę Marcus nie spodziewał się, że penitencjariusz będzie tu na niego czekał. Informacja, jaką otrzymał, była jasna.

„Ale tym razem będziesz musiał szukać diabła”.

To była jego ostatnia próba. W zamian miał otrzymać wyjaśnienia.

Czy powinien szukać jakiegoś nadprzyrodzonego znaku? Powiedział sobie jednak, że penitencjariusze nigdy nie interesowali się diabłem — przeciwnie, byli chyba jedynymi członkami Kościoła, którzy wątpili w jego istnienie. Uważali go zawsze za wygodny pretekst wymyślony przez ludzi, którzy chcieli uchylić się od odpowiedzialności za swoje grzechy i usprawiedliwić wady.

Diabeł istnieje tylko dlatego, że ludzie są niegodziwi.

Usunął pieczęcie z drzwi i wszedł do domu. Światło księżyca nie weszło za nim do środka, zatrzymało się na progu. Nie usłyszał żadnych odgłosów ani nie zobaczył śladów czyjejś obecności.

Wyjął z kieszeni latarkę i ruszył korytarzem, oświetlając sobie drogę. Pamiętał pierwszą wizytę, kiedy to rozwiązywał zagadkę cyfr umieszczonych na odwrocie obrazów. Mimo wszystko coś musiało ująć jego uwagi, skoro penitencjariusz chciał, żeby tu wrócił. Dotarł do pokoju, w którym znaleziono umierającego Jeremiaha Smitha.

Diabeł już tu nie mieszka, pomyślał.

Tym razem czegoś brakowało. Technicy usunęli przewrócony stolik, szczątki kubka i okruchy biszkoptów. A także lateksowe rękawiczki, kawałki gazy, strzykawki i cewki użyte przez ekipę karetki pogotowia przy reanimacji potwora. Nie było przedmiotów należących do jego młodych ofiar — wstążki do włosów, bransoletki z koralu, różowego szalika i łyżworolki — za których pomocą przywoływał ich duchy, żeby dotrzymywały mu towarzystwa podczas długich samotnych nocy.

Ale nad miejscami, w których leżały te przedmioty, ciągle unosiły się pytania.



W jaki sposób Jeremiaś Smith — człowiek ograniczony, nietowarzystki, pozbawiony wdzięku — zdołał zyskać zaufanie tych dziewcząt? Gdzie więził je przez miesiąc, zanim pozbawił życia? Gdzie przetrzymywał Larę?

Marcus nie zadawał sobie pytania, czy ona jeszcze żyje. Wykonywał swoje zadanie z ogromnym poświęceniem, więc nie dopuszczał myśli o tragicznym finale.

Rozejrzał się. Anomalie. Był pewny, że znak, którego szuka, nie jest nadprzyrodzony, ale kryje się w nim coś, co może rozpoznać tylko człowiek wierzący. Tym razem musiał odwołać się do swojego talentu, choć wątpił, czy go posiada.

Omiótł wzrokiem pokój w poszukiwaniu czegoś, co zakłóca jego normalność. Drobnego pęknięcia w innym wymiarze. Szczeliny, przez którą zło wylewa się na świat.

„Jest pewne miejsce, w którym kraina światła spotyka się ze światem ciemności... My jesteśmy strażnikami pilnującymi tej granicy. Ale mimo to co jakiś czas coś się przez nią przedostaje”.

Jego wzrok zatrzymał się na oknie. Księżyc za szybą coś mu wskazywał.

To coś rozkładało skrzydła i patrzyło w jego stronę. Kamienny anioł wzywał go do siebie.

Stał pośrodku ogrodu razem z innymi posągami. Pismo mówiło, że przed upadkiem Lucyfer był aniołem. Ulubieńcem Pana. Marcus przypomniał sobie tę opowieść i wybiegł na dwór.



Zatrzymał się przed wysoką figurą skąpaną w sonej poświacie.

Przyglądając się ziemi u stóp anioła, przypomniał sobie, że policja niczego tu nie znalazła. Jeśli pod powierzchnią coś jest, psy powinny były to

wywąchać. Ale z powodu uporczywych deszczów w ostatnich dniach zapachy wydzielane przez ziemię musiały zdezorientować zwierzęta.

Marcus położył ręce na cokole posągu i napał z całej siły. Anioł się poruszył, odsłaniając żelazną pokrywę. Nie była zamknięta na kłódkę. Wystarczyło unieść ją, chwytając za uchwyt.

Z mrocznego lochu wionął, niczym cuchnący oddech, intensywny zapach wilgoci. Marcus poświecił latarką i zobaczył sześć stopni prowadzących w głąb. Ale z wnętrza nie dobiegł żaden głos. Żaden dźwięk.

— Lara! — zawołał. Potem jeszcze raz. Ale nie usłyszał odpowiedzi.

Zaczął schodzić.

Oświecił latarką ponure, nisko sklepione wnętrze z posadzką z kafelków, która od pewnego miejsca zaczynała się obniżać. Kiedyś musiał tu być basen, ale ktoś wykroił z niego sekretne pomieszczenie.

Światło latarki błędziło w poszukiwaniu ludzkiego kształtu. Marcus zaczął się już obawiać, że znajdzie jedynie ciało. Ale Lary tu nie było.

Tylko krzesło.

Także z tego powodu psy niczego nie wywęszyły, pomyślał. Ale to było miejsce, w którym Jeremiaś je trzymał i zabijał. Ze ścian nie zwisały łańcuchy, mogące służyć rozkoszy torturowania, ani nie było łóżka. Żadnego znęcania się, żadnej przemocy, przypomniał sobie Marcus. Jeremiaś nie dotykał swoich ofiar. Wszystko sprowadzało się do tego krzesła; obok niego widać było sznur, którym je przywiązywał, oraz tacę i dwudziestocentymetrowy nóż. Na tym wyczerpywała się wynaturzona fantazja potwora.

Marcus podszedł do krzesła i zobaczył leżącą na nim zamkniętą kopertę. Wziął ją i otworzył. W środku znajdował się plan mieszkania Lary, na którym zaznaczono klapę ukrytą w łazience. Był wykaz miejsc odwiedzanych

przez dziewczynę i rozkład jej zajęć. Notatki zawierające pomysł ukrycia narkotyku w cukrze. Wreszcie zdjęcie uśmiechniętej studentki. Na jej twarzy wypisany był czerwonym tuszem znak zapytania. Bawisz się mną, mruknął Marcus. W kopercie znajdowały się dowody, że to Jeremiaś uprowadził dziewczynę.

Nie było jednak śladu po Larze. Jak i po penitencjariuszu, który doprowadził go aż do tego miejsca.

Marcus kipiał z wściekłości. Penitencjariusz nie dotrzymał zobowiązania. Przeklął go, przeklął samego siebie. Nie chciał przebywać dłużej w tym miejscu. Odwrócił się, żeby wejść po schodkach, ale latarka wyslizgnęła mu się z rąk. Upadając, oświetliła coś za jego plecami.

Ktoś tam stał.

W snopie światła można było dostrzec jedynie zarys ręki. Był ubrany na czarno. Marcus schylił się po latarkę i oświetlił nieznanego.

Jednak nie był to człowiek, lecz wisząca na wieszaku księżyca sutanna.

Nagle wszystko stało się jasne. To w ten sposób Jeremiaś Smith podchodził swoje ofiary. Dziewczyny nie obawiały się go, ponieważ miały przed sobą nie potwora, ale człowieka Kościoła.

Jedna kieszeń wyglądała na wypchaną. Marcus podszedł bliżej i wsunął do niej rękę. Wyjął flakonik i strzykawkę. Succinylcholine.

Nie mylił się, chociaż przedmioty znalezione w kieszeni mówiły co innego.

Wszystko to zorganizował Jeremiaś.

Wiedział, że siostra jednej z jego ofiar ma tego wieczoru dyżur w pogotowiu, wybrał więc numer pogotowia i opisał objawy ataku serca. Zaczekał na przybycie sanitariuszy, żeby wstrzyknąć sobie trującą substancję. Mógł rzucić strzykawkę w kąt pokoju lub pod jakiś mebel, ekipa karetki

pewnie by jej nie zauważyła, a technicy kryminalistyki pomyśleliby, że zostawili ją ratownicy.

Nie przebierał się za księdza. On był księdzem.

Realizację planu musiał zapewne rozpocząć mniej więcej tydzień temu, kiedy to wysłał anonimowe listy osobom zamieszkanym w zabójstwo Valerii Altieri. Potem wysłał e-mail, który naprowadził Pietra Ziniego na właściwy trop w sprawie Figara. Wreszcie zadzwonił do Camilli Rokki, żeby uprzedzić ją, iż za kilka dni Astor Goyash zatrzyma się w hotelu Exedra.

To on jest tym penitencjariuszem.

Przez cały czas mieli go przed oczami, nie wiedząc, kim naprawdę jest. Wziąwszy przykład z Alberta Canestrariego, Jeremiaś symulował za pomocą succinylcholine śmierć z przyczyn naturalnych. Tej substancji nie wykryłoby żadne badanie toksykologiczne. Wystarczał jeden miligram, aby zmiotczyć mięśnie układu oddechowego. Po kilku minutach umierało się wskutek uduszenia, jak stało się to w przypadku Canestrariego. Środek powodował natychmiastowy paraliż, nie pozwalając na zmianę decyzji.

Ale Canestrari nie pomyślał o tym, żeby wezwać karetkę. Za to Smith tak.

Co zobaczyła policja? Seryjnego mordercę, który nie stanowił już zagrożenia. Co dojrzeli w nim lekarze? Pacjenta w śpiączce. A co zobaczył Marcus?

Anomalie.

Prędzej czy później działanie succinylcholine powinno ustąpić. Jeremiaś Smith w każdej chwili może się obudzić.

## *Godzina 23.59*

Do przodu. Stop. Z powrotem. I znowu. Do przodu, stop, do tyłu.

W niebieskiej poczekalni oddziału intensywnej terapii słycać było tylko te jednostajne dźwięki.

Marcus się rozejrzył. Pusto. Ruszył ostrożnie w stronę źródła hałasów.

Prowadzące na oddział przesuwane drzwi otwierały się, lecz nie zamykały do końca. Coś je blokowało. Marcus podszedł bliżej, żeby to sprawdzić. Była to stopa.

Na podłodze leżał policjant, który pilnował Smitha. Trup nie miał głowy. Jego czaszka rozpadła się wskutek strzału z bliskiej odległości.

To dopiero pierwszy, pomyślał Marcus.

Pochylił się nad nim i zobaczył, że kabura przy pasie jest pusta. Prędko udzielił mu błogosławieństwa i wstał. Ruszył korytarzem, zaglądając do sal. Pacjenci leżeli na wznak, pogrążeni w obojętnym śnie. Wszystko wyglądało tak, jakby nic się tu nie wydarzyło.

Marcus zagłębiał się w nierealną ciszę. Przyszło mu do głowy, że tak musi wyglądać piekło. Miejsce na rozstajach, w którym nie ma już życia, ale nie ma też śmierci. Patrząc na chorych ludzi, można było zadać sobie pytanie, gdzie oni są. Ponieważ byli tu, a zarazem ich nie było.

Dotarłszy do dyżurki, zobaczył pielęgniarki i lekarza.

Pierwsza osunęła się na tablicę wskaźników. Monitory obryzgane były jej krwią, a kobieta miała głęboką ranę na szyi. Druga leżała obok drzwi. Próbowwała uciec, ale pocisk trafił ją w klatkę piersiową, odrzucając do tyłu.

W głębi widać było mężczyznę w białym fartuchu, który osunął się na krzesło. Jego ręce zwisały bezwładnie, głowa była odrzucona do tyłu, a oczy wpatrywały się w sufit.

Jeremiaha Smitha umieszczono w ostatniej sali. Marcus skierował się tam, pewny, że znajdzie puste łóżko.

— Podejdź bliżej. — Głos był ochrypły i niski, jak u kogoś, kto przez trzy dni był intubowany. — Jesteś penitencjariuszem, tak?

Przez kilka sekund Marcus nie był w stanie się poruszyć. Potem podszedł powoli do otwartych drzwi. Przechodząc obok szklanej ściany, zobaczył, że zasłony są zaciągnięte. Dostrzegł jednak w sali cień. Wreszcie stanął obok drzwi.

— Wejdz. Nie bój się.

— Jesteś uzbrojony — odrzekł Marcus. — Wiem o tym, widziałem policjanta.

Cisza. Potem zobaczył, że coś sunie po podłodze. Pistolet.

— Sprawdź, jest nabity.

Marcus nie wiedział, co robić. To tylko gra z jego strony, pomyślał. A ja nie mam wyboru, muszę ją podjąć.

— Czy to oznacza, że jesteś bez broni?

W sali huknął strzał.

— Jaką mam gwarancję, że nie strzelisz do mnie, gdy tylko stanę w progu?

— To jedyny sposób, jeśli chcesz ją uratować.

— Mów, gdzie jest Lara.

Wybuch śmiechu.

— Nie mówiłem o niej.

Marcus zamarł. Kto z nim jest? Wychylił się zza framugi, żeby to

sprawdzić.

Jeremiah Smith siedział na łóżku, miał na sobie krótką szpitalną koszulę. Jego rzadkie włosy były potargane, sterczały na wszystkie strony. Jedną ręką drapał się po udzie, a w drugiej trzymał pistolet wycelowany w kark kobiety, która klęczała przed nim.

Była to tamta policjantka.

Marcus wszedł do sali.



Sandra miała na rękach kajdanki, które Jeremiah zabrał dyżurującemu policjantowi. Zasnęła jak idiotka. Obudziły ją trzy strzały, jeden po drugim. Sięgnęła do kabury po pistolet, ale go nie było.

Dopiero wtedy zauważyła, że łóżko jest puste.

Padł czwarty strzał i przed oczami stanęły jej kolejne wydarzenia, jakby je fotografowała. Jeremiah podnosi się i kradnie jej pistolet. Idzie do dyżurki i zabija pielęgniarki oraz lekarza. Policjant przy wejściu słyszy strzały. Zanim zdąży uruchomić blokadę, Jeremiah już jest przed drzwiami, otwiera je i zabija go strzałem z najbliższej odległości.

Sandra puściła się biegiem, żeby go dopaść. Miała nadzieję, że go powstrzyma, choć nie była uzbrojona. Czuła się winna, że nie zachowała czujności. Ale być może kryło się za tym coś innego.

Dlaczego zostawił mnie przy życiu? — zastanawiała się.

Popędziła w stronę wyjścia i dostrzegła go, mijając pomieszczenie, w którym przechowywano leki. Stał tam i przyglądał jej się z niemiłym uśmiechem. Ogarnęło ją przerażenie. Wycelował w nią pistolet i rzucił kajdanki.

— Załóż je, bo wkrótce będzie tu zabawa.

Zrobiła, co kazał, i zaczęło się czekanie.

Teraz, klęcząc na podłodze, Sandra wpatrywała się w księdza ze szramą na skroni, starając się dać mu znać, że nic jej nie jest i nie musi się o nią martwić. Marcus kiwnął głową na potwierdzenie, że zrozumiał.



Jeremiah znowu wybuchnął śmiechem.

— I co? Cieszy cię mój widok? Od dawna chciałem poznać jakiegoś innego penitencjariusza. Myślałem, że nie ma nikogo prócz mnie. Jestem pewny, że ty też miałeś takie odczucie. Jak się nazywasz?

Marcus nie odpowiedział.

— No, śmiało. Znasz moje imię. Mam prawo wiedzieć, jak nazywa się człowiek, który okazał się na tyle sprytny, żeby mnie odnaleźć.

— Marcus. Uwolnij tę kobietę.

Jeremiah spoważniał.

— Przykro mi, Marcusie, przyjacielu, ale ona odgrywa pewną rolę w planie.

— W jakim planie?

— Prawdę mówiąc, jej obecność w moim pokoju była dla mnie przyjemnym zaskoczeniem. Chciałem wziąć jako zakładniczkę którąś z pielęgniarek, ale skoro ona się tu znalazła... Jak my je nazywamy? — Położył na ustach palec wskazujący i spojrzał w górę, udając, że nie może sobie przypomnieć. — O, właśnie: anomalie.

Marcus milczał.

— Pojawienie się tej młodej kobiety dowodzi, że teza jest słuszna.

— Jaka teza?

— „Raz wygenerowane zło generuje następne zło”. Nikt ci o tym nie



mówił? — Skrzywił się z dezaprobatą. — Widzisz, nie spodziewałem się, że ją spotkam. Ale jakiś czas temu poznałem jej męża.

Sandra podniosła na niego oczy.

Jeremiah ciągnął:

— Trzeba przyznać, że David Leoni był zdolnym reporterem. Odkrył sprawę penitencjariuszy. Śledziłem go i dużo się od niego nauczyłem. To było... pouczające poznać wszystkie szczegóły jego prywatnego życia. — Spojrzał na Sandrę. — Gdy twój mąż był w Rzymie, pojechałem do Mediolanu, żeby cię poznać, wszedłem do waszego mieszkania, grzebałem w waszych rzeczach, a ty niczego nie zauważyłaś.



Sandra przypomniała sobie piosenkę nagrałą na dyktafonie Davida, którą śpiewał jego zabójca. *Cheek to Cheek*. Zadała sobie pytanie, w jaki sposób tak intymna informacja dotarła do tego potwora.

Jakby czytając jej w myślach, Jeremiah powiedział:

— Tak, moja droga. To ja umówiłem się z twoim mężem na tej opuszczonej budowie. Ten głupek się zabezpieczył, ale w głębi duszy miał do mnie zaufanie, ponieważ uważał, że w gruncie rzeczy wszyscy księża są dobrzy. Jednak tuż przed śmiercią zmienił zdanie.

Sandra była wstrząśnięta, podejrzewała przecież o to morderstwo Shalbera. Ironizowanie na temat śmierci Davida sprawiło, że krew w niej zawrzała. Dopiero co powierzyła mordercy męża swój sekret. Bo on nie znajdował się w stanie śpiączki i wysłuchał jej opowieści o usunięciu płodu i wyrzutach sumienia. Dowiedział się o niej i Davidzie czegoś, czego nikt nie powinien wiedzieć.

— Odkrył archiwum penitencjarii, więc rozumiesz, Marcusie, że nie

mogłem zostawić go przy życiu — usprawiedliwił się Jeremiaś.

Sandra wiedziała już, jaki był motyw zabójstwa, a jeśli człowiek, który celował pistoletem w jej kark był penitencjariuszem, to Shalber miał rację, twierdząc, że to jeden z nich zabił Davida, a ona mu nie uwierzyła. Zło zdeprawowało ich z biegiem czasu.

— W każdym razie jego żona przyjechała do Rzymu, żeby go pomścić. Ale nigdy by się do tego nie przyznała. Prawda, Sandro?

Spojrzała na niego z nienawiścią.

— Mogłem zostawić cię w przekonaniu, że to był wypadek — dodał Jeremiaś. — Ale wolałem dać ci możliwość poznania prawdy i spotkania się ze mną.



— Gdzie jest Lara? — spytał Marcus. — Czy nic jej nie jest? Żyje?

— Kiedy planowałem to wszystko, przyszło mi do głowy, że gdy znajdziesz loch w ogrodzie, zjawisz się tutaj, żeby mnie o to zapytać. — Uśmiechnął się. — Ponieważ ja wiem, gdzie jest ta dziewczyna.

— W takim razie mi powiedz.

— Wszystko w swoim czasie, przyjacielu. Natomiast gdybyś do dzisiejszego wieczoru nie odkrył mojego planu, czułbym się upoważniony do tego, żeby zniknąć na zawsze.

— Rozszyfrowałem twoje plany, stanąłem na wysokości zadania, więc dlaczego nie chcesz uwolnić tej kobiety i powiedzieć mi, gdzie jest Lara?

— Bo to nie jest takie proste. Będziesz musiał dokonać wyboru.

— Jakiego?

— Ja mam pistolet i ty masz pistolet. Będziesz musiał zdecydować, kto umrze tej nocy. — Przeciągnął lufą po głowie Sandry. — Strzelę do niej.

Jeśli mi w tym nie przeszkodzisz, później powiem ci o Larze. Ale jeśli mnie zabijesz, uratujesz życie policjantki, ale nigdy się nie dowiesz, co się stało z tą studentką.

— Dlaczego chcesz, żebym cię zabił?

— Jeszcze tego nie zrozumiałeś, Marcusie? — Ton jego głosu i spojrzenie przepęniał ból.

— Nie. Wyjaśnij mi — odparł Marcus.

— Ten stary szaleniec, ojciec Devok, kierował się nauką penitencjariuszy. Uważał, że jedynym sposobem na powstrzymanie zła jest zło. Ale wiesz, co się za tym kryje? Żeby poznać zło, musieliśmy zapuszczać się na jego mroczne terytorium, badać je od środka, stapać się z nim. Jednak niektórzy z nas zgubili drogę powrotną.

— To właśnie przydarzyło się tobie.

— I innym przede mną. Pamiętam, jak Devok mnie werbował. Moi rodzice byli bardzo religijni, to oni obudzili we mnie powołanie. Miałem osiemnaście lat i studiowałem w seminarium. Ojciec Devok nauczył mnie oglądać świat oczami zła. A potem przekreślił moją przeszłość i moją tożsamość, pogrążając mnie na zawsze w tym mrocznym oceanie. — Po jego twarzy spłynęła łza.

— Dlaczego zacząłeś zabijać?

— Zawsze chciałem opowiedzieć się po stronie dobra. Ale w pewnym momencie musiałem się upewnić, że nie pozostanie to tylko w sferze zamiarów. Jedynym sposobem było poddać się próbie. Uprowadziłem pierwszą dziewczynę i zaciągnąłem ją do mojej kryjówki. Widziałeś ją, nie ma tam narzędzi do torturowania, ponieważ to, co robiłem, nie sprawiało mi przyjemności. Nie jestem sadystą. Utrzymywałem ją przy życiu, szukając jakiegoś dobrego powodu, żeby ją uwolnić. Ale codziennie odkładałem

decyzję. Ona płakała, rozpaczała, błagała mnie, żebym ją wypuścił. Dałem sobie miesiąc na podjęcie decyzji. W końcu zrozumiałem, że nie odczuwam żadnego współczucia. No i ją zabiłem.

Teresa, przypomniała sobie Sandra. Siostra Moniki, lekarki, która uratowała mu życie.

— Ale nie byłem jeszcze usatysfakcjonowany. Nadal identyfikowałem zbrodnie i przestępców, a Devok niczego nie podejrzewał. Tkwiałem w świecie sprawiedliwych i w świecie grzechu. Po pewnym czasie powtórzyłem próbę z drugą dziewczyną. A potem z trzecią i czwartą. Zabierałem im jakiś przedmiot, coś w rodzaju pamiątki, mając nadzieję, że z biegiem czasu pomoże mi ona poradzić sobie z poczuciem winy. Ale zawsze było tak samo: nie czułem litości. Tak się przyzwyczaiłem do zła, że nie potrafiłem odróżnić tego, z którym stykałem się w trakcie dochodzeń, od tego popełnianego przeze mnie. Chcesz się może dowiedzieć, do jakiego absurdu doprowadziła ta historia? Im większe wyrządzałem zło, tym lepiej radziłem sobie z jego wykrywaniem. Od tamtego czasu uratowałem od śmierci dziesiątki osób, udaremniłem mnóstwo zbrodni. — Roześmiał się gorzko.

— Dlatego jeśli teraz cię zabiję, uratuję życie tej kobiety i stracę Larę. — Marcus zaczął go rozumieć. — Jeśli tego nie zrobię, powiesz mi, gdzie jest studentka, ale potem strzelisz do policjantki. W obu przypadkach stoję na straconej pozycji. To ja jestem twoją prawdziwą ofiarą. Bo w rzeczywistości te dwie możliwości się równoważą: chcesz dowieść, że tylko wyrządzając zło, można czynić dobro.

— Za dobro płaci się zawsze jakąś cenę, Marcusie. Zło nic nie kosztuje.



Sandra była w szoku. Ale nie zamierzała być tylko widzem.

— Nie przeszkadzaj mi, niech ten drań mnie zabije — powiedziała. — I zmusz go, żeby ci powiedział, gdzie jest Lara. Ona jest w ciąży.

Jeremiah uderzył ją kolbą pistoletu.

— Nie dotykaj jej — warknął Marcus.

— Brawo, twoje zachowanie mi się podoba. Złość to pierwszy krok.

Marcus nie wiedział, że Lara jest w ciąży. Był wstrząśnięty.

Jeremiah to zauważył.

— Co sprawia ci większą przykrość: patrzenie, jak zabijają kogoś na twoich oczach, czy świadomość, że daleko stąd umiera właśnie ktoś inny? Kogo wolisz: policjantkę czy Larę i dziecko, które nosi w łonie? Wybieraj.

Marcus chciał zyskać na czasie. Nie wiedział, czy może się spodziewać przybycia policji. A jeśli przyjadą, co się stanie? Bo Jeremiah nie miał nic do stracenia.

— Jeżeli pozwolę, żebyś strzelił do policjantki, to skąd mam mieć pewność, że zdradzisz mi, gdzie jest Lara? Tak naprawdę mógłbyś zabić je obie. Może nawet liczysz na to, że doprowadzisz mnie do ostateczności i zmusisz, żebym się na tobie zemścił. Byłbyś wtedy górą.

Jeremiah puścił do niego oko.

— Trzeba przyznać, że wykonaliśmy naprawdę dobrą robotę.

— O czym ty mówisz? — spytał zdezorientowany Marcus.

— Pomyśl tylko, Marcusie: jak do mnie dotarłeś?

— Dzięki succinylcholinie, którą wstrzyknął sobie Alberto Canestrari.

— Tylko dzięki temu? Jesteś pewny?

Marcus musiał się zastanowić.

— Prędeż, nie sprawiaj mi zawodu. Pomyśl o napisie, który mam na piersi.

„Zabij mnie”. Co on chce mi powiedzieć? — pomyślał Marcus.

— Udzielę ci wskazówki. Niedawno postanowiłem wyjawić tajemnice naszego archiwum krewnym i znajomym ofiar, których zabójców nie znaleziono. Ale ja ich poznałem. Zadbalem jednak, żeby z penitencjarii znikły dokumenty dotyczące tych spraw. Dałem je rodzinom. Ale ponieważ ja także jestem winny, pomyślałem, że powinienem dać taką samą szansę tym, którzy cierpieli z mojego powodu. Dlatego wyreżyserowałem całe to przedstawienie z karetką pogotowia i udawaniem zawału. Gdyby zamiast udzielić mi pomocy, ta młoda lekarka pozwoliła mi umrzeć, spłaciłbym mój dług. Ale siostra Teresy pozwoliła mi żyć.



Wybór nie był taki trudny, pomyślała Sandra. Zło, którego popełnienia Monica uniknęła, znalazło inny sposób, żeby się ujawnić. Znaleźliśmy się tu tylko dlatego, że ta dziewczyna okazała się dobra. To jakiś absurd.



— A jednak było oczywiste, że to ja wszystko zorganizowałem. Żeby nie było żadnych wątpliwości, umieściłem na piersi ten napis... Ale nikt nie potrafił go odczytać. Co ci to przypomina?

Marcus zamyślił się na chwilę.

— Zabójstwo Valerii Altieri. Napis krwią nad łóżkiem. EVIL.

— Doskonale — ucieszył się Jeremiaś. — Wszyscy odczytywali to jako EVIL, czyli zło, ale chodziło o LIVE. Szukali sekty z powodu trójkątnego symbolu, jaki krew pozostawiła na dywaniku, ale nikt nie pomyślał o statywie kamery wideo. Odpowiedzi znajdują się zawsze przed oczami — „Zabij mnie” — ale nikt ich nigdy nie widzi. Nikt nie chce ich zobaczyć.

— Tak było ze sprawą Federica Noniego — odrzekł Marcus, który

zaczynał dostrzegać zamiary tkwiące u podstaw tego niesłychanego planu. — Wszyscy widzieli chłopaka na wózku inwalidzkim, nikt nie potrafił wyobrazić sobie, że mógłby to być zabójca swojej siostry, a przede wszystkim, że on chodzi. Tak było i z tobą, człowiekiem leżącym w śpiączce, pozornie nieszkodliwym. Postawiono tylko jednego policjanta, żeby cię pilnował. Po wykluczeniu zawału serca żaden lekarz nie wiedział, co ci jest. A ty byłeś pod działaniem succinylcholine, które miało prędko ustąpić.

— Tym, co nas zwodzi, Marcusie, jest miłosierdzie. Gdyby Pietro Zini nie litował się nad Federikiem Nonim, prędko by go dopadł. Gdyby ta policjantka nie poczuła dla mnie współczucia, nie opowiedziałaby mi o tym, jak pozbyła się dziecka, dokonując aborcji. A teraz martwi się, że Lara jest w ciąży. — Smith roześmiał się pogardliwie.



— Kanalia. Nie miałam dla ciebie cienia litości. — Sandrę od klęczenia rozboleły plecy. Zastanawiała się, jak wyjść cało z tej sytuacji. Mogła wykorzystać moment roztargnienia Jeremiaha i rzucić się na niego, a wtedy Marcus mógłby go rozbroić. A potem kopałby go tak długo, aż ten potwór wyjawiłby, gdzie jest Lara.

— Niczego się od ciebie nie nauczyłem — prychnął Marcus.

— Przyjąłeś te nauki bezwiednie i dotarłeś aż tutaj. Teraz musisz zdecydować, czy iść dalej. — Jeremiah patrzył na Marcusa z poważną miną. — Zabij mnie.

— Nie jestem mordercą.

— Jesteś tego pewny? Żeby rozpoznać zło, trzeba mieć je w sobie. Jesteś taki sam jak ja. Zajrzyj do swojej duszy, a zrozumiesz. — Smith sięgnął wolną ręką za plecy i wyprostował się. Wyglądał jak kat gotowy do

egzekucji. — Liczę do trzech. Nie masz zbyt dużo czasu.

Marcus uniósł pistolet. Jeremiaś stanowił doskonały cel, z tej odległości mógł go trafić bez trudu. Przedtem jednak spojrzął na policjantkę i domyślił się, że zamierza coś zrobić. Musiał poczekać.

— Raz.

Sandra nie dała Smithowi czasu na liczenie. Zerwała się nagle i uderzyła ramieniem w pistolet w jego rękę. Ale gdy tylko zrobiła krok w kierunku Marcusa, poczuła ból w plecach. Była pewna, że została trafiona, ale mimo to udało jej się dotrzeć do niego i schować za jego plecami. W tym samym ułamku sekundy uświadomiła sobie, że nie słyszała wystrzału. Sięgnęła ręką za plecy i wymacała jakiś przedmiot tkwiący między kręgami kręgosłupa.

— O mój Boże.

Była to strzykawka.



Jeremiaś śmiał się, siedząc na łóżku.

— Succinylcholine! — wykrzyknął.

Marcus wpatrywał się w rękę, którą Jeremiaś wyciągnął niespodziewanie zza pleców. Ten człowiek przewidział i to, że policjantka będzie chciała się uwolnić.

— Nie do wiary, co można znaleźć w szpitalu, prawda? — powiedział Smith.

Zaopatrzył się w nią po zastrzeleniu dyżurnego policjanta, i to tłumaczyło, dlaczego znalazła go przed pomieszczeniem z lekami. Sandra zrozumiała to za późno. Poczuła najpierw odrętwienie w kończynach, które rozeszło się w kierunku gardła. Nie mogła poruszyć głową, ugięły się pod nią nogi i upadła na podłogę. Nie mogła oddychać, jakby w sali nie było



powietrza. Jak w akwariu, pomyślała, przypominając sobie porównanie, jakie nasunęło jej się, gdy tu wchodziła.

Marcus uklęknął przy niej. Miała drgawki, zaczynała sinieć. Nie wiedział, jak jej pomóc.

Jeremiah wskazał mu gumową rurkę zwisającą koło łóżka.

— Żeby ją uratować, musiałbyś włożyć jej to do gardła. Albo podnieść alarm, ale przedtem musiałbyś mnie zabić, bo inaczej ci na to nie pozwolę.

Marcus spojrział na pistolet, który odłożył na podłogę.

— Zostały jej cztery minuty, może pięć. Po pierwszych trzech zostanie uszkodzony mózg. Pamiętaj, Marcusie: między dobrem i złem znajduje się lustro. Jeśli w nie spojrzysz, odkryjesz prawdę. Ty także...

Jego słowa przerwał strzał. Jeremiah upadł do tyłu, rozkładając ręce.

Marcus odwrócił się od niego, zapominając o pistolecie, który trzymał ciągle w dłoni po naciśnięciu spustu. Skupił się na Sandrze.

— Trzymaj się, proszę — powiedział, a potem podszedł do drzwi i pociągnął za dźwignię alarmu przeciwpożarowego. Był to najszybszy sposób wezwania pomocy.

Sandra nie rozumiała, co się dzieje. Miała wrażenie, że traci zmysły. Czuła palenie w płucach i nie mogła się poruszyć ani krzyknąć. Była uwięziona w swoim ciele.

Marcus przyklęknął i wziął ją za rękę, bezradnie się jej przyglądając.

— Proszę się odsunąć.

Głos dochodził z za jego pleców. Marcus posłuchał polecenia i zobaczył drobną dziewczynę w białym fartuchu, która chwyciła Sandrę za ręce i pociągnęła w stronę najbliższego pustego łóżka. Pomógł jej, biorąc policjantkę za nogi. Położyli ją.

Dziewczyna sięgnęła do podręcznego wózka po laryngoskop. Włożyła go

do gardła Sandry i powoli wsunęła rurkę, którą połączyła z respiratorem. Ośluchała jej pierś stetoskopem.

— Puls wraca do normy — powiedziała. — Być może zdążyliśmy. — Odwróciła się w stronę leżącego bez życia Jeremiaha Smitha. Spojrzała na otwór po pocisku na jego skroni, a potem na bliznę na skroni Marcusa. Na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

Dopiero wtedy Marcus ją rozpoznał. Była to Monica, siostra Teresy. Tym razem uratowała życie policjantce.

— Niech pan stąd idzie — rzuciła do niego.

Marcus popatrzył na nią zdezorientowany.

— Proszę stąd wyjść — powtórzyła lekarka. — Nikt by nie zrozumiał, dlaczego pan do niego strzelił.

Marcus się wahał.

— Ale ja znam powód — dodała.

Spojrzał na Sandrę. Zobaczył światełko w jej szeroko otwartych oczach. Pogłaskał ją po twarzy i ruszył w kierunku wyjścia ewakuacyjnego.

ROK WCZEŚNIEJ  
PRYPEĆ

Zachodzące słońce zabiłniało horyzont nad Czarnobylem.

Stojąca nad rzeką elektrownia była uśpionym wulkanem. W rzeczywistości to, co wydawało się wyłączone i nieszkodliwe, było bardziej niż kiedykolwiek żywe i śmiertelnie groźne. Miało rozsiewać śmierć przez tysiące lat.

Myśliwy mógł przyjrzeć się z drogi reaktorom, z których czwarty, odpowiedzialny za największą katastrofę atomową w dziejach, spoczywał teraz w kruchym sarkofagu z ołowiu i zbrojonego betonu.

Asfaltowa szosa pełna była dziur i zawieszenie starego volva pojękiwało przy każdym podskoku. Biegła wzdłuż rozległego obszaru porośniętego drzewami. Z powodu radioaktywnego wiatru po wybuchu drzewa zmieniły ubarwienie. Miejscowi ludzie, jeszcze nieświadomi tego, co się działo, nazwali je Czerwonym Lasem.

Ta cicha apokalipsa rozpoczęła się dwudziestego szóstego kwietnia 1986 roku o pierwszej dwadzieścia trzy w nocy.

Z początku władze bagatelizowały sprawę, starając się utrzymać wszystko w tajemnicy. Bardziej niepokoiły się szerzącymi się pogłoskami niż zdrowiem ludzi. Ewakuacja obszaru rozpoczęła się dopiero trzydzieści sześć godzin po katastrofie.

Miasto Prypeć leżało niedaleko reaktorów. Myśliwy zaczął dostrzegać jego widmowy zarys za przednią szybą auta. Ani jednego światła, ani śladu życia między wysokimi betonowymi budynkami, wybudowanymi razem z elektrownią. W roku, w którym zostało opuszczone, liczyło czterdzieści siedem tysięcy mieszkańców. Było to nowoczesne miasto z kawiarniami, restauracjami, teatrami, ośrodkami sportowymi i dwoma szpitalami. Warunki

życia były tu lepsze niż w innych częściach kraju.

Teraz zamieniło się w ponurą czarno-białą widokówkę.

Przez drogę przebiegł lisek i Myśliwy musiał zahamować, żeby go nie rozjechać. Przyroda potrafiła wykorzystać nieobecność człowieka; wiele gatunków zwierząt i roślin stworzyło tu sobie miejsce do życia, które paradoksalnie stało się czymś w rodzaju ziemskiego raju. Nikt jednak nie umiał powiedzieć, jakie będą w przyszłości skutki promieniowania radioaktywnego.

Na siedzeniu obok Myśliwego leżał licznik Geigera, który emitował rytmiczny sygnał, niczym zakodowany strumień informacji przychodzących z innego wymiaru. Myśliwy nie miał zbyt dużo czasu. Musiał przekupić ukraińskiego urzędnika, żeby dostać pozwolenie na wjazd do tak zwanej zony. Zakazany obszar miał promień trzydziestu kilometrów, a jego środek stanowiły nieczynne reaktory. Musiał wykorzystać mrok, żeby dokończyć śledztwo. Niebawem miała zapaść noc.

Widział porzucone na poboczu wojskowe pojazdy. Były ich setki. Prawdziwe cmentarzysko ciężarówek, helikopterów, czołgów i wszelkiego typu środków transportu. Używało ich wojsko przybyłe, by zażegnać skutki katastrofy, ale pod koniec operacji były tak skażone promieniowaniem, że postanowiono je tutaj zostawić.

Powitała go zardzewiała tablica z wypisaną cyrylicą nazwą opuszczonego ośrodka.

Na jego obrzeżach znajdowało się wesołe miasteczko, w którym dzieci bawiły się dzień po katastrofie. Było pierwszym miejscem zaatakowanym przez radioaktywny obłok. Stał tu wielki diabelski młyn, po którym z powodu kwaśnych deszczów pozostał tylko zardzewiały szkielet.

W poprzek drogi ustawiono kilka betonowych bloków, żeby

uniemożliwić wjazd do Prypeci. Myśliwy zatrzymał samochód, zamierzając dalej pójść na piechotę. Wyjął z bagażnika torbę i zarzucił ją na ramię. Trzymając w ręku licznik Geigera, zapuścił się w głąb widmowego miasta.



Powitało go świergotanie ptaków, którego echo gubiło się razem z odgłosami kroków w szerokich alejach ciągnących się między rzędami budynków. Lodowate światło dnia nikło i robiło się coraz chłodniej. Co jakiś czas wydawało mu się, że słyszy głosy rozchodzące się po pustych ulicach. Dźwiękowe miraży lub może dźwięki sprzed lat, uwięzione w miejscu, w którym czas już się nie liczył.

Wśród ruin kręciło się kilka wilków. Wyczuwał ich obecność, ukazywały mu się pod postacią szarych plam. Na razie trzymały się z daleka, ale go obserwowały.

Sprawdził mały plan miasta, który zabrał ze sobą, a potem się rozejrzał. Wszystkie budynki oznaczone były dużymi cyframi wypisanymi białą farbą na fasadach. Interesował go budynek mieszkalny numer sto dziewięć.

Na jedenastym piętrze mieszkali w nim kiedyś Dima Karoliszyn i jego rodzice.

Myśliwi wiedzą, że śledztwo należy rozpocząć nie od ostatniego zabójstwa z serii, ale od pierwszego, ponieważ morderca nie miał jeszcze wtedy doświadczenia i jest bardzo prawdopodobne, że popełnił błędy. Pierwsza ofiara to coś w rodzaju zerowej próbki, od której rozpoczyna się niepowstrzymany łańcuch zadawania śmierci i z której można się dowiedzieć wielu rzeczy o seryjnym mordercy.

O ile Myśliwy wiedział, Dima był pierwszą osobą, w którą wcielił się transformista, gdy miał zaledwie osiem lat, zanim jeszcze zabrano go do

sierocińca w Kijowie.

Musiał wejść na górę po schodach, ponieważ winda nie działała z powodu braku prądu. Paradoksalnie, we wnętrzu promieniowanie było wyższe. Licznik Geigera zarejestrował wzrost jego natężenia. Myśliwy wiedział, że przebywanie w zamkniętym pomieszczeniu jest bardziej niebezpieczne niż na dworze. Radioaktywny pył koncentrował się głównie na powierzchni różnych przedmiotów.

Podczas wchodzenia mógł zobaczyć, co pozostało z opuszczonych mieszkań. To, czego nie rozkradli szabrownicy, tworzyło obraz życia rodzinnego przerwane w chwili ewakuacji. Niedojedzony obiad. Niedokończona partia szachów. Ubrania i bielizna suszące się na kaloryferze. Nieposłane łóżko. Miasto zamieniło się w ogromne muzeum zbiorowej pamięci, w którym w trakcie niespodziewanej ucieczki każdy z mieszkańców zostawił pamiątki. Albumy z fotografiami, najbardziej osobiste i cenne przedmioty, rodzinne relikwie. Rzeczy czekające na powrót właścicieli, którzy mieli nigdy nie wrócić. Wszystko trwało w zawieszeniu, niczym puste dekoracje po skończonym przedstawieniu, gdy aktorzy idą do domu, obnażając fikcyjność tego, co odgrywali. Niczym złośliwy żart czasu. Smutna alegoria życia i śmierci, splecionych ze sobą. Tego, co było i miało nie wrócić.

Specjaliści uważali, że przez najbliższych sto tysięcy lat w Prypeci nie postawi stopy żadna ludzka istota.

Wszedłszy do mieszkania Karoliszynów, Myśliwy zauważył, że pozostało niemal nietknięte. Do wąskiego korytarza przylegały trzy pokoje, kuchnia i łazienka. W wielu miejscach tapety odeszły od ścian, pokonała je wilgoć. Wszystko niczym przezroczysty całun pokrywał kurz. Myśliwy zaczął oglądać pomieszczenia.

W sypialni Konstantina i Ani panował idealny porządek. W szafie wisały wszystkie ubrania.

W pokoiku Dimy obok dziecięcego łóżeczka ustawiono łóżko polowe.

W kuchni stół nakryto dla czterech osób.

W saloniku wałały się puste butelki po wódce. Myśliwy wiedział dlaczego. Kiedy w mieście dowiedziano się o wypadku, władze sanitarne rozpuściły fałszywą informację, że alkohol zmniejsza siłę promieniowania. W rzeczywistości chodziło o osłabienie woli ludzi i zapobieżenie protestom. Także tutaj Myśliwy doliczył się na stoliku czterech kieliszków. Powtarzanie się tej liczby mogło oznaczać tylko jedno: Karoliszynowie mieli gości.

Podszedł do komody, na której stało oprawione w ramkę rodzinne zdjęcie: kobieta, mężczyzna i dziecko.

Ale ich twarze zostały wymazane.

Cofnąwszy się do drzwi wejściowych, zauważył obok nich cztery pary butów. Męskie, damskie. I dwie pary dziecięcych.

Połączył te szczegóły i wyciągnął wniosek, że transformista zjawił się w tym mieszkaniu tuż po wypadku w elektrowni. Nie wiedząc, kim jest, Karoliszynowie udzielili mu gościny. W tamtych chwilach strachu i wzburzenia nie mieli sumienia przekazać samotnego i przestraszonego dziecka władzom.

Nie wyobrażali sobie, jakiego potwora przyjmują do domu. Poczęstowali go więc gorącym posiłkiem i położyli spać razem z Dimą. Potem musiało się coś wydarzyć. Być może w nocy. Rodzina Karoliszynów się rozpląnęła i transformista zajął miejsce Dimy.

Co się stało z ich ciałami? A przede wszystkim kim było dziecko? I skąd się wzięło?

Nad miastem zaczął zapadać mrok. Myśliwy wyjął z torby latarkę i



zamierzał opuścić budynek. Chciał wrócić tu następnego dnia, o tej samej godzinie.

Gdy szykował się, żeby zejść po schodach, uderzyła go nagle kolejna wątpliwość.

Dlaczego dotknęło to właśnie Karoliszynów?

Nie pomyślał o tym wcześniej. Transformista wybrał tę rodzinę z jakiegoś powodu.

Ponieważ nie przybył tu z daleka. Nie zjawił się nie wiadomo skąd, musiał mieszkać w sąsiedztwie.

Myśliwy oświetlił drzwi sąsiedniego mieszkania, tuż obok Karoliszynów. Były zamknięte.

Na mosiężnej tabliczce widniało nazwisko „Anatolij Pietrow”.

Sprawdził godzinę. Na dworze było już ciemno, tak czy owak, musiałyby jechać ze zgaszonymi reflektorami, żeby nie zauważyli go ukraińscy strażnicy, którzy kontrolowali granice strefy, więc uznał, że może jeszcze trochę zostać. Podniecała go myśl, że jest blisko wyjaśnienia, i zapomniał o ostrożności. Koniecznie chciał sprawdzić, czy jego przeczucie w odniesieniu do Anatolija Pietrowa jest słuszne.

WCZORAJ

## Godzina 4.46

Trup się rozplakał.

Tym razem nie zapalił lampy stojącej obok łóżka. Nie sięgnął po pisak, żeby dodać następny szczegół na ścianie poddasza przy via dei Serpenti. Leżał w mroku i starał się nadać sens temu, co widział we śnie.

Uporządkował to, co przypomniał sobie we śnie na temat wydarzeń w pokoju hotelowym w Pradze.

Stłuczone szkło. Trzy strzały. Mańkut.

Odwróciwszy kolejność, rozwiązał zagadkę.

Ostatnie słowa Jeremiaha Smitha brzmiały: „Między dobrem i złem znajduje się lustro. Jeśli w nie spojrzysz, odkryjesz prawdę”.

Odkrył powód, dla którego tak bardzo nie lubił się przeglądać. Po jednym strzale dla każdego, dla niego i dla Devoka. Ale zabójca nie był mańkutom. Mańkutom było jego odbicie w lustrze. Pierwszy strzał roztrzaskał lustro.

Nie było trzeciego mężczyzny. Byli sami.

Domyślił się tego po tym, co się wydarzyło na oddziale intensywnej terapii w klinice Gemelli, kiedy strzelił bez wahania. Ale pewność przyszła dopiero wraz ze snem, gdy obejrzał na nowo finał tamtej sceny. Nie wiedział, dlaczego znalazł się w Pradze ani dlaczego był tam jego mistrz. Nie pamiętał, o czym rozmawiali.

Marcus wiedział tylko, że kilka godzin temu zabił Jeremiaha Smitha. Ale przedtem zabił też Devoka.



O świcie do Rzymu wrócił deszcz, który wygnał z ulic nocny mrok.

Kręcąc się po zaułkach dzielnicy Regola, Marcus schronił się pod kolumnadą. Popatrzył w górę, ale nie wydawało się, żeby deszcz prędko przestał padać. Podniósł kołnierz płaszcza i ruszył dalej.

Dotarłszy na via Giulia, wszedł do kościoła. Nigdy w nim nie był. Clemente wyznaczył mu spotkanie w krypcie. Schodząc po kamiennych stopniach, Marcus uświadomił sobie, że to wyjątkowe miejsce. Był to podziemny cmentarz.

Zanim wyszedł napoleoński dekret mówiący o tym, że zmarli mają być chowani z dala od żywych, każdy kościół miał swój cmentarz. Ale ten, na którym się znalazł, różnił się od innych. Kandelabry, dekoracje i rzeźby były zrobione z ludzkich kości. Wiernych, którzy przechodzili obok marmurowej misy z wodą święconą, witał wmurowany w ścianę szkielet. Kości podzielone były według rodzajów i ułożone we wnękach. Były ich tysiące. Ale miejsce to wydawało się bardziej groteskowe niż makabryczne.

Clemente stał, założywszy ręce za plecy, pochylony nad inskrypcją umieszczoną pod stosem trupich czaszek.

— Dlaczego tutaj? — spytał Marcus.

Przyjaciel odwrócił się w jego stronę.

— Po wysłuchaniu wiadomości, którą zostawiłeś mi dziś w nocy w poczcie głosowej, wydawało mi się, że będzie to najbardziej odpowiednie miejsce.

— Gdzie właściwie jesteśmy?

— Pod koniec szesnastego wieku rozpoczęło działalność bractwo modlitwy i śmierci. Postawiło sobie za cel zapewnienie godnego pochówku zwłokom bez nazwiska, które zostały znalezione na ulicach Rzymu lub na wsi albo wyrzucone przez Tyber. Byli to samobójcy, ofiary zabójstw lub po

prostu zmarli z niedostatku. W tym wnętrzu upchano około ośmiu tysięcy ciał.

Clemente był zbyt spokojny. W swojej wiadomości Marcus poinformował go pokrótce o wydarzeniach ubiegłej nocy, ale jego przyjaciel nie wydawał się zbyt zaniepokojony tym, czym się zakończyły.

— Odnoszę wrażenie, że nie obchodzi cię to, co mam ci do powiedzenia. Dlaczego?

— Ponieważ dowiedzieliśmy się już wszystkiego — odrzekł Clemente.

— Mówisz „my”, ale nie chcesz mi zdradzić, kogo masz na myśli. Kto jest nad tobą? Mam prawo to wiedzieć.

— Nie mogę ci tego ujawnić. Ale oni są z ciebie bardzo zadowoleni.

Marcus miał zawiedzioną minę.

— Zadowoleni z czego? Musiałem zabić Jeremiaha, Lara jest stracona, a dziś w nocy, po roku zaniku pamięci, odzyskałem pierwsze wspomnienie... To ja strzelałem do Devoka.

Clemente milczał przez chwilę.

— W najbardziej strzeżonym więzieniu siedzi skazany na śmierć więzień, który splamił się straszliwą zbrodnią i od dwudziestu lat czeka na egzekucję — odezwał się. — Pięć lat temu stwierdzono u niego nowotwór mózgu. Po usunięciu go stracił pamięć. Musiał uczyć się wszystkiego od początku. Po operacji uważał za dziwne, że siedzi w celi skazany za zbrodnię, której popełnienia nie pamiętał. Teraz utrzymuje, że nie ma nic wspólnego z mordercą, mówi nawet, że nie byłby zdolny odebrać nikomu życia. Zwrócił się o ułaskawienie, zapewniając, że jeśli go nie dostanie, będzie niewinnym, którego stracono. Psychiatrzy twierdzą, że jest szczery, że nie jest to tylko wybieg wymyślony po to, żeby uniknąć kary śmierci. Ale problem polega na czymś innym. Jeśli człowiek odpowiada za swoje czyny, to gdzie tkwi jego

wina? W jego ciele, w jego duszy czy w jego tożsamości?

Marcus natychmiast wszystko zrozumiał.

— Wiedzieliście, co zrobiłem w Pradze.

Clemente skinął głową.

— Zabijając Devoka, popełniłeś grzech śmiertelny. Ale jeśli go nie pamiętałeś, nie mogłeś go wyznać. A jeśli go nie wyznałeś, nie mogłeś otrzymać rozgrzeszenia. Było tak, jakbyś go nie popełnił. Dlatego ci przebaczone.

— I z tego powodu trzymałeś mnie w ukryciu.

— Co bezustannie powtarzają penitencjariusze?

Marcus zastanawiał się przez chwilę nad tym, czego się nauczył.

— Jest pewne miejsce, w którym kraina światła spotyka się ze światem ciemności. To tam wszystko się dzieje, w tej strefie cieni, gdzie rzeczy są rozmyte, zagmatwane, niepewne. My jesteśmy strażnikami pilnującymi tej granicy. Ale mimo to co jakiś czas coś się przez nią przedostaje. Moim zadaniem jest zagnać to z powrotem do świata ciemności.

— Przebywając ciągle na tej linii, niektórzy penitencjariusze zostali wchłonięci przez ciemność i już z niej nie powrócili.

— Próbujesz mi wmówić, że to, co przydarzyło się Jeremiahowi, stało się także moim udziałem, zanim o tym zapomniałem?

— Nie twoim. Devoka.

Marcus nie mógł wykrztusić słowa.

— To on przyniósł pistolet do pokoju hotelowego. Ty go tylko rozbroiłeś i próbowałeś się bronić. Doszło do szarpaniny i padły strzały.

— Skąd wiecie, jak to się odbyło? Nie było was tam.

— Przed przybyciem do Pragi Devok się wyspowiadał. *Culpa gravis* siedemset osiemdziesiąt pięć-trzydzieści cztery-piętnaście: sprzeciwić się

rozporządzeniu papieża albo zdradzić Kościół. Devok wyjawiał istnienie tajnego zakonu penitencjariuszy. Prawdopodobnie wyczuł, że coś idzie nie tak. Ktoś kradł dokumenty z archiwum, cztery dziewczyny zostały porwane i zamordowane, a śledztwo wciąż sprawdzane było na manowce. Ojciec Devok zaczął podejrzewać swoich ludzi.

— Ilu jest penitencjariuszy?

Clemente westchnął.

— Nie wiemy. Ale mamy nadzieję, że prędzej czy później kilku z nich wyjdzie z ukrycia. Podczas spowiedzi Devok nie chciał podać imion i nazwisk. Powiedział tylko: „Popełniłem błąd, muszę go naprawić”.

— Dlaczego przyszedł do mnie?

— Przypuszczamy, że chciał was wszystkich pozabijać. Zaczynając od ciebie.

Marcus wiedział już, jak potoczyły się wydarzenia, ale nie mógł w to uwierzyć.

— Devok chciał mnie zabić?

Clemente położył mu rękę na ramieniu.

— Przykro mi. Miałem nadzieję, że nigdy się o tym nie dowiesz.

Marcus spojrział w puste oczodoły jednej z wielu przechowywanych w krypcie czaszek. Kim mógł być ten człowiek? Jak się nazywał, jak wyglądał? Czy ktoś kiedykolwiek go kochał? W jaki sposób umarł i dlaczego? Był człowiekiem dobrym czy złym?

Ktoś mógłby zadać te pytania nad jego trupem, gdyby Devok go zabił. Jak wszyscy penitencjariusze, on też nie miał tożsamości.

Ja nie istnieję, przypomniał sobie.

— Jeremiaś Smith powiedział przed śmiercią: „Im większe wyrządziłem zło, tym lepiej radziłem sobie z jego wykrywaniem”. A ja zadaję sobie

pytanie: dlaczego nie pamiętam głosu mojej matki, za to doskonale tropię zło? Dlaczego zapomniałem wszystko prócz mojego talentu? Czy zło i dobro są cechami wrodzonymi nas wszystkich, czy też zależą od drogi, jaką każdy przeszedł w swoim życiu? — Marcus spojrział na Clemente. — Jestem dobry czy zły?

— Teraz wiesz, że popełniłeś grzech śmiertelny, zabijając Devoka, a potem Jeremiaha, dlatego będziesz musiał się wyświadczyć i zostaniesz osądzony przez Trybunał Sumienia. Ale jestem pewny, że otrzymasz rozgrzeszenie, bo jeśli ma się do czynienia ze złem, czasami trzeba się ubrudzić.

— A Lara? Jeremiah zabrał ze sobą jej tajemnicę. Co się stanie z tą biedną dziewczyną?

— Twoje zadanie na tym się kończy, Marcusie.

— Ona jest w ciąży.

— Nie możemy jej uratować.

— A co z jej dzieckiem? Nie, nie zgadzam się na to.

— Rozejrzyj się. — Clemente wskazał widoczne wszędzie kości. — Sens tego miejsca sprowadza się do miłosierdzia. Pochować po chrześcijańsku bezimienną istotę, niezależnie od tego, kim była czy jakie występki miała na sumieniu. Chciałem spotkać się tu z tobą, żebyś poczuł trochę miłosierdzia dla samego siebie. Lara umrze, ale nie z twojej winy. Dlatego przestań się tym dręczyć. Rozgrzeszenie Trybunału Sumienia na nic się zda, jeśli ty sam się nie rozgrzeszysz.

— W takim razie jestem już wolny? Nie wygląda to tak, jak sobie wyobrażałem. Nie jest mi z tym tak dobrze, jak się spodziewałem.

— Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie. — Clemente się uśmiechnął. — Może dzięki niemu sprawy wydadzą ci się mniej przykre. — Podał mu teczkę



z archiwum.

Marcus wziął ją do ręki i przeczytał na okładce: c.g. 294-21-12.

— Nie uratowałeś Lary, ale być może zdołasz jeszcze uratować tę tutaj.

## *Godzina 9.02*

Na oddziale intensywnej terapii rozgrywała się nierealna scena. Policjanci i technicy wykonywali rutynowe czynności, aby odtworzyć przebieg zdarzeń, a działo się to w obecności pacjentów pogrążonych w śpiączce. To sprawiało, że wszyscy poruszali się cicho i porozumiewali półgłosem, jakby się bali, że obudzą kogoś z nich.

Sandra przyglądała się kolegom, siedząc na krześle na korytarzu, i kręciła głową, zadając sobie pytanie, czy ta sytuacja wydaje się idiotyczna tylko jej. Lekarze nalegali, żeby została na obserwacji, ale podpisała zgodę na wypisanie ze szpitala. Nie czuła się zbyt dobrze, ale chciała wrócić do Mediolanu, żeby znowu kontrolować swoje życie. I spróbować zacząć od nowa.

Marcus — przypomniała sobie imię penitencjariusza ze szramą na skroni. Chciałaby z nim porozmawiać, spróbować zrozumieć. Pogłaskał ją, gdy się dusiła, i to dodało jej odwagi, której potrzebowała, żeby przeżyć. Chciałaby, by o tym wiedział.

Jeremiah Smith został włożony do czarnego worka na zwłoki. Gdy go wynoszono, odkryła, że ten człowiek jest jej obojętny. Tę noc doświadczyła, czym jest śmierć. To wystarczyło, aby uwolniła się od całej nienawiści i pragnienia zemsty, ponieważ czuła, że jest blisko Davida.

Odważna lekarka, Monica, uratowała jej życie, a potem zeznała, że to ona strzeliła do Jeremiaha. Wytarła z pistoletu odciski palców Marcusa i zostawiła na nim swoje. Zeznała, że nie była to zemsta, ale obrona. Wszystko

wskazywało na to, że jej uwierzono.

Sandra zobaczyła, że Monica nadchodzi korytarzem po zakończeniu kolejnego przesłuchania. Nie wyglądała na zmęczoną, miała wesołą minę.

— Jak idzie?

— Dobrze — odparła Sandra, choć była jeszcze zachrypnięta i obolała. Czuła się, jakby zmartwychwstała. — Jeśli się nie mylę, twój ojciec mawiał, że rośnie się także dzięki sile, z jaką cię policzkują.

Roześmiały się obie. W nocy Monica wróciła na oddział intensywnej terapii po wieczornym obchodzie, choć nie potrafiła powiedzieć, co ją do tego skłoniło.

— Może to z powodu rozmowy, którą odbyliśmy wcześniej. Nie mam pojęcia.

Sandra nie wiedziała, czy za ten szczęśliwy traf powinna dziękować Monice, czy też komuś na wysokościach, kto co jakiś czas starał się wpłynąć na bieg spraw tu na dole. Było jej obojętne, czy zrobił to Pan Bóg, czy jej mąż.

Monica pochyliła się nad Sandrą i ją uściskała. Nie potrzebowały słów. Potem młoda lekarka pożegnała się, całując ją w policzek.

Sandra przyglądała się, jak Monica się oddala, i nie zauważyła nadchodzącego komisarza Camussa.

— Dzielna dziewczyna — powiedział z uznaniem.

Był ubrany na niebiesko: w niebieską marynarkę, spodnie, koszulę i krawat. Sandra szła o zakład, że niebieskie są również jego skarpetki. Wyjątek stanowiły białe mokasy. Gdyby nie buty i głowa, Camusso byłby niewidzialny na tle wyposażenia i ścian oddziału intensywnej terapii, jak kameleon.

— Rozmawiałem z pani zwierzchnikiem, inspektorem De Michelisem.

Jedzie po panią z Mediolanu.

— Do diabła, tylko nie to! Dlaczego go pan nie powstrzymał? Liczyłam na to, że wyjadę dziś wieczorem.

— Opowiedział mi sympatyczną historię o pani.

Sandra obawiała się najgorszego.

— Wydaje się, że miała pani rację. Gratuluję.

— Z jakiego powodu? — zdziwiła się Sandra.

— Chodzi o sprawę tego piecyka gazowego i tlenku węgla. Oraz małżonka, który strzela do żony i syna po wzięciu prysznicu, a potem wraca do łazienki, mdleje, uderza głową o umywalkę i umiera.

— Czyżby lekarz sądowy zgodził się z moją koncepcją?

— Nie tylko się zgodził, ale i przyjął ją za własną.

Sandra nie mogła w to uwierzyć. Prawda niesie pociechę, jak w przypadku Davida, pomyślała. Teraz, gdy odkryła, kto go zabił, czuła się pogodzona z jego odejściem.

— Wiedziała pani, że wszystkie oddziały kliniki są monitorowane przez system kamer?

Sandrę przeszedł dreszcz, ponieważ nie pomyślała o tym. Wersja przedstawiona przez Monicę i potwierdzona przez nią mogła zostać obalona. Marcus znalazł się w zagrożeniu.

— Oglądaliście nagrania?

Komisarz się skrzywił.

— Jak się wydaje, system monitoringu na oddziale intensywnej terapii został uszkodzony z powodu burz w ostatnich dniach. Dlatego nie ma żadnych nagrań tego, co tu się wydarzyło. Wielka szkoda, nie sądzi pani?

Sandra starała się nie pokazać po sobie, jak bardzo jej ulżyło.

Ale Camusso miał jeszcze coś w zanadru.

— Wiedziała pani, że klinika Gemelli należy do Watykanu?

Pytanie zawierało złośliwą insynuację, którą Sandra zignorowała.

— Dlaczego mi pan o tym mówi?

Policjant wzruszył ramionami, spoglądając na nią z ukosa, ale nie drążył tematu.

— Tak sobie, taka ciekawostka.

Sandra wstała.

— Mógłby pan poprosić kogoś, żeby odwiózł mnie do hotelu?

— Sam panią odwiozę. Nie mam tu nic do roboty.

Sandra pokryła rozczarowanie najbardziej fałszywym uśmiechem, na jaki mogła się zdobyć.

— Tak, ale najpierw chciałabym pojechać w pewne miejsce.



Komisarz miał starą lancję fulwiewą, ale była ona w doskonałym stanie. Wsiadając do niej, Sandra odniosła wrażenie, że cofa się w czasie. Wnętrze pachniało tak, jakby auto dopiero co opuściło salon sprzedaży. Padał deszcz, ale karoseria była niewiarygodnie czysta.

Camusso zawiózł ją tam, gdzie chciała. Po drodze słuchali stacji radiowej, w której mówiono tylko o sukcesach z lat sześćdziesiątych. Przejechali przez via Veneto i Sandrze wydało się, że wróciła do epoki *dolce vita*.

Ta wyprawa w dawne czasy skończyła się pod budynkiem, w którym mieściło się mieszkanie Interpolu.

Wchodząc po schodach, Sandra miała nadzieję, że zastanie Shalbera. Chciała mu opowiedzieć mnóstwo rzeczy, a przede wszystkim spodziewała się, że i on coś jej powie. Na przykład ucieszy się, że przeżyła, chociaż

zrobiła głupstwo, starając się go zgubić. Gdyby poprzedniego wieczoru śledził ją aż do kliniki Gemelli, być może sprawy potoczyłyby się inaczej. W gruncie rzeczy Shalber starał się ją chronić.

Przede wszystkim jednak chciała od niego usłyszeć, że być może miło byłoby zobaczyć się w przyszłości. Spali ze sobą, i to jej się podobało. Nie chciała go stracić. Choć na razie nie przyznawała się do tego, zaczynała się w nim podkochiwać.

Dotarłszy na podest schodów, stwierdziła, że drzwi mieszkania są otwarte. Pełna nadziei, przekroczyła bez wahania próg. Usłyszała odgłosy dochodzące z kuchni i skierowała się w tę stronę. Wszedłszy, zastała w niej bardzo eleganckiego mężczyznę w granatowym garniturze.

Zdołała tylko wybąkać:

— Witam.

Mężczyzna spojrział na nią zdumiony.

— Przyszła pani sama, bez męża?

Sandra była zaskoczona, ale pospieszyła z wyjaśnieniem.

— Szukam pana Thomasa Shalbera.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

— Być może to poprzedni lokator.

— Myślę, że to pański kolega. Nie zna go pan?

— O ile mi wiadomo, sprzedażą tej nieruchomości zajmuje się tylko nasza agencja. A u nas nie pracuje nikt o takim nazwisku.

Sandra zaczynała rozumieć, choć nie wszystko wydawało jej się jasne.

— Reprezentuje pan agencję nieruchomości?

— Nie widziała pani naszego ogłoszenia na drzwiach wejściowych na dole? To mieszkanie zostało wystawione na sprzedaż.

Nie wiedziała, czy jest rozczarowana, czy zaskoczona.

— Jak dawno temu?

— Nikt tu nie mieszka od przeszło sześciu miesięcy.

Sandra nie wiedziała, co powiedzieć. Wszelkie wyjaśnienia, jakie przychodziły jej do głowy, nie wydawały się przekonujące.

Mężczyzna podszedł do niej.

— Czekam na klientów. Jeśli chce pani obejrzeć mieszkanie...

— Nie, dziękuję. Przepraszam, pomyliłam się. — Odwróciła się, by wyjść, ale agent powiedział jeszcze: — Jeśli nie spodobają się pani meble, nie musi pani ich brać. Możemy obniżyć cenę.

Zbiegła po schodach tak szybko, że gdy dotarła na parter, musiała oprzeć się o ścianę, bo zakręciło jej się w głowie. Po paru minutach wyszła na ulicę i wsiadła do samochodu Camussa.

— Dlaczego tak pani pobladła? Chce pani, żebym odwiózł panią do szpitala?

— Nic mi nie jest. — Skłamała. Była wściekła. Jeszcze jedna intryga Shalbera. Czy to możliwe, że ten agent okłamał ją we wszystkim? Czym była dla niego noc, którą spędzili razem?

— Kogo szukała pani w tej kamienicy? — chciał wiedzieć komisarz.

— Znajomego, który pracuje dla Interpolu. Ale go nie było i nie wiem, gdzie jest.

— Jeżeli pani chce, mogę go znaleźć. Zadzwonię do kolegów z rzymskiego biura, dobrze ich znam.

Sandra doszła do wniosku, że nie może wrócić do Mediolanu. Musiała się dowiedzieć, czy Shalber czuje choć w małej części to co ona.

— Byłabym panu bardzo wdzięczna.

## Godzina 13.55

Bruno Martini zaszył się w szopie na podwórzu kamienicy, w której mieszkał. Przerobił ją na coś w rodzaju warsztatu. Jego rozrywkę stanowiły drobne naprawy. Reperował elektryczne urządzenia domowe, ale wykonywał też prace stolarskie. Gdy Marcus zobaczył go po drugiej stronie podnoszonych drzwi, Martini dłubał przy silniku vespy.

Ojciec Alice nie zauważył, że Marcus się zbliża. Lał deszcz i dostrzegł go dopiero w chwili, gdy był bardzo blisko.

— Czego jeszcze ode mnie chcesz? — spytał opryskliwie.

Był potężnie zbudowany i umięśniony, ale okazał się bezsilny wobec zaginięcia córki. Przed załamaniem chronił go już tylko zły charakter, ale Marcus nie miał o to do niego pretensji.

— Możemy porozmawiać?

Martini zastanawiał się przez chwilę.

— Wejdz. Mokniesz. — Wstał i wytarł ręce o zatłuszczony kombinezon.

— Rozmawiałem dziś rano z Camillą Roccą. Była w szoku, ponieważ teraz już wie, że nie znajdzie sprawiedliwości.

— Nie przyszedłem w tej sprawie. Niestety, nie mogę zrobić dla niej nic więcej.

— Czasami lepiej by było nie wiedzieć.

Marcus zdziwił się, słysząc te słowa. Wypowiedział je ojciec, który rozpaczliwie starał się odnaleźć córkę, kupił nielegalnie broń i chciał sam wymierzyć sprawiedliwość. Zadał sobie pytanie, czy dobrze zrobił,



przychodząc tutaj.

— Nadal chcesz się dowiedzieć, co przydarzyło się Alice?

— Szukam jej od trzech lat, jakby ciągle żyła, ale oplakuję ją, jakby umarła.

— To nie jest odpowiedź — odparł Marcus.

— Wiesz, co to znaczy nie móc umrzeć? To znaczy, że żyje się na siłę, jakby człowiek był nieśmiertelny. Wyobrażasz sobie, co to za pieprzony wyrok? Mimo to ja nie pożegnam się z życiem, dopóki nie odkryję, co przytrafiło się Alice. I będę musiał żyć i cierpieć.

— Dlaczego tak trudno ci poradzić sobie z tą sprawą?

— Trzy lata temu byłem nałogowym palaczem.

Marcus nie rozumiał, co to ma do rzeczy, ale pozwolił mu mówić.

— Tamtego dnia w parku odszedłem na bok, żeby zapalić papierosa, i to wtedy Alice zaginęła. Była tam też jej matka, ale to ja miałem jej pilnować. Jestem jej ojcem, to był mój obowiązek.

Marcusowi wystarczyła ta odpowiedź. Wyjął z kieszeni akta, które dał mu Clemente.

C.g. 294-21-12

Otworzył je i wziął do ręki jedną kartkę.

— Chcę ci coś wyjawić, ale pod pewnym warunkiem: że nie będziesz mnie pytał, skąd to wiem, ani nie powiesz nikomu, że wiesz to ode mnie. Zgadzasz się?

Mężczyzna spojrzał na niego zdziwiony.

— Zgoda. — W jego głosie pojawiła się nowa nuta, nadzieja.

— Ostrzegam cię, że to, co usłyszysz, nie będzie przyjemne. Mimo to gotowy jesteś tego wysłuchać?

— Tak — odparł cicho Martini.

— Trzy lata temu Alice została uprowadzona. Porywacz wywiózł ją za granicę.

— Jak to możliwe?

— To psychopata, który myśli, że jego nieżyjąca żona wcieliła się w twoją córkę. Dlatego ją porwał.

— A więc... — Martini nie wierzył własnym uszom.

— Tak, ona żyje.

W oczach Martiniego błysnęły łzy.

Marcus podał mu kartkę.

— Tutaj znajdziesz wszystko, co potrzebne, żeby ją odnaleźć. Ale przyrzeknij mi, że nie zrobisz tego sam.

— Przyrzekam.

— Na dole zapisany jest numer telefonu specjalistki od poszukiwania zaginionych osób, przede wszystkim dzieci. Zwróć się do niej. Wydaje się, że to zdolna policjantka, nazywa się Mila Vasquez.

Martini wziął kartkę i wpatrywał się w nią, nie wiedząc, co powiedzieć.

— To ja już pójdę — rzekł Marcus.

— Zaczekaj.

Marcus się zatrzymał, ale Martini nie mógł wydusić słowa. Wstrząsał nim szloch.

Marcus wiedział, co mu chodzi po głowie i że dotyczy to nie tylko Alice. Po raz pierwszy Martini wyobraził sobie, że będzie mógł odtworzyć swoją rodzinę. Że wróci do niego razem z drugim dzieckiem żona, która odeszła z powodu jego zachowania po zaginięciu córki. I znowu obdarzą się miłością, jak dawniej.

— Nie chcę, żeby dowiedziała się o tym Camilla — powiedział, gdy się uspokoił. — Przynajmniej nie teraz. To dla niej straszna nowina. Ja być może

odnajdę Alice, a jej syn nigdy nie wróci.

— Nie zamierzałem jej o tym informować. Ale ona na szczęście ma rodzinę.

Martini podniósł głowę i spojrzał na niego zdziwiony.

— Jaką rodzinę? Mąż porzucił ją dwa lata temu, ożenił się z inną, mają nawet syna. Dlatego połączyliśmy nasze wysiłki, ja i ona.

Marcus przypomniał sobie liścik, który widział w mieszkaniu Camilli, przymocowany do lodówki magnesem w kształcie kraba.

*Zobaczymy się za dziesięć dni. Kocham cię.*

Kto wie od jak dawna on tam wisiał. Ale niepokoiło go coś innego, choć nie wiedział, co to jest.

— Muszę już iść — powiedział i zanim Martini zdążył mu podziękować, odwrócił się i zniknął za zasłoną deszczu.



Z powodu oberwania chmury ruch na ulicach prawie zamarł, więc dotarcie do Ostii zajęło mu blisko dwie godziny. Autobus dowiózł go do ronda na nadmorskim bulwarze, dalej poszedł na piechotę.

W alejce nie było widać auta Camilli Rokki. Marcus stał na deszczu, obserwując domek, żeby się upewnić, że nikogo w nim nie ma. Potem wszedł do środka.

Nie zauważył żadnych zmian. Ten sam wystrój w marynarskim stylu, piasek trzeszczący pod butami. Ale kran nad zlewem w kuchni był niedokręcony i kapiała z niego woda. Odgłos spadających kropli ginął w ciszy, mieszając się z deszczem szumiącym na dworze.

Marcus poszedł do sypialni. Na poduszkach leżały dwie piżamy. Nie pomylił się, zapamiętał to dobrze. Jedna damska, druga męska. Bibeloty i

inne rzeczy stały na swoich miejscach. Gdy był tu po raz pierwszy, pomyślał, że ta dbałość o porządek jest ucieczką od chaosu wywołanego zaginięciem syna. Anomalie, pomyślał, żeby sobie przypomnieć, czego powinien szukać.

Z komody patrzył ze zdjęcia uśmiechnięty Filippo i Marcus poczuł, że coś nim kieruje. Na szafce nocnej po stronie łóżka, po której spała Camilla, leżała elektroniczna niania. I to zwróciło jego uwagę na sąsiednie pomieszczenie.

Wszedł do pokoiku, w którym kiedyś mieszkał Filippo, teraz podzielonego na dwie części. W tej, która go interesowała, znajdowały się pojemnik na pieluchy, stos pluszowych zabawek i kołyska.

Gdzie jest dziecko, które chciałem tu zobaczyć? Co za sztuczka kryje się za tą teatralną dekoracją? — zastanawiał się Marcus.

Przypomniał sobie słowa Brunona Martiniego. „Mąż porzucił ją dwa lata temu, ożenił się z inną, mają nawet syna”. Camilla cierpiała. Porzucił ją mężczyzna, którego wybrała i pokochała. Ale zdrada nie polegała na pojawieniu się innej kobiety, ale na tym, że urodziła ona synka, który zastąpił mu Filippa.

Prawdziwym nieszczęściem Camilli nie była utrata syna, pomyślał, ale to, że mimo wszystko musiała żyć. A nie chciała przestać być matką.

Uświadomiwszy to sobie, Marcus natychmiast dostrzegł anomalie. Tym razem rzecz dotyczyła pewnego przedmiotu. A raczej czegoś, czego nie było.

Obok kołyski brakowało drugiej części elektronicznej niani.

Jeśli odbiornik znajduje się w pokoju Camilli, to gdzie jest nadajnik?

Marcus wrócił do sypialni i usiadł na łóżku obok szafki nocnej. Uruchomił odbiornik.

Usłyszał ciągły szum, niczym niezrozumiały głos dochodzący z ciemności. Podniósł urządzenie do ucha, starając się coś usłyszeć. Nic.

Podkreślił głośność. Do pokoju wtargnął hałas. Marcus czekał, zachowując czujność. Mijały sekundy wypełnione sondowaniem głębin tego morza szmerów, próbą wychwycenia minimalnej zmiany, jakiejś nuty różnej od innych.

I wreszcie ją usłyszał. Wychwycił coś odmiennego od szmeru przypominającego przesypywanie piasku. Inny odgłos. Rytmiczny. Dźwięk, który nie był sztuczny, ale żywy. Oddech.

Marcus zaczął chodzić z odbiornikiem po domu, szukając źródła sygnału. Mówił sobie, że nie może znajdować się daleko. Takie urządzenia mają zasięg kilku metrów. A więc gdzie ona może się znajdować?

Pootwierał wszystkie drzwi, sprawdził pokoje. Dotarłszy do tylnego wyjścia, zobaczył przez siatkę moskitiery zaniedbany ogródek i szopę na narzędzia.

Wyszedł tylnymi drzwiami i zauważył, że pobliskie domy stoją daleko, a działka jest porośnięta wysokimi piniami, które zasłaniają widok. To miejsce doskonale nadawało się na kryjówkę. Ruszył krótką zwirowaną ścieżką w kierunku szopy. Jego stopy zagłębiały się w mokrym żwirze. Wreszcie dotarł do celu. Drzwi były zamknięte na ciężką kłódkę.

Marcus rozejrzył się i natychmiast znalazł to, czego potrzebował: wciśnięty w ziemię żelazny pręt, który służył za podstawę urządzenia do podlewania. Odłożył odbiornik, chwycił pręt obiema rękami i wyrwał go jednym mocnym pociągnięciem. Następnie zaczął walić w kłódkę z uporem, a także ze złością. W końcu się udało — stalowy pierścień wyskoczył i drzwi uchyliły się na kilka centymetrów. Marcus otworzył je na oścież.

Do środka wdarło się blade światło dnia, ukazując warstwę śmieci i elektryczny grzejnik. Obok rzuconego na ziemię materaca leżał nadajnik elektronicznej niani, a na nim szmaty... które się poruszyły.

— Lara! — krzyknął. Odczekał dłuższą chwilę, ale nie usłyszał odpowiedzi. — Laro, to ty?

— Tak — odpowiedział nieufny głos.

Leżała skulona pod brudnymi kocami. Była wyczerpana, brudna, ale żyła.

— Nie bój się, przyszedłem, żeby cię stąd zabrać.

— Pomóż mi, proszę — jęknęła.

Powtarzała te słowa, kiedy Marcus wziął ją na ręce i wyniósł na deszcz. Weszli do domku i Marcus się zatrzymał.

W korytarzu stała przemoczona Camilla Rocca. Trzymała pęk kluczy i torby z zakupami.

— On porwał ją dla mnie. Powiedział, że mogę zatrzymać jej dziecko...

Marcus domyślił się, że chodzi jej o Jeremiaha Smitha.

Camilla popatrzyła najpierw na niego, a potem na Larę.

— Ona go nie chciała.

„Raz wygenerowane zło generuje następne zło”, takie były słowa Jeremiaha. Życie skrzywdziło Camillę, ale przyjęła podarunek potwora. Marcus zrozumiał też, dlaczego udało jej się go oszukać. Stworzyła sobie równoległy świat, który dla niej był światem realnym. Była szczerą, nie odgrywała wyuczonej roli.

Przeszedł obok niej z Larą na rękach. Wyjął z rąk Camilli kluczyki od samochodu.

Przyglądała się im przez chwilę, a potem osunęła się na podłogę.

— Ona go nie chciała... — powtarzała szeptem.

## *Godzina 22.56*

Inspektor De Michelis wrzucał monety do automatu z kawą. Sandra była zahipnotyzowana precyzją, z jaką to robił. Nie wyobrażała sobie, że tak szybko wróci do kliniki Gemelli.

Godzinę wcześniej zadzwonił do niej Camusso. Pakowała się właśnie, chcąc opuścić hotel i wsiąść do pociągu do Mediolanu. Z początku myślała, że komisarz ma jakieś wieści o Shalberze. Powiedział jej jednak, że Interpol bada jeszcze tę sprawę, a potem poinformował ją o najnowszym wydarzeniu w sprawie Jeremiaha Smitha. Usłyszawszy nowinę, pospieszyła z De Michelisem do szpitala, żeby przekonać się, że to prawda.

Lara żyła.

Została odnaleziona w niezbyt jasnych okolicznościach. Studentka architektury siedziała w aucie stojącym na parkingu centrum handlowego pod Rzymem. Na policję zadzwonił jakiś mężczyzna, który nie podał nazwiska. Teraz Larę badali lekarze.

Sandra dowiedziała się tylko, że komisarz Camusso zabrał kilku ludzi i pojechał do Ostii, żeby dokonać tam zatrzymania. Ten trop podsunęła mu Lara, poza tym auto, w którym ją znaleziono, miało rejestrację z tamtej okolicy. Sandra zadawała sobie pytanie, czy w tę sprawę był zamieszany Jeremiah Smith, miała jednak pewność, że za wszystkim stoi Marcus.

Tak, to musiał być on, powtarzała sobie. Dziewczyna na pewno opowie o mężczyźnie ze szramą na skroni, ale nie wiadomo, czy śledczym uda się do niego dotrzeć. Miała nadzieję, że nie.

Od chwili, gdy rozeszła się wiadomość o odnalezieniu Lary, poliklinikę oblegali dziennikarze, czatowali też w parku naprzeciwko. Rodzice Lary jeszcze nie przyjechali, tymczasem zaczęli pojawiać się pojedynczo jej koledzy i koleżanki, żeby dowiedzieć się, jak się czuje. Sandra rozpoznała wśród nich Christiana Lorieriego, asystenta na wydziale historii sztuki i ojca dziecka, które miała urodzić Lara. Ich spojrzenia skrzyżowały się przelotnie, ale było to bardziej wymowne, niż gdyby zamienili nie wiadomo ile słów. Skoro się tu znalazł, oznaczało to, że ich rozmowa na uniwersytecie okazała się pożyteczna.

Do tej pory wydano tylko jedno oświadczenie, w którym informowano zwięźle, że obraz kliniczny studentki jest dobry i że, pomimo doznanego szoku, także płód znajduje się w dobrym stanie.

De Michelis podszedł do Sandry, dmuchając na kawę.

— Nie uważasz, że powinnaś mi wyjaśnić to i owo?

— Masz rację, ale ostrzegam, że nie wystarczy ci do tego tylko jedna kawa.

— Tak czy owak, nie wyjedziemy stąd prędzej niż jutro rano. Wydaje się, że będziemy musieli spędzić tu noc.

Sandra wzięła go za rękę.

— Chciałabym porozmawiać z tobą jak z przyjacielem, zapominając o tym, że jesteśmy policjantami. Odpowiada ci to?

— Czyżby gliniarze przestali ci się podobać? — zażartował, jednak widząc poważną minę Sandry, zmienił ton. — Byłem daleko od ciebie, kiedy umarł David. Teraz mogę przynajmniej wysłuchać twojej opowieści.

Przez następne dwie godziny Sandra opowiadała o wszystkim człowiekowi, którego prawość zawsze podziwiała. De Michelis przerywał jej tylko po to, żeby poprosić o wyjaśnienie jakiegoś szczegółu. Kiedy



skończyła, zrobiło jej się lżej na sercu.

— Powiedziałaś, że to penitencjariusze?

— Tak. Czy to możliwe, że nigdy o nich nie słyszałeś?

De Michelis wzruszył ramionami.

— W tym zawodzie widziałem różne rzeczy, nic mnie już nie dziwi. Zdarzały się sprawy, które można było rozwiązać na przykład dzięki donosowi, ale nigdy nie łączyłem ich z kimś, kto prowadziłby śledztwo równoległe z policją. Jak wiesz, jestem człowiekiem wierzącym. Miło pomyśleć, że istnieje coś irracjonalnego i zarazem bardzo pięknego, czemu mogę zaufać, kiedy nie daję już rady znieść ohydy, jaką codziennie widzę.

De Michelis pogłaskał ją po policzku, dokładnie tak, jak zrobił to Marcus, zanim zniknął ze szpitala i z jej życia.

Sandra zobaczyła za plecami inspektora dwóch ludzi w marynarkach i krawatach, rozmawiających z funkcjonariuszem, który machnął ręką w ich kierunku. Dwaj mężczyźni podeszli do Sandry i De Michelisa.

— Czy mamy przyjemność z Sandrą Vegą? — spytał jeden z nich.

— Tak, to ja.

— Możemy zamienić kilka słów? — spytał drugi.

— Oczywiście.

Dali jej do zrozumienia, że sprawa jest poufna, i odeszli na bok. Pokazali jej swoje legitymacje.

— Jesteśmy z Interpolu.

— Co się stało?

Głos zabrał starszy z nich.

— Dziś po południu zadzwonił do nas komisarz Camusso, prosząc o informacje na temat naszego agenta. Powiedział, że to pani ich potrzebuje. Chodzi o niejakiego Thomasa Shalbera. Potwierdza pani, że go zna?

— Tak.

— Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

— Wczoraj.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie znacząco, a młodszy zapytał: — Jest pani pewna?

Sandra zaczynała tracić cierpliwość.

— Oczywiście, że jestem pewna.

— I to jest człowiek, z którym się pani spotkała?

Pokazali jej legitymacyjną fotografię i Sandra pochyliła się, żeby jej się przyjrzeć.

— Pomimo dużego podobieństwa nie wiem, kim jest ten człowiek.

Dwaj mężczyźni znowu wymienili spojrzenia, ale tym razem byli zaniepokojeni.

— Czy mogłaby pani opisać osobę, którą pani widziała, naszemu specjalście od portretów pamięciowych?

Sandra miała tego dość, chciała wiedzieć, czemu służą te indagacje.

— Dobrze, chłopcy, który z was mi powie, o co chodzi? Coś mi się tu nie zgadza.

Młodszy z mężczyzn spojrział na starszego, jakby pytał go o zgodę. Otrzymawszy ją, powiedział: — Kiedy Thomas Shalber skontaktował się z nami po raz ostatni, prowadził tajne śledztwo.

— Dlaczego pan mówi, że „prowadził”?

— Ponieważ zniknął bez śladu i od ponad roku nie mamy o nim żadnych wiadomości.

— Przepraszam, ale jeśli ten mężczyzna z fotografii jest waszym agentem, a wy nie wiecie, co się z nim stało, to w takim razie kogo ja poznałam?

ROK WCZEŚNIEJ  
PRYPEĆ

Wilki nawoływały się na bezludnych ulicach, ich posępne wycie unosiło się ku mrocznemu niebu. Teraz one były panami Prypeci.

Myśliwy słuchał ich głosów, stojąc na podeście schodów na jedenastym piętrze wieżowca numer sto dziewięć. Próbował otworzyć drzwi mieszkania Anatolija Pietrowa.

Wilki wiedziały, że intruz nie wyjechał z miasta, i go szukały.

Nie mógłby opuścić tego miejsca przed wschodem słońca. Bolały go zmarznięte ręce i szarpał się z zamkiem. Ale w końcu drzwi się otworzyły.

Mieszkanie było takie samo jak sąsiednie. Wszystko w nim pozostało nietknięte.

Okna zabezpieczono szmatami i taśmą izolacyjną, aby do środka nie wpadało napromieniowane powietrze. Anatolij musiał to zrobić natychmiast po katastrofie nuklearnej.

Myśliwy zobaczył plakietkę z jego zdjęciem przypiętą do wiszącego w przedpokoju uniformu pracownika elektrowni. Miał około trzydziestu pięciu lat, jasne włosy z grzywką zakrywającą czoło. Okulary krótkowidza w grubych oprawkach, pozbawione wyrazu niebieskie oczy. Cienkie wargi, nad którymi widać było jasny puszek. Zakres jego obowiązków zawodowych określony był terminem „technik turbinowy”.

Myśliwy rozejrzał się po mieszkaniu. Umebłowanie było skromne. W saloniku stały kanapa obita aksamitem w kwiaty i telewizor. W jednym z kątów ustawione były dwa puste szklane pojemniki. Część jednej ze ścian zajmował regał z książkami. Myśliwy podszedł bliżej, żeby przyrzeć się tytułom. Były tu pozycje na temat zoologii, antropologii i liczne opracowania z etologii, czyli nauki o zachowaniu zwierząt. Obecni byli tacy autorzy, jak Darwin, Lorenz, Morris i Dawkins. Studia poświęcone tresurze zwierząt,

uwarunkowaniom środowiskowym różnych gatunków oraz traktaty o relacjach między instynktem i bodźcami zewnętrznymi. Lektury, które nie miały nic wspólnego z pracą technika obsługującego turbiny. Niżej leżało około dwudziestu ponumerowanych zeszytów.

Myśliwy nie wiedział, co o tym sądzić, ale doszedł do wniosku, że Anatolij Pietrow mieszkał sam. Nie było śladów obecności rodziny. Ani dziecka.

Na chwilę ogarnęło go zniechęcenie. Musiał zostać tu przez całą noc. Nie mógł rozpaść ognia, ponieważ spalanie zwiększyłoby działanie promieniowania. Nie miał nic do jedzenia, tylko wodę. Powinien znaleźć jakieś koce i konserwy. Rozglądając się, stwierdził, że w szafie w sypialni brakuje ubrań, a półki w kredensie są puste. Wszystko wskazywało na to, że Anatolij okazał się przewidujący i wyjechał z Prypeci natychmiast po awarii reaktora, jeszcze przed masową ewakuacją. Nie opuścił mieszkania w pośpiechu, jak inni. Prawdopodobnie nie ufał zapewnieniom władz, które zaraz po katastrofie zachęcały ludzi, żeby pozostali w domach.

Myśliwy urządził sobie w saloniku prowizoryczne legowisko, wykorzystując poduszki z kanapy i kilka kołder. Pomyślał, żeby użyć trochę wody, którą miał ze sobą, do umycia twarzy i rąk, by usunąć przynajmniej część radioaktywnego pyłu. Wyjął z torby manierkę i razem z nią wypadł z niej uszyty z gałganków królik, który należał do fałszywego Dimy. Położył go obok licznika Geigera i latarki, żeby mieć w nim towarzysza w tej absurdalnej sytuacji. Uśmiechnął się.

— Może ty mi pomożesz, mój stary.

Zabawka ograniczyła się do tego, że wlepiła w niego spojrzenie jedyne go oka. Myśliwy poczuł się trochę głupio.

Popatrzył na rząd zeszytów na regale. Wybrał jeden na chybił trafił,

oznaczony szóstką, żeby go przejrzeć.

Brakowało tytułu, a tekst pisany był ręcznie. Litery cyrylicy układały się w równe linijki. Przeczytał pierwszą stronę. Był to dziennik.

## 14 lutego

Zamierzam powtórzyć doświadczenie numer 68, ale tym razem zmienię podejście. Ma ono na celu wykazanie, że uwarunkowania środowiskowe wpływają na zachowanie, odwracając dynamikę wywierania wpływu. W tym celu kupiłem na rynku dwa białe króliki...

Myśliwy spojrział na królika z gałganków. Dziwna zbieżność. A jemu zbieżności nigdy się nie podobały.

## 22 lutego

Dwa króliki były hodowane oddzielnie i osiągnęły wystarczającą dojrzałość. Dziś spróbuję zmienić przyzwyczajenia jednego z nich...

Myśliwy przeniósł wzrok na szklane pojemniki stojące w kącie. To w nich Anatolij Pietrow trzymał króliki.

## 5 marca

Brak jedzenia i stosowanie elektrod sprawiły, że jeden z królików stał się bardziej agresywny. Górę biorą instynkty...

Myśliwy nic z tego nie rozumiał. Co ten Anatolij chciał udowodnić? Dlaczego z takim poświęceniem oddawał się temu zajęciu?

## 12 marca

Umieściłem oba króliki w tym samym pojemniku. Głód i pobudzona agresywność wydały owoce. Jeden zaatakował drugiego, zadając mu śmiertelną ranę...

Zaszokowany Myśliwy podniósł się z legowiska i wziął z regału następnę

zeszyty. Niektóre z nich zawierały zdjęcia opatrzone dokładnymi opisami. Króliki zmuszane były do przyjęcia zachowań, które nie leżały w ich naturze. Anatolij przez dłuższy czas nie dawał im nic do jedzenia lub picia, trzymał je w ciemności lub w świetle i pobudzał małymi ładunkami elektrycznymi albo podawał im leki psychotropowe. W ich oczach można było dojrzeć mieszaninę przerażenia i szaleństwa. Za każdym razem eksperyment kończył się w okrutny sposób, ponieważ jeden z królików zabijał drugiego albo Anatolij zabijał oba.

Myśliwy zauważył, że ostatni, dziewiąty, zeszyt, odsyła do następnych, których jednak nie było na regale. Prawdopodobnie Anatolij Pietrow zabrał je ze sobą, zostawiając te, które uważał za mniej wartościowe.

Na ostatniej stronie znajdowała się wpisana ołówkiem adnotacja, która szczególnie go poruszyła.

...Wszystkie żyjące istoty zabijają. Ale jedynie człowiek robi to nie tylko z konieczności, ale też z czystego sadyzmu, dla przyjemności zadawania cierpienia. Dobroć i podłość to nie tylko kategorie moralne. Wykazałem, że każdemu zwierzęciu można wpoić zabójczą wściekłość i sprawić, że cechy jego gatunku zanikną. Dlaczego człowiek miałby być wyjątkiem?

Czytając te słowa, Myśliwy poczuł dreszcz. Uporczywe spojrzenie królika z gałganków zaczęło go nagle irytować. Wyciągnął rękę, żeby go odsunąć, i nieopatrznie potracił manierkę — spadła i woda rozlała się na podłogę. Gdy wstał, żeby ją podnieść, zauważył, że część wody znikła pod listwą przyścienną pod regałem. Wylał jeszcze trochę wody, również ona znikła.

Przyjrzał się ścianie, analizując wymiary pokoju, i doszedł do wniosku, że za tym meblem coś jest, być może wnęka.

Zauważył na parkiecie przed regałem półkoliste zadrapanie. Przykucnął i dmuchnął wzdłuż zakrzywionej bruzdy, żeby oczyścić ją z kurzu, który

zebrał się w niej przez lata, i uważnie się przyjrzał. Miała kształt łuku obejmującego sto osiemdziesiąt stopni.

Regał pełnił funkcję drzwi, a ich stałe używanie pozostawiło ślad na podłodze.

Chwycił za jedną z półek i pociągnął, regał był jednak zbyt ciężki. Postanowił zdjąć książki. Układanie ich na podłodze zajęło mu kilka minut. Spróbował znowu i wyczuł, że regał obraca się na zawiasach. Po chwili zdołał go odsunąć.

Ukazały się drzwi zamknięte na dwie zasuwki.

W ich środkową część wbudowano okienko, a obok znajdował się kontakt, który okazał się bezużyteczny, ponieważ nie było prądu. Mimo to Myśliwy spróbował zajrzeć do środka. Trochę czasu zajęło mu odsunięcie zasuwek, które zardzewiały.

Gdy wreszcie mu się to udało, jego oczom ukazała się mroczna wnęka. Bijący z niej fetor sprawił, że odskoczył i zakrył dłonią usta. Po chwili sięgnął po latarkę i oświetlił wnętrze.

Wnęka miała około dwóch metrów kwadratowych, a jej wysokość wynosiła zaledwie półtora metra.

Wewnętrzna powierzchnia drzwi i ściany obite były miękkim ciemnym materiałem, podobnym do gąbki używanej do wyciszania pomieszczeń. Z sufitu zwisała żarówka osłonięta metalową kratką. W jednym z kątów stały dwa naczynia. Na ścianach widniały zadrapania, jakby więziono tu jakieś zwierzę.

W głębi małej celi coś błysnęło w snopie światła. Myśliwy sięgnął po mały przedmiot i przyjrzał mu się.

Była to plastikowa niebieska bransoletka.

Nie, tu nie przebywało zwierzę, pomyślał zaszokowany.



Na bransoletce widniał napis cyrylicą:

SZPITAL PAŃSTWOWY W KIJOWIE — ODDZIAŁ POŁOŻNICZY

Myśliwy wstał, czując, że nie może dłużej przebywać w tym pomieszczeniu. Wstrząsany mdłościami, pobiegł do przedpokoju. Oparł się w ciemności o ścianę, bojąc się, że straci przytomność. Próbował się uspokoić i po kilku minutach mógł normalnie oddychać. Tymczasem w jego umyśle nabierało kształtu wyjaśnienie.

Anatolij Pietrow nie był uczonym. Był człowiekiem chorym, sadystą i psychopatą. Jego eksperymenty świadczyły o obsesji. Jak w przypadku dzieci, które zabijają kamieniem jaszczurkę. W rzeczywistości nie jest to tylko zabawa. Do zadawania śmierci popycha je ciekawość. Nie wiedzą, że w ten sposób po raz pierwszy doświadczają przyjemności okrucieństwa. Wydaje im się, że pozbawiają życia niepotrzebne stworzenie i że nikt ich za to nie skrzyczy. Ale Anatolija Pietrowa szybko znudziły króliki.

Dlatego porwał noworodka.

Trzymał go w niewoli i wykorzystywał jak królika doświadczalnego. Latami poddawał dziecko wszelkiego rodzaju próbom, kształtując w ten sposób jego charakter. Sprawił, że obudził się w nim instynkt mordercy. Czy rodzimy się jako istoty dobre lub złe, czy też się takimi stajemy? To było pytanie, na które starał się odpowiedzieć.

Oto czym był transformista — owocem eksperymentu.

Po wybuchu reaktora Anatolij szybko wyjechał z miasta. Był technikiem obsługującym turbiny, zdawał sobie sprawę z zagrożenia. Ale nie mógł zabrać ze sobą dziecka.

Być może zamierzał je zabić, pomyślał Myśliwy. Ale potem coś kazało mu zmienić plany. Prawdopodobnie świadomość, że z tą chwilą jego twór będzie musiał zmierzyć się ze światem. Gdyby przeżył, byłby to jego

prawdziwy sukces.

Postanowił więc uwolnić swojego królika doświadczalnego, który był już ośmioletnim chłopcem. Mały znalazł schronienie u sąsiadów, którzy nie wiedzieli, kim jest, ponieważ Anatolij Pietrow nie pomyślał, by dać mu tożsamość. Dociekania transformisty zmierzające do zrozumienia, kim jest, zaczęły się od Dimy i nadal trwały.

Chłopiec pozbawiony był empatii, wszelkich ludzkich uczuć. Miał za to nadzwyczajną zdolność uczenia się. W gruncie rzeczy był białą kartą, pustą skorupą, niepotrzebnym lustrem. Kierował się wyłącznie instynktem.

Jego pierwszym gniazdem było więzienie za regałem, którego istnienia w mieszkaniu otoczonym przez inne, podobne, w bloku pełnym ludzi, nikt nie zauważył.

Myśliwy spuścił wzrok, zastanawiając się nad tym wszystkim. Jego oczy przyzwyczyły się do mroku panującego w przedpokoju. Na podłodze, obok drzwi wejściowych, dostrzegł ciemne plamy.

To była krew. Małe kropelki. Myśliwy pochylił się, żeby ich dotknąć, jak w sierocińcu w Kijowie i w Paryżu.

Ale tym razem krew była świeża.

DZISIAJ

Kończąc w hotelu przerwane poprzedniego dnia pakowanie, Sandra rozmyślała o nocy spędzonej z mężczyzną, który przekonał ją, że jest Thomasem Shalberem. O zjedzonej wspólnie kolacji i o zwierzeniach. Także o zdjęciu dziewczynki, która, jak twierdził, miała być jego córką Marią, a której nie widywał tak często, jak by tego pragnął.

Wydawał się... szczery.

W obecności dwóch prawdziwych agentów Interpolu zadała sobie pytanie, kogo właściwie spotkała. Z kim się kochała?

Ten człowiek wślizgnął się do jej życia, odgrywając różne role. Na początku był tylko irytującym głosem w telefonie, który chciał ją przekonać, że powinna nabrać wątpliwości, jeśli chodzi o śmierć męża. Potem grał rolę bohatera — uratował jej życie. Następnie starał się ją oczarować, zdobyć jej zaufanie. Wreszcie ją oszukał, przywłaszczając sobie zdjęcia zrobione leicą.

Jeremiah Smith zapewnił, że David znalazł tajne archiwum penitencjariuszy. Dlatego zmuszony był go zabić.

Czy fałszywy Shalber także szukał archiwum? Być może musiał się poddać na widok ostatniego ciemnego zdjęcia, które prawdopodobnie zawierało wyjaśnienie.

W tym momencie, jak Sandra się tego obawiała, skupił się na tropieniu Marcusa, także dlatego, że zdjęcie, które David zrobił penitencjariuszowi, było jedynym punktem zaczepienia, jaki miał.

Później pojawił się jednak znowu w bazylice Santa Maria sopra Minerva, przed kaplicą Świętego Rajmunda z Peñafort, tylko po to, żeby wyjaśnić jej, dlaczego postępuje w ten sposób, po czym znowu zniknął. Dlaczego to zrobił?

Im bardziej starała się znaleźć coś, co powiązałoby te wydarzenia, tym bardziej umykał jej sens jego poszczególnych kroków. Nie wiedziała, czy powinna uważać go za przyjaciela, czy za wroga.

Był po dobrej czy po złej stronie?

David — kto wie czy zdawał sobie sprawę, z kim ma do czynienia. Miał numer jego telefonu i dostarczył jej brakujących cyfr dzięki zdjęciu zrobionemu przed lustrem w łazience. Jej mąż nie ufał temu człowiekowi na tyle, żeby przekazać mu wskazówki, a mimo to chciał się z nim spotkać. Dlaczego?

Rozmyślała nad tym i wciąż pojawiały się nowe wątpliwości. Przerwała pakowanie i usiadła na łóżku, żeby się zastanowić. Gdzie popełniam błąd? — pomyślała. Chciała jak najprędzej zapomnieć o całej tej historii, wiedziała jednak, że nie pogodzi się z brakiem odpowiedzi na te pytania, że jeśli ich nie pozna, oszaleje.

Była pewna, że odpowiedź kryje się w osobie Davida. Dlaczego zajął się tą sprawą? Był doskonałym fotoreporterem, a ta historia nie miała nic wspólnego z tym, czym się zajmował. Był Żydem i w odróżnieniu od niej prawie nigdy nie mówił o Bogu. Jego dziadek przeżył nazistowskie obozy koncentracyjne i David twierdził, że wszystkie te okropieństwa zostały wymyślane nie po to, aby zniszczyć jego naród, ale żeby utracił on wiarę. Żydzi mieli otrzymać dowód, że Boga nie ma, i to by wystarczyło, żeby ich unicestwić.

Tylko raz odbyli poważniejszą rozmowę na tematy religijne. Zdarzyło się to jakiś czas po ślubie.

Pewnego dnia podczas kąpieli Sandra wymacała w piersi guz. David zareagował na to w typowo żydowski sposób: zaczął na ten temat żartować.

Uważała, że świadczy to o słabości jego charakteru. Żartowanie z jej

problemów zdrowotnych oznaczało, że czuje się winny, ponieważ nie umie ich rozwiązać. Zawiózł ją na badania, przez cały czas z niej żartując. Sandra dała mu do zrozumienia, że dzięki tym żartom jest mniej spięta, ale tak naprawdę chciała, żeby przestał.

Przez cały tydzień oczekiwania na wyniki badań David był nieznośny. Chciała z nim o tym porozmawiać, ale bała się, że wybuchnie.

Nocą w przeddzień odebrania wyników obudziła się i zaczęła szukać Davida w łóżku. Nie było go. Wstała i stwierdziła, że w mieszkaniu jest ciemno. Weszła do kuchni. Siedział plecami do niej, pochylony na krześle. Kołysał się, mrużąc jakieś niezrozumiałe słowa. Nie zauważył jej, bo inaczej przestałby się modlić. Wróciła do łóżka i się rozplakała.

Na szczęście okazało się, że guz nie jest złośliwy. Sandra czuła jednak, że musi porozmawiać o tym z Davidem. Z pewnością ich małżeństwo czekały inne trudne próby, wymagające czegoś więcej niż tylko ironii. Wspomniała mu o tym, że widziała, jak się modli, i David przyznał z zakłopotaniem, że przeraziła go myśl, iż mógłby ją stracić. On nie bał się śmierci, ale gdy uświadomił sobie, że Sandra może umrzeć, poczuł się zupełnie bezradny. Przyszło mu do głowy, żeby odwołać się do Boga, którego zawsze unikał.

„Kiedy nie masz już nic, do czego mogłabyś się zwrócić, pozostaje ci tylko wiara w Boga, w którego nie wierzysz”.

Sandra odczytała to jako deklarację miłości. Jednak teraz, siedząc na łóżku w hotelowym pokoju obok niespakowanej walizki, zadała sobie pytanie, dlaczego jej mąż, jeśli miał przeczucie, że może umrzeć w Rzymie, postanowił pożegnać się z nią w taki sposób, dając jej wskazówki wyznaczające kierunek ewentualnego śledztwa. Zostawił jej zdjęcia, ponieważ z racji uprawianych przez nich zawodów umożliwiały im one znalezienie wspólnego języka. Dlaczego jednak nie było to na przykład

nagranie wideo, żeby dać jej do zrozumienia, jak wielką przywiązuje do tego wagę? Nie napisał do niej listu. Jeżeli tak ją kochał, to dlaczego ostatecznie myśli nie poświęcił właśnie jej?

Ponieważ David nie chciał, żebym czuła się z nim związana, na wypadek, gdyby umarł, powiedziała sobie. Ta konstatacja ją zaskoczyła.

Podarował mi resztę życia. Chciał, żebym znów się zakochała, miała rodzinę, dzieci. Prowadziła inny żywot niż wdowi. I to nie za kilka lat. Od zaraz.

Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby go pożegnać. Po powrocie do Mediolanu pozbędzie się pamiątek, usunie z szafy jego ubrania, przepędzi z mieszkania jego zapach — papierosów aromatyzowanych anyżem i taniego płynu po goleniu.

Ale może zacząć od razu. Od zachowanej w pamięci komórki ostatecznej wiadomości od Davida, która zaprowadziła ją aż do Rzymu. Ale przedtem chciała posłuchać jej jeszcze raz. Przecież już nigdy nie usłyszy głosu męża.

„Cześć, dzwoniłem do ciebie kilka razy, ale ciągle włącza się sekretarka... Nie mam zbyt dużo czasu, dlatego podaję od razu listę rzeczy, których mi brakuje... Brakuje mi twoich zimnych stóp, które szukają mnie pod kołdrą, gdy wchodzisz do łóżka. Brakuje mi chwil, w których dajesz mi do spróbowania rzeczy z lodówki, żeby się upewnić, czy się nie zepsuły. I twoich wrzasków, które budzą mnie o trzeciej nad ranem, bo akurat złapał cię skurcz. Nie uwierzysz, ale brakuje mi nawet tego, że używasz mojej maszynki, żeby ogolić sobie nogi, a potem mi o tym nie mówisz... W sumie tu, w Oslo, jest piekielnie zimno i nie mogę doczekać się powrotu. Kocham cię, Ginger!”

Sandra nacisnęła bez wahania guzik kasowania. Będzie mi ciebie brakowało, kochany, pomyślała. Po jej twarzy płynęły łzy. Po raz pierwszy

od dawna nie nazwała go Fred.

Następnie zebrała kopie zdjęć zrobionych leicą. Oryginały ciągle miał fałszywy Shalber. Położyła je jedno na drugim, umieszczając na górze to ciemne. Już miała je podrzeć i o nich zapomnieć, ale się powstrzymała.

David nie zrobił ani jednego zdjęcia kaplicy Świętego Rajmunda z Peñafort, a przecież dominikanin dawniej był penitencjariuszem. Do bazyliki zaprowadził ją Shalber, wsuwając święty obrazek pod drzwi hotelowego pokoju. Aż do tej chwili Sandra nie zwróciła uwagi na ten szczegół. Dlaczego chciał, żeby poznała to miejsce?

Ciemne zdjęcie.

Jeśli uważał, że znajduje się na nim wyjaśnienie zagadki archiwum penitencjariuszy, to należy go szukać w tej ubogiej kaplicy, pomyślała Sandra. Tylko że Shalber go nie znalazł.

Jeszcze raz przyjrzała się zdjęciu. Nie zostało zrobione przypadkowo, jak sądziła. David chciał, żeby było ciemne.

„Kiedy nie masz już nic, do czego mogłabyś się zwrócić, pozostaje ci tylko wiara w Boga, w którego nie wierzysz”.

Przed wyjazdem do Mediolanu musi wrócić do bazyliki Santa Maria sopra Minerva.

Ostatnia wskazówka Davida była dowodem jego wiary.



ROK WCZEŚNIEJ  
PRYPEĆ

Myśliwy uświadomił sobie, że nie jest sam. Że w mieście widmie jest ktoś jeszcze.

On.

Transformista wybrał najbardziej niegościnne miejsce na ziemi, żeby się w nim ukryć. Miejsce, w którym nikt nie będzie go szukał.

Wrócił do domu.

Myśliwy wyczuwał jego obecność. Krew na podłodze jeszcze nie zakrzepła.

Jest w pobliżu.

Musiał wszystko przemyśleć. W salonie zostawił torbę, a w niej pistolet z ładunkami obezwładniającymi. Ale nie miał czasu, żeby po nią pójść.

Obserwuje mnie.

Chciał tylko wymknąć się z mieszkania Anatolija Pietrowa. Jedynym ratunkiem było dotrzeć do auta, które zaparkował przed betonowymi blokami ułożonymi w poprzek drogi, zamykającymi pojazdom dostęp do miasta. To spory kawałek. Do diabła z wilkami, będzie biegł. Nie ma czasu na obmyślanie strategii. Może tylko uciekać.

Rzucił się do drzwi i zaczął zbiegać po schodach. W mroku nie widział, gdzie stawia nogi. Jeśli upadnie, będzie po nim. Myśl, że mógłby złamać nogę i pozostać unieruchomiony w budynku, czekając, aż pokaże się jego przeciwnik, kazała mu zapomnieć o ostrożności i zaryzykować. Co jakiś czas przedzierał się przez stosy śmieci na podestach. Dyszał ciężko, po plecach spływał mu zimny pot. Jego kroki odbijały się echem od ścian klatki schodowej.

Jedenaście pięter na złamanie karku, a potem ulica.

Wokół niego były tylko cienie. Budynki, które spoglądały na niego tysiãcem pustych oczodołów, samochody przypominające sarkofagi, gotowe go zamknąć, drzewa wyciągające kruche drewniane ramiona, żeby go pochwycić. Pod butami kruszył się asfalt i miał wrażenie, że wraz z nim zapada się cały świat. Czuł narastający niepokój, paliły go płuca. Każdemu oddechowi towarzyszyło ukłucie w piersi.

Myśliwy zamienił się w zwierzynę.

Gdzie się ukrywasz? Wiem, że tu jesteś i na mnie patrzysz. Śmiejesz się ze mnie.

Skręcił za róg i otworzyła się przed nim szeroka aleja. Nagle uświadomił sobie, że nie pamięta, jaką drogą tu przyszedł. Stracił orientację. Zatrzymał się, żeby pomyśleć, pochylając się z wysiłku. Zobaczył zardzewiały szkielet diabelskiego młyna i stwierdził, że biegnie w kierunku wesołego miasteczka. Volvo stało niecałe pół kilometra dalej. Powinien do niego dotrzeć.

Dam radę.

Biegł, nie zwracając uwagi na ból i zmęczenie, zimno i strach. Kątem oka dojrzał pierwszego wilka.

Zwierzę zbliżyło się do niego z boku i biegło razem z nim. Niebawem zauważył drugiego. I trzeciego. Eskortowały go, trzymając się na dystans. Myśliwy zdawał sobie sprawę, że jeśli zwolni, zostanie zaatakowany.

Gdybym miał choć tyle czasu, żeby zabrać z torby pistolet.

Zobaczył volvo stojące tam, gdzie je zostawił. Poczł ulgę, nie był jednak pewny, czy auto nie zostało uszkodzone. Ale teraz nie mógł już zawrócić. Brakowało mu jeszcze kilku metrów, gdy jeden z wilków postanowił zaatakować. Myśliwy wymierzył mu kopniaka i choć tylko go musnął, zwierzę odbiegł.

Samochód nie był złudzeniem.

Przyszło mu do głowy, że jeśli do niego dotrze, zmieni się wiele rzeczy. Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo chce żyć. Nie bał się śmierci, ale strachem napawała go myśl, że mógłby umrzeć w tym miejscu, w sposób, jakiego nie potrafił sobie nawet wyobrazić.

Nie, byle nie tak, proszę.

Gdy dobiegł do auta, nie mógł w to uwierzyć. Otworzył drzwi i zobaczył, że wilki zwalniają. Zrozumiały, że nie dadzą rady, i zamierzały wycofać się pod osłoną mroku. Zaczął gorączkowo szukać kluczyków, które zostawił na tablicy rozdzielczej. Gdy je znalazł, przestraszył się, że silnik nie zapali. Jednak zawarczał. Roześmiał się z niedowierzaniem. W jego krwi krążyła jeszcze adrenalina, ale zaczęło dawać o sobie znać zmęczenie.

Po raz ostatni rzucił okiem we wsteczne lusterko i zobaczył swoje przerażone oczy i oddalające się upiorne miasto. Oraz mężczyznę, który podnosił się z tylnego siedzenia.

Ale zanim Myśliwy zdołał zebrać myśli, zapadł się w bolesną ciemność.



Obudził go odgłos kapiącej wody. Sączyła się kroplami ze skały. Mógł to sobie wyobrazić, nie otwierając nawet oczu. Nie chciał patrzeć. Ale w końcu to zrobił.

Leżał na drewnianym stole. Trzy wiszące pod sufitem żarówki świeciły blado. Słyszał szum agregatu, który utrzymywał je przy życiu.

Nie mógł się poruszyć, był związany. Ale i tak nawet by tego nie próbował. Było mu dobrze w takiej pozycji.

Czy znalazł się w jaskini? Nie, w jakiejś suterenie. W pomieszczeniu unosił się zapach pleśni. Ale było coś jeszcze. Metaliczny zapach, jak przy spawaniu. Cynk. Poza tym wyziew, nie do pomylenia z niczym innym, woń

śmierci.

Z trudem przekręcił głowę i się rozejrzył. Znajdował się w krypcie. W tym, co zobaczył, było coś pięknego i zarazem przeklętego: wokół leżały kości.

Ułożone w stosy kości udowe, łokciowe, łopatki. Wtopione w cynk pokrywający trumny, chroniły to miejsce przed skażeniem.

Ten człowiek był przebiegły. W miejscu, w którym wszystkie przedmioty dotknęło skażenie promieniowaniem, tylko zmarli nie byli zatruci. Musiał wydobyć ich spod ziemi i wykorzystać do zbudowania tego schronienia.

Myśliwy dostrzegł trzy pociemniałe czaszki, które obserwowały go, ukryte w mroku. Dwojga dorosłych i dziecka. Prawdziwy Dima i jego rodzice, pomyślał.

Usłyszał, że się zbliża. Nie musiał się odwracać. Wiedział.

Poczuł jego spokojny, rytmiczny oddech. Mężczyzna przeciągnął dłonią po jego czole, żeby odgarnąć lepkie od potu włosy. Pieszczota. Potem okrążył go, żeby spojrzeć mu w oczy. Miał na sobie wojskowy kombinezon i obszarpany czerwony sweter. Jego twarz osłonięta była kominiarką, z której wyglądały tylko pozbawione wyrazu oczy i wystawały kosmyki zmierzwionej brody.

Wydawało się, że jest tylko ciekawy. Przechylił głowę, jak to robią dzieci, gdy chcą coś zrozumieć. W jego spojrzeniu kryło się pytanie. Patrząc na niego, Myśliwy uświadomił sobie, że przed nim nie ucieknie.

Ten człowiek nie znał litości. Nie dlatego, że był zły, ale dlatego, że nikt go jej nie nauczył.

W rękach trzymał królika z gałganków. Głaskał go po głowie. A potem odszedł. Myśliwy odprowadził go wzrokiem. W jednym z kątów znajdowało się legowisko z koców i szmat. Mężczyzna położył na nim królika, usiadł ze

skrzyżowanymi nogami i zaczął wpatrywać się w Myśliwego.

Myśliwy chciałby mu zadać tyle pytań. Wiedział, że nie wyjdzie stąd żywy. Ale tym, co najbardziej go smuciło, było to, że nie znał odpowiedzi na żadne z nich. Wytropienie tego człowieka wymagało ogromnego wysiłku, należały mu się odpowiedzi. Byłoby to coś w rodzaju oddania honorów wojskowych.

Jak odbywała się ta metamorfoza? Dlaczego transformista musiał zostawić krople swojej krwi — niczym podpis — za każdym razem, gdy kradł czyjąś tożsamość?

— Odezwiw się, proszę — rzekł Myśliwy. — Powiedz coś.

Zaczął się śmiać. Tamten też się roześmiał.

— Nie baw się ze mną. Nie traktuj mnie jak zabawki.

Wreszcie zrozumiał. On się nie bawi. On się przygotowuje.

Zobaczył, że wstaje, wyciągając coś z kieszeni kombinezonu. Długi błyszczący przedmiot. Z początku nie wiedział, co to jest. Gdy mężczyzna się zbliżył, Myśliwy dojrzał cienkie ostrze.

Przyłożył skalpel do policzka Myśliwego, żłobiąc w nim linie, które zamierzał pogłębić. Myśliwy poczuł łaskotanie na skórze. Przyjemne i mrozące krew w żyłach.

Istnieje tylko piekło, pomyślał. I znajduje się tutaj, pomyślał.

Transformista nie chciał go tak zwyczajnie zabić. Niebawem zwierzyzna zamieni się w myśliwego.

Jednak nim do tego doszło, coś się wydarzyło, otrzymał odpowiedź.

Mężczyzna zdjął kominiarkę i Myśliwy zobaczył jego twarz. Nigdy nie byli tak blisko siebie. Myśliwy mógłby nawet powiedzieć, że osiągnął cel.

Ale w twarzy transformisty było coś, z czego być może nawet on sam nie zdawał sobie sprawy.

Myśliwy pojął w końcu, skąd bierze się to, co uważał za jego podpis.

Okazało się, że to oznaka jego słabości. Myśliwy zrozumiał, że ma przed sobą nie potwora, ale ludzką istotę. I że, podobnie jak inni ludzie, także transformista ma znak rozpoznawczy, coś, co sprawia, że jest jedyny w swoim rodzaju, choć potrafi ukrywać się pod wieloma tożsamościami.

Myśliwy miał umrzeć, ale w tym momencie poczuł się podniesiony na duchu.

Jego przeciwnika można było jeszcze unieszkodliwić.

TERAZ



Padający deszcz sprawia, że nie wiadomo, czy to już wieczór, czy jeszcze dzień.

Sandra przekracza próg jedyne go gotyckiego kościoła w Rzymie. Wita ją puste wnętrze bazyliki Santa Maria sopra Minerva, z marmurami, wysokimi sklepieniami, wspaniałymi freskami.

Odgłos jej kroków ginie w echu błędzącym po prawej nawie. Zmierza do ostatniego ołtarza. Najmniejszego, pozbawionego wdzięku.

Czeka na nią święty Rajmund z Peñafort. Tylko że przychodząc tu poprzednio, nie wiedziała o tym. Teraz czuje się tak, jakby przedstawiała swoją sprawę przed *Chrytusem sędzią między dwoma aniołami*.

Przed Trybunałem Sumienia.

Fresk oświetlają zapalone przez wiernych świece wotywnie, wosk kapie na posadzkę. W odróżnieniu od innych kaplic kościoła tylko w tej — najskromniejszej — świec jest mnóstwo. Przy każdym podmuchu wytrwał płomyki pochylają się, by po chwili się wyprostować.

Podczas poprzednich wizyt zadawała sobie pytanie, z powodu jakich grzechów je zapalono. Teraz zna już odpowiedź: za grzechy wszystkich.

Wyjmuje z torby ostatnie zdjęcie zrobione leicą i patrzy na nie. W ciemności przedstawionej na tym czarnym obrazku kryje się dowód wiary. Ostatnia wskazówka Davida jest najbardziej tajemnicza, ale też najbardziej wymowna.

Sandra nie musi szukać odpowiedzi na zewnątrz, ale w sobie samej.

W ciągu ostatnich pięciu miesięcy zadawała sobie pytanie, gdzie jest teraz David i jakie znaczenie ma jego śmierć. W obliczu wątpliwości czuła się zagubiona. Fotografuje miejsca zbrodni, szuka śmierci w szczegółach,

przekonana, że tylko w ten sposób można coś wyjaśnić.

Przez obiektyw lustrzanki widzę różne rzeczy. Ufam szczegółom, ponieważ mówią mi, jaki przebieg miało to czy inne zdarzenie. Ale dla penitencjariuszy istnieje coś, co wykracza poza to, co mamy przed sobą. Coś równie realnego, czego jednak nie utrwali aparat fotograficzny. Dlatego muszę się nauczyć, że czasami trzeba ustąpić przed tajemnicą. I przyjąć, że nie jest nam dane zrozumieć wszystko.

Stając wobec ważnych egzystencjalnych pytań, naukowiec jest udręczony, a człowiek wierzący zastyga w bezruchu. W tym momencie, w tym kościele, Sandra czuje, że dotarła do granicy. Nie przypadkiem przychodzą jej na myśl słowa penitencjariusza: „Jest pewne miejsce, w którym kraina światła spotyka się ze światem ciemności. To tam wszystko się dzieje, w tej strefie cieni, gdzie rzeczy są rozmyte, zagmatwane, niepewne”.

Marcus wyraził się jasno, ale Sandra aż do tej chwili go nie rozumiała. Prawdziwym zagrożeniem nie jest mrok, ale stan pośredni, w którym światło staje się zwodnicze. Gdzie dobro miesza się ze złem i nie można ich rozróżnić.

Zło nie kryje się w mroku, lecz w cieniu.

To tam udaje mu się zafałszować różne sprawy. Potwory nie istnieją, są tylko ludzie, którzy popełniają straszliwe zbrodnie. Dlatego sekret polega na tym, żeby nie bać się ciemności, myśli Sandra, ponieważ to w jej głębinach znajdują się wszystkie odpowiedzi.

Trzymając w ręku ciemne zdjęcie, pochyla się nad świecami. Zaczyna dmuchać, gasząc je po kolei. Są ich dziesiątki i trwa to dłuższą chwilę. W miarę ich gaśnięcia mrok narasta niczym przyływ morza. Wszystko wokół niej niknie.

Skończywszy, robi krok do tyłu. Nic nie widzi, boi się, ale powtarza

sobie, że musi tylko poczekać i wreszcie będzie wiedziała. Jak wtedy, kiedy jako dziecko leżała w łóżku przed zaśnięciem i mrok wydawał jej się groźny, ale gdy tylko oczy się do niego przyzwyczyły, wszystko pojawiało się znowu jak za sprawą magii — pokój z zabawkami, lalki — i mogła spokojnie zasnąć. Jej oczy powoli przystosowują się do nowych warunków. Znika wspomnienie światła i nagle Sandra uświadamia sobie, że zaczyna coś dostrzegać.

Wokół niej zaczynają się pojawiać różne postacie. Na nastawie ołtarza ukazuje się lśniąca sylwetka świętego Rajmunda z Peñafort, rozświetlają się sylwetki Chrystusa i dwóch aniołów. Na surowym tynku ścian poszarzałych od sadzy zaczynają rysować się kształty. To freski. Przedstawiają one nie tylko akty pobożności i pokuty, ale także przebaczenia.

Sandra z niedowierzaniem patrzy na cud, który dzieje się na jej oczach. Najskromniejsza ze wszystkich kaplic, pozbawiona marmurów i ornamentów, objawia swoje piękno.

Na nagich ścianach rozkwita światło, układając się w turkusowe intarsje, które biegną aż po sklepienie. Na surowe kolumny wspinają się połyskujące arabeski. Ostatecznie przybiera postać błękitnej poświaty, przypominającej spokojne głębiny oceanu. Ciągłe panuje mrok, ale mrok oślepiający.

Sandra uśmiecha się. Fosforyzujący lakier, myśli.

Mimo iż istnieje logiczne wyjaśnienie tego zjawiska, krok, jaki zrobiła w swoim wnętrzu, żeby je odkryć, nie miał w sobie nic racjonalnego. Była to czysta rezygnacja, zaakceptowanie własnych ograniczeń, przyjemne poddanie się temu, co niezgłębione, niepojęte. Wierze.

To ostatni prezent Davida. Jego posłanie miłości do niej. Pogódź się z moją śmiercią, nie pytając, dlaczego taki los dotknął właśnie nas. Tylko w ten sposób będziesz mogła poczuć się szczęśliwa.

Sandra spogląda w górę i mu dziękuje. Nie ma tu żadnego archiwum. Jedyną tajemnicą tego miejsca jest piękno.

Słyszy kroki. Odwraca się i widzi Marcusa.

— Odkrycie fosforescencji sięga siedemnastego wieku, a zawdzięczamy je szewcowi z Bolonii, który zebrał kilka otoczaków, podgrzał je na węglu i zaobserwował dziwne zjawisko: po wystawieniu ich na światło dzienne przez wiele godzin nadal świeciły w ciemności. — Wskazuje kaplicę. — To, co tu widzisz, powstało kilkadziesiąt lat później. Artysta pozostał nieznany, a do pomalowania kaplicy użył substancji wynalezionej przez szewca. Pomyśl, jakie zdumienie musiało ogarnąć ludzi z tamtej epoki, którzy nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Dziś to zjawisko nie zaskakuje, ponieważ znamy jego przyczyny. I każdy może wybrać, czy chce obejrzeć kolejną z tysiącznych osobliwości Rzymu, czy też swego rodzaju cud.

— Chciałabym dojrzeć w tym cud, naprawdę bym chciała — mówi Sandra z odrobiną smutku. — Ale górę biorą racjonalne argumenty. Te same, które mi mówią, że Bóg nie istnieje, a David nie przebywa w raju. Ale bardzo bym chciała się mylić.

Jej słowa nie wprawiają Marcusa w zakłopotanie.

— Rozumiem. Człowiek, który przyprowadził mnie tu po raz pierwszy, powiedział mi, że mogę znaleźć w tym miejscu odpowiedź na pytanie, które sobie postawiłem, gdy po utracie pamięci wyjawiono mi, że byłem księdzem. — Dotyka szramy na skroni. — Zadałem sobie takie oto pytanie: jeśli to prawda, że jestem księdzem, to gdzie jest moja wiara?

— I jak brzmiała odpowiedź?

— Że ona nie jest po prostu darem, ale ciągle trzeba jej szukać. — Spuszcza wzrok. — Ja szukam jej w złu.

— Co za dziwny los nas jednoczy. Ty musisz radzić sobie z pustką w

pamięci, a ja ze zbyt wieloma wspomnieniami związanymi z Davidem. Mnie nie wolno ich zapomnieć, ty zostałeś skazany na zapomnienie wszystkiego. — Sandra milknie na chwilę, po czym spogląda na Marcusa. — Nadal będziesz to robił?

— Jeszcze nie wiem. Ale jeśli mnie pytasz, czy się boję, że pewnego dnia coś może mnie zdeprawować, mogę ci tylko powiedzieć, że tak. Z początku myślałem, że patrzenie na świat oczami zła jest przekleństwem. Ale odnajdując Larę, nadałem sens mojemu talentowi. Chociaż nie pamiętam, kim byłem w przeszłości, dzięki temu, co robię teraz, wiem nareszcie, kim jestem.

Sandra kiwa głową, ale czuje się nieswojo.

— Muszę ci coś wyjawić. — Milknie na dłuższą chwilę, starając się dobrać odpowiednie słowa. — Jest pewien człowiek, który cię poszukuje. Myślałam, że chce odnaleźć archiwum, ale po tym, co tu zobaczyłam, domyśliłam się, że chodzi mu o coś innego.

— Dlaczego tak uważasz?

— Nie wiem, ale on mnie okłamał. Podał się za agenta Interpolu. Nie wiem, kim naprawdę jest, ale obawiam się, że może być bardzo groźny.

— Nie uda mu się mnie znaleźć.

— Ma twoje zdjęcie.

— A jeśli nawet mnie znajdzie, co może mi zrobić?

— Zabije cię.

Przekonanie, z jakim mówi Sandra, nie robi na Marcusie wrażenia.

— Skąd masz taką pewność?

— Nie jest policjantem i nie chce cię aresztować, więc pozostaje tylko jedna możliwość.

Marcus się uśmiecha.

— Już raz umarłem, więc się tego nie boję.

Spokój księdza przekonuje Sandrę, napełnia ją ufnością. Pamięta jeszcze dotknięcie jego dłoni w szpitalu. Pomogło jej.

— Popełniłam grzech i nie potrafię go sobie wybaczyć.

— Istnieje przebaczenie za wszystko, nawet za grzechy śmiertelne. Ale nie wystarczy o nie poprosić. Trzeba podzielić się winą z kimś innym. Wyznanie grzechu to pierwszy krok do uwolnienia się od niego.

Sandra pochyla głowę, zamyka oczy i zaczyna otwierać serce. Opowiada mu o skrobance, o utraconej i odzyskanej miłości, o tym, w jaki sposób sama się ukarała. Słowa płyną z głębi jej duszy. Wyobrażała sobie, że poczuje się tak, jakby pozbyła się ciężaru, jednak jest inaczej. Pustka w jej wnętrzu, pozostała po nienarodzonym dziecku, zamyka się. Zbliżnia się bolesna rana. Sandra czuje, że coś się w niej zmienia, że staje się inną osobą.

— Ja też mam na sumieniu ciężką winę — wyznaje Marcus. — Pozbawiałem życia, tak samo jak ty. Czy jednak to wystarcza, żeby uważać nas za morderców? Czasami się zabija, ponieważ jest się do tego zmuszonym, żeby kogoś osłonić, albo ze strachu. W takich przypadkach należy sądzić według innej miary.

Jego słowa podnoszą Sandrę na duchu.

— W roku tysiąc trzysta czternastym w Ardèche na południu Francji zaraza dziesiątkowała ludność. Korzystając z epidemii, szajka bandytów zaczęła siać terror, grabiąc, gwałcąc i mordując. Ludzie byli przerażeni. Kilku księży z gór, nieprzygotowanych i niedoświadczonych, postanowiło się połączyć i przeciwstawić zbrodniarzom. Wzięli do ręki broń i podjęli walkę. W końcu wygrali. Czy ktokolwiek byłby gotów przebaczyć tym sługom bożym, że przelewali krew? Kiedy wrócili do swoich kościołów, ludność powitała ich jako wybawców. Dzięki ich ochronie w Ardèche nie dochodziło

już do zbrodni. Od tamtej pory ludzie zaczęli nazywać tych księży nocnymi myśliwymi. — Marcus zapala jedną ze świec i podaje ją Sandrze. — Dlatego nie do nas należy osądzanie naszych uczynków... My możemy tylko prosić o przebaczenie.

Także ona bierze świecę i zapala ją od świecy, którą podał jej Marcus. Potem oboje zaczynają zapalać po kolei wszystkie świece ustawione u stóp Chrystusa sędziego. W miarę jak ozywają ich płomienie, Sandra czuje się coraz bardziej podniesiona na duchu, dokładnie tak, jak przepowiedział penitencjariusz. Krople wosku znowu kapią na posadzkę z ciemnego marmuru. Sandra jest pogodna i spokojna, gotowa wrócić do domu. Fosforyzujące promieniowanie zaczyna słabnąć. Znikają świecące malowidła i połyskujące ornamenty. Kaplica powoli odzyskuje swoje ubóstwo. Zapalając ostatnie świece, Sandra rzuca spojrzenie na posadzkę i odkrywa, że niektóre krople są czerwone.

Tworzą mały wianuszek ciemnych plam. Ale to nie jest wosk.

Podnosi oczy na Marcusa i zauważa, że z nosa cieknie mu krew.

— Uważaj — ostrzega go, ponieważ on tego nie dostrzegł.

Marcus unosi rękę do twarzy, a potem spogląda na poplamione palce.

— To mi się zdarza co jakiś czas. Ale potem mija. Za każdym razem.

Sandra sięga do torby po chusteczki higieniczne. Marcus je przyjmuje.

— Dostrzegam u siebie rzeczy, o których nie miałem pojęcia — mówi, przechylając głowę. — Dziwię się, gdy odkrywam coś nowego. Wcześniej takie odkrycia napełniały mnie strachem. Także to krwawienie z nosa. Nie wiem, skąd się bierze, ale stanowi moją właściwość. Powtarzam sobie wtedy, że być może któregoś dnia także ono pomoże mi przypomnieć sobie, kim kiedyś byłem.

Sandra pochyła się w stronę Marcusa i go obejmuje.

— Życzę ci szczęścia — mówi.

— Do widzenia — odpowiada Marcus.



ROK WCZEŚNIEJ  
PRAGA

Pozostał w Prypeci jeszcze przez kilka miesięcy. Chciał się upewnić, że nie zjawi się nikt inny, żeby go szukać. Praca, jaką musiał wykonać na swojej ostatniej ofierze, była długa i żmudna. Nie odbyło się to tak, jak w przypadku innych mężczyzn, którzy po kilku godzinach torturowania mówili wszystko. Poświęcił kilka dni na to, żeby zmusić Myśliwego do mówienia. Chciał wiedzieć o nim wszystko, by wejść w jego skórę. Co dziwne, najtrudniejsze było nakłonienie go, żeby zdradził swoje imię.

Transformista spojrział w lustro.

— Marcus — powiedział. Podobało mu się.

Przybył do tego miasta trzy dni temu i wynajął pokój w hotelu. Budynek był stary, a z jego okna mógł podziwiać posępne dachy Pragi.

Miał przy sobie dużo pieniędzy zabranych ludziom, w których się wcielał. Oraz ukradziony ostatniej ofierze watykański paszport dyplomatyczny, do którego wkleił swoje zdjęcie. Wymienione w dokumencie dane osobowe były fałszywe, ponieważ nie zgadzały się z informacjami, jakie uzyskał od ofiary. Wyjaśnienie tego było proste: Myśliwy nie istniał.

Dla transformisty była to okoliczność idealna. To, że stanie się człowiekiem, którego nikt nie zna, ochroni go przed ryzykiem, że może zostać wykryty. Ale nie miał jeszcze co do tego pewności. Musiał czekać i dlatego się tu znalazł.

Przeglądał notatki, jakie zrobił w Prypeci — biografię człowieka, który dał mu nową tożsamość. Tylko podstawowe informacje, ponieważ reszty nauczył się na pamięć.

W tym momencie drzwi pokoju się otworzyły.

Na progu stał starzec o zmęczonej twarzy, w ciemnym ubraniu. W ręku

trzymał pistolet. Nie strzelił od razu. Wszedł i zamknął za sobą drzwi. Był spokojny i zdecydowany.

— Znalazłem cię wreszcie — powiedział. — Popełniłem błąd i przyszedłem go naprawić.

Transformista milczał. Spokojnie odłożył kartki na stolik. Nie bał się — nie wiedział, co to strach, nie nauczono go tego — był tylko ciekawy. Dlaczego ten starzec ma łzy w oczach?

— Poprosiłem mojego najbardziej pojętego ucznia, żeby cię wytropił. Ale jeśli ty się tu zjawiłeś, to w takim razie Marcus nie żyje. I jest to moja wina.

Zobaczył, że starzec w niego celuje. Transformista nigdy dotąd nie znalazł się tak blisko śmierci. Zawsze walczył o przeżycie. Także teraz postanowił nie dać się zabić.

— Zaczekaj — powiedział. — Nie wolno ci tego zrobić. To nie jest sprawiedliwe, Devok.

Starzec znieruchomiał. Na jego twarzy pojawiło się osłupienie. Powstrzymały go nie słowa, jakie usłyszał, ani to, że tamten zna jego imię, ale ton, jakim zostały wypowiedziane.

Transformista mówił głosem Marcusa.

Starzec był zdezorientowany.

— Kim jesteś? — spytał.

— Jak to kim? Nie poznajesz mnie? — Powiedział to niemal błagalnie, ponieważ jedyną, ale najskuteczniejszą bronią, jaką dysponował transformista, było tworzenie pozorów.

— To nieprawda. Nie jesteś nim. — Mimo iż Devok wiedział na pewno, że ma rację, coś go powstrzymywało. Głębokie przywiązanie, jakim darzył swojego ucznia. Dlatego nie miał siły nacisnąć spustu.

— Byłeś moim mistrzem, moim mentorem. Wszystko, co wiem, zawdzięczam tylko tobie. A teraz chciałbyś mnie zabić? — Transformista mówił, podchodząc coraz bliżej. Krok po kroku.

— Nie znam cię.

— Jest pewne miejsce, w którym kraina światła spotyka się ze światem ciemności — mówił. — To tam wszystko się dzieje, w tej strefie cieni, gdzie rzeczy są rozmyte, zagmatwane, niepewne. My jesteśmy strażnikami pilnującymi tej granicy. Ale mimo to co jakiś czas coś się przez nią przedostaje. Moim zadaniem jest zagnać to z powrotem do świata ciemności.

Staruszek drgnął. Zaczynał się poddawać. Transformista był już blisko niego, mógł wyrwać mu broń, gdy zobaczył pierwszą kroplę spadającą na dywanik. Dostał krwotoku z nosa. Te krwotoki były jedyną jego słabością, której nie mógł się pozbyć. Jego jedyną wrodzoną właściwością, bo resztę zapożyczał od innych. Jego prawdziwa tożsamość, pogrzebana pod dziesiątkami innych, była zamknięta w tym znaku szczególnym.

Złudzenie prysło i starzec domyślił się, że został oszukany.

— Bądź przeklęty.

Transformista rzucił się na Devoka i wyrwał mu pistolet. Starzec przewrócił się i napastnik w niego wycelował.

Devok zaczął się śmiać, wycierając o koszulę plamy krwi na dłoni.

— Dlaczego się śmiejesz? Nie boisz się? — spytał transformista.

— Zanim tu przyszedłem, wyznałem moje grzechy. Jestem wolny i gotowy umrzeć. Poza tym bawi mnie twoje przekonanie, że zabijając mnie, rozwiążesz swoje problemy, podczas gdy one dopiero się zaczęły.

Transformiście przemknęło przez głowę, że to może być zasadzka.

— Może powinieneś milczeć? — syknął. — Lepiej odejść bez ostatniego słowa. Nie uważasz, że byłoby w tym więcej godności? Wszyscy ludzie,

których zabiłem, pod koniec zhańbili swoją śmierć wygłaszaniem niedorzecznych i banalnych zdań. Prosilili o litość, błagali, nie wiedząc, że ja uznaję to za dowód, iż nie mają mi do powiedzenia nic innego.

Starzec pokręcił głową.

— Biedny głupcze. Poluje już na ciebie ksiądz odważniejszy ode mnie. Ma taki sam talent jak ty, może się zamienić, w kogo tylko zechce. Tylko że nie jest transformistą i nikogo nie zabija. Doskonale potrafi wcielać się w osoby zaginione. Teraz jest agentem Interpolu i zna przebieg wszystkich policyjnych śledztw. Prędko cię znajdzie.

— Jak on się nazywa?

Starzec znowu się roześmiał.

— Choćbyś mnie torturował, na nic się to zda. Penitencjariusze nie mają imion. Po prostu nie istnieją, powinienes o tym wiedzieć.

Transformista zastanawiał się, czy Devok blefuje. Starzec skorzystał z jego chwilowego roztargnienia i znalazł w sobie dość siły, żeby zerwać się z podłogi i na niego rzucić. Chwycił pistolet i skierował go w dół. Zaczęli się siłować. Ale tym razem Devok nie wypuścił broni.

Padł strzał w kierunku lustra i transformista zobaczył, jak jego odbicie roztrzaskuje się na kawałki. Zdołał skierować broń w stronę przeciwnika i nacisnąć spust. Starzec znieruchomiał w pełnym przerażenia grymasie, wytrzeszczając oczy i otwierając usta. Pocisk przeszył mu serce. Devok jednak nie upadł na plecy, ale do przodu, przewracając zabójcę. Uderzenie o podłogę spowodowało trzeci strzał. Transformista miał wrażenie, że widzi pocisk, który przeleciał jak cień przed jego oczami, aby wbić mu się w skroń.

Leżąc w oczekiwaniu końca, przyglądał się swojemu odbiciu w tysiącach kawałków lustra. Przed oczami stanęły mu wszystkie jego wcielenia, wszystkie ukradzione przez niego twarze. Jakby rana na skroni uwolniła je z

głębin jego pamięci.

Patrzyły na niego, ale z chwili na chwilę zaczął o nich zapominać.

Zanim umarł, nie wiedział już, kim jest i kim był przedtem.

## *Godzina 7.37*

Trup otworzył oczy.

## Od autora

Niniejsza opowieść powstała dzięki dwóm wyjątkowym spotkaniom, o których trudno mi zapomnieć.

Do pierwszego doszło w Rzymie, w popołudniowych godzinach pewnego majowego dnia. Spotkałem się wówczas z wyjątkowym księdzem, ojcem Jonathanem, z którym umówiłem się w porze zmierzchu na Piazza delle Cinque Lune. Nie muszę wspominać, że to on wskazał mi miejsce i czas, a kiedy poprosiłem go, żeby nieco dokładniej określił, co rozumie przez „porę zmierzchu”, odrzekł spokojnie: „Zanim zapadnie wieczór”. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, postanowiłem zjawić się na miejscu z dużym wyprzedzeniem.

On już tam był.

Przez następne dwie godziny opowiadał mi o penitencjarii, o archiwum grzechów i o roli, jaką odgrywali w świecie penitencjariusze. Słuchając go, nie mogłem uwierzyć, że nikt nie opowiedział dotąd tej historii. Nasz spacer zaułkami Rzymu zakończył się w kościele Świętego Ludwika Francuzów, przed obrazem *Męczeństwo świętego Mateusza* pędzla Caravaggia, który stanowi pierwszy test w szkoleniu księży zajmujących się kreśleniem sylwetek psychologicznych różnych osób.

W wielu przypadkach kapłani ci współpracują z organami porządku publicznego. Od 1999 roku istnieje we Włoszech oddział zwalczający sekty — S.a.S., czyli *Squadra anti Sette* — który utrzymuje kontakty z policją państwową, by lepiej rozumieć istotę tak zwanych przestępstw satanicznych. Robi to nie dlatego, żeby szukać w nich diabła, ale z uwagi na szczególne, demoniczne znaczenie, jakie niektórzy przestępcy, przede wszystkim



mordercy, przypisują swoim czynom. Pomaga to w poznaniu przesłanek popychających do popełniania okrutnych zbrodni i w tworzeniu systemu prawnego służącego prowadzonym śledztwom.

W ciągu następnych dwóch miesięcy po naszym spotkaniu ojciec Jonathan udzielał mi instrukcji i wyjaśniał, na czym polega jego wyjątkowa misja. Odkrywał przede mną tajemnice magicznych miejsc Rzymu, które odwiedzaliśmy razem (wprawiając mnie czasami w oszołomienie), a które opisałem w niniejszej powieści. Udzielił mi wszelkiego rodzaju nauk, przy czym jego wiedza rozciągała się od afer kryminalnych po sztukę, architekturę i historię, łącznie z odkryciem fosforyzujących farb.

Jeśli chodzi o kwestie wiary i religii, dobrotliwie tolerował moje zakłopotanie i otwarcie przeciwstawiał się moim krytycznym uwagom. Pod koniec uświadomiłem sobie, że bezwiednie przebyłem duchową drogę, która pomogła mi lepiej zrozumieć, jaki charakter powinna mieć opowieść, którą zamierzałem napisać.

W nowoczesnym społeczeństwie duchowość traktuje się często żartobliwie lub uważa za strawę pozbawionych wykształcenia tłumów, bądź też zastępuje filozofią New Age. Ludzie utracili podstawową zdolność rozróżniania dobra i zła. Wynikiem tego było oddanie Boga w ręce integralistów, ekstremistów, autorów rysunków satyrycznych (ponieważ fanatycy ateizmu nie różnią się tak bardzo od fanatyków religijnych).

Wszystko to sprawiło, że człowiek nie potrafi już zajrzeć w głąb siebie, niezależnie od kategorii etycznych i moralnych — a także całkowicie przypadkowej „poprawności politycznej” — aby odnaleźć podstawową dychotomię, która pozwala ocenić każde ludzkie zachowanie.

Dobro i zło, *yin* i *yang*.

Pewnego dnia ojciec Jonathan oświadczył mi, że jestem gotów do

napisania powieści, życzył mi, abym „zawsze pozostawał po stronie światła”, i pożegnał się obietnicą, że znowu się zobaczymy. Do tej pory nie została ona spełniona. Szukałem go bez skutku i mam nadzieję, że niniejsza książka pomoże nam się spotkać. Chociaż nurtuje mnie niejasne podejrzenie, że do tego nie dojdzie, ponieważ wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia, zostało powiedziane.

Drugie spotkanie dotyczyło N.N., który żył na przełomie XIX i XX wieku.

Ten pierwszy (i jak dotąd jedyny) seryjny morderca i transformista w dziejach jest jednym z najbardziej interesujących przypadków w kryminologii.

Litery N.N. nie oznaczają pierwszych liter jego imienia i nazwiska, ale są skrótem łacińskiego zwrotu *nomen nescio*, który stosuje się wobec osób pozbawionych imienia czy tożsamości (w krajach anglojęzycznych podobną funkcję pełni fikcyjne imię i nazwisko John/Jane Doe).

W 1916 roku na plaży w belgijskiej Ostendzie znaleziono zwłoki mężczyzny w wieku około trzydziestu pięciu lat. Poniósł on śmierć wskutek utonięcia. Był ubrany i miał przy sobie dokumenty, z których wynikało, że jest urzędnikiem z Liverpoolu, który dwa lata wcześniej zaginął bez śladu. Gdy jednak władze pokazały zwłoki jego krewnym przybyłym z Anglii, nie rozpoznali go i twierdzili stanowczo, że pomyłono go z jakąś inną osobą.

Zdjęcia, które mieli przy sobie członkowie rodziny, wskazywały jednak na niezwykle podobieństwo N.N. do angielskiego urzędnika. Ale łączył ich nie tylko podobny wygląd. Obu charakteryzowało zamiłowanie do puddingu i do rudowłosych prostytutek. Obaj przyjmowali lek na wątrobę, a co ważniejsze, lekko utykali na prawą nogę (w przypadku topielca lekarz sądowy stwierdził to na podstawie charakterystycznego zużycia podeszwy

buta oraz zrogowaciałej narośli na prawej stronie prawej stopy, świadczącej o tym, że wskutek wadliwej postawy na tę nogę przenosił ciężar ciała).

Oprócz dowodu, jakim były te podobieństwa, w mieszkaniu N.N. policja natrafiła na kolekcję dokumentów i przedmiotów należących do osób z różnych krajów Europy. Ustalono, że wszystkie one zaginęły. A przede wszystkim zwrócono uwagę na to, że zaginięcia te można było uporządkować według wieku ofiar: były coraz starsze.

Śledczy wyciągnęli z tego wniosek, że N.N. wybierał je po to, aby zająć ich miejsce.

Nie odnaleziono zwłok, ale można było założyć, że N.N. zabił tych ludzi, aby przywłaszczyć sobie ich tożsamość.

Przypadek ten, niepoparty dowodami naukowymi z powodu niedoskonałości technik śledczych w tamtej epoce, został zapomniany, aby powrócić w latach trzydziestych, gdy Courbon i Fail ogłosili wyniki badań psychiatrycznych dotyczących syndromu Fregoliego — nadano mu tę nazwę od nazwiska słynnego włoskiego komika, który wcielał się w różne postacie — oraz gdy ukazały się artykuły na temat neurologicznych zaburzeń znanych jako syndrom Capgrasa. Oba schorzenia prezentują zjawisko odwrotne względem przypadku N.N.: dotknięte nimi osoby są przekonane, że obserwują transformację u innych ludzi. Ich opisanie dało asumpt do szeregu badań naukowych. Doprowadziły one do zidentyfikowania innych syndromów, na przykład kameleona, bardzo zbliżonego do przypadku belgijskiego topielca (posłużył on za źródło inspiracji dla doskonałego filmu Woody'ego Allena pod tytułem *Zelig*).

Przypadek N.N. stał się punktem odniesienia dla nowej dziedziny kryminologii — neurologii sądowej — która zajmuje się przestępstwami, wychodząc od badań genetycznych i fizjologicznych. Techniki te pozwoliły

na odmienne rozumienie i kwalifikowanie niektórych przestępstw. Przykładem może być obniżenie kary przewidzianej dla zabójcy, który cierpi na uszkodzenia płatów czołowych mózgu, a jego uwarunkowania genetyczne wskazują na predyspozycje do stosowania przemocy. Udowodniono też, że popełnienie zbrodni przez mężczyznę, który zasztyletował narzeczoną, było między innymi spowodowane niedoborem witaminy B<sub>12</sub>, wynikającą z diety wegetariańskiej, na której był od dwudziestu pięciu lat.

Wyjątkowe talenty N.N. pozostają jednak zjawiskiem unikalnym, które do dzisiejszego dnia znalazło jedyne potwierdzenie w przypadku „dziewczyny w lustrze”, o którym opowiedziałem w mojej powieści. Młoda Meksykanka istniała, choć w odróżnieniu od N.N. nikogo nie zabiła. Z oczywistych powodów zmieniłem jej imię i nazwałem ją Angeliną.

Szczaćki N.N. spoczywają na małym nadmorskim cmentarzu. Na kamieniu nagrobnym wyryty jest napis: „Bezimienny topielec. Ostenda, 1916”.

Donato Carrisi

# Podziękowania

Składam podziękowania mojemu wydawcy Stefanowi Mauriemu — za pasję, jaką wkłada w swoją pracę, i za przyjaźń, która jest dla mnie zaszczytem.

Dziękuję także wydawnictwu Longanesi i wydawnictwom, które publikują moje książki za granicą — za czas i energię, jakie poświęcają temu, aby moje opowieści trafiły do czytelników.

Proszę o przyjęcie wyrazów wdzięczności:

Luigiego, Daniele i Ginevrę Bernabò — za rady, troskę i uczucie, jakimi mnie obdarzają. Miło należeć do waszej paczki.

Fabrizia Cocco — człowieka, który zna sekrety (moich) opowieści — za jego spokojne oddanie i mroczny charakter.

Giuseppe Strazzeriego — za zapał i wnikliwość, z jakimi odniósł się do tej wydawniczej przygody.

Valentinę Fortichiari — za żarliwość i uczucie (nie wiem, jak bym sobie bez nich poradził).

Elenę Pavanetto — za pomysły pełne uśmiechu.

Cristinę Foschini — za jej promienną obecność.

Księgarzy — za gorliwość, z jaką za każdym razem przekazują książkę w ręce czytelników. Za magiczną rolę, jaką odgrywają w świecie.

Niniejsza opowieść powstała także dzięki mimowolnemu — a często nieświadomemu — wkładowi szeregu osób, które wymienię w przypadkowej kolejności. Są to: Stefano i Tommaso, ponieważ są teraz przy mnie. Clara i Gaia, gdyż dostarczają mi wiele radości. Vito Lo Re — z powodu jego

niewiarygodnej muzyki i tego, że znalazł Barbarę. Ottavio Martucci — ze względu na jego dobrotliwy cynizm. Giovanni „Nanni” Serio, ponieważ to on jest Shalberem! Valentina, która pozwala mi się czuć kimś należącym do rodziny. Francesco „Ciccio” Ponzone, ponieważ jest wspaniały. Flavio, złośliwiec o miękkim sercu. Marta, która nigdy się nie oszczędza. Antonio Padovano — ze względu na nauki na temat smaku życia. Ciocia Franca, ponieważ ciągle jest ze mną. Maria „Ià” — za wspaniałe popołudnie w Kwirynale. Michele i Barbara, Angela i Pino, Tiziana, Rolando, Donato i Daniela, Azzurra. Elisabetta, ponieważ wiele jej cech obecnych jest w tej historii.

Chiara, która napełnia mnie dumą. Moi rodzice, którym zawdzięczam wszystko, co najlepsze.

Dziękuję również Achille Manzottiemu, który w roku 1999 dał mi możliwość podjęcia pracy w tym dziwnym zawodzie, prosząc mnie o napisanie opowieści o pewnym księdzu, który miał na imię Marco. Wybór imienia Marcus dla bohatera niniejszej książki jest hołdem dla geniuszu tego wielkiego producenta, dla jego szalonych pomysłów, a nade wszystko „nosa”, z jakim dobiera scenarzystów.

[1](#) *Questure* to we Włoszech komendy policji w głównych miastach poszczególnych prowincji.

[2](#) Tes 5,2, Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

[3](#) W niebie, jestem w niebie,  
W głowie zamęt mam, a w oczach szczęścia mgłę,  
Kiedy na dansingu czuję bliskość twą  
I policzek twój do mego tuli się.

[4](#) Koh 1,9, op.cit.

# Spis treści

[O książce](#)

[Strona tytułowa](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Motto](#)

[Godzina 7.37](#)

[PIĘĆ DNI WCZEŚNIEJ](#)

[Godzina 0.03](#)

[Godzina 6.19](#)

[Godzina 8.40](#)

[Godzina 11.40](#)

[Godzina 20.56](#)

[Godzina 23.36](#)

[ROK WCZEŚNIEJ. PARYŻ](#)

[CZTERY DNI WCZEŚNIEJ](#)

[Godzina 1.40](#)

[Godzina 6.00](#)

[Godzina 7.10](#)

[Godzina 9.04](#)

[Godzina 9.56](#)

[Godzina 14.00](#)

[Godzina 15.00](#)

[Godzina 17.07](#)

[Godzina 19.47](#)



[Godzina 20.35](#)

[Godzina 23.39](#)

[ROK WCZEŚNIEJ. MEKSYK](#)

[TRZY DNI WCZEŚNIEJ](#)

[Godzina 3.27](#)

[Godzina 6.04](#)

[Godzina 7.00](#)

[Godzina 7.26](#)

[Godzina 9.00](#)

[Godzina 10.04](#)

[Godzina 12.32](#)

[Godzina 14.12](#)

[Godzina 15.53](#)

[Godzina 17.07](#)

[Godzina 20.38](#)

[Godzina 21.34](#)

[Godzina 23.24](#)

[ROK WCZEŚNIEJ. KIJÓW](#)

[DWA DNI WCZEŚNIEJ](#)

[Godzina 6.33](#)

[Godzina 7.40](#)

[Godzina 8.01](#)

[Godzina 11.00](#)

[Godzina 11.26](#)

[Godzina 13.39](#)

[Godzina 14.03](#)

[Godzina 17.14](#)

[Godzina 18.22](#)

[Godzina 20.00](#)

[Godzina 20.34](#)

[Godzina 22.07](#)

[Godzina 22.17](#)

[Godzina 23.59](#)

[ROK WCZEŚNIEJ. PRYPEĆ](#)

[WCZORAJ](#)

[Godzina 4.46](#)

[Godzina 9.02](#)

[Godzina 13.55](#)

[Godzina 22.56](#)

[ROK WCZEŚNIEJ. PRYPEĆ](#)

[DZISIAJ](#)

[ROK WCZEŚNIEJ. PRYPEĆ](#)

[TERAZ](#)

[ROK WCZEŚNIEJ. PRAGA](#)

[Godzina 7.37](#)

[Od autora](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)